

**Rebecca Gablé**

***OSADNICZY Z CATANU***

**Tytuł oryginalny: DIE SIEDLER VON CATAN**

**Wydanie I**

**Katowice 2007**

**Wydawnictwo**

**Sonia Draga**

**GTW**

## Przedmowa Klausa Teubera

„Jak pan wymyśla gry?”. To właśnie pytanie chyba najczęściej słyszy każdy autor gier. Wielu osobom wydaje się zapewne, że stworzenie własnego świata - przy użyciu tektury, drewna, tworzywa sztucznego i po ustaleniu kilku reguł - jest czymś niezwykle tajemniczym. Świat gry, w którym można się zanurzyć, w którym przez kilka godzin zapomina się o codzienności i zyskuje się okazję poznania najbliższych w ożywczo nowy sposób.

Motywacja - a czasem nawet nieprzeparta chęć - żeby zabrać się za projektowanie gry - zawsze ma źródło w jakiejś historii. Historia ta musi mnie fascynować i budzić we mnie potrzebę przeżywania w formie gry wciąż czegoś nowego.

Punktem wyjścia gry *Osadnicy z Catanu* była historia odkryć. Szczególnie urzekli mnie wikingowie, którzy na swoich statkach ze smokami na dziobach prowadzili pionierskie wyprawy na Islandię i Grenlandię oraz do Ameryki. Z tego wszystkiego przynajmniej Islandię udało im się zasiedlić skutecznie i na długo.

Pomijając kilku celtyckich kapłanów, Islandia w IX wieku była lądem właściwie niezamieszkanym, niepotrzebne, więc były najazdy, chociaż wszystko trzeba tam było tworzyć od nowa. Ścięto drzewa na zalesionych niegdyś obszarach, a z drewna zbudowano domy i statki. Wytyczono drogi, na bujnych pastwiskach zaczęto wypasać owce i niebawem zboża - chociaż może niezbyt dorodne - wyrosły na tej wyspie, jednej z cieplejszych na Morzu Północnym.

Czasy pionierów! Skuteczne osadnictwo na Islandii wymagało jedynie tego, aby ludzie wzajemnie sobie pomagali, prowadzili pokojowo handel i szukali nowych metod budowania lepszego systemu społecznego. W ten sposób wikingowie około 930 roku stworzyli *althing*, zgromadzenie wolnych mieszkańców. Jest to najstarszy system parlamentarny na świecie, istniejący zresztą do dziś.

Choć Catan to nie Islandia, można jednak znaleźć między nimi wiele podobieństw. Catan również jest na początku niezamieszkanym i w toku gry zostaje

zagospodarowany. Pozyskuje się tutaj drewno, zbiera plony, wydobywa rudy, hoduje owce, wykorzystuje glinę i wyrabia cegły. Używa się surowców do budowy osad i dróg, powstają miasta, a ożywiony handel między graczami pomaga przezwycięzać trudności. Mimo że pod koniec gry tylko jeden gracz zostaje zwycięzcą, rzecz polega raczej na tworzeniu wspólnoty niż na wywoływaniu konfliktu. Buduje się, a nie niszczy, gdyż mieszkańcy Catanu są ludźmi kochającymi pokój.

Gra *Osadnicy z Catanu* została wydana w 1995 roku i od razu odniosła sukces. W ciągu trzech pierwszych lat od pojawienia się gry na rynku sprzedano ponad milion jej egzemplarzy. Do dziś blisko trzy miliony zestawów rozeszło się w samych Niemczech, a ku mojej wielkiej radości gorączka Catanu objęła w tym czasie dwadzieścia krajów, w tym Stany Zjednoczone, Rosję i Japonię.

W 1998 roku po raz pierwszy pomyślałem, jak ekscytująca byłaby możliwość przeżywania dziejów osadnictwa Catanu w powieści. Była to jednak tylko luźna myśl, nie miałem, bowiem talentu do napisania dobrej powieści, nie znałem też nikogo, kogo mógłbym o to poprosić. Czułem ponadto, że nie nadszedł jeszcze odpowiedni czas dla takiej książki.

Ponieważ lubię czytać powieści historyczne, było niemal pewne, że dwa lata później trafi do moich rąk książka *Das Lacheln der Fortuna*, której autorką była Rebecca Gablé.

Przeczytanie książki zajęło mi zaledwie weekend, tak byłem oczarowany tą powieścią osadzoną w czasach średniowiecza. Postaci, w które Rebecca Gablé po mistrzowsku tchnęła życie, były mi bliskie. Autorka uczyniła wiarygodnymi bohaterów, którzy nie byli jednostronnie dobrzy, ale mieli także swoje słabości.

Byłem pod wrażeniem tego, jak zajmująco, prawdziwie i rzetelnie pod względem historycznym zostały przez autorkę *Das Lacheln der Fortuna* przedstawione stuletnie wojny w Anglii. I wtedy - po przeczytaniu większej części książki - uświadomiłem sobie nagle, że albo Rebecca Gablé napisze historię osadnictwa na Catanie, albo ta historia nigdy nie zostanie opisana!

Chociaż od dwóch lat nie myślałem w ogóle na temat powieści o Catanie, teraz opętało mnie pragnienie, aby to Rebecca Gablé została jej autorką.

Podczas pobytu w 2000 roku na Targach Książki we Frankfurcie udało mi się

spotkać z pisarką. Właściwie nie miałem wiele nadziei. Ostatecznie Rebecca Gablé była już wtedy autorką bestsellerów i z pewnością nie musiała wiązać swojego nazwiska z sukcesem mojej gry. Jednak, ku mojej wielkiej radości, projekt ją zainteresował.

Szybko rozwinął się między nami stały kontakt e-mailowy i w końcu umówiliśmy się wiosną 2001 roku w Kolonii. Naszkicowałem już z grubsza akcję powieści - tak, jak ją sobie wyobrażałem - a Rebecca Gablé również przemyślała całą sprawę. Kiedy zaczęliśmy omawiać pomysły dotyczące powieści, byliśmy bardzo zaskoczeni. Nasze wyobrażenia w dużym stopniu się pokrywały.

Kości zostały rzucone - Rebecca Gablé była gotowa przelać na papier historię osadnictwa na Catanie.

Nastąpiły miesiące zgodnej i konstruktywnej współpracy. Mimo że przypadła mi jedynie rola krytyka, choć tak naprawdę nie trzeba było dużo krytykować, stało się to jednak bardzo ekscytującym przeżyciem - móc brać czynny udział w powstawaniu powieści.

Za tamten czas oraz za cudowną powieść, którą Ty, drogi Czytelniku, trzymasz teraz w dłoniach, dziękuję pani Gable z całego serca.

*Fragmenty Pisma Świętego  
na podstawie Biblii Tysiąclecia (wydanie V Poznań 2002)*

*część pierwsza*

# *Elasund*

## JESIENNY KSIĘŻYC

- Och, na wszystkich bogów jakże jest zimno! - wydyszał Candamir, kiedy skok do czarnej jak smoła topieli zaparł mu dech w piersi. - Dlaczego nie zrobiliśmy tego przed zniwami? Teraz tylko głupcy pływają!

Osmund powoli rozgarniał ramionami wodę, aby utrzymać się na powierzchni.

- Przestań biadolić! Jeszcze ściągniesz dziewięcioramienną ośmiornicę tymi swoimi krzykami.

- Pewnie tak. Albo dwunastogłowego węża morskiego. Uch!

Obaj się roześmiali. Już jako chłopcy pływali na wyścigi przy każdej pierwszej jesiennej pełni księżyca, chociaż wtedy nie chodziło właściwie o to, kto pierwszy przepłynie fiord, ale o to, kto drugiemu zdoła napędzić większego stracha przed prawdziwymi lub wymyślonymi morskimi potworami.

- Gotowy? - zapytał Osmund.

Jego mokra blond czupryna błyszczała na ciemnej tafli jak błędny ogień.

- Już od dawna - odparł Candamir buńczucznie.

- To ruszajmy!

Równocześnie odepchnęli się od skały i rozgarniali wodę silnymi ruchami, a niewielkie grzebyki piany połyskiwały pośród księżycowej nocy. Sunęli szybko i niemal bezszelestnie jak dwie wielkie foki, początkowo ramię w ramię. Z ich prawej strony w białej poświacie wznosiła się skała, która ciągnęła się daleko w głąb fiordu i służyła jako falochron dla leżącego za nią portu w Elasundzie. Gdy dotarli do końca cypla, pokonali już ponad połowę trasy wyścigu.

Osmund bardziej czuł, niż widział, że uzyskał niewielką przewagę. Nie odczuwał już lodowatego zimna morza. Woda była mu przyjaciółką, dawała szybkość i wytrzymałość. Oddychał głęboko i miarowo. Pomyślał, że mógłby tak płynąć bez końca - nie kilkaset metrów, które mierzył fiord, ale ku odległym wyspowym królestwom założonym przez jego lud.

Nagle ktoś kurczowo chwycił go za ramię i zaburzył rytm.

- Osmundzie!

W głosie Candamira usłyszał przerażenie i natychmiast się zatrzymał. W tak lodowatej wodzie nawet najlepszego pływaka mógł złapać skurcz, konieczna, więc była szybka pomoc.

Ale Candamirowi najwidoczniej nie groziło utonięcie.

Jego twarz zbieleła, zbladły nawet usta, co można było przypisać albo księżycowej poświacie, albo zimnu, on zaś wpatrywał się w brzeg po drugiej stronie.

Pełen złych przeczuć Osmund odwrócił głowę i spojrzał w tym samym kierunku - na koniec fiordu, gdzie stały zabudowania Elasundu. Jednym rzutem oka dostrzegł dwie rzeczy: w osadzie wybuchł pożar, a w zatoce znajdowały się cztery obce okręty

„O, Ojcie Bogów, bądź przy nas! - pomyślał bojaźliwie. - Tylko nie to... „,

- Do łodzi! - wykrztusił tak samo bez tchu, jak Candamir. - Chodź szybko!

Po południu tego dnia niewolnik w małej łódce powiosłował ku wąskiej plaży w kształcie sierpa na przeciwległym brzegu, który miał być metą ścigających się pływaków, dzięki czemu po swoich wyczynach mogli wygodnie wrócić do domu. Teraz obaj przyjaciele także już tam dotarli. Bryzgała woda i żwir wystrzeliwał im spod stóp, kiedy biegli do łódki, zapobiegliwie wyciągniętej na brzeg. Mokre odzienie kleiło im się do ciała, a nocny wiatr był boleśnie zimny, lecz prawie wcale go nie czuli. Pospiesznie zepchnęli łódkę na wodę, co chwila spoglądając ku osadzie. Płomienie objęły już drugi budynek.

- Stodoła stryja Sigismunda - mruknął Candamir, siadając w łodzi i chwytając wiosło.

- Pospiesz się, więc! - błagał Osmund, któremu się zdawało, że z trwogi o żonę i syna pęknie mu serce.

Równocześnie zanurzyli wiosła i odepchnęli się od brzegu. Niebawem łódka pruća jak strzała spokojne wody, czarne jak noc. Gdy znaleźli się już blisko osady, usłyszeli odgłosy walki i krzyki. Rozpoznali też obce okręty.

- Znowu ci przekłęci Turończycy - powiedział ochryple Candamir.



Osmund tylko bez słowa skinął głową.

Mimo mokrych ubrań poczuli, że zaczynają się pocić.

Zamilkli, skupili się na rytmie wiosłowania i tylko rozglądali się wokoło. Osada szybko się przybliżyła i niebawem w jasnym świetle księżyca zobaczyli port zamieniony w teren walk. Zarówno Candamir, jak i Osmund doskonale pamiętali, że własną broń zostawili przed wyścigiem na brzegu.

Na płyciźnie wyskoczyli z łódki, dobrnęli do brzegu i z gołymi rękami rzucili się na dwóch pierwszych Turończyków, których napotkali. Najeźdźcy byli wojownikami nieustraszonymi i doświadczonymi, ale Candamir wyrwał swojemu przeciwnikowi zza pasa sztylet i - zanim tamten w ogóle się spostrzegł - przebił mu gardło. Umierający głośno coś wycharczał, upadł na kolana, a Candamir wyrwał z jego omdlewającej dłoni miecz. Kątem oka dostrzegł, że Osmund zdążył się już uzbroić w potężny kamień. Uderzył nim w głowę jakiegoś Turończyka bez szyszaka, po czym także zabrał mu broń. Gdy następni wrogowie rzucili się na nich z wrzaskiem, przyjaciele stali już plecami do siebie. Jakiś zwalisty osiłek z zaplecioną brodą szedł prosto na Candamira, wznosząc ramię uzbrojone w krótki miecz gotowy do ciosu. Candamir przeniósł akurat ciężar na niewłaściwą nogę i nie był w stanie dostatecznie szybko uskoczyć. Nie mając czasu na zastanawianie się, błyskawicznie rzucił sztyletem, który wciąż ścisnął w lewej dłoni. Matowe ostrze świsnęło warkotliwie w powietrzu i przebiło skórzany kirys napastnika.

Gdy Turończyk padał na ziemię, Candamir na krótką chwilę spojrzał na przystań i zobaczył, że jeden z wrogich okrętów już odcumowuje. Z rozpaczą pomyślał, że przybyli za późno. Właściwie wiedział o tym już wtedy, gdy zobaczył pierwszy ogień. Nie pozwolił sobie jednak na dalsze rozmyślenia o tym, kto lub, co mogło się znajdować na pokładzie odpływającego okrętu. Postanowił też nie myśleć o krzyczących mężczyznach i kobietach, a to, dlatego, że wiele tych głosów rozpoznawał. Przymrużył oczy i raz jeszcze zakręcił w powietrzu młynka zdobycznym mieczem.

Nie sposób było się przebić przez mrowie ludzi na przybrzeżnej łące. Zaślepiony wściekłością wbijał miecz w każdego, kto stanął mu na drodze, zepchnięto go jednak na lewą stronę, tam, gdzie tłok był największy.

W migotliwym świetle płonącej stodoły rozpoznał kowala Haralda, który z mieczem w lewej dłoni i młotem w prawej odpierał atak dwóch Turończyków na raz.

Zanim Candamir zdążył rzucić się na pomoc, w polu widzenia mignął mu Osmund, który powalił napastnika po lewej stronie. Kowal zmusił drugiego do ucieczki i podniósł pięść z młotem w krótkim geście podziękowania.

- Zaryglowali w stodole dwa tuziny mężczyzn i chłopców! - ryknął, przekrzykując hałas pożaru. - Zadaje się, że jest tam też twój brat, Candamirze!

Wstrząśnięty Candamir spojrzął na kryty słomą dach drewnianej stodoly. Po suchym końcu lata ogień błyskawicznie pochłaniał dach i ściany z desek.

- O, potężny Tyrze, bądź przy nas! - błagał cicho.

Kiedy nagle w jego polu widzenia znalazł się wysoki jak sosna Turończyk z ogromnym toporem, niemal w ostatniej chwili uniósł miecz.

Osmund zmagał się sam ze sobą. Nie uszło jego uwadze, że najeźdźcy na swoje okręty zawlekli głównie niewiasty i dziewczęta. Po prostu musiał zajrzeć do domu. Słyszał jednak rozpaczliwe krzyki ludzi zamkniętych w płonącej stodole, słyszał łomot ich pięści w zaryglowane wrota. Zwlekał jeszcze chwilę, po czym zrobił duży krok przed siebie i uderzył mieczem Turończyka, który właśnie zamierzał się od tyłu na jego kuzyna Jareda.

Tłum przed stodołą był tak gęsty, że trzeba było bardzo uważać, żeby, machając mieczem, nie trafić swojego. Candamir, Osmund, Harald oraz ich sąsiedzi walczyli ramię w ramię, posuwając się w stronę wrót budynku, które pod naporem pięści ludzi zamkniętych wewnątrz drżały wprawdzie, ale nie ustępowały nawet na centymetr.

Kiedy Harald jednemu z wrogich dowódców potężnym cięciem oddzielił od tułowia głowę wraz hełmem, pozostali Turończycy wycofali się z placu przed stodołą i pobiegli mordować, rabować i podpalać gdzie indziej - tam, gdzie opór nie był tak silny. Osmund i Candamir pochwycili za końce ciężkiej belki blokującej wrota stodoly, a Candamir zawołał przez ramię do pozostałych mężczyzn:

- Zaraz będzie po sprawie!

Harald wraz z resztą mieszkańców Elasundu pospieszył na nadbrzeżną łąkę, gdzie - jak się zdawało - obrona posuwała się teraz w sposób bardziej zdecydowany i uporządkowany, gdyż prowadzili ją mężny Eilhard oraz Olaf, stryj Osmunda.

Osmund i Candamir szarpnęli za oba skrzydła wrót stodoly. Z wnętrza wydobyły się kłęby gęstego dymu oraz krztuszące się, skrzywione postaci.

- Hacon? - Candamir klepnął w ramię jakiegoś podrostka, przyglądając się jego osmalonemu licu. Nie była to jednak twarz brata.

Wziął głęboki oddech, wstrzymał go i przekroczył próg stodoły. Osmund, jak cień, był u jego boku.

Płonące ściany stodoły powinny oświetlać wnętrze, ale dym był jak czarna mgła. Z góry padał deszcz iskier i płonącej słomy. Nagle z mroku wytoczyła się na nich krzycząca, żywa pochodnia. Osmund wypchnął płonącego człowieka na zewnątrz, zdarł z siebie wciąż mokre odzienie i rzucił na nieszczęśnika.

Candamir dalej po omacku badał zadymiony mrok. Żar wypalił mu brwi, bolały go płuca. Potrzebował powietrza.

Prawie już ogarnięty paniką o coś się potknął, schylił się, więc i wymacał bezwładną postać. Podniósł ją i rozpoznał twarz młodego Wilanda. Za plecami usłyszał głuchy trzask, a odwróciwszy się, zobaczył na ziemi płonącą belkę z dachu oraz drugą, spadającą bardzo powoli, jak ogromna pochodnia wrzucona do ciemnego szybu.

Nagle znowu pojawił się Osmund, szarpnął Candamira za rękaw i pociągnął niemal bezwładne ciało przyjaciela w kierunku wrót.

- Trzeba wyjść. Dach zaraz runie.

- Hacon... - wykrztusił Candamir, tłumiąc szloch.

Osmund potrząsnął głową. Trzymając ramię Candamira w żelaznym uścisku, bez słowa wyciągnął przyjaciela i nieprzytomnego chłopca na zewnątrz. Nie odeszli nawet na dziesięć kroków od stodoły, gdy więźba dachu pękła z hałasem i runęła pośród deszczu iskier. Candamir położył bezwładnego chłopca na trawie. Kiedy się podniósł, zauważył to, co pozostało z żywej pochodni - makabryczną, poczerniałą postać ludzką, która leżała w niepokojącym bezruchu.

- Kto... to był? - zapytał.

- Twój stryj Sigismund - odrzekł ostrożnie Osmund.

- Chodź, Candamirze! Jeśli twój brat rzeczywiście był w tej stodole, to nic już dla niego nie możemy zrobić. A bitwa jeszcze się nie skończyła.

Niedługo później rozległ się jednak przenikliwy sygnał rogu i Turończycy odwrócili się plecami do masakry na przybrzeżnej łące, jakby nagle znikła cała ich żądza krwi. Wycofali się do swoich pozostałych trzech okrętów.

Mieszkańcy osady pospieszyli za nimi i w płytkiej wodzie wciągnęli ich w zacięty bój, aby dotrzeć do okrętów najeźdźców i odbić łupy. Na próżno jednak. Turończycy, którzy byli już na pokładzie, osłaniali odwrót gradem strzał. Zabójcze pociski nadlatywały w ciemności ze złowieszczym warkotem, zanim, więc były widoczne, już się je słyszało, a kilku obrońców Elasundu poczuło je, zanim zdążyli się uchylić. Jakiś mężczyzna ugodzony strzałą upadł w wodę tuż przed Candamirem, który złapał go pod pachami i wyciągnął na ląd.

Bez przeszkód, ale bardzo szybko trzy pirackie okręty wycofały się, a ich wilgotne żagle połyskiwały w świetle księżyca, jakby były zrobione ze szkła.

Na brzegu nastąpiła niesamowita cisza. Tu i ówdzie dąży się słyszeć pojękiwania i płacz, ale hałasy ucichły

Candamir odwrócił się od fiordu.

- Czy ktoś widział mojego brata?

Wszyscy bez słowa pokręcili głowami, nikt nie chciał mu spojrzeć w oczy. Candamir wpatrywał się w zgłiszcząca stodoły. Była jedną z największych w osadzie. Osmund i on bawili się w niej, gdy byli dziećmi. Popisywali się przed sobą swoją odwagą, zeskakując ze strychu na sterty słomy, które z każdym udanym skokiem stawały się coraz mniejsze i niższe, aż w końcu dobra słoma leżała rozrzuciona po całej stodole.

Wywoływało to zawsze gniew stryja, który nie szczędził im razów. Mimo to wciąż się tam zakradali. Candamir zastanawiał się, czy jego brat z przyjaciółmi także wykorzystywali strych stodoły Sigismunda do takich prób odwagi. Dziwne, że tego nie wiedział, że nigdy o to Hacona nie spytał.

Nagle, między jednym i drugim uderzeniem serca, ugięły się pod nim kolana. Zanim jednak zdążyła go ogarnąć rozpacz, usłyszał gdzieś z wysoka, z powietrza, wyraźny głos:

„Tu jestem.”

Mężczyźni ze zdumieniem spojrzeli w górę ku koronie ogromnego jesionu rosnącego na łące. Zaszeleściły suche liście, a wśród nich ukazały się dwie niezdarne, chude nogi, aż wreszcie Hacon pewnie i sprężysto wylądował na obu stopach, po czym

ze spuszczoną głową podszedł do brata.

- Jakiś rudobrody olbrzym mnie tu zagnał - wyjaśnił zmieszany. Niedawno obchodził swoje piętnaste urodziny, wstyd mu było jednak, że uciekł, zamiast walczyć. Przycisnął policzek do pnia drzewa. - Zanim ten olbrzym zdążył się po mnie wspiąć, Eilhard go ubił.

Candamir głośno odetchnął. Przez boleśnie długą chwilę wydawało mu się, że nie ustoi na własnych nogach. Położył bratu rękę na kościstym ramieniu, dyskretnie się na nim wsparł i bacznie przyjrzał się jego twarzy. Hacon miał na czole okropną szramę, ale poza tym wydawał się nietknięty.

- Dziękuję, Eilhardzie - mruknął Candamir.

Stary człowiek z powagą kiwnął głową.

- Bystry chłopak, ten twój brat - zauważył głębokim, dźwięcznym głosem. - Inni chłopcy, ci mniej przytomni, spłonęli w stodole Sigismunda. Jeszcze nie widziałem, żeby Turończycy coś takiego zrobili - dodał ze zdziwieniem.

- Tchórzliwa hołota - rzucił niemal bezgłośnie Hacon i wskazał na zabitego, którego twarz częściowo znajdowała się pod wodą, a częściowo na brzegu. - Bert Sigismundsson. Jakiś Turończyk ugodził go w plecy widziałem wyraźnie.

Wzrok Hacona powędrował niespokojnie od nieruchomego ciała ku odpływającym wrogom, po czym zatrzymał się znów na twarzy brata.

- Bert był rok młodszy ode mnie, Candamirze - powiedział pełnym pretensji tonem.

- Tak, wiem. Przykro mi - odparł bezradnie Candamir.

Zwracał się do brata, ale myślał o wszystkich sąsiadach.

- Przykro mi, że nas tu nie było.

Kowal Harald wskazał na jego prawe ramię.

- Dlatego, że cię nie było, tak pięknie cię urządzili.

Candamir położył lewą dłoń na ramieniu i wymacał lepłą wilgoć własnej krwi. Prawie nie czuł rany, ale teraz przypomniał sobie zdarzenie przed stodołą. Dostrzegł wtedy klingę spadającą na niego ukośnie z góry i już był przekonany, że straci ramię. Tak właśnie by się stało, gdyby nie pojawił się nagle Osmund i nie powalił Turończyka na ziemię. Candamir rozejrzał się za przyjacielem i w pewnym oddaleniu dostrzegł wysoką

postać o blond włosach, której nie sposób było z nikim pomylić. Osmund zmierzał do domu, a jakiś głos wewnętrzny mówił Candamirowi, żeby podążać za nim.

Puścił Hacona.

- Czy mój Sakson żyje? - zapytał.

Wiele otaczających go osób przytaknęło.

- Niech się zajmie rannymi. Zna się na tym, słuchajcie go - poradził pospiesznie.

Już prawie odchodził, gdy wielki siwobrody Siward chwycił go za zakrwawione ramię.

- Candamirze, nie możemy tutaj tak po prostu stać i patrzeć, jak odpływają. Musimy ich ścigać!

Młodszy mężczyzna powoli pokręcił głową.

- To beznadziejne, Siwardzie.

- Ale oni zabrali moją żonę! - Siward błagalnie ścisnął ramię Candamira. - Ona jest kuzynką twojej matki, musisz mi pomóc! Masz przecież statek!

Jego kciuk wbijał się w ranę Candamira i ten odruchowo się wyrwał. Nie wiedział, co powiedzieć. Było mu przykro, że Siward poniósł taką stratę, ale pogoń za piratami nie miała najmniejszego sensu. Turończycy używali długich, doskonałych okrętów bojowych wyposażonych w dwadzieścia par wiosel. Przy słabym nocnym wietrze nie sposób było ich dogonić handlowym żaglowcem, który miał Candamir. Nawet gdyby z powodu jakiegoś kaprysu pogody udało się ich dopaść, to i tak byłoby to samobójstwo...

Niespodziewanie z pomocą nadszedł Olaf, stryj Osmunda.

- Potrzeba nam, co najmniej godziny, aby przygotować statek - orzekł swoim szorstkim, basowym głosem. - Candamir ma rację, to byłoby bezcelowe.

Olaf był najbardziej doświadczonym żeglarzem i najbogatszym mieszkańcem osady Jego słowo miało swoją wagę. Siward opuścił głowę i zgodził się.

Candamir przed odejściem położył mu jeszcze na chwilę współczująco dłoń na ramieniu.

Osmunda dogonił dopiero przy drzwiach jego domu klanowego. Stała tam

wysuszona, siwowłosa kobieta ze skrzyżowanymi rękami i odmawiała mężczyznom dostępu do domu.

- Przepuść mnie - cicho zażądał Osmund dziwnie matowym głosem.

Stara pokręciła głową.

- Gisla nie żyje, Osmundzie, i nawet ty już tego nie zmienisz.

- Chcę ją zobaczyć!

- Nie. Nie chcesz, wierz mi.

- Bądź przeklęta, Brygido, ona jest moją żoną!

- Była. Była także moją wnuczką i powiadam ci, że w tym stanie jej nie zobaczysz. Ona nigdy by tego nie chciała.

Osmund zacisnął pięści.

- Odsuń się od drzwi, ty czarownico...

Candamir podszedł, uważając, żeby nie zbliżać się za bardzo do przyjaciela, i ostrożnie ujął Brygidę za łokieć.

- Puść go, on wie, co robi - powiedział. - I ma do tego prawo.

Stara obrzuciła przybyszów złym spojrzeniem, przez chwilę się wahała, po czym ustąpiła im z drogi.

Osmund ze spuszczoną głową minął ją i jak burza wpadł do przedsionka. Nie upłynęło wiele czasu, gdy dał się słyszeć jego rozpaczliwy krzyk protestu. Candamir na chwilę zacisnął powieki. Stara zaśmiała się żałośnie.

- Powiadasz, zatem, że on wie, co robi, tak?

Candamir odruchowo zrobił pół kroku do tyłu. Jak niemal każdy w osadzie trochę się bał starej Brygidy.

- Co... Co się stało?

- Było ich trzech - zaczęła z pozoru beznamiętnie. - Jednego zatłukłam, ale pozostali zaciągnęli ją do izby, zaryglowali drzwi i potem...

- Co z małym Rorykiem? - gwałtownie wpadł jej w słowo Candamir.

- Wszystko przespał. Nie znaleźli go. Ukryłam go w gnoju. Jedyńm miejscu, którego te nienażarte świnie nie przetrząsnęły

Candamir skinął głową. Wydawało się, że jakiś bóg trzymał jednak tej nocy nad domem Osmunda obronną dłoń, chociaż zbyt wielkiego wysiłku w to nie włożył. Z

pewnością Osmund odnajdzie pociechę w swoim synu. Kiedyś.

- Idź szybko do portu i pomóż ludziom - poprosił Brygidę.

Stara chciała być uważana za groźną i mieć u swojego boku demony i duchy lasu, ale potrafiła leczyć nie gorzej niż Sakson.

- Pewnie - zakpiła. - Zostawię na łaskę losu bohaterów z Elasundu, którzy bez strachu przepłynęli fiord i przeoczyli przy tym cztery wrogie okręty, które w jasnym świetle księżyca pod ich nosem wpływały do portu...

Candamir nie zareagował. Wiedział, że nie ma sensu się tłumaczyć. Jedyne ten, kto sam doświadczył, co to znaczy nocą płynąć przez fiord, może wiedzieć, że nawet przy najjaśniejszym księżycu widać nie dalej niż na dziesięć łokci. Że płynący jest zbyt zajęty walką z zimnem, utrzymaniem kierunku i pokonywaniem paniki spowodowanej bezkresem czerni pod sobą, aby zauważyć cokolwiek poza tym.

- Gdzie jest teraz twój prawnuk? - zapytał.

Pokazała brodą na dom klanu.

- Położyłam go przy zmarłej matce, ale do jutra muszę mu znaleźć jakąś mamkę.

Candamir zrobił gest zachęty

- W takim razie nie pozwól, żeby ci w tym przeszkadzano...

Odwróciła się ze znaczącym prychnięciem, mocniej zawiązała szal i odeszła w kierunku portu.

Candamir zajął jej miejsce na straży u drzwi domu Osmunda, aby nikt nie zakłócał jego żałoby. W tej chwili wydało mu się to rzeczą najważniejszą.

- Panie, panie, obudź się!

Candamir oprzytomniał i chwycił dłoń, która potrząsała jego ramieniem. Stwierdziwszy, że to tylko Sakson, puścił ją i przetarł oczy. Ramię, które podniósł, aby to zrobić, było muskularne, a skóra była gładka i jasna. Brudna opaska zakrywała ranę. Tylko trochę krwi się przesączyło, ale już dawno skrzepla.

- Co to za hałasy? - zapytał Candamir opryskliwie.

- Panie, jeden z Turończyków jeszcze żyje. Oni... Oni chcą mu oczy wyłupić i obciąć mu... Sam wiesz, panie, co, i rzucić rybom na pożarcie!



- No i? Cóż innego mielibyśmy z nim zrobić? - ziewnął Candamir i palcami przecesał czarne włosy Opadały mu gładko na ramiona, a okalające twarz kosmyki, podobnie jak większość mężczyzn jego ludu, nosił splecione w cienkie warkoczyki.

Sakson dziko gestykulował.

- Ludziom nie wolno tak się wzajemnie traktować - wyjaśnił.

- Bogowie, ten znowu zaczyna...

Sakson był zabawną postacią. Pochodził z Brytanii, jak opowiadał, i nawet miał swoje imię, które było jednak tak trudne do wymówienia, że mieszkańcy Elasundu dla ułatwienia nazwali go Saksonem. Kiedy przybył do nich przed dwoma laty, wyglądał jeszcze dziwniej niż teraz, gdyż w swojej blond czuprynie miał wygolony okrągły placek. W sakiewce nie nosił ani chleba, ani złota, tylko żelazny krzyżyk oraz pewien osobliwy przedmiot składający się z dwóch deseczek, między którymi znajdowały się cienkie płatki wyprawionej skóry zwierzęcej, całe zagryzmolone dziwnymi, malutkimi runami. Nazywał tę rzecz „księgą” i utrzymywał, że tak samo jak krzyżyk pochodzi od jego Boga, potężniejszego od wszystkich innych bogów. Mieszkańcy osady chcieli oczywiście dla własnego bezpieczeństwa zabić Saksona, a dary jego Boga spalić, ale Osmund się temu sprzeciwił. Ponieważ jednak Gisla nie chciała gościć w domu wygolonego obcego, Candamir wziął go na jakiś czas do siebie jako niewolnika i nigdy tego nie pożałował. Sakson wszystko chwycił w lot, znał się na leczeniu różnych złamań i innych chorób, miał też dobrą rękę do zwierząt domowych. Tak czy inaczej, był jednak dziwadłem.

Candamir usiadł i dopiero teraz niewolnik zauważył dziewczkę, która leżała obok jego pana i błogo drzemała. Aby okryć jej ładne małe piersi, Candamir niedbale naciągnął skórzaną derkę. Widok nagiej kobiety robił na Saksonie niezbyt dobre wrażenie, jak stwierdził. Sakson utrzymywał, że obecnie w Brytanii jest wielu mężczyzn z wygolonymi głowami, którzy swojemu Bogu pobudowali domy i zamieszkują w nich wraz z nim. Bez kobiet. Widocznie łysogłowy i jego bóg nie potrzebowali niewiast.

- To wróg i zabijał mieszkańców Elasundu - wyjaśnił cierpliwie Candamir. - Musimy się zemścić. To nasz obowiązek. W przeciwnym razie jego duchy opiekuńcze oraz jego bogowie wpadną w złość i będą nas ścigać. I słusznie.

Sprawa stała się jasna nawet dla Saksona. Mimo to zaczął głośno się zastanawiać:

- Jeśli oni go oszczędzą, to może opowie nam, dlaczego Turończycy w ogóle się tu pojawili. I kiedy znowu przybędą.

Candamir sięgnął po spodnie, wciągnął je na siebie i wsunął stopy w sięgające do kostek buty z foczej skóry

- To niegłupia myśl - przyznał, obwiązując na krzyż rzemieniem nogę w kostce. - Ale on nam to powie i tak. Wierz mi, on powie nam wszystko, co tylko zechcemy usłyszeć.

Świtało, gdy Candamir, zjadłszy naprędce miskę rybnego rosółu, wychodził z domu klanowego. Opuszczając nocną wartę przed domem Osmunda, widział spustoszenia, jakich dokonali Turończycy, i choć oglądał je już wcześniej, dopiero teraz, w porannej szarówce, dotarł do niego ogrom zniszczeń - większość zwierząt skradziona, z obory i spichlerza zostały tylko poczerńiałe zgliszcza. Służba zdążyła się ukryć, gdyż jej dom leży dalej od brzegu niż pozostałe, ale Candamir zaczął się zastanawiać, jak on i cała reszta mają przetrwać zimę.

Osada Elasund składała się z dwóch tuzinów gospodarstw, każdy z domem klanowym i mnóstwem obór, stodół oraz innych zabudowań. Domy stały blisko siebie i tworzyły mniej więcej krąg, aby w razie podobnej do wczorajszej napaści można się było wspólnie bronić. Ziemia zajmowana przez osadę była starannie podzielona i służyła głównie jako pastwiska dla owiec i bydła. Jedyne nieliczni hodowali jęczmień, żyto czy nawet pszenicę. Klimat był tu zbyt ostry, zimy za długie, a zboże rosło marnie. Mieszkańcy Elasundu kupowali ziarno w portach położonych bardziej na południe.

Candamir w towarzystwie swojego brata i Saksona udał się na przybrzeżną łąkę, gdzie zazwyczaj gromadzili się mieszkańcy Elasundu, gdy mieli omówić kwestie dotyczące całej społeczności. Idąc lekką stromizną, mijali splądrowane spichlerze ziejące pokrzywionymi wrotami, zaszlachtowane bydło i stratowany drób leżący w błocie.

- Ilu nie żyje? - zapytał Candamir Saksona.

- Wasz stryj Sigismund, jego syn Bert i trzech jego parobków... - zaczął przygnębiony niewolnik. - Turgot Turgotsson, jego żona i jeden parobek...

Nastąpiła długa, smutna litania: niemal tuzin wolnych mieszkańców Elasundu obu

płci leżało bez życia za swoimi domami, a do tego jeszcze drugie tyle niewolników. Siedemnaście niewiast i dziewcząt porwano.

- Tym sposobem osada straciła niemal jedną dziesiątą wolnych mieszkańców - zakończył Sakson.

- Że niby jak? - warknął Candamir.

- Na dziesięcioro mężczyzn i kobiet jedno nie żyje lub zostało porwane w niewolę - objaśnił mnich.

- Na młot Thora... To okropne - mruknął młody Hacon wstrząśnięty.

Candamir przyznał mu rację.

Poranek był zimny i ponury Ostry wiatr od morza gnał deszczowe chmury, ale było jeszcze sucho. Niedaleko pogorzelniska rozpalono ognisko, wokół którego zgromadzili się drżący z zimna mieszkańcy Elasundu. Ich oddechy były widoczne w powietrzu w postaci białych kłębow pary.

Był tam także Osmund - stał nieco z boku, cichy i blady, trzymał w ramionach śpiącego synka i wpatrywał się w morze.

Dwóch młodzieńców mocno trzymało za ramiona schwytanego Turończyka: mężczyznę szczupłego, wręcz chudego, około dwudziestki, z rudawą czupryną i taką też brodą. Ręce związane mu na plecach. Stał między dwoma strażnikami na szeroko rozstawionych nogach, a jednak chwiejnie.

Krew ciekła mu po czole i oczach. Był ranny Starł się zachować obojętny wyraz twarzy, ale jego wzrok uparcie kierował się na leżący w ogniu pogrzebacz, którego koniec już się żarzył na czerwono.

- Nie ma się, na co gapić - warknął nienawistnie Siward, którego żona należała do porwanych. - Ten pogrzebacz i tak będzie ostatnią rzeczą, jaką zobaczysz w swoim żalonym życiu.

Kilka osób się zaśmiało, ale bez cienia radości. Śmiech brzmiał surowo i złowrogo.

- Panie... - zaczął błagalnie Sakson, ale pod wpływem mrocznego spojrzenia Candamira zmiłkł.

Urodzony jako syn anglosaskiego szlachcica, mnich - który niegdyś nazywał się Byrhtferth - z trudem znosił niewolniczy stan. Opuścił swoją ojczystą Brytanię, żeby nawracać tych biednych pogan, wiedząc, że robi to być może także za cenę życia. Nie liczył się jednak z utratą wolności i pozycji. Z czasem doszedł do wniosku, że Bóg zesłał mu to wszystko jako próbę. Dzięki temu łatwiej mu było z pokorą znosić los służącego. Czuł, że Bóg dopiero wtedy go wyzwoli, gdy uda mu się zaszczepić w tych dzikusach prawdziwą wiarę, miłosierdzie i miłość bliźniego, w takich jednak chwilach, jak ta, zadanie to wydawało mu się beznadziejne.

- Zróbmy wreszcie porządek z tym Turończykiem - zażądała stara Brygida. - Zimno mi, a muszę jeszcze zająć się rannymi.

„Skoro ci zimno, to idź do piekła, gdzie twoje miejsce” - pomyślał Candamir ze złością, zapewne nie jako jedyny Kobiety na takich zgromadzeniach, nazywanych *thing*, nie miały właściwie, czego szukać. Ale nikt oczywiście nie ośmielił się przypomnieć o tym Brygidzie.

- Poczekajmy jeszcze chwilę - zabrał głos Olaf i ostrożnie wystąpił kilka kroków naprzód. Miał na sobie granatową, długą do kolan szatę z najlepszej wełny. Z tego samego materiału uszyto jego szare spodnie, buty zaś wykonano ze szlachetnej skóry wołowej; przypominały obuwie wyrabiane przez szewców w kraju Franków. Olaf był wielki i szeroki w barach, jak wielu mężczyzn z jego ludu. Kilka siwych włosów pobłyskiwało w jego jasnej czuprynie sięgającej ramion, a zadbana krótka broda była akurat taka, żeby sprawiał wrażenie człowieka mądrego i doświadczonego, ale nie starego.

- Chciałbym najpierw o kilka rzeczy zapytać. - Tu skierował spojrzenie swoich ostrych, bładniebieskich oczu na pojmanego. - Dlaczego porwaliście jedynie kobiety?

Turończyk wzruszył ramionami i spojrzał mu prosto w oczy.

- Bo nasze też porwano. Potrzeba nam kobiet. - Jego dialekt był śpiewny i niemal niezrozumiały Turonia leżała znacznie dalej na południe niż Elasund.

- Kto porwał? - chciał wiedzieć Olaf.

- Kuwanie - odpowiedział krótko jeniec.

Przez zgromadzenie przeszedł szmer, jak bryza w koronach drzew w borze. Kuwanie byli dzikim, wojowniczym ludem z kraju leżącego po drugiej stronie

wschodniego morza.

- Dlaczego nie chcieliście niewolników? - zapytał Candamir. Poczł na sobie złe spojrzenie Olafa, sam też zresztą wiedział, że tak po prostu przejąć przesłuchanie było czymś obraźliwym. Panowanie nad sobą nie należało jednak do jego mocnych stron, a od czasu, gdy jego ojciec przed dwoma laty nie powrócił jesienią z wyprawy handlowej i Candamir stał się głową rodziny, z coraz większą trudnością przychodziło mu okazywanie starszym należnego szacunku.

Jeniec milczał, jakby odpowiedź na to pytanie była poniżej jego godności.

To rozzłościło Candamira. Dał znak strażnikom.

- Wyłupcie mu jedno oko. Zobaczmy, czy to uczyni go bardziej rozmownym.

- Nie pojмали mężczyzn, bo sami tak wielu stracili, że boją się buntu niewolników  
- wyjaśnił Sakson ochryplym głosem.

Candamir zerknął na niego przez ramię.

- Twoje życie wisi na włosku, wiesz o tym, prawda?

Sakson uśmiechnął się łagodnie. Jego pan spojrzał znowu na Turończyka.

- Jest tak, jak mówi?

Jeniec niechętnie skinął głową.

- Tak po prostu wymyśliliście sobie, że przyplyniecie tutaj i zrobicie nam to, co zrobiono wam, tak?

- Każdy musi patrzeć swojego - odpowiedział hardo młody jeniec.

Candamir prychnął z pogardą i zrobił krok do tyłu. Siward wyjął z ognia przez płat skóry pogrzebacz i podszedł z nim do jeńca, który stał jak skamieniały i wpatrywał się w oprawcę przerażonym wzrokiem.

- Nie! - krzyknął Sakson i rzucił się między żadnego zemsty mieszkańca Elasundu i jego ofiarę. Wobec bezczelności niewolnika Siward zdębiał.

- Zawróćcie, nie wolno wam szukać odwetu! - zaklinał Sakson. - Albowiem mówi Pan: „Do Mnie należy pomsta”. Tylko nad tym, kto sam okaże łaskę, Pan się zmiłuje i go obroni.

Osmund wcisnął Brygidzie w ramiona małego Roryka, wystąpił i chwycił mnicha za ramię.

- Że ma nas niby obronić ten twój boży mieczak, który pozwolił wrogowi przybić

do naszej osady? Sądzę, że taką obronę możemy sobie darować - jego koścista pięść walnęła Saksona w szczękę i chudawy mnich poleciał z powrotem w stronę Turończyka, nie padając jednak na ziemię.

Osmund zwrócił się do Siwarda.

- Zrób to albo daj mi żelazo. Mam już dość czekania. To jeden z tych, którzy spalili naszych sąsiadów, twoją żonę porwali w niewolę, a moją zabili. Jest nam winien swoje oczy i swoje życie.

- Ten człowiek nie zrobił niczego z tych rzeczy, Osmundzie - nieśmiało wtrącił Hacon. Był to młodzieniec lękliwy, który miał ogromny szacunek dla przyjaciela swojego brata i trochę się go bał. Z trudem, ale wytrzymał przenikliwe spojrzenie błękitnych oczu Osmunda. Hacon uwielbiał też saksońskiego niewolnika i fascynowały go jego opowieści. To ze względu na niego zebrał się na odwagę i ciągnął: - Ten Turończyk nawet nie musnął żadnego mieszkańca osady, bo ty sam uderzyłeś go kamieniem, zanim miał okazję cokolwiek zrobić. - Hacon wskazał na koronę drzewa, gdzie ukrywał się zeszłej nocy. - Widziałem to. Oczywiście możemy zastępczo zemścić się na nim zamiast na jego kompanach, ale bogowie nie ukarzą nas, jeśli tego nie zrobimy

Osmund odsunął Saksona z drogi, jak natrętnego kundla, i ze zmarszczonym czołem przyjrzał się bacznie jeńcowi.

Następnie z wahaniem pokiwał głową.

- Hacon ma rację, to jest ten typ, któremu wyrwałem miecz. Mimo to chcę, żeby zginął - dodał cicho. - Chcę zobaczyć, jak płynie jego krew, tak jak płynęła krew Gisli.

Kowal Harald położył mu ugodowo dłoń na ramieniu.

- Skoro jednak bogowie darowali mu życie, my też możemy go oszczędzić, Osmundzie - sprzeciwił się ostrożnie. - Zeszłej nocy straciliśmy wielu dobrych parobków. Potrzebujemy siły roboczej.

- Wolałbym już odbudować mój spichlerz własnymi rękami - warknął Siward.

- W takim razie głosujmy - zaproponował Olaf.

Ponieważ Gisla była żoną jego bratanka, Olaf wraz z Osmundem i Siwardem opowiedział się za zabiciem Turończyka. Także Candamir był po ich stronie. Przede wszystkim ze względu na Osmunda, ale też z szacunku dla zabitego stryja Sigismunda i jego syna. Jak każdy tutaj, również Candamir uważał atak na kogokolwiek z krewnych za

osobistą zniewagę i zagrożenie, ponieważ jedynie liczny klan był silny. Przeważająca większość uznała jednak siłę roboczą jeńca za bardziej użyteczną od jego śmierci.

Wszyscy widzieli, że Osmundowi nie było łatwo zapanować nad wściekłością. Zanim jednak zdołał wyjąć sztylet i wbrew decyzji zgromadzenia przeprowadzić swój zamiar, Olaf skinął na dwóch swoich synów, a ci wzięli jeńca między siebie, odprowadzili na swoje podwórze i zamknęli go na początek w saunie.

- Bądź dziś wieczór moim gościem, Osmundzie - powiedział cicho Olaf do bratanka. - Brygida mówi, że potrzebujesz mamki dla syna. Z pewnością znajdziesz ją wśród moich dziewczek służebnych. Jedź i pij z nami, i niech ci to będzie pociechą w bólu.

Osmund splótł ręce i opuścił głowę. Najchętniej nie przyjąłby tego zaproszenia. W przeciwieństwie do przyjaciela wiedział jednak, jak się zachować.

- Dziękuję, stryju.

Olaf zwrócił się do Candamira.

- A ty powinienes swojego niewolnika nauczyć manier.

Candamir skinął głową i bez słowa spojrział na Saksona. Jego szare jak morze oczy błyskały złowieszczo. Mnich na pozór pokornie zwiesił głowę i, ukrywając grymas strachu, pomyślał, że dziś w Elasadzie popłynie jeszcze krew, i to jego własna. Jednocześnie jednak poczuł triumf. To zbliżyłoby go do Boga...

- Pora się naradzić, co powinniśmy teraz robić, bo dalej tak być nie może - ponaglał Harald. - Wiosną Turończycy napadli nas i zrabowali bydło. Teraz znowu przyplływają i kradną nam zboże i kobiety. Dokąd to prowadzi?

- Powinniśmy wysłać posłańca do króla - powiedział Wiland, syn Siwarda. Ponieważ jedyną reakcją na jego słowa był śmiech, dodał gniewnie: - To tak samo król Turończyków, jak i nasz! Może im rozkazać, żeby nas zostawili w spokoju. I żeby oddali moją matkę... - tu głos mu się załamał i opuścił głowę.

Osmund współczuł temu niespełna piętnastoletniemu chłopcu. On sam w ogóle nie pamiętał matki, która zmarła na zapalenie płuc kilka tygodni po jego urodzeniu. Ojciec zaniósł go do sąsiadów, którym także pierworodny syn właśnie przyszedł na świat pokryty posępną, zimową szatą. Candamir i Osmund byli karmieni tą samą piersią, co chyba wyjaśnia, dlaczego zawsze byli sobie bliscy jak bracia. Dopiero, kiedy jego matka mleczna - osiem lat później, zaraz po przesileniu zimowym - zmarła, wydając na świat

Hacona, poczuł strach i zagubienie spowodowane stratą, którą w istocie już od dawna odczuwał. Było to najbardziej gorzkie wspomnienie z dzieciństwa. Doskonale wiedział też, że wtedy on i Candamir wstydzieli się przed sobą własnych łez, podobnie jak teraz wstydził się Wiland, który wciąż pewnie szuka spokojnego kąta, żeby się wypłakać. Być może wtedy Osmund pierwszy raz nie robił czegoś wspólnie z Candamirem.

Tamta strata sprzed lat spowodowała, że ta obecna stała się w pewien sposób łatwiejsza do zniesienia. Żadne szczęście nie może trwać wiecznie - jak mówił jego ojciec - i nie taki jest człowieczy los. Bogowie nam szczęście jedynie pożyczają. Osmund został, więc ostrzeżony. Śmierć Gisli załamała go, groziła odcięciem powietrza. On jednak nie dał się zaskoczyć.

Położył młodemu Wilandowi dłoń na ramieniu.

- Który bóg jest twoim opiekunem, co?

- Odyn - odpowiedział chłopiec cicho.

- Ten sam, który jest moim opiekunem. To dobrze. On w swojej mądrości ześle ci pociechę. Twoja matka odeszła równie nieodwracalnie jak moja żona, Wilandzie. Tego nie jest w stanie zmienić nawet sam król. Kimże on jest, ten król?

Kto go widział w Elсандzie? Jest tak odległy jak gwiazdy.

Pokładaj raczej nadzieję w Odynie, który strzeże twojego szczęścia i który przynajmniej od czasu do czasu przysyła nam jednego ze swoich kruków albo jakiś sen. Odyn jest nam bliższy od króla.

Chłopiec spojrział na Osmunda i gwałtownie zamrugał.

Jego twarz wciąż była jeszcze umorusana sadzą, a oczy były rozszerzone horrorem zeszłej nocy - z tamtej płonącej stodoły uciekł dosłownie w ostatniej chwili. Nic nie rozumiejąc, potrząsał głową.

- Przecież tak nie powinno być. Czyż król nie powinien bronić swoich poddanych?

- Powinien - potwierdził z naciskiem Osmund. - Dobry lud powinien mieć dobrego króla, który chroni prawa i broni swojego kraju. U nas, niestety, jest inaczej.

- Gdybyśmy chcieli liczyć na króla, to równie dobrze moglibyśmy wszyscy utopić się we fiordzie - zgodziła się stara Brygida ponuro.

- W takim razie zbierajmy załogę na statki, płynmy do Turonii i przywieźmy



nasze kobiety i nasze bydło - podsunął Eilhard, który miał już siwą brodę, ale wciąż jak nikt potrafił posługiwać się toporem wojennym. - Ten Turończyk sam powiedział, że są osłabieni po najazdach Kuwanów. Nie powinno być kłopotu.

Propozycja ta nie spotkała się jednak z uznaniem. W porcie nie było dwóch z siedmiu elasundańskich statków. Miały wrócić z dalekiej wyprawy handlowej późną jesienią albo dopiero w przyszłym roku. Z powodu strat odniesionych zeszłej nocy nie pozostało wystarczająco dużo wolnych mieszkańców Elasundu, aby skompletować załogę pozostałych okrętów, nie mówiąc już o stworzeniu drużyny zdolnej do boju. Żeglowałiby na próżno, próbując napadać na Turonie - takie było zgodne przekonanie.

- Może to wszystko i prawda - rzekł niecierpliwie Siward. - Ale jeżeli nic nie zrobimy, czeka nas chuda zima. Moje bydło zostało zrabowane albo zadżgane, zapasy suszonej ryby i ziarna są spalone. Będziemy głodować. Wielu umrze. Wtedy już nie będziemy w stanie nawet się bronić.

Candamir popatrzył na fiord, na swój statek, który w świeżej jesiennej bryzie szarpał łańcuch kotwicy.

- Najchętniej bym stąd odpłynął - mruknął tęsknie. - Dokądkolwiek. Tam, gdzie zimą nie jest tak ciemno, gdzie ludzie nie marzną cały czas. Gdzie w ciągu roku są więcej niż trzy miesiące, aby utuczyć bydło i wyhodować kilka kłosów zboża.

Dały się słyszeć pełne tęsknoty westchnienia. W końcu

Osmund ujął w słowa to, o czym wszyscy myśleli:

- Tak, już mój ojciec i ojciec mojego ojca, i jego ojciec przed nim marzyli o nowej ojczyźnie. Ale zbyt długo się wahali. Plemiona naszego ludu, które osiedliły się w Irlandii, nikogo już nie przyjmują. Brytania należy do Anglików, Saksonów i Jutów. Teraz już nigdzie nie ma ziemi.

Jego stryj Olaf, człowiek bywały w świecie, miał inne zdanie. Już od dawna chodziło mu po głowie porzucenie Elasundu - i to nie z powodu coraz częstszych napaści, ale dlatego, że ziemia tutaj była nieurodzajna i od lat nie zaspokajała potrzeb coraz liczniejszych mieszkańców. Dobrze być najbogatszym człowiekiem w tej osadzie i mieć najwięcej ziemi, ale Olaf wychowywał pięciu synów i nie widział dla nich żadnej przyszłości. Wyjazd w poszukiwaniu nowej ojczyzny wydawał mu się jedynym sposobem, aby zapewnić przetrwanie rodu.

Pomysły takie wymagały jednak rozważenia i przemyślenia, zanim mogły zostać poddane publicznej dyskusji. Tego poranka mieszkańcy Elasundu wciąż jeszcze, jakby ktoś rzucił na nich zły czar, pozostawali pod wrażeniem tragedii ostatniej nocy Nastrój nie był odpowiedni, żeby podejmować tak ostateczne decyzje.

- Trzeba zrobić dwie rzeczy - powiedział Olaf do zebranych. - Po pierwsze, musimy się postarać o zgromadzenie nowych zapasów na zimę. Oznacza to, że każdego dnia, kiedy pogoda pozwoli, musimy wypływać na połów. Nie ma już czasu na suszenie ryb, ale możemy je wędzić. To, co nam zostało z bydła, musimy ubić, a mięso zapeklować. Bez paszy i tak nie utrzymamy przecież zwierząt przez zimę. Powinniśmy też pojechać kilkoma wozami na południe, tam, gdzie nie było turońskich napaści. Może uda nam się kupić przynajmniej kilka worków mąki. Po drugie zaś, powinniśmy się zastanowić, jak w przyszłości skuteczniej bronić się przed napadami.

Bezwiednie wszyscy spojrzeli na stojący w oddali dom Olafa - jedyny w Elasundzie otoczony częstokołem. Wrota były zniszczone i poczerniałe po atakach zeszłej nocy, ale ciągle wisiały na zawiasach. Tak się jakoś złożyło, że akurat bogaty Olaf był jedynym, który nie musiał narzekać na straty w ludziach, bydłe czy innych dobrach. Candamir powiedział głośno to, co wielu myślało:

- Nie każdy ma tylu parobków, co ty, żeby porąbali mu drewno, ociosali je i postawili płot - zabrzmiało to ostrzej, niż zamierzał.

Olaf zastanowił się nad sprawą z pobłażliwym uśmiechem.

- Słuchaj, skoro brakuje ci siły roboczej, to trzeba zapytać, dlaczego zeszłego lata kupiłeś sobie nową niewolnicę, a nie jakiegoś silnego chłopca. Może byłoby dobrze, gdybyś przynajmniej od czasu do czasu pomyślał, używając do tego głowy?

Rozległy się stłumione śmiechy, ale zabrzmiały naturalnie i były to pierwsze oznaki wesołości po koszmarze ubiegłej nocy. Candamir poczerwieniał, ale sam też zgodził się z tą uwagą.

Było już prawie południe, gdy Candamir z Saksonem przyszli do domu. Nie padło nawet jedno słowo, obaj byli pogrążeni w myślach. Niewolnicy, którzy przeżyli, wymieniali zakłopotane spojrzenia, czując ciężki nastrój i groźne milczenie, ich obawy

potwierdziły się zaś wtedy, gdy Candamir wziął pejcz, aby wymierzyć Saksonowi zasłużoną chłostę.

- Candamirze... - zaczął nieśmiało Hacon.

- Ty lepiej bądź cicho, bo będziesz następny w kolejce! - krzyknął ze złością starszy brat. - Wiesz, że nie chciałem źle. Gdybyś się nie wtrącił tak bezczelnie, przeklęty Turończyk byłby teraz martwy, a Osmundowi nie wymknęłaby się możliwość pomsty!

„I co by mu to dało?” - chciał zapytać Hacon, ale się nie ośmielił.

Wyraźnie zadowolony, że uciszył brata, Candamir przesadnie mocno chwycił saksońskiego niewolnika za ramię i pociągnął go przez wąskie trawiaste podwórze ku oborze. Na środku podwórza leżała krowa z przeciętym gardłem i głową absurdalnie przekręconą do tyłu. Po prawej stronie sterczały zwęglone ruiny spichlerza, ale dająca zimą schronienie owcom i koniom obora wciąż stała. Była ostatnim budynkiem w obejściu. Dalej rozciągały się wzgórza z polami i pastwiskami. Gdzeniegdzie rosły pojedyncze jodły i sosny, które latem dawały zwierzętom cień. Na drugim brzegu rzeki drzewa się zagęszczały, tworząc las.

- Cóż - mruknął Candamir. Zabrzmiało to jakoś dziwnie martwo.

Przez chwilę Sakson patrzył na swojego młodego pana, który był od niego wyższy więcej niż o głowę, na jego potężne bary, na kościstą rękę trzymającą pejcz. Szare oczy odwzajemniły to spojrzenie chłodno, prawie bez wyrazu, i Sakson zrozumiał ze ściśniętym sercem, jak bardzo Candamir był załamany i wściekły

- Skoro taka jest twoja wola, panie... - westchnął niewolnik.

- Nie, właściwie nie - odparł Candamir, który, nie wiedzieć, czemu, uznał to za pytanie. - Tym razem jednak przesadziłeś, nie sądzisz?

- Gdybym mógł wierzyć, że mój pogląd naprawdę cię interesuje, raz jeszcze spróbowałbym ci wyjaśnić, dlaczego tak postąpiłem. Dla zbawienia duszy twojej i twoich sąsiadów.

- Tak, tak. Dość tych bzdur. Zdejmuj kapotę i odwróć się.

Sakson posłusznie zdjął z siebie wytarte, zszarzałe odzienie. Pod spodem nie miał ani koszuli, ani kaftana. Starannie złożył kapotę i położył ją na pobliskiej stercie drewna. Potem oparł się dłońmi o szorstką ścianę obory i stanął tak, zziębnięty, zaciskając zęby.

Ponieważ nic się działo, zaryzykował rzut oka przez lewe ramię.

- Wolno zapytać, na co... - tu urwał.

Candamir był na wpół odwrócony i patrzył na pastwisko.

Zboczem wzgórza ktoś nadchodził. Był jeszcze za daleko, aby można było go rozpoznać, ale wydawało się, że porusza się powoli i nie idzie prosto, jakby dźwigał jakiś ciężar.

Candamir osłonił dłonią oczy, ponieważ mimo chmur świeciło jesienne słońce o mosiężnej barwie.

- O, potężny Tyrze... - powiedział nagle, niedbale upuścił pejcz i rzucił się do biegu, bez wysiłku przeskoczył wrota i pognął ku wzgórzom na spotkanie przybysza.

- Oto Pan uczynił cud i ocalił swojego niegodnego sługę - zamruczał pod nosem Sakson. - Przynajmniej na razie.

Podniósł pejcz, zwinął go i schował za stertę drewna. Postać na wzgórzu była kobietą. Teraz ją rozpoznał i pospiesznie się ubrał. Candamir dotarł już do niej, dłuższą chwilę stali naprzeciw siebie, widocznie rozmawiali, może nawet się kłócili. Dwa konie Candamira, które pasły się w pobliżu, podniosły głowy i ciekawie się przyglądały. Wreszcie Candamir wziął od kobiety zawiniątko. Zawiniątko dziko wierzgało - dziecko. Powoli zeszli ze wzgórza. Candamir w lewej ręce trzymał dziecko, prawą zaś objął ramię kobiety. Sakson zauważył teraz, że miała ciemne włosy. Był pewien, że nigdy jej wcześniej nie widział, a przecież w przyszłym lecie miną już trzy lata od czasu, gdy zamieszkał z tymi dzikusami, i sądził, że poznał już wszystkich mieszkańców Elasundu i małych wiosek nad rzeką. Z zaciekawieniem czekał na swojego pana i nieznaną niewiastę, a gdy się zbliżali, otworzył im wrota.

Minęli go, nawet nie spojrzawszy, on zaś poszedł za nimi do domu. Kobieta nie miała jeszcze dwudziestu lat i była bardzo ładna, jak uznał, chociaż teraz zapłakana i blada z wyczerpania. Poza tym była w zaawansowanej ciąży i tak podobna do Candamira, że sługa nie musiał już zgadywać, kim mogła być.

Hacon siedział zrozpaczony i zatopiony w sobie przy palenisku. Kiedy otworzyły się drzwi, spojrzał i jego zatroskaną twarz rozświetlił uśmiech czystej radości.

- Asta! - Skoczył na równe nogi i podbiegł do niej. Zobaczywszy jej twarz, stanął

i powtórzył niepewnie: - Asta...

Wzięła go za rękę i odwzajemniła uśmiech.

- O, bogowie! Haconie... Bo nie mogę już chyba mówić do ciebie „braciszku”.

Teraz mógłbyś mi napluć na głowę!

- Postaram się nie... - odparł Hacon nieśmiało.

Candamir rozstał się z zawiniątkiem, które wierzgało równie dziko jak wcześniej.

- Haconie, oto twój siostrzeniec Fulc.

Mały Fulc mógł mieć najwyżej trzy lata. Podejrzliwie rozejrzał się po nieznanym otoczeniu, a kiedy Hacon chciał go wziąć na rękę, mały kopnął go w gołęń. Hacon odskoczył ze stłumionym okrzykiem.

Heide, gruba służąca w podeszłym wieku, która gotowała tu już wtedy, gdy Candamir leżał w kołysce, obserwowała całe zajście z kamienną twarzą, po czym zaplotła ogromne ręce i burknęła:

- Wykapany ojciec, tak na moje oko.

Asta spochmurniała. Chwyliła synka za ramię i przyciągnęła do siebie, a jego twarz ukryła w fałdach sukni. W izbie zapadła niezręczna cisza. Przez chwilę nikt nie wiedział, co powiedzieć czy zrobić.

W końcu Candamir pogładził swoją krótką brodę i zrobił niepewny ruch.

- Dla wszystkich, którzy nie wiedzą: to jest moja siostra Asta. Mieszkała z mężem w Elbingdal, ale tam także wpadli Turończycy i zabili jej męża. Dlatego przyszła do domu rodzinnego.

Sakson był pewien, że nie jest to cała historia, a jego przeczucie się potwierdziło, kiedy Candamir zwrócił się do kucharki:

- Zostawmy przeszłość w spokoju. To, co było, nie ma teraz znaczenia. Moja siostra i jej syn są w tym domu mile widziani i będą traktowani uprzejmie i z szacunkiem, zrozumiałaś, Heide?

- Ależ oczywiście, panie.

- Dobrze. Byłoby mi przykro, gdybym musiał przed tą ciężką zimą ciebie lub kogokolwiek wygnać z domu.

Pomarszczone policzki starej służącej pobladły. Spuściła wzrok i kiwnęła głową.

Candamir na krótką chwilę zamknął oczy. Czuł się zmęczony i bezradny. Nie miał

najmniejszego pojęcia, jak jego gospodarstwo ma przetrwać zimę, a teraz jeszcze to niespodziewane przybycie siostry, czemu towarzyszył ciężar dawnych porachunków, który przyniosła ze sobą. Rozsiadł się na swoim podwyższonym krześle rodowym, wygodnym, szerokim i kunsztownie rzeźbionym, na którym siadali jego niezliczeni przodkowie. Miejsce to było zarezerwowane dla głowy rodziny

Candamir przypomniał sobie, że w pierwszych miesiącach po śmierci ojca czuł się jak oszust, gdy tu siadał, ale teraz było inaczej. To patriarchalne krzesło dodało mu siłę i wiary w siebie.

- Przynieście ławę dla mojej siostry i mojego brata. Saksonie, przynieś piwa. Gundo, bądź tak dobra i zajmij się dzieckiem. Pozostali niech zostawią nas samych.

Krzesło stało w środku, na prawo od paleniska. Wzdłuż paleniska na przyniesionych pospiesznie kozłach położono blat kuchenny i postawiono ławę wyściełaną skórą i obłożoną poduszkami. Hacon i Asta usiedli.

Gunda, śliczna fryzyjska służąca, z powodu, której wyszydzone dziś rano Candamira, bez wysiłku zdobyła zaufanie małego i przerażonego Fulca. Usiadła z nim po drugiej stronie ognia na foczej skórze i nakarmiła go chlebem na miodzie. Mały się oswoił. Swoją ciemną czuprynę złożył na jej kolanach i zamknął oczy. Gunda z Astą wymienili uśmiechy, jakby spiskowały, po czym Asta znowu skromnie spuściła wzrok.

Sakson napełnił wielki dzban piwem z beczki i postawił go na stole z trzema glinianymi kuflami. Następnie poszukał wzroku Candamira i wskazał brodą w kierunku drzwi, pytając tym gestem, czy ma sobie pójść. Candamir pokręcił jednak przecząco głową, sługa zaszył się, więc w ciemnym kącie w pobliżu beczki z piwem, gdzie także kładł się spać na noc, czuwając teraz i nasłuchując.

Na zewnątrz zaczęło padać. Znowu zerwał się wiatr od morza, ze skowytami przetoczył się po domu i silnymi palcami zaczął targać odeskowanie zewnętrznej ściany. Nie mógł jednak wyrządzić szkody - za odeskowaną zewnętrzną konstrukcją stały drewniane ściany wewnętrzne, a przestrzeń między nimi wypełniono ziemią dla ochrony przed chłodem zimy. Miało to pewne wady, bo w izbie nie było okien, a jedynym otworem i źródłem światła dziennego, nie licząc drzwi, była mała okrągła dziura kominowa w środku dachu, przez którą teraz deszcz bez przerwy padał prosto na ogień. Dzięki temu jednak izba z paleniskiem była o każdej porze roku przytulnie ciepła. Tu, w

środku, człowiek był chroniony przed żywiołami nie gorzej niż niedźwiedź w gawrze.

Ogień trząsał przyjemnie. Od czasu do czasu strzelały krople żywicy i wtedy rozchodził się błogi sosnowy zapach. Candamir pociągnął duży łyk i dolał sobie piwa.

- Opowiadaj, Asto, co się stało.

- Masz na myśli wczoraj? Czy przez ostatnie cztery lata?

Wzruszył ramionami.

- I jedno, i drugie.

Napaść Turończyków na Elbingdal, leżący w górze rzeki, jedynie szczegółami różniła się od wydarzeń w Elasundzie. Najeźdźcy zabili wszystkich stawiających opór, zrabowali zapasy i porwali kobiety, a chłopców i bydło zamknęli w największej stodole, którą spalili.

- Nilsa też - zakończyła opowieść Asta. - Spłonął ze wszystkimi.

Candamir z powagą pokiwał głową. Jeśli miał być szczery, to nie opłakiwał szwagra, ale Asty było mu żal. To niesamowite - tak nagle znów ją zobaczyć.

Stare, krwawe porachunki od niepamiętnych czasów były przyczyną wrogości dwóch klanów i zarówno Nils, jak i Asta doprowadzili swoich ojców do wściekłości, łamiąc ich wyraźny zakaz i pobierając się. W przeciwieństwie do jej ojca członkowie klanu Nilsa wreszcie wybaczyli odszczepieńcowi i przygarnęli go z żoną w Elbingdal. Małżonkom udało się osiągnąć przynajmniej tyle, że przez ostatnie lata obie rodziny schodziły sobie z drogi, zamiast, jak wcześniej, regularnie napadać na siebie. Candamir musiał przyznać, że ulżyło mu, gdy znikło dzięki temu to stałe zagrożenie, które kładło się cieniem na jego dzieciństwo.

- To były dobre lata - stwierdziła Asta nie bez przekory. - Nils zgromadził nieco majątku i nawet chciał w przyszłym roku zamówić u skutnika Berse statek handlowy na osiem par wioseł. Asta nie pokochała jego klanu, ale oni przynajmniej traktowali ją uprzejmie.

- Jednak dziś rano... - musiała przerwać swoją opowieść i szybko chwyciła kufel, aby ukryć przed bratem wyraz twarzy. - W gniewie i rozpacz nagle zwrócili się przeciwko mnie jak głodne stado wilków. Ja... Ja uciekłam. Musiałam uciekać. Stryj Nilsa stanął nagle nad Fulcem z nożem myśliwskim w dłoni i nazwał go przeklętym elasundańskim bękartem... Pomyślałam, że gdyby mnie i Fulca zabili, to ty byś się o tym

dowiedział i wszystko zaczęłoby się od początku. Nie miałam, więc wyjścia, rozumiesz chyba, Candamirze.

Ten skinął głową. Na chwilę zapadła cisza. Później powiedział:

- Dobrze, że przyszedłeś.

Asta głośno odetchnęła i potrząsnęła głową.

- Rozumiem, że zadajesz sobie pytanie, jak masz nakarmić swoich, nawet beze mnie i mojego dziecka - rzuciła krótkie spojrzenie na swój wypukły brzuch. - Moich dzieci.

- Och, jakoś sobie damy radę - zapewnił Candamir niejasno.

- Jak sprawy wyglądają? - zapytała.

- Cóż... ponuro. Mamy jeszcze owce i konie, bo akurat były na pastwisku. Z bydła został nam jednak tylko jeden bardzo stary wół. A spichlerz... Sama widziałaś - nie owijał w bawełnę.

- Tak - powiedziała cicho, wstrząśnięta sytuacją.

Candamir usłyszał jakiś cichy szmer z cienia za beczkami i rozejrzał się ze zmarszczonym czołem.

- Co mówisz?

Sakson podniósł głowę i spojrzał na troje rodzeństwa.

- Powiedziałem: „Przypatrzcie się ptakom podniebnym”. To z mojej księgi i o tym właśnie myślałem. Ale ty jej nie uznajesz.

- To prawda - odrzekł Candamir niechętnie. - Co wie o ptakach twój dziwaczny bóg? - zapytał jednak.

- Mój Bóg wie wszystko o wszystkich rzeczach - odparł z godnością Sakson. - I powiada: „Przypatrzcie się ptakom podniebnym: nie sieją ani żną i nie zbierają do spichlerzy, a Ojciec wasz niebieski je żywi”.

- Cóż za mądre słowa - zakpił Candamir. - Nie potrzebujemy pouczeń, żeby wiedzieć, że podczas ciężkiej zimy ptakom, takim jak kruki, lepiej się powodzi niż ludziom. Zawsze im się udaje, bo są ptakami bogów.

Niewolnik chciał zacząć objaśniać znaczenie tej biblijnej przypowieści, nie doszło jednak do tego. Asta ze smutnym uśmiechem spojrzała na ogień i rzekła:

- To mi przypomina opowieści babki o zimowych krukach.



Candamir pokiwał głową. Było to zakurzone wspomnienie, ale teraz, gdy Asta o tym napomknęła, stanęło mu wszystko żywo przed oczami: babka, matka ojca, brała oboje wnucząt do siebie pod skóry i opowiadała im różne historie. Głos staruszki nie był melodyjny i załamywał się, ale potrafiła tak opowiadać, że dalekie kraje i miejsca stawały przed oczami dzieci jak żywe.

- Zimowe kruki? - zapytał Hacon bezwiednie, trochę zazdrosny Nie miał żadnych wspomnień o tej babce, ponieważ był jeszcze malutki, gdy zmarła.

- Tak, babka często opowiadała nam o zatopionej wyspie - wyjaśniła Asta i pogłaskała go po włosach. - Ale, jak pamiętam, ty zawsze chciałeś słuchać tylko opowieści o wielkich bitwach i wojownikach. Wciąż cię widzę, jak stoisz przy ogniu z drewnianym mieczem i nieustraszenie walczysz z cieniami - wskazała na swojego synka, który zasnął w ramionach służącej. - Niebawem będziesz mógł swoje ulubione historie opowiadać Fulcowi.

„Jeżeli Fulc dożyje najbliższej wiosny” - pomyślał Hacon pełen wątpliwości.

Jakby czytając jego myśli, Asta spoważniała i zwróciła się do Candamira.

- Przykro mi, że tak po prostu się tu zjawiam i powiększam twoje troski, bracie. Wiem, że nie mam żadnego prawa do twojej pomocy..

- Bzdury gadasz - przerwał jej szorstko. Na swój sposób cieszył się, że jest tu z nim. Odkrył ze zdumieniem, że tęsknił za nią. - Coś musimy jednak zaplanować. Saksonie, podejdź, dorzuć do ognia i usiądź z nami.

Wiedział, że niewolnik jest mądry i zaradny i że umie też rachować. Candamir nigdy by się do tego nie przyznał, ale miał większe zaufanie do zdania tego człowieka niż do opinii wielu sąsiadów i często korzystał z jego rad, oczywiście nie przyznając się do tego.

Sakson przyniósł całe naręcze drew ze skrzyni przy drzwiach i cisnął je w żar. Potem usadowił się obok Hacona i skłonił głowę przed Astą. Uśmiechnęła się do niego.

- Jak cię zwą?

- Byrhtferth, pani.

- Jak?

- Byrhtferth.

- Nazywaj go Saksonem - poradził Candamir. - Wszyscy tutaj tak robią.

- Ależ Candamirze - sprzeciwiła się z wyrzutem. - Każdy człowiek potrzebuje imienia.

Candamir zniecierpliwiony wzruszył ramionami.

- Jak dotąd dawał sobie radę bez imienia - i nad głową niewolnika, jakby ten był nieobecny, opowiedział siostrze o Saksonie i jego zabawnym bogu, a także o tym, jak niewolnik do niego trafił. - Zazwyczaj jest całkiem użyteczny, ale często bywa też utrapieniem - zakończył. - Prawdę mówiąc, miałem go właśnie wychłostać, kiedy ty się pojawiłaś.

Asta widziała, jak bardzo młody mnich jest speszony.

- Jak mam cię nazywać? - zapytała. - Wybierz sobie jakieś imię, które będę w stanie wymówić, i tak cię będę wołać.

Sakson zarumienił się aż po korzonki blond włosów o barwie słomy, ale równocześnie gorączkowo rozmyślał nad jakimś imieniem.

- W takim razie nazywaj mnie Austin, pani, jeśli łaska.

- Zgoda. - Asta z zadowoleniem kiwnęła głową i skrzyżowała ręce na blacie.

Candamir zmarszczył czoło z wyrazem niechęci. Nie podobało mu się, że siostra, która ledwie się pojawiła, już wprowadza zmiany w jego gospodarstwie. Wiedział, że jego irytacja jest dziecinna, ale w głębi duszy poprzysiągł sobie, że nigdy nie nazwie swojego Saksona Austinem.

- Może byśmy przystąpili wreszcie do rzeczy? - burknął zniecierpliwiony

- Istnieje pewien bardzo prosty sposób, dzięki któremu wszyscy przetrwamy tę zimę, panie - zaczął Sakson.

- Tak? Zamieniam się w słuch.

- Popłyn swoim statkiem na południe do jednego z dużych portów handlowych. Weź na pokład zwierzęta juczne. Sprzedaj statek, a za srebro kup zboże, groch i suszoną rybę, po czym przywieź to tutaj na jucznych zwierzętach - niewolnik rozłożył ręce. - Będziemy sobie żyli jak pączki w maśle.

Candamir rzucił mu niedowierzające spojrzenie.

- „Sokół” to najcenniejsza rzecz, jaką mam. Kiedy na wiosnę uda nam się polowanie, chcę zabrać focze skóry i zęby morsów do kraju Franków i wymienić na doskonałą broń, którą tam wyrabiają. Potrzebuję do tego statku.

- Nie będziesz w stanie wypłynąć na żadną wyprawę handlową, jeśli wcześniej umrzesz z głodu - odpowiedział obojętnie niewolnik.

- To w ogóle nie wchodzi w rachubę - powtórzył Candamir stanowczo. - Może powinienem raczej ciebie sprzedać?

Mnich nie podjął tematu, wiedząc, że jego pan nie mówi poważnie. Zamiast tego wzruszył szczupłymi ramionami i powiedział:

- Cóż, jeszcze jest wrzesień... Jesienny księżyc, chciałem powiedzieć. Wciąż możemy łowić, jak stwierdził Olaf. Być może upolujemy nawet wieloryba. Z takim mięsem przeżyjemy miesiąc dłużej. Ale teraz z morza wiele już nie przywieziemy. Natomiast w lesie jest akurat dobry czas na polowanie. Poza tym są tam orzechy i grzyby, które można jeść, a gdy się cierpliwie poszuka, także wszelkie rodzaje jagód i leśnych ziół.

Sakson wiedział, że wizja żywienia się leśnymi zwierzętami jest mieszkańcom Elasundu obca i wydaje się im podejrzana. Prawie nikt tutaj nie potrafił polować na lądzie, ci zaś, którzy się na tym znali, polowali na niedźwiedzie, gronostaje i lisy ze względu na skóry, a nie mięso.

- W takim razie od jutra codziennie, o ile pogoda pozwoli, będziesz chodził ze służbą do lasu i zbierał jagody, grzyby i co tam jeszcze - zdecydował Candamir. - Hacon i ja popłyniemy z Osmundem na połów.

- Panie, gdybyś zechciał mi dać łuk i strzały...

Candamir pokręcił głową.

- Nie. Niewolnikom nie wolno nosić broni. - Było to pradawne prawo. Candamir czuł, że Saksona to zraniło, dodał, więc z mieszaniną wyrozumiałości i zniecierpliwienia:

- Nie, żebym ci nie ufał, ale gdyby cię ktoś zobaczył, miałbym przykrości.

- Mnie możesz wysłać z nim do lasu - zaproponował Hacon. - Mnie wolno nosić łuk.

Candamir wyśmiał go.

- Przecież ty, dzwońcu, nie naciągniesz cięciwy nawet do połowy!

- To nieprawda! - sprzeciwił się gwałtownie chłopiec. - Potrafię...

- Jak powiedziałem, płyniesz z nami na ryby i koniec. Potrzebujemy cię na łodzi.

Hacon wiedział doskonale, do czego jest im potrzebny.

Będzie od wschodu słońca do południa siedział na rufie z zakrwawionym nożem i sprawiał lodowate, śliskie ryby, wypruwał im oślizłe wnętrzności i wyrzucał do morza, aby wabić kolejne ryby. Było to zajęcie, które go odrzucało, głównie z powodu potwornej monotonii. Dlatego znów próbował się sprzeciwić:

- Równie dobrze mógłbyś wziąć jednego z parobków.

Candamir dał mu bolesnego prztyczka w głowę.

- Mógłbym, racja. Ale zamiast tego wezmę ciebie.

Nie odpowiadało mu to, że brat tak wiele czasu spędza w towarzystwie Saksona, ponieważ przeczuwał, że jego osobliwe opowieści podobają się Haconowi i chłopak ma teraz głowę pełną rozmaitych bzdur. Może i Sakson jest poczciwy i pokojowo nastawiony, ale to, czy jego bóg jest równie niegroźny, Candamirowi wydawało się, co najmniej wątpliwe.

Mieszkańcy Elasundu spalili swoich zmarłych, opłakali porwanych i przygotowywali się w gorączkowym pośpiechu na nadchodzący zimowy głód.

Prawie żadna krowa czy świnia, którą ubili Turończycy, nie nadawała się do jedzenia. Przed spaleniem padliny ludzie zdjęli jednak ze zwierząt skóry, aby je wyprawić. Parobków wysłano do lasu po drewno, które miało posłużyć do odbudowania spalonych spichlerzy. Także kobiety i dzieci poszły do lasu zbierać wszystko, co mogło pomóc w przeżyciu. Mężczyźni dzień w dzień wypływali łodziami, a wszyscy modlili się i mieli nadzieję, że tego roku śnieg nie spadnie zbyt wcześnie.

Osmund złożył maszt swojej łodzi i chwycił za wiosło.

Niezadowolony spoglądał na dzisiejszy połów: kilka niewielkich witlinków i pół skrzynki śledzi, to wszystko.

- Za mało - mruknął.

- Zawsze jest za mało - zgodził się Candamir ponuro, wyskoczył z łodzi do płytkiej już wody, wyciągnął ją na brzeg i zacumował. Później mrugnął na brata i wskazał na skrzynkę ze śledziami. - Zanieś je do domu Osmunda.

- One są twoje, Candamirze - sprzeciwił się Osmund.

- Ja wczoraj wziąłem śledzie.

Candamir fuknął.

- To była garstka. Rób, co mówię, Haconie. - Poczekał, aż chłopak zarzucił sobie skrzynkę na ramię i ruszył w drogę, po czym odezwał się do Osmunda: - Być może tobie jest obojętne, czy przeżyjesz zimę, czy nie, ale musisz także pomyśleć o ludziach, którzy ci zaufali. O swoim synu też. On potrzebuje ojca.

Osmund krótko skinął głową. Niechętnie tego słuchał, ale wiedział, że Candamir ma rację.

W milczeniu rozciągnęli sieci do wyschnięcia na przybrzeżnej trawie i przynieśli z łodzi resztę marnego połowu.

- Asta owinie rybę ziołami i uwędzi nad rozżarzoną dębiną, którą od czasu do czasu będzie polewać piwem. Musisz spróbować, Osmundzie, po prostu rozplywa się w ustach.

Osmund poczuł nagle, jak cieknie mu ślinka.

- Brzmi dobrze - przyznał.

- Przyjdź, więc dziś wieczorem.

- Nie mogę. Wiesz przecież, że jutro rano jedziemy z Olafem i Jaredem w głąb łądu, aby kupić jakieś zapasy. Mam jeszcze mnóstwo do zrobienia.

Candamir skinął głową i westchnął. Nie uszło jego uwadze, że Asta i Osmund schodzą sobie nawzajem z drogi. Byli sobie przyrzeczeni, ale Asta spotkała Nilsa i uciekła, żeby zostać jego żoną. Osmund nie przejął się tym szczególnie, bo już wtedy podobała mu się Gisla. Pozostawało jednak prawdą, że od czasu powrotu Asty Osmund omijał dom Candamira.

- Mam nadzieję, że wasza wyprawa będzie pomyślna - powiedział Candamir. Powierzył przyjacielowi niemal całość swoich zapasów trunku, aby kupić za to mąkę, owies i groch, a może nawet trochę siana i ziarna pod wiosenny zasiew.

Osmund stał nachylony nad otwartą drewnianą skrzynką i możliwie sprawiedliwie dzielił witlinki. Dłonie miał spierzchnięte i zsiniałe od lodowatej morskiej wody.

Candamir spojrzał na własne ręce. Wyglądały nie lepiej, miejscami sączyła się krew.

- Może Hacon miał słuszość - mruknął. - To jest beznadziejna harówka i prawie

nieopłacalna. Być może mimo wszystko powinniśmy spróbować polowania w lesie.

Osmund wyprostował się i oparł na biodrach zdrętwiałe dłonie. Podobnie jak Candamir miał na sobie gruby kaftan i ciepły kaptur, ale i tak był przemarznięty

- Tylko, że nikt z nas nie ma doświadczenia w polowaniu na jelenie czy dziki. Wrócilibyśmy do domu z pustymi rękami i bezużytecznie zmarnowali te nieliczne cenne dni, które zostały nam na połów ryb.

Candamir wzruszył ramionami.

- Myślę, że niewiele stracimy, jeśli poprobujemy przez dzień czy dwa. Nasze położenie jest rozpaczliwe. Wystarczający powód, żeby spróbować czegoś nowego.

Osmund zdążył się już przyzwyczaić do nedorzeczných pomysłów Candamira i wiele lat temu zauważył, że najlepsze, co można zrobić, to nie podejmować dyskusji.

- Może w nadchodzących dniach będziemy mieli więcej szczęścia i złowimy wielkiego dorsza - powiedział, poruszając poprzedni temat. - A gdy pogoda się popsuje, ubijemy owce, dla których nie mamy paszy na zimę.

- Tak, Osmundzie, tylko, że to wszystko nie wystarczy - sprzeciwił się Candamir rozdrażniony.

Osmund spojrzał mu w oczy i skinął głową.

- Wiem. Ale nic innego nie możemy zrobić.

Osmund, Olaf, jego najstarszy syn Jared i dwaj niewolnicy byli w podróży przez pięć dni. Cały czas padało, a w czasie drogi powrotnej zaskoczyła ich jesienna burza z lodowatą ulewą, która zamieniła wyprawę w próbę sił i prawie udaremniła dalszą jazdę. Wąskie, zniszczone gościńce stanowiły wyzwanie nawet przy dobrej pogodzie. Osmund siedział na koźle środkowego wozu i powoził zaprzęgiem wołów cierpliwie i zręcznie. Owinął się w swój długi płaszcz i skulił, aby możliwie zmniejszyć powierzchnię, w którą uderzał wiatr, mając nadzieję, że burza niebawem minie.

Trzy wozy były załadowane po brzegi. Ubili dobry interes. Zeszłe lato było znośne: ciepłe, ale nie upalne, wilgotne, ale i nie mokre. Chłopi, którym udało się uniknąć napaści, pomoru bydła i innych katastrof, mieli wypchane stodoły i byli gotowi sąsiadom z wybrzeża trochę z tego oddać - za dobre srebro, ma się rozumieć.

Olaf był wyjątkowo zadowolony, ponieważ, jak wyjawiał Osmundowi, zamierzał ze wszystkiego, co wiozą, tylko małą część zachować dla siebie, podróż ta miała być więc dla niego szczególnie zyskowna.

- Ależ ojciec - sprzeciwił się zgorzony Jared. - To są nasi sąsiedzi i są w potrzebie. Mamy przecież wszystkiego dość, dlaczego chcesz...

Wymierzony policzek uciszył go i prawie wyrzucił z wozu.

- Dość? Co ty wiesz, smarkaczu? - warknął Olaf i dalej jechali już w milczeniu.

Rzecz działa się rankiem, zanim jeszcze pogoda się pogorszyła. Teraz wichur zaczął im prosto w twarz śniegiem z deszczem, grożąc, że porwie zwierzęce skóry, którymi przykryty był ładunek, i utrudniając powożenie wołami.

- Przed nami jest jakaś zagroda! - Olaf krzyczał przez wycie wichury, wskazując w prawo, gdzie przez jodły widać było drewniany gont. - Zatrzymamy się tu i przeczekamy najgorsze.

„Chyba do wiosny” - pomyślał zgryźliwie Osmund, ale Jared mruknął:

- Thorowi niech będą dzięki.

Zaciekła burza przeraziła młodzieńca i Osmund nie mógł go przecież za to winić. Groziło im to, że lada chwila zwali się na nich jakieś drzewo. Stare jodły zdawały się uginać na wietrze niemal do samej ziemi.

Nie dotarli jeszcze do samotnej zagrody, gdy wóz Osmunda utknął w błocie. Z Jaredem i dwoma parobkami musieli wyteńczyć siły do granic wytrzymałości, aby uwolnić wóz, bo same woły nie dawały sobie z tym rady.

Osmund był wdzięczny losowi, że dotarli do chłopskiej stodoły, nie połamawszy kół ani osi. Olaf poszedł do chałupy, aby dogadać się z chłopem co do noclegu. Niewolnicy wyprzęgli woły Osmund i Jared weszli do stodoły i wykończeni przysiedli na dwóch belach słomy.

Jared odgarnął z czoła ociekające wodą jasnorude włosy i wyjął cienkie warkoczyki okalające twarz. Potem ostrożnie pomacał dolną wargę, lekko zranioną pierścieniem ojca.

- Zastanawiam się, kiedy da sobie z tym spokój - powiedział ponuro. - Mam już prawie dziewiętnaście lat!

„A zatem trzy lata młodszy ode mnie” - zauważył ze zdziwieniem Osmund.

Ojciec wciąż traktował Jareda jak małego chłopca.

- Ożeń się - poradził krótko.

Młodzieniec zaśmiał się zaskoczony

- A potem?

- W mgnieniu oka staniesz się dorosły. A żaden ojciec nie podniesie ręki na żonatego syna.

Jared oparł się o ścianę stodoły, wyciągnął przed siebie nogi i w zadumie patrzył na Osmunda.

- Słabo znasz mojego ojca - odpowiedział. - On potrafi trzymać ludzi za pysk i nie puszczać. Rządzi twardą ręką.

- Tak, wiem.

- Chciałbym się ożenić - zwierzył się chłopiec. - Na przykład z Ingą, córką Siwarda. Ale ojciec nie pozwoli. Nie ma posagu, powiada.

- Powinieneś go posłuchać. Te sprawy są ważniejsze, niż ci się w tej chwili wydaje.

Jared zaśmiał się i pokręcił głową.

- Ze też akurat ty to mówisz! Nie miałeś nic prócz mizernego kawałka ziemi i jednej podszytej wiatrem, walącej się chałupy Twoja żona nie wniosła nic. Kiedy to było? Dwa lata temu? A dzisiaj...

- Dzisiaj, Jaredzie, jestem równie ubogi jak wtedy - Kiedy mały Roryk miał się urodzić, ogromnym wysiłkiem, harując po nocach i dzięki pomocy Candamira, postawił dla siebie i swojej Gisli nowy dom, ale niewiele mu to dało. W każdym razie nie miał niczego, dzięki czemu mógłby zażegnać groźbę głodu. Z zapasów na wozie miał dostać tylko tyle, ile Olaf mu odstąpi w ramach zapłaty za udział w wyprawie, ponieważ nie miał srebra, żeby coś kupić.

- E tam, masz dwa razy więcej owiec niż przed dwoma laty - nie zgodził się kuzyn.

- Ale nie mam statku, żeby popłynąć z wełną na południe i sprzedać ją z zyskiem - odparł chłodno Osmund. - Nasz dziadek, Jaredzie, był majątnym człowiekiem. Ale mój ojciec posprzeczał się z nim i dlatego to twój ojciec odziedziczył całą ziemię, statek, złoto i tak dalej. Mój ojciec nie dostał nic, jestem, więc ubogi, mój syn będzie ubogi i



wszyscy jego synowie także. Ta kraina jest zbyt jałowa, aby mężczyzna własnymi siłami wydobył z niej majątek. Bądź mądry i nie zrób tego samego błędu, co mój ojciec.

Jared podparł brodę dłonią i przez chwilę rozmyślał.

- Twój ojciec był przynajmniej wolnym człowiekiem.

- Biedak nigdy nie jest wolny.

- Chodziło mi o wolność od ojcowskiej tyranii. Póki mój żyje, nigdy nie będę wolny.

- Nikt nie żyje wiecznie. Zresztą on nie jest znowu aż taki zły

- Tak ci się tylko wydaje. Tobie pokazuje się zawsze z lepszej strony Ostatnio ma chyba do ciebie prawdziwą słabość. Pewnie masz coś, czego on chce. Cóż to może być?

Osmund wyciągnął z beli źdźbło słomy i wetknął sobie między wargi.

- Sądziłem, że może ty mi powiesz.

Jared bezradnie rozłożył ręce.

- Pojęcia nie mam. Ziemia?

Cóż za ponętna zdobycz! Jego ziemia! Kamieniste, jałowe poletko i kilka na wpół wyłysiałych pastwisk. Osmund zaśmiał się cicho. Dużo głośniejszym zaśmiał się Olaf. Przerażony Jared cały aż się zatrzęsł i zaczął się zastanawiać, jak długo ojciec mógł stać za filarem i podsłuchiwać. Cokolwiek jednak Olaf usłyszał, widocznie go to nie poruszyło. Położył synowi i bratankowi ręce na ramionach.

- Chodźcie. Gospodyni przygotowała fasolę na słońcu i piecze dla nas barani udziec - mówiąc to, boleśnie wykręcał Jaredowi ucho, ale szybko i niepostrzeżenie, nie spuszczać Osmunda z oka. - Nie przejmuj się, bratanku. Z mojej strony nie masz się, czego obawiać.

- Toteż się ciebie nie boję - odparł Osmund, spokojny jak zawsze. Nie chciał niczego prowokować. Po prostu stwierdził jedną rzecz: od śmierci Gisli niemal wszystko było mu tak obojętne, że już nic nie mogło go tak naprawdę przestraszyć.

Olaf potarł zarośnięte policzki.

- Jestem przekonany, że twoje oczy odzyskają blask, kiedy się dowiesz, czego od ciebie chcę, mój chłopcze.

Osmund czekał. Rozpierała go ciekawość. Skoro jednak Olaf uparcie milczał i tylko go w napięciu obserwował, Osmund wreszcie zrobił mu tę przyjemność i zapytał:

- Więc?

Olaf puścił ucho syna.

- Zostaw nas samych, Jaredzie.

Chłopiec z ulgą opuścił stodołę i pospieszył do izby, gdzie śliczna gospodyni powitała go ciepłym uśmiechem i gorącą strawą. Był za to wdzięczny, a gdy już zaspokoił pierwszy głód, chwilę porozmawiał z kobietą. W izbie było ciepło, powietrze zaś wypełniał zapach mięsiwa, które piekło się na rożnie nad paleniskiem.

Upłynęło nieco czasu, zanim Olaf i Osmund weszli do chaty Barani udziec był już upieczony na chrupko. Usłyszawszy dźwięk otwieranych drzwi, Jared podniósł głowę. „Ojciec się nie rozczarował” - stwierdził w myślach bez zdziwienia.

Oczy Osmunda błyszczały.

## MGLISTY KSIĘŻYC

Hacon, co się często zdarzało, obudził się pierwszy. Od wczesnego dzieciństwa męczyły go senne koszmary, a od kiedy brat przyprowadził do domu fryzyjską niewolnicę, nierzadkie stały się też mokre sny. To niepokoiło go bardziej niż koszmary poprzednich lat. Od swojego przyjaciela Wilanda wiedział, że nie on jeden cierpi na tę przypadłość, przejmował się jednak, zwłaszcza, że Sakson mówił, że takie sny są świadectwem nieczystych myśli.

Hacon usiadł i rozejrzał się po izbie oświetlonej jedynie dogasającym żarem paleniska. Spał na dwóch ławach miękko wyściełanych derkami i skórami, które wieczorem przesunięto pod ścianę. Był to przywilej młodszego brata pana domu - parobkom wystarczały znacznie mniej wygodne okrycia i leżeli na słomie rzuconej na twarde klepisko.

Pan domu i wspomniana fryzyjska służąca leżeli ciasno splecieni na dwóch następnych ławach, tuż obok niego, ale była to sytuacja niecodzienna. Zwykle Candamir z towarzyszką zajmowali oddzielną komorę za izbą, ale teraz leżała tam Asta, która zeszłej nocy powiła córeczkę. Dała jej na imię Hergilda, po ich matce.

Hacon wstał bezszelestnie i przemknął ku drzwiom. Gdy je otworzył, musiał zmrużyć oczy z powodu niespodziewanej lśniącej jasności i w tej samej chwili na gołe stopy spadła mu mała, sypka lawina. Nigdy nie przestało go fascynować, jak czysty i cichy wydaje się świat pod pierwszym śniegiem.

Chłopiec stał bez ruchu na progu i upajał się niesamowitym zapachem.

Coś skrzypnęło za jego plecami i Hacon odwrócił głowę. Candamir, oparty na łokciu, przeciągnął się.

- Co jest? - zapytał sennie.

Hacon przesunął się nieco, aby brat mógł sam zobaczyć.

Candamir usiadł, obiema rękami przetarł oczy i nic nie powiedział. Gunda

przekręciła się na bok, uniosła głowę i, nie wierząc własnym oczom, zmarszczyła nos.

- Śnieg? Cały miesiąc przed świętem Jul? - zapytała z niedowierzaniem.

- Tutaj to nic niezwykłego - odparł nieobecny głosem Candamir, który zawsze czuł się w obowiązku chronić ojczyznę przed jej fryzyjską wyniosłością. - Ile napadało, Haconie?

Chłopiec wsadził nogę w nietkniętą jeszcze białą pierzynę przed drzwiami i zaśmiał się cicho, bo śnieg go połaskotał.

- Ledwie łokieć - ocenił.

Candamir z powrotem zakopał się w posłanie.

- Dobrze. To nam nie przeszkodzi w zrobieniu tego, cośmy sobie na dziś umyślili.

Niebawem obudził się cały dom i nie trwało długo, a już dziewiczy śnieg na podwórzu został podeptany we wszystkich kierunkach - najwięcej śladów prowadziło w prawo, do ustępu za izbą. Śniadanie było mizerne, gdyż musieli mocno zaciskać pasa, każdy dostał więc po prostu miskę cienkiego rosółu rybnego. Jedyne pan domu i położnica otrzymali kilka kawałków ryby i cebuli, na których ugotowano zupę. Heide wróciła z komory z pustą miską i na pytające spojrzenie Candamira odpowiedziała skinieniem głowy.

- Czuje się dobrze, panie. Mała też.

Odetchnął. W głębi duszy obawiał się porodu siostry. Szczególnie przeraziły go wielogodzinne krzyki. Sam poród był szybki i przeszedł bez większych jęków bólu, chociaż

Asta zabroniła bratu posyłać po starą Brygidę.

- Lepiej iść do ziemi, niż pozwolić się dotknąć tej czarownicy - wyjaśniła.

- Ta stara czarownica była przy porodzie Candamira i Hacona, i żadnemu nie zaszkodziła - odparł.

Asta nie dała się jednak przekonać i córkę wydała na świat jedynie z pomocą dwóch służek.

Heide podniosła małego Fulca z ławy i postawiła przy drzwiach komory

- Idź, poszukaj mamy, mój mały Nie bój się - odwrócona do Candamira mówiła

dalej: - Tym, czego trzeba twojej siostrze, jest kąpiel.

Candamir stuknął Hacona w ramię.

- Słyszałeś? Idź napalić w saunie. Weź Saksona. Woda ma być gorąca. I dużo. Po strzyżeniu owiec trzeba będzie jeszcze wymyć wełnę. - Wstał i skinął na swoich dwóch parobków, żeby szli za nim. - Zabierzemy zwierzęta z pastwiska.

Zdjął z haka na ścianie kaftan z owczej skóry i wciągnął go na siebie. Przechodząc, położył Gundzie dłoń na szczupłym karku, nachylił się i bez skrępowania pocałował ją w usta.

Potem wyszedł.

Chwilę później wyszli też Hacon i Sakson. Śnieg przestał padać, ale niebo chmurzyło się stopniowo, przybierając trudny do pomylenia szary odcień zapowiadający następne opady śniegu. Było bezwietrznie i zimno.

Sauna była niewielką drewnianą chatką po zachodniej stronie podwórza. Znajdował się tam przedsionek, w którym można było się rozebrać oraz - w razie ochoty - ochłodzić się zimnym strumieniem po kąpeli parowej. Za szczelnie zamykanymi ciężkimi drzwiami było właściwe pomieszczenie kąpielowe: palenisko w środku służyło do grzania wody i polewania. Drewniana balia po prawej zapraszała do kąpeli, a kamienna ława po drugiej stronie służyła do tego, aby się wypocić.

Hacon zajrzał do skrzyni na drewno. Była pusta.

- Oczywiście - mruknął chłopiec. - Jakże mogłoby być inaczej!

Candamir często ganił brata za lenistwo, ale Sakson zauważył, iż to przecież naturalne, że prawie dorosły młodzieniec chętniej spędza czas z przyjaciółmi, niż szuka poważnych zajęć. Pamiętał, że sam też był taki. Chwycił pustą skrzynię.

- Ja przyniosę.

Kiedy chwilę później wrócił, jęcząc, z ciężką skrzynią wypełnioną krótkimi szczapkami, Hacon, czując się winny, zeskoczył z ławy i zaczął układać drewno w palenisku.

- Dziękuję, Sa... Austinie. Dziwne imię, wiesz?

- Naprawdę? Mnie się bardzo podoba. Mógłbym się do niego przyzwyczaić. - Tak naprawdę, to cały dom zaczął, wzorem Asty, nazywać go tym imieniem, co bardzo denerwowało Candamira.

- Co to właściwie znaczy „Austin”? - zapytał chłopak, położył na palenisku garść słomy i sięgnął po krzemień i żelazo.

- Jest to saksońska forma łacińskiego imienia Augustinus. Ono z kolei oznacza w waszym języku tyle, co „Wzniosły”.

Hacon uniósł brwi i znacząco przyjrzał się przyjacielowi od stóp do głów.

- Jak trafnie - zauważył oschle.

Sakson nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

- Masz rację. Wybrałem sobie to imię, ponieważ tak się nazywał pierwszy biskup Brytanii. Do niego pasowało doskonale.

- Co to jest biskup? - chciał wiedzieć Hacon.

- Czym na świecie jest książę, tym jest biskup w kościele.

- Aha. A co to jest książę?

„Biedne dziecko - pomyślał niewolnik, wzdychając. - W jakże barbarzyńskim, chaotycznym świecie wyrastasz”.

- Wielki wojownik, który ma wiele ziemi i na tej ziemi dzierży władzę nad wszystkim i wszystkimi.

- Coś jak Olaf? - pytał dalej Hacon.

Sakson uniósł jeden kącik ust.

- Niezupełnie. Książę służy swojemu królowi, a nie swojej zaborczości. Najlepiej, gdyby był człowiekiem mądrym i prawym. W każdym razie biskupi są ludźmi prawymi.

Wziął wielki kocioł, wyniósł go na zewnątrz i zaczął napełniać śniegiem. Kiedy przerwał, aby pochuchać na zimne jak lód palce, zobaczył Osmunda brnącego przez podwórze ku oborze, do której Candamir spędził właśnie tuzin swoich owiec. Pojawienie się Osmunda wywołało na zatroskanej twarzy Candamira szeroki uśmiech i obaj przyjaciele zaczęli się naradzać, pochyliwszy ku sobie głowy - jedną jasną jak pszenica, drugą kruczoczną.

Austin zawlókł kocioł do łaźni, zamknął drzwi i powiesił nad ogniem, po czym usiadł obok Hacona na kamiennej ławie. Teraz mogli jedynie czekać, aż woda się zagotuje. Takie czekanie w przyjemnie ciepłym, spokojnym pomieszczeniu nie było najgorszym zajęciem, jakie mogło się w tych dniach przydarzyć parobkowi. Zatarł ręce nad trzaskającym ogniem i rzekł:

- Przyszedł Osmund.

Hacon nie był zaskoczony.

- Pomoże nam ostrzyć owce przeznaczone na ubój. Nikt nie robi tego tak sprawnie jak on.

- Czemu owce strzyże się przed ubiciem? Czy nie byłoby znacznie łatwiej zrobić to później? - zapytał zdziwiony Sakson.

Tym razem to Hacona rozbawiła jego niewiedza.

- Wełna żywej owcy jest lepsza niż martwej.

Austin nie mógł uwierzyć, że wełnie wystarczy czasu, aby się zmienić, nawet, jeśli ostrzyże się zwierzę zaraz po ubiciu, ale musiał przyznać, że rzeczywiście w ogóle się na tym nie zna. Bracia od Świętego Benedykta, do których należał, zanim się tutaj pojawił, hodowali owce oraz uprawiali zboża i warzywa na własne potrzeby, on jednak miał tak zręczne ręce, że nauczono go sztuki pisania i robienia ksiąg, nie bardzo znał się, zatem na pracy w polu i hodowli.

- Wydaje się, że jest z nim lepiej - zauważył Sakson po dłuższym milczeniu. - Mam na myśli Osmunda. Nie wygląda już na tak ponurego, jak jeszcze kilka tygodni temu. Widocznie Pan wyprowadził go z mrocznej doliny.

Choć tej ostatniej uwagi Hacon nie zrozumiał, kiwnął głową.

- Tak, Candamir też to mówi. Ale Osmund nadal szerokim łukiem omija każdą kobietę. Nie spieszy mu się do ponownej żeniaczki.

- Nie spieszy - zgodził się Sakson.

- Uważasz, że to właściwe? - zapytał zdziwiony chłopiec.

- Całkowicie. Opłakuje swoją żonę tak, jak należy.

- Ale kiedyś przecież to się musi skończyć. Mały Roryk potrzebuje matki, a mężczyzna kobiety.

- Zgodnie z moją wiarą mężczyźni i kobiety powinni pobierać się właściwie tylko raz, a gdy jedno z małżonków umrze, drugie powinno pozostać w samotności - odparł mnich. - Jedyńm powodem ponownego ślubu jest niebezpieczeństwo, że w przeciwnym razie padliby ofiarą grzechu cielesnego.

Hacon zmarszczył czoło.

- Czego?

- Pożądania. Wiesz przecież, o co mi chodzi... - Austin zarumienił się i spojrział w ogień.

Teraz już Hacon wiedział, o czym tamten mówi, gdyż, Sakson rumienił się tylko wtedy, gdy chodziło o to, że mężczyźni i kobiety kładą się razem.

- Nigdy tak do końca nie jestem w stanie pojąć, co rozumiesz przez „grzech”.

- Popęłnić grzech to złamać zakaz albo przekroczyć boskie przykazanie. Zrobić coś złego.

- Ależ to, co robią mężczyźni i kobiety, nie jest zakazane ani złe. Zwierzęta też to robią, a zwierzęta nie znają dobra i zła.

„Prawie filozof z tego młodego Hacona” - pomyślał Sakson rozbawiony.

- W mojej religii grzechem jest, kiedy się to robi bez bożego błogosławieństwa.

- Bóg daje to błogosławieństwo każdemu mężczyźnie i każdej kobiecie tylko jeden raz? A co wtedy, gdy stwierdzą, że się nie rozumieją, i się rozstają?

Sakson stanowczo pokręcił głową.

- Prawdziwym chrześcijanom to się nie zdarza. Człowiek wiąże się na całe życie, bo małżeństwo jest uświęcone przez Boga. Jak już jednak mówiłem, gdy jedno z małżonków umrze, Bóg przymyka oczy i pozwala na powtórny ślub, aby zapobiec jeszcze większemu złu.

- Niesamowite, jak twój bóg miesza się w życie swojego ludu - zauważył Hacon w zamyśleniu. - Że też ma na to czas.

- Uhm... Jest wszechmocny i dlatego może robić sto rzeczy równocześnie.

- Mieszać się w sto ludzkich żywotów naraz, powiadasz - przekomarzał się chłopiec szyderczo. - Ale powiedz mi, co twój bóg ma z tego, że mężczyźni i kobiety nie śpią ze sobą?

- Nie, jest odwrotnie. To ludzie mają coś z tego. Wstrzemięźliwość uwzniośla duszę.

„W takim razie moja dusza zapewne szybuje gdzieś w obłokach” - pomyślał Hacon ponuro, ponieważ, mimo że bardzo pragnął pozbyć się swojej niewinności, wciąż jeszcze jej nie stracił.

- Chcesz, zatem powiedzieć, że Osmund jest lepszym człowiekiem niż, powiedzmy, mój brat? - zapytał wreszcie.



Sakson bez wahania skinął głową.

- Pod tym względem tak.

- Myślisz, że twój bóg nagradza go za to najlepszym stadem owiec? - pytał dalej Hacon.

- Nie. Mój Bóg nagradza ludzi prawych na tamtym świecie. Przecież wiesz, opowiadałem ci o tym.

Hacon potwierdził.

- Na Osmunda nie spływa jakieś szczególne błogosławieństwo w formie ziemskiej nagrody, mimo jego dobrej trzody - ciągnął Austin. - Haruje niestrudzenie, aby wydobyć coś z tego beznadziejnego skrawka ziemi, lecz oczywiście bez powodzenia. Teraz dodatkowo stracił żonę, do której był przywiązany bardziej, niż kiedykolwiek widziałem to u jakiegoś mężczyzny. Mówiąc między nami, Haconie, mnie samemu trudno czasem pojąć, według jakiej miary Bóg ludziom tu, na ziemi, przydziela szczęście i nieszczęście.

Hacon przez chwilę zadumał się nad tym.

- Czemu współczujesz Osmundowi? - chciał się dowiedzieć na koniec. - Zawsze traktuje cię gburowato i z góry.

Austin z uśmiechem wzruszył ramionami.

- Jest mądry i dlatego boi się potęgi mojego Boga. Czasem wyladowuje się na mnie, ale to nie jest przecież takie złe.

W końcu to on ocalił mi życie, gdy tu przybyłem.

- Oddał ci w ten sposób wielką przysługę, co? Teraz wegetujesz tu, w poniżającym niewolnictwie. Gdyby cię zabił, zostałbyś męczennikiem i mógłbyś siedzieć u tronu swojego boga, czyż nie?

Sakson z cichym śmiechem skinął głową i położył chłopcu rękę na ramieniu.

- Dobrześ to ujął, Haconie. Ale, jak widać, nie byłem na to jeszcze gotowy. Spójrz, woda wre. Napelnijmy kocioł jeszcze raz, zanim twój brat przyłapie nas tutaj na nieróbstwie i z nas obu uczyni męczenników.

Nie było słyhać nic poza odgłosami strzyżenia tłumionymi gęstą sierścią owcy.

Osmund strzygł równomiernym, pewnym ruchem - z przyjemnością się na niego patrzyło. Do Candamira nie docierało jednak to, co widziały oczy. W myślach był gdzie indziej: na dalekim błękitnym morzu, na nieznanym wybrzeżu.

- O czym myślisz? - zapytał Osmund, gdy miał już dość milczenia.

- Nie wiem - wyznał przyjaciel, schylił się, podniósł całe naręcze wełny i wetknął je do wielkiego wiklinowego kosza stojącego nieopodal.

Osmund wstał, uwolnił owcę, którą ścisnął między kolanami. Ta, becząc, odeszła kilka kroków, odwróciła łeb, rzuciła mu spojrzenie pełne wyrzutu, po czym stanęła naga i drżąca na podwórzu.

- Tak, becz sobie, póki masz, czym oddychać - zagadał do niej. - Gdybyś wiedziała, co dla ciebie szykuje się dziś po południu, beczalabyś jeszcze głośniej.

Candamir zaśmiał się cicho, ale zaraz znowu spowaźniał.

- Wyjechać... - szepnął w rozterce.

Osmund ściągnął gruby skórzany kaftan i otarł czoło.

Przy postrzyżynach człowiek zawsze się poccił, nawet na takim zimnie.

- Tak się zachowujesz, jakby ten pomysł był dla ciebie czymś nowym.

- Nie - Candamir złapał kaftan, który Osmund mu rzucił, i przewiesił go przez wrota. - Już od dawna o tym marzę, przecież wiesz.

- Jednak marzyć i poważnie rozważać to dwie różne rzeczy - stwierdził Osmund. I zawołał: - Gdzie się podziewasz, Haconie? Przeprowadź następną.

Hacon wyszedł z obory. Wielką szarawą owcę prowadził na postronku, który wcisnął w wyciągniętą rękę Osmunda.

Następnie chłopiec włożył jeszcze jedno naręcze wełny do przepelnionego już kosza, gwizdnął na parobka i gestem pokazał mu, żeby zaniósł kosz do izby. Candamir pokręcił jednak głową i stuknął brata w szczupłą pierś.

- Ty zanieśiesz wełnę. Pora, żebyś sobie wyrobił trochę mięśni.

Hacon zagryzł zęby, aby nikt nie widział, że ta drwina go dotknęła, założył na siebie rzemienie kosza, wyprostował się i zachwiał niepewnie. Najszybciej jak umiał poszedł do izby, nie na tyle jednak szybko, żeby nie usłyszeć bezlitosnego śmiechu.

Przyjaciele znów zostali sami. Podczas gdy Osmund cierpliwiej owcy kradł kożuch, którego zresztą w tej chwili nie potrzebował, Candamir zapatrzył się w dal ku

pagórkowatym pastwiskom ciągnącym się aż pod las. Gęste jodły za pastwiskami stały cicho i nieruchomo. Pod ciężkimi czapami śniegu wyglądały równie majestatycznie, co pięknie.

Chociaż Osmund patrzył na swoje dłonie, czuł chyba, co Candamirowi chodzi po głowie, bo powiedział:

- Niewiele byśmy tu zostawili. Chociaż ty więcej niż ja, muszę przyznać.

Candamir prychnął pogardliwie.

- Ziemia z każdym rokiem rodzi mniej, a połowa należy się Haconowi. Kiedy dorosnie i ją przejmie, nam obu nie wystarczy, aby przeżyć. Może się nawet poróżnimy, jak twój ojciec i stryj - założył ręce na piersi. Czuł się niezręcznie, tak beczynnie przyglądając się pracy Osmunda. - To myśl, która trapi mnie już od dawna - wyznał po krótkim milczeniu.

Rzeczywiście - to przyszłość była właśnie jego największym zmartwieniem, Osmund zaś był jedyną osobą, której mógł się zwierzyć.

- Nie, mimo całego piękna tego miejsca mógłbym się z nim rozstać bez żalu - dodał. - Ta ziemia nie nadaje się już, bowiem do niczego więcej, jak tylko do mnożenia wątpliwości. Mam jakieś opory, jeśli chodzi o Olafa.

Osmund kiwnął głową.

- Wiem.

- Po prostu mu nie ufam.

- Wiem - powtórzył Osmund nieco ostrzej.

Sam nigdy nie wiedział do końca, co myśleć o Olafie, ponieważ był to jednak jego stryj, czuł się w obowiązku brać jego stronę, gdy Candamir lub ktokolwiek inny źle się wyrażał o bogatym kupcu. To właśnie z powodu swojego majątku Olaf wywoływał tyle niezasłużonej niechęci - i to wydawało się Osmundowi niesprawiedliwe. Teraz powiedział jednak tylko:

- Żeby z nim żeglować nie trzeba mu koniecznie ufać.

- Nie? Co to za kraj? Gdzie leży? Co tam jest? Tylko twój stryj zna odpowiedzi na te wszystkie pytania. Popłynąć z nim to zdać się na jego łaskę i niełaskę.

- Przyznaję. - Osmund wypuścił ostrzyżoną owcę, rozprostował plecy i podszedł do Candamira. Oparli się o wrota.

- Nie ma on jednak zamiaru żeglować ku nieszczęściu. On robi tylko to, co może mu przynieść zysk. A co jest jego zyskiem, może być też naszym. Ryzyko jest ogromne, co do tego nie ma wątpliwości. Nawet Olaf nie wie dokładnie, gdzie ten kraj, ta wyspa leży. Odkrył ją przypadkiem, gdy sztorm zniósł go z kursu. Potężny sztorm, który trwał dwanaście dni. W drodze powrotnej było podobnie i tylko pomocy bogów zawdzięcza, jak powiada, że wreszcie znalazł się znów na znajomych wodach. Zupełnie więc nie wiadomo, jak tam trafić. Jedynie napotykając znowu sztorm, zdołamy znaleźć wyspę. Ale jeśli ją znajdziemy, Candamirze... - urwał i potrząsnął głową.

- Tak? Jeśli ją znajdziemy? Co wtedy? - naciskał Candamir. Cały zamienił się w słuch.

- Leży gdzieś na południowy wschód od kraju Franków - ciągnął Osmund z niezwykłym jak na niego rozmarzeniem w głosie. - Co oznacza, że zimy są tam krótkie i łagodne. Ziemia jest żyzna, można dwa razy do roku zbierać z pola. Wyobrazasz sobie? Olaf nie wie dokładnie, jak rozległa jest ta wyspa, ale próbował ją opłynąć, a kiedy pogoda zmusiła go do zawrócenia, miał za sobą już trzy dni i w końcu nie dotarł nigdy do południowego krańca. Ziemi jest tam pod dostatkiem, Candamirze. Dla wszystkich klanów z Elasundu i wiosek nad rzeką, które byłyby skłonne podjąć ryzyko.

- Hm... - mruknął Candamir. Zabrzmiało to trochę jak powątpiewanie, trochę jednak jak przyznanie racji. - Taka żyzna, cudowna kraina nie jest raczej niezamieszkana.

Osmund potrząsnął głową.

- Ale żyjący tam ludzie są zgodliwi i nieliczni. Jedyna broń, jaką posiadają, to ta, która im służy do polowania i połowu. Odebranie im tego kraju i zrobienie z nich niewolników byłoby dziecinnie łatwe.

- W każdym razie: brzmi nieźle. Ale skąd Olaf to wszystko tak dokładnie wie?

- Był u nich dwa tygodnie. Byli życzliwi i dobroduszni, pomogli mu też naprawić statek. Olaf przyjrzał się, jak żyją.

Candamir musiał przyznać, że wygląda to obiecująco.

- Wiesz, sędzę, że muszę to trochę przemyśleć - powiedział wreszcie.

Osmund kiwnął głową i przyprowadził z obory następną ofiarę.

- Powinieneś. I to solidnie. Olaf powiada, że jeśli chcemy się tego podjąć, to musimy szybko decydować, żeby zdążyć jeszcze do wyprawy namówić ludzi znad rzeki,

zanim napada tyle śniegu, że nawet w nartach się nie przejdzie. Jego prawo. Ale trzeba rzecz dobrze rozważyć. Bo jeśli poześlujemy i naprawdę rozpęta się taki sztorm, jaki Olaf opisywał, to nasza decyzja może się okazać nieodwracalna.

- Dlaczego Olaf akurat ciebie wtajemniczył pierwszego? - zapytał Candamir. - Nie jesteście sobie przecież tacy bliscy. Po śmierci twojego ojca palcem nie kiwnął, żeby ci pomóc. Skąd ten nagły przypływ uczuć rodzinnych?

Osmund drwiąco podniósł kącik ust.

- To nie ma nic wspólnego z uczuciami do rodziny. To plan, którego przy całym swoim złocie nie przeprowadzi, a uda mu się to tylko wtedy, gdy znajdzie w Elasundzie spore poparcie. Olaf to człowiek, który sam siebie nigdy nie oszukuje. Wie doskonale, że wielu mu nie ufa. Liczy na to, że przekonam ciebie, a my wspólnie w osadzie każdego, kto sam odrzuciłby ten plan tylko, dlatego, że pochodzi akurat od Olafa. Dotyczy to zwłaszcza kowala Haralda.

Candamir stanowczo pokręcił głową.

- Tak czy inaczej, byłaby to wyprawa w nieznanne i każdy musiałby sam rozważyć, czy chce narażać rodzinę na takie niebezpieczeństwo. Właśnie to budzi moje poważne podejrzenia: dlaczego, na wszystkich bogów, Olaf miałby być skłonny do podjęcia tak ogromnego ryzyka? Jest bogaty! Jego domostwo to twierdza. Turończycy nic nie mogą mu zrobić.

- Mylisz się - zaprzeczył jego przyjaciel. - Olaf nie chciał, żeby się to rozeszło, ale Turończycy także i jego boleśnie ugodzili: płonąca strzała podpałiła stajnię i wszystkie jego rumaki padły.

- O, potężny Tyrze! - mruknął Candamir. Żał mu było nie tyle Olafa, ile jego wspaniałych koni.

- Nie będzie musiał głodować z tego powodu - ciągnął Osmund. - Chciał jednak na wiosnę połowę zwierząt zawieźć na południe i sprzedać. Ta strata bardzo go dotknęła. Nie zapominaj też, że Olaf ma pięciu synów. Może i jego włości to sporo ziemi, ale dla tak wielu nigdy nie wystarczy. Jared i Lei, dwaj najstarsi, już teraz są zaciekłymi wrogami. Olaf boi się o pokój i przetrwanie swojego klanu, Candamirze, tak samo jak ty.

Candamir pogładził brodę. Wyjaśnienia Osmunda brzmiały rozsądnie, ale nie rozwiąły wątpliwości wobec Olafa.

- Może i tak - mruknął niechętnie. - Ale nie jestem tak głupi, żeby namawiać do przedsięwzięcia, którego wynik jest całkowicie niepewny.

Kiedy jednak to mówił, poczuł wzbierającą w nim tęsknotę, która nachodziła go czasem, gdy zawędrował aż na cypel i patrzył na otwarte morze. Jego ludowi właściwy był niepokój i duch przygody Jakże kusi, aby zostawić za sobą wszelkie troski, całą tę biedę, i gdzieś daleko poszukać szczęścia...

Przy dalszej pracy rozmawiali jednak o innych sprawach. Kiedy zaczęło zmierzchać, osiem owiec już ostrzyżono, a cztery z nich zaszlachtowano i oprawiono. Stwierdzili, że to niezły wynik jak na tak krótki dzień, umyli się w ciepłej wodzie, czekającej na nich w łaźni, i poszli do izby

W izbie panował ruch: Hacon i Sakson, wraz z dwoma parobkami i dwiema służącymi, sortowali i myli wełnę. Asta siedziała przy ogniu, na ławie obok krzesła rodowego. W ramionach trzymała maleńką śpiącą córeczkę. Fulc siedział obok, a między matką i synem po ławie kursował niezbyt zręcznie wystrugany okręcik. Fulc cicho, ale zadziwiająco dobrze naśladował szum wiatru.

Candamir i Osmund wkroczyli do środka. Candamir stwierdził z zadowoleniem, że siostra zadbała o siebie: miała na sobie szaroniebieską koszulę z długimi rękawami i beżową suknię, należącą niegdyś do jej matki, co obaj mężczyźni od razu zauważyli. Rozpoznali także owalne klamry w kształcie muszli, misternie wykute w brązie, którymi przypięła ramiączka sukni. Ozdoby te były połączone krótkim łańcuszkiem z polerowanych kamieni półszlachetnych.

- Oby łaska bogów towarzyszyła wszędzie twojej córce, Asto - powiedział Osmund.

Spojrzała na niego.

- Dziękuję, Osmundzie. - Jej uśmiech nie zdołał go jednak zmylić. Od razu spostrzegł, że płakała.

Od czasu przybycia Asty nie widywali się często, a jeśli nawet, były to przelotne spotkania, przy których wymieniali tylko kilka błahych słów. Świadomie starała się, by ich drogi się nie krzyżowały. Jej zachowanie było co najmniej osobliwe.

Asta była trzy lata młodsza od Osmunda i w dzieciństwie traktowali się jak brat i siostra. On zawsze uważał jednak za oczywiste, że pewnego dnia wezmą ślub. Jej ojciec

tak zdecydował i wydawało mu się to naturalne. Później ich losy potoczyły się inaczej i oboje mieli z tego powodu wyrzuty sumienia. Od czasu, gdy Asta zamieszkała w Elbmgdal, minęły cztery lata i dziś byli sobie obcy. Kiedy jednak teraz spojrzeli na siebie i każde rozpoznało w oczach drugiego własny ból, bliskość z czasów dzieciństwa nagle powróciła.

- Wiele razy zapewniali mnie, że to minie - usłyszał Osmund własne słowa.

Asta na chwilę przymknęła oczy i skinęła głową.

- Tak, też to słyszę trzy lub cztery razy na dzień.

Osmund przejechał dłonią po czuprynie Fulca.

- Ładny chłopczyk. Przypomina ojca.

- Tak w każdym razie twierdzi kucharka, gdy mały jest niegrzeczny. Mnie się on wydaje podobny do Candamira.

- Zapewne przypomina go niegrzecznym zachowaniem.

Candamir przewrócił oczami i natychmiast wyszedł, aby przynieść dzban mocnego piwa. Asta i Osmund cicho się zaśmiali, po czym Osmund przysiadł się do niej i teraz już rozmawiali ze sobą ufnie i swobodnie.

Podejrzanie długo trwało, zanim Candamir wrócił z piwem. Spragnieni przyjaciele opróżnili po dużym kuflu, poczym zdjęli ubrania i wzięli się do pracy. Nad paleniskiem grzała się woda, którą w drewnianych baliach mieszano z zimną wodą oraz mydłem wyrobionym z wapienia, popiołu i tranu. W tym ługu moczono wełnę i dwukrotnie myto. Nad wszystkim unosiła się para i jak mgła rozchodziła się po izbie. Parobkowie podwinęli spodnie, służące podkasały spódnice, wszyscy weszli do balii i deptali, aby z wełny wypłukać brud. Śpiewali, śmiali się i zachęcali nawzajem do coraz szybszego tempa, aż woda chlapała na podłogę. Najwięcej temperamentu ze wszystkich miała Gunda. Unosząca się para zaróżowiła jej policzki i poskręcała jej długie do pasa blond włosy w ciasne loki. Właściwie nie wyglądała na kogoś, kto myje wełnę. Robiło to raczej wrażenie uroczego tańca. Bez oporów pokazywała swoje kształtne łydki.

Candamir wypłukał wymytą wełnę w zimnej wodzie na podwórzu. Kiedy wrócił, zauważył spojrzenie, jakie jego przyjaciel skierował na fryzyjską dziewczkę. Postawił ociekający kosz na podłodze niedaleko ognia i powiedział niedbale:

- Może tu przenocujesz?

Osmund pospiesznie odwrócił wzrok i z żalem pokręcił głową.

- Bardzo chętnie, wierz mi. Ale...

- Ale co? Daj spokój! Już pora, żebyś zaczął znowu żyć. Gundzie też sprawiłbyś prawdziwą radość, wiesz - dodał bez szczególnego nacisku. - Od letniej sobótki wodzi za tobą tęsknym wzrokiem.

Osmund aż się zatoczył.

- Bo ja myślałem, że ty... Że ty i ona...

Candamir uśmiechnął się i wzruszył ramionami. W duchu przyznał, że niechętnie dzieli się swoją Gundą, ale uznał, że w tym przypadku posłuży to naprawdę dobremu celowi. Pociągnął przyjaciela w kierunku paleniska, rozsiadł się w krześle i wskazał Osmundowi honorowe miejsce naprzeciw siebie.

- Odlóżcie wełnę do jutra i bierzcie się za gotowanie - polecił służbie. Saksonowi zaś rozkazał: - Przynieś piwa. Bierz tylko duże dzbany I niech nie będą puste. Od jutra oszczędzamy - dodał, bo przewidział, co na to powie siostra.

Jeszcze przed posiłkiem Osmund i Candamir zdążyli wlać w siebie taką ilość mocnego piwa, że Sakson był przekonany, że gdyby go poproszono do wspólnej biesiady, jak to już bywało, to teraz leżałby półżywy w sianie. Tym razem go oszczędzili, bo na ofiarę wybrali sobie biednego Hacona i - opróżniając kolejne kufle - zachęcali go drwiąco.

- Pij, pij, pij! Chłop jesteś czy mysz?

Potem po obu stronach paleniska ustawiono blaty na kozłach i służące wniosły garnek z rybą duszoną w grzybach. Każdemu dostał się nawet kawałek chleba. Domownicy siedzieli na ławach po prawej i po lewej stronie honorowego krzesła. Osmund, jako jedyny gość, siedział sam po drugiej stronie ognia.

- Gdybyśmy się jednak zdecydowali, Osmundzie, to kiedy byśmy ruszali? - zapytał Candamir między jednym a drugim kęsem.

Spojrzenie Osmunda uparcie wędrowało ku Gundzie, natychmiast wrócił jednak myślami do przedpołudniowej rozmowy.

- Wiosną - odparł. - Jak najwcześniej. Zanim przyplyną przekłeci Turończycy i doprowadzą nas do ostateczności.

- Ruszali, dokąd? - zapytał Hacon, nie rozumiejąc.



- Nie zaprzataj sobie tym głowy - odpowiedział Candamir krótko. - Lepiej dopij swoje piwo. - Zwrócony ku Osmundowi ciągnął: - Czy ten sztorm, który Olafa tam zapędził, był wiosenny?

Osmund skinął głową i spojrział do kufła.

- Kiedy to niby było? Dlaczego nikomu do tej pory o tym nie opowiadał? Nie robi przecież tajemnicy ze swoich przygód i rzekomych chwalebnych czynów.

- Przed dwoma laty Trzymał to dla siebie, gdyż początkowo zamierzał z tamtymi ludźmi handlować. A rynku, oczywiście, nie chciał z nikim dzielić. Teraz jednak, powiada, gdy sprawy tak marnie stoją i robi się coraz gorzej, pojawił wreszcie, w jakimś takim naprawdę celu bogowie zagnali go na tamtą wyspę.

- Wyspę? Bogowie? O czym mówicie? - wtrąciła się zirytowana Asta.

Sakson, który z powodu swojego powołania był przyzwyczajony do odkrywania znaczeń zagadkowych wypowiedzi, nie musiał się zbytnio trudzić, żeby z tych dziwnych wskazówek zbudować sobie obraz całości.

- Olaf chce porzucić Elasund i szukać nowej ojczyzny? - zapytał zdumiony. - A gdzie, przepraszam, jakoby jest ta wyspa? Przed szkockim wybrzeżem, jak mniemam.

Candamir pokręcił głową.

- Znacznie dalej. Na zachodnim morzu.

- Och, to wspaniale - mruknął Austin pod nosem. - Na morzu, z którego jeszcze nikt nie wrócił...

Siedział po lewej stronie swojego pana, co było miejscem honorowym, lecz, niestety, oznaczało też, że znajdował się stale w zasięgu ciosu. Mocny kopniak trafił go w nogę.

- Czemuż to kufel mojego gościa jest pusty, nicponiu? I mój też. Rusz się.

Austin pospiesznie wstał i chwycił puste kufle.

- Nie zapomnij o Haconie - przypomniał Osmund złośliwie.

Chłopak odważnie się uśmiechnął.

- Wyływamy, Candamirze? - zapytał, rozdarty między trwogą i podekscytowaniem.

Candamir podniósł lewą dłoń w obronnym geście.

- Nie. To jest tylko nedorzeczny pomysł. Olaf to sobie umyślił, bo pewnie w

portki robi na samą myśl, że Turończycy mogliby wiosną znów się pojawić.

- Nie jest w tym jedyny - wymamrotał Hacon.

„Nie jest, to prawda” - musiał przyznać w duchu Candamir.

- Cóż, nie wiem... - mruknął. - W każdym razie musiałbym dowiedzieć się jeszcze mnóstwa rzeczy, zanim podjąłbym taką decyzję. Sprawa zależy nie tylko od nas. Coś takiego może się udać tylko pod warunkiem, że wyruszymy całą flotą.

- Aha - powiedział Sakson i odstawił kufel. Trochę piany spłynęło na blat. - Czyli ta tajemnicza wyspa jest, niestety, zaludniona, wy zaś chcecie z jej mieszkańcami zrobić to, co Turończycy zrobili z wami.

- Albo Anglicy i Sasi z Brytami - wtrącił Osmund z groźnym, choć na pozór miłym uśmiechem.

- Cóż - rzekł z rozważą Hacon. - Turończyk, którego pojмалиśmy, miał właściwie rację: niech każdy patrzy swego. Kto nie potrafi bronić swojej ziemi, ten ją straci, prawda? - wyraźnie pożądlawie sięgnął po swój kufel, zaczął pić, przy czym niewiarygodnie powoli przechylał się do tyłu, aż wpadł za ławę.

Wszyscy buchnęli śmiechem. Candamir podniósł się szybko - jeszcze się nie zataczał - i postawił brata na nogi.

- Żeby ci tylko nie przyszło do głowy zarzygać całej izby - ostrzegł.

Hacon żarliwie pokiwał głową i stracił świadomość.

Candamir podniósł go, przerzucił sobie przez ramię, jak by to był słomiany chochoł, wyniósł go na zewnątrz i posadził na zaśnieżonym gruncie z plecami opartymi o ścianę osłoniętą od wiatru. Z własnego doświadczenia wiedział, że zimne, świeże powietrze jest w tym stanie najlepsze. Był pewny, że brat jest zanadto pijany żeby zamarznąć, mimo to zdecydował, że za godzinę weźmie go z powrotem do domu.

Upewnił się, że chłopcu niczego nie brak, przyniósł futrzaną kapę i okrył go. Dłonie Candamira były w tym momencie delikatniejsze, niż Hacon kiedykolwiek tego doświadczył, będąc trzeźwym.

Wróciwszy do ciepłej izby, Candamir zatrzymał się na chwilę przy Gundzie i cicho powiedział do niej kilka słów.

Wysłuchała i niezdecydowanie kiwnęła głową.

- Skoro takie jest twoje życzenie...

Obdarował ją promiennym uśmiechem. Gunda była dziewczyną dumną. Utrzymywała, że jest córką głowy klanu i jej rodzina została siłą rozdzielona w czasie nocnej napaści piratów, ale oni wszyscy zawsze tak twierdzili. Równie dobrze mogło być tak, że jej ojciec miał zbyt dużo córek, a potrzebował pieniędzy, sprzedał ją, więc przepływającym handlarzom niewolników, od nich zaś kupił ją zeszłej wiosny Candamir. Cokolwiek było prawdą, jemu nie robiło to różnicy. Nie chciał jej jednak zranić.

- Tylko ten jeden raz - wyjaśnił.

- Cóż, przyznaję, że pewne rzeczy przychodzą mi z większą trudnością, panie.

Chociaż o tym wiedział, wolałby, żeby tego nie powiedziała.

- Widzisz... - odparł chłodno.

- Ale jestem przy nadziei.

„O, potężny Tyrze, bądź przy mnie!” - pomyślał spłoszony. W przeciwieństwie do Osmunda nie pociągało go zostanie ojcem. Był śmiertelnie przerażony. Odezwał się jednak po prostu:

- I co dalej?

- Chciałam tylko, żebyś wiedział. Jest przy tym jasne, że to twój syn. Oczywiście, jeżeli będzie to chłopiec.

- To już wiem - odpowiedział obojętnie. - Teraz idź, przynieś mu trunku i usiądź przy nim. Zanim moja siostra położy się spać.

Gunda się uśmiechnęła.

- Aha. Teraz już wiem, do czego jesteś zdolny.

- Uhm... - warknął Candamir. Musiał przyznać, że dzielił się swoją Gundą bardzo niechętnie. Ktoś musi się jednak postarać, żeby ludzie byli razem, skoro bogowie widocznie się tym nie przejmują.

Daleko było jeszcze do końca uboju, peklowania i wędzenia na podwórzu Candamira, a także Osmunda, gdy nadeszła pierwsza sroga śnieżycy i udaremniła wszelkie zajęcia na powietrzu.

Mężczyźni siedzieli, więc w izbie przy ogniu i robili wszystkie konieczne rzeczy, na które nie było czasu przez te tygodnie od napadu Turończyków, ponieważ każdy był zajęty jedynie gromadzeniem nowych zapasów, aby zdążyć jeszcze przed nadejściem zimy Tjorv i Nori, dwaj niewolnicy, których Candamir odziedziczył jeszcze po ojcu,

drażyli wgłębienie w dużym odłamku steatytu, zwanego słońcem, i wygładzali spód. Już teraz było widać, że powstanie z tego garnek. Tjorv był biegłym kamieniarzem, i jeżeli nuda podczas zimy zrobi się nie do zniesienia, pięknie ozdobi garnek, zapewne wilczymi głowami albo wykrzywionymi twarzami trolli - czymkolwiek, co mogłoby rozzłościć starą kucharkę.

Kobiety przędały, wszystkie poza Astą, która szła dla Hacona nowy kozuch, bo z poprzedniego już wyrósł. Sam Hacon, lepiej lub gorzej, rzeźbił z kości wołu łyżkę do butów. Wyjątkowo głośne wycie, niczym głos złego ducha, rozległo się po domu. Hacon przerwał pracę i spojrzał pod dach, ale stan strzechy go nie zmartwił. Tak gruba czapa lodu i śniegu zdążyła już przykryć dach, że wiatr nie był w stanie go zerwać.

Przyjemny dreszcz przeszedł mu po plecach. Jakże przytulnie jest w tej izbie, gdy śnieżycy sroży się na dworze. Wstał, aby dorzucić drewno do ognia, ale Candamir powiedział:

- Powoli, Haconie. Chyba, że chcesz iść po nowe drewno jeszcze przed ustaniem burzy

- Nie, niekoniecznie - przyznał chłopiec, krzywiąc się.

Candamir skinął głową z tym swoim nieobecny uśmiechem.

- Dalej, Heide! - poprosił kucharkę. - Władca olbrzymów porwał, więc młot Thora i zażądał w zamian Freję za żonę. Mogę sobie wyobrazić, że Thorowi się to nie spodobało.

- Racja, panie - potwierdziła kucharka z krzywą miną. - Opowiadała dalej: - Gniew bogini Frei zatrzęsł całym Asgardem i odmówili. Byli bezradni, ponieważ bez młota Thora, o czym bogowie wiedzieli, nie byli w stanie oprzeć się atakowi olbrzymów. W końcu przebiegły Loki zaproponował, że sam Thor mógłby się przebrać w strój oblubienicy, udać się do siedziby olbrzymów i wydać się za męża jako Freja. Thor był wściekły. Obawiał się, że jeśli to zrobi, bogowie będą go, Gromowładnego, nazywać zniewieściałym. Wymowny Loki przekonał go jednak, że jest to jedyny sposób. Odziano więc Thora w lniane szaty oblubienicy i kobiecą suknię, założono mu też welon. W takim stroju udał się do siedziby olbrzymów, a oczy króla rozbłysły radością i pożądaniem, bo Thor wyglądał jak Freja. Zaprowadził oblubienicę na ucztę i tylko dziwił się wielce, że zjadła tak ogromny stos ryb, a szczególnie go zaskoczyło to, że tak wiele miodu wypła.

Przebrany Thor wyjaśnił mu jednak, że z tęsknoty za oblubieńcem pościł osiem dni i osiem nocy Wzruszony król olbrzymów kazał przynieść obiecany dar ślubny i położył go swojej oblubienicy na łonie. Wtedy Thor porwał się z ławy, zdarł z twarzy welon, zamachnął się odzyskanym młotem i zatłukł króla olbrzymów oraz cały jego ród.

Heide opowiadała z furią. Przy ostatnim zdaniu głęboko odetchnęła z satysfakcją, przy czym jej obfity biust podniósł się i opadł jak sztormowa fala.

- Wspaniale, Heide! - pochwalił Hacon i zaklaskał w dłonie. - Cudownie opowiedziane.

Candamir przyznał mu rację. Uwielbiał tę opowieść.

Przez chwilę pozostał jeszcze przy niej myślami, wyobraził sobie skrzywionego Thora w niewieścich szatach i zaśmiał się w duchu, po czym podniósł głowę i powiedział:

- Podejdź, Saksonie.

Austin trzymał uprzedzoną wełnę, aby Gunda mogła ją zwijać na motek. Niewolnica twierdziła, że Austin jest w tym najlepszy, bo potrafi tak pięknie nieruchomo wytrwać w jednej pozycji. Ostrożnie odłożył zwój na ławę, wstał i podszedł do Candamira. Ten trzymał w dłoni swój zabójczo ostry sztylet - zwany saksem - i wskazał kawał foczej skóry, która leżała rozciągnięta na ławie.

- Postaw na niej stopę.

Niewolnik cofnął się przerażony i zrobił krok w tył.

- Ale... Co ja zrobiłem, panie?

Candamir spojrzał na niego zdziwiony i zaśmiał się, widząc jego przestraszoną minę.

- Zupełnie nic. Co ty sobie wyobrażasz? Ze chcę ci oderznąć stopę? Dostaniesz parę butów, ot co.

Sakson odetchnął. W jego ojczyźnie było czymś zwyczajnym, że niewolnikowi, który za bardzo ukochał wolność, przeciągano cienki rzemień przez piętę. Chociaż obyczaj ten widocznie był tu nieznanym, pozostając pod wrażeniem tej okropnej opowieści z nieuniknioną masakrą na końcu, przez chwilę wierzył, że Candamir chce z niego uczynić chromego kalekę.

- Butów, panie? - zapytał, nie rozumiejąc. Przez ostatnie dwie zimy nie miał

żadnych butów. Kiedy w pierwszym roku skarżył się, że marzną mu nogi, Candamir cierpliwie mu wyjaśnił, że niewolnicy chodzą boso z tego samego powodu, z jakiego krótko strzyże się im włosy: żeby nigdy nie zapominali, jak niska jest ich pozycja.

- Tak, właśnie. A także parę nart. Jeśli zamierzasz jeszcze dziś zrobić to, co mówię.

Austin pospiesznie postawił stopę na skórze i wytrzymał nieruchomy jak skała, gdy Candamir zaznaczał końcem noża obrys jego stopy.

- Teraz druga.

Sakson nasłuchiwał i czekał, aż te niebezpieczne przygotowania dojdą do szczęśliwego zakończenia, po czym zapytał:

- W jaki sposób uzyskam wyższą pozycję, panie?

Candamir wziął się za wyrzynanie podeszew. Austin podziwiał jego kunszt - nóż ani razu nie zboczył z narysowanej linii.

- Mam dla ciebie zadanie - wyjął Candamir przyciszonym głosem, nie spuszczać wzroku ze swojej pracy. - Nie jest takie proste, wymaga mądrości i zręczności. - Nagle podniósł wzrok i uśmiechnął się do swojego niewolnika. - Czyli w sam raz dla ciebie.

Sakson nie spodziewał się niczego przyjemnego.

- Zawsze się denerwuję, gdy mi pochlebiasz, panie - wyznał. - O co chodzi?

Candamir rozejrzał się szybko, aby się upewnić, że nikt ich nie słyszy. Ale Nori właśnie zaczął jedną ze swoich obscenicznych opowieści i wszyscy jak zaczarowani wisieli wzrokiem na jego ustach.

- Widziałeś spichlerz Osmunda? - zaczął pan domu głucho.

- Oczywiście.

- To, co ma, wystarczy w najlepszym razie do święta Jul.

- Tak, wiem.

- Hm... Będiesz tam chodził noc w noc i trochę powiększał jego zapasy. Po kryjomu, ma się rozumieć. Przemycisz mu do beczki tuzin śledzi, od czasu do czasu dopełnisz mu worki miską mąki. Pod żadnym pozorem nie może cię zauważyć, bo by go to obraziło.

Sakson kiwnął z przekonaniem głową.

- Jeśli mnie nakryje, to mnie zabije.
- Raczej nas obu. Widzisz, powierzam ci swoje życie.
- Jestem wzruszony, panie. Nie zobaczy śladów nart?

Candamir beztrząsco pokręcił głową.

- W najbliższych tygodniach i tak, co noc będzie padał śnieg, przysypie, więc twoje ślady Nawet gdyby nie padało, to między jego domem a moim zawsze chodzi tak wielu ludzi, że jeden trop więcej się nie wyróżni.

Austin w zamyśleniu skinął głową i głęboko oddychał.

- Pięknie. Ale czy obejrzałeś porządnie nasz spichlerz i zadałeś sobie pytanie, na jak długo nam wystarczy to, co mamy? Ja wiem, Osmund to twój serdeczny przyjaciel, ale przecież z całą pewnością nie przetrwamy zimy, jeżeli coś oddamy...

- Zdaje się, że znowu się zapominasz - Candamir ostro wpadł mu w słowo. Potem demonstracyjnie odwrócił się do niego plecami i zaczął wycinać podbicie i cholewki pierwszej pary butów.

Sakson w rozterce wrócił na swoje miejsce. Z opowieści Noriego usłyszał tylko ostatnie słowa i towarzyszący im śmiech, był jednak pewien, że niewiele stracił. Niemrawym uśmiechem odpowiedział na pytającą uniesione brwi Gundy i ponownie wziął zwój wełny

- Opowiedz nam jakąś historię, Asto - poprosił Hacon.

Zgodziła się chętnie i przerwała na chwilę swoje szycie, aby się zastanowić, po czym zaczęła opowiadać.

- Kiedy świat był jeszcze młody, zanim bogowie poróżnili się z olbrzymami, pewnego wieczoru po łąkach Albenów spacerował sobie Odyn. Była wiosna i jak każdej innej istocie krew szybciej zaczęła mu krążyć w żyłach, gdy ujrzał na brzegu jeziora córkę króla Albenów. Miała na imię Tanuri, co w mowie albeńskiej oznacza „Córka gwiazdnego blasku”. Uroda Tanuri była tak wielka, że Odynowi rozbłysły oczy i stracił dla niej głowę. Trzy dni i trzy noce ukrywał się pośród kwitnących drzew otaczających nadbrzeżną polanę, i trzykrotnie o zmierzchu pojawiała się Tanuri. Wreszcie trzeciego wieczoru podszedł do niej i poprosił o rękę. Ona jednak odmówiła, ponieważ była już zaręczona.

- Zerwij więc zaręczyny, a spełnię każde twoje życzenie - zaklinał się Odyn.

Tanuri poprosiła o trzy dni do namysłu, kolejne trzy noce czekał więc Odyn na brzegu jeziora. Powróciwszy, rzekła, że spełni jego prośbę, jeśli on ofiaruje jej kraj, który byłby doskonały

Odyn udał się więc do olbrzymów i poprosił o pomoc, a ci stworzyli dla niego krainę doskonałą: morską wyspę, na której nie ma ani zimy, ani suszy, ani cierpienia, ani bólu, górzystą, bogatą w złoto i kruszce, z dolinami o żyznej, czarnej ziemi, gajami, jeziorami i najwspanialszymi kwiatami, lasami pełnymi cudownych, łagodnych stworzeń i słodkich owoców. Gdy Odyn spojrział na ten kraj, uradowało się jego serce, zobaczył bowiem, że jest on doskonały, i przywiózł tam Tanuri.

Tanuri obejrzała kraj. Wspiwała się po górach, objeżdżała doliny, gaje i bory, i zobaczyła, że w tym kraju nie ma nic, co byłoby złe. Powiedziała jednak:

- Nie ma śniegu.
- Przecież śnieg wielu ludziom przynosi śmierć - oburzył się Odyn.
- Cóż może być czystsze i doskonalsze od śniegu? - sprzeciwiła się.

Odyn sprowadził więc na wyspę ogromne stado białych kruków, które rozsiadały się u stóp Tanuri za każdym razem, kiedy zażyczyła sobie, aby wyglądały jak śnieżna pierzyna.

- Nie ma ognia - poskarżyła się znów Tanuri.
- Przecież ogień wielu ludziom przynosi śmierć - ponownie oburzył się Odyn.
- Cóż może być czystsze i doskonalsze od ognia? - sprzeciwiła się Tanuri.

Odyn rzucił więc swój oszczep Gugnir w jedną z gór, ostrze przewierciło się po sam jej środek, aż góra zionęła ogniem.

- Teraz kraj jest doskonały, prawda? - powiedział pewny siebie bóg. - Wypełniłem moją część umowy teraz ty wypełnij swoją.

Tanuri rzekła jednak:

- Jakiś ty naiwny, ojczy bogów. W tym kraju nie ma cierpienia i bólu. Jak może on być doskonały? Doskonałość istnieje jedynie dzięki porównaniu wszystkich rzeczy, dobrych i złych. Nie, nie spełniłeś mojego życzenia i nic ci nie jestem winna.

Poznał, więc Odyn, że Tanuri jest pełna przewrotności jak wszystkie niewiasty, a przy tym od niego mądrzejsza. Pozwolił jej odejść, a po jej odejściu długo jeszcze przebywał na wyspie. Ogarnęło go cierpienie i ból, gdyż utracił najpiękniejszą Albenkę.



W ten sposób kraj stał się doskonały, gdy było już za późno. Na jej cześć Odyn nadał tej wyspie nazwę Catan, co w mowie Albenów znaczy „Kraina gwiazdnego blasku”. Odyn przebywał tam, aż uleczył ból, a potem wyspę zatopił, aby żaden śmiertelnik nigdy nie dotarł do jej wybrzeży

Gdy Asta zakończyła opowieść, w izbie nastąpiła wielka cisza. Umilkły dźwięki dłuta z białego kamienia i noża, którym strugał Hacon, jedynie kobiety dalej pracowały, ale ich czynności nie powodowały najmniejszego szmeru.

- To było... cudowne - powiedziała Gunda i głęboko westchnęła.

Asta uśmiechnęła się, nieco speszona machnęła ręką i znów zajęła się swoim szyciem.

- Och, moja babka opowiadała to znacznie piękniej. Była tam pieśń, którą śpiewała Tanuri, pojawiając się o zmierzchu nad wodą, ale zapomniałam, jak to szło. Pamiętasz jeszcze, Candamirze?

- Nie - z żalem pokręcił głową.

- Szkoda. Masz taki piękny głos.

Zanim ktokolwiek zdążył go poprosić o zaśpiewanie czegoś, zapytał Gundę:

- Czy w twojej ojczyźnie nie opowiada się tej historii?

Wzruszyła ramionami.

- Nie sądzę. Niektórzy z bogów mają u nas inne imiona niż u was. Bóg Saksonów jest w mojej ojczyźnie potężniejszy

Candamir cmoknął z dezaprobatą.

- To hańba...

- Czy w twojej księdze nie ma także opowieści o zatopionej wyspie? - zapytał Hacon Saksona.

Ten zerknął na Candamira, a że nie dostrzegł sprzeciwu w oczach swojego pana, odpowiedział:

- W pewnym sensie. Był oto ogród. I był on doskonały w taki sposób, w jaki Odyn rozumiał doskonałość. Mój Bóg ofiarował ten ogród ludziom.

- Ale...? - pośpiesznie włączył się Tjorv.

I tak opowiedział Austin o rajskim ogrodzie, drzewie, wężu i wygnaniu z raju.

- Co miała znaczyć ta dziwna próba? - zapytał Candamir zniecierpliwiony, gdy

mnich doszedł do końca opowieści. - Czym to drzewo różniło się od innych?

- Cóż, było zakazane - odparł Austin.

- Dlaczego?

- Bo Bóg tak stwierdził.

- Czyli najpierw stworzył ten kraj i ludzi, którym go podarował. Ale stworzył ludzi razem z ich wszelkimi słabościami i wystawił ich na próbę, której nie byli w stanie przejść. Cóż za niedorzeczność. Czy twój bóg się nudził? Dlaczego to zrobił?

- Mogli przejść tę próbę mimo swoich słabości, ponieważ Bóg dał im wolną wolę - sprzeciwił się Austin.

- Chcesz może powiedzieć, że człowiek ma swój los we własnych rękach? - zapytała Asta ze śmiechem pełnym niedowierzania.

- O, tak.

- To zuchwalstwo - ze złością zaoponował Candamir, podszedł do Saksona i machnął mu przed nosem swoim sztyletem, zanim tamten się spostrzegł. - To Norny decydują o losie zarówno ludzi, jak i bogów, i tylko dzięki temu świat może podążać wyznaczonym biegiem. W jaki sposób my możemy sobie rościć prawo do wiedzy, co jest słuszne, a co nie? Twoje opowieści są zajmujące, Saksonie, ale twoje nauki są próżne. A także niebezpieczne. Jeśli o mnie chodzi, to opowiadaj nam o wielkich królach z tej twojej księgi i ich książętach, ale z tymi bzdurami koniec. Zrozumiałeś?

Austin cofnął trochę głowę, aby oddalić się od morderczego ostrza.

- Tak, panie - mruknął z udawaną pokorą. Wiedział jednak, że było to kłamstwo. Nie mógł przestać, podobnie jak nie mógł z własnej woli przestać oddychać. - Będzie to opowieść o potężnym wojowniku Samsonie i przeznaczonym mu losie. Sądzę, że wam się spodoba...

Dni zrobiły się ciemniejsze i mroźniejsze, a życie w osadzie prawie całkowicie ucichło, ponieważ nikt, kto nie był zmuszony pilnymi sprawami, nie wychodził z domu.

Ostatnie tygodnie przed świętem Jul, czyli przesileniem zimowym, nie były jeszcze naznaczone nędzą, ale głodem - owszem. Jeden, najwyżej dwa dziennie liche posiłki nikogo nie zadowalały, chociaż nie było teraz ciężkiej pracy. Drażące uczucie

pustki w brzuchu stało się nieodłącznym towarzyszem wszystkich.

Austin zaczął swoje nocne wycieczki. Pierwszy raz w życiu przypiął narty. Wystrugane były z sośniny, a przez poziome otwory w cienkich deskach przeciągnięto skórzane rzemyki, którymi przywiązywało się narty do stóp. Lewa narta miała dwa kroki długości i od spodu była gładka, prawa była zaś nie dłuższa niż ramię Austina i miała spód pokryty futrem. Candamir wyjaśnił mu, że na lewej narcie się ślizga, a prawą się odpycha, i wręczył długi kij, dzięki któremu można było utrzymać równowagę. Minęło trochę czasu, zanim Sakson przestał podczas używania tego sprzętu padać nosem w śnieg. Candamir i Hacon mimo chłodu stali na podwórzu, obserwowali go i żartowali z jego bezowocnych wysiłków. Szybko opanował jednak tę niezwykłą sztukę przemieszczania się, gdyż był młody i dobrze zbudowany - nie tak potężny jak tutejsi mężczyźni, ale za to zwinny. Bez przeszkód wypełniał swoje zadanie. Nawet sprawiało mu pewną przyjemność to wstawanie w środku nocy, gdy cały dom spał, i wychodzenie na ziąb. Przypomniało mu to lata w klasztorze, gdzie mnisi, co noc zrywali się ze snu na mszę i śpiewy. Gdy tylko pogoda pozwalała, a światło księżyca lub gwiazd, choć trochę rozświetlało noc, szedł z workiem pełnym jądła na podwórze Osmunda i uzupełniał jego beczki z zapasami. Miał pełną świadomość zagrożenia - gdyby Osmund go przyłapał, uznałby oczywiście, że ten chce go okraść. Bóg jeden wie, co wtedy mogłoby się stać. Smolarz Haflad, syn Brygidy i teść Osmunda, przyłapał raz niewolnika na kradzieży i tak niemiłosiernie go wychłostał, że ten zmarł. Potem brakowało mu parobka i ze wściekłości i rozpaczy Haflad pobił całą swoją rodzinę. Tę straszną, ale prawdziwą historię opowiedział Austinowi Nori. Podczas nocnych wypraw ucieczką Austina była modlitwa, dzięki której czuł się bezpieczny i chroniony, zawsze też starał się mieć przy sobie jakiś smaczny kąsek dla psa Osmunda. Ten kudłaty potwór wprawdzie znał Austina i dlatego nie rzucał się na niego, gdy ten przychodził, zawsze warto było się jednak zabezpieczyć.

Dzięki temu to nie Austina przyłapano w spichlerzu na gorącym uczynku, ale Hacona. Kucharka Heide posłała go po miskę mąki owsianej, a gdy jego nozdrza poczuły zapach wędzonych ryb, wiszących rządkiem na sznurku u powały, jego ręka sama tam sięgnęła, zanim zdążył podjąć świadomą decyzję. Nim jednak zdołał ugryźć pierwszy kęs, jakaś łapa chwyciła go za kark i szarpnęła do tyłu.

Hacon wydał z siebie stłumiony okrzyk i puścił zdobycz, jakby nagle go oparzyła. Łapa potrząsnęła nim tak, że aż zęby mu zadzwoniły, po czym zaczęła nim szarpać na wszystkie strony

- Candamirze...

Brat puścił go i uderzył pięścią w twarz. Nigdy wcześniej tego nie zrobił. Hacon z hałasem uderzył o ścianę i osunął się na ziemię.

- Dzisiaj, a wcześniej jak często? - zapytał Candamir lodowato.

Chłopiec opierał się na łokciu i gwałtownie potrząsał spuszczoną głową.

- Jeszcze nigdy! - wykrztusił niewyraźnie. Przygryzł sobie język i usta miał pełne krwi. Bolała go cała lewa połowa twarzy, a w głowie mu huczało od uderzenia, ale oczy napęłniły mu się łzami przede wszystkim ze wstydu. Z zaciśniętymi powiekami pluł krwią.

- Nigdy, przysięgam na młot Thora. Przepraszam, nie wiem, co mnie naszło. Przepraszam...

- Wstawaj! - rozkazał Candamir. - I przestań wyc. To odrażające.

Hacon podniósł się z ziemi, otarł rękawem krwawiący nos i z trudem przełknął ślinę. Potem już stał nieruchomo, ze zwieszonymi rękami i głową wciąż tak nisko spuszczoną, że ciemne włosy zakrywały mu twarz. Gdy Candamir otrząsnął się z przerażenia, udało mu się także opanować wściekłość.

- To, co chciałeś zrobić, mogło kosztować Astę życie - powiedział już spokojniej.

- Albo Fulca. Wiesz o tym, prawda?

Łzy brata popłynęły jeszcze szybciej i chłopiec mocno przygryzł górną wargę.

- Przez chwilę o tym nie myślałem. Jestem... Jestem taki głodny, Candamirze. Ten głód po prostu mnie zniewolił.

Candamir westchnął i przysiadł znużony na jednej z beczek.

- Musisz się nauczyć panować nad sobą. Ile razy już ci to mówiłem?

- Nie wiem - padła zdławiona odpowiedź. - Często.

- Hm... Powiadasz, więc, żeś głodny, tak? Nie masz pojęcia o głodzie, braciszku. Najmniejszego pojęcia.

Hacon znowu otarł sobie twarz rękawem, tym razem energiczniej, zebrał się na odwagę i podniósł wzrok. Mroczna mina Candamira przeraziła go.

- Co teraz? - zapytał niepewnie.

- Teraz to się dowiesz, czym naprawdę jest głód. Nie będziesz nic jadł aż do jutrzejszej kolacji.

Jakby w proteście brzuch Hacona wydał z siebie gwałtowne burczenie. Chłopiec ścisnął go dłonią.

- To wszystko? - zapytał z goryczą, ale i nadzieją.

Candamir kiwnął głową. Przypomnił mu się ostatni zimowy głód w Elasundzie. Winni byli nie Turończycy ale długotrwały mróz, mokre lato, liche połowy oraz gradobicie, które całkowicie zniszczyło plony Hacon był jeszcze za mały, żeby to pamiętać, ale Candamir miał wtedy już dwanaście lat.

Ojciec przyłapał go wtedy nad beczką śledzi w spichlerzu.

Candamir do teraz czuł dreszcz na samo wspomnienie okropnego lania, które dostał. Następnej nocy dostał gorączki i mało nie umarł. Ojciec był załamany, a Candamir go nienawidził. Aż do końca tamtej gorzkiej zimy gniewali się na siebie, każdy został, więc sam ze swoją rozpaczą.

- Tak, to wszystko. To bardzo surowa kara, jutro będziesz mnie przeklinał, wierz mi. Ale tak musi być. Żebyś się dowiedział, czego staram się nam oszczędzić.

Hacon odetchnął i zwrócił wzrok ku powale.

- Może byłoby lepiej, gdybyś mnie gdzieś przywiązał. Naprawdę nie wiem, czy to zniosę. Byłoby okropne, gdybyś jutro znowu mnie tu przydybał, co?

Candamir uśmiechnął się z goryczą.

- Jedz śnieg, gdy nie będziesz mógł już wytrzymać. To pomaga. - Otrząsnął się i wstał. - Gdyby mnie kto szukał, to jestem w kuźni.

Hacon skinął głową i ku jego zdumieniu Candamir zostawił go znów samego w spichlerzu. Zauważywszy to, chłopiec nieświadomie wyprostował się, rzucił wędzonej rybie pogardliwe spojrzenie, a gdy ucichły już kroki Candamira, szepnął:

- Dzięki, bracie.

Wyszedł i energicznie zamknął drewniane drzwi.

- Zrób mi rygiel do mojego spichlerza, Haraldzie - poprosił Candamir. - Dam ci

za to barani udziec.

Kowal w ogóle się nie odezwał, czekając, aż młody człowiek usiądzie na drewnianej ławie przy kominie i otrzepie buty ze śniegu. Jego spokojne milczenie jak zwykle nastroiło Candamira do rozmowy.

- Nie jestem lepszy niż bóg mojego Saksona - rzucił. - Zwiodłem mojego brata na takie pokuszenie, któremu żaden człowiek by się nie oparł. W każdym razie nie w jego wieku.

Harald w zamyśleniu pokiwał głową, wyciągnął z ognia dłuto, nad którym właśnie pracował, i uderzył w nie kowalskim młotkiem.

- Zrobię ci ten rygiel - obiecał. - Zachowaj swój barani udziec. W lecie pomożesz mi przy żniwach przez dwa dni, to wystarczy za zapłatę. Teraz opowiedz, mój chłopcze, co cię trapi.

Candamir wzruszył ramionami i z rozkoszą chłonał żar przypiekający mu plecy. W jego izbie też zawsze było przyjemnie ciepło, ale kuźnia była jedynym miejscem w Elasundzie, gdzie także zimą był upał. Harald pracował, jak większość mężczyzn, półnagi, jego umięśniony tors i szerokie bary połyskiwały cienką warstwą potu. Pachniało tu zawsze żelazem i potem. Candamir uwielbiał to miejsce. W dzieciństwie właśnie kuźnia była ulubionym celem ucieczki. Harald był dobrym przyjacielem jego ojca, ale gdy między ojcem i synem wybuchała sprzeczka - co zdarzało się często, bo mieli taki sam krewki charakter - kowal zawsze zapewniał chłopcu schronienie. Jeszcze dziś Candamir zachodził tutaj czasem po radę, ponieważ w przeciwieństwie do Olafa, zmarłego stryja Sigismunda i innych ludzi z pokolenia ojca, Harald nigdy nie próbował mu niczego narzucać.

- Czy rozmawiał z tobą Osmund? - zapytał w końcu Candamir. - Albo Olaf?

Kowal ochłodził dłuto i odłożył na kowadło.

- Osmunda nie widziałem od tygodni, wciąż się chowa i pogrąża w smutku. Uważam zresztą, że już pora, aby przestał, bo w ten sposób nie przeżyje wiosny. Jego stryj Olaf i ja od dawna nie rozmawiamy ze sobą. Ściśle rzecz biorąc, od tego dnia sześć miesięcy temu, kiedy jego miecz pękł i Olaf uznał, że to moja wina.

- Rozumiem. - Candamir wstał niespokojnie i podszedł do kowadła, bezmyślnie dotknął wiszących nad nim narzędzi, potem nowego dłuta, którym natychmiast się

oparzył.

- Cóż, jak wiesz, Olaf nie jest akurat moim ulubionym sąsiadem. Przedstawił jednak Osmundowi propozycję, która wciąż chodzi mi po głowie.

- Ach tak? - Harald przygotował glinianą formę odlewniczą wyłożoną nawoskowanym sukniem i do żelaznego czerpaka włożył niewielki kawałek żelaza. Potem dorzucił do pieca szufłę węgla drzewnego i wskazał na miech. - Dmuchaaj.

Candamir deptał miech powoli i równomiernie, tak jak go Harald nauczył w młodości.

- Olaf uważa, że powinniśmy wyjechać. Porzucić Elasund i poszukać nowej ojczyzny, jak to kiedyś robiły niektóre z naszych plemion... Co to będzie? - Z zaciekawieniem wskazał na dziwnie ukształtowaną, płaską formę.

- Twój klucz - odpowiedział stary - Cóż, nie sądz, że nigdy o tym nie myślałem. A od kiedy Turończycy napadli na nas po raz pierwszy i zabili mojego brata, myślę o tym znacznie częściej niż kiedyś. Ale dokąd? Niektórzy mówią, że do Brytanii, ale sam nie wiem... Z tymi Anglosasami nie ma żartów, chociaż, jak słyszę, coraz więcej z nich czci tego bożego mięczaka.

- Nie, Olaf nie myśli o Brytanii, ale o pewnej wyspie na zachodnim morzu, którą przypadkowo odkrył - Candamir opowiedział kowalowi o krainie znalezionej przez Olafa.

Gdy skończył, Harald długo milczał i w skupieniu rozmyślał. Wydawało się, że nie zwraca uwagi na to, co robiły jego ręce, mimo to, wlewając do małej formy płynne, rozżarzone do białości żelazo, czynił to ze zręcznością i ostrożnością nabytą dzięki wieloletniemu doświadczeniu.

- Brzmi dobrze - odezwał się w końcu.

- No.

- Muszę się nad tym zastanowić.

- Zrób to.

- Hm... - mruknął kowal w zamyśleniu i pokiwał głową. - Jutro o tej porze zajrzę do ciebie i założę rygiel. Powiedz mi jeszcze, jak wyglądają sprawy z Osmundem i twoją siostrą. Czy tym razem będą rozsądni i się pobiorą?

Candamir westchnął ciężko i opadł na ławę.

- Żeby to ja wiedział. Dobrze się rozumieją, co do tego nie ma wątpliwości. Kilka dni temu gruchali sobie przez całe popołudnie, co wcześniej wydawało się wykluczone. Ale oni są... jak brat i siostra.

- Hm... - mruknął znowu kowal. - Może powinieneś sobie przypomnieć, że nie są rodzeństwem. Teraz jest dobra pora roku na swaty, bo i tak nie ma nic do roboty.

- To nie takie proste, jak myślisz. Gdy Asta uciekła wtedy ze swoim Nilsem, byliśmy z Osmundem jeszcze młodzikami. Musiało go to jednak zranić do żywego. Mnie w każdym razie zraniło, a on miał więcej powodów. Tylko on, mimo to, podszedł rozsądnie do tego, co Asta zrobiła. W tych sprawach nie rozumiem ani jego, ani jej.

Rozbawiony kowal uniósł brew.

- Naprawdę? Nigdy nie byłeś zakochany Candamirze?

Candamir skrzywił się z niesmakiem.

- Nie zajmuję się takimi bzdurami.

- Aha. Przypomnę ci to pewnego dnia. A właśnie, powiadają, że twoja mała Fryzyjka będzie miała dziecko.

- Kto powiada? - zapytał Candamir, marszcząc czoło.

- Brygida, oczywiście.

- Skąd ona to wie? Jestem pewien, że Gunda z nią nie rozmawiała. Boi się tej starej czarownicy.

- Ty też - odparł kowal. - Cóż, wie o tym, jak o wielu rzeczach, o których jej nikt nie mówił. Brygida jest trochę dziwna, to pewne, ale nie tak, jak myślisz. Jest też bliżej bogów niż ktokolwiek z nas. Pod żadnym pozorem nie powinniśmy podejmować decyzji zmieniających naszą przyszłość, nie usłyszawszy jej rady

- Równie dobrze moglibyśmy prosić o radę szczwanego Lokiego...

Kowal pokręcił głową.

- Mylisz się. Nazwała zresztą brzuch twojej Fryzyjki „dzieckiem zamorskich brzegów”. Co ty na to? Dziwne, nie?

Skrepowany Candamir wzruszył ramionami.

- Cóż, Gunda pochodzi z zamorskich brzegów.

- Hm... - mruknął kowal.

Kilka dni później Harald podkuwał Siwardowi konia i opowiedział mu przy tej



sposobności o propozycjach Candamira i krainie Olafa. Siward przy kuflu piwa omówił rzecz ze starym Eilhardem. Eilhard przypiął narty i odwiedził obu swoich synów mieszkających w jednej z wiosek nad rzeką, aby im opowiedzieć o mało zaludnionej, żyznej wyspie na zachodnim morzu. W ten sposób propozycja rozchodziła się stopniowo po Elasundzie i okolicy

Przy leniwych zajęciach wypełniających ciemne zimowe dni mężczyźni mieli mnóstwo czasu na rozmyślania. Niektórzy, szczególnie ci młodszy, byli tak przejęci tym pomysłem, że najchętniej od razu załadowaliby swój dobytek na statki i pożeglowaliby, nie zważając na zimowe sztormy. Inni potraktowali pomysł odwrotnie: wszyscy ich przodkowie żyli w Elasundzie, tutaj urodziły się ich dzieci, czego mieliby więc szukać na obczyźnie? Tutaj były ich korzenie.

Często jednak siedzieli przy ogniu i zwierali się sobie z trosk o przyszłość, ze strachu przed kolejnymi napaściami wiosną, z obaw o przyszłość dzieci. Wyjechać, wydawało się niektórym, to najmniejsze zło.

Mniej więcej w tym samym czasie po osadzie rozeszła się wieść, że Osmund namówił swojego stryja Olafa, aby wszystkich wolnych mieszkańców Elasundu zaprosił z okazji święta odradzania się słońca na wielką ucztę. Radość była ogromna, ponieważ tej zimy nikt nie był w stanie z własnych zapasów przygotować posiłku godnego największego święta.

Hacon śnił nocami o parujących garnkach i wołach w całości pieczonych na rożnie - a przecież nie on jeden. Jeszcze większe niż ogólna radość z nieoczekiwanego zaproszenia było zdumienie. Mieszkańcy Elasundu wiedzieli, że Olaf jest skąpcem, choć przecież nie z tego powodu był tak bogaty. Nie była to pierwsza zima, podczas której cierpieli nędzę i głód, ale jak dotąd Olaf nie przejmował się tym, jak krewni i sąsiedzi dają sobie radę.

- Przychodzą do mnie ludzie i mi dziękują - zwierzył się Candamirowi Osmund. -  
Ja nie mam przecież z tym zupełnie nic wspólnego.

Candamir wzruszył ramionami.

- Powiedz im to, skoro tak cię zawstydzą niezasłużona wdzięczność.

- Tak mówiłem. Nie wierzą mi.

Candamir przyjął wątpliwości przyjaciela z łagodnym uśmiechem.

- Bywają rzeczy gorsze od dobrej opinii - orzekł.

Stali w oborze. Było tu zimno i mroczno, a powietrze wypełniał ostry zapach łąjna. Osmund wdrapał się na niską przegrodę z desek i obserwował zwierzęta. W zagrodzie stał okrągły tuzin stłoczonych, niezadowolonych owiec.

Candamir poszedł zająrzeć do koni. Miał ich cztery - więcej niż ktokolwiek w osadzie, nie licząc oczywiście Olafa. Były to dwa potulne wałachy, których używał do robót w polu, ponieważ do jego pagórkowatego poletka nadawały się lepiej niż woły, a poza tym wolał pracować z końmi. Miał też piękną gniadą klacz oraz trzyletniego ogiera - z niego był najbardziej dumny. Konie były jedynym luksusem, na który sobie pozwalał. We wsi uchodził za takiego, który ma na ich punkcie bzika, brał też udział w wyścigach organizowanych z okazji sobótki, zwykle zwyciężając.

- Mam nadzieję, że przetrwacie zimę - mruknął i poklepał klacz po szyi. Była żrebna i bardzo liczył na żrebaka.

- Nie mamy już wiele siana.

Osmund, który zupełnie nie potrafił zrozumieć tej próżnej namiętności przyjaciela, zauważył:

- Powinieneś się raczej martwić o swojego brata niż o te szkapy. Jest błądy i chudy.

- Kto nie jest? - odparł Candamir. - Spójrz na siebie.

Osmund podniósł dłoń w geście sprzeciwu.

- Mnie powodzi się świetnie. Wiesz, to naprawdę dziwne, ale moje zapasy kurczą się znacznie wolniej, niż sądziłem.

- Po prostu potrafisz lepiej gospodarować, niż przypuszczałeś.

- A tam! - Osmund nerwowo pokręcił głową. Potem wrócił do Hacona. - Chłopak jest ospały i zubożał. To nie wróży dobrze, Candamirze. Ciągłe włóczy się z tym przeklętym Saksonem. Jeśli chcesz, porozmawiam ze stryjem. Skoro ostatnio kształci w sobie wielkoduszność, to może weźmie Hacona do siebie na resztę zimy. W jego izbie jest dosyć jada i nie ma żadnych fałszywych bogów.

Candamir puścił kopyto klaczy, wyprostował się i odwrócił.

- Dziękuję, ale sam potrafię zadbać o dom.

Osmund ugodowo podniósł rękę.

- To nieprawda. Potrafisz tak samo marnie jak ja. Nie ma co od razu się wściekać.

Zdrowie brata powinno liczyć się bardziej niż twoja duma. Asta bardzo się o niego martwi.

- Mówiła ci, tak? - zapytał Candamir. - Kiedy?

- Wczoraj. Jedna z moich owiec się okociła i Asta przyszła, żeby pokazać owieczkę Fulcowi - uśmiechnął się mimo woli. - Owieczka jest naprawdę cudowna.

Osmund kochał owce jak Candamir konie. Na złość przyjacielowi Candamir zauważył:

- Będziecie mieli piękną świąteczną pieczeń.

Osmund rzucił mu karcące spojrzenie.

- Prędeż byśmy siano jedli. Poza tym dzięki hojności Olafa nie będzie takiej potrzeby. W każdym razie Asta napomknęła przy okazji, że Hacon jej się ostatnio nie podoba. Chociaż nie powiedziała nic konkretnego, wiem, że martwi się też o swojego syna. Gdybyś dał Hacona do Olafa, dla małego Fulca zostałyby więcej jedzenia, Candamirze. Olafowi zawsze przyda się para rąk, nawet zimą.

Candamir zjrzał swojej klaczy w pysk i zastanowił się.

Gdy Osmund się odwrócił, dał klaczy kawałek owsianego chleba, który zaoszczędził dla niej ze swojego śniadania.

- Nie - orzekł w końcu.

Osmund wzruszył ramionami, zapytał jednak:

- Dlaczego nie?

- Och, nie wiem... Jakoś tak niezręcznie. Jared i jego rodzeństwo żyją w strasznym strachu przed ojcem. Nikt o tym nie mówi, ale wszyscy wiemy, że to nie był wypadek, kiedy twoja ciotka utonęła we fiordzie. Odebrała sobie życie. Coś w tej rodzinie jest nie tak i nie chcę, żeby mój brat w to wdepnął.

Osmund fuknął zniecierpliwiony

- Może i Olaf jest porywczy i wobec synów surowszy, niż trzeba, ale przecież twój brat nie jest z trzciny Rozpieszczasz go.

- Nieprawda - zaprotestował Candamir oburzony. - Za to ty niespodziewanie odkryłeś przedziwną sympatię do swojego stryja Olafa. Za wszelką cenę chcesz z nim jechać na obczyznę, dla spokoju sumienia wmawiasz, więc sobie, że to dobry człowiek.

- To jest dobry człowiek - odparł Osmund prawie tak samo zagniewany - W

każdym razie lepszy, niż wielu tutaj sądzi. Ojciec przez całe życie kładł mi do głowy, że Olaf jest chciwy i złośliwy, ale w rzeczywistości tylko mu zazdrościł, jak wielu tutaj.

- To dlaczego Olaf bezprawnie odebrał twojemu ojcu ziemię i dziedzictwo, jeśli nie z chciwości i ze złośliwości? - zapytał Candamir.

- Bo dziadek tak ustalił. Mój ojciec sam był temu winien, nikt inny. W przeciwieństwie do mojego ojca Olaf myśli o przyszłości swoich synów. Pragnie im dać kraj, gdzie jest coś więcej niż tylko żywot na skraju nędzy. Nam wszystkim. Może jest w tym coś złego?

- Nie - musiał przyznać Candamir. - Nie ma. I choć mu nie ufam, popłynę z nim, gdy trzeba będzie. Ponieważ podobnie jak ty mam już dość bezsennych nocy i pytania, co będziemy jedli w następnym miesiącu.

## ŚWIĄTECZNY KSIEŻYC

Izba Olafa była, co najmniej trzykrotnie większa niż izba Candamira, która przecież nie była najmniejsza w Elasundzie. Kosztowne arrasы pokrywały odeskowanie długich ścian i sprawiały, że wielkie pomieszczenie stawało się przytulne. Z okazji święta na słomianych matach na podłodze rozrzucono zioła, z krokwi zaś zwisały wieńce i girlandy z jemioly i jarzębiny.

Wzdłuż paleniska po obu stronach, a także z przodu ustawiono stoły i ławy. Świece z tłuszczu wieloryba w rzeźbionych srebrnych lichtarzach stały na stołach i rzucały światło, w którym połyskiwały złote okucia imponującego rodowego krzesła Olafa.

Siedział na nim pan domu w najlepszej szacie, obszytej gronostajami, i spoglądał na swoich gości z nadzwyczaj łagodnym uśmiechem. Mimo strat poniesionych podczas jesiennej napaści Turończyków wolnych mieszkańców osady wciąż było niemal tuzin tuzinów, czyli zbyt dużo nawet jak na taką izbę. Ciasno stłoczeni, siedzieli za długimi stołami. Wiele było ojców lub matek, którzy trzymali na kolanach swoje dzieci. Ten ścisk nie mącił jednak świątecznego nastroju. Sny Hacona nie były zbyt odległe od rzeczywistości: kocioł wielkości balii do prania wisiał na ogniu, a zapach duszonej ryby, który się znad niego unosił, był taki, że nawet sytemu ślinka by pociekła. Przed izbą postawiono prowizoryczną kuchnię, gdzie na potężnych roznach obracały się woły, prosiaki i barany Pszennego i żytniego chleba było więcej, niż mogła zjeść nawet tak wielka społeczność - bochny chleba wydawały się Haconowi ogromne jak koła wozu. Przy ścianie południowej stały szeregiem beczki z piwem i miodem.

- Muszę powiedzieć - usłyszał Candamir mruczenie starego Eilharda siedzącego naprzeciw - że lepiej zastawiony nie byłby nawet świąteczny stół Odyna w Walhalli.

- To hańba, żeby jeden człowiek sam był tak majątny - wtrąciła żona Eilharda równie oszołomiona.

Eilhard powoli wzruszył ramionami.

- Cóż, skoro dzisiaj dzieli się z nami wszystkim swoim bogactwem, to nie gderaj.

W wielu spojrzeniach można było wyraźnie dostrzec zawiść o wspaniałą izbę Olafa, jego bogate stroje i dobrze wykarmione dzieci. Gospodarz udawał, że tego nie dostrzega. Podniósł się ze swojego kosztownego krzesła i ujął przyniesiony przez Jareda oprawiony w srebro róg służący jako puchar. Najważniejsze osoby pozostałych rodzin także powstały i w izbie nastąpiła cisza.

- Złożmy zatem naszym przodkom płynną ofiarę - zawołał Olaf swoim głębokim, donośnym głosem. - Oby żyli wiecznie w swoich synach i w naszej pamięci!

Łyknął miodu i oddał róg Jaredowi, które następnie puścił go w obieg. Każdy, zanim wypił, przez chwilę pomyślał o własnych przodkach. Candamir wykorzystał sposobność, aby prosić ojca o wybaczenie, że ponownie przyjął Astę, choć przecież wykluczono ją z klanu.

Przesilenie zimowe było także czasem upiornych draugrów, czyli ożywionych zmarłych. O zmarłych pamiętało się choćby, dlatego, żeby ich ułagodzić, aby nie wykorzystywali mrocznej pory roku do nawiedzania żywych. Temu celowi służyła też płynna ofiara.

Jak drwiąco zauważył kiedyś Sakson, ich rozumienie ofiary jest bardzo osobliwe, skoro zawsze sami spożywają zwierzęta ofiarne, a płynną ofiarę wlewają we własne gardła. Ani Candamir, ani Hacon nie pojmowali, co on w tym widzi zabawnego, skoro najważniejsze jest przecież to, z jakimi intencjami ubija się zwierzę lub napełnia puchar. Rozeźlony Candamir poradził wtedy swojemu niewolnikowi, żeby swoje brednie zatrzymał dla siebie.

Gdy obowiązкови stało się zadość, Olaf rozłożył ramiona w geście zaproszenia.

- Uczujcie i radujcie się, sąsiedzi i kuzyni!

Nie trzeba było dwa razy powtarzać. Codzienna walka o przetrwanie, która nigdy wcześniej nie była tak ciężka jak właśnie teraz, nie zepsuła im świątecznego nastroju, a przeciwnie, nastroiła ich szczególnie swawolnie. Matki napominały dzieci, aby - skoro jest to po wielu tygodniach pierwszy przyzwoity posiłek - tak szybko nie jadły, a swoich mężów, żeby tak szybko nie pili, ostrzeżenia były jednak daremne. Mieszkańcy Elсандu jedli bez umiaru. Pierwszy wniesiony wół był zwierzęciem ofiarnym, spożyli go, więc

stosownie cicho i w obrzędowym nastroju, ale w pośpiechu niezbyt uroczystym. Pachołkowie Olafa musieli biegać, aby zdążyć napełnić liczne puste kufle, zanim goście się zniecierpliwia.

Podstawowym tematem rozmów przy świątecznym stole była wyspa, którą Olaf odkrył na zachodnim morzu, oraz możliwość jej znalezienia i wzięcia w posiadanie. Wielu mieszkańcom osady błyszczały oczy, gdy o tym mówili, szczególnie młodym, ale nie tylko. Również wiele kobiet dostrzegało zalety takiego przedsięwzięcia - gdyby zdobyli tę wyspę, skończyłby się strach przed wrogimi napaściami, a także obawa, że ich synowie nawzajem się pozabijają, walcząc między sobą o tę jałową ziemię, która coraz mniej rodziła. O samej zaś wyspie opowiadano niestworzone rzeczy: że rosną tam drzewa - mówiła Asi, żona Haralda - które przez calutki rok są ukwiecone i równocześnie pełne owoców. Słodkie i wielkie jak dynie są jakoby te owoce. Candamir usłyszał z drugiej strony stołu, że w tej krainie Olafa nie ma owiec, są za to wielkie stada kóz i dzikich krów, a także pewna osobliwa rasa osłów, których oślice można doić, a mleko smakuje jak miód. Ktoś jeszcze inny opowiadał o ławicach barwnych, dwugłowych ryb, które można łowić na rafach przy wyspie. Ze zdumieniem i skrywanym uśmiechem Candamir i Osmund przysłuchiwali się tym opowieściom. Olaf tak naprawdę o niczym takim nie wspominał, ale oni sami już zadbali o to, aby coś wymyślić. Bajania te poszły w świat, a obaj przyjaciele ani razu nie zaprzeczyli niesłychanym przeinaczeniom. Chcieli, bowiem tę szansę wykorzystać. Nic się przecież złego nie stanie, gdy sąsiedzi wyobrażą sobie nową ojczyznę jako nieco bardziej bajkową, niż jest ona w rzeczywistości - kiedy tam dotrą, będą musieli sobie poradzić z tym, co tam zastaną. Nikt, nawet Olaf, nie był w stanie powiedzieć, co to konkretnie będzie.

Do głosu doszli jednak również sceptycy i nie wyśmiano ich jako maruderów, gdyż przewodził im akurat powszechnie szanowany Siward. Ponuro kręcił głową zdobną w siwą, kudłatą brodę.

- Cóż my wiemy o tej krainie? - pytał. - Nawet Olaf nie może nam powiedzieć, co tak naprawdę nas tam czeka. Kto mnie zna, wie, że nie lękam się walki, ale ja pozostanę w mojej ojczyźnie. Powtarzam ciągle: ściągnijmy na pomoc ludzi znad rzeki, wiosną pozeglujmy do Turonii i odbierzmy, co nasze. Zasiejmy wśród wrogów trwogę i zgrozę, aby nabrali do nas szacunku i w przyszłości nas unikali. Wtedy, twierdzą, będzie się tutaj

dało zupełnie dobrze żyć. Na wzgórzu za moim domem leżą pogrzebane prochy ojca. Moje miejsce jest tutaj i nigdzie indziej!

Wielu z aprobatą pokiwało głowami. Wyglądało na to, że Siward powiedział na głos to, czego niejeden nie miał odwagi ubrać w słowa.

- Łatwo mu mówić - szepnęła Asta do śpiącej córeczki. - Sam ma dobrą, żyzną ziemię, i to sporo. Zadbał o potomstwo...

- Ale jego syn Wiland i tak najchętniej już dziś pożeglowałby i zdobył krainę Olafa - zauważył siedzący obok Hacon.

Asta podążyła za jego wzrokiem i dostrzegła, że przyjaciel jej brata oblał się rumieńcem i ze złością strzela oczami w kierunku ojca, nie mając odwagi jawnie mu się przeciwstawić.

- Cóż, ostatecznie każdy klan będzie musiał sam podjąć decyzję - rzekł Osmund. - Przecież nie musimy wszyscy płynąć.

- Ale skoro chcemy tamten kraj podbić, musimy stanowić liczną grupę - powiedział Candamir.

Szczupły młody parobek o krótko ogolonych, rudawych włosach podszedł do nich z wielkim dzbanem, aby dolać miodu. Candamir potrzebował dłuższej chwili, ale w końcu rozpoznał niewolnika i rzekł:

- Ach, Turończyk! Od miesiący cię nie widziałem.

Jeniec stanął nieruchomo z opuszczoną głową.

Candamir wskazał mu brodą jedzących.

- No? Jak ci się podoba żywot niewolnika, przybłądo? Czy nie uważasz, że dostało ci się to, na co sobie zasłużyłeś, skoro chciałeś, by ten sam los spotkał nasze kobiety? Trzeba przecież zauważyć, że one muszą znosić rzeczy, których tobie oszczędzono. I co? Jak sądzisz? Stało się sprawiedliwie, czy lepiej by było, gdybyśmy cię zabili?

Wciąż nie słysząc żadnej odpowiedzi, Candamir brutalnie chwycił Turończyka za ramię i warknął:

- Może byś łaskawie otworzył pysk...?

- On nie może odpowiedzieć, Candamirze - zauważył Osmund.

Candamir puścił niewolnika.



- Czemu nie? - zdziwiony zapytał przyjaciela.

Osmund umoczył kawałek chleba w półmisku z mięsiwem stojącym pośrodku stołu, ugryzł kęs i żując, odrzekł:

- Obraził Olafa. Trzykrotnie. Za trzecim razem Olaf wyrwał mu język.

- Och! - Candamir rzucił Turończykowi jeszcze jedno pogardliwe spojrzenie, po czym przegonił go. - Znikaj.

Niewolnikowi wyraźnie ulżyło i poszedł z dzbanem dalej.

- Okrutny człowiek, ten twój stryj - powiedziała cicho Asta do Osmunda i ukradkiem spojrzała na gospodarza siedzącego na przebogatym rodowym krześle. Olaf, nachylony do swojego sąsiada, słuchał go z chytrym błyskiem w oku, po czym odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się, aż zadudniło.

Osmund podążył za wzrokiem Asty.

- Okrutny... - powtórzył zamyślony, po czym wzruszył ramionami. - Olaf zarządza dużym gospodarstwem, w którym mieszka i pracuje wiele osób. Człowiek na takiej pozycji musi czasem być surowy, żeby ludzie ci czuli przed nim respekt.

- Respekt, owszem - przyznała. - Ale strach?

Osmund niecierpliwie machnął ręką.

- Dla tchórze respekt i strach to jedno i to samo. A Turończycy są tchórzami.

Asty to nie przekonało.

- Cóż, w każdym razie rada jestem, że żaden z naszych parobków nie ma takiej nienawiści w oczach, jak ten niemy niewolnik.

- Ja nadal uważam to za hańbę, że on pozostał wśród żywych - włączył się Candamir.

- Tak, racja - przytaknął Osmund. - Myślę jednak, że płaci za swoje czyny

- Czego jednak o tobie powiedzieć nie można - burknął jakiś głos za plecami.

Osmund prawie niezauważalnie wzdrygnął się i odwrócił głowę.

- Hafladzie - przywitał go uprzejmie, ale bez większego zachwyty.

- Zięciu - powiedział smolarz z przesadnym pijackim szyderstwem. - Jak się miewa mój wnuk? Może rzuciłeś go już wilkom na pożarcie?

Osmund zacisnął pięści, ale odpowiedział z całym spokojem:

- Jest zdrowy i rośnie. Nie martw się.

- Jakże mam się nie martwić? Wiedząc, że jest w twoich rękach?

Osmund popatrzył w ogień i nic nie powiedział. Zawsze milczał, gdy ktoś go niesprawiedliwie traktował, i tego Candamir po prostu nie mógł pojąć, bo sam zawsze otwarcie mówił, co mu leży na sercu.

- Jak tylko otworzysz usta, od razu pleciesz bzdury, Hafladzie, a kiedy jesteś pijany, to szkoda gadać. Osmund nie jest winien śmierci Gisli i ty doskonale o tym wiesz.

- Niby, co wiem? Gdzież on był, kiedy te przekłete wieprze rzuciły się na nią? Czy stał z mieczem w dłoni na progu domu, aby bronić żony i syna? Nie. Moja matka musiała się tym zająć. Tylko dzięki niej mały wciąż żyje. Bo jego ojciec tchórzliwie się gdzieś zasztył...

Candamir wstał.

- Odszczekasz to.

Osmund ugodowo podniósł rękę.

- Daj spokój, Candamirze - mruknął, nawet nie spojrzawszy na nich.

Candamir jakby go nie słyszał. Nie spuszczał żyłastego smolarza z oka.

- Doskonale wiesz, gdzie byliśmy, gdy pojawili się Turończycy. To pech, że musieli na nas napaść akurat w noc pierwszej jesiennej pełni księżyca. Osmund nie ponosi żadnej winy. Zatem odszczekaj! - Groźnie zrobił krok w kierunku Haflada, który odruchowo się cofnął. Candamir splótł ręce na szerokim torsie i uśmiechnął się. - Cóż za nieustraszony z ciebie wojownik, Hafladzie! Właściwie to gdzieś ty był tamtej nocy? Kto dał ci kryjówkę, kiedy nadeszli Turończycy?

Haflad natarł z szybkością godną uwagi jak na tak zwalistego chłopca, a przy tym pijanego. Jego pięść pomknęła prosto w kierunku twarzy Candamira, ale ten zdążył odchylić głowę i uskoczyć w bok. Własny zamach mało nie zwałił smolarza z nóg, który zatoczył się na stół, a kilka kufli głośno spadło na podłogę. Asta, Hacon i inni siedzący obok poderwali się z miejsc, żeby zrobić miejsce bijącym się. Ale Candamir pokręcił głową.

- Nie tutaj - powiedział do Haflada i odwrócił się. - Wyjdźmy.

Zanim jednak dotarli do drzwi, Haflad rzucił się na niego od tyłu. Candamir mógł się założyć o swoje ostatnie marne śledzie, że smolarz tak właśnie uczyni. Spodziewając się tego, chwycił łąpsko, które poczuł na gardle, schylił się i przerzucił Haflada przez

ramię. Smolarz ciężko upadł na plecy. Uderzenie zaparło mu dech w piersiach i teraz leżał bez ruchu, dysząc ciężko. Candamir przez chwilę patrzył na niego z góry i dał mu krótki znak głową.

- Czekam na zewnątrz.

Wyszedł z ciepłej, zadymionej izby w szarówkę zimowego dnia i z ulgą odetchnął zimnym powietrzem. Potem poszedł na pusty środek podwórza.

Wkrótce pojawił się Haflad. Za nim wyszedł tłum gapiów, wśród których było zarówno rodzeństwo Candamira, jak i Osmund, Harald, a także stara Brygida. Wszystkich poza Osmundem przywiodła tu raczej ciekawość niż troska - wiejskie święto bez bijatyki było jak wesele bez panny młodej.

Przeciwnicy stali naprzeciw siebie i nie odrywali od siebie wzroku. Następnie Haflad uniósł obie pięści, ale pozostał bez ruchu. Candamir nie lubił długich podchodów i zniecierpliwiony wskazał swoją szczękę.

- Chodź, na co jeszcze czekasz?

Smolarz znowu zadziwił wszystkich swoją gibkością. Trafił dokładnie we wskazane miejsce. Candamir upadł w śnieg. Potrząsnął głową, w której słyszał dudnienie, i natychmiast skoczył na równe nogi, rzucił się na przeciwnika i ugodził do precyzyjnym ciosem poniżej serca. Ciasno spleceni, upadli na ziemię, z jękiem przetoczyli się po śniegu, okładając się pięściami, gdy tylko mieli dość swobodnej przestrzeni.

Haflad nagle wyzwolił się z uścisku, a zanim Candamir zdążył się podnieść, Osmund krzyknął ostrzegawczo:

- Uważaj, Candamirze!

Ale Candamir już dawno zauważył, że smolarz wyciągnął ogromny myśliwski nóż. Ostrze błysnęło matowo w świetle gasnącego dnia.

- Odłóż go, Hafladzie - wycedził kowal Harald. - Nie ma powodu do rozlewu krwi.

- Zrób, co ci mówi, synu - nakazała stara Brygida, ale Haflad pokręcił bojowo głową i z uniesionym ostrzem podszedł do Candamira.

Candamir uskoczył w bok i z pochwy za pasem wyszarpnął własny sztylet. Haflad zadał podstępny cios w gardło, ale nie trafił. Podczas walki na noże liczy się

przede wszystkim szybkość i zręczność, Candamir, więc - młodszy i sprawniejszy od przeciwnika - miał przewagę. Walczył ostrożnie i z wprawą, sam jednak nie atakował, po prostu starał się rozbroić smolarza. Na próżno. Kiedy Haflad po raz kolejny ze spuszczoną głową rzucił się na niego, uniknął zarówno pięści Candamira, jak i stopy, która miała przydepnąć dłoń z nożem. Candamir skulił się i cofnął, kiedy zabójcze ostrze przez odzienie wbiło mu się w brzuch. Życie ocalił mu szybki refleks - cios zranił go jedynie powierzchownie. Pozbawił go jednak swobody. „On chce mnie zabić - była to jedyna wyraźna myśl, która do niego docierała. - On naprawdę chce mnie zabić!”. To odkrycie wywołało w nim tak potężną furję, że zapomniał o wszelkiej ostrożności i rozsądku. Z okrzykiem wściekłości rzucił się na Haflada. Znowu przetoczyli się po śniegu, a każdy z nożem w dłoni kierował podstępne ciosy na gardło i serce przeciwnika, wszystkie jednak chybione.

- Osmundzie, zrób coś - błagała Asta cicho.

Oczy miała rozszerzone strachem i wpatrywała się w czerwone smugi, które zostawiała na śniegu krew Candamira.

- Nic nie mogę zrobić - odparł na pozór spokojnie.

Jego wzrok zdradzał jednak obawę.

Candamir leżał teraz na plecach. Haflad nagle usiadł na nim jak jeździec, jego prawą rękę przycisnął kolanem i obiema dłońmi uniósł broń nad głowę. Candamir dostrzegł swoją szansę - zacisnął lewą pięść i uderzył smolarza w jabłko Adama. Triumfalny okrzyk Haflada przeszedł w dziwne charczenie, a nóż wypadł mu z rąk i wbił się w śnieg, nikogo już nie raniąc.

Candamir nieporadnie jak młody źrebak uwolnił się i zepchnął z siebie przeciwnika. Haflad upadł i leżał skulony, z trudem łapiąc powietrze. Candamir, dysząc, przykląkł przy nim z lewą dłonią przyciśniętą do zakrwawionego odzienia. Stwierdził, że gardło nie jest zmiażdżone, a Haflad nie został śmiertelnie ranny. Złapał, więc go za włosy i schował sztylet do pochwy.

Zawahał się. Nastąpiła chwila niesamowitej jasności umysłu, jakiej nie przeżył nigdy wcześniej. Głowa wydawała mu się zupełnie pusta, jak jakiś dzban. Kątem oka dostrzegł starą Brygidę. Jej prawa ręka była po części ukryta w fałdach spódnicy, ale Candamir zauważył, że dłoń jest zacisnięta i wystawione są tylko palce wskazujące i

mały Gdyby Candamir poderżnął gardło jej synowi, natychmiast rzuciłaby klątwę na zabójcę, a klątwy Brygidy były potężne. W ciągu tygodnia udławiłby się rybią ością albo spotkałaby go jakaś inna przedwczesna śmierć. Odwrócił głowę i spojrzał na brata. Hacon był bardzo blady, minę miał zaciętą i z uporem wpatrywał się w na wpół ukrytą dłoń Brygidy. Widział dokładnie, co się dzieje, i gdyby Brygida rzuciła klątwę na Candamira, zabiłby ją - to jego obowiązek. Po śmierci Haflada jedynym żyjącym krewnym Brygidy byłby mały Roryk. Teraz miał akurat roczek, ale nadszedłby wreszcie dzień, kiedy zabiłby Hacona, aby się krwawo zemścić. A potem? Zapewne do tego czasu Hacon miałby już synów, którzy mściliby się dalej i w końcu doszłoby do tego, że pewnego dnia bratanek Candamira zabiłby syna jego najlepszego przyjaciela. Wszystko, dlatego, że kiedyś, podczas święta Jul, pewien pijany tępy smolarz wygłosił nieprzemyślaną uwagę.

Candamir przez dłuższy czas pozostawał w bezruchu. Jego instynkt, jego godność i wszystkie zasady, jakich kiedykolwiek się nauczył, kazały mu zabić smolarza leżącego teraz w śniegu z zaciśniętymi powiekami i czekającego na swój koniec.

- Żyj dalej, robaku - powiedział Candamir tak cicho, że usłyszeli go tylko ci, którzy stali najbliżej. - Ale nie wolno ci zapomnieć ani tego dnia, ani tego, czym jesteś.

Podciągnął odzienie Haflada i przyłożył mu ostrze sztyletu do brzucha powyżej pępka, dokładnie w miejscu, gdzie dźgnął go nóż Haflada. Smolarz szarpnął się, gdy poczuł pierwsze słabe ukłucie. Nieporuszony Candamir nie przerwał i na tłustym, białym brzuchu smolarza wyciął lustrzane odbicie runy fehu, oznaczające - poza innymi złymi rzeczami - tchórzostwo. Następnie wytarł ostrze o jego nogawkę, schował broń i chwiejnie wstał.

Osmund podszedł do niego, nie spojrzawszy nawet na teścia.

- Pokaż tę ranę, Candamirze.

Candamir machnął ręką.

- Idę do domu. Sakson zajmie się raną. Przekaż stryjowi moje podziękowanie.

- Jak chcesz.

- Pójdę z tobą - zaoferował się Hacon. Starał się, aby jego głos brzmiał stanowczo, ten jednak trochę drżał.

Candamir pokręcił głową.

- Zostaniesz tutaj i najesz się do syta.
  - Nic już nie przelknę, Candamirze.
  - To się po prostu postaraj - odwrócił się.
  - Ale...
- Osmund mocno chwycił go za ramię.
- Zostaw go w spokoju i rób, co każe.

Po drodze Candamir dwa razy musiał stawać, aby zwymiotować. Stwierdził, że nie najlepiej zrobiło mu jedzenie i picie bez umiaru po dwóch miesiącach głodowych racji, a do tego jeszcze ten dźgnięty brzuch. Kiedy za drugim razem zrobiło mu się niedobrze, poczuł, że oblewa go zimny pot i przez chwilę był zbyt słaby, żeby iść dalej. Stał oparty o pień drzewa, w zdumieniu przypatrywał się całej dobrej wołowinie leżącej teraz w śniegu i czekał, aż kolana przestaną mu się trząść, po czym pokonał resztę drogi do domu.

Służba siedziała przy stole wzdłuż paleniska przy bardzo skromnym świątecznym posiłku. Wszyscy unieśli głowy, gdy wszedł, i wszyscy od razu zauważyli plamę krwi na jego ciemnoszarym odzieniu. Heide mlasnęła niezadowolona, przerażona Gunda aż się zachłysnęła, zakryła usta i już chciała przyskoczyć do niego, Candamir podniósł jednak rękę w obronnym geście. Przez chwilę opierał się o zamknięte drzwi, ponieważ okropnie zakręciło mu się w głowie, po czym odepchnął się i po możliwie prostej linii poszedł ku komorze za izbą.

- Saksonie - powiedział tylko.

Austin wstał pospiesznie i poszedł za nim. Candamir, mrużąc oczy, stał przed szerokim łóżem, które - przykryte prześcieradłami i skórą - wyglądało wielce zachęcająco, a krew ciągle kapła na podłogę krytą słomą.

- Może lepiej się połóż - nieśmiało poradził niewolnik.

Candamir pokręcił głową.

- Będzie tylko bardziej krwawic i zmarnują się dobre skóry.
  - To usiądź - powiedział Austin i wskazał zamkniętą skrzynię stojącą przy ścianie.
- Kiwając głową, Candamir postąpił zgodnie z sugestią. Austin ukląkł przy nim na

słomiance i ostrożnie rozsunął poszarpane odzienie. To, co zobaczył pod nim, przeraziło go, co prawda rana nie była głęboka i najwidoczniej nie było uszkodzeń wewnętrznych, bo wtedy Candamir byłby bledszy na twarzy lub już martwy, ale zranienie miało, co najmniej stopę długości.

- Trzeba to zszyć, bo będzie tak krwawić do wiosny, panie.

- To zszyj.

Austin wstał.

- Może sobie łkniesz?

- Nie. Jestem już dostatecznie pijany.

Austin opuścił izbę, poszedł do obory i wyrwał klaczy włos z długiej grzywy. Następnie przyszedł do domu, poprosił Gundę o najlepszą igłę z fiszbinu wieloryba i tak uzbrojony powrócił do swojego pana.

Candamir, rozebrany już do pasa, wskazał głową odzienie leżące bezładnie na podłodze.

- Niech Asta zobaczy, czy się da wyprać i zszyć. To moje najlepsze rzeczy

- Powiem jej - Austin, mrużąc oczy, starał się przeciągnąć nić przez dziurkę igły. Po kilku chybionych podejściach zadał sobie pytanie, dlaczego nie dał tego Gundzie do zrobienia, ale zanim Candamir zdążył się poważnie zniecierpliwzić, sztuka mu się udała. Z triumfalnie uniesioną w górę igłą Sakson podszedł do swojego pana, który siedział na skrzyni z szeroko rozstawionymi nogami i patrzył na niego podejrzliwie.

Austin znów przy nim przykląkł, poprosił Boga o pewność ręki i wziął się do dzieła.

Candamir wzdrygnął się, kiedy igła po raz pierwszy wbiła się w ciało, ale nie było tak źle, jak się obawiał. Igła była ostra i cienka, nie napotykała oporu - w przeciwieństwie do szorstkiej nici z końskiego włosa. Choć Sakson był ostrożny, nić piekła jak ogień, stale się blokowała i trzeba było ją szarpać.

- Ile szwów? - zapytał Candamir.

Sakson zmrużonymi oczami przyjrzał się długiej ranie.

- Tuzin u góry, tuzin poniżej - ocenił.

Candamir cicho przeklął.

- To się nie cackaj.

- Jak wielu dzielnych ludzi, panie, boisz się bólu przy leczeniu znacznie bardziej niż bólu podczas walki - zauważył Austin.

- Racja. W wirze walki jest się tak zajęтым, że właściwie nie czuje się bólu.

- Zatem odwróć uwagę od tej tortury, opowiadając mi, jak to się stało.

Candamir rozbawiony ściągnął usta. Z zamkniętymi oczami odchylił głowę do tyłu, oparł o ścianę i zagadnął:

- Zabiłeś kiedyś człowieka, Saksonie?

Austin energicznie pokręcił głową, choć jego pan nie mógł tego zobaczyć.

- Nie. My, słudzy Boży, nie zabijamy, lecz ratujemy - wyjaśnił krótko, bez wywyższania się, co często mu się zdarzało, gdy mówił o swojej wierze.

- Ojciec zabrał mnie w podróż do kraju twoich przodków, kawałek w górę rzeki Elbe - zaczął Candamir. - Zatrzymaliśmy się w jakiejś wiosce i chcieliśmy wymienić focze skóry na pszenicę. Ale ci saksońscy wieśniacy napadli na nas i chcieli zrabować skóry Dwóch ubiłem. Jednego siwobrodego i jednego tłusciocha. Jeszcze teraz pamiętam, jak wyglądali... Do diabła, nie szarp tak tej nici, fajtłapo!

- Przepraszam, panie. - Austin nieprzerwanie szył dalej. - Co się potem zdarzyło?

- Pobiliśmy ich i dostaliśmy pszenicę za darmo. Potem popłynęliśmy w górę rzeki do większej wsi, gdzie był dom uciech, i ojciec zapłacił za kobietę dla mnie. Pierwszy zabity przeciwnik i pierwsza w życiu kobieta... Wszystko jednego dnia.

Wtedy był przekonany, że tego dnia stał się dorosły. Dopiero później zauważył swój błąd, że to nie takie proste.

- Ile miałeś lat?

- Piętnaście.

- Tyle, co Hacon - mruknął Sakson niepewnie.

- Hm... - O tym nie pomyślał, ale tak właśnie było. Osmund wyrzucał mu, że rozpieszcza swojego brata. Dopiero teraz Candamirowi przyszło do głowy, że ten zarzut nie był może tak całkiem bezpodstawny. Kiedy jednak dotrą do krainy Olafa, wtedy także Hacon będzie musiał pokazać, z jakiej jest gliny..

- Kogo dzisiaj zabiłeś, panie? - przerwał Austin jego rozmyślania.

- Nikogo. - Candamir szczerze opowiedział, co wydarzyło się podczas święta Jul. Jego głos był znużony, ale się nie rwał. Powieki drżały mu czasem, gdy koński włos



okazywał się szczególnie uparty, ale zachowywał pełny spokój.

- Oszczędziłeś go? - zapytał Sakson z niedowierzaniem, gdy Candamir zakończył opowieść.

- Przecież właśnie to powiedziałem, nie? Szyj dalej, nicponiu.

Austin kontynuował pracę, kręcąc głową. Była już prawie gotowa. Wreszcie zapytał:

- Dlaczego?

Candamir nie odpowiedział. Czekał cierpliwie, aż okropne dzieło zostanie dokończony i Sakson odgryzie resztę nici. Potem wstał, podszedł chwiejnie do łoża, ostrożnie położył się na boku i zamknął oczy.

Austin był już przy drzwiach, gdy Candamir powiedział:

- Jesteś głupcem, Saksonie, tak samo jak twój bóg. Sądzę jednak, że, jak wielu głupców, od czasu do czasu powiadasz też coś mądrego.

Zdumiony Austin znieruchomiał z dłonią na ryglu drzwi.

- Naprawdę?

- Jeśli rzeczywiście wypłyniemy i znajdziemy nową ojczyznę, czy nie byłaby to stosowna okazja dla ustanowienia kilku nowych praw?

- O tak. - Niewolnik pomyślał o wędrowności własnych przodków. - To najlepsza sposobność ku temu, aby zerwać z przestarzałymi prawami.

- Powinniśmy, zatem w nowej ojczyźnie zerwać z prawem krwawej pomsty

Było to wypowiedziane prawie sennym szeptem i Sakson zastanawiał się, czy aby się nie przesłyszał.

- Krwawej pomsty, panie?

- Tak.

- Ale... Czyż nie mówiłeś mi niezliczoną ilość razy, że to bogowie wymagają krwawej pomsty?

- Mówiłem. Lecz nie byłby to pierwszy raz, kiedy ludzie buntują się przeciwko nim. Niech bogowie sami decydują. Póki żyję, przyrzekam uczynić wszystko, co w mojej mocy, aby zapobiec przyszłemu rozlewowi krwi. Gdybym dostał gorączki i umarł, będziesz wiedział, co bogowie sądzili o moim przyrzeczeniu.

Z tymi słowami zasnął, a Austin wymknął się na palcach, wyjął z kryjówki prosty

krucyfiks, poszedł z nim do obory i ukląkł tam w sianie, aby modlić się o życie Candamira.

## MROŹNY KSIĘŻYC

Sakson nie był później w stanie stwierdzić, czy to milczące przyzwolenie bogów z dynastii Azów, czy raczej potęga jego Boga utrzymała jego pana przy życiu. W każdym razie Candamir nie dostał ani zgorzeli, ani gorączki, i już następnego dnia po święcie Jul był znów na nogach. Natomiast wielu innych mieszkańców Elasundu zaniemogło. Podczas lodowatych tygodni po zimowym przesileniu głód i nędza zażądały swojej daniny. Oczywiście po świątecznej uczcie u Olafa goście pochowali pod odzieniem całą resztę jada i zanieśli do domów - cóż zresztą począłby Olaf z tymi wszystkimi bochnami chleba, wędzonymi łososiami, udźcami baraniami i pieczonymi kurczakami - ale ten akt sąsiedzkiej pomocy jedynie na krótko odsunął widmo głodu, nie przegnał go jednak ostatecznie. Mogłyby to uczynić jedynie roztopy, powrót ławic i fok oraz kiełkowanie jadalnych roślin, a do tego czasu pozostało jeszcze wiele tygodni.

Do końca mroźnego księżyca - czyli pierwszego miesiąca nowego roku w kalendarzu Saksona - wyniszczająca zimowa gorączka powaliła tuzin ludzi i wyczerpały się ostatnie zapasy. Candamir ubił jednego ze swoich wałachów. Pięciu dni potrzebował, aby zmusić się do takiej decyzji. Pięciu dni, podczas których jego rodzina i służba nie miała, co jeść, a doprowadzony do ostateczności Hacon wykopał dziurę w śniegu na pastwisku i najadł się zmrożonej trawy, od czego dostał biegunki, bo nie wiedział, że najpierw trzeba trawę ugotować. Mały Fulc wciąż płakał, ale na próżno. Asta karmiła go, podobnie jak jego siostrzyczkę, piersią, aby uchronić od śmiertelnej gorączki, gdy jednak głód na dobre zadomowił się w izbie, straciła mleko. Sam Candamir cierpiał na omdlenia. Rana i utrata mnóstwa krwi osłabiły go, a brak żywności nie pozwalał mu wrócić do sił. Doszło do tego, że niespodziewanie zakreśliło mu się w głowie i nieprzytomny upadł z krzesła. Dopiero Sakson w końcu podniósł go z podłogi, mówiąc:

- Jeśli nic nie zrobisz, panie, to do roztopów nikogo z nas już tu nie będzie, a zapewne ty będziesz pierwszym, który opuści ten świat.

Candamir był zbyt wyczerpany, aby zrugać parobka za jego niestosowne uwagi. Nazajutrz zaś ubił konia. Rzadko coś przychodziło mu z taką trudnością. Wałach był w dodatku wychudzony i już niemłody, mięso było, więc gorzkie i twarde. Nasycili się jednak. Heide ugotowała na kościach wzmacniający rosół, który Candamir zjadł, podobnie jak mięso. Jadł zacięty i pełen złości, ale bez wahania. Chciał, bowiem - tak samo jak jego brat, jego siostrzeniec i każdy w Elasundzie - przeżyć.

Mimo powszechnego znużenia w domach Elasundu panował ruch, ludzie wchodzili i wychodzili. Nie mogli ofiarować sobie ani jadła, ani pociechy, ale przynajmniej mogli obdarzyć się swoim towarzystwem. Mrozy nasiliły się bardzo, prawie jednak nie padało. Dni zrobiły się znowu trochę jaśniejsze i nie było wiatru. W końcu zaczęło nawet przebłyskiwać słońce, a pokryte śniegiem pagórki i ośnieżone jodłowe bory pod błękitnym niebem były tak piękne, że Candamir, idąc raz od jednego domu do drugiego, wbił kij narciarski w zmrożony śnieg i pozostał tak dłuższą chwilę, aby z przymrużonymi oczyma rozejrzeć się i zebrać nowe siły

Z kolei Osmund czuł, że zachwycają go jasne noce. Nawet, gdy wczesny zmierzch był tak zimny, że groził zamrożeniem po wystawieniu nosa z izby, Osmund ulegał fascynacji gwiazdami. Ich niedostępność, ich zimne, majestatyczne skrzanie, niewzruszone całym ziemskim cierpieniem, miały w sobie coś osobliwie pocieszającego. Gdy jednak podczas jednej z ostatnich nocy mroźnego księżyca stał przed domem i oddawał się gwiezdnemu czarowi, dostrzegł czarne chmury pełzające od morza, które stopniowo pożerały skrzący się przepych.

- Lepiej zostań na noc tutaj, Candamirze - powiedział do przyjaciela, który wyszedł za nim z izby - Idzie burza.

Candamir spokojnie skinął głową.

- Nic niezwykłego jak na tę porę roku - zauważył.

- To prawda.

Po krótkim milczeniu Candamir powiedział z rozmarzeniem:

- Być może to ostatnia naprawdę sroga zima, którą znosimy. Jeśli prawdą jest, że klimat w krainie Olafa bywa znacznie łagodniejszy.

- Jestem przekonany, że tak właśnie jest. Wyspa leży na południe od kraju Franków, a już u Franków zima nie jest tak mroźna jak tutaj.

- Hm...

Spojrzeni znów na niebo i przez chwilę oddali się marzeniom o dalekich wybrzeżach. Potem Candamir zaplótł ręce i schował pięści pod pachy

- Wejźmy do środka - zaproponował Osmund. - I tak zaczyna padać.

Candamir się nie sprzeciwił. Wszedł za przyjacielem do przytulnie ciepłej izby, rozsiadł się przy ogniu na ławie obitej futrem i z wdzięcznością przyjął kufel piwa. U niego w domu od tygodni piło się tylko wodę - roztopiony śnieg - a Osmund, jak widać, miał jeszcze piwo. Candamir domyślił się, że to Olaf podarował je bratankowi, ale nie zapytał. Wolał rozkoszować się ziołowym, jęczmiennym smakiem na języku.

- Rozmawiałem raz jeszcze z Siwardem - rzekł - ale to nic nie dało. Nie chce porzucić Elasundu, a dopóki on zostaje, żaden z maruderów też się nie zdecyduje.

Osmund zatopił się w swoim krześle rodowym i w zamyśleniu pokiwał głową. W końcu rzekł ze wzruszeniem ramion:

- Cóż, w ostateczności poześlujemy tylko w dziesięć klanów, które zdecydowały się wyjechać.

Candamir miał jednak wątpliwości. Oznaczało to statek Olafa i jego. W najlepszym razie trzy, jeśli płynęliby także synowie Eilharda. To mało. Stanowiliby łatwą zdobycz dla każdej grupy napotkanych piratów. Nie byłoby także dość ludzi zaprawionych w boju, aby podbić krainę Olafa. Swoich wątpliwości nie wyraził jednak głośno. Zamiast tego obracał w dłoniach kufel i uparcie się w niego wpatrywał.

- Osmundzie...

- Tak?

- Jeśli to zrobimy.. Jeśli poześlujemy do tej nowej ojczyzny... - przerwał i odchrząknął. Potem spróbował od nowa. - Jeśli to zrobimy, będzie to znaczyło, że zakładamy nowe plemię, prawda? W takim razie ważne jest, abyśmy się szybko mnożyli. Żeby plemię było coraz liczniejsze.

Osmund westchnął i opróżnił swój kufel jednym potężnym łykiem. Odstawiwszy go, rzekł:

- Obawiam się, że wiem, do czego zmierzasz, ale...

Candamir gwałtownie podniósł głowę.

- Moja siostra i ty kiedyś byliście sobie przyrzeczeni. Było tak?

Osmund uniósł dłoń.

- Candamirze...

Głośniej, niż było to konieczne, Candamir odstawił na stół swój kufel.

- Dlaczego nie? Co jest z wami? Czemu to jest takie poplątane? Czyż ona nie jest dobrą kobietą?

- Ależ jest...

Candamir rozłożył ręce.

- A więc?

Przyjaciel nie odpowiedział od razu. W końcu podjął próbę wyjaśnienia.

- Asta jest mi bardzo droga, Candamirze. Jak siostra. Jest dla mnie tym, kim zawsze była: siostrą. Ni mniej, ni więcej. Gisla... - tu urwał.

- Gisla nie żyje - przypomniał Candamir.

Osmundowi zadrżały kąciki ust.

- Właśnie. Nils także. Jak rozumiem, twoim zdaniem naturalne byłoby, żebyśmy się teraz z Astą pobrali, ale dla nas te sprawy nie są tak proste jak dla ciebie. Nie zrozumiesz tego. Nie wiesz przecież, jak to jest, Candamirze. Asta nie jest w stanie zastąpić Gisli. Ja nie zadowolę się niczym innym. Ożenię się dopiero wtedy, gdy znajdę właściwą kobietę.

- Potężny Tyrze, cóż za straszna niedorzeczność! - zagrmiał Candamir zniecierpliwiony - Potrzebujesz kobiety, a Roryk potrzebuje matki. I tyle!

Osmund spokojnie pokiwał głową.

- Gdy przyjdzie stosowny czas. Nie wcześniej. Przykro mi, nie chciałem cię dotknąć. Nie myśl, że twoja siostra z jakichkolwiek przyczyn nie jest dla mnie wystarczająco dobra. Zresztą ona myśli tak samo jak ja.

Candamir pokręcił głową, nie pojmując. Próbował nie czuć się urażony, ale bez większego powodzenia.

- Cóż, nie mogę jej żywić bez końca - wyjaśnił szorstko. - Ona musi ponownie wyjść za męża.

Osmund lekko wzruszył ramionami.

- Skoro koniecznie chcesz, nie będzie ci trudno zmusić ją do tego. Asta to łagodne stworzenie. Jak Hacon. Całego ducha walki, całą buntowniczość, którą w sobie miała, już

wyczerpała, wychodząc za Nilsa. Teraz już nic nie zostało i zrobi, co każesz. Ja nie chcę być jednak tym, który ją unieszczęśliwi. Znajdź dla niej kogoś innego, Candamirze.

Candamir przewrócił oczami.

- Pięknie. Jak chcesz. - Był rozstrojony i czuł się trochę obco, ale nie miało to większego znaczenia. Znali się przez całe życie i bywało już, że w swojej obecności czuli się nieswojo i obco. - Tylko nie spodziewaj się, że to zrozumiem.

- Nie liczę na to.

- Jesteś głupcem. Mam nadzieję, że wiesz o tym.

- Może i tak. Ale w tej sprawie nie mam już nic więcej do powiedzenia i byłbym wdzięczny, gdybyś i ty więcej do tego nie wracał.

Candamir skinął chłodno głową, obiecując sobie, że nic już nie powie, dopóki jego przyjaciel będzie się czuł tak niezręcznie.

Służba Osmunda wniosła półmiski z cienką zupą i domownicy zasiedli do stołu. Candamir ukradkiem obserwował Cudrun - mamkę, którą Olaf przekazał Osmundowi dla małego Roryka. Cudrun nie była już młoda, z pewnością miała około trzydziestu lat, i choć jej piersi zapewne mieściły mnóstwo mleka, były obwisłe z powodu dzieci, które Cudrun wykarmiła. Właściwie można było sądzić, że Osmund wyszukał sobie najmniej pociągającą służącą, jaką mógł. Jego drugą służącą była cicha, siwowłosa Frankonka, którą odziedziczył jeszcze po ojcu.

- Jedz, Candamirze - przerwał jego rozmyślania Osmund.

Candamir spojrzał na półmisek, który wcześniej nieco od siebie odsunął. Zupa miała szarawą, brudną barwę, ale pływało po niej kilka oczek tłuszczu, na dnie zaś przeczuwał kawałeczek ryby. Odmownie pokręcił jednak głową.

- Zjem w domu jutro rano, dziękuję.

- Zjesz teraz - sprzeciwił się stanowczo Osmund. - Spójrz na siebie.

Z troską przyjrzał się przyjacielowi, jego bladym policzkom, które z powodu krótkiej czarnej brody wyglądały na jeszcze bardziej zapadłe, niż być może były naprawdę. Candamir wyglądał na skrajnie wyczerpanego.

- Sam wyglądasz nie lepiej - odburknął Candamir.

- Może i tak. Jedz wreszcie. W przeciwnym razie przyprowadzę tutaj twojego Saksona i potrzymam mu stopy w ogniu tak długo, aż zdradzi, dlaczego mój pies zawsze

tak merda ogonem na jego widok.

Przerażony Candamir chwycił łyżkę i zaczął jeść. Dotychczas był przekonany, że Osmund nie ma najmniejszego pojęcia, jakim cudem urosły jego zapasy z początkiem zimy, ale widocznie nie docenił sprytu przyjaciela.

- Hej, posłuchajcie, jak wiatr wyje - mruknęła lękliwie Cudrun.

Osmund przysłuchiwał się z głową przechyloną na bok. Dały się słyszeć pierwsze podmuchy nadchodzącej burzy, stłumione przez grube ściany izby wypełnione ziemią.

- Mam nadzieję, że nasze statki pozostaną całe.

Była to najgorsza śnieżycą, jak sięgnąć pamięcią. W Elasundzie prawie nikt oka nie zmrużył. Rozbudzeni ludzie leżeli pod kocami i zastanawiali się ze zgrozą, czy sztorm nie zerwie im dachu znad głowy albo nie zburzy obór i nie zmarnuje nielicznego bydła, które im pozostało. Osmund i Candamir całą noc siedzieli przy ogniu, nasłuchując ryku ogromnych fal na wybrzeżu, aż w końcu Osmund odezwał się cicho:

- Wichura wyje wilczym głosem.

Candamir skinął głową bez słowa. Także to słyszał.

Niezwykle rzadko bywało, żeby wilki zimą opuszczały las i podchodziły do wybrzeża. Za życia Candamira i Osmunda to się jeszcze nie zdarzyło. Stare kobiety powiadały, że wilki przychodzą, gdy nie mogą zdobyć dość pożywienia, a czują, że ludzie osłabli i będą łatwą zdobyczą.

Candamir podciągnął kolana pod brodę i oplótł je rękami. Po raz pierwszy od jesiennej napaści Turończyków naprawdę bał się o swoje życie.

Z nadejściem dnia zaciekłość żywiołu osłabła. Nie było jasno, ponieważ niebo wciąż pozostawało zaciągnięte ciężkimi chmurami i wiał srogi wicher, gdy tylko jednak świt przegnał grozę nocy, Osmund i Candamir przypięli narty i wyruszyli obejrzeć szkody.

Śnieżycą naniósł dobry łokieć świeżego śniegu, musieli, więc przecierać sobie szlak do portu. Kiedy tam dotarli, stwierdzili bez zdziwienia, że niemal wszyscy



mężczyźni z osady wpadli na ten sam pomysł. Podobnie jak sąsiedzi, stali na zaśnieżonym brzegu i ze zgrozą przyglądali się przesłaniu, jakie im burza przyniosła.

Żaden ze statków nie zatonął ani nie wyglądał na poważnie uszkodzony. Jednakże jesion - święte drzewo osady, w cieniu, którego zbierali się mieszkańcy od najdawniejszych czasów, aby szukać rady i podejmować decyzje - leżał w śniegu z wyrwanymi korzeniami.

- O, potężny Tyrze! - mruknął cicho Candamir. Zabrakło mu dalszych słów. Był do głębi wstrząśnięty.

Niedawno jeszcze ów jesion miał czterdzieści stóp wysokości i stał nieopodal brzegu. Teraz naga, bogato rozgałęziona korona zwisała ku szarej toni, która wciąż pienila się niespokojnie. Wyglądało to tak, jakby fale szarpały za konary, próbując wciągnąć zdobycz w głębinę. Splątane korzenie, które robiły wrażenie niewiele mniejszych od korony, wznosiły się bezwstydnie ku górze, choć przecież w połowie wciąż tkwiły w ziemi. Zapewne jedynie dzięki temu drzewa jeszcze nie zmyło do morza, a wyglądało to niemal tak, jakby morze i ziemia toczyły milczący bój o święty jesion.

- Oby bogowie byli przy nas - odezwał się stary Eilhard. - To jest koniec Elasundu.

Nikt się nie sprzeciwił. Nikt poza Brygidą. Ona jedyna stanęła zaraz przy przewróconym drzewie, gdy wszyscy inni bojaźliwie się odsunęli, położyła obie dłonie na oblepionych ziemią korzeniach i zamknęła oczy. Powoli kiwała głową i cicho mruczała coś do siebie. Candamir nie rozumiał, co mówiła, ale wydawało mu się, że coś nuci. Nie miała nart ani nawet zimowych butów i Candamir zastanowił się, w jaki sposób udało się jej tutaj dotrzeć.

Nagle otworzyła oczy, zrobiła krok w tył i powiedziała niezwykle dźwięcznym głosem:

- Oto znak Thora.

Mężczyźni wymienili między sobą zdumione spojrzenia.

- Ja widzę tylko zły omen - ponuro sprzeciwił się Eilhard.

- Boś stary głupiec, a starzy głupcy są słabi i tchórzliwi - odszczeknęła.

Poorana zmarszczkami twarz Eilharda niepokojąco pociemniała.

- Uważaj, co mówisz, starucho...

Brygida już go nie słuchała, ale odwróciła się do Osmunda i Candamira.

- Wy mieliście rację, a maruderzy nie. To drzewo wskazuje nam drogę.

Candamir powoli pokręcił głową.

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

Usta Brygidy wykrzywił pogardliwy uśmiezek, ale zaraz spoważniała.

- Otóż rzekłam, że masz rację, ale to wcale nie znaczy, żeś mędrszy od tego tu starego głupca. Thor czyni cud, żeby was poprowadzić, a wy jesteście zbyt ślepi, aby go dostrzec, choć ten cud jest długi na czterdzieści stóp. W jakim kierunku pokazuje korona drzewa, Candamirze Olesson, uważający się za najbystrzejszego człowieka w Elasundzie?

Musiał się przemóc, żeby znowu spojrzeć na drzewo. Potem odparł:

- W kierunku południowego zachodu.

- Skąd nadeszła burza?

- Z południowego zachodu - powtórzył. Zabrzmiało to wyraźniej, bo wreszcie mu zaświtało, do czego stara zmierza.

Inni też zrozumieli i rozległ się pomruk zdumienia. Oczywiście! Drzewo powinno upaść w przeciwną stronę, zgodnie z kierunkiem wiatru. Z pewnością to znak zachodzących zmian, że żywy symbol ich społeczności leżał przewrócony u ich stóp, teraz jednak wszyscy pojęli, że chodzi o coś więcej niż tylko sam upadek - że to sam Thor, bóg burzy, naprawdę zesłał im znak.

- Ale... Ale co to ma oznaczać? - zapytał Siward.

- Widać jak na dłoni, prawda? - odpowiedział Candamir. Radosne podekscytowanie zastąpiło nagle paralizującą zgrozę. Brygida ostrzegawczo uniosła rękę.

- Nie tak szybka

- Sama przecież mówiłaś, że drzewo wskazuje na południowy zachód, czyli akurat tam, dokąd...

- Na to wygląda i sama gotowa jestem w to uwierzyć. Musimy się jednak upewnić. Czas zbadać wolę bogów.

Wielu z bólem pokręciło głową. Większość mieszkańców Elasundu - w każdym razie większość mężczyzn - bała się wyroczeni, obawiali się tego, czego mogliby się dowiedzieć, a czego woleli nie wiedzieć. Nikt się jednak nie sprzeciwił. Śmierć jesionu

była najpotężniejszym i zarazem najgorszym znakiem, jaki w ogóle mogli sobie wyobrazić. Ale jeśli nie oznaczał on otchłani, lecz rozstaje dróg, to potrzebny był im przewodnik. Nikt się nie wahał podporządkować Brygidzie, ponieważ - czarownica czy nie - pośredniczyła między bogami a mieszkańcami osady

Staruszka powoli obróciła się wokół własnej osi, odwrotnie do ruchu słońca. Przyjrzała się twarzom mężczyzn i nielicznych kobiet, które ich otaczały

- Ty - rzekła do Osmunda. - Ty będziesz *Nordhr*, północą.

Zrobił lekki grymas niezadowolenia, ale skinął głową.

Następną wybrała Inge, córkę Siwarda, jako północny wschód, Jareda, najstarszego syna Olafa, jako wschód, Siwarda - jako południowy wschód, Olafa - jako południe, a wnuczkę Eilharda, Margild - jako południowy zachód. Potem kiwnęła do Candamira.

- Przeprowadź brata. Chcę go jako *Vestr*.

- Nie - odparł Candamir gwałtownie. Zauważywszy pełne wyrzutu, wylęknione spojrzenia otaczających go ludzi, stanowczym gestem założył ręce na piersiach. - Wybij to sobie z głowy Nigdy nie masz względów dla swojej ofiary, a mój brat jest półżywy z głodu i słaby. Weź mnie zamiast niego, ale Hacona nie dostaniesz.

- Candamirze, zachód jest najważniejszym miejscem w tej wyroczni, gdyż oznacza obce, nieznanne światy - wyjaśniła z niezwykłą cierpliwością. - Potrzebuję twojego brata, bo Thor jest jego bogiem opiekuńczym. Potrzebuję kontaktu, rozumiesz?

Skinął głową.

- Odpowiedź i tak brzmi „nie”.

Niecodzienny przyływ wyrozumiałości przeszedł Brygidzie jak ręką odjął i już chciała zaintonować swoje słynne złowieszcze wrzaski, kiedy odezwał się Jared:

- Thor jest również moim bogiem opiekuńczym.

Spojrzała na niego ze zmarszczonym czołem, po czym warknęła niechętnie:

- To prawda. Jeśli o mnie chodzi, może być. Candamirze, w takim razie przejmiesz północny wschód. Chodźmy.

- Jeszcze jednego brakuje - zauważyła trzynastoletnia Inga, najmłodsza z wybranych, która jednak zdawała się najmniej lękać.

Brygida pokręciła głową.

- Północny zachód pozostanie bez nikogo.

- Dlaczego? - zapytała zdziwiona dziewczynka. - Jak wyrocznia może przemówić, skoro świat będzie niepełny?

Brygida wzruszyła kościstymi ramionami.

- Nie będzie. Tego jednak, kto będzie oznaczał północny zachód, nie ma jeszcze wśród nas. - Wydawała się nieco zmieszana, ale była całkowicie pewna swego. - Chodźcie! Jest jeszcze wiele do zrobienia. Każdy z was musi odciąć jedną odnogę korzenia i jedną gałąź korony jesionu i zabrać ze sobą. Pamiętajcie, aby na korzeniu było jak najwięcej przyklejonej ziemi.

W milczeniu zrobili wszystko zgodnie z jej wskazówkami. Osmund pożyczyl Indze swój nóż, aby odcięła gałąź, i trzymał ją w talii, gdy niebezpiecznie daleko wychylała się nad wodę, próbując jej dosięgnąć. Stanawszy bezpieczną nogą na brzegu, uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Na policzki wystąpił jej lekki rumieniec. Do Osmunda po raz pierwszy dotarło, jak zachwycająco piękną dziewczyną jest Inga, i odwzajemnił jej uśmiech.

Candamir nie znosił domu Brygidy i nigdy z własnej woli do niego nie wchodził. Była to zaledwie mała chałupka postawiona wystarczająco solidnie, aby stawić czoła zimie, ciasna jednak i duszna. Składała się po prostu z jednej izdebki, którą stara dzieliła z trzema krukami. Z przyczyn znanych jedynie Brygidzie kruki nazywały się Urd, Werdandi i Skuld, jak Norny dnia wczorajszego, dzisiejszego i jutrzejszego. Przy lewej ścianie szczytowej domu płonęło palenisko, a przy pozostałych poukładano i porozwieszano gliniane garnuszki i skórzane mieszki, o których zawartości Candamir nie chciał wiedzieć nic konkretnego. W najciemniejszym kącie, którego nie rozświetlał blask płomieni, można było dojrzeć legowisko na podłodze. Wszędzie stały lub leżały rozmaite sprzęty: kociołki różnych rozmiarów, pełne i puste, lniane worki z ziołami, korzeniami lub startymi kłami morsa, a na półce dokładnie naprzeciwko drzwi stały na warcie czaszki psa i konia.

Candamira przeszył dreszcz, gdy za przyjacielem przekroczył próg. Musiał schylić głowę, tak niskie było nadproże, i jeszcze dobrze nie zamknęły się drzwi, a już

poczuł się jak uwięziony.

Osiem osób i trzy kruki - teraz izdebka była beznadziejnie zatłoczona. Odruchowo skupili się wokół ognia i tylko Inga rozglądała się bez lęku i ciekawie.

Brygida kiwnęła na nią z uznaniem.

- Napełnij kociołek wodą.

Inga posłusznie rozejrzała się w półmroku, wypatrzyła żeliwny kociołek średniej wielkości, wyszła przed chałupę i napełniła go śniegiem.

Brygida podeszła do niskiej drewnianej skrzyni u stóp legowiska i przegoniła kruka, który przysiadł na wieku. Ten zeskoczył na podłogę, dziobnął nadąsany swojego towarzysza, który podszedł za blisko, po czym niezgrabnie podfrunął w górę i usiadł na ramieniu Brygidy Odruchowo pogładziła palcem jego czarną pierś.

- Zostań ze mną, Skuld - mruknęła z czułością.

Candamir zastanawiał się, jak ona je rozróżnia, i nie mógł tego pojąć. Dla niego wszystkie wyglądały tak samo: czarne, wielkie i obrzydliwe.

Brygida podniosła wieko skrzyni i z miną wyrażającą coś w rodzaju głębokiego szacunku wyjęła równo poskładaną, ziemistobrązową chustę. Wetknęła ją Jaredowi do ręki.

- Rozłóż.

Jared podał kuzynowi Osmundowi jeden koniec chusty, rozłożyli ją, po czym rozciągnęli na podłodze. Ze środka okrągłej chusty wychodziło osiem czarnych linii. Linie te tworzyły wzór przypominający pajęczą sieć i dzieliły chustę na osiem pól równej wielkości. Na końcu jednej z linii znajdowała się runa w kształcie litery „N” i chustę rozłożono tak, żeby ta linia wskazywała dokładnie północ.

W tym samym czasie Candamir i Siward, zgodnie ze wskazówkami Brygidy, przełożyli większość żaru z paleniska do żeliwnej, płaskiej misy, a do ognia dorzucili świeżego drewna. Zrobiło się wyraźnie cieplej. Inga zawiesiła kociołek na haku nad paleniskiem, Brygida zaś wrzucała do wody rozmaite składniki. W kociołku czasem coś złowieszco zaskwierczało lub zawrzało. Candamir nie spuszczał staruchy z oka, starając się przeniknąć, co ona tam warzy, czy nie dodaje, aby czegoś obrzydliwego, jak oczy ropuchy albo kurza krew. Zobaczył jednak, że w kociołku znikają różne proszki i coś wyglądającego na suszone grzyby

Przygotowanie napoju nie trwało długo. Na koniec Brygida przelała zawartość kociołka do wielkiego kubka.

- Zajmijcie swoje miejsca - zarządziła.

Osmund ukląkł na skraju chusty dokładnie w miejscu, gdzie znajdowała się runa wskazująca północ. Inni poszli za jego przykładem. Siward przyszedł ostatni i postawił misę z żarem na środku chusty, gdzie linie się spotykały. Brygida uklękła nad żarem z twarzą zwróconą ku północy, z zamkniętymi oczyma podniosła kubek i poprosiła bogów o wsparcie i przewodnictwo. Potem wypła łyk i wręczyła kubek Osmundowi. Ten, pociągawszy porządnie, chciał go dać Candamirowi, ale stara go powstrzymała:

- Jesteś niepoprawny, głupcze. W odwrotnym kierunku! Chcesz na nas wszystkich sprowadzić zgubę?

Struchlały Osmund otworzył oczy, przeprosił niewyraźnym gestem i wręczył kubek młodziutkiej Indze. Powoli napój obiegł wszystkich. Candamir, który klęczał przy linii zachodniej, był ostatni w kolejności.

- Musisz opróżnić kubek - wyjaśniła Brygida.

- Oczywiście - mruknął zgryźliwie i zaczął pić. Wywar był gorący, smakował goryczą i ziemią, ale nie było w nim nic nieprzyjemnego. Dwa spore łyki dopełniły rytuału. Ostrożnie odwrócił kubek i postawił go obok siebie do góry dnem, poza świętym kołem świata, który symbolizowała chusta. Ogień na palenisku spokojnie trzeszczał, żar w misie powoli syczał, było bardzo cicho. Kiedy kruk na ramieniu Brygidy niespodziewanie zakrakał, wszyscy się wzdrygnęli. Inga i Jared zachichotali. Olaf napomniął syna groźnym zmarszczeniem czoła, ale Brygida najwidoczniej nie była rozczłuszczona brakiem powagi u młodych ludzi. Zamknęła oczy i czekała w bezruchu. Jej powieki były pomarszczone, zaczerwienione, pokryte drobnymi niebieskimi żyłkami i tak spokojne, jakby znajdowała się w głębokim śnie. Ogień rzucał czerwonawe cienie na nieruchomą postać, która, zupełnie nie wiedząc czemu, sprawiała wrażenie majestatycznej. W mrocznej chacie zrobiło się gorąco.

- Połóżcie gałęzie z korony jesionu do misy i obserwujcie żar.

Wszyscy posłuchali wskazówek Brygidy. Gałęzie były mokre i paliły się powoli. Zaczął się unosić gryzący, siwy dym.

Napój na każdego zadziałał inaczej. Siward rozsznurował buty i bezmyślnie

masował sobie stopy, jakby był głuchy albo cierpiał na przykurcz. Inga zmarszczyła czoło i przycisnęła palce lewej dłoni do skroni. Najwidoczniej bolała ją głowa. Margild oddychała ciężko i nierówno. Osmund zdawał się nic nie czuć, ale jego źrenice wyraźnie się rozszerzyły. Candamir właśnie się zastanawiał, czy z nim dzieje się to samo i czy to, dlatego widzi wszystko rozmyte jak pod wodą, gdy wstrząsnął nim niespodziewany, kłujący ból w żołądku. Zatrwożony przycisnął dłoń do brzucha, a ból zaraz pojawił się ponownie.

- Och, ty podstępna, stara suko - wydyszał. - Otrułaś mnie.

Brygida rzuciła mu lodowate spojrzenie.

- Weź się trochę w garść, chłopcze. Zaraz ci przejdzie.

Nie przeszło jednak. Pogorszyło się. Ukląkł na swoim miejscu i skulił się tak bardzo, że czołem niemal dotykał podłogi, obiema rękami ściskając brzuch.

- Otrułaś - powtarzał cicho. - Dlatego, że twojego syna, podszytego tchórzem nicponia, ośmieszyłem w czasie święta Jul. Zawsze się zastanawiałem, kiedy... Kiedy mi odpłacisz - dyszał. Było mu niedobrze z bólu, ale cokolwiek by się działo, wiedział, że nie wolno mu wstawać.

- Głupie gadanie - odparła krótko, ale nie tak szorstko jak zwykle, i położyła swoją starą, pomarszczoną dłoń na jego spoconym czole. W okamgnieniu ból zaczął zanikać.

Candamir odprężył się - tylko trochę, gdyż nie był jeszcze pewny, że może to zrobić. Uklucia znikły jednak niebawem i już nie wróciły. Wyprostował się i ponownie spojrzał na żar, który wskutek zmaconego wzroku wydawał mu się czerwonym, niemal wrzącym wywarem. Stopniowo do jego świadomości zaczął docierać jakiś szmer - równomierny chrzęst, rytm, coś jakby powolne bicie serca. Brygida w lewej dłoni trzymała mieszek. Candamir nie miał najmniejszego pojęcia, skąd wzięła ten woreczek. Był zrobiony ze skóry białej foki i znajdowały się w nim drewnienka i kamyki z runami, którymi stara wolno grzechotała. To właśnie ten szmer słyszał. Zadawało mu się, że wnika mu w ucho falami - raz był głuchy, potem wyraźniejszy, ale wciąż w tym samym rytmie.

Candamir poczuł, że jego własne tętno dostosowało się do niego. W maleńkiej chatce zrobiło się przez ten czas potwornie gorąco, oczy go piekły i łzały od dymu, ale

nie miał już chęci uciekać.

W końcu rytm umilkł. Brygida otworzyła mieszek i podała go Osmundowi.

- Wyciągnij lewą ręką jedną runę i nie patrz na nią - powiedziała.

Osmund musiał lewą rękę podtrzymywać prawą, żeby trafić dłonią do mieszka, i cicho się zaśmiał z powodu swojego braku zręczności. Był to pogodny, beztroski śmiech, jaki niezwykle rzadko można było usłyszeć u Osmunda. Ostatecznie koścista dłoń zniknęła w mieszku i pojawiła się znowu zaciśnięta w pięść.

Kolejno każdy wyciągał runę, Brygida jako ostatnia, i to dwa razy, ponieważ dziewiąte miejsce pozostawało puste. Potem ostrożnie odłożyła mieszek, złożyła dłonie w miseczkę i kazała wszystkim siedzącym w kręgu włożyć do nich swoje runy. Mając już wszystkie dziewięć, zamknęła dłonie i znowu zagrzechotała, tym razem szybciej i natarczywiej. Następnie otworzyła dłonie, rozczapierzyła palce i pozwoliła runom upaść na brązową chustę przy misie z żarem. Rozprysły się jak krople wody. Wzrok Candamira nabrał przedziwnej ociążałości i wydawało mu się, że całą wieczność trwało, zanim z powrotem ogarnął spojrzeniem wszystkie dziewięć run.

Żadna runa nie była podobna do innej. Wyżłobiono je na podłużnych, płaskich kawałkach drewna różnych rodzajów, niektóre nawet na krzemionkowych kamykach. Było to bardzo niezwykle, tyle nawet Candamir wiedział.

- Najwidoczniej bogowie mają nam wiele do powiedzenia - mruknęła Brygida. Długo wpatrywała się dziewięć run przed sobą, przyglądała się kątom i odległościom, w jakich leżały od siebie. Właściwe odczytanie położenia było równie ważne jak znaczenie samych run, ponieważ położenie określało kolejność run i ich wzajemne stosunki.

Na koniec Brygida wskazała na runę, która samotnie leżała najbliżej żaru. Składała się z kreski pionowej oraz ukośnej idącej przez środek, wyżłobionych w różowoszarym, gładkim kamyku.

- *Nauthiz* - rzekła staruszka stanowczym głosem. - Stanowi początek i pokazuje to, co jest. - Zgodnie z wykrytą przez nią kolejnością wskazywała teraz na pozostałe runy - *Berkano, raidho, hagalaz, thurisaz, kenaz, ingwaz, jera, ehwaz* - wyliczała kolejno nazwy run, jakby to było jakieś tajemne zaklęcie. Przy każdej nazwie jej palec wędrował ku następnej runie, śledzony przez siedem par oczu. Zrobiło się tak gorąco, że Candamir czuł, jakby oddychał płynnym ogniem. Pot płynął mu po torsie i plecach, tylko twarz



zdawała mu się chłodna, a umysł jasny jak nigdy. Jak urzeczony wsłuchiwał się w monotony głos Brygidy i śledził jej zakrzywiony palec. Później usłyszał jeszcze drugi głos, który nałożył się na pierwszy i który mówił to samo, co tamten, choć nieco szybciej. Głos był delikatny i cudownie melodyjny - głos młodej dziewczyny albo chłopca. Nie był w stanie powiedzieć, do kogo należy.

- *Nauthiz, berkano, raidho, hagalah, thurisaz, kenaz, ingwaz, jera, ehwaz* - powtarzały oba głosy, a wtedy Osmund i Jared mruknęli jednocześnie:

- Słyszę głos kruka.

- To dobrze - powiedziała zadowolona Brygida i drugi głos też, po czym głosy wróciły do swojej litanii runicznych imion.

- Kruk? - zdumiał się zdezorientowany Candamir. Jakże to może być głos kruka, tak czysty i piękny? Podejrzliwie przyjrzał się czarnemu skrzydlatemu stworowi, który wciąż siedział na ramieniu starej. Dziób miał zamknięty, jednak ciemne, guzikowate oczy twardo odpowiadały na spojrzenie Candamira, jakby szydziły z jego niewiedzy. Przy kolejnym powtórzeniu nieziemski głos zrobił się znacznie donośniejszy, wręcz przenikliwy, i Candamir poczuł, jak zaczyna mu tłuc w skroniach.

- Ja też słyszę głos kruka - rzucił prędko i walenie w skroniach natychmiast ustąpiło. „Właśnie” - zdawało się mówić lekko rozbawione spojrzenie ptaka. „Czemu dopiero teraz?”. Candamir poczuł dziwny zawrót głowy, jakiego zwykle doświadczał jedynie wtedy, gdy był pijany na umór. Dziś nie przytłumił mu jednak zmysłów, przeciwnie - wszystkie pięć jakby się wyostrzyło. Poczul zapach ognia i dymu, poczul na skórze żar i pot, na języku wyczuł jeszcze niesamowity, ziemisty smak tamtego napoju, a przede wszystkim więcej słyszał.

- Teraz wrzucie do żaru korzenie z ziemią - powiedziała Brygida. Zawtórował jej głos kruka. - Tym razem Jared pierwszy.

Syknęły mokre, splątane korzenie i na moment żar w żeliwnej misie przybladł. Po dusznej izdebce rozszedł się odurzający zapach wilgoci, stęchlizny i żyznej ziemi.

- *Nauthiz* - zaczęła znów Brygida, ale nie wymieniała dalej.

- To była moja runa - zostało to wypowiedziane tym samym cudownym głosem kruka, który słyszał Candamir, ale wychodził on, jak się zdawało, z ust Jareda. - Oznacza ona to, co jest: nędzę. Głód ciała i głód duszy - Jared mrugał oczami jak stara sowa, jakby

nie mógł pojąć, cóż to wydobywa się z jego ust.

- *Berhano* - Brygida wskazała drugą runę.

- To runa bogini brzoź, która jest moją boginią opiekuńczą - powiedział kruk ustami Olafa. - Runa pokazuje, co niebawem nastąpi: odnowa, wzrost, powtórne nadejście wiosny i wyzwolenie.

Palec Brygidy wędrował dalej.

- *Raidho*.

Przez długi czas nikt się nie odezwał, ale stara nie sprawiała wrażenia, że się spieszy. Siedziała równie nieruchomo jak ptak na jej ramieniu i wskazywała palcem trzecią runę.

Wreszcie przemówił Siward.

- Nie słyszę głosu kruka, ponieważ nie chciałem go usłyszeć. Wiem jednak, że to ja wyciągnąłem tę runę. - *Raidho* był jedynym kamieniem runicznym, który był prawie czworokątny i miał kanty ostrzejsze od pozostałych. - *Raidho* to wóz i oznacza podróż. - Siward opuścił głowę. - Bogowie nie mają szczególnego względu na życzenia starego człowieka. Niech więc tak będzie. '

Zapanowało długie milczenie, ale pełen słodczy głos stopniowo zaczął powracać do głowy Candamira. Stwierdził nagle, że już od dłuższej chwili słyszy jego szept, choć dopiero teraz naprawdę do niego dotarł. Głos wyszeptał nazwę czwartej runy: *hagalaz*.

- *Hagalaz* to moja runa - powiedziały usta Margild. - Mówi ona o żywiołach natury i zniszczeniu, ale także o oczyszczeniu przez próbę.

- Sztorm - wyjaśniła Brygida i teraz mówił już tylko jej głos. - *Hagalaz* oznacza sztorm, który musimy odnaleźć i przetrwać, aby znaleźć nową ojczyznę. - Zdawało się, że chce jeszcze coś dodać, lecz zmieniła zdanie i zamiast tego wskazała na kolejną runę. - *Thurisaz*.

- Ja ją wyciągnąłem - usłyszał Candamir obcy głos wydobywający się z jego własnych ust. Mimo gorąca oblała go fala lodowatego zimna, a na ramionach pojawiła mu się gęsia skórka. Runa Thora to cieriń i głównie oznacza męską potencję. Candamir zastanawiał się, czy jest to proroctwo na temat jego własnego potomstwa, czy też oznacza, że całe plemię w nowej ojczyźnie będzie płodne. Chodziło jednak o coś zupełnie innego:

- Runa ta oznacza waleczność mężczyzn, ich przewagę bojową - ogłosił kruk.

Thor chciał im uświadomić, że będą się zmagać z rdzennym ludem wyspy Olafa. Cóż, Candamir nigdy nie miał na ten temat poważniejszych wątpliwości. Jared jednak, który siedział po przeciwnej stronie na ukos od niego, powiedział:

- Thor jest moim bogiem opiekuńczym, a patrząc z mojej strony jego runa leży odwrotnie. Dlatego prorokuje coś złego, zagrożenie i kłamstwo. Także niezgodę - głos miał słaby i zniechęcony, nie patrzył też nikomu w oczy. Był bardzo blady, najwidoczniej działanie napoju mocno go zgnębiło.

Ale głos kruka w głowie Candamira potwierdził proroctwo Jareda. Gdy Candamir uświadomił to sobie, przestraszył się i na chwilę zwiesił głowę, zamykając oczy, żeby się pozbierać. Okazało się to poważnym błędem. Raz zamknięte, jego powieki po prostu odmówiły otwarcia. Migocząca jasność zmieniała się w czerń w takt uderzeń serca, głosy coraz bardziej się oddalały i zobaczył jakieś obrazy, pojawiające się z niesamowitą szybkością, w niedorzecznej kolejności. Kruk mówił o runie *kenaz*, pochodni wiedzy, i Candamir ujrzał swojego Saksona stojącego z uniesionymi rękami na skraju skały porośniętej trawą, z twarzą zwróconą ku niebu. Miał uszczęśliwiony wyraz twarzy, lecz krwawiły mu ręce, nogi i bok. Następnie Candamir zobaczył runę *jera*, bogate żniwa: łąn złocistej pszenicy większy od wszystkich pszenicznych łąnów, jakie w życiu oglądał. Pole leżało na skraju ciemnego lasu z niewiarygodnie wysokimi drzewami, a drzewa te poruszały się tak, jakby miały nogi zamiast korzeni, i maszerowały ciasnym szeregiem przez ten łąn, deptając złocistą pszenicę. Potem pojawiła się ostatnia z dziewięciu run, *ehwaz* - koń, oznaczający ruch i zmianę. Ujrzał pięknego, bułanego żrebaka z ciemną grzywą i ogonem, swobodnie galopującego po rozległej trawiastej równinie. Candamir uśmiechnął się w swoim pogmatwanym śnie, gdyż był to obraz tak naturalnego piękna. Następnie odezwał się jednak głos z północnego zachodu, nie kruka, lecz kobiecy, którego nigdy wcześniej nie słyszał. Głos wołał:

- To była moja runa i jest odwrócona. Zapowiada zwadę, nieufność i zdradę! - Głos przestraszył swawolnego żrebaka. Stał, głowę miał uniesioną i niespokojnie machał ogonem. Potem nagle odwrócił się i uciekł. „Nie - pomyślał rozpaczliwie Candamir - nie uciekaj!”. Rzucił się za nim w pogoń, bez żadnego trudu przeskakując krzaki i skały, nie dogonił go jednak. Kobiecy głos coś za nim wołał, jakby ostrzeżenie,

ale Candamir nie był w stanie rozróżnić poszczególnych słów. Niespodziewanie nie było już łąki, ale biegł teraz po pokładzie statku. Deski dudniły pod jego stopami, był jednak zbyt powolny, prawie nie ruszał się z miejsca, i w narastającej panice ujrzał Osmunda, jak przekracza burtę i znika w spienionych odmętach morza. Candamir upadł na kolana przy relingu i pochwycił niebezpiecznie cienką linę, którą przyjaciel się ubezpieczał. Pociągnął, ale tym, co wyciągnął, był dwunastogłowy wąż morski. Jedna z paszczy otworzyła się i zbliżyła ku jego twarzy - ogromna czarna otchłań z dwoma rzędami ostrych jak brzytwa zębów. Zdrętwiały ze zgrozy Candamir wlepił w nią wzrok, po czym potężne szczęki zamknęły się nad nim i otoczyła go ciemność. Dobył miecza i dźgnął obślizgłą gardziel, za późno jednak - niepowstrzymanie został wciągnięty w dół, połknięty przez potwora. Powoli spadał coraz niżej i niżej. Usłyszał przeraźliwy krzyk i rozpoznał go: to głos Ingi, nie kruka. Spadając, zaczął się obracać i wirować wokół własnej osi, ale wciąż nie lądował.

- Wynieście go na zewnątrz i połóżcie na śniegu, zanim nam wyzionie ducha - warknęła stara Brygida.

Liczne ręce przechwyciły jego upadek, podniosły go i przeniosły z powrotem do świata światła. Znalazł się w cudownie chłodnym, czystym łożu, ale tym, co ujrzał, otworzywszy oczy, nie był jednak śnieg, lecz ogromne stado białych kruków. Candamir nie był zaskoczony. Z uśmiechem ponownie zamknął oczy i na dobre odpłynął.

*część druga*

# *Podróż*

## WIOSENNY KSIEŻYC

Stukot młotków i śpiew siekier niósł się nad spokojnym, gładkim jak lustro fiordem Elasund. Na wszystkich pokładach ręce zajęte były robotą: uszczelniano i wzmacniano burty, sprawdzano i naprawiano żagle oraz liki, przygotowywano statki do długiego rejsu.

- Jutro rano - powiedział Osmund częściowo z niedowierzaniem, a częściowo z rozmarzeniem.

- Tak. Jeśli do tego czasu pojawi się, choć trochę wiatru. I jeśli Berse przybędzie w porę - przypomniał Candamir.

Osmund usiadł obok niego na rufie, na jednej z ośmiu ławek dla wioślarzy, i z wdzięcznością przyjął kubek, który podał mu Candamir.

- Przybędzie. Któż chciałby spóźnić się na ten wielki dzień?

Właśnie - kto? Po śmierci jesionu i zgodnie z wyrocznią szybko podjęto ostateczną decyzję o wyruszeniu na poszukiwania krainy Olafa. Siward wyjaśnił, że jest już za stary, żeby występować przeciw woli bogów, a jego dobrze uzasadniona zmiana postawy przekonała pozostałych sceptyków. Ponad dwa tuziny klanów chciało nazajutrz wypłynąć dziewięcioma statkami. Byli to nie tylko mieszkańcy Elasundu. Dołączyło także kilka rodzin z wiosek nad rzeką, wśród nich na przykład Thorbjorn i Haldir, synowie Eilharda. Także szkutnik Berse, mieszkający z rodziną u ujścia rzeki, z dala od ludzi. Chciał płynąć na obczyznę, bo - jak twierdził - niebawem nie będzie tu już nikogo, kto potrzebowałby jego usług. Jedyne cztery rodziny zdecydowały się pozostać: rybak Torke ze swoim klanem, ludzie od zawsze dziwni i nietowarzyscy, dwie rodziny, w

których było za mało młodych, a za dużo starych ludzi i małych dzieci, żeby porwać się na taką przygodę, a także klan pewnego kupca, który zeszłej jesieni nie powrócił z podróży Rodzina nie straciła jeszcze nadziei i nie chciała wypływać bez niego. Candamir bardziej przejmował się ludźmi, którzy zostawali, niż tymi, którzy z nim wyprawiali się w morze. Jak obroni się tak mała społeczność, gdyby znów pojawili się Turończycy? Albo jacyś inni równie zaborczy piraci? Ciężko mu było na sercu, gdy myślał o ich losie, ale nie mógł przecież ich związać, zakneblować i wbrew woli zaciągnąć na pokład „Sokoła”.

Osmund porządnie pociągnął z kubka. Tak jak zimą, teraz też pili wodę, bo nie urosło jeszcze nic, z czego dałoby się warzyć piwo, głodowanie mieli już jednak za sobą. Wraz z nadejściem wiosny powróciły duże ławice ryb i stada fok, a mieszkańcy Elasundu ubili całe bydło, którego nie mogli zabrać na wielką wyprawę.

Kiedy tylko pogoda pozwoliła, zaczęły się również prace na statkach. Ponieważ wszystkich statków - poza „Morskim Smokiem” Olafa - używano jedynie do żeglowania po wodach przybrzeżnych, ładownie między pokładem dziobowym i rufowym były otwarte. Choć dzięki temu można było przewozić podczas podróży handlowej dużo towaru, taki otwarty statek nie nadawał się do wypłynięcia na pełne, morze, i to niezależnie od pogody, ponieważ nabrałby wody i zatonąłby jak kamień. Dlatego mieszkańcy osady przykryli ładownie stropem z belek i desek. Statki miały teraz jeden ciągły pokład i było dosyć miejsca dla żeglarzy. Do ładowni można było się dostać przez dwa luki, z których przedni był na tyle duży, żeby przeszło tamtędy bydło.

- Nigdy nie wystarczy miejsca na wszystko, co każdy chce ze sobą zabrać - zauważył Candamir z westchnieniem.

Osmund w zamyśleniu skinął głową.

- Cóż, każdy musi twardo przestrzegać tego, co uzgodniono. Nie potrzebujemy właściwie wiele poza prowiantem, owcami i ziarnem pod siew. Wszystko pozostałe jest na wyspie Olafa.

- Tak, tak. Ale nie myślisz chyba poważnie, że zostawię tutaj moje konie, co? - zapytał Candamir z krzywym uśmiechem i odchylił głowę do tyłu, nie zwracając uwagi

na wzdychanie Osmunda. Długim, szczupłym palcem wskazał chmury nadpływające z zachodu, wyglądające jak smocze głowy - Spójrz tylko. Nadchodzi wiatr. Widocznie także bogowie chcą, abyśmy jutro wyprawili się w morze.

Szkatnik Berse przeszedł sam siebie. Wielu mieszkańców Elasundu zjawilo się w porcie i oglądało, jak wpływa nowy statek: knara o klinkierowym poszyciu i płaskim kilu, z kunsztownie wyrzeźbionymi wilczymi głowami na stewie dziobowej i rufowej oraz dumnie wydymającym się pasiastym żaglem, błyskającym czerwienią i żółcią. Majestatycznie sunął po spokojnej, stalowo-błękitnej tafli fiordu, jakby miał skrzydła. Rozległ się szmer zachwytu i dały się słyszeć najrozmaitsze komentarze.

- Tak solidnie wygląda - mruknęła młoda Inga, na której zrobiło to duże wrażenie.  
- Jakby w ogóle nie mógł zatonać.

- Każdy statek może zatonać - sprzeciwił się Candamir i natychmiast pożałował swojej nieprzemyślanej, choć niewątpliwie trafnej uwagi, bo przecież tym, czego potrzebowali, co najmniej tak bardzo, jak dobrych statków, było poczucie pewności. - Ale masz rację - dodał pospiesznie. - To prawdziwy wilk morski.

- Czy tak się nazywa? - zapytał ciekawie Hacon i wskazał na rzeźby na stewach.

Candamir skinął głową. Inga zadrżała w chłodnej bryzie i wzruszyła ramionami.

- Czy nie moglibyśmy żeglować z Berse? Na jego statku nie bałabym się podróży.

- Może zapytaj Berse - zaproponował Candamir niechętnie. Od dawna było ustalone, że klan Siwarda popłynie na jego „Sokole”, i nie przyszło mu do głowy, że Inga zechce pogardzić jego pięknym statkiem. - Obiecaj mu całusa, to na pewno zabierze cię na pokład.

Inga skrzywiła się z niesmakiem, a jej brat Wiland oraz Hacon obleśnie zarechotali. Berse był wyśmianym rzemieślnikiem i żeglarzem, ale mężczyzną był malutkim i garbatym. Jak kiedyś wyjaśnił, pochodził z rodu karłów, i od tamtej pory Brygida rzadko nazywała go inaczej niż wnukiem Durina.

„Wilk Morski” zbliżył się do brzegu, synowie szkatnika zwinęli żagiel i rzucili kotwicę. Niewielka załoga zeszła z pokładu. Berse pierwszy pokracznie przebrnął przez wodę na ląd.



Olaf wyszedł mu naprzeciw, ale Berse nie zwrócił na niego uwagi. Stanął przed Candamirem, który zimą regularnie u nich bywał, aby jego i rodzinę namówić na tę wielką szansę. Kadłub żaglowca był gotowy już jesienią, a gdy nadeszły roztopy, szkutnik i jego synowie dostosowywali go do warunków rejsu na pełnym morzu. Candamir często odwiedzał też Berse, aby uzyskać fachową poradę w sprawie przeróbek elasundańskich statków oraz aby podziwiać postępy przy budowie „Wilka Morskiego”.

- Jeśli czekaliście już tylko na mnie, to możemy wyruszać - powiedział statecznie szkutnik. Głos miał szorstki i niemelodyjny, który idealnie pasował do jego wyglądu.

Candamir poczuł dreszcz, w połowie spowodowany obawą, a w połowie radosnym oczekiwaniem. Spojrzał krótko w morze i odparł z pozornym spokojem:

- Jutro rano. Brygida jeszcze raz pytała run i powiada, że jutrzejszy dzień jest dobry.

Berse zniżył głos.

- Jesteś pewien, że mówi prawdę? Może pytała run o najlepszy dzień na wysłanie nas ku zgubie. Bez obrazy, Osmundzie, wiem, że ona należy do klanu twojej żony, ale po prostu wszystko zawierzone tej starej czarownicy

Osmund skinął głową.

- Skoro jednak sama płynie z nami, jest mało prawdopodobne, żeby chciała flotę posłać na zatracenie.

Szkutnik zrobił wielkie oczy i rzucił błyskawiczne spojrzenie na starą, chudą kobietę w opończy Stała oddalona, co najmniej o trzydzieści kroków, ale odwzajemniła jego spojrzenie ze złośliwym błyskiem rozbawienia w oku, jakby słyszała każde słowo, które mężczyźni do siebie szeptali.

- Ona płynie z nami? A czego to tak stare, uschnięte drzewo szuka w świeżej ziemi? - Berse wydawał się szczerze poruszony

Osmund wzruszył potężnymi ramionami.

- Jej syn chciał tutaj zostać. Ale ona go zmusiła do podróży.

Brygida nikomu nie powiedziała, co dokładnie usłyszała i zobaczyła podczas odprawiania wyroczni, ani też tego, jak to rozumiała. Wyjaśniła po prostu, że kto zechciałby uchylić się od wyprawy, ten ryzykuje gniew bogów, i zamęczała tym syna. Tępy, zapijaczony Haflad oczywiście nie sprzeciwił się matce.

Berse burknął:

- Na moim statku jej stopa nie stanie, to pewne.

- Olaf bierze ją na pokład - odrzekł krótko Candamir. Miał już powyżej uszu tego tematu. Były ważniejsze sprawy do omówienia. - Za dwie godziny spotykamy się z nim i pozostałymi dowódcami, aby ustalić trasę. Do tego czasu musimy się zająć załadunkiem statków.

Zadanie było trudne. Już dawno ustalono, kto ile może zabrać zapasów i sztuk bydła, ale każdy miał ze sobą dodatkową beczkę śledzi lub worek ziarna i każdy wierzył, że dla niego zrobi się wyjątek.

Mimo starannego planowania w porcie zapanowało dzikie zamieszanie. Wszystko poza ludźmi i bydłem trzeba było dzisiaj załadować. Na przybrzeżnej łące leżały stopy zapasów, broni, narzędzi i cennych drobiazgów, nawet zupełnie bezużytecznych. Ciężko objuczeni ludzie wchodzili na pokład przydzielonego im statku, wpadali na siebie, a kiedy się zderzali i lądowali w wodzie, wybuchali śmiechem. Panował nastrój podekscytowania, w którym była jednak spora domieszka radosnego oczekiwania, że przegna się pecha, robiąc do siebie oko. Wszyscy wiedzieli, że wyprawiają się w nieznaną, że czają się tam na nich niezliczone niebezpieczeństwa. Duch przygody, a szczególnie cel - nowa ojczyzna w żyznej krainie, przyszłość bez głodowania i braku ziemi - wszystkich jednak trochę oszołomił. Udzieliło się to nawet Siwardowi.

Osmund, Candamir i Olaf wszystko dokładnie zaplanowali i nic nie pozostawili przypadkowi. Każda rodzina nie tylko wiedziała, do którego statku przynależy, ale także ile przydzielono jej miejsca w ograniczonej ładowni i jaką część pokładu. Ponieważ gospodarstwa Candamira i Osmunda były raczej niewielkie, na pokładzie „Sokoła” mogły podróżować jeszcze dwa inne klany. Największą grupę tworzył Siward ze swoją młodziutką nową żoną, którą znalazł w zeszłym miesiącu w wiosce nad rzeką, dwoma synami, dwiema córkami - każdemu z nich towarzyszyła jego synowa lub zięć - trzema wnukami, a także okrągłym tuzinem niewolników. Także kowal Harald prosił o miejsce

na pokładzie statku Candamira. Zabrał żonę i syna oraz pięciu niewolników.

- Pożeglujemy najpierw do Zimnych Wysp na północny wschód od kraju Szkotów - zaczął Olaf, kiedy zasiedli w jego wielkiej izbie wokół paleniska i po raz ostatni omawiali trasę.

- To potrwa pięć dni. Tam osiedlił się kiedyś nasz lud i tam możemy uzupełnić zapasy słodkiej wody. Nie możemy jednak zatrzymywać się niepotrzebnie długo, jeśli chcemy w nowej ojczyźnie jeszcze w tym roku coś zasiać.

Pozostali pokiwali głowami, nawet szkutnik, który próżnego, bogatego kupca nie bardzo szanował.

- Potem na północny zachód wokół Brytanii. W Irlandii znów moglibyśmy się zatrzymać i wymienić towary, jestem jednak temu przeciwny, bo nigdy nie wiadomo, jak nastawionych ludzi się tam spotka. Dziś cię witają jak brata, a jutro przeciwko tobie sięgają po miecz. Stamtąd prościutko na południe, popłyniemy mniej więcej dwa dni, aż wypatrzymy zachodni przylądek kraju Franków. Wtedy opuszczamy wody przybrzeżne i kierujemy się na południowy zachód.

Candamir, podobnie jak ojciec, umiał żeglować jedynie po wodach przybrzeżnych, nie wstydził się, więc zapytał:

- Jak się znajduje kurs bez wybrzeża?

- Po słońcu - odpowiedział na jego pytanie szkutnik. - Niektórzy żeglują nawet nocą, kierując się gwiazdami.

Olaf przytaknął.

- Nawet, gdy nie widać słońca, istnieje dość znaków wskazujących drogę, na przykład kierunek lotu wędrowniki ptaków lub wskazywany przez wieloryby i delfiny. Także skaliste rafy i małe wysepki. Kursem południowo-zachodnim popłyniemy około czterech dni. Wtedy powinniśmy trafić na sztorm.

- A jeśli nie trafimy? - zapytał Berse.

- To rzucimy kotwicę i zaczekamy na niego.

- Jesteś pewien, że nadejdzie? - rzucił z powątpiewaniem szkutnik.

Olaf skinął głową.

- Napotkałem go tam dwukrotnie.

- Ale tylko raz zagnał cię na tę wyspę. Jeżeli w ogóle tak było!

- Sądzę, że już wystarczy, Berse - powiedział Candamir zniecierpliwiony. - Olaf nigdy nie twierdził, że dokładnie zna drogę. Gdyby ktokolwiek wiedział, gdzie leży ta wyspa, już dawno jakieś rody naszego ludu wzięłyby ją w posiadanie. Jej niepewne położenie jest naszą nadzieją i zarazem naszym zagrożeniem. Co do tego wszyscy mieliśmy jasność.

Thorbjorn, jeden z synów Eilharda, stanowczo kiwnął głową.

- Na twoje wątpliwości jest już trochę za późno, skutniku.

Berse poddał się z niechętnym warknięciem.

- Powinniśmy żeglować w ustawieniu wzorowanym na kluczu dzikich gęsi - ciągnął Olaf. - To najlepszy sposób, żebyśmy sobie nawzajem nie zabierali wiatru z żagli. Nocą będziemy łączyć statki ze sobą. Dzięki temu mniej będziemy dryfować i nie ryzykujemy, że się pogubimy.

- Kto będzie na czele tego klucza dzikich gęsi? - zapytał Berse trochę bojowo, a trochę z rozbawieniem.

Olaf spojrzał mu prosto w oczy

- Ja. Jestem z nas wszystkich najbardziej doświadczonym żeglarzem i jako jedyny w ogóle oddaliłem się od wybrzeży

Było widać, że Berse się to nie podoba. Także Candamirowi z trudem przyszło uznać bez sprzeciwu przewodnictwo Olafa, ponieważ nigdy nie było mu łatwo podporządkowywać się komukolwiek. Ale oczywiście Olaf miał absolutną rację: jedynie ufając mu, mogli mieć nadzieję na osiągnięcie celu. „O to, komu w nowej ojczyźnie, jaka przypadnie rola, będzie jeszcze można zawalczyć, kiedy tam dotrzemy - pomyślał Candamir. - Jeżeli tam dotrzemy..”.

Izba wyglądała już na opuszczoną: nie było naczyń na półkach, kilimów na ścianach, foczych skór na ławach, brakowało kociołka nad ogniem. Wszystko zostało sprzedane, подарowane, zwinięte lub załadowane na statek. Także krzesło rodowe rozmontowano, elementy związano skórzanymi rzemieniami i zabrano na pokład. Pana domu też zresztą nie było. Candamir, tak samo jak inni dowódcy, ostatnią noc przed żegluga spędził na swoim statku.

Hacon, który siedział z Astą, Saksonem i resztą domowników na gołej ławie przy ogniu, wzruszył ramionami. Poczuł się nieswojo w tej ciszy.

- Myślałem, że przyjdzie tu Osmund z rodziną - odezwał się w końcu. Wzdrygnął się, gdyż jego głos zabrzmiał w pustej izbie jakoś dziwnie. - Mówiłaś przecież, Asto, że chcą już dzisiaj wieczorem zamknąć izbę i tutaj spędzić noc.

Siostra przytaknęła.

- Zapewne trwa to dłużej, niż planowali - odparła niefrasobliwie. „Przed wszystkim pożegnanie” - dodała już w myślach.

W ciągu ostatnich dwóch dni dwa razy widziała Osmunda stojącego za domem przy niewielkim kopczyku ziemi, który wyglądał na świeżo usypany, a pod którym leżały prochy Gisli. Osmund postawił nawet na kopcu kamień o rzadkim kształcie, który całymi tygodniami polerował i na którym wyłobił napis:

*Ten kamień postawił Osmund  
swojej żonie Gisli, która była matką jego syna  
i którą zabili Turończycy, kiedy przybyli jesienią.  
To była dobra kobieta.*

Asta nie bez zazdrości pomyślała, jak chętnie postawiłaby taki kamień Nilsowi. Sakson zdawał się odgadywać jej myśli.

- Czasem dobrze jest pojechać na obczyznę i zacząć od nowa. To pomaga zapomnieć o tym, co nieodwracalne.

Tak samo jak Osmund, Asta w ciągu zimy musiała poznać gorzki smak doświadczenia, że osoby zmuszone obserwować czyjś ból po krótkim czasie robią się zniecierpliwione. Poczuli się zaatakowana i gorąco się sprzeciwiła:

- To się tak łatwo mówi. Zwłaszcza komuś, kto poświęcił życie jakiemuś bogu i porzucił bliskość z ludźmi. Jakież to cudownie proste, prawda? Przecież boga nie można stracić! - Zabrzmiało to ostrzej, niż zamierzała, a głos poniósł się nieprzyjemnym echem.

Austin nie przeląkł się jednak ani się nie obraził. Uśmiechnął się tylko z lekką

nostalgią.

- A jednak, Asto. Także swojego Boga można stracić. Na przykład wtedy, gdy zabierze jednego z rodziców i brata, osoby, które się bardzo kochało.

Podniosła rękę w niewyraźnym geście przeprosin.

- Przykro mi. Nie słuchaj tego, co mówię. Zawsze robię się nieznośna, kiedy się czegoś boję. Jak tej podróży teraz.

Mnich skinął głową. Po pełnym zadumy milczeniu powiedział:

- Cóż, nie pomyliłaś się znów tak bardzo. Ja swojego Boga ponownie odnalazłem.

A On daje mi pewność i ufność, jakiej żadne z was nie zna.

Nikt się nie sprzeciwił. W obliczu ogromnej niepewności, z którą wypływali nazajutrz o wschodzie słońca, każdy z nich walczył ze strachem i zwątpieniem, a nikt nie był tak spokojny jak Sakson.

Ten wstał i skinął na Hacona.

- Zróbmy to, co pan kazał, i przyprowadźmy zwierzęta z pastwiska.

Chłopiec podniósł się ochoczo. Stojąc już w drzwiach, Austin na chwilę się zatrzymał i spojrzał w stronę Asty.

- Kiedy wrócimy, pewnie będzie już ciemno. Jeśli chcesz, pójdę z tobą do Elbingdal. Nikt nas tam nie zobaczy i będziesz mogła w spokoju odwiedzić grób męża.

Gwałtownie podniosła głowę.

- Czy.. Zrobiłbyś to?

Przytaknął.

- Tylko postaraj się, żeby twój brat się nie dowiedział.

Nie czekając na odpowiedź, wyszedł za Haconem w czysty, wiosenny wieczór. Zmierzchało już i niebo nad jodłowymi lasami nabrało barwy głębokiego indygo. Łagodna bryza rozwiewała ciemną czuprynę Hacona, gdy ten szedł obok niewolnika przez podwórze i dalej ku pastwiskom.

Kilka tygodni wcześniej Candamir musiał ubić również drugiego wałacha - młody ogier i żrebna klacz były jedynymi końmi, które przetrwały głód. Hacon i Austin najpierw przyprowadzili do obory konie, następnie zaś marny tuzin owiec, który miał popłynąć w rejs. Pracowali w milczeniu, a Hacon miał zamysłony wyraz twarzy, by nie rzec - zacięty Austin się nie wtrącał. Wiedział z doświadczenia, że gdy przyjdzie pora,

chłopiec powie mu, co go tak poruszyło. Nie wcześniej. Hacon był wrażliwy i zawsze pełen zwątpienia, zupełnie inaczej niż jego brat. Austin wiedział już jednak, że chłopak bywa równie wybuchowy i szorstki jak Candamir, kiedy się go zachęca, aby wsłuchał się w siebie i zbadał swoje serce, kiedy się go - jak to ujął Hacon - „traktuje jak panienkę”. W końcu był w wieku, w którym każdy młodzieniec - także i taki, którego nie wychowywał starszy brat - pragnie dowieść swojej męskości. Sakson musiał przyznać, że Candamir starał się kształtować osobowość młodszego brata zgodnie z najlepszą swoją wiedzą i sumieniem, rzadko jednak przejawiał cierpliwość czy choćby łagodność. Od swojego powrotu do Elasundu Asta starała się stworzyć młodszemu bratu odrobinę domowego ciepła, którego przez całe życie był pozbawiony, ale była zbyt nieśmiała, aby sprzeciwić się Candamirowi, gdy ten niesprawiedliwie traktował chłopaka. Poza tym Hacon był już za duży na jej macierzyńską opiekę. Austin wiedział, że chłopcu naprawdę nie było łatwo.

Kiedy wracali przez podwórze, Hacon zatrzymał się przy studni, spuścił w głąb skórzane wiadro i wyciągnął pełne, żeby łyknąć wody. Potem przyjacielskim gestem podał wiadro Austinowi.

- Dziękuję.

Hacon przysiadł na skraju studni i odczekał, aż niewolnik odstawi wiadro, po czym zapytał bez żadnych wstępów:

- Czy często tęsknisz za ojczyzną?

- Skąd ci to akurat dzisiaj przyszło do głowy? - Austin był zaskoczony.

Chłopiec nieznacznie wzruszył szczupłymi ramionami.

- Tak jakoś. Wspomniałeś o rodzicach i bracie. Jeszcze nigdy o nich nie mówiłeś.

- Nie - Austin uśmiechnął się ukradkiem i przysiadł obok. - Tak jest lepiej. Było wolą Boga, że ich straciłem. Albo, ściślej rzecz biorąc, oni mnie. W miarę upływu czasu uświadomiłem sobie, dlaczego tak się stało. Zrozumiałem, że muszę opuścić rodzinę i wszystko, co jest mi bliskie i cenne. Że muszę być zupełnie pusty, aby stać się naczyniem w rękach Boga i jego Słowo nieść światu.

- Powiadasz, więc, że twój potężny bóg, który potrafi robić sto rzeczy naraz, gnębi nas świadomie i celowo? Wszystko, co przydarza się rodzinie, ma jakiś sens?

- Tak właśnie jest. Nic nie dzieje się poza wolą Boga. Zaś jego wola podąża

zawsze za jego boskim planem. Oczywiście często nie potrafimy tego sensu poznać. On zawsze jednak istnieje.

- Czyli nasza podróż do nowej ojczyzny także jest jego wolą?

Austin spojrział Haconowi w oczy.

- Przynajmniej wyjazd. Co do całej reszty, trzeba jeszcze poczekać, powiedziałbym. Bardzo prawdopodobne, że tę podróż postawiono przed nami jako próbę. Że jedynie wtedy odnajdziemy drogę do ziemi obiecanej, gdy w jakiś sposób się sprawdzimy.

Hacon pokiwał w zamyśleniu głową. Przez dłuższy czas panowała cisza. Austin wyraźnie czuł, że chłopiec dyskutuje sam ze sobą, że prowadzi jakąś wewnętrzną walkę, ale zupełnie nie spodziewał się pytania, które Hacon w końcu zadał:

- Co mam mu powiedzieć, skoro chcę go poprosić, aby wskazał nam drogę?

Niewolnik siedział jak skamieniały.

- Haconie... Ty chcesz się modlić do mojego Boga?

Chłopiec speszony machnął ręką.

- Nie ma powodu, żeby zaraz ubijać wołu. Po prostu pomyślałem sobie, że nie zaszkodzi pomodlić się do wszystkich bogów, jakich znam. Tym większa szansa, że któryś mnie usłyszy.

- I wysłucha - dodał Sakson z uśmiechem. - To bardzo proste. Możesz z nim rozmawiać, tak jak rozmawiasz ze mną. On cię zrozumie, obojętnie, w jakim języku lub, jakimi słowami się do niego zwrócisz.

Chłopiec skinął głową i uśmiechnął się nieśmiało.

- Dobrze. Ale nie mów o tym nikomu, słyszysz?

Austin uroczyście skinął głową. Starannie ukrył swoje podekscytowanie, ale w głębi duszy świętował. Choć, być może, był to jedynie mały kroczek na długiej drodze jego misyjnego dzieła, to jednak po tych wszystkich latach bezowocnych wysiłków odniósł wielkie zwycięstwo. Zawsze czuł, że ten bystry chłopak, tak młody, że wciąż jeszcze można kształtować jego ducha, będzie jego największą nadzieją. Oto mnich uczynił pierwszą rysę na murze niewiary i zdecydował, że będzie Bożym Słowem tę rysę stale drążył jak kropla skałę, aż pewnego dnia mur upadnie. Oczywiście pod warunkiem, że Candamir nie roztrzaska mu wcześniej głowy, gdy zauważy, pod jakim wpływem



znajduje się Hacon...

Na chwilę położył chłopcu dłoń na ramieniu.

- Masz moje słowo. Chodź, prześpij się. Jutro wielki dzień.

Hacon żwawo poszedł za nim do izby. W drzwiach postął jeszcze krótko, patrząc na osadę, na port i w dal, ku fiordowi.

- Będzie ci tego brakować? - zapytał cicho Sakson.

Hacon zastanowił się przez chwilę i pokręcił przecząco głową.

- Elasund już od dawna nie jest dobrym miejscem. Za mało ziemi, zbyt wiele napadów, za dużo niedoli, zbyt mroźne zimy. To jednak jedyne, co znam. Natomiast nieznane...

Prawie powiedział „budzi we mnie strach”, było jednak nie do pomyślenia, żeby miał to przyznać.

Słońce właśnie wynurzyło się zza Elasundu i przegnało szarość brzasku, gdy dziewięć statków ruszyło w morze.

Candamir stał przy sterze ze wzrokiem twardo utkwionym w stalowo-błękitny fiord. Czerwono-biały żagiel „Sokoła” wydymał się dumnie w porannej bryzie, która mężczyznom na szesnastu ławkach wiosłarskich - ośmiu po stronie dziobu i ośmiu po stronie rufy - pozwoliła spokojnie siedzieć bez wiosłowania.

Osmund, który stał u boku przyjaciela, chciał spojrzeć za siebie, ale Candamir natychmiast położył mu rękę na ramieniu.

- Nie! Ojciec zawsze mawiał, że to przynosi pecha.

Osmund oparł się, więc pokusie, aby po raz ostatni spojrzeć na Elasund, na przeszłość i wszystkie dobre wspomnienia. Założył ręce na piersiach i patrzył zmrużonymi oczami na „Morskiego Smoka”, który przed nimi sunął z prawej burty po spokojnych falach. Statek jego stryja nie był większy od „Sokoła”, robił jednak większe wrażenie: smocze głowy na stewach pomalowano w jaskrawych kolorach, a kwadratowy żagiel uszyto z płótna o soczystej zielonej barwie, na razie niepoplamionej i niewyblakłej, liki zaś wykończono jaskrawożółtym materiałem, błyskającym niemal złotem. Równy z „Sokołem” za Olafem żeglował nowy „Wilk Morski” skutnika Berse,

a za nimi pozostałe sześć statków.

Zanim minęli cypel chroniący przed falami i zanim Elasund na dobre zniknęło z pola widzenia, Sakson ukradkiem spojrzął do tyłu, zapewne po to, aby dowieść - głównie samemu sobie - że wzniósł się ponad zabobony tych pogan. Oświetlona porannym słońcem wioska wyglądała spokojnie ze swoimi wieloma domostwami. Jedynie nieliczni mieszkańcy Elasundu stali na brzegu, żeby popatrzeć, ponieważ w ciągu ostatnich tygodni powstała wyraźna przepaść między odpływającymi i pozostającymi. Każda grupa sądziła, że ta druga jest skazana na pewną zatrutę, trzymały się, więc od siebie z daleka, aby nie zarazić się niechybną rzekomo zgubą jak jakąś gorączką.

Minęli cypel, pożeglowali za „Morskim Smokiem” na zachód i Elasund zniknęło. Przed nimi rozciągało się pełne morze. Grzebienie płaskich fal połyskiwały w czystym świetle poranka, a niebo było rozległe i błękitne.

Candamir oddychał głęboko, jakby z jakiejś obskurnej, dusznej izdebki wy dostał się na wolność.

- Mamy większe zanurzenie niż „Wilk” i „Smok” - zauważył Osmund. - Nie uważasz, że jesteście przeładowani?

Candamir przytaknął.

- Na moje oko to wszystkie statki są przeładowane. My mamy na pokładzie kowala z jego zapasami żelaza, dlatego nasz wygląda trochę gorzej niż inne. Ale nie przejmuj się. Kiedy mój ojciec wracał z rejsu, ten statek był tak głęboko zanurzony, że sokolim głowom moczyły się dzioby przy każdej fali.

- Nie przejmuję się - wyjaśnił Osmund. - Zastanawiam się tylko, czy Olaf nas za bardzo nie wyprzedzi.

Candamir beztrąsko wzruszył ramionami.

- W razie potrzeby będziemy wiosłować. Przejmij na chwilę ster, bądź tak dobry. Chcę się upewnić, że ładunek jest dobrze umocowany.

Osmund chwycił rumpel steru, który był zamontowany w tylnej części prawej strony kadłuba - właśnie, dlatego nazywanej sterburtą - a Candamir wszedł przez tylny luk do ładowni. Po drodze polecił jeszcze Saksonowi:

- Powiedz kobietom, że mają zrobić śniadanie.

Austin spojrzął w górę. W rękach trzymał nieociosany kołek i żłobił w nim coś

swoim nożem, którego używał przy stole - jedynym ostrzem, jakie wolno było nosić niewolnikowi.

- Zaraz, panie.

- Nie zaraz, tylko teraz. Co tam robisz?

- Kalendarz. - Sakson wręczył mu drewnienko. - Widzisz? Dzisiaj mamy dwudziesty pierwszy dzień wiosennego księżyca. Albo marca, jakby powiedzieli w moim kraju. Każdego dnia podróży będę złobił na tym kołku jeden karb. Kiedy dotrzemy na miejsce, będziemy wiedzieli, jak długo byliśmy w podróży, będziemy też mogli obliczyć datę naszego przybycia. Dzięki temu dalej poprowadzimy kalendarz jak cywilizowani ludzie.

W myślach dodał już, że będzie mógł także wyliczyć, kiedy jest Wielkanoc, a kiedy Zielone Świątki. Candamir pokiwał głową, mimo woli zadowolony z pomysłu niewolnika.

- Nieźle. Uważaj tylko, żebyś tego kołka nie zgubił, kiedy napotkamy nasz sztorm - zaśmiał się z przerażonej miny niewolnika i odszedł.

Kłapa tylnego luku prowadziła do krótkiego korytarzyka w ładowni zajmującej całe dno statku. Ostry odór łajna i rozpaczliwe beczenie aż odrzuciło Candamira. Owce leżały na bokach i ze związanymi nogami, co im się nie podobało, ale był to jedyny pewny sposób transportu rogacizny. Jedynymi zwierzętami, które Candamir był w stanie bez problemów ścierpieć na pokładzie, były psy Osmunda i Siwarda, gdyż były mądre i wystarczająco sprawne, żeby pierwsza poważniejsza fala nie zmyła ich za burtę.

Każdy klan zabrał, podobnie jak Candamir, około tuzina owiec, nikt nie brał jednak krów. Olaf opowiadał, że na wyspie żyją przepysznie tłuste krowy długowłosej rasy brunatnej, które na pewno dadzą się oswoić. Bez sensu, więc zabierać w podróż zwierzęta duże, ciężkie, a przy tym wymagające.

Candamir sprawdził rzemienie obu swoich koni, które także leżały na boku, związane jak owce, ale starały się uwolnić o wiele gwałtowniej. Były nerwowe i nieszczęśliwe, co łatwo dało się zauważyć, i Candamir miał wyrzuty sumienia. Kiedy klacz, przewracając oczami, próbowała pyskiem chwycić jego dłoń, pogłaskał ją po szczupłej szyi i zamruczał uspokajająco. Potem wstał i posprawdzał liny, którymi zabezpieczono beczki, kosze i worki. Nabożnie rozejrzał się wokoło. Cóż za różnorodność

zapasów i dóbr! Siward przemycił nawet na pokład skrzynkę z prostymi, drewnianymi kuflami, a kowal Harald wytartą, cuchnącą foczą skórę o nieznanym przeznaczeniu. Rzecz absolutnie zbędną. Lecz prawdopodobnie każdy na swój sposób starał się zabrać ze sobą skrawek starej ojczyzny, jak domyślił się Candamir.

Wiatr wiał bez przerwy przez cały dzień i uspokoił się o zmierzchu. Zwinęli żagle i zgodnie z ustaleniami pospinali ze sobą statki, które teraz znalazły się tak ciasno przy sobie, że można było jednym krokiem dostać się z jednego na drugi. Na tej pływającej wyspie żaden z dowódców nie pozwolił na pokładzie rozpaścić ognia. Osmund cierpliwie wyjaśniał niezadowolonym zrzędom, że to zbyt niebezpieczne, ponieważ statki są, jak wiadomo, drewniane, drewno zaś jest łatwopalne. Kobiety przygotowały, najlepiej jak umiały, posiłek z wędzonej ryby i bryndzy. Inga skosztowała go i, żując, wydała niewyraźny okrzyk protestu.

- Och, smakuje naprawdę paskudnie - poskarżyła się ze śmiechem.

- Jeżeli chodzi o mnie, mogłoby smakować dużo paskudniej - mruknęła Asi, żona kowala. - Wtedy być może twój Osmund zmieniłby zdanie na temat ognia na pokładzie.

Inga się zarumieniła.

- To nie jest mój Osmund.

Napełniając półmiski zimnym rybnym daniem, Asi rzuciła jej krótkie spojrzenie.

- Ale przecież chciałabyś, żeby tak było, prawda?

Asta dostrzegła zmieszanie młodej Ingi.

- Cóż, jestem przekonana, że wszyscy przyzwyczaimy się takiego jedzenia. W końcu nie mamy prawie nic poza tym prowiantem - powiedziała, żeby zmienić temat.

Inni, wzdychając, pokiwali głowami. Ponieważ pod koniec zimy nikt w Elasundzie nie miał już zboża, poza odrobiną ziarna pod zasiew, nie mogli sobie nawet upiec twardych podplomyków, które długo się trzymają, dlatego zwykle zabiera się je na wielodniową podróż.

Niektórzy z mężczyzn zeszli do ładowni i doglądali zwierząt. Zgodnie ze wskazówkami Candamira, Hacon i Austin na pewien czas uwolnili konie i szczególnie niespokojne owce, pozwalając im wstać, aby ich krew mogła znów swobodnie krążyć.

Gdy wszystko było zrobione, wrócili na pokład i głodni, choć bez większego zachwytu, rzucili się do pałaszowania kolacji. Po jedzeniu podróżnicy spacerowali od statku do statku, przysiadali na pokładzie tu i ówdzie na pogaduszki i dzielili się przeżyciami z tego pierwszego dnia. Wkrótce każdy zwinął się na swoim miejscu w foczą skórę i zapadła cisza. Niektórzy przez chwilę spoglądali na przytłaczający, rozgwieżdżony firmament, szczególnie ci, którzy nigdy jeszcze nie wypływali na pełne morze i nie znali tego widoku. Nie trwało jednak długo, powolne kołysanie przyniosło wszystkim sen.

Przy sprzyjającym wietrze piątego dnia przed południem dotarli do Zimnych Wysp. Skierowali się ku głównej wyspie, ponieważ właśnie tam, jak twierdził Olaf, leży największa osada i tam można zrobić najlepsze interesy. Olaf ostrzegł ich jednak: Cnut, mieniący się królem Zimnych Wysp, to człowiek chciwy i zaborczy, który szuka każdego, kto mu na to pozwoli.

- Czy ludzie mówią tu naszą mową? - zapytał Hacon, który stał przy burcie i przyglądał się obcym brzegom.

Osmund przytaknął.

- Oni należą do naszego ludu. Ich przodkowie pochodzą z okolic leżących niedaleko Turonii.

Przepłynęli rozległą zatokę, na której skalistym brzegu wznosiła się duża osada. Domy były mniejsze i stały znacznie ciasniej niż w Elasundzie. Było widać warsztaty i magazyny, ale nie było stodoł. Olaf wyjaśnił, że mieszkańcy tych wysp żyją wyłącznie z handlu i rybołówstwa, nie hodują bydła i nie uprawiają pól.

W pobliżu brzegu rzucili kotwicę.

- Nie powinniśmy wszyscy naraz schodzić na ląd - orzekł Candamir. - Nie zaszkodzi, gdy odpowiednia liczba mężczyzn zostanie na pokładach, aby pilnować dobytku.

Osmund przyznał mu rację.

- Pójdę z Olafem i sprawdzę, czy miejscowi są wobec nas przyjaźnie nastawieni.

- Proszę, weź mnie ze sobą - poprosił Hacon z błyszczącymi oczyma.

- Dobrze - zgodził się Osmund. - Tylko się nie wtrącaj, gdy będę rozmawiał z

obcymi, słyszysz? Nigdy nie wiadomo, co...

Urwał, gdyż na pokładzie „Morskiego Smoka” powstało jakieś zamieszanie. Olaf i jego dwaj najstarsi synowie, Jared i Lars, stali koło Turończyka, który zdenerwowany wymachiwał rękami i wydawał z siebie jakieś nieartykułowane, wściekle okrzyki. W końcu Olaf wziął w dłoń pejcz i zaczął okładać swojego nieszczęsnego niewolnika, który zakrył głowę rękami w obronnym geście. Niebawem upadł na kolana, ale Olaf niemiłosiernie tłukł go dalej.

- O co tam chodzi? - zapytał niepewnie Hacon.

- Zakładam, że Olaf nie chce swojego Turończyka zabrać na ląd, bo tutejsi ludzie są właściwie jego krewniakami i niewolnik mógłby wpaść na pomysł, żeby uciec i ukryć się u nich - stwierdził Osmund. - Najwidoczniej miał taki zamiar, w przeciwnym razie tak by się nie gorączkował.

Synowie uspokoili wreszcie rozzłoszczonego Olafa, związali też krwawiącego Turończyka i sprowadzili go pod pokład.

- Ten Olaf to potwór - mruknął Sakson.

Candamir w zadumie przyjrzał się swojemu niewolnikowi.

- Ale nie jest głupi. Może ja też powinienem cię zamknąć w ładowni. Od Zimnych Wysp niedaleko do kraju Szkotów, co? Na południe od Szkocji leży twoja ojczyzna. Czemu nie patrzysz na mnie, Saksonie? Czyżbyś także myślał o ucieczce?

Austin podniósł głowę i spojrzał mu w oczy

- Nie byłbym głupcem, nie myśląc o tym?

- Byłbyś - przyznał Candamir. - Jazda, zatem pod pokład do moich pozostałych owieczek - wskazał ręką w kierunku luku.

- Nie, Candamirze, nie rób tego - poprosił jego brat. - Niech przysięgnie na krew swojego boga, że nie ucieknie, a wtedy bez obaw możesz pozwolić mu zejść na ląd. Nie zamykaj go pod pokładem, tam jest potwornie.

Rzeczywiście tak było. Owce śmierdziały nawet trzymane w dużych zagrodach lub pod gołym niebem, ale odór w ładowni był nie do zniesienia. Candamir ustąpił.

- Dobrze. Przysięgaj, więc, Saksonie.

Mnich położył na sercu lewą dłoń, prawą zaś uniósł.

- Panie, przysięgam na krew Jezusa Chrystusa, że dopóki jesteśmy na Zimnych

Wyspach, nie ucieknę.

- W takim razie idź z Osmundem i Haconem. Miej oczy otwarte. Nie sposób powiedzieć, jak nas tu przyjmą. Nie sądz, że nie słyzałem, jak ograniczyłeś swoją przysięgę.

Osmund, Olaf i Berse byli chwilowo jedynymi, którzy wraz ze świtą zeszli na ląd. Zgodnie uradzili, co powiedzą, po czym udali się do Cnuta, samozwańczego króla Zimnych Wysp.

Cnut rezydował w przestronnej izbie ze wspaniałymi arrasami na ścianach. Inaczej niż było to w zwyczaju mieszkańców Elasundu, jego krzesło rodowe stało przy frontowej stronie paleniska i było tak szerokie, że mogła tam usiąść jeszcze małżonka, która jednak nie witała gości. Cnut wyjaśnił z żalem, że źle się poczuła.

- Usiądźcie i wypijcie z nami, bracia z dawnej ojczyzny - zaprosił ich. Był to mężczyzna około pięćdziesięcioletni, który nie miał zaplecionych włosów, ale brodę. Jego pomarszczone czoło zdobił niewielki, misternie wykonany złoty diadem. Podobnie jak jego ludzie, nosił odzienie w jaskrawych barwach: widziało się tu szaty zielone, niebieskie, a nawet czerwone, jakie mieszkańcy Elasundu, odziewający się przeważnie w czerń i barwy ziemi, uważali za rażące.

Również mowa wyspiarzy brzmiała obco, minęło już, bowiem wiele pokoleń od czasu, kiedy ich przodkowie opuścili kontynent. Język ten przypominał właściwie śpiewny dialekt Turończyków

Goście usiedli przy stole po lewej stronie paleniska, naprzeciw ludzi Cnuta, a Olaf zabrał głos:

- Dzięki ci, szlachetny królu, za gościnność. Mamy nadzieję, że mieszkańcom Zimnych Wysp powodzi się dobrze?

- Lepiej niż przed laty - odparł wyspiarski król. Opowiedział szczegółowo o wojnach, które prowadzili przeciwko dzikim Szkotom. Goście uprzejmie wysłuchali i powinszowali zwycięstwa.

- Co was sprowadza? - zapytał w końcu Cnut. - Całą flotę dziewięciu statków z kobietami i dziećmi na pokładzie, jak mi doniesiono. Czegoś podobnego dawno nie

oglądaliśmy.

Starał się, niezbyt dobrze, ukryć swój niepokój. Osmund mógł sobie wyobrazić, co władca czuł i myślał: nie chciał uchodzić za niegościnnego, ale przecież nie miał miejsca dla tak dużej grupy osadników.

- Czasy są ponure w dawnej ojczyźnie - powiedział poważnie Osmund. Opowiedział o powtarzających się napaściach i zimowym głodowaniu, ani razu nie wspominając jednak konkretnie o napadzie Turończyków, gdyż mogłoby to Cnuta urazić. - Nie zostało nam nic innego, jak wyjechać - zakończył. - Mamy nadzieję, że znajdziemy nową ojczyznę w Irlandii. Gdyby zaś okazało się to niemożliwe, spróbujemy zdobyć jakąś ziemię na południe od Brytanii.

Osmund dostrzegł zdumiony wzrok Hacona, ale jego samego też zdziwiło, jak łatwo mu przeszły przez usta te kłamstwa. Olaf stanowczo jednak ostrzegał, żeby nie zdradzać Cnutowi ich rzeczywistego celu, a Osmund doskonale wiedział, że stryj ma słuszość.

Cnut wzniosł swój rogowy puchar i pociągnął duży łyk.

- Na pewno nie będzie to proste - odrzekł. - Zrobię jednak, co w mojej mocy, aby ułatwić wam podróż.

Osmund niemal niezauważalnie skinął głową na znak wdzięczności i także wypił łyk. Było to pierwsze piwo od miesiący, gorzkie i aromatyczne. Dawno już nic mu tak bardzo nie smakowało.

- Nie chcemy jałmużny - wyjaśnił Berse. - Chętnie uzupełnilibyśmy zapasy słodkiej wody i zabrali prowiant na pokład. Ale mamy srebro, żeby za wszystko zapłacić.

Mężczyźni po drugiej stronie stołu przyjrzeni się obcym z nowym zainteresowaniem. Niektórzy wymienili między sobą ukradkowe spojrzenia i Osmund pomyślał z niesmakiem, czy aby Berse nie zrobił błędu, bo teraz ci ludzie zapomną o prawach gościnności i napadną na statki.

Król jednak powiedział:

- Bardzo chętnie będziemy z wami handlować. Mamy tu coś, czego przypuszczalnie jeszcze nie znacie. Nazywamy to suszonym mięsem. Świetnie się nadaje na długie podróże, ponieważ się nie psuje. Z pewnością zostało nam jeszcze kilka beczek, które mogłyby wam ułatwić podróż, nie trzeba nam jednak srebra.



Bywały w świecie Olaf znał Zimne Wyspy wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, o czym mowa. Spokojnie obracając w dłoniach kufel, powiedział bez szczególnego nacisku:

- Mamy pod dostatkiem wełny. Nikt nie będzie tutaj musiał marznąć podczas przyszłej zimy, mimo że chłodne są wasze wyspy. Jeżeli się dogadamy

Cnutowi ulżyło. Osmund zauważył, że Olaf trafił w sedno. Te wyspy nie nadawały się do hodowli owiec i wełna stanowiła ceniony towar. Podróżnicy nabrali optymizmu. To właśnie wełna była jedynym, czego mieli w nadmiarze, a to, dlatego, że nie można jej było jeść.

Cnut dał znak jednemu ze swoich parobków i ten pospiesznie wyszedł z izby, aby po chwili wrócić z cynowym półmiskiem, na którym piętrzyło się coś, co wyglądało jak skórki na buty

„Nie inaczej też smakuje” - pomyślał Hacon, żując kawałek, który mu wręczono. Król Cnut umiał jednak zachwalać swój towar.

- Od tego nikt nie zachoruje, jak od surowego mięsa czy baraniny - objaśnił z powagą. - Nie trzeba go gotować. Takie mięso można przechowywać miesiącami, nawet w największym upale. Być może nie stanowi szczególnej rozkoszy dla podniebienia, ale utrzyma was w pełni sił, zanim dotrzecie do Irlandii, czy gdzie was tam zagna.

Osmund przełknął swój kawałek, pomagając sobie dużym łykiem piwa, i wymienił spojrzenia z Olafem i Berse. Porozumieli się skinieniem głowy. Rzecz smakowała paskudnie, ale była właśnie tym, czego potrzebowali.

- Zakładając, że kupimy to suszone mięso, ile beczek zdołalibyście znaleźć? - zapytał Olaf pozornie obojętnie.

Król zamienił cicho kilka słów ze swoim zarządcą, po czym zwrócił się znowu do gości:

- Dziewięć. Po jednej na każdy wasz statek. Będą was żywić całymi tygodniami.

- Co chcecie w zamian? - zapytał Osmund.

- Wełnę z osiemnastu tuzinów owiec - szybko wyjaśnił król. - Dwa tuziny za beczkę.

Osmund z Olafem znowu wymienili spojrzenia, po czym Olaf odparł:

- Tyle nie możemy oddać. Wełnę z tuzina owiec za beczkę i nie więcej.

Cnut i jego ludzie zaśmiali się.

- Z dwóch tuzinów - powtórzył z uporem wyspiarski król. - Targowanie się jest poniżej mojej godności.

Goście wstali, a ich ukłon przed krzesłem rodowym był zdecydowanie bardziej powściągliwy

- Obawiam się, że w tych okolicznościach będziemy zmuszeni zrezygnować z waszego suszonego mięsa, choć zapewne jest znakomite - uprzejmie powiedział Olaf. Skinął na pozostałych i skierowali się ku drzwiom. Zanim jednak do nich dotarli, drogę zagrodzili im strażnicy, stanąwszy ramię w ramię. Nie uczynili żadnego groźnego gestu, uwadze żadnego z gości nie uszły jednak bojowe topory, które ludzie Cnuta nosili za pasem.

- Potrzebujemy waszej wełny - oświadczył Cnut pokojowym na pozór tonem, ale nawet Hacon zrozumiał, że im grozi - tak naprawdę miał na myśli to, że sobie zabiorą tę wełnę, jeśli nie zostanie oddana po dobroci.

Berse i jego syn ukradkiem położyli ręce na mieczach. Austin wsunął się przed Hacona, chcąc go bronić, i cicho się modlił. Przez kilka uderzeń serca nikt się nie ruszał, a w izbie zapanowała taka cisza, że słychać było trzeszczenie płonącego grubego drwa. Wtedy Olaf odwrócił się powoli w kierunku królewskiego siedziska. Wyraz jego twarzy pozostał nieporuszony Nawet, jeśli się bał, nie było tego po nim widać. Osmund czuł już pot na piersiach i plecach. Podziwiał zimną krew i spokój swojego stryja.

- Skoro tak, to przedstawcie nam lepszą propozycję - zażądał Olaf stanowczo, ale uprzejmie. - Wełnę z osiemnastu tuzinów owiec za dziewięć beczek suszonego mięsa i co jeszcze?

Cnut w zamyśleniu pogładził zaplecioną brodę i szeptem naradził się z zarządcą i kilkoma swoimi ludźmi, którzy wstali z ławy i podeszli do niego.

- Czego jeszcze wam trzeba? - zapytał zarządca, chudy człowieczek z rzadką bródką mysiej barwy

Podróżnicy spojrzeli bezradnie po sobie. Przydałaby się mąka, ale nawet nie mogli myśleć o tym, żeby zmarnować jeden albo wręcz dwa dni, zostając tutaj i piekąc chleby Z zapasami ryb, sera i suszonego mięsa byłiby zupełnie dobrze zaopatrzeni. Na dodatkowe bydło nie mieli miejsca. Czego mieli, więc zażądać?

Saksona natchnęło i szepnął coś Osmundowi. Ten z ulgą skinął głową.

- Nie moglibyście dorzucić jeszcze kilku beczek miodu? - zapytał Cnuta.

Król wydawał się zaskoczony, po czym zaśmiał się gromko.

- Skoro nie macie w czasie podróży nic lepszego do roboty, niż się upijać...

Osmund uśmiechnął się uprzejmie i już nie wyjaśniał Cnutowi, że miód nie tylko powoduje szum w głowie, ale jest także bardzo pożywny.

- Dobrze, myślę, że się dogadamy - zdecydował król. - Zdobyliśmy u Szkotów spore ilości miodu i więcej trunku, niż sami zdołalibyśmy zmóc.

Szybko omówiono szczegóły. Nastroj grozy znikł jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, król i jego ludzie znowu stali się przyjacielscy i zaprosili Osmunda, Olafa oraz wszystkich podróżnych, którzy zechcą zejść na ląd, na wieczorną ucztę.

Candamir nadzorował wymianę towarów i napełnianie beczek wodą. Jak większość ludzi z pokładu „Sokoła”, wolał nie brać udziału w uczcie. Nie ufał tym wyspiarzom, a to, co o spotkaniu z osobliwym królem opowiedzieli Osmund, Hacon i Sakson, jedynie potwierdziło jego podejrzenia.

O zmierzchu tak wielu gości przybyło jednak do wielkiej izby, że Cnut nie miał powodu czuć się dotknięty. Zjawili się także ci, którzy przed południem robili z nim interesy. Tym razem Candamir kazał bratu zostać na pokładzie i przydzielił mu razem z Wilandem pierwszą wachtę.

- Jeśli któryś z was zaśnie, to zdrowo mu się dostanie - obiecał ze złością.

- Ja z całą pewnością nie zasnę - odparł Hacon. - Kamień z serca spadnie mi dopiero wtedy, gdy jutro wypłyniemy w morze i te wyspy znikną za horyzontem.

Candamir z uśmiechem poklepał go po ramieniu.

- W takim razie czujesz to samo, co ja.

Wszystkim na pokładzie przypomniał o zwiększonej czujności i poradził, aby zachowywali się możliwie cicho i nie odkładali broni, kiedy zawiną się w swoje koce. Na pokładzie „Sokoła” i pozostałych statków wcześniej zapanował spokój. Hacon i Wiland cicho i czujnie patrolowali każdy swoją stronę statku, dobrze wypełniając swoje zadanie.

Kiedy wszedł księżyc, Osmund i cała reszta wrócili z uczty - pijani do nieprzytomności. Zataczali się i przebrnięcie przez wodę przyboju do statków było dla nich nie lada wysiłkiem. Berse w połowie drogi zatrzymał się, odchylił głowę do tyłu - zapewne, aby podziwiać gwiazdy - i przewrócił się na plecy. Z głośnym plaśnięciem upadł w wodę.

Jeden z jego synów wskoczył do wody i wyłowił starego szkutnika. Również Candamir zszedł z pokładu, przepłynął kawałek i dotarł do Osmunda.

- Chodź - powiedział. - Pomogę ci.

Starał się, żeby w jego głosie nie było pretensji, bo przecież robienie wyrzutów pijanemu nie miało sensu, o czym sam doskonale wiedział. Był jednak zły. Jakże mogli się tak upić tutaj, u tych obcych ludzi? Jak mogli być tak nieostrożni?

- Zbytek uprzejmości - wybełkotał Osmund. - Przed izbą króla widziałem trójgłowego psa, wierz lub nie.

- Oczywiście - odburknął Candamir. - Tuż obok niego smoka z zieloną łuską, jak mniemam.

- Nie wierzysz mi? - zapytał oburzony Osmund.

- Ani trochę.

Osmund wyrwał się z zadziwiającą siłą i odepchnął go.

- Kim ty właściwie jesteś?

Candamir spojrzał na niego zdezorientowany. Dostyc często się zdarzało, że Osmund po większej ilości wypitego miodu widział przedziwne rzeczy i stwory.

- Jestem Candamir. Twój brat mleczny. Jak tam? Coś ci świta?

W świetle księżyca Osmund wyglądał chorobliwie blado i miał zaciętą minę. Jego oddech był przyspieszony jak po biegu.

- Przysięgam, że jeszcze nigdy w życiu cię nie widziałem!

Candamira ścisnęło w gardle. Był urażony, ale przede wszystkim poczuł się dziwnie. Jednak, wyjątkowo jak na jego temperament, okazał się tym, który zachował spokój.

- W każdym razie jestem twoim przyjacielem, bądź pewien. Wejdz na pokład i

uspokój się. Jutro porozmawiamy.

- Jeżeli o mnie chodzi... - warknął Osmund, wciąż pełen nieufności.

Candamir nieźle się namęczył, żeby go wciągnąć na pokład, bo Osmund zdawał się zupełnie stracić poczucie równowagi. Kiedy, ociekając wodą, stanęli wreszcie na pokładzie, Osmund nagle zrobił się bezwładny i nieprzytomny osunął się na deski. Candamir bez szczególnej delikatności zaciągnął go do jego legowiska.

- Mam nadzieję, że jutro rano mocno będzie ci dzwoniło w głowie - szepnął.

Cudrun, mamka śpiąca z małym Rorykiem w ramionach zaraz obok ojca chłopca, obudziła się i wodziła przerażonym wzrokiem od Osmunda do Candamira i z powrotem, po czym troskliwie okryła swojego pana i przewróciła się na drugi bok. Osmund spał jak zabity.

Candamir także się położył. Gunda już spała, przysunął się, więc do niej bardzo blisko, żeby się ogrzać. Nie obudziła się. Ostrożnie położył dłoń na jej wypukłym brzuchu i zatopił twarz w jej blond lokach, sen jednak nie nadszedł. Niepokojnie przekręcił się w końcu na plecy i zatopił wzrok w gwiazdach. Chciał, aby te niegościnnie wyspy były już daleko za nimi. Pragnął, aby byli już u celu. Od chwili, kiedy zapadła ostateczna decyzja, wypełniała go wielka tęsknota za tą nową ojczyzną w żyznej krainie, na ziemi, która nie byłaby mu wrogiem i która nagradzałaby jego pracowitość spokojnym życiem. Wyobrażał sobie, jaki tam wybuduje dom: przestronną izbę z widokiem na morze, na samym szczycie łagodnego pagórka porośniętego trawą. Pograżony w tych cudownych marzeniach zawsze mógł zasnąć - tylko nie dzisiaj. Nie było wiatru, noc była wyjątkowo spokojna i tylko gryząca woń owiec przenikała przez wszystkie szpary między deskami. Candamir oddychał tak płytko, jak potrafił, i próbował wyobrazić sobie łagodną, świeżą morską bryzę, która pewnego dnia wślizgnie się przez drzwi do jego nowej izby..

Kiedy Hacon zszedł z wachty, nie musiał budzić brata. Candamir wstał bezszelestnie, wielkodusznie wskazał chłopcu swoje wygrzane posłanie i oddalił się, aby pełnić wachtę. Księżyc w pierwszej kwadrze rozświetlał noc, ale Candamir szybko stwierdził, że dwóch ludzi to za mało, aby chronić statek. Nie mógł bez przeszkód chodzić tam i z powrotem, gdyż trzeba było przekraczać śpiących i ich dobytek. Trwało to zdecydowanie za długo. Zbudził, więc Saksona oraz zięcia Siwarda i przekazał im

wachtę na dziobowej części statku. Kiedy wracał na rufę, nagle noga wpadła mu w jakąś dziurę. Zachwiał się, ale ciało miał młode i szybkie. Już w trakcie upadku udało mu się szarpnąć do tyłu i z trudem utrzymał równowagę. Zaklął szpetnie, ale cicho. Jakiś bezmyślny głupiec zostawił otwarty luk i z tego powodu ktoś nieświadomy zagrożenia mógł sobie skrócić kark, poza tym swobodnie wydostawał się stamtąd odór łajna. Candamir schylił się, żeby zamknąć luk, potem jednak zawahał się. Wyjął swój długi nóż i bezszelestnie zszedł po krótkim trapie.

W ładowni było niemal zupełnie ciemno. Poruszał się jednak pewnie i bez hałasu, dokładnie znał, bowiem rozmieszczenie ładunku. Powoli wszedł w ciemność i skupił się na dźwiękach. Zwierzęta były spokojne i słyszał ich oddech. Był już niemal w środku ładowni, czyli w najszerszym jej miejscu, gdy nagle poczuł powiew powietrza na lewym policzku. Wycofał się nieco i błyskawicznie skierował tam pięść. Trafił na coś miękkiego i usłyszał cichy jęk, jakby przez zaciśnięte zęby.

Candamir pochwycił czyjąś rękę i przyciągnął do siebie.

- Ktoś ty? - Nie otrzymał odpowiedzi. Wymacał jednak ludzką postać i przyłożył jej sztylet do gardła. - Lepiej odpowiedz - syknął cicho.

- Nie zabijaj mnie - odpowiedział równie cichy głos. - Pomogę ci, jeśli i ty mi pomożesz.

Zaskoczony Candamir aż upuścił sztylet. Następnie poluznił nieco żelazny uścisk, którym trzymał pojmanego za rękę, i pociągnął go z powrotem w kierunku luku, aby w słabym świetle księżyca zbadać, kogo schwytał. Nie dał się nabrać: to była kobieta.

- Kim... jesteś? - powtórzył zmieszany.

- Siglind. Żona Cnuta. - Popatrzyła mu w oczy. Było zbyt ciemno, by odróżnić kolory, ale wyczuwał równomierny oddech, gładką, młodą skórę i mieniące się srebrem fale włosów.

- Żona Cnuta... - powtórzył Candamir otumaniony. Miał bardzo złe przeczucia. Kobieta przytaknęła.

- Ty jesteś Osmund? Dowódca tego statku? - jej głos miał władczy ton, jakby chciała zasugerować, że negocjowanie z kimkolwiek innym byłoby poniżej jej godności.

„Dość bezczelne jak na kobietę, która ukryła się między zapasami jak zbiegła niewolnica” - pomyślał Candamir. Założył ręce.

- Nazywam się Candamir Olesson i jestem dowódcą tego statku - wyjął i natychmiast się zezłościł, bo zabrzmiało to raczej pompatycznie.

Wyczuł bardziej niż dostrzegł, że pogardliwie wykrzywiła usta.

- Tak, więc kapitan Candamir. Jak mówiłam: pomogę ci, jeżeli ty mi pomożesz.

- Naprawdę nie sądzę, żebyśmy potrzebowali twojej pomocy, i radzę ci wrócić do łoża twojego króla, gdzie twoje miejsce, zanim zauważy twoją nieobecność. Jeżeli tego nie uczynisz, będę cię musiał jutro rano do niego zaprowadzić. Handlowaliśmy z nim i piliśmy w jego izbie i...

- Jutro rano będziesz martwy, jeśli mnie nie wysłuchasz - wpadła mu w słowo.

Zaskoczony wpatrywał się w jej twarz, po której niewiele można było jednak rozpoznać. Przypuszczalnie byłby ją wyśmiał, gdyby nie ten niejasny niepokój, który trapił go przez cały wieczór. Niepokój to niewłaściwe słowo, musiał przyznać. Raczej strach.

- Słucham.

Siglind oddychała głęboko.

- Wszystkim, którzy dzisiaj byli w domu Cnuta, oni dodali do piwa zioło lulka... - zaczęła i zaraz przerwała, bo Candamir wydał okrzyk zgrozy i już chciał rzucić się do trapu.

- Och, na wszystkich bogów! Osmund...

Siglind bardzo delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu.

- Nie dano aż tyle, żeby ich uśmiercić, bo Cnut się obawiał, że ściągnie na siebie gniew bogów, jeśli we własnej izbie wymorduje gości. Żaden z twoich przyjaciół nie obudzi się jednak wcześniej niż jutro w południe. To samo dotyczy wszystkich, którzy pili miód kupiony od Cnuta. Czy ty go piłeś?

Candamir przecząco pokręcił głową.

- Nikt na pokładzie. - Pokusa była ogromna, ale zwyciężył rozsądek i zdecydowano, żeby na razie oszczędzać miód. - Nie mogę jednak powiedzieć, co z nim zrobiono na innych statkach. Jakie zamiary ma twój szacowny małżonek?

- Podobno był rozczarowany, że nie przyszliście tłumnie na ucztę, uważa was jednak za wystarczająco osłabionych, żeby nawet taki tchórz jak on mógł się odważyć jutro o świcie was napaść, wyrznąć i zagarnąć waszą wełnę i statki.

- Rozumiem - mruknął cierpko Candamir. - Dzięki ci za ostrzeżenie, Siglind, jesteś szlachetną kobietą. Teraz muszę cię jednak prosić, abyś opuściła pokład, bo musimy natychmiast stąd zniknąć.

Potrząsnęła głową.

- Zaczekaj do północy. Oni przygotowali strzały z płonącymi grotami, żeby wasze statki podpalić, gdybyście próbowali uciekać. Musicie poczekać, aż położą się spać. Cena za moje ostrzeżenie, kapitanie Candamirze, jest taka: zabierzcie mnie ze sobą!

Spodziewał się tego. Niepewnie obserwował ją kątem oka. Nie wiedział, co robić. Pierwszą jego myślą było naradzić się z Osmundem, ale teraz nic nie dobudziłoby przyjaciela z zatrutego snu. Bezradnie przysiadł na beczce, po czym zapytał:

- Cnut nie będzie się zastanawiał, gdzie się podziewasz?

- Nie. Już dziś rano, kiedy wasze statki wpłynęły do zatoki, udawałam, że się źle czuję. Cnut w to uwierzył, taką mam przynajmniej nadzieję, i nie będzie się zbliżał do mojej izby.

- Dlaczego go po prostu nie opuścisz? Chodzi mi o to, dlaczego nie wrócisz do swojej rodziny, zamiast zawierać obcym?

Cicho prychnęła, choć być może był to gorzki śmiech.

- Trzeba ci wiedzieć, że tutaj nie obowiązują już prawa dawnej ojczyzny. On nie pozwala mi odejść. Nigdy mnie nawet nie zapytał, czy pragnę zostać jego żoną. Po prostu zabrał mnie z domu mojego ojca, a moją rodzinę zabił.

Candamir był poruszony. Przez chwilę siedział bezsilnie ze spuszczoną głową i rękami na kolanach. Potem znowu na nią spojrział.

- Przykro mi.

Nie poruszyła się.

- To jak? Zabierzesz mnie?

Nie wahał się dłużej. Gościnność, jak widać, nie była jedynym świętym prawem, które podeptano na Zimnych Wyspach, kobieta ta miało zaś prawo do jego pomocy, nawet, jeśli była zarozumiałą dziewczką...

- Zabiorę cię - odparł. - Może najpierw powinnaś się jednak dowiedzieć, dokąd żeglujemy.

- Tak?



- Udajemy się na poszukiwanie pewnego nieznanego kraju. Jeden z naszych odkrył go przypadkiem, ale... Trzeba się oddać na pastwę sztormu, aby tam dotrzeć. Dostyc srogiego sztormu.

Zaśmiała się mimo woli. Był to piękny, dźwięczny śmiech, ale zaraz się urwał.

- Nie... Nie mówisz poważnie, co? - zapytała cicho.

- Jednak tak. - Opowiedział jej o najazdach Turończyków, głodowaniu w osadzie, przymusowym pobycie Olafa na nieznannej wyspie, jej słabo uzbrojonych mieszkańcach i wszystkich wspaniałościach, które Olaf tam widział, a także o sztormie, w którym teraz pokładali całą nadzieję.

Siglind nie odpowiedziała od razu, kiedy skończył. Wreszcie powiedziała cicho:

- Tylko mnie może się coś takiego przytrafić! W końcu pojawia się możliwość ucieczki, po czym się okazuje, że moja ucieczka prowadzi na pewną zgubę. Bogowie mnie nienawidzą.

- Nie bardzo w to wierzę - usłyszał Candamir własne słowa. - Być może nagrodzą twoją odwagę i los się odwróci.

- Być może - wtrąciła. - Cokolwiek się zdarzy, nawet wasz szalony rejs jest lepszy niż życie tutaj.

Candamir wstał z beczki.

- Zatem głowa go góry. - Podał jej rękę. - Chodź. Nie musisz się już tutaj ukrywać.

Po krótkim wahaniu podała mu dłoń - była ciepła, sucha i szorstka. „Nie jest to dłoń, która boi się pracy” - pomyślał Candamir.

Zaprowadził Siglind na pokład. Natychmiast się skuliła, obawiając się, że ktoś z brzegu mógłby ją zauważyć i rozpoznać, ale z rozkoszą odetchnęła czystym, nocnym powietrzem.

- Ile jeszcze do północy? - zapytała.

Candamir zamknął luk i spojrzał na księżyc.

- Godzina. Popłynę teraz na inne statki i zobaczę, kogo da się jeszcze obudzić. A za godzinę zupełnie bezszelestnie wypłyniemy z zatoki - taką miał w każdym razie nadzieję.

Cicho świsnął przez zęby.

- Saksonie, chodź tu.

Szczupły niewolnik szybko przebrnął przez leżących bezładnie śpiących na pokładzie i stanął przed nim.

- Tak, panie? Och... - Zaskoczony zmierzył wzrokiem nieznajomą.

W świetle księżycy można było nieco lepiej obejrzeć Siglind. Jej włosy, spływające wieloma warkoczami aż do pasa, były blond, jak stwierdził Candamir bez zdziwienia, choć nie potrafił jeszcze odróżnić odcienia. Z pewnością nie miała więcej niż siedemnaście lat i była wystarczająco ładna, aby zachwycić bogów. Candamir pośpiesznie zwrócił się do niewolnika:

- To jest Siglind. Opowie ci, co jej się przytrafiło. Albo mogło przytrafić. Zajmij się nią. Bądź uprzejmy i spełniaj jej życzenia, słyszysz?

- Oczywiście, panie - przyrzekł zbaraniały Austin.

Candamir kiwnął głową.

- Lepiej, żebym nie słyszał skarg na ciebie. Obudź mojego brata i wszystkich innych mężczyzn, których da się dobudzić. Wróć najszybciej, jak będę mógł.

Mówiąc to, zsuł buty, odłożył broń i zdjął długą do kolan bluzę, przełożył nad burtą lewą nogę, potem prawą i odpłynął w ciemną wodę.

Olaf spał zatrutym snem tak samo jak Osmund, ale Jared obudził się, gdy tylko Candamir potrząsnął go za ramię.

- Co się dzieje? - zapytał zaspany młody człowiek.

- Wasza wachta jest psu na budę warta, Jaredzie. Wszedłem na pokład i nikt mnie nie zauważył - szeptem powiedział Candamir. Potem opowiedział o planowanej napaści.

Jared w mgnieniu oka był już w pełni obudzony.

- Skąd to wiesz? - zapytał przerażony.

Candamir wiedział, że jeśli opowie o nieznajomej, zaczną się długie debaty, czy jej ufać, czy nie. W swój głos włożył cały autorytet, jaki miał:

- Po prostu wiem. Teraz wstawaj!

Zadziałało. Jared był zaledwie trzy lata od niego młodszy, ale przede wszystkim był przyzwyczajony do wykonywania poleceń. To dawało mu pewność. Pośpiesznie

wygramolił się spod puszystej skóry i skoczył na nogi.

- Trzeba obudzić ojca.

- Szkoda zachodu. Musimy się spieszyć. Ilu waszych ludzi było dzisiaj na łądzie?

Jared zastanowił się szybko.

- Poza moim ojcem czterech.

- Czy ktoś pił miód?

- Nie. Ojciec kazał oszczędzać na podróż.

- To dobrze. Obudź wszystkich. Na początek musicie owinąć szmatami i skórąmi łańcuch kotwicy żeby nie dzwonił. Także tę część pod wodą, zrozumiałeś?

- Tak.

- Potem obsadź wiosła. Nikt nie może spowodować żadnego hałasu, Jaredzie, to rzecz najważniejsza. Gdybyśmy obudzili Cnuta i jego ludzi, nasza podróż skończyłaby się tutaj, jasne?

- Tak, Candamirze. Zrobię wszystko tak, jak mówisz.

Candamir klepnął go po ramieniu, zszedł ze statku i popłynął do „Wilka Morskiego”.

O północy wyruszyli jak jakieś widmowe stado dzikich gęsi. Żaden statek nie miał więcej niż osiem par wioseł, gdyż projektowano je i zbudowano jako żaglowce - wiosła używano tylko podczas zawijania do portu i wypływania. Mężczyźni musieli solidnie się przyłożyć, żeby wielkie statki w ogóle ruszyły z miejsca. Candamir postawił Hacona przy sterze, a sam chwycił jedno z wioseł. Nikt nie wybijał taktu, znaleźli rytm, starając się jak cienie naśladować ruchy Candamira. Powoli. Pomału zanurzali pióra wioseł, ciągnęli wszyscy z jednakową siłą i równie powoli wyciągali je nad powierzchnię czarnej jak noc toni. Nie wolno im było nawet najciszej chlupotać. Wioślarze nie mieli odwagi głośno oddychać i zaczęli się pocić, zanim jeszcze statki oddaliły się z miejsca o rzut kamieniem. Wielu z nich nie miało doświadczenia i każdy się bał, czy aby nie zrobi jakiegoś tragicznego w skutkach błędu. Doskonała formacja na wzór dzikich gęsi szybko się rozsypała, ale nie miało to znaczenia.

Już niemal dotarli na otwarte morze, gdy na brzegu pojawiły się światła i

podniosły się krzyki.

- Jazda! - rozniósł się po zatoce głos Candamira - Wiosłujcie z całej siły, teraz możecie robić hałas, ile chcecie.

Równo! - Przyspieszył tempo, zaparł się gołymi stopami o ukośne oparcie ławki przed sobą i wyteżył wszystkie siły. Pozostali wiosłarze poszli w jego ślady i odporne statki nabrały rozpędu.

Migotanie na brzegu uformowało małe świetliste punkty, które niebawem pofrunęły niebem w ich kierunku.

„O, nieustraszony Tyrze, nie opuszczaj mnie!” - modlił się w duchu Candamir. Każdy przywoływał swojego boga opiekuńczego, Austin zaś zwrócił się o wsparcie do Świętego Piotra. Może któryś ich wysłucha. Jedna z płonących strzał trafiła w żagiel „Bielika”, który zamykał flotę, jednak grube płótno płonęło niechętnie i udało się je zwinąć i zgasić, zanim powstały poważniejsze szkody. Po chwili byli już poza zasięgiem strzał.

- Stawiać żagle! - usłyszeli młodego Jareda wydającego komendę na „Smoku”.

Candamir jednak burknął:

- Jakież z tego pożytek, chłopcze? Nie ma nawet lekkiej bryzy w tę przeklętą noc.

- To, co mamy robić? - zapytał Hacon pełen lęku. - Nie sądzisz, że oni nas ścigają?

- O, na pewno - odparł sucho brat. - Najpóźniej zdecydują się na to wtedy, gdy zauważą, że zniknęła ich królowa. Ale nie mają więcej wiatru od nas, Haconie. A nie widziałem w ich porcie żadnego statku, który miałby więcej par wioseł niż nasze. Rozstrzygnie, więc jedynie to, kto lepiej wiosłuje.

Wyteżali, zatem siły, walcząc o życie, a Candamir dbał o częste zmiany wiosłarzy, aby nie marnować ich sił i nie spowodować spowolnienia.

O świcie pojawił się wschodni wiaterek, przy którym dało się już doskonale żeglować. Na początku wiosłowali niezależnie od wiatru. Morze za nimi było jak wymiecione i nie było widać żadnych oznak pogoni. Pragnęli jednak odpłynąć możliwie daleko od Zimnych Wysp.

Dopiero, gdy słońce stało już wysoko, Candamir pozwolił sobie na przerwę.

- Saksonie, przynieś wiadro morskiej wody i polej mnie.

- Tak, panie.

Candamir skinął głową w kierunku Haralda siedzącego na ławce przy bakburcie i równocześnie wyciągnęli wiosła. Kapitan „Sokoła” zdjął dłonie z wypolerowanych drewnianych uchwytów i z zadowoleniem im się przyjrzał. Bolały, ale nie krwawiły. Rozruszał trochę barki i otarł czoło przedramieniem.

Spojrząwszy znowu w górę, odkrył ze zdumieniem, że to Siglind przyniosła mu wiadro z wodą.

- Proszę. Odśwież się.

Nieco zakłopotany wstał z ławki i wziął od niej ciężkie wiadro. Kiedy Austin i jeden z parobków Siwarda zajmowali zwolnioną przez wiosłarzy ławkę, Candamir zrobił kilka kroków to tyłu i wylał sobie zawartość wiadra na głowę. Woda była tak lodowata, że natychmiast poczuł mrowienie. Parsknął. Otrząsnąwszy się jak pies, z uśmiechem oddał Siglind wiadro.

- Dziękuję. Prawdziwe dobrodziejstwo.

Odwzajemniła uśmiech i to spowodowało, że i tak osłabione kolana ugięły się pod nim. Oczy Siglind były błękitne - bo jakże mogły być inne - błękitne i duże, z długimi, złocistymi rzęsami. Uśmiech nadawał jej oczom blasku, dzięki czemu wyglądały jak ocean w złote, jesienne popołudnie. A jej włosy! Po prostu nie sposób było nazwać tego odcienia. Niektóre kosmyki były jasne jak dojrzała pszenica, inne ciemne jak leśny miód. Candamir nigdy wcześniej nie widział takich włosów. Suknia miała barwę głębokiej czerwieni, jak wino z gorących krajów południa, które można kupić w dużych portach, a spinające jej ramiączka kłamy były z błyszczącego złota i wysadzone rubinami. Siglind wyglądała naprawdę po królewsku.

Kiedy Candamir uzmysłowił sobie, że już od dłuższej chwili gapi się na nią, szybko odwrócił wzrok.

- Gundo, jestem głodny - powiedział tonem bardziej szorstkim, niż miał to w zwyczaju.

Bez słowa i wyraźnie urażona ciężarna niewolnica skinęła głową i już miała się odwrócić, gdy Candamir przytrzymał ją za łokieć i powiedział ciepło:

- Przynies wszystkim, którzy wiosłowali, dodatkową porcję. Niech inne dziewczyny ci pomogą.

- Tak, panie.

- Muszę zajrzeć do Osmunda i pozostałych, którzy pili truciznę. Czy ktoś może wie, jak można przeciwdziałać skutkom zioła lulka?

Pytanie skierował do Saksona, ale odpowiedziała Siglind:

- Czekać, aż przejdą. I dziękować bogom, że się uszło z życiem.

Osmund nie spał już tak nienaturalnie głęboko jak jeszcze wczesnym rankiem. Kiedy Candamir delikatnie potrząsnął go za ramię, ten doszedł do siebie, cicho jęknął i otworzył oczy. Źrenice miał ogromne.

- Osmundzie.

- Co... Co się ze mną dzieje?

- Otruli ciebie i innych. Ale już jesteśmy bezpieczni. Za kilka godzin poczujesz się lepiej. Wszystko będzie dobrze.

- Nie... Nie chce mi się wierzyć. - Skulił się w nagłym skurczu i zacisnął oczy. Candamir ujął jego dłoń i dotknął jego czoła. Było rozpalone. Kiedy uświadomił sobie, że przyglądają mu się wioślarze, Hacon i Siglind, zirytował się.

- Haconie, zbuduj zadaszenie - polecił bratu. - Pospiesz się. Tylko mi nie mów, że nie wiesz, jak to się robi.

Hacon przekazał Siwardowi ster i przyniósł drewniane paliki, belki oraz płótna, które, dotychczas bezużyteczne, leżały zwinięte przy jego legowisku. Zdziwiająco sprawnie i szybko postawił niewielki namiot, a właściwie tylko rodzaj dachu. Nie reagując na przerażone spojrzenia, Candamir przeniósł przyjaciela do tego malutkiego namiotu, gdzie było, choć trochę odosobnienia, pozostał przy nim, chłodził mu rozpalone czoło i od czasu do czasu podawał mu łyk wody.

Wszyscy, którzy poprzedniego wieczoru byli w izbie Cnuta, dziś czuli się źle. Niektórzy cierpieli na częściowe porażenie i zaburzenia wzroku, inni, jak Osmund, mieli gorączkę i skurcze mięśni. Wyglądało to okropnie - ich ciała skręcały się i drżały, po czym opadali bezwładnie, ledwo dysząc. Candamir cały czas był przy chorych. Kiedy statki zakotwiczyły jak zwykle na noc, stopniowo zaczęło się chorym polepszać, a o wschodzie słońca najgorsze mieli już za sobą.

Candamir obudził się z głębokiego, męczącego snu i stwierdził, że leży obok swojego przyjaciela w ciasnym namiocie. W pierwszej chwili był zdezorientowany i trochę zmieszany, zaraz jednak wszystko sobie przypomniał. Ostrożnie uniósł się na łokciu i nachylił ku Osmundowi. Ten miał oczy otwarte, a spojrzenie jasne i trzeźwe. Z pomocą Candamira wypił kilka łyków wody, po czym odezwał się znużonym głosem:

- Śnił mi się trój głowy pies.

- Tak. Opowiadałeś mi o nim.

- A także jakaś piękna niewiasta - ciągnął Osmund. - O włosach, jakich jeszcze nigdy nie widziałem. We wszystkich odcieniach blond, jakie mógłbyś sobie wymyślić. W czerwonej sukni.

Candamir z uśmiechem skinął głową.

- To nie był sen. To była królowa Zimnych Wysp i jest teraz tutaj na pokładzie.

Osmund położył się z powrotem z ręką na oczach.

- W takim razie oby bogowie byli przy nas.

Nikt nawet nie zaproponował, żeby zrobić postój w Irlandii. Powitanie tutaj nie mogło być gorsze niż na Zimnych Wyspach, ale skoro poinformowali Cnuta, że ich celem jest Zielona Wyspa, nie ośmielili się tutaj zawijać.

Życie na pokładzie jakoś się ułożyło, a Siglind bez większych problemów stała się częścią społeczności. Była nieznajomą, czyli atrakcją, i gdyby jako obca przybyła do Elasundu, pozostałaby nią przez całe lata, a może nawet nigdy nie udałoby jej się znaleźć miejsca w tej społeczności. Nie było już jednak Elasundu. Ta podróż, życie na pokładzie - wszystko było tak nowe i niezwykle, że jeden więcej obcy element wydawał się nie mieć znaczenia. Wszyscy mężczyźni zachowywali się wobec Siglind bardzo przyjaźnie, chociaż ona zwykle spuszczała wzrok i niewiele mówiła, aby nie wzbudzać zazdrości kobiet na pokładzie „Sokoła”, spała zaś z Astą, Ingą i pozostałymi niezamężnymi dziewczętami na dziobie. Kiedy wieczorem się zatrzymywali i rzucali kotwicę, pomagała w przygotowywaniu posiłków. Raz jadła z klanem Siwarda, raz Haralda, najczęściej jednak z Osmundem, Candamirem i ich ludźmi. Słowem nie wspominała o przeszłości, o swoim życiu w czasach, gdy była żoną Cnuta. Kiedy pewnego wieczoru Olaf zaprosił ją

wraz Osmundem, Candamirem i innymi dowódcami na „Morskiego Smoka”, potraktował ją rzeczywiście jak królową, podał jej ramię i zaprowadził do prowizorycznie postawionego, wąskiego stołu.

Z zazdrością i zdumieniem patrzyła załoga „Morskiego Smoka” i sąsiednich statków na to, co znajdowało się na stole Olafa: ciemny, chrupki chleb, który kupił pewnie u żony piekarza na Zimnych Wyspach i który był już czerstwy, ale nikt z dawnych mieszkańców Elasundu nie jadł chleba od święta Jul. Gęsi smalec, wędzony węgorz w delikatnych ziołach i... piwo. Wśród ludzi rozległ się głośny szmer, gdy piwo spieniło się w dzbanach, a niektórzy oblizali spierzchnięte wargi.

Candamir czuł się okropnie. Jadł i pił, bo nie potrafił się oprzeć pokusie, ale równocześnie wstydził się, że delectuje się tymi wspaniałościami na oczach zazdrosnych widzów. Prawie nic nie mówił. Zamiast tego rzucał gospodarzowi spode łba ponure spojrzenia. Olaf zdawał się nie czuć ani trochę niezręcznie. Siedział niedbale za stołem w swoich znakomitych szatach barwy sarniego futra, a oczy mu błyszczały, gdy patrzył na królową Zimnych Wysp. Swobodnie z nią żartował i prowadził konwersację, opowiadał o odległych morzach i ogromnych portach, których Candamir nigdy nie widział, wspominał także zupełnie mimochodem, że jego małżonka zmarła jesienią przed dwoma laty

Siglind przyjmowała jego zainteresowanie z powściągliwością uprzejmą, wręcz rutynową. Oczywiście była przyzwyczajona do takiego zachowania. Śmiała się jednak z błyskotliwych uwag Olafa, a dziękując mu przy pożegnaniu i podając mu rękę, pozwoliła sobie sięgnąć na chwilę dłonią do jego czoła.

Candamir miał wielką ochotę wypluć na ziemię wypite cenne piwo Olafa. Nie do końca rozumiał, co go tak dręczyło przez cały wieczór. Był młodzieńcem bez majątku i większego doświadczenia, Olaf był natomiast mądrym i obytym w świecie człowiekiem, w swoich najlepszych latach, który zapewne, gdyby tylko zechciał, mógł obsypać kobietę od stóp do głów złotem i klejnotami, a w każdym razie zaoferować jej żywot w dobrobycie i bez trosk niezależnie od tego, dokąd los by ich rzucił. To przecież oczywiste, że Siglind pozostawała pod wrażeniem Olafa, że przez cały wieczór prawie nie spojrzała na Candamira i Osmunda. Candamir wiedział, że należało się z tym liczyć. Mimo to sprawiało mu to dziwny ból.



Po powrocie na własny statek był w tak ponurym nastroju, że ani rodzeństwo, ani Austin czy Gunda nie mieli odwagi się do niego odezwać.

Po spokojnym morzu płynęli na południe, cały czas mając w zasięgu wzroku irlandzkie wybrzeże. Od czasu, gdy opuścili Zimne Wyspy, wiatr był kapryśny, a w południe piątego dnia całkiem zanikł i znów musieli użyć wiosła. Tym razem Candamir wskazał miejsce przy wiosłach obok swoich parobków także Haconowi i innym jego rówieśnikom, chłopcy mogli, więc przejść pierwszą w trakcie tej podróży prawdziwą próbę.

Pierwsze dwie godziny były dla Hacona zupełnie łatwe. Nawykł przecież do ciężkiej pracy, ręce miał, więc twarde i umięśnione. Później jednak coś zaczęło go ciągnąć w ramionach i karku, a przez następną godzinę to uczucie tak się nasiliło, jakby miał na sobie żelazne jarzmo.

Jego wiosło było ostatnie po stronie sterburty i wiedział, że to nie przypadek. Candamir stał przy sterze w odległości zaledwie kilku kroków od niego, z twarzą odwróconą ku morzu, ale musiał nieco przekręcić głowę, żeby mieć go na oku. Hacon doskonale zdawał sobie sprawę, czego oczekuje od niego brat, nawet, jeśli nie padło ani jedno słowo na ten temat: musiał wytrzymać dłużej i wiosłować lepiej niż jego rówieśnicy, bo miał być dla nich przykładem. Wiosłował, więc. Kiedy zakręciło mu się w głowie i poczuł, że nie da już rady, zamknął oczy i liczył pociągnięcia wiosła. Liczył od jednego do dwunastu, po czym zaczynał od nowa, bo rachowanie nie było jego mocną stroną. Dopiął jednak swego. To nie on osunął się bez czucia z ławki, ale Wiland, a po nim syn Haralda, Godwin, który był przecież starszy od niego o ponad rok. Wkrótce Olaf dał sygnał do postoju.

Candamir przekazał ster Osmundowi i podszedł do brata.

- Dobra robota - powiedział cicho.

Hacon się uśmiechnął. Niezbyt często zdarzało mu się zasłużyć na pochwałę Candamira. Ten wziął jego prawą rękę i badawczo obejrzał wnętrze dłoni.

- Nie ma odcisków - zauważył z zadowoleniem.

Hacon z niechęcią uwolnił rękę.

- Nie mam już mleka pod nosem, Candamirze.

- Nie masz, wiem. Mimo to jutro zamienisz się miejscami z Saksonem, żeby twoje ramiona i dłonie były obciążone równomiernie.

- Jak chcesz.

Podeszła do nich Siglind i podała Haconowi oraz Austinowi, który siedział na sąsiedniej ławce przy bakburcie, po miseczce z odrobiną świeżych krabów wyłowionych rano z morza.

- Proszę, to na pierwszy głód.

Hacon, jak każdy młodzieniec na pokładzie „Sokoła”, był dosłownie po uszy zakochany w Siglind, poczuł więc, że krew uderzyła mu do głowy i że ma ściśnięte gardło. Jego podziękowanie było jedynie żalnym jękaniem.

Siglind zdawała się tego nie zauważać. Na chwilę położyła mu dłoń na ramieniu.

- Jeśli kiedyś dopłyniemy do tamtej wyspy, będą o tobie pisać pieśni: o dzielnym Haconie, który mocą swoich rąk doprowadził swój lud do ziemi obiecanej.

Hacon był pewien, że żartuje sobie z niego. Sakson gwałtownie podniósł głowę.

- Powiadasz „do Ziemi Obiecanej”?

Odwrociła się, nie zwracając na niego uwagi. Gdy jednak spojrział do swojej miski, zobaczył, że zawierała ona znacznie mniej krabów niż miska Hacona, za to leżały tam dwie krótkie, czerwone wełniane nitki. Nie trzeba było wiele fantazji, aby rozpoznać, co przedstawiały: był to krzyż.

Słaby, porywisty wiatr zerwał się nazajutrz około południa. Nie porzucono wiosłowania, dopóki, bowiem pozostawali w pobliżu wybrzeży, musieli się liczyć z pościgiem z Zimnych Wysp.

Hacona bolały mięśnie jak jeszcze nigdy w życiu. Po kilku godzinach doszedł do siebie i poczuł się nieco lepiej, ale był wdzięczny za wyraźne wsparcie, które zapewnił mu wiejący wietrzyk.

Austin siedział na swojej ławce wiosłarskiej, podnosząc i opuszczając ramiona jak lunatyk, wzrok zaś miał stale skierowany na prawo, ku walijskim wybrzeżom. Cierpiał męki piekielne. Ciemny, skalisty brzeg był oddalony może o ćwierć mili.

Wyglądał niemal tak, jakby wystarczyło wyciągnąć rękę, aby go dotknąć. Dla dobrego pływaka to żadna odległość. On zaś był dobrym pływakiem, bo chociaż zawsze ukrywał ten fakt przed mieszkańcami Elasundu, pochodził z wybrzeża Sussex i większą część każdego lata swojego dzieciństwa spędzał w morzu. Być może pływał nawet szybciej niż Osmund i Candamir, którzy przecież uważali się za niepokonanych. W każdym razie warto byłoby spróbować. Tam oto leżała Walia. Kraj nieanglosaski, ale mało zaludniony, a chrześcijańska wiara była tam rozpowszechniona już od dawna. Z pewnością nietrudno tam się dostać. Później już tylko dzień lub dwa i byłby z rodziną. Jeszcze jeden dzień drogi do klasztoru, z którego dawno temu wyrwał się pełen werwy i wzniosłych planów. Ojczyzna. Leżała tam, w zasięgu ręki. Wystarczyłoby zrobić jeden szybki skok za burtę. Wiedział, że miał spore szanse na to, że mu się uda. Skończyłyby się czasy niewolniczej służby - tak po prostu. Byłby znowu człowiekiem poważanym, synem anglosaskiego szlachcica, szanowanym badaczem. Jedno było jasne: to ostatnia okazja, aby raz jeszcze zobaczyć się z ojcem, matką i rodzeństwem. Także z opatem, który nauczył go czytać i pisać. Jutro ukaże się przylądek kraju Franków i opuszczą wody przybrzeżne, a on z tymi dzikusami pożegluje w niepewną przyszłość. Odnajdą nowy świat lub - co znacznie bardziej prawdopodobne - grób w odmętach. A zatem: teraz albo nigdy Sam nie bardzo rozumiał swoje wahanie. Rozzłościło go to. Pragnął być wolny Bóg tak jednak wszystko poukładał, że wieloletnie daremne wysiłki właśnie teraz zdawały się przynosić pierwsze owoce. Hacon był już niemal gotowy. Podstawa już była - poletko było przygotowane. Teraz jeszcze ta kobieta. Że też akurat kobieta!

Znowu spojrzął ku brzegowi. Szarpnęła nim tęsknota za wolnością i bliskimi, zrobiło mu się bardzo ciężko na sercu. Dłonie mu zwilgotniały i głowę miał lekką jak piórko na samą myśl o wspaniałościach, jakie na niego czekały, gdyby tylko skoczył. To było takie łatwe. Wystarczyło po prostu to zrobić.

Wiedział jednak, że nie taką drogę przewidział dla niego Bóg. O tak, Bóg miał wobec niego wielkie plany, to pewne. „Bo gdzie są dwaj albo trzej zebrani w imię moje, tam jestem pośród nich” - powiedział. Można było niemal założyć, że powiedział tak, bo przewidział, że kiedyś pewien anglosaski mnich będzie siedział na ławce przy wiośle i walczył z pokusą wolności.

Oto zebrało się dwóch lub trzech w imię Jego, tu, na tym statku. Oczywiście nie

był to przypadek. Wola Pana rzadko przejawiała się równie wyraźnie. „Tutaj jest twoje miejsce - mówił - nieś moje słowo do nowego świata tych ludzi i doprowadź ich na łono kościoła”.

Doskonale zrozumiał to przesłanie. Tylko, że nie chciał. Tak, doszło do tego, że siedział oto na ławce przy wiosle i sprzeczał się z Bogiem.

- Uwaga, wypadłeś z rytmu, Saksonie! - napomniął go Candamir, któremu nigdy nie uszło uwagi, gdy słabło tempo któregoś z wiosłarzy. Na pozór spokojnie upomniany Austin wyciągnął wiosło, wstał i podszedł do niego.

- Możesz mi powiedzieć, co to ma znaczyć? - zapytał Candamir.

Osmund szybko zerknął na jednego i drugiego, po czym zajął puste miejsce na ławce i chwycił za wiosło. Po dwóch pociągnięciach odnalazł właściwy rytm.

Z opuszczonymi ramionami i zwieszoną głową stał Austin przed swoim ziemskim panem.

- Pozwól mi odejść - poprosił cicho. Wskazał brodą na lewo. - Tam leży moja ojczyzna. Już nie wytrzymuję. Pozwól mi odejść.

Candamir odwrócił od niego wzrok i zmrużonymi oczami spojrzął w morze, udając, że musi starannie skorygować kurs. Rozpaczliwe prośby poruszyły go. Ten człowiek przez całe trzy lata pracował dla niego wiernie i chętnie. Często bardzo ciężko i bez słowa skargi. Zasłużył na nagrodę i Candamir wiedział o tym. Była to ciężka dola - żyć w niewoli z dala od ojczyzny. Byłoby rzeczą słuszną pozwolić mu odejść, tak właśnie podszeptywało Candamirowi sumienie.

- Powiedz mi, Saksonie, umiesz pływać?

- Tak, panie.

- Wystarczająco dobrze, aby dopłynąć do brzegu?

Głowa Saksona się podniosła. Po twarzy spływały mu łzy. Bez słowa przytaknął.

- Czemu więc nie skoczyłeś? - zapytał Candamir. W jego głosie pobrzmiwała złość. - Czemu przychodzisz tu i mnie prosisz?

- Ja... Po prostu nie mogę tak... Bez pożegnania. Nie potrafię.

Candamir pokręcił głową, nie pojmując. Nie wiedząc, co powiedzieć, wpatrywał się w horyzont, jakby tam mógł znaleźć odpowiedź.

- Candamirze... - zaczął z wahaniem Hacon, ale brat nie chciał słuchać.

- Ty się nie odzywaj - nakazał młodszemu bratu. Potem spojrział znów na Saksona, który stał przed nim jak zbity pies, i zdecydował: - Nie, nie pozwalam ci odejść. Nie mogę. Będziesz nam potrzebny.

- Do czego? - zapytał osłupiały niewolnik.

Candamir nie miał najmniejszego pojęcia. Pamiętał jedynie strzępy tego, co słyszał i widział podczas runicznej wyroczni. Zdawało mu się, że było tam coś związanego z Saksonem.

- Mam wrażenie, że wiesz to lepiej ode mnie - odparł. I powtórzył stanowczym tonem: - Nie, nie pozwalam ci odejść.

Sakson zwiesił głowę. Ramiona mu drżały. Rozdarty pomiędzy pogardą i współczuciem, Candamir przyjrzał mu się uważnie.

- Jesteś głupcem, Saksonie. Sam przypieczętowałeś swój los, pytając mnie, zamiast skoczyć. Wiesz o tym, prawda?

Austin skinął głową. To prawda, musiał przyznać, był głupcem. Dał Bogu ostatnią szansę, aby odsunął od niego ten kielich. Tak jakby Bóg kiedykolwiek to uczynił...

- Ciężko mi tak się żegnać na dobre - powiedział. - Mam brata prawie w wieku Hacona. Gdy widziałem się z nim po raz ostatni, miał jedenaście lat. Teraz to już prawie mężczyzna. A ja mam go już nigdy więcej nie ujrzeć. Na to... Na to nie zasłużyłem - zakończył przekornie, zwracając się bardziej do Boga niż do Candamira.

- Nie, nie zasłużyłeś - przyznał szczerze Candamir. - Ale, jak już rzekłem, sam jesteś sobie winien. Teraz nie zostało ci nic innego, jak wziąć sobie Hacona jako brata. Co zresztą już dawno zrobiłeś - przyszło mu do głowy.

Austin przytaknął w milczeniu.

- Osmundzie, czy mógłbyś przejąć ster? - poprosił Candamir.

Zagadnięty wyciągnął wiosło z wody, podszedł do nich i chwycił za ster, nie spojrzawszy nawet na Saksona, który stał bez ruchu i w milczeniu chlipał do siebie jak jakaś staruszka.

Candamir zaprowadził swojego nieszczęśliwego sługę z powrotem na miejsce i przywiązał go do wiosła.

- Nie dajesz mi wyboru - burknął, a ponieważ jak przedtem trapiły go wyrzuty

sumienia, dodał: - Tylko do czasu, gdy opuścimy wybrzeże.

Sakson na chwilę wyrwał się ze swojego ponurego nastroju, by zasięgnąć informacji:

- A co, jeśli będę musiał iść na stronę? Candamir uśmiechnął się krzywo.
- Wtedy cię uwolnię i będę cię miał na oku.

Dwunastego dnia podróży dostrzegli przylądek jakiegoś dużego półwyspu, który Olaf określił mianem „rogu kraju Franków”, a który był w istocie, o czym wiedział Austin, niewielkim krajem Bretończyków. Tutaj zostawili wreszcie wybrzeże za plecami i Austin był rad. Nie tylko z tego powodu, że Candamir obiecał go rozwiązać, gdy tylko łód zniknie za horyzontem, ale także, dlatego, że złagodniały jego duchowe męki. Flota opuściła znajomy świat i pożeglowała na otwarte morze. Teraz jego droga wiodła tylko w jednym kierunku, i chociaż opłakiwał ukochanych ludzi, jakby zmarli, spojrzenie na ogromne morze przywołało ducha przygody i ciekawość. Z nową, być może nieuzasadnioną wiarą patrzył przed siebie, i nie był w tym jedyny.

Wiatr wyraźnie odżył i gdy tylko minęło południe, wyciągnęli wiosła. Szybko jak strzały - takie mieli wrażenie - sunęło dziewięć wielkich statków po wodzie, aż piana bryzgała na dzioby, i tych spośród podróżnych, którzy zajmowali miejsca na dziobie, wiele razy spotykała lodowata ulewa.

Późnym popołudniem Olaf dał sygnał postoju. Fale zrobiły się większe, a ponieważ nie płynęli, statki mocno się kołysały. Wystąpiły pierwsze przypadki choroby morskiej. Na pokładzie „Sokoła” najgorzej czuła się Gunda oraz Hylde, młoda synowa Siwarda, ponieważ obie były w ciąży, ale chorował też dzielny Harald i prawie wszystkie dzieci.

Dowódcy spotkali się na pokładzie „Morskiego Smoka”, aby omówić sytuację.

- Musimy przyspieszyć - oświadczył Olaf pozostałym. - Już choćby ze względu na nasze zapasy. Proponuję, abyśmy od teraz nie zatrzymywali się na noc, ale żeglowali, gdy tylko będziemy mieli wiatr. Podzielcie wiosłarzy na trzy zmiany, niech niewolnicy wiosłują przez dwie zmiany i...

- Tego nikt nie wytrzyma - zaprotestował Berse. - Zwłaszcza, jeśli będziemy

musieli ograniczyć racje żywności.

Olaf z niezadowoleniem zmarszczył czoło. Nie lubił, kiedy mu przerywano.

- Istnieje prosty środek, aby zachęcić opornych.

- Nie na moim statku - wyjaśnił kategorycznie Candamir. - Będziemy potrzebowali zdrowych, silnych ludzi, kiedy dotrzemy na miejsce, a nie obdartych ze skóry i półżywych, którzy gotowi jeszcze umrzeć w drodze.

Większość była po jego stronie.

- Dobrze - burknął Olaf. - Nie mówcie jednak, że was nie ostrzegałem, jeśli przegapimy sztorm.

Przynajmniej to zmartwienie było nieuzasadnione. Trzy dni i trzy noce żeglowali przy stałym, świeżym wietrze kursem południowo-zachodnim. Przed południem czwartego dnia, tak samo jak podczas legendarnej podróży Olafa, trafili na sztorm.

Nie tylko doświadczony żeglarz mógł zauważyć, że nadciąga. Ciężkie, czarne chmury nadeszły od północy i połknęły słońce. Morze nabrało ołowianoszarej barwy i zrobiło się podejrzanie spokojne, a światło dnia ściemniało do odcienia chorobliwej żółci.

- No już! Każdy wie, co ma robić! - krzyknął Osmund. - Kobiety i dzieci pod pokład. Zabierzcie ze sobą psy i dobytek. Tego, o czym zapomnicie, zapewne już nigdy nie zobaczycie.

Niezliczoną ilość razy omawiali i planowali tę chwilę, wszystko, więc poszło sprawnie. Siglind otworzyła luk ładowni na rufie, Asta dziobowy. Następnie pomogły dzieciom zejść po krótkim trapie, przytrzymały też niemowlęta i tłumoki, aby przekazać je na dół, wspierały starych i chorych na chorobę morską, aż wreszcie same zniknęły w ładowni. Przez ten czas Osmund i Siward rozdali wszystkim, którzy zostali na pokładzie, przygotowane wcześniej liny. Ostrożniejsi od razu się przywiązali, a ci, którzy uważali, że muszą swoje męstwo wystawić na próbę, przewiesili sobie na razie zwoje lin przez ramię. Wśród nich był też Hacon.

- Idź na swoje miejsce i przywiąż się - poleciał Candamir.

- Ale Candamirze... - zaprotestował chłopiec.

Wiatr zawył z przerażającą gwałtownością i głośnym jak grzmot podmuchem

wydął żagiel. Candamir wymierzył bratu policzek, ale natychmiast znowu oparł obie dłonie na sterze.

- Sprzeciwianie się temu, co mówię, staje się już twoim zwyczajem, Haconie. To niedobrze. A teraz rób, co mówię! - podniósł głos. Musiał już wrzeszczeć, aby go usłyszano: - To dotyczy wszystkich! Przywiążcie się! Kto wypadnie za burtę, będzie bezpowrotnie zgubiony!

Ledwie to powiedział, zaczęło szarpać i wiatr przybrał na sile. Ludzie natychmiast wykonali polecenie, jeden koniec liny owijając wokół ciała, a drugi przywiązując do służących do tego celu kółek na burcie lub do solidnie przymocowanych ławek wioślarskich.

Wichura wyła zaciekle, a stary maszt skrzypiał ostrzegawczo.

- Co z żaglem, Candamirze? - zapytał Siward.

- Nie zwijamy żagla wcześniej niż Olaf - zdecydował Candamir i odgarnął z twarzy mokre włosy

- Ale...

- Żagiel zostaje, powiadam! Nie bój się, Siwardzie. Sztorm gna nas dokładnie w tym kierunku, o który nam chodzi. Wiesz przecież, co mówiła wyrocznia: bogowie zesłali nam ten sztorm. Niech łamie maszt, jeśli tak ma być, ale na razie żeglujemy dalej!

- W jego oczach był jakiś szczególny blask, który Siward uznał za niezbyt uspokajający

W tej piekielnej pogodzie dzień prawie nie różnił się od nocy. Gdy jednak całkowita czerń zmieniła się w brązowawy mrok, Austin stwierdził, że gdzieś na świecie, w jakimś szczęśliwym miejscu, musiało wzejść słońce. Drżącymi dłońmi wydobył z sakiewki kółek i nóż, a następnie wyłobił siedemnasty karb. Wiedział, że musi minąć jeszcze ponad dziesięć dni, zanim pojawi się nadzieja na dotarcie do wyspy a przy najlepszych nawet chęciach nie był w stanie sobie wyobrazić, jak dożyje do następnego. Już teraz był zupełnie wyczerpany. Było mu okropnie niedobrze i chociaż w żołądku nie miał już nic, co mógłby zwrócić, wciąż musiał wymiotować. Wielu ludzi było w takim samym stanie. Przemoknięci do suchej nitki i uczepieni swoich lin, kulili się na deskach i okrutnie marzli. Niektórzy się modlili. Inni tępo gapili się przed siebie. Wydawało się, że jedynie Candamir i Osmund zachowali przytomność umysłu. Podczas nocy Sakson widział przy sterze to jednego, to drugiego. Nagle mrok rozdarła błyskawica. Teraz, w



niesamowitej szarości poranka, to Osmund stał przy sterze. Candamir, szeroko stawiając nogi, schylony szedł w kierunku masztu. Austinowi zdawało się, że o świcie sztorm rozpętał się z nową siłą, statkiem rzucało jak listkiem na rwącej rzece i wszędzie o pokład uderzały ogromne belki. Candamir po każdym kroku zatrzymywał się jednak, wciskał stopę pod ławkę i przywiązywał tam linę. Tym sposobem dotarł do celu.

Żagiel przetrwał noc, co było czymś naprawdę zdumiewającym. Także wanty i sztagi z foczej skóry - względnie nowe - wyglądały, jakby mogły jeszcze jakiś czas służyć. Candamira bardziej martwił maszt, którego podstawa tkwiła w nadstępcie, aby w razie potrzeby można go było złożyć. Podstawa masztu i nadstępka były stare, a maszt zbyt obciążony. Candamir wiedział, że prawdopodobnie się nie złamie, lecz w pewnej chwili po prostu upadnie, jeśli jego podstawa będzie dłużej wystawiona na działanie sił sztormu. Chwycił się mocno wanty i próbował przebić wzrokiem szarówkę i ulewę. Fale wznosiły się na wysokość trzech ludzi i Candamir musiał długo wpatrywać się w tym samym kierunku, żeby dojrzeć między falami któryś z pozostałych statków. Z ulgą stwierdził jednak, że wszystkie wciąż tam były Rozciągnięte na większe odległości, ale w nadal w polu widzenia. Wszystkie były pod żaglami.

Klepnął maszt otwartą dłonią, jakby dla zachęty.

- Nie zawieź mnie.

Następnie puścił wantę, równie ostrożnie jak poprzednio dostał się na dziób i zszedł przez luk do ładowni, aby dokładniej obejrzeć nadstępkę. Na dole było ciemno, zdecydowanie zbyt tłoczno i cuchnęło wymiocinami oraz strachem ludzi i zwierząt. Odrobina światła wpadała jedynie przez otwarty luk, ale Candamir po kilku chwilach rozróżniał już zarysy postaci i przedmiotów, powoli ruszył, więc dalej. Podobnie jak mężczyźni na górze, kobiety siedziały na deskach ze stężałymi twarzami, trzymały w objęciach swoje dzieci i mokły, gdyż deszczówka wpadała nie tylko przez luk, ale wpływała także przez szpary między deskami pokładu.

- Spójrz, Hyldo, musisz te worki przekładać, bo zaraz będą leżały w wodzie - wskazał na worki z ziarnem pod siew, które zsunęły się ze swoich miejsc na sporych beczkach z zapasami. Hylda niemrawo kiwnęła głową, zacisnęła zęby i chwiejnie stanęła na nogi. Kilka innych kobiet poszło za jej przykładem.

- Postaraj się je lepiej zabezpieczyć - ostrzegł. - Wiem, że sztorm działa

paralizująco, ale musicie się wziąć w garść i strzec ładunku. Gdy dopłyniemy, będziemy tego potrzebowali, żeby mieć, co siać, prawda?

- Poważnie wciąż w to wierzysz? - zapytała Inga. Na czole miała głęboką, krwawą szramę, a jej oczy były rozszerzone trwogą.

Mrugnął do niej.

- Oczywiście, że wierzę. Dalej, Ingo! To przecież tylko trochę wiatru!

Uśmiechnęła się niemrawo. Zdradziecki boczny podmuch niebezpiecznie przechylił statek, aż niektóre kobiety krzyknęły ze zgrozy, a Inge przewróciło. Zaraz jednak znowu wstała, zignorowała wyciągniętą pomocną dłoń Candamira i sięgnęła po najbliższy worek ziarna.

Candamir odwrócił się, i przekraczając, czasem niepewnie, ludzi i zwierzęta, poszedł zajrzeć do swoich koni. Martwił się o nie bardziej niż o wytrzymałe owce i dwunogich podróżnych. Klacz leżała w lodowatej wodzie, pociła się i śmiertelnie przerażona przewracała oczami. Candamir naprawdę nie wiedział, co by się stało, gdyby się teraz ożrebiła. Jeszcze bardziej niespokojny był młody ogier, który znowu zaczął walczyć, chcąc uwolnić się z więzów. Candamir zatrzymał się przy koniach przez chwilę, aby do nich uspokajająco zagadać. Słyszając znajomy głos, postawiły uszy, strach jednak pozostał.

Candamir dostrzegł obok siebie jakiś cień i podniósł głowę.

- Wspaniałe zwierzęta - powiedziała Siglind i położyła klaczy dłoń na chrapach. - Ale nie wiem, jak długo jeszcze wytrwają.

Zatroskany Candamir przytaknął.

- Nie miałem serca zostawiać ich w Elasundzie. Ale teraz widzę, że zabranie ich w tę podróż było nieprzemyślane i okrutne.

Siglind zdziwiona uniosła głowę, jakby to szczere wyznanie wydało się jej dziwne.

- Czyż nie dotyczy ich to samo, co wszystkich? Jeżeli dotrą żywe do celu, będą miały lepsze życie niż przedtem.

- Tylko, że one nie miały wyboru - odparł ze skruszonym uśmiechem. „Tak samo zresztą, jak kobiety, dzieci i niewolnicy” - przeszło mu przez głowę, ale Siglind tylko wzruszyła ramionami.

Candamir przyglądał jej się ukradkiem. Jej blond włosy były mokre i zaplotła je w warkocz, żeby nie przeszkadzały. Także kosztowna czerwona suknia ociekała wodą, ale Siglind sprawiała wrażenie dziwnie nieporuszonej całą grozą i niewygodami, które powodował sztorm. Candamir pomyślał, że być może jest to opanowanie, którego się uczy, gdy się jest królową. W każdym razie jej spokój najwidoczniej nie był udawany, gdyż wydawał się udzielać koniom, których nigdy nie da się omamić. Klacz ocierała głowę o ramię Siglind i nie dyszała już tak gwałtownie.

- Zostałabyś przy nich? - poprosił Candamir. - Dobrze na nie wpływasz.

Siglind chętnie się zgodziła i Candamir, nieco pocieszony, zaczął drogę powrotną przez ładownię. Dwukrotnie upadł, zanim dotarł do swojej siostry.

- Zdziwiająca, że jeszcze nie połamałeś wszystkich kości - zauważyła. W ramionach trzymała jakieś dziecko i po chwili Candamir rozpoznał, że był to syn Osmunda

- Roryk.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

Asta rzuciła mu zdziwione spojrzenie, potem skinęła jednak głową i wskazała na Roryka, który wpatrywał się w nią rozszerzonymi oczyma. Były to oczy Osmunda.

- Jego mamka czuje się tak podle, że nie może się nim zajmować. Musimy pomyśleć, jak go nakarmimy Mnie mleka starcza z ledwością dla Hergildy.

- Choroba morska w końcu wszystkim przejdzie - odrzekł Candamir z przekonaniem.

„Tak, tylko, że u niektórych trwa to już całe tygodnie” - chciała wtrącić siostra, ale nie powiedziała nic. Zamiast tego zanurzyła kubek, który trzymała w wolnej ręce, w beczce podwójnie i potrójnie umocowanej linami, po czym mu podała.

- Masz. Pij szybko, zanim wszystko się wyleje.

Z wdzięcznością przyjął wodę, zanim jednak wypił, połowę odlał z powrotem do beczki. Ze wszystkich dóbr na pokładzie istotnych dla przeżycia najcenniejsza była słodka woda i właśnie jej było najmniej. Zamknął pokrywę beczki i zabezpieczył ją.

- Niech nigdy nie stoi otwarta.

- Przecież jest w ponad połowie pusta. Nic nie może się z niej wylać.

- Nie licz na to.

Spojrzała na niego badawczo, jakby pytała, czy może on wie coś na temat tego sztormu, o czym jej nie mówi. Położyła małą dłoń na głowie, jakby chciała go obronić.

- Poziom wody, która się tu przedziera, stale rośnie. Wszyscy siedzą w wilgoci i prawdopodobnie się pochorują.

- Nic się nie da zmienić. Masz rację, na pewno nabieramy wody. I tak jesteśmy przeciążeni, a woda jest ciężka. Przyślę tu na dół kogoś, żeby wam pomógł. Ustawicie się w łańcuch.

Skinęła głową. Candamir chciał się odwrócić, ale przytrzymała go.

- Candamirze...

- Co?

- Gdybyś miał jeszcze chwilę, bądź tak dobry i zajrzyj do Gundy  
Zmarszczył czoło z wyrazem niechęci.

- Do Gundy? Co z nią?

- Upadła, kiedy statek przechylił się na burtę, a na nią spadła nieumocowana beczka. Teraz Gunda krwawi.

- O, potężny Tyrze...! - mruknął Candamir. - Gdzie ona jest?

Asta wskazała miejsce i Candamir bez słowa ruszył we wskazanym kierunku.

Gunda leżała na dwóch przemoczonych kocach i nawet w półmroku było widać, że woda, której było po kostki, w okolicy jej brzucha jest zabarwiona czerwienią. Żona kowala siedziała u jej boku i - zdając się nie zważać ani na potężne kołysanie statku, ani na wodę czy chłód - starała się bez większego powodzenia wlać w Gundę zawartość kubka.

Candamir ukląkł przy drugim boku Gundy i wziął ją za rękę.

- Dziecko, Candamirze. Tak bardzo się boję, że je stracę. Chciałabym ci dać syna.

Wymienił spojrzenia z Asi, która powoli wzruszyła ramionami.

- Trzeba czekać. Ale nie wygląda to dobrze.

Candamir położył wolną dłoń na twarzy Gundy i kciukiem otarł jej łzy. Statek znów się przechylił i o mały włos rzuciłoby go na nią. W ostatniej chwili chwycił się wystającej bakburty

- Znikaj stąd, zanim na nią upadniesz i doprowadzisz do ostatecznej katastrofy -

zawołała Asi. - Idź, Candamirze! Zrobię, co w mojej mocy.

Wstał.

- Musimy znaleźć dla niej jakieś suche miejsce - powiedział niepewnie. Nie było żadnych naprawdę suchych miejsc.

Asi pokręciła przecząco głową.

- Zimna woda powstrzyma krwawienie. Na jakiś czas.

Candamir jeszcze raz pogłaskał Gundę po głowie.

- Trzymaj się. Będziesz miała jeszcze tuzin dzieci, zobaczysz.

Zamknęła oczy i kiwnęła głową.

Strapiiony i zrezygnowany Candamir ruszył ku wyjściu. Po drodze wszystkiego dotykał, sprawdzając umocowanie ładunku, wyjaśniał także kobietom i starszym dzieciom, że mają nabierać wodę z dna statku do kubków i dzbanków, po czym przelewać ją do wiadra, które będzie podawane na pokład przez ludzi ustawionych w łańcuch.

Znalazłszy się znów na górze, zwolnił Osmunda przy sterze.

- Asta zajmuje się twoim synem. Jest zdrowy Musimy jednak zacząć czerpać morską wodę z ładowni, bo nabierzemy jej za dużo.

Osmund przytaknął i wydał komendy ludziom.

- Dziesięciu z was zejdzie ze mną pod pokład wyciągać wodę. Zjedzcie też coś, jeśli zdołacie. Za godzinę zmieni nas kolejna dziesiątka ludzi.

Hacon, który nie cierpiał na chorobę morską, ucieszył się, że dostał jakieś zadanie. Ochoczo skoczył na nogi i w tej samej chwili statek tak mocno przechylił się na burtę, że nawet Osmund sądził, że to już koniec, a Hacon z głośnym okrzykiem przerażenia wypadł za burtę.

Candamir złamał własne prawo, porzucił ster i skoczył do burty Osmund i Sakson już trzymali linę, którą Hacon był ubezpieczony Była tak mocno naciągnięta, że pryskały z niej małe fontanny wody.

- Ostrożnie - głos Candamira był ochrypły ze strachu. - Bardzo ostrożnie. Lina gotowa się urwać jak wełniana nitka...

Wychylił się za burtę nierozsądnie daleko. Nie dostrzegł brata. Chwycił linę w obie dłonie i zawahał się. „Zostaw - przeleciał mu przez głowę natarczywy głos. - Niech

tonie. Jeżeli go wyciągniesz, zamieni się w dwunastogłowego węża morskiego i cię unicestwi. Zmiażdży cię i znikniesz w czarnej gardzieli...”. Myśl była równie absurdalna, co przemożna. Candamir na chwilę poluzował chwyt i o mały włos lina wyslizgnęłaby mu się z rąk.

Osmund jedną ręką trzymał Candamira za przedramię, a drugą uczeplił się liny ratowniczej. Zapytał spokojnie:

- Na co czekasz?

Austin modlił się do swojego Boga i wszystkich świętych, których imiona przyszyły mu do głowy, ale zawołał poprzez modły:

- Pospiesz się, panie! On utonie!

Candamir potrząsnął głową, aby uwolnić się od obehwładniającej wizji. Po czym zebrał się w sobie. Lewą nogę unieruchomił pod ławką wioślarską i zaczął kawałek po kawałku wyciągać linę, a kiedy przetoczyła się kolejna ogromna fala i statek znowu się przechylił, dostrzegli przez chwilę na powierzchni ciemną czuprynę Hacona. Ani śladu morskiego potwora.

- Chodź tu i chwyć to! - wrzasnął Candamir przez ramię.

Austin doczołgał się do niego na czworakach, chwycił linę i pociągnął z całej siły, jakiej dodał mu strach. Osmund trzymał teraz w kurczowym uścisku nogi Candamira, aby kolejna fala nie zmyła z pokładu także i jego.

Wyciągnęli nad wodę już górną część ciała Hacona. Candamir wychylił się tak daleko, jak bardzo pozwolił mu Osmund; z wściekłym warczeniem wyciągnął lewą rękę i zdołał pochwycić kaftan Hacona za wycięcie na głowę.

- Ciągnij, Saksonie! - rozkazał, a niewolnik zaparł się nogami o burtę i ciągnął.

Wreszcie Candamir mógł objąć tors brata i wyciągnąć go z powrotem przez burtę.

Dyszząc ciężko i ociekając wodą, leżeli na pokładzie. Candamir trzymał Hacona w ramionach i lewą dłonią gładził go po głowie. Nieprzerwana ulewa lała się na nich z taką gwałtownością, że każdą kroplę czuli jak uderzenie ostrym kamykiem. Hacon zamknął oczy i nie ruszał się.

- Żyje? - zapytał Osmund. Musiał wrzeszczeć. Niepojęte, jak głośno morze potrafi ryczeć.

- Nie mam pojęcia - wydyszał Candamir. - Chwyć ster, Osmundzie.

Osmund skinął głową i odszedł.

Candamir zacisnął powieki. „Zostawcie mi go - błagał bogów. - Bierzcie, co chcecie, weźcie statek, ale zostawcie mi mojego brata...”.

Ciało Hacona nagle się wygięło. Chłopiec krztusząc się, zakaszłał i - zanim jeszcze otworzył oczy - zaczął w panice szarpać się na wszystkie strony. Candamir przytrzymał go mocniej.

- Spokojnie - powiedział. - Jest dobrze. Wszystko dobrze, Haconie. Jesteś bezpieczny.

Hacon przestał stawiać opór. Przez chwilę patrzył na Candamira oczami rozszerzonymi ze strachu, po czym ukrył twarz na jego piersi. Trwali tak przez jakiś czas. W końcu Candamir wyprostował się i ujął twarz chłopca w obie dłonie.

- Wszystko w porządku?

Hacon powoli skinął głową.

- Ja... Byłem pewien, że zginę. Było tak, jakby mnie połknął jakiś morski potwór.

Candamira przeszył dreszcz. Nie wiedział, co powiedzieć. Nie często się zdarzało, żeby zawiodła go pewność siebie, ale strach po prostu nie chciał zniknąć i Candamir po raz pierwszy zadał sobie pytanie, czy aby nie żeglują wszyscy ku zgubie, czy nie było lepiej pozostać w Elasundzie i zadowolić się tym, czym bogowie ich tam obdarowali.

Osiem dni i nocy sztorm prowadził z nimi swoją okrutną grę. Candamir pamiętał później z tego okresu jedynie strzępy. Były to mroczne dni i noce. Wszyscy na pokładzie „Sokoła” i na pozostałych statkach byli wciąż przemoczeni do nitki i wykończeni, marzli i cierpieli pragnienie, gdyż słodką wodę trzeba było surowo racjonować. Candamir czuł, że to go beznadziejnie przerasta. Wszyscy na jego pokładzie zdawali się patrzeć na niego z oczekiwaniem i wyrzutem, jakby to on miał im powiedzieć, jak zaspokoić pragnienie, zapanować nad wyczerpaniem czy dawać sobie radę ze śmiertelnym przerażeniem. Cierpiał nie mniej od nich, a z dnia na dzień coraz bardziej wątpił w sens całego przedsięwzięcia. Później Candamir często myślał, że bez Osmunda, który nigdy tak bardzo jak on nie liczył na przychylność bogów, prawdopodobnie nie przetrwałby. Spokój i twarda stanowczość przyjaciela zawstydzają go tak, że uruchomił w sobie

rezerwy, których istnienia wcale nie przeczuwał. Mimo to próbował kilka razy przeciąć swoją linę i pozwolić się zmyć jednej z tych ogromnych fal, żeby wszystko się raz skończyło.

Na „Sokole” nikt nie wypadł jednak za burtę ani nie zginął w żaden inny sposób. Kiedy piątego dnia maszt w końcu upadł, trafił w jednego z niewolników Osmunda i złamał mu nogę. Zraniony ukradł nóż i próbował sobie poderżnąć gardło, aby uciec od bólu, ale Osmund był szybszy. Mimo wściekłego morza udało mu się w końcu nastawić złamanie i unieruchomić nogę.

Wszyscy na pokładzie mieli zapadłe policzki i byli bladzi. Gdy upadł maszt, większość sądziła, że to koniec, że są sami i zdani na łaskę ryczącego morza. Złamanie masztu nie uszło jednak uwagi Olafa, który dał w końcu flocie uzgodniony sygnał do zwinięcia żagli. W środku ósmej nocy sztorm po prostu się uspokoił.

Cisza aż dzwoniła w uszach. Mężczyźni na pokładzie zastygli w bezruchu. Sporo czasu upłynęło, zanim pierwszy z nich odważył się podnieść głowę. Noc była wciąż tak ciemna, że nie było widać wyciągniętej przed siebie dłoni, nadal padał też deszcz, ale po chwili czarna pokrywa chmur się rozstała. Pojawił się księżyc w trzeciej kwadrze i kilka białych gwiazd tu i ówdzie. Ludzie podnieśli się z niedowierzaniem, wielu podeszło do burty i badawczo spoglądało na morze. Było nadal wzburzone, a niewielkie zdradzieckie fale wstrząsały statkiem, ale wiatr całkowicie ucichł i w porównaniu z rykiem ostatnich dni i nocy jego wstrząsy zdawały się łagodnym kołysaniem.

- Czy to znaczy, że już po wszystkim? - zapytał Hacon. W jego głosie było słychać zarówno oszołomienie, jak i podejrzliwość. Nie ufał temu nagłemu spokojowi.

Nikt mu nie odpowiedział. Następne kobiety i dzieci wychodziły na pokład, z wahaniem, niektóre z obawą, i głęboko oddychały świeżym nocnym powietrzem. Mężczyźni i kobiety, którzy prawie się nie widywali w ciągu ostatnich ośmiu dni, z ulgą padli sobie w ramiona. Osmund siedział oparty plecami o burtę, trzymał na kolanach syna i nie chciał go puścić. Tjorv i Nori, parobkowie Candamira, przynieśli Gundę z ładowni na pokład. Candamir podeszedł do niej i z ulgą stwierdził, że ani nie straciła dziecka, ani nie gorączkuje. Spała wyczerpana i nie obudziła się nawet wtedy, gdy



niewolnicy ostrożnie układali ją na pokładzie, ale nie wyglądała na chorą. Candamir usiadł przy niej, skrzyżował ręce na piersi i przyjrzał się jej zaokrąglonemu ciału. Wszystko to działo się w niemal zupełnej ciszy. Uroczyste milczenie trwało także wtedy, gdy ludzie zajmowali przydzielone sobie miejsca do spania, wszyscy obawiali się, bowiem, że gdy zaczną głośno rozmawiać, prysnie czar nagłego spokoju. Wkrótce wyczerpani do granic możliwości podróżni zasnęli.

Obudziło ich blad różowe światło wschodzącego słońca. Słone powietrze było ciche, a spokojne morze miało barwę soczystego błękitu. Ludzie wstali ze swoich wilgotnych pościeli i patrzyli na morze. Daleko, ale wyraźnie, dostrzegli przed sobą „Morskiego Smoka” i „Wilka Morskiego”. Po stronie sterburty odkryli kolejne dwa punkciki, które też zapewne były dwoma statkami. Poza tym widzieli jedynie ogromne błękitne morze, od horyzontu do horyzontu. Jak okiem sięgnąć, nie było jednak widać żadnego lądu.

- Jest pięć - mruknął Osmund. - Więcej, niż ośmielałem się mieć nadzieję.

Candamir wzruszył ramionami.

- Kto wie, może pozostałe statki także są gdzieś w pobliżu.

- Kiedy wszyscy coś zjedzą, powinniśmy założyć wiosła i spróbować dogonić „Smoka”. Musimy się naradzić.

- Och, rzeczywiście jestem ciekaw, co teraz - wtrącił kwaśno Siward.

Osmund rzucił mu niechętnie spojrzenie, ale Siward, którego wątpliwości na temat tej podróży nigdy nie były większe niż właśnie teraz, ciągnął nieporuszony:

- Możemy się naradzać, aż nam tchu zabraknie, ale nie zmieni to stanu rzeczy.

Sztorm minął, a krainy Olafa nie odnaleźliśmy

Cięzka cisza nastąpiła po tym oczywistym stwierdzeniu. Potem dwoje dzieci rozplakało się i wkrótce inne poszły za ich przykładem.

- Wspaniale, Siwardzie - warknął Candamir. - Mam nadzieję, że jesteś zadowolony.

Matki i ojcowie starali się uspokoić swoje pociechy, a ich twarze wyglądały tak, jakby sami mieli wybuchnąć lamentem. Osmund uznał, że najrozsądniej będzie znaleźć

każdemu jakieś sensowne zajęcie, a nie było to trudne. Trzeba było zbadać podstawę masztu i nadstępkę oraz - w miarę możliwości - naprawić je. Rozerwanego żagla nie można już było uratować, trzeba było założyć nowy. Do zrobienia było, więc tysiąc różnych rzeczy.

Candamir podszedł do Siglind, która stała przy burcie z rękami na relingu i spoglądała w kierunku południa.

- Nic ci się nie stało? - zapytał.

Odwróciła głowę i bez uśmiechu przytaknęła.

- Twoje konie wciąż żyją. Ale ledwie, ledwie. Koniecznie trzeba im światła, muszą się poruszać i wyschnąć.

- Wiem. Gdy tylko dogonimy „Smoka” i „Wilka” i zepniemy statki. Dzięki za opiekę.

Machnęła ręką.

- Nic nie było do roboty. One są po prostu wytrzymałe. Zdumiewające, zwłaszcza po srogiej zimie, jaką mieliście.

Candamir postanowił nie przyznawać się, że nieraz głodował, aby przede wszystkim klacz dostała ten czy inny lepszy kąsek, i ograniczył się do wzruszenia ramionami.

- A owce?

Siglind powoli pokręciła głową.

- Kilka zdechło.

- W takim razie trzeba padlinę jak najszybciej wyrzucić za burtę.

Kiedy tylko słońce zaczęło się wznosić na czystym błękitnie nieba, zrobiło się gorąco.

Osmund zdjął przez głowę kaftan, usiadł na skórze i oddał się promieniom słońca. To po prostu wspaniałe uczucie - wreszcie być znowu suchym. Tam, gdzie jego skóra nie była pokryta czerwoną wysypką, miała chorobliwie szary odcień i sprawiała wrażenie dziwnie gąbczastej. Kiedy pozostali mężczyźni poszli za jego przykładem, zobaczył, że u innych jest tak samo. „Za dużo soli i za dużo wilgoci” - pomyślał.

Po skromnym posiłku złożonym z suszonego mięsa i łyku wody dla każdego wzięli się za wiosła, Candamir ostrzegł jednak ludzi, żeby się nie przemęczali, bo niezależnie od tego, jak wielkie będzie ich pragnienie, nikt nie może liczyć na więcej wody niż pół kubka dopiero wieczorem. Nie po raz pierwszy przestrzegł też wszystkich stanowczo przed desperackimi próbami picia słonej wody

Ostrożnie, z zaciętą determinacją mężczyźni usiedli do wiosł. Nie było śmiechów ani śpiewu. Także kobiety i dzieci były spokojne i ciche. Wszyscy czuli ulgę, że wymknęli się sztormowi, choć nieskończony bezmiar morza przerażał ich. Nie mieli najmniejszego pojęcia, gdzie się znajdują. Możliwe, że w pewną ciemną sztormową noc minęli już krainę Olafa, nawet jej nie zauważywszy. Niektórzy bali się, że być może żeglują teraz prosto na skraj świata i nawet bogowie nie wiedzą, jakie tam czekają na nich okropności.

Około południa dwa widoczne przed nimi punkciki przekształciły się w sterburty dwóch statków i stopniowo w polu widzenia znalazły się także pozostałe.

- Bogowie nas nie opuścili - powiedział cicho Candamir do Osmunda. - Wszystkie statki przetrwały sztorm. Wszystkie się odnalazły. Niemały cud, powiedziałbym.

Osmund przytaknął, ale nie powiedział głośno, że nie czyni wielkiej różnicy, czy umrą z pragnienia wszyscy razem, czy też każdy oddzielnie.

Niebawem dogonili „Wilka” i „Smoka”. Spięli statki, aby poczekać na pozostałych, którzy przyplłynęli w ciągu popołudnia. W końcu mała flota przypominała drewnianą wysepkę kołyszącą się i dryfującą po spokojnym morzu. Ludzie chodzili od statku do statku i opowiadali sobie o przeżyciach podczas sztormu. Zginęło czternaście osób - zostały zmyte z pokładu lub zmarły z wyczerpania. Na „Bieliku” wybuchła gorączka, która powaliła prawie wszystkich na pokładzie i zabiła pół tuzina, wyłącznie dzieci. Wszyscy byli bezradni, wynędzniali i spragnieni. To na tym statku panowała największa rozpacz.

Osmund i Candamir razem z Siwardem i Haraldem udali się na „Morskiego Smoka”, aby się naradzić. Statek Olafa, niegdyś tak wspaniały, wyglądał na równie sponiewierany jak pozostałe. Brakowało dumnej smoczej głowy na stwie rufowej.

- Straciliśmy ją trzeciej nocy - oznajmił Jared. Oczy miał przekrwione i mówił

dziwnie wolno.

- Chory jesteś? - zapytał Osmund kuzyna.

Jared pokręcił głową.

- Tylko zmęczony

- Gdzie twój ojciec? - wrzasnął Siward.

Zabrzmiało to tak opryskliwie, jakby już wcześniej pytał i nie otrzymał odpowiedzi. Jared wskazał brodą mały namiot postawiony na dziobie.

- Śpi. Zdaje się, że śpi po raz pierwszy od ośmiu dni.

- Obudź go, zatem. Mamy do niego kilka pilnych pytań - oświadczył Siward skwaszony

Jared spojrzał na niego z bólem.

- To nie jego wina. Nikogo nie zmuszał do żeglugi z nim. - Mógł jeszcze dodać, że poza nim i jego rodzeństwem, ale zachował to dla siebie.

Siward prychnął pogardliwie, także szkutnik Berse myślał inaczej.

- Zwiódł nas tymi swoimi bajkami o żywej wyspie! Namówił nas na tę podróż w nieznane i co teraz? - Berse rozłożył ramiona i wskazał leżące po obu stronach puste, martwe morze. - Wszyscy zdechniemy z tego powodu, żeśmy go posłuchali! On...

- Dość - szorstko weszła mu w słowo stara Brygida. - Taka była wola bogów.

Szkutnik jednak nie dał się przekonać. Z podniesionym palcem wskazującym zrobił krok w jej kierunku.

- To ty tak twierdzisz.

- Tak mówi wyrocznia - rzucił Osmund.

Berse nie zwrócił na niego uwagi i dalej mówił odwrócony ku Brygidzie:

- Może i tak, może bogowie chcieli, abyśmy się wybrali w tę podróż. Zdaje się jednak, że nie chcą, żebyśmy także dotarli do tamtego obcego lądu.

- Całkiem możliwe - przyznała stara spokojnie. - Ale tego jeszcze nie wiemy. Zachowajcie sobie wasze lamenty na czas naszej zguby, wy niedojdy. - A ponieważ jej ulubionym zwyczajem było dolewać oliwy do ognia, dodała: - Z pewnością Durin nie byłby dziś zbyt dumny ze swojego wnuka.

Szkutnik na chwilę zacisnął powieki. Widać było, jak wznosi się i opada jego beczkowaty tors.

- Ansgar... Mój syn. Utonął - wykrztusił cicho.

Nikt nie wiedział, co powiedzieć. Wszyscy opuścili głowy, aby uszanować zmarłego i żałobę ojca. Candamir zastanawiał się, czy także Berse pośród szalejącego sztormu klęczał przy burcie. Czy trzymał w dłoniach cienką linę ubezpieczającą syna i skamieniały ze strachu przed ryczącym morzem kierował błagania do bogów?

Kiedy Berse doszedł do siebie, cicho mówił dalej:

- Nie mamy już na statku kropli słodkiej wody Jesteśmy u kresu. Chcę, żeby Olaf się przede mną wytłumaczył.

- Ale jaki z tego pożytek? - spokojnie zapytał Osmund. - To, co może nam powiedzieć Olaf, ani trochę nie zmieni naszego położenia. Powinniśmy raczej spróbować...

- Czy ktoś cię o coś pyta? - przerwał mu Haflad, jego teść. - Olaf jest twoim stryjem i karmił cię przez zimę. Ty byś mu lizał trzewiki nawet wtedy, gdyby nas wszystkich zawiódł na skraj świata! Jeśli chcesz wiedzieć...

Reszty Osmund nie musiał wysłuchiwać, gdyż nagle za nimi odezwał się spokojny głos:

- Masz mi coś do powiedzenia, smolarzu? A może ty, skutniku?

Wszyscy się odwrócili. Za nimi stał Olaf, jakby wyrósł spod ziemi. Miał ciemne cienie pod oczami, a jego odzienie wyglądało na nieco bardziej wytarte i zniszczone niż przed podróżą. Był jednak spokojny, w jego postawie jak zwykle było widać pewną pychę i zdawał się całkowicie panować nad sytuacją.

- A mam - odparł Haflad. - Mam ci coś do powiedzenia: doprowadziłeś nas do zguby! Byliśmy głupi, wierząc w twoje obietnice. A swoją głupotę wszyscy przyplacimy życiem.

Olafa to nie poruszyło.

- Niczego wam nie obiecywałem poza szansą na znalezienie nowej ojczyzny. Cała reszta jest w rękach bogów.

- Teraz bogowie cię opuścili - stwierdził Berse.

Każdego, kto to usłyszał, przeszedł dreszcz. Słowa te zabrzmiały pewnie i stanowczo. Jak wyrok.

Olaf gniewnie zmarszczył czoło i zdawało się, że jego błękitne oczy pociemniały

o jeden ton.

- Może ciebie, jeżeli w ogóle kiedyś ci sprzyjali, szkutniku. Z mojego doświadczenia wynika, że bogowie pomagają tym, którzy sami sobie potrafią pomóc. Sztorm uspokoił się za wcześnie. Dlatego musimy po tej flaucie powiosłować i trafić na następny sztorm. Proponuję odpocząć jeszcze dwie godziny, po czym wziąć się do wiosł.

Szkutnik gwałtownie podniósł ręce w geście wyrażającym zarówno złość, jak i rozpacz.

- Nie słyszałeś, co mówiłem? Moi ludzie nie są w stanie wiosłować. Oni umierają z pragnienia!

Nie spuszczać z niego wzroku, Olaf powiedział:

- Jared.

Syn podszedł do niego.

- Tak, ojcze?

- Rozdziel nasze zapasy słodkiej wody. „Wilk Morski” i inne statki, na których nie ma już wody, otrzymają równy przydział.

- To masz jeszcze wodę? - zdziwił się Candamir.

- Pewnie - odparł doświadczony żeglarz. - Podczas całego sztormu łapaliśmy deszczówkę w płótno namiotowe i zbieraliśmy do beczek. Dwie są pełne po brzegi. - Teraz zwrócił się znowu do szkutnika i smolarza: - Czy bogowie mnie opuścili, czy też nie, to się okaże, ale ani dziś, ani jutro nikt z nas nie umrze z pragnienia, to pewne.

Morze było gładkie jak lustro. I tak jak lustro odbijało błyszczące promienie słoneczne, które paliły, padając z błękitnego nieba.

- Nie wiedziałem, że w ogóle bywają takie upały - mruknął Hacon i rozwiązał tasiemkę przy wycięciu swojego kaftana, żeby go zdjąć. Candamir, który stał przy sterze, nie pozwolił mu jednak na to.

- Zostaw, bo słońce spali ci skórę.

Hacon skrzywił się buntowniczo, ale się nie sprzeciwił. Usiadł z powrotem na ławce wiosłarskiej, gdzie brat mógł go mieć na oku. Wiosłowanie nie sprawiało mu już

trudności, choć męczyło go pragnienie. Mimo wody otrzymanej od Olafa nadal wydzielano minimalne racje, bo nikt nie był w stanie przewidzieć, na jak długo musi jej wystarczyć. Austin dał Haconowi do ssania mały, okrągły kamyk. Chłopcu nie przyniosło to szczególnej ulgi, ale pomyślał, że bez kamyka pragnienie byłoby pewnie jeszcze gorsze.

Osmund ze swoimi parobkami i kilkoma innymi mężczyznami był pod pokładem, próbując, choć prowizorycznie naprawić podstawę masztu. Rozlegał się głuchy, ale podnoszący na duchu stukot młotków o drewno. Wobec zupełnego braku wiatru Candamir zarządził, żeby wyprowadzono pozostałe przy życiu owce i jego konie na kilka godzin na pokład, aby się poruszały i mogły znów popatrzeć na słońce. Początkowo zwierzęta przedstawiały żalosny widok. Niektóre owce nie były w stanie samodzielnie wejść na trap i zataczały się, jakby zapomniały, jak się chodzi. Po chwili jednak pokład przypominał pastwisko w środku lata i Sakson zastanawiał się, czy opowiadał już Haconowi historię o Noem i arce.

Inga z kilkoma innymi dziewczętami i chłopcami napoiła zwierzęta - na wpół żywe z pragnienia i wychudzone. Każde dostało pół kubka wody.

Siglind usiadła na deskach na rufie, podkulone kolana oplotła rękami i nie dała się wciągnąć w ogólną ruchliwość. Wydawała się całkowicie zadowolona, po prostu nic nie robiąc. Patrząc przymrużonymi oczyma na połyskującą powierzchnię morza, zapytała Candamira:

- Znasz się na słońcu w południowych regionach?

Wzruszył ramionami.

- Żeglowałem kiedyś z ojcem do kraju zwanego Akwitania, który latem jest tak brązowy i wysuszony, że wydaje się, jakby tam nigdy nic nie rosło. Cały czas wiał wiatr i dlatego nie zauważało się, jak słońce przypieka. Kuzyn mojego ojca miał tak ciężkie oparzenia, że skóra mu zeszała. Potem dostał gorączki i zmarł.

Siglind kiwnęła głową.

- Akwitania... - mruknęła niemal z rozmarzeniem. - Kupiłam kiedyś jedwab, który stamtąd pochodził.

Wysuszone gardło Candamira zrobiło się jeszcze bardziej suche, gdy wyobraził ją sobie w jedwabnej sukni. W ostatniej chwili powstrzymał się przed pytaniem o kolor

tamtęgo jedwabiu. Zamiast tego powiedział:

- My też kupiliśmy tam jedwab. I wino. Głównie wymieniając skóry. Tamci ludzie mają fioła na punkcie futer gronostajowych i bobrowych. Dziwne, bo przecież tam jest tak ciepło. - Tamten jedwab i wino sprzedali wtedy w dużych portach w trakcie drogi powrotnej.

- Gdzie jeszcze bywałeś? - zapytała z zainteresowaniem.

Pokręcił głową.

- To była moja jedyna daleka podróż. Zazwyczaj ojciec zostawiał mnie w domu, abym zajmował się gospodarstwem - powiedział lekko, starając się robić minę, która nic nie wyraża.

Siglind przejrzała go jednak.

- Wyobrażam sobie, że nie było ci to w smak.

Na twarz Candamira zakradł się ledwie dostrzegalny uśmiech tęsknoty. Od kiedy osiągnął odpowiedni wiek, każdej wiosny chciał jechać z ojcem w dalekie strony i kłócić się z nim na ten temat. Trwało to często całymi dniami, ale zawsze kończyło się w ten sam sposób.

- Mój ojciec miał własne, skuteczne metody, aby mnie przekonać o mądrości swoich decyzji - zauważył sucho.

Siglind odwzajemniła uśmiech.

- Jak wszyscy ojcowie.

- Albo bracia - mruknął niewyraźnie Hacon. Candamir spojrzał na niego ostro.

- Że jak?

- Och nic, zupełnie nic - zapewnił Hacon z łatwą do przejrzania niewinną miną i Candamirowi przyszło na myśl, że z jego braciszka, niegdyś tak potulnego, wyrósł twardy chłop.

Wczesnym popołudniem postawiono na powrót maszt „Sokoła”, ale niewiele im to dało, gdyż wciąż było bezwietrznie. Statek poruszał się jedynie dzięki pracy ośmiu par wiosł, przy czym Candamir kazał, co dwie godziny zmieniać wiosłarzy, ponieważ była to naprawdę ciężka harówka, w dodatku w upale i bez dostatecznej ilości wody do picia.



Mieli wrażenie, że poruszają się w ślimaczym tempie, a kiedy słońce znajdowało się już daleko na zachodzie, morze było tak samo puste jak rankiem. Niebo zaciągnęło się chmurami, a powietrze zrobiło się wilgotne i lepkie. W końcu zaczął padać cichy, łagodny deszcz. Idąc za przykładem Olafa, rozciągnęli największe płótno namiotowe, jakie mieli, aby nałapać wody i przelać ją do beczki. Wiele jednak nie zgromadzili, bo deszcz osłabł, a w końcu całkiem ustał.

Siward rozglądał się w dal we wszystkich kierunkach i robił się coraz bardziej zły i mrukliwy. Jego młodsze dzieci - Inga i Wiland - rozsądnie schodziły mu z drogi, ale jego nowa żona, niewiele starsza od Ingi, nie знаła jeszcze tych ostrzegawczych sygnałów na tyle dobrze, aby je zauważyć, dostało się jej, więc kilka kuksańców, usłyszała też szorstkie warknięcie, gdy zwróciła się z do męża z troskliwym zapytaniem.

Austin wiedział, że to samo zdarzało się w jego ojczyźnie, ale jest to oznaka braku opanowania, gdy się publicznie pokazuje niesnaski małżeńskie. Chociaż, jak z westchnieniem musiał stwierdzić Sakson, od czasu, gdy wyruszyli w podróż, nie było właściwie niczego, co nie działałoby się publicznie. Mimo to Austin uznał wybuch Siwarda za niebezpieczny ze względu na ogólny nastrój.

- To jest nas już dwóch - odpowiedział cicho Candamir, kiedy niewolnik zwierzył mu się, że ma już dość. - Na to jednak absolutnie nic nie można poradzić. - Spojrzał w kierunku Siwarda, który rozmawiał ze swoim starszym synem i zięciem. Kiedy do grupki dołączył kowal, Candamirowi nieco ulżyło. - Harald wprowadzi tam trochę rozsądku - powiedział z przekonaniem.

- Przynajmniej spróbuje - stwierdził Sakson.

Candamir wzruszył ramionami.

- Siward zawsze był pełen złości, a z wiekiem stał się do tego jeszcze tchórzliwy. Duża liczba podróżujących ma jednak swój sens. Tylko głupiec mógł sądzić, że ta podróż upłynie bez przeszkód i strat.

Sakson przez chwilę milczał, po czym zapytał:

- Naprawdę uważasz, że Olaf jest tak pewny siebie, jak to okazuje? Myślisz, że on rzeczywiście jeszcze wie, gdzie się znajdujemy?

- Nie i nie - odparł Candamir chłodno.

Kiedy o zmierzchu zrobili postój, Siward i jego ludzie natychmiast udali się na pokład „Wilka Morskiego”. Candamir i Osmund zwołali kilku niewolników i sprowadzili zwierzęta z powrotem pod pokład. Klacz sprawiała ogromne trudności. Gdy zauważyła, dokąd ma iść, zrobiła się oporna, położyła uszy i zaczęła się pocić. Nori ciągnął za jeden koniec liny, aby ją opanować, a wtedy Candamir wyrwał mu linę i tak mocno szarpnął parobka, że ten aż krzyknął. Candamir nie zwrócił na niego uwagi i uspokajająco przemawiał do przerażonego zwierzęcia, aż spokojnie zdołał z nim zejść po podeście na dół. Z klaczą i innymi zwierzętami pozostał pod pokładem dłużej, niż to było konieczne. Wstydział się swojego braku opanowania.

- Chodź na górę, Candamirze - zachęcił go Osmund, który doglądał pozostałego ładunku. - Upał na pewno zaraz przejdzie.

- Nie jestem lepszy niż Siward i Berse - brzmiała odpowiedź. - Szukam kozła ofiarnego, żeby wyładować swoje obawy

- Co z tego? Wszyscy to robimy Nori wybrał sobie konia, a ty jego. Taki jest porządek świata.

Candamir tylko zamruczał pod nosem z niezadowoleniem. Osmund oparł się o maszt i z przekrzywioną głową przyglądał się przyjacielowi.

- Wiesz, czasami myślę, że za bardzo wsłuchujesz się w te bzdury Saksona. Stale coś rozpamiętujesz. To do ciebie niepodobne i szkodzi zdrowiu.

- Tak, na tym to ty się znasz. Któż lepiej od ciebie rozumie się na rozpamiętywaniu?

Z łagodnym uśmiechem Osmund klepnął go po ramieniu i obaj weszli znowu na pokład. Ku swojemu zdziwieniu spotkali tu starą Brygidę.

- Obejrzałam twoją małą Fryzyjkę - wyjaśniła Candamirowi, choć ten z trudem powstrzymał się od pytania, czego ona szuka na jego statku. - Ponieważ twój Sakson, którego uważasz za uzdrowiacza, o ciąży nie ma pojęcia. Robi się przecież czerwony, gdy tylko się wspomni to słowo. Wiesz, ta twoja Gunda miała szczęście. Powinieneś podziękować bogom, że nie straciła dziecka i że się nie wykrwawiła.

Skinął głową, ale powiedział:

- Podziękowania dla bogów zachowam na czas, kiedy Gunda z niemowlęciem i

wszyscy na pokładzie mojego statku będą mieli znowu twardy ląd pod stopami.

Uśmiechnęła się chmurnie.

- To może nastąpić szybciej, niż sądzisz.

- Masz na myśli morskie dno? - rzucił Candamir.

Brygida zagdakała pochlebnie.

- Czasem jednak bywasz mądry. Ale nie bądź takim czarnowidzem, bo trwożliwych czarnowidzów mamy dość między nami.

Candamir, jeśli zechciał, też potrafił ostro przygadać jak Brygida.

- Na przykład twój syn Haflad - zauważył.

- Żebyś wiedział. Chodź ze mną na „Smoka”. Ty też, Osmundzie. Weźcie kowala.

Olaf chce się z wami naradzić, ale bez Siwarda i Berse.

Olaf poprosił ich pod pokład.

- Jest tam ciasno i ciemno, panuje też okropny zaduch - ostrzegł. - Nikt jednak nie usłyszysz, co będziemy mówili.

Postawił Jareda przy przednim luku, a niemego Turończyka przy tylnym, aby nikt się za nimi nie wślizgnął.

- Ufasz temu przekłętemu Turończykowi? - zapytał Candamir z niedowierzaniem.

Olaf z uśmiechem wzruszył ramionami.

- Cóż, w każdym razie jest on najbardziej milczącym z moich parobków. Jak na razie. Gdybym był na tyle głupi, żeby zaufać niewolnikowi, trochę jak ty, Candamirze, to, wierz lub nie, ale najprędzej zaufałbym właśnie jemu. Stał mi się bardzo oddany.

„Jeszcze na Zimnych Wyspach wyglądało to zupełnie inaczej” - pomyślał Candamir z irytacją, ale przełknął tę uwagę.

- Powiem wam otwarcie, jak się rzeczy mają - zaczął

Olaf stłumionym głosem, kiedy wszyscy stanęli na środku ładowni, gdzie było najwięcej miejsca. - Wody, na których w tej chwili się znajdujemy, są nieznane również mnie. Nie wiem, gdzie jesteśmy.

Kowal Harald założył na piersi ręce wielkie jak uda. Minę miał bardzo poważną, ale nie wrogą. Candamir przemknęło przez głowę, że to nieco dziwne, bo sprzeczką

między Haraldem i Olafem o rzekomo źle wykuty miecz nigdy tak naprawdę się nie zakończyła. Jak mądrym człowiekiem był kowal, że w takiej chwili zdołał odłożyć na bok stary zatarg!

Osmund oparł się ramieniem o ścianę ładowni. Na jego twarzy nie było nawet cienia rezygnacji.

- Nie pozostaje nam nic innego, jak nadal wiosłować, aż znów złapiemy wiatr - orzekł Candamir. - Sztorm nie trwał wystarczająco długo, jak mówiłeś. Ale jesteśmy na właściwym kursie, prędzej czy później musimy, więc dopłynąć do twojej wyspy

Olaf pokręcił głową.

- Prawda jest taka, że nie wiem, czy wciąż jesteśmy na dobrym kursie. Być może tak. Ale równie dobrze sztorm mógł nas zagnać za daleko na południe i teraz wyspa leży od nas na północny wschód. Po prostu nie wiem - powtórzył.

Głos Olafa brzmiał spokojnie, nie było w nim ani śladu wahania. Gdy Candamir uświadomił sobie jednak, co wynika z tego wyznania, poczuł strach, jakby ostry jak igła lodowy sopel ukłuł go w brzuch. Zgubili się, zatem na otwartym, bezkresnym morzu! Nie mogli płynąć z powrotem, ponieważ nikt nie wiedział, gdzie to „z powrotem” leży, lecz jeśli powiosłują lub pozęglują dalej w kierunku południowego zachodu, być może wszyscy zginą z pragnienia, zanim trafią na jakiś ląd.

- Jesteśmy, więc zgubieni? - zapytał. Był zadowolony, że zabrzmiało to rzeczowo.

Olaf nie powiedział ani tak, ani nie.

- Cóż, być może istnieje sposób na odnalezienie naszej wyspy, jeżeli nie jesteśmy od niej zbyt oddaleni - urwał, przestawszy się już kryć ze swoimi wątpliwościami. Candamir pomyślał z niesmakiem, że to bardzo niepodobne do Olafa, który zawsze starał się zachować twarz.

- Nie powiesz dalej, stryju? - zapytał Osmund z nadzieją. - Cóż to za możliwość?

- Kruki - odparł Olaf.

Brygida nie miała dobrych przeczuć.

- Kruki?

Olaf przytaknął.

- Tobie nie muszę tłumaczyć, jak mądre są to ptaki. One potrafią odnaleźć ląd. Musimy wysłać twoje kruki, Brygido. Jednego na południowy zachód, na wypadek,

gdybyśmy byli wciąż na właściwym kursie, o czym jestem przekonany Drugiego na północny zachód, bo być może minęliśmy wyspę od wschodu, trzeciego na północny wschód, trzeba, bowiem wziąć też pod uwagę, że nas przegnało obok wyspy od strony zachodniej. Kruki, które nie znajdą lądu, wrócą. My popłyniemy za tym, który nie wróci.

- A jeśli żaden nie wróci? - zapytała stara. Jej głos brzmiał niezwykle przenikliwie.

Olaf rozłożył ręce.

- O tym pomyślimy dopiero wtedy, gdy tak się stanie.

„Czyli tu jego mądrość definitywnie się kończy” - domyślił się Candamir.

Brygida nie od razu odpowiedziała. Zrobiła krok do tyłu, aby mężczyźni nie mogli rozpoznać wyrazu jej chudej, pomarszczonej twarzy

- Brygido - odezwał się ostrożnie kowal. - Wszyscy tutaj wiedzą, jak jesteś przywiązana do swoich kruków...

- Co to znaczy, że jestem do nich przywiązana? - przerwała mu ostro. - One są mądre. To ptaki Odyna. One... - urwała nagle.

- One są święte, wiem - powiedział za nią Harald. - Ale my ich potrzebujemy. Chyba, że, twoim zdaniem, może nam pomóc jeszcze wyrocznia.

Podeszła bliżej i bez wahania pokręciła głową.

- Wyrocznia na nic się nam nie przyda. Przecież nie wiedzielibyśmy nawet, jakie pytania jej postawić.

Wszyscy milczeli. Wreszcie stara kiwnęła głową.

- Idźcie. Czekać na górze. Przyniosę wam kruki jeszcze przed brzaskiem. - Objęła dłońmi łokcie i uparcie patrzyła w dół. Nie podniosła głowy, kiedy mężczyźni poszli w kierunku luku.

Noc była chłodna, ale dziwnie lepka. Piekącymi oczyma Candamir spoglądał na zamglony księżyc, którego światło przebijało się przez cienką warstwę chmur. Był zmęczony, ale wiedział, że nie zasnę. Niespokojnie szarpnął koc, który dzielił z Gundą. Przewrócił się na bok i przyglądał się swojej fryzyjskiej niewolnicy. Spała spokojnie, z jedną dłonią pod policzkiem i lekko rozchylonymi ustami. Jakże chciał ją

teraz obudzić! Podczas tej podróży robił to często, zwykle o późnej porze, kiedy wszyscy na pokładzie spali. Inne pary nie były tak powściągliwe i gdy tylko trochę się ściemniało, swawoliły na wszelkie sposoby pod niewystarczającym przykryciem swoich koców. Candamir zrobił się niezwykle wstydlivy od czasu, gdy na pokładzie pojawiła się Siglind, chociaż to właśnie jej obecność skłaniała go do tego, aby pozwolić Gundzie spać. Brygida powiedziała mu jednak bardzo wyraźnie, że musi zostawić w spokoju małą Fryzyjkę, jeśli chce mieć dziecko. Zatem ów zwykły, prosty sposób na przyniesienie ulgi duszy oraz ciała był na jakiś czas niedostępny. Irytowało go to, wypełniało jakąś tępą, nieokreśloną złością wobec Gundy, chociaż przecież rozumiał, że nic na to nie może poradzić.

Niezadowolony przekręcił się na drugi bok i zauważył sylwetkę Osmunda, który stał na rufie przy bakburcie. Candamir cicho wstał i podszedł do niego.

- Nie jestem, więc jedynym, któremu sen ucieka - zauważył.

Osmund bez pośpiechu odwrócił głowę.

- I nie jesteśmy sami - odpowiedział równie cicho i zrobił krok w bok. Dopiero teraz Candamir zauważył Siglind stojącą obok Osmunda i opartą o reling.

- Och, przepraszam - mruknął Candamir. Był zmieszany, a równocześnie poczuł bardzo wyraźne ukłucie, które mocno go zaniepokoiło.

Siglind wskazała na wschód.

- Tam się rozjaśnia. Oglądaliśmy gwiazdy - powiedziała. Nawet, jeśli zauważyła, że obaj przyjaciele nagle poczuli się niezręcznie, to w każdym razie nie dała tego po sobie poznać.

Candamir skinął głową, wymienił spojrzenie z Osmundem i uśmiechnął się niemal wbrew swojej woli.

- Twoja specjalność. Chodzi mi o gwiazdy.

Osmund skromnie przytaknął.

- Siglind umie nazwać więcej gwiazd ode mnie.

- Nauczył mnie tego mój ojciec - wyjaśniła. - Był wielkim żeglarzem. Wiedział o gwiazdach wszystko. Nigdy jednak nie wyruszał na morze bez dwóch lub trzech kruków. Nieraz pomogły mu wydostać się z beznadziejnej sytuacji.

- Czyli już wiesz - stwierdził Candamir.

- Że zgubiliśmy kurs? Tak - Siglind kiwnęła głową.

- Ja jej powiedziałem - wyjaśnił Osmund, a robił wrażenie, jakby mu szczególnie zależało na usprawiedliwieniu swojej niedyskrecji. Zanim jednak Candamir zdecydował, jak powinien na to zareagować, Osmund dodał:

- Cóż, należało się z tym liczyć, prawda? Czegóż można się spodziewać, gdy się oddaje swoje losy w ręce sztormu?

- Mimo to popłynąłeś z nami - stwierdził Candamir.

Przez chwilę było cicho, po czym Osmund z westchnieniem wyjaśnił:

- Wszystko wydawało się lepsze niż pozostanie tam, gdzie byłem. Muszę jednak przyznać, że dzisiejszej nocy naszły mnie pewne wątpliwości, czy moja decyzja była mądra.

Obaj mężczyźni zaśmiali się cicho.

- Twój ojciec, zatem żeglował? - zapytał po chwili Osmund. - Czy był kupcem?

Pokręciła przecząco głową.

- Cnut trzyma flotę, która pływa na zbójckie wyprawy przeciwko Szkotom i Anglosasom. Okręty wojenne o dwudziestu parach wiosel.

- Dobrze, że nie stały w porcie, kiedyśmy tam przyплыnęli - zauważył Candamir. - Bez trudu by nas pojмали.

- Stały po drugiej stronie, na zachodnim krańcu wyspy - objaśniła Siglind.

„Oczywiście, przy brzegu od strony Brytanii” - pomyślał.

- Królowie Szkocji i Nortumbrii z pewnością sporo by zapłacili, gdyby ktoś im odsunął od gardła to stałe zagrożenie - ciągnęła beztrosko Siglind.

- Uważasz, że powinniśmy zawrócić? - zapytał zaskoczony Osmund.

Przytaknęła.

- Powinniście to przynajmniej przemyśleć. Nawet, jeśli nie wiemy, gdzie jesteśmy, to żeglując stąd na północny wschód, musimy przecież w końcu dopłynąć do jakichś znajomych wód. Być może jest to lepsze rozwiązanie, niż błąkać się tutaj w poszukiwaniu wyspy, o której nikt nie wie, gdzie konkretnie leży

- Być może - zgodził się Candamir chłodno. - Ale może też być tak, że szukasz kilku głupców, z których mogłabyś uczynić narzędzie, aby wylądować swoją wściekłość na małżonku.

Osmund obrzucił go niezadowolonym spojrzeniem, ale Siglind tylko wzruszyła ramionami, spojrziała znów na morze i mruknęła:

- Kto wie. Gdyby było to możliwe...

O świcie nadal stali we trójkę przy relingu i byli świadkami, jak Brygida i Olaf wypuszczają trzy ptaki. Wyfruwały kolejno z pełnym oburzenia krakaniem i po chwili czarne skrzydlate stwory rozpląły się w szarości poranka. Wszyscy w rozterce patrzyli za nimi.

Wkrótce na pokładach dziewięciu statków obudzili się podróżni, nie wszyscy jednak wstali, aby rozpocząć rytuał nowego dnia. Wielu było tak zgnębionych pragnieniem, że po prostu zostali na swoich posłaniach i, leżąc, obserwowali wschodzące słońce.

Osmund i Candamir chodzili od grupy do grupy i tłumaczyli, że dzisiaj wszyscy będą wypoczywać.

- Wypoczywać? - zapytał podejrzliwie Siward. - Jak to wypoczywać?

Candamir nie odpowiedział, tylko patrzył na młodą żonę Siwarda, której imienia po prostu nie był w stanie zapamiętać. Jęcząc, rzuciła się na swojej przeпоconej derce. Było wyraźnie widać, że cierpi na gorączkę i że wcześniej wymiotowała.

- Co z nią? - zapytał Candamir.

Siward uniósł obie ręce. Gdy patrzył na żonę, w jego spojrzeniu można było zobaczyć współczucie oraz jakąś tępą rozpacz.

- Słona woda - wyjaśnił. - Napila się słonej wody.

Candamir bez słowa położył mu dłoń na ramieniu, ale Siward ze złością ją strząsnął.

- To już druga żona w ciągu sześciu miesięcy, którą tracę, Candamirze. W obu wypadkach winę za to ponosi ten psubrat Olaf!

- Siwardzie, to oczywista nieprawda... - Candamir zauważył w pobliżu swoją siostrę i machnął do niej ręką. - Asto, sprowadź tutaj Saksona. Szybko! - A gdy siostra pospiesznie odeszła, mówił dalej do Siwarda: - Przykro mi z powodu twojego nieszczęścia. Szukanie winnych nie ma jednak sensu. Natomiast nieodpowiedzialne...

- To on uniemożliwił wtedy pogoń za Turończykami - przerwał mu stary, tłumiąc zapalczywość - I to on teraz ściągnął nas w to beznadziejne położenie.



Candamir wiedział, że dalsze przekonywanie jest bezcelowe. Dlatego odczuł dużą ulgę, gdy podszedł do niego Sakson, z szacunkiem skłonił głowę przed Siwardem i ukląkł przy jego żonie. Wziął ją za rękę i położył dłoń na czole.

- Britta, słyszysz mnie?

„Britta, to jasne - pomyślał Candamir. - Jak to jest? Sakson, który w ogóle kobiety traktuje jak powietrze, zna jej imię, czemu więc ja go nie pamiętam?”

Nie zareagowała, wydawało się jedynie, że zrobiła się jeszcze bardziej niespokojna. Austin ze zmarszczonym czołem spojrzał na Candamira.

- Niewiele możemy zrobić, panie. Jedyńm, co mogłoby ją ocalić, jest słodka woda. I to dużo wody. Ale nawet wtedy nie ma żadnej pewności, że przeżyje.

Candamir chwilę się zastanowił, po czym wydał polecenie:

- Ustal, ile wody jeszcze mamy i ile każdy może dziś jeszcze dostać. Potem zapytaj, kto jest gotów odstąpić swoją porcję na rzecz Britty. Przynieś jej to, co zbierzesz. Możesz zacząć od mojego przydziału. Następnie idź na inne statki i tam popytaj.

Sakson skinął głową i pospiesznie się oddalił. Siward zawstydzony opuścił głowę.

- Dziękuję, Candamirze.

Młody kapitan machnął ręką.

- Zaczekajmy, czy to coś pomoże. Jeśli chcesz wyrazić mi podziękowanie, to zrób coś ze swoimi ludźmi, żeby nie psuli innym krwi.

Siward był jednak zbyt zrozpaczony, żeby pokazać, że cokolwiek rozumie. Pozostał przy swojej chorej żonie, patrząc to na nią, to na północny wschód, gadając coś pod nosem o Elasundzie, o pięknie tamtejszych lasów i łąk, o stadach fok, ławicach ryb i wszystkim, czego się wyrzekli. Wielu z tych, którzy go słuchali, dostrzegło głupotę tego zachowania.

Austin wyprosił sporą ilość wody - Candamir nie był w stanie stwierdzić, czy to dzięki hojności dawnych mieszkańców Elasundu, czy wymowności niewolnika - w południe stan Britty nadal pozostawał jednak bez zmian.

W ciągu godziny, podczas najbardziej upalnej i okrutnej części dnia, wróciły dwa z kruków. Ich widok uradował jedynie Brygidę. Wszyscy pozostali śledzili ich powrót

spojrzeniem mrocznym, a po części też przerażonym. Kiedy zaś o zmierzchu wrócił także trzeci kruk, Skuld - nazwany tak po bogini, jednej z Norn, odpowiedzialnej za przyszłość - którego Olaf ufnie wysłał na południowy zachód, na statkach otaczających „Morskiego Smoka” dały się słyszeć groźne pomruki. Mężczyźni oraz garstka kobiet pod wodzą Berse i Siwarda udali się do Olafa, aby wykrzyczeć swój gniew i trwogę.

Candamir czuł się jak odurzony. Gapił się bezmyślnie na wielkiego, obrzydliwego ptaka, który siedział na kościstym ramieniu Brygidy i niespokojnie krakał z uniesioną głową i wyprężoną piersią, jakby miał do przekazania coś wspaniałego. Sam jego powrót dowodził jednak, że nie wypełnił swojej misji. Żaden z kruków nie znalazł lądu. Candamir zwiesił głowę. Ramiona i całe ciało zdało mu się ciężkie jak ołów. Nie chciał na nikogo patrzeć, zwłaszcza na brata i siostrę. Musiałby uznać, że przywiódł ich do zguby, i ta świadomość go paraliżowała.

Osmund położył mu rękę na ramieniu i mocno nim potrząsnął.

- Chodź, Candamirze.

Ten spojrział niechętnie. Musiał zmrużyć oczy. Posępne światło wieczoru wydało mu się szczególnie jaskrawe.

- Dokąd?

- Na „Smoka”.

- Ale...

- Chodź, i to szybko! - przerwał mu Osmund, podniósł z pokładu broń Candamira, która od wielu dni leżała niezauważona obok jego dobytku, i pociągnął go za sobą. Candamir powoli, mechanicznymi ruchami przypasał swój miecz i poszedł za Osmundem na statek Olafa.

- Przyznaj przynajmniej, że jesteś skończony! - zażądał karłowaty szkutnik.

Olaf stał przy sterze, choć statek w tej chwili nie potrzebował sternika.

- Skoro stoję tutaj i oddycham, to jeszcze nie jestem skończony, Berse - odparł.

- Ale nie wiesz, co dalej - zaproponował Haflad.

- Jeśli przez godzinę dacie mi spokojnie się zastanowić, to może coś mi wpadnie do głowy.

„Jakież on jest nieustraszony” - pomyślał Candamir. Nigdy zbytnio nie lubił Olafa i nie umiał pozbyć się wrażenia, że pod znakomitym strojem i swobodną pewnością siebie ten człowiek ukrywa coś mrocznego, niezależnie od tego, co mówi Osmund. Teraz po prostu musiał jednak podziwiać odwagę tego człowieka. Nie można, bowiem było nie zauważyć, że ci rozwścieczeni i zrozpaczeni ludzie są niebezpieczni.

- Nie ma, nad czym się zastanawiać - orzekł kategorycznie Siward. - Właśnie rozwiąła się nasza ostatnia nadzieja.

Olaf pogardliwie uniósł kącik ust.

- Świetnie powiedziane. Wiatr, jeśli w ogóle powróci, będzie wiał nam prosto w twarz. I wszyscy umrzemy z pragnienia, zanim dopłyniemy do jakiegoś brzegu.

- Masz rację - burknął Berse. - Wszyscy pomrzemy z pragnienia, tak czy inaczej. Chętnie bym posłuchał, jak nam wytłumaczysz, że masz na sumieniu swój klan, swoich sąsiadów, ba, całą osadę.

- Nad tym będę się zastanawiał dopiero wtedy, gdy do tego dojdzie - odpowiedział Olaf z drwiącym uśmiechem, który wywołał ogólny pomruk pełen złości. Twarze pociemniały. Zjawilo się ich tutaj około trzydziestu; gromada zrozpaczonych, osłabionych ludzi, którzy mimo to wyglądali groźnie.

Siward zrobił krok w kierunku Olafa.

- Moja żona jest już bliska śmierci. Jak długo jeszcze wytrwa reszta? Bez wody, zagubieni na morzu? Wszyscy zginiemy. Ponieważ zawdzięczamy to tobie jedynemu, honor każe ci być pierwszym... - położył prawą dłoń na rękojeści swojego miecza.

Osmund i Jared ruszyli równocześnie, i zanim Siward dobył miecza, stali przy Olafie ramię w ramię.

- Nim go dostaniecie, nas będziecie musieli zabić - oświadczył spokojnie Osmund.

Berse podniósł broń i zakręcił młynka.

- Będzie mi przykro, ale to mnie nie powstrzyma.

Syn Berse - ten, który przeżył - oraz ohydny smolarz stanęli nagle z mieczami w dłoniach po jego prawej i lewej stronie.

Candamir spokojnie obserwował zajście. Wszystkich tych ludzi znał całe swoje życie. Zawsze trzymali się razem. Sprzecali się, często także bili, ale gdy trzeba było,

zawsze stawali wspólnie. Teraz jednak podzielili się na dwa obozy i Candamirowi aż w głowie się zakręciło na myśl, ile krwawych porachunków może wyniknąć z tego, że rzucą się teraz na siebie z obnażonymi mieczami. Nie żeby to miało jeszcze jakiegoś znaczenie - nikt nie będzie żył dostatecznie długo, aby się zemścić. Z takimi myślami stanął u boku Osmunda. Niemal równocześnie dołączył do nich kowal. Było ich jednak zaledwie pięciu przeciwko niemal trzem tuzinom.

- Lepiej odejdźcie - poradził szkutnik Osmundowi i Candamirowi, co zabrzmiało jak głos rozsądku. - Ten cham nie jest wart tego, żeby go bronić.

„Nie jest, to zapewne racja” - przemknęło Candamirowi przez głowę, ale nic nie powiedział, tylko wyciągnął swój miecz. Siward wyjął sztylet i podszedł krok bliżej.

- Przykro mi - oświadczył i spojrzał w oczy najpierw Haraldowi, potem Osmundowi, a wreszcie Candamirowi. - Ale to on nas wywiódł w to beznadziejne położenie. Także twojego syna, Osmundzie, i twoje rodzeństwo, Candamirze. To nie jest w porządku, że stoicie po jego stronie.

- Ależ jest. Jest w porządku - spokojnie odparł Osmund. - Ponieważ Candamir i ja namawialiśmy do tej podróży tak samo jak Olaf. Nie jest natomiast w porządku to, co robicie wy, bo wszyscy wyruszyliście z nami z wolnej woli i znaleźcie ryzyko.

Zbliżyło się kolejnych pięciu mężczyzn z obnażoną bronią. Z zaciętym uśmiechem Berse skinął na nich, traktując ich jak nowe wsparcie, po czym dał jeszcze ostatnią szansę Osmundowi, Candamirowi i Haraldowi:

- Decydujcie się. Albo jesteście z nami, albo przeciwko nam. Więc?

Candamir lewą ręką wyciągnął sztylet i teraz miał już oręż w obu dłoniach. Usłyszał w głowie znajomy szum, który pojawiał się zawsze wtedy, kiedy stał przed walką na śmierć i życie. Była to - jak się domyślił - jego własna krew, którą usłyszał w żyłach i którą niebawem spłyną wyblakłe deski pokładu na rufie. Ale dobrze. Szybki koniec. Honorowy. Jeżeli przeżyje ktokolwiek, żeby o tym opowiedzieć, być może ułoży nawet stosowną pieśń. Tak czy inaczej, lepsze to niż nędzna śmierć z pragnienia.

Posłał Berse rozbrajający uśmiech.

- A co powiesz na to?

Berse przymrużył oczy i uniośł miecz, trzymając go w obu dłoniach.

- Och, na wielkie mlecze piersi Frei...! - zakrzyknęła nagle Brygida. Jej głos był

tak przenikliwy, że wszyscy odwrócili się w jej stronę. Lewą wyciągniętą ręką pokazywała na północny wschód. Kruk Skuld siedział bez ruchu na jej ramieniu i patrzył w tym samym kierunku. - Tam, patrzcie! - zawołała stara. - To jeszcze nie koniec!

Wszystkie oczy zwróciły się w kierunku, który wskazywała.

- Ach! - zaśmiał się cicho Olaf. - Znowu tu jest, mój sztorm.

Nawet najmniej doświadczeni dostrzegli natychmiast, że szybko nadciągająca burza była czymś nieznanym, czymś, przy czym tamten ośmiodniowy sztorm mógłby wyglądać na łagodny wietrzyk.

Candamir schował broń i rzucił się przez ciasny tłum mężczyzn, którzy wciąż jeszcze chcieli go zabić.

- Szybko, ruszać się! Każdy na swój statek! Przetnijcie liny, musimy je rozdzielić, bo rozbijemy się o siebie nawzajem.

Osmund błyskawicznie wskoczył na „Sokoła”.

- Kobiety i dzieci pod pokład. Siglind, Asto, dajcie innym przykład i zaczynajcie schodzić!

Na pokładzie „Morskiego Smoka” wszyscy się poderwali, rzucili ku swoim statkom i pospiesznie przygotowywali na sztorm. Ich żądza krwi poszła w zapomnienie.

Jedynie Olaf się nie ruszył. Nieruchomo spoglądał na spiętrzone chmury, a gdy Jared chwycił za ster, rzekł cicho:

- Szkoda wysiłku, synu. Znajdź sobie jakieś bezpieczne miejsce. Teraz naprawdę jesteśmy w rękach bogów.

Inni też szybko to zrozumieli. Choć przecież było jeszcze popołudnie, w mgnieniu oka zrobiła się czarna noc. Tym razem nawałnica, pioruny i fale były tak przerażające, że nawet najsilniejsi skulili się na deskach, opuścili głowy i kurczowo czegoś się trzymali.

Candamir nie wiedział, ile godzin minęło w ten sposób, gdy oto jedna z tych ogromnych fal przetoczyła się po nich, a chwilę później statek przekręcił się wokół własnej osi i tak bardzo przechylił, że bakburta znalazła się pod wodą. Dwóch ludzi nie utrzymało się i z krzykiem wypadło za burtę. Ich liny ubezpieczające zerwały się jak

pajęczne nitki. Candamirowi zdawało się, że statek przez całą wieczność leżał na burcie, jakby nie umiał się zdecydować, czy wyrzucić się do góry dnem, czy nie. Potem powoli i drżąc powrócił do pionu.

- Candamirze! - ryknął Osmund.

- Co?

- Zatopi nas!

Candamir nie odpowiedział. Osmund zapewne miał rację, ale nie wiedział, co na to poradzić. Statek ponownie wykonał swój przyprawiający o mdłości piruet i wydawało się, że skamle. Uszy Candamira napełnił jakiś zgrzyt, a potem niedający się z niczym pomylić chrzęst łamiącego się drewna.

- To... To była podwodna rafa - szepnął do siebie.

Ruszył w kierunku, z którego dochodził głos Osmunda. Kiedy był tak blisko przyjaciela, że go wymacał, mogli się dojrzeć.

- Mamy pęknięty kadłub. Nie mam pojęcia, ile czasu nam zostało, ale musimy wszystkich usunąć z pokładu, Osmundzie. Natychmiast.

Żwawo rzucili w kierunku luku, Osmund zapytał jednak:

- Po co? Czemu nie czekać tutaj na śmierć?

- Bo tutaj śmierć jest pewna. Gdy jednak popłyniemy..

- Popłyniemy, dokąd, Candamirze? - jęknął Osmund.

- To była rafa. Gdzie jest rafa, tam zwykle niedaleko znajduje się ląd. Przy odrobinie szczęścia...

Osmund modlił się, aby szczęście akurat teraz nie opuszczało przyjaciela.

Ześlizgnął się do ładowni, a Candamir tuż za nim. Woda wdzierała się do środka przez dziurę w bakburcie. Wybuchła panika. Ludzie rozpaczliwie krzyczeli, pchali się do luku, wywracali się przy gwałtownych przechyłach statku, brodząc w wodzie, której szybko przybywało.

Candamir i Osmund wylawiali z wody ludzi i w miarę swoich sił pomagali kobietom i dzieciom wdrapać się na krótki trap.

- Weźcie beczkę, jakąś deskę, co zdołacie znaleźć, i przywiążcie mocno do siebie. Potem skaczcie - rozkazał Candamir.

Zignorował wszelkie trwożliwe pytania i uwagi. - Pospieszcie się. Kto zostanie na

dole, utonie. Tak, Hamo, dobrze, opróżnij beczkę i przywiąż się solidnie. Weź siostrzyczkę ze sobą i uważaj na nią.

Siglind przywiązała liną Roryka, wrzeszczącego jakby go przypiekano na rożnie, do wiązki drewnianych belek, które dał jej Osmund.

- Teraz przywiąż wolny koniec do swojego przegubu. Powodzenia.

Większość była już na zewnątrz. Candamir popchnął Osmunda.

- Trzeba uciekać. Ratuj swojego syna. Już!

- Co z tobą?

- Tak, tak, już idę. Idź wreszcie. Ty też, Siglind. Osmund zniknął w luku, a Candamir pomógł wydostać się jeszcze ostatnim pasażerom. Zamierzał właśnie przejść na środek ładowni, kiedy nagle jakaś ręka pociągnęła go za łokieć z powrotem.

- Nie, Candamirze, chodź teraz. Już najwyższy czas - naciskała Siglind.

Wyrwał się.

- Moje konie...

- Nie żyją. Wszystkie zwierzęta, które były przywiązane, padły Tu pod pokładem woda podnosi się już od wielu godzin. Być może byłoby rozsądniej, gdybyś zatroszczył się o swojego brata.

- Byłoby rozsądniej, gdybyś troszczyła się o swoje sprawy! - odparł szorstko, chwycił ją mocno za rękę i popchnął w górę po trapie. Sam jednak także wszedł za nią i rzeczywiście chciał zacząć szukać Hacona, kiedy ogromna fala trzepnęła go w plecy i zmyła z pokładu. Wylądował głową w dół w ryczącej, czarnej wodzie, ale jako doświadczony pływak, skupił się tylko na tym, aby nie pogubić się, gdzie jest góra, a gdzie dół. Pozostał pod wodą tak długo, jak mógł, w nadziei, że prąd oddali go od skalistej rafy i wraku statku. Następnie zaczął powoli i równomiernie płynąć ku powierzchni.

Osmund nie wiedział, jak długo walczył ze sztormem o życie swoje i syna. Wydawało mu się, że całe godziny, ale mogło to być złudzenie, gdyż wyczerpanie i strach powodują często, że czas się dłuży.

Nie wiedział też, czy Roryk jeszcze żyje. Pośród takiego ryku nie sposób było usłyszeć, czy mały jeszcze płacze albo się krztusi. Marna trawka, do której Siglind go

przytomnie przywiązała, utrudniała mu pływanie i hamowała ruchy. Mimo to płynął twardo dalej, sam nie wiedząc, dokąd. Również i on odruchowo zaufał nurtowi, aż w końcu stała się rzecz niepojęta: poczuł pod nogami miękkie, ale stały grunt. Piasek! Wczepił się w niego palcami stóp, jakby w ten sposób mógł potężnym falom przeszkodzić w oderwaniu go od dna. Po chwili wyraźnie je wyczuł. Stał na palcach i - trzymając przed sobą tratwę z Rorykiem - wymacał lewą nogą grunt przed sobą. Piaszczyste dno było tam nieco wyższe, jak stwierdził, odważył się uczynić krok. Nadeszła fala, zanurkował, więc, aby znowu nie stracić cennego gruntu. Pod wodą wykonał dwa silne pływackie ruchy ramionami, a kiedy ponownie postawił nogi na dnie, jego ramiona wystawały już ponad wodę.

„Ziemia! - pomyślał z radością. - Jestem na lądzie”. Chwycił tratwę i pobiegł przed siebie. Brnął przez wodę, aż wreszcie woda chlapała już tylko wokół kostek jego nóg, i dalej, aby wydostać się z fal. W końcu poczuł, że piasek pod stopami się zmienił. Wciąż był mokry, ale ziarnisty, nieoszlifowany przez fale, lecz ostry od deszczu. Potem nadepnął na coś, co musiało być wilgotną kępą trawy.

Osmund upadł na kolana i zaczął badać syna.

- Roryk... Roryku, ty żyjesz... - podniósł dziecko razem z tratwą i dotknął ustami małego ciała. Drobną rączką chwyciła go za nos i rozległ się nadzwyczaj żywotny wrzask.

Osmund zaśmiał się radośnie. Ścisłe rzecz biorąc, śmiał się tak, jakby postradał zmysły. Nic nie widział, ale pod palcami wyczuwał linę, którą biedactwo było przywiązane do drewnianych belek, cierpliwie rozwiązał, więc węzły. Potem ostrożnie wziął Roryka w ramiona i przytulił do piersi.

- Już dobrze. Na pewno ci zimno. Jesteśmy.. - Nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie się znajdują. Być może była to bezludna wyspa, na której nie przeżyje ani zwierzę, ani człowiek. Pod nogami poczuł jednak miękkie piasek. Poczuł szorstką trawę, która na nim rosła i łaskotała go w stopy. Czuł też zapach drzew. Nie mogły być daleko.

- Myślę, że jesteśmy u celu - wyznał Rorykowi.

Sztorm srożył się przez całą noc z niesłabnącą siłą, a jeden z wielu błyskających piorunów trzasnął w pobliskie drzewo.

Osmund zdjął kaftan i owinał nim synka, bo choć ubranie było mokre, dawało



przecież więcej ochrony niż naga skóra Roryka. Następnie ostrożnie położył śpiącego syna w piasku i w świetle płonącego drzewa zbadał najbliższe otoczenie. Niewiele dało się zauważyć. Ściana drzew, przed nią białe wybrzeże, a dalej zachłanne, huczące morze. Osmund odwrócił się do niego plecami.

Obok płonącego drzewa dojrzał leżące na ziemi gałęzie. Zgromadził je w odległości dwóch kroków od Roryka, ułożył w stos i przyniósł odłamany, płonący konar. Bez trudu rozpalił ognisko, stanął obok niego i zaczął niestrudzenie wymachiwać płonącym konarem. Miał wielką nadzieję, że on i Roryk nie są jedynymi pasażerami z „Sokoła”, którzy przeżyli. Kiedy woda przyniesie tu innych, chciał ich ściągnąć ku sobie.

Jego wysiłki szybko okazały się owocne.

Rafa, która spowodowała zatopienie „Sokoła”, znajdowała się zaledwie dwieście metrów od brzegu, a prądy były sprzyjające. Czy ktoś płynął, czy oddał się nurtowi - wszyscy w końcu dotarli w to samo miejsce. Jedynie troje pechowców utonęło, mając łąd już w zasięgu ręki. Pozostali dostrzegli ogień i skierowali się ku niemu.

Wyłaniające się z wichru i mroku postaci podobne duchom tworzyły niesamowity widok. Pierwsza nadeszła Asta, z Haconem i Saksonem, każdy z nich trzymał w ramionach jedno z dzieci Asty, a za nimi - ku nieopisanej radości Osmunda - szedł jego wierny pies. Po chwili pojawiła się Inga z ojcem. Siglind i Candamir odnaleźli się jeszcze pośród fal i nadeszli razem.

Krótko przed świtem sztorm osłabł, o wschodzie słońca ustąpił zaś całkowicie. „Wilk Morski” i „Bielik” leżały przekrzywione na brzegu jak pijane, a kiedy przestało padać i ustał wiatr, z pokładów zaczęli schodzić ludzie.

W milczeniu i osłupieniu rozbitkowie stali przy dogasającym ogniu i rozglądali się, myśląc, dokąd to ich przygnało. Znajdowali się nad rozległą zatoką w kształcie podkowy, ograniczoną z obu końców ostrymi, ale pięknie ukształtowanymi skałami, w których, jak się zdawało, było mnóstwo nieregularnych otworów. Wybrzeże miało sto kroków szerokości, a za nim zaczynał się las, w którym rozlegały się głosy prawdziwej armii ptaków. Słone, aromatyczne morskie powietrze mieszało się z głębokim, ziemistym zapachem lasu. Stado mew obsiadło występ skalny i podejrzliwie przypatrywało się przybyłym.

Inga, wyczerpana, upadła na kolana, pogładziła obiema dłońmi wilgotny, jasny

piasek i zamruczała:

- Jakże tu cudownie...

„Ma rację” - pomyślał Candamir. Raz jeszcze rozejrzył się wokół i uznał, że jest to najpiękniejszy skrawek ziemi, jaki kiedykolwiek w swoim życiu widział.

Hacon był nieczuły na fascynujący kontrast między wybrzeżem a skałami, na głęboki błękit morza czy żywą zieleń drzew.

- Tak, naprawdę ładne - pochwalił zniecierpliwiony. - Ale w tej chwili interesuje mnie tylko, czy w tamtym lesie jest jakieś źródło.

Już chciał pójść w tamtym kierunku, ale Candamir chwycił go za rękę.

- Stój! Nikt nie pójdzie do lasu sam, zwłaszcza bez broni - położył dłoń na biodrze. Miecza nie było. Zaklął cicho i spojrzał po sobie. Na szczęście miał jeszcze sztylet. Wyciągnął go z pochwy u pasa. Osmund, Harald i kilku innych mężczyzn poszło za jego przykładem.

- Poszukamy wody i wrócimy tak szybko, jak to możliwe - przyrzekł Osmund. - Czy twoja żona jeszcze żyje, Siwardzie?

Stary człowiek skinął głową i wskazał nieruchomy tłumok na piasku, w którym dopiero po dokładniejszym przyjrzeniu się można było rozpoznać istotę ludzką.

- W każdym razie jeszcze oddycha.

- Idźcie z powrotem na pokład i przynieście tyle naczyń, ile zdołacie znaleźć - polecił swoim ludziom skutnik. Po czym podążył za Candamirem i Osmundem ku cieniowi drzew.

Nie musieli długo szukać. Już po kilku krokach usłyszeli szmer wody i, podążając za tym dźwiękiem, dotarli do płytkiego, przejrzystego strumienia. Słońce prześwitywało przez wiosenne korony drzew rosnących na brzegu rzeczki i jej gładka powierzchnia połyskiwała.

Na widok wody pragnienie stało się tak nieznośne, że zdziwiony Candamir zastanawiał się, jak zdołał aż do tej chwili wytrzymać. Tak samo jak inni, upadł na kolana, nabrał wody w obie dłonie i chciwie pił wielkimi łykami, choć wiedział, jakie to nierozsądne. Natychmiast za czołem pojawił się kłujący ból głowy, a w żołądku ostrzegawczy skurcz, żołądek jednak utrzymał wodę w sobie. Wyprostował się równocześnie z Osmundem i wymienili uśmiechy czystej radości.

- Żadne piwo ani miód nigdy nie smakowało lepiej - stwierdził Candamir, odetchnąwszy z zadowoleniem.

Osmund wstał i rozejrzał się dookoła ze spóźnioną czujnością.

- Każdy mieszkaniec tej wyspy mógł się tu zakraść i poderznąć nam gardła - zauważył zakłopotany.

Candamir przytaknął, ale odparł:

- Nie ma śladu żywej duszy jak okiem sięgnąć. Żadnych ścieżek, żadnego karczowania, nic.

- Weszliśmy w ten las może na sto kroków - powiedział Harald. - To byłby zbieg okoliczności, gdybyśmy akurat tutaj trafili na ślady mieszkańców. Nie są liczni, a wyspa jest duża, jak twierdzi Olaf.

- Jeśli to w ogóle jest wyspa Olafa - dodał szkutnik.

Candamir spokojnie wzruszył ramionami.

- Cóż, jest to ziemia. Jest woda i na pewno mnóstwo ryb, żeby nas uchronić przed głodem. Na początek to mi wystarczy

- Wracajmy - przynaglił Harald. - Wszystkim tam chce się pić, a młoda żona Siwarda trzyma się życia ostatkiem sił.

Candamir raz jeszcze zanurzył dłonie w cudownie słodkiej, czystej wodzie i zwilżył twarz. Potem poszedł za resztą w kierunku brzegu.

Przyniesiono już ze statków beczki, skórzane wiadra i bukłaki. Parobkowie i chłopcy w towarzystwie uzbrojonej eskorty poszli nabrać wody. Kiedy już wszyscy się napili, nastrój wyraźnie się polepszył. Niebawem dały się tu i ówdzie słyszeć śmiechy, dzieci się goniły i płoszyły mewy, niewolnicy prowadzili do strumienia ledwie żywe z pragnienia owce, a dawni mieszkańcy Elasundu rozsiedli się na piasku, pozwalając ciepłemu słońcu wysuszyć odzienie i rozkoszując się uczuciem stałości - po dwóch sztormach, niepewności i śmiertelnym strachu na morzu - wreszcie stałego lądu pod stopami.

Candamir zerkał na morze. Po pewnym czasie wypatrzył skałę, o którą rozbił się „Sokół”. Błyskając czernią, wyglądała z wody. Fale, już teraz spokojne, rozbijały się o nią, i spływała po niej biała piana. Po statku nie było już ani śladu.

Candamir poczuł się wyczerpany jak nigdy w życiu, ale wiedział, że nie wolno

mu odkładać na później poszukiwania wraku.

- Może „Sokół” leży tylko kilka łokci pod powierzchnią i możemy ocalić, choć część naszych skarbów. Narzędzia, welnę i tak dalej. Popłynę tam i rozejrzę się, zanim prądy wszystko zniosą.

- Popłynę z tobą, panie - zaofiarował się Sakson i odłożył sakwę z foczej skóry, zawierającą jego Biblię, krzyż i „kalendarz”. Sakwa była dosyć gruba i mnich był przekonany, że Słowo Boże jakoś dotarło bez uszkodzeń do nowego świata. Candamir z wdzięcznością kiwnął głową.

- Chodźmy, zatem. Zobaczmy, jak w rzeczywistości dobrze umiesz pływać.

Ich nagie ramiona pokryła gęsia skórka, gdy brnęli w głąb morza, było, bowiem zimno. Piaszczyste dno stromo opadało i niebawem woda sięgała im już do piersi. Zanurkowali, zanim fala zdążyła się po nich przetoczyć, po czym szybko popłynęli ku skale. Nurkowanie w pobliżu skały udowodniło jednak to, czego się spodziewali po granatowej barwie morza: woda była bezdennie głęboka. Candamir, dotykając skały, popłynął w dół, aż poczuł ból w uszach, i wciąż nie natrafiał na dno, nie widząc pod sobą nic poza czernią. Gdy wypłynął, płuca aż krzyczały o powietrze. Skulony uczeplił się skały obok swojego niewolnika i pokręcił głową.

- Nic.

Austin potwierdził to smutnym skinieniem głowy. On także nurkował tak głęboko, jak pozwalała mu odwaga i umiejętności. Widział przy tym mnóstwo małych i dużych ryb, i wstrząsnęła nim myśl, jakie jeszcze bezimienne stwory mogą się tam, na dole, czaić w mroku.

- Nie marnujmy tu czasu, panie. „Sokoła” nie ma i nie sposób tego zmienić. Za to dotarliśmy właściwie bez strat do tego nieznanego lądu i nie chciałbym, aby zaraz pierwszego dnia połknął mnie jakiś morski potwór.

Gdy Candamir i Austin płynęli do rafy, Osmund, Harald i Hacon wspięli się na skały, które wznosiły się na zachodnim skraju zatoki. Klif był wysoki i stromy, ale porowaty i pełen schodkowatych nacięć, nie było, więc zbyt trudno wdrapać się na jego grzbiet. Zwiadowcy wrócili z dobrymi nowinami.

- Po drugiej stronie skał rozciąga się następna zatoka, nieco większa od tej - wyjaśnił kowal. - „Morski Smok” i jeszcze trzy nasze statki tam zawinęły. Właściwie nieuszkodzone.

- Czy jest ktoś na pokładzie? - zapytał Candamir, który właśnie podszedł.

Harald skinął głową.

- Nie mogliśmy ich dokładnie rozpoznać, ale widzieli, jak do nich machamy i chwycili za wiosła. Są już w drodze do nas.

- Co jeszcze odkryliście? - pytał dalej Candamir.

- Na południe okolica jest porośnięta lasem, trochę się wznosi, nie dostrzeżliśmy, więc niczego dalej - wyjaśnił Harald. - Spomiędzy drzew błyska coś, jakby szeroka rzeka. Drzewa mają gęste liście, nie bardzo można rozpoznać, co się za nimi kryje. W każdym razie prawie nie ma drzew iglastych, las jest zupełnie inny niż u nas...

- Zielony dach - włączył się Hacon. - Żadnego wyrębu, jak okiem sięgnąć. Żadnych osad, żadnych łodzi czy statków przy brzegu... - Urwał, zauważywszy gniewne spojrzenie Candamira.

- Wybacz niegrzeczność mojego brata, Haraldzie - poprosił Candamir.

Kowal pobłażliwie machnął ręką.

- On ma rację. Można by sądzić, że jesteśmy tu sami, ale oczywiście zdecydowanie za wcześnie na takie wnioski. Musimy pamiętać o tym, co mówił Olaf. Niezależnie jednak od tego, czy to ta wyspa, którą odkrył, czy nie, jest to zielony kraj z mnóstwem wody - Harald był zbyt stary i mądry, aby wyrażać taki entuzjazm jak Hacon, ale także w oczach kowala była nadzieja.

Candamir z uśmiechem zwrócił się do swojego najlepszego przyjaciela, objąwszy go ramionami.

- Cóż, gdziekolwiek wylądowaliśmy, bogowie ciebie pobłogosławili - powiedział.

- Z nas wszystkich ty pierwszy postawiłeś stopę na tej nowej ziemi.

Osmund poczuł się nieco zakłopotany, ale przytaknął zadowolony. „To prawda - pomyślał ze zdziwieniem - byłem pierwszy”. Nie tylko to było dobrą wróżbą: obejrzawszy w świetle dziennym wiązkę belek, która posłużyła Rorykowi za tratwę, stwierdził, że w rzeczywistości było to krzesło rodowe jego ojca. Z pewnością oznaczało to, że jego ród będzie dalej trwał w tej nowej ojczyźnie. Nic jednak o tym nie mówił, ale

zapytał po prostu:

- Co z „Sokołem”?

Candamir na krótko opuścił wzrok i pokręcił głową. Osmund spodziewał się tego.

- Przykro mi z powodu twojego statku, Candamirze. Duża strata.

Istotnie. Statku, bydła, miecza, wreszcie krzesła rodowego po przodkach - wielu tych rzeczy będzie boleśnie brakowało jemu i innym, którzy byli na pokładzie „Sokoła”. Candamir musiał przyznać, że najbardziej bolała go strata obu koni. Pokochał te zwierzęta i był przekonany, że odwzajemniają jego przywiązanie. Wiele poświęcił, żeby przeżyły zimę, i miał wobec nich wielkie plany. Będzie mu ich brakowało. Z utratą całej reszty pogodził się łatwiej, niż mógł sobie wyobrazić.

Będzie mu brakowało ziarna pod siew, to pewne, a także narzędzi. Ale byli w nowym kraju. Dawnego życia już nie było. Wiele z tego, co zatoneło razem z „Sokołem”, zdało mu się teraz zbędnym balastem z tamtego dawnego życia. Strata była równocześnie wyzwoleniem, jak zauważył, szansą na prawdziwie nowy początek. Nie zapomniał też, co mówił do bogów, kiedy Hacon pośród sztormu wypadł za burtę. Objął bladego, szczupłego brata za ramię i rzekł do Osmunda: - Dostałem to, o co się modliłem.

Dość długo trwało, zanim „Morski Smok” i pozostałe trzy statki dotarły do zatoki, zaczął się, bowiem odpływ i prądy znowu zrobiły się silne. Wszyscy, którzy obserwowali z brzegu, jak wiosłarze musieli się wyteżać, myśleli to samo: gdyby pojawili się tu w czasie odpływu, nigdy nie dotarliby do brzegu i wszyscy utonęliby tak jak „Sokół”. Czekać na statek Olafa, znowu rozpalili ognisko i kobiety z resztek zapasów przygotowały pierwszy gorący posiłek od czasu, gdy byli na Zimnych Wyspach. Składał się jedynie z suszonego mięsa i dzikich ziół, które Asta i Siglind znalazły w lesie, ale to zaimprovizowane danie wydało im się tak wystawne, że króla można by było nim uraczyć.

Słońce przybrało już miedziany odcień późnego popołudnia, kiedy „Morski Smok” zawinął wreszcie do zatoki. Jednym z trzech, które płynęły za nim, był statek braci z Elbingdal, jak z ulgą stwierdzili dawni mieszkańcy Elasundu, wiozący na pokładzie także siwobrodego, powszechnie lubianego Eilharda. Nie było jednak śladu

pozostałych dwóch statków Nic także nie odkrył zwiadowca, który wspiał się na skały przy wschodnim skraju zatoki. Candamir polecił Haconowi, jego przyjacielowi Wilandowi i kilku innych chłopcom rozpalić ognisko na szczycie klifu, aby zagubionym statkom pokazać drogę.

Słońce jak ogromna złota moneta wisiało nad zachodnim horyzontem i nadawało zachmurzonemu niebu barwę ognistej czerwieni, kiedy Olaf i jego ludzie zeszli na ląd. Osmund wyszedł im naprzeciw i podał stryjowi kubek wody.

- Mam nadzieję, stryju, że na pokładzie „Smoka” wszyscy zdrowi?

Olaf na chwilę położył mu dłoń na ramieniu, po czym wziął kubek w obie ręce i jednym haustem opróżnił. Następnie skinął głową.

- Wszyscy żyją. - Rozejrzał się dokładnie wokół, prześlizgnął się wzrokiem po skałach ukształtowanych przez morskie wiatry, po lesie i białym wybrzeżu. Przenikliwie niebieskie oczy błyszcząły.

- I? - Candamir przerwał w końcu napięte milczenie. - Czy to ten kraj? Poznajesz go?

Olaf powoli pokręcił jednak głową.

- Całkiem możliwe, że to ta sama wyspa. Ale tutaj nigdy wcześniej nie byłem. Wtedy zawiąłem o wiele dalej na wschód - znacząco wskazał brodą na słońce.

Z pomocą syna zeszła na ląd Brygida, z krukami na obu ramionach i trzecim na lewym przedramieniu. Kiedy młoda Inga także jej podała kubek wody, stara przegoniła ptaki łagodnym gestem, aby w spokoju się napić. Trzej czarno upierzeni towarzysze z fałszywym krakaniem zatrzepotali skrzydłami, niezdarnie zrobili w powietrzu małe kółko, po czym usiedli na piasku i nastroszyli pióra.

Niespodziewanie las obudził się do życia. Podniósł się hałas niezliczonych dźwięków i w powietrze wzbiło się stado ptaków, tak ogromne, że ludziom na brzegu zdawało się, że niebo pociemniało. Na chwilę znaleźli się w środku tego zamieszania i trzepotu skrzydeł. Niektóre dzieci krzyknęły trwożliwie, rzuciły się na ziemię i zakryły głowy rękami. Ptaki wylądowały na piasku, jakby wypełniały jakiś rozkaz, jeden ciasno przy drugim, tworząc niemal zwartą powierzchnię. Piasek był jasny, ale w zestawieniu z barwą ptaków, których upierzenie było białe jak śnieg, robił teraz wrażenie brudnożółtego.

Rozbitkowie wpatrywali się w nie bez ruchu, jak zaczarowani. „Kruki” - odpowiedział Candamirowi rozum. To są białe kruki. Cały brzeg był pełen białych kruków, widział to na własne oczy: niemal dokładnym kołem otoczyły swoich czarnych krewnych i wpatrywały się w nich milcząco, widocznie tak samo zdrętwiały ze strachu jak ludzie. Candamir nie wierzył własnym oczom, to było przecież niemożliwe. W głowie mu się zakręciło od tej sprzeczności między tym, co widział, a rozumem.

- Ptaki Tanuri - mruknęła Asta gdzieś za jego plecami, a jej głos brzmiał dziwnie głęboko i obco.

- Zimowe kruki - zawołał niemal w tej samej chwili Eilhard. - Zimowe kruki... O, ojczyzno bogów...

Tu i ówdzie rozległy się głosy: zimowe kruki. Jakby ktoś rzucił kamieniem w spokojną wodę, szmer małymi falami rozniósł się na zewnątrz, coraz dalej. Kilkoro mniej odważnych - mężczyzn i kobiet - rzuciło się na ziemię i zasłoniło oczy. Wszyscy, którzy dotarli do tej zatoki, mieli za sobą pełne zgrozy tygodnie i miesiące naznaczone niekończącym się głodem i walką z przepotężnym morzem. Byli wykończeni i u kresu sił, nieprzygotowani na tak gwałtowny omen. Niektórzy płakali ze strachu.

- Nie lękajcie się - rzekła spokojnie stara Brygida. Również jej głos trudno było rozpoznać. Brzmiał bardziej miękko, silniej, a przede wszystkim młodziej niż zwykle. Położyła dłoń na głowie klęczącej przy niej i płaczącej Ingi. - Nie lękajcie się.

- Brygido, co to znaczy? - zapytał Harald. Nawet on wyglądał na zaniepokojonego i oszołomionego.

- Znaczy to, że dopłynęliśmy nie do krainy Olafa, lecz Odyna.

Szmerzy ucichły równie szybko, jak ciche szlochy tu i ówdzie.

- To... To niemożliwe - odezwał się w końcu Olaf.

Stara rzuciła mu spojrzenie, które zmuszało do szacunku.

- Obrażasz bogów, Olafie.

- Ale... Ale kraina, o której mówisz, jest zatopiona! Żaden śmiertelnik nie może do niej dotrzeć!

- Jednak tu jesteśmy.

W oczach Brygidy był błysk, którego nikt wcześniej nie widział. Przydawał jej pomarszczonej twarzy blasku, czegoś młodego i pozaczasowego, co było niemal piękne.



Powoli wyciągnęła lewą rękę w kierunku stada białych kruków. Jej dłoń nawet nie zadrżała. Jeden z wielkich ptaków podfrunął - równie niezdarnie jak jego czarni bracia - usiadł na przegubie jej dłoni i wyprężył pierś poddając się pieszczocie jej zgiętego palca.

Brygida rozłożyła ramiona i przechyliła do tyłu głowę. Wyglądało to, jakby wyciągała ręce i twarz ku niebu, kiedy jednak na jej prawym przegubie usiadł drugi biały ptak, zwróciła twarz znowu ku ludziom na brzegu.

- Nie lękajcie się - powtórzyła. - Nie ma powodu. Może i ta wyspa była kiedyś zatopiona, ale z przyczyn, których nigdy nie pojmiemy, Odyn jednak przywiódł nas tutaj.

- Dokąd przywiódł? - zapytał Candamir.

Patrzył na nią w osłupieniu i czuł, jakby dziś po raz pierwszy ją widział. Wciąż była to stara kobieta o siwych włosach i twarzy poranej zmarszczkami jak stary granit. Nagle dostrzegł jednak to, o czym niektórzy mieszkańcy Elasundu mówili od zawsze: Brygida była bliżej bogów niż ktokolwiek inny

- Na wyspę Tanuri - odparła. - Jesteśmy na Catanie.

*część trzecia*

***Catan***

## ZMIENNY KSIĘŻYC, rok pierwszy

*Po dwudziestu pięciu dniach pełnych niebezpieczeństw i strat, 15 kwietnia dotarliśmy do północno-zachodniego wybrzeża wyraźnie żyznej krainy, którą poganie nazywają Catanem. Nigdy dotąd nie widziałem ich przejętych tak głębokim szacunkiem, jak wtedy, gdy wiedźma ogłosiła im, że dotarli do wyspy ojca ich bogów. Wielu upadło na ziemię, aby mu na kolanach dziękować, co jest niezwykle zachowaniem u tych dumnych, upartych ludzi. Niektórzy wręcz całowali piaszczysty brzeg. Zaprawdę, musiało być tak samo, kiedy dzieci Izraela dotarły do Ziemi Obiecanej.*

*Bez strachu i rozwagi tuzin mężczyzn zapuścił się w las, choć już zapadał zmrok, i wkrótce wrócił ten, który zwie się Osmund, z młodym bykiem na postronku. Byk był potulny i uległy, gdyż nigdy wcześniej nie widział ludzi. Zanim zdążył nauczyć się podejrzliwości, ubili go, upiekli i poświęcili swoim bogom, co u tego ludu oznaczało, że sami go zjedli.*

*Z pochodniami zbadaliśmy jaskinie w skalach przy zatoce, wypłoszyliśmy duże stado nietoperzy, ale skalne grotty okazały się niezamieszkałe i mogły nam posłużyć za schronienie. Dwa dni i dwie noce odpoczywaliśmy w tamtej zatoce. Ludzie stopniowo otrząsali się ze zgrozy podróży i nabożnego zdumienia, które wywoływało w nich to miejsce, ale nie robili nic, nie zasięgnąwszy wcześniej rady wiedźmy. Wczorajszego ranka do zatoki wpłynęła „Morska Strzała”, jeden z dwóch statków uznanych za zaginione. Jest poważnie uszkodzony, ale poza pół tuzinem ludzi wszyscy na pokładzie przeżyli. Również w tym niespodziewanym ratunku widzą ludzie znak przychylności swoich bogów. Po drugim zaginionym statku nie ma jednak śladu. Zrezygnowali z niego, poddając się losowi w sposób właściwy tym ludziom. Martwią się stratą bliskich przyjaciół, zdaje się jednak, że nie mąci to ich radości. Są upojeni tą krainą..*

- Austinie, co tam robisz?

Z poczuciem winy Sakson odłożył pióro, a na pergamin kapnął okropny atramentowy kleks. Potem odetchnął.

- Ach, to ty, pani. Piszę kronikę.

- Co robisz? - zapytała Siglind, nie rozumiejąc.

Wskazał na Biblię na swoich kolanach, a Siglind przyklękła przy nim, zgarnęła włosy za ucho i z ciekawością nachyliła się nad księgą. Ostatnie pergaminowe strony były puste. Austin już od dawna zamierzał na tych stronach opisywać przeżycia tego ludu, długo jednak tego nie robił, obawiając się, że Candamir zabierze mu Biblię i spali, kiedy go złapie na pisaniu. Wyprawa do nowej ojczyzny kazała jednak Saksonowi urzeczywistnić w końcu zamiar i już zeszłej zimy w tajemnicy przygotował nieco atramentu z tarniny. Od tego czasu atrament oczywiście wysechł i Sakson musiał zmieszać go z wodą zamiast z winem, pismo zbladło, więc miejscami, ale w tych okolicznościach nie mogło udać się lepiej.

- Czy to jest święta księga twojego boga? - zainteresowała się Siglind.

- Tak.

- Możesz do niej tak po prostu domalowywać jakieś runy?

Uśmiechnął się.

- Nie, właściwie nie - i wyjaśnił jej, co robił i dlaczego. Skinęła głową, choć rozpoczęta kronika, którą Austin z takim podekscytowaniem tworzył, wyraźnie nie interesowała jej tak bardzo, jak sama Biblia.

- Wszystko, co tam stoi, pochodzi od twojego boga? - chciała wiedzieć.

- Tak właśnie.

- Ale te runy potrafi odczytać jedynie wasz kapłan, prawda?

- Cóż, każdy może się nauczyć. To nie jest żadna tajemnica. Masz jednak rację, z reguły rozumieją się na tym tylko duchowni.

- Przeczytaj mi kawałek - poprosiła.

- Nie zrozumiesz tego, pani. To łacina.

- Mowa twojego boga?

Przez chwilę się zastanawiał.

- Bóg zna wszystkie języki, bo sam je wszystkie stworzył. Jest to język jego

kapłanów.

- Rozumiem. - Z wahaniem wyciągnęła prawą rękę. - Czy mogę... Mogę dotknąć twojej księgi?

- Oczywiście - ochoczo podał jej Biblię, ona zaś ostrożnie położyła na niej dłoń. Kiedy poczuł, że gruba księga zrobiła się w końcu dla niego za ciężka, położył ją między nimi na suchej skale. Siedział przed wejściem do jaskini zajmowanej na razie przez Candamira i jego ludzi, ponieważ było już prawie całkiem ciemno, a tutaj stałe paliło się ognisko, aby utrzymać z dala nietoperze i inne zwierzęta. To dobre miejsce - był stąd rozległy widok na las, brzeg i morze, a wieczorna bryza łagodnie wiała w twarz, z góry zaś można było podziwiać piękno tego miejsca w całej jego różnorodności.

- Te runy opowiadają historię cieśli, który był synem twojego boga? - dociekała dalej Siglind.

Austin przytaknął.

- Między innymi. Widzę, że już sporo wiesz na ten temat, pani. Skąd?

- Och... - Nieświadomy uśmiech zniknął z jej twarzy i machnęła ręką. - Cnuc chętnie plądrował brytyjskie klasztory, bo było tam tak wiele złota. Młodych, silnych mnichów zabierał zawsze do domu jako niewolników. Kiedyś jednego mi podarował, a wtedy opowiedzieli mi o tych rzeczach. Większość z nich zmarła jednak na suchoty. Albo na coś innego. Nie byli zbyt wytrzymali.

Austin podniósł twarz i skrzywił się z bólem.

- Te historie, które ci opowiadali, podobały ci się? - zapytał.

- Tak. Dawały mi nadzieję.

- Nadzieję, na co?

Siglind przez chwilę się zastanowiła.

- Być może na coś, co mogłoby wypełnić pustkę w moim wnętrzu. Może nadzieję na lepsze życie, czy to w tym, czy w przyszłym świecie. Przecież to właśnie obiecywał ten ciesielski bóg, prawda? On nie jest tak okrutny i samolubny, jak nasi bogowie.

Austin objął rękami kolana i przez chwilę spoglądał na otwartą Biblię. Długo i bezowocnie czekał na kogoś spośród tych dzikusów, kto zapragnie duchowego spełnienia. Teraz Bóg wysłuchał jego błagalnych prośb, nagle jednak mnicha ogarnęła niepewność, jak powinien poszukującemu wskazać drogę. Idąc za swoim instynktem, nie

za radą opata, zdecydował trzymać się twardo prawdy

- Niezupełnie, także Bóg chrześcijan jest okrutny, Siglind. Często bardzo nieprzejednany. Ale to prawda: jest inny niż bogowie, których cześć twój lud. Jego potęga jest nieskończenie wiele razy większa. I zawarł z ludźmi przymierze, że ich zbawi. Ludzie, którzy są w tym przymierzu z Bogiem, zjednoczyli się w społeczność nazywaną kościołem. Kościół ten to władza Boga za ziemi, pewne schronienie dla wiernych.

- Każdy może zostać przyjęty do tej społeczności?

- O tak.

- Opowiedz mi o tym coś więcej.

- Z wielką chęcią, pani...

- Przed chwilą nazwałeś mnie Siglind.

- Naprawdę? Jak niegrzecznie z mojej strony. Mam nadzieję, że zdołasz mi wybaczyć.

Uśmiechnęła się nieśmiało, a promienie biegnące z jej intensywnie błękitnych oczu poruszyły nawet takiego ascetę jak on.

- Wolałabym, żebyś został przy moim imieniu - wyznała.

- Nie, to nie uchodzi - odparł z żalem.

- Ale dotrzymasz obietnicy, prawda? Opowiesz mi o swoim bogu?

- Chcesz tak wiele. Ale powiedz mi jedno: dlaczego jesteś tutaj, a nie na dole, na brzegu, aby razem ze swoim ludem składać hołd ojcu bogów? Jesteśmy tutaj od dwóch dni, oni zaś w zasadzie nic innego nie robią, tylko składają mu ofiary i wychwalają go. Takiej religijnej gorliwości nie przejawiają nawet podczas święta Jul. Czy ty nie wierzysz, jak wszyscy inni, że Odyn was wybrał, abyście znaleźli jego zatopioną wyspę i zasiedlili ją?

- Wierzę - odparła bez najmniejszego wahania. - Tylko on mógł nas przywieść do Catanu, bo tylko on wie, gdzie leży wyspa. Cokolwiek jednak czyni Odyn, służy to zawsze jego własnym celom. Może i jest w tej chwili dla nas łaskawy, ale już jutro może się znów od nas odwrócić. - Przez chwilę milczała, jakby musiała uporządkować myśli, po czym dodała: - Prawdopodobnie życie tutaj będzie lepsze niż w starej ojczyźnie, i mojej, i waszej, bo ziemia jest lepsza. Ale jeśli ma to być naprawdę lepsze życie, potrzebujemy jeszcze czegoś... nowego. Największą, bowiem niedolę, jak sądzę, ludzie

zawsze na siebie ściąągają sami, ich nieszczęściu nie są winne marne zbiory czy pomór bydła.

Austin spojrział na nią z podziwem. Potem przekrzywił głowę.

- Czy wolno mi zapytać, ile masz lat, pani?

- Och... Sądzę, że najbliższa sobótka będzie moją siedemnastą.

- W takim razie jesteś mądra jak na swój wiek. Wzruszyła ramionami.

- Dużo przeżyłam jak na swój wiek.

- Nie mamy czasu do stracenia - powiedział dobitnie Olaf.

- Mniej więcej za dwa tygodnie będzie już noc Thora. Oczywiście bardzo możliwe, że ziarno tutaj dojrzewa szybciej niż w Elasundzie, ale jeśli niebawem nie zasiejemy, z pewnością w tym roku nic już nie zbierzemy.

Wszyscy, którzy stali z nim gromadą przy ognisku na brzegu, przytakująco pokiwali głowami.

- Zanim jednak zasiejemy, musimy karczować - powiedział Siward. - Jak mamy to zrobić w tak krótkim czasie? Nie pozostaje nam nic innego, jak żyć na razie tym, co da nam las i morze, a zasiać jesienią.

- Pięknie - mruknął Candamir. - Co będziemy robić zimą? Głodować, jak sądzą. Będziemy się tutaj czuć zupełnie jak w domu...

Tu i ówdzie odezwały się śmiechy, ale Siward odparł gniewnie:

- Masz inną propozycję? Legenda mówi, że na Catanie nie ma śniegu. To, czego mamy się obawiać?

Ogień rzucał niespokojne, czarne cienie na jego twarz, która wyglądała na bardziej pomarszczoną, niż była w rzeczywistości. Kiedy stało się już jasne, dokąd dopłynęli, nawet Siward musiał w końcu przyznać, że ta podróż była w zgodzie z wolą bogów. Jego młoda, filigranowa żona Britta jakby w nagrodę za to pokonała gorączkę i zarówno Sakson, jak i Brygida byli przekonani, że przeżyje. Siward był jednak zniechęcony i skrzywiony jak zwykle. „Gdy siedzi taki przygarbiony z tą swoją kudłatą brodą i zwieszonymi ramionami, ma więcej z karła niż Berse” - pomyślał Candamir.

- Legenda mówi też, że na Catanie nie ma podobno niebezpiecznych zwierząt, a

sam dziś rano w lesie prawie wlażłem w łapy niedźwiedzia - wtrącił zniecierpliwiony

Ze zgrozy zamarło mu wtedy serce. Doszedł do jednego z licznych strumieni płynących przez las i zrobił sobie porządną kąpiel. Kiedy siedział później na brzegu rzeczki nagi - czyli też nieuzbrojony - aby wyschnąć w cudownych promieniach porannego słońca, na przeciwległym brzegu pojawił tamten kudłaty stwór, większy niż wszystkie niedźwiedzie, jakie kiedykolwiek spotkał. Gdy od morza zawiąła bryza, zwierzę od razu wyczuł intruza. Na szczęście ograniczył się do tego, że łypnął ciekawym okiem, po czym wsadził pysk do wody. Kiedy już się napił do woli, zniknął między drzewami. Candamir został jednak ostrzeżony.

- Ma rację - rzekła Brygida. - Legenda jest stara. Być może przekazywanie jej przez pokolenia zmieniło ją, a może ten kraj się zmienił. Tak czy inaczej, za mało wiemy o Catanie, żeby na czymkolwiek polegać.

Dwukrotnie odśpiewała im w całości pieśń o zatopionej wyspie. Była to wersja dłuższa od tej, którą opowiadała Asta, dłuższa również od tej, którą znała babka Asty i Candamira. O położeniu i właściwościach wyspy pieśń mówiła jednak niewiele, opowiadała za to szczegółowo o Odynie i albeńskiej córce Tanuri. Pieśń była smutna i piękna, ale większość pytań pozostała bez odpowiedzi.

Zamyślony Olaf obracał kosztowny pierścień na małym palcu, w końcu podniósł głowę i kiwnął do Siwarda.

- To racja, że musimy karczować, żeby zdobyć ziemię uprawną. Ale niekoniecznie przed pierwszym siewem.

Osmund leżał na ciepłym piasku oparty na łokciu i po raz kolejny podziwiał gwiazdy. Teraz się wyprostował.

- Jak to rozumiesz, stryju?

- Byłem kiedyś na południowym morzu, na wyspie, gdzie akurat zakładano osadę. Ludzie ci, a byli to Lombardowie, jeśli dobrze pamiętam, po przybyciu oczyścili na początek tylko poszycie i zasiali po prostu między drzewami.

Nastąpiło milczenie pełne zdumienia. Po czym odezwał się Siward:

- Ale między drzewami nie można ani orać, ani bronować!

Wciąż nie miał odwagi spojrzeć Olafowi w oczy. Chociaż ten zachowywał się tak, jakby się nic nie stało, to przecież nikt nie zapomniał, że Siward był jednym z tych,



którzy jeszcze trzy dni temu chcieli zabić bogatego kupca.

- Leśna ziemia była tak pulchna, że nie musieli jej orać, a tutaj jest taka sama - odparł Olaf. - Oczywiście nie można siać w równych rzędkach, jak jesteśmy przyzwyczajeni, a ponieważ ziarno będzie rosło w cieniu drzew, nie obrodzi tak dobrze, ale jest to możliwe. To lepsze niż nic.

- Prawda - zgodził się Candamir. Był za tym, aby jak najszybciej rozpocząć siew. Przede wszystkim jęczmień. Bez chleba mógł się obyć, ale nadeszła pora, aby znów zacząć warzyć piwo.

Olaf rozłożył ręce.

- Pozostaje tylko pytanie, gdzie.

Nastąpiła długa i gorąca debata. Siward, Eilhard i wielu innych ze starszego pokolenia chciało zostać przy zatoce, do której przywiódł ich Odyn, ponieważ od niepamiętnych czasów żyli w miejscach z widokiem na morze i nie chcieli zrywać z tą tradycją. Brygida była jednak temu przeciwna. W wyroczni widziała brzeg rzeki, z której bystrych nurtów wylaniała się wąska wyspa. Stwierdziła, że tam muszą się osiedlić. Młodzi zgodzili się z nią. Chcieli zbadać wyspę, aby sprawdzić, czy nie znajdą w jej głębi dużo lepszego miejsca na założenie osady. Pragnęli wytyczyć nowe szlaki.

Kiedy Candamir w końcu zaczął się wspinać ku jaskini, którą on i jego ludzie zamieszkiwali, był w nastroju euforii. Długo po tym, jak wszyscy poszli spać, siedział jeszcze z Osmundem na brzegu i wspólnie z nim snuł plany. Nazajutrz mieli wyruszyć na południe, aby zbadać teren w głębi wyspy. Równocześnie Berse chciał na „Wilku Morskim” - statku, który najmniej ucierpiał - opłynąć wyspę. Dopiero po ich powrocie mieli podjąć ostateczną decyzję w sprawie miejsca na założenie nowej osady. Co do tego zgromadzenie było zgodne i Candamir nie mógł się już doczekać jutra. Kiedy jednak rozpoznał oba cienie, które siedziały u wejścia do jaskini, twarz mu pociemniała.

- Czyż ci nie mówiłem, żebyś poszedł po świeże drewno, nicponiu? - Dostyc niedelikatny kopniak trafił Austina pod zebro.

Z powodu tonu Candamira również Siglind lekko się wzdrygnęła. Przypadek czy nie - kiedy się poruszyła, jej suknia o barwie czerwonego wina opadła na otwartą księgę i

całkowicie ją przykryła.

Austin pokazał na wejście do jaskini.

- Leży tam w środku, panie. W suchym miejscu.

- Hm... - burknął niezadowolony Candamir. - Moimi butami się zająłeś?

- Jeszcze nie - przyznał niewolnik. - Przepraszam, zapomniałem.

- To radzę ci to zrobić teraz.

Austin wstał, lecz zaoponował:

- Większość już położyła się spać...

Candamir zniecierpliwiony wzruszył ramionami.

- Nie obchodzi mnie, czy dostaną ci się cięgi, gdy pobudzisz ludzi. Jak zwykle zasłużyłeś sobie. Chcę jutro rano wyruszyć z Osmundem, aby zbadać wyspę, a do tego potrzebuję butów. - Jak niemal wszyscy, którzy żeglowali na „Sokole”, stracił buty podczas walki z żywiołem. - Postaraj się też o parę dla siebie, bo będziesz mi towarzyszył.

Sakson wyraźnie dostrzegł, że Candamir jest na niego zły, i choć nie rozumiał, dlaczego, bez słowa udał się na poszukiwanie jakiegoś hojnego dawcy butów. Candamir wychylił się przez skalną ścianę obok wejścia do jaskini.

- Późno się zrobiło - powiedział cicho. - I zbyt ciemno, żeby się bezpiecznie wspinać. Najlepiej będzie, gdy zostaniesz tutaj.

Nocne niebo zaciągnęło się chmurami, a półksiężyc był widoczny jedynie jako mleczna plama.

- Bardzo dziękuję - odparła chłodno Siglind. - W ciemności widzę równie dobrze jak ty i znajdę swoje posłanie, nie łamiąc sobie karku.

Nalegała, aby przeznaczono tylko dla niej jedną małą jaskinię, która znajdowała się nieco wyżej na stoku.

Candamir nie miał pojęcia, czym ją tak rozzłościł. Nie było to jednak dla niego nowe odkrycie, że często trudno zrozumieć kobiety. Uśmiechnął się skruszony.

- Jak chcesz. W takim razie pozwolę sobie tutaj poczekać, aż bezpiecznie dotrzesz na górę.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym jeszcze przez chwilę posiedzieć tutaj przy ogniu. - Nie mogła wstać bez ryzyka, że Candamir odkryje Biblię.

Zrobił zapraszający gest i usiadł ze skrzyżowanymi nogami. Widocznie postanowił dotrzymać jej towarzystwa. Siglind stłumiła westchnienie.

- Zamierzacie, więc pójść na poszukiwanie stosownego miejsca na nową osadę?

- Tak. A także, aby stwierdzić, jakie w tym kraju panują warunki, jakie zwierzęta są w lesie i tym podobne sprawy.

- Powinniście zabrać ze sobą kilka kobiet - poradziła. - Miejsce na nową osadę trzeba wybrać rozważnie i starannie. Kobiety widzą świat innymi oczami niż mężczyźni i uwzględniają rzeczy, które mężczyznom zapewne wcale by nie przyszły do głowy.

To samo mówiła wcześniej także Brygida.

- Pójdzie z nami Inga i Asi - oświadczył pośpiesznie.

- Znają się na korzeniach, ziołach. Nie tak dobrze jak Brygida, ale ona jest za stara, bogom dzięki.

Siglind nie zareagowała na tę prostą uwagę, odparła natomiast:

- Ja też pójdę.

Żadnego „jeżeli nie macie nic przeciwko temu” lub „gdybym mogła się przydać”.

Candamir opuścił wzrok i kiwnął głową. Wołałby, żeby została tutaj. Nie pozwalała mu zapomnieć, że jest królową Zimnych Wysp. W jego mniemaniu istniały trzy rodzaje kobiet. Młode, niezamężne dziewczyny trochę jak Inga. Niektóre w kontaktach z mężczyznami nieśmiałe, ze stale spuszczonego wzrokiem, inne - złe i być może nawet bezwstydne - kto jednak nie zamierza się z taką żenić, powinien trzymać się od niej z daleka. Następna grupa to mężatki i wdowy. Stosownie do wieku i pozycji traktuje się je z szacunkiem, nawet trochę flirtuje, przy czym zagadnienie, jak daleko można się posunąć, zależy wyłącznie od reakcji. Na koniec są jeszcze niewolnice. Z nimi jest najprościej. Można je brać, kiedy się chce, a one nie mogą stawiać żadnych wymagań. Oczywiście o zaufaniu czy nawet więzach przyjaźni, jakie można zauważyć u mężatek, które to cechy - jeśli Candamira nie myliła pamięć - łączyły również jego rodziców, w przypadku niewolnicy nie może być mowy. Kiedy jednak ktoś ma takie szczęście, jak on ze swoją Gundą, i potrafi być miły dla niewolnic, te osładzają życie.

Siglind nie należała do żadnej z tych kategorii. Candamir przyjął, że jest trochę jak wdowa, choć w odróżnieniu od wszystkich innych wdów nie spieszyło jej się znaleźć nowego męża, nie było też żadnego teścia czy wuja, który by ją do tego pogańał. To

Candamira dezorientowało, sprzeciwiało się jego poczuciu przyzwoitości i porządku. Ona zaś otaczała się swoją obcością i wyższością jak kolczugą. Być może tylko tyle. Być może było to wyzwanie, aby przez tę kolczugę się przebić, wyzwanie, które go podniecało i prowadziło do tego, że czasami był niespokojny i nie umiał zasnąć, gdyż wciąż o tej kobiecie rozmyślał. W każdym razie nie dawała mu spokoju. Z Osmundem działo się to samo, nie sposób było tego przeoczyć. To właśnie ten ostatni problem naprawdę Candamira niepokoił.

Ukradkiem ją obserwował. Siedziała nieruchomo przy ogniu, który jej jasnym włosom nadawał lekki czerwony połysk. Twarz miała zamyśloną, może nawet z wyrazem troski. Jakże była piękna. Zawsze, kiedy to sobie uświadamiał, czuł osobliwy ucisk w piersiach. Uczucie to było dla niego niesamowite, ponieważ dziwnie go osłabiało. Równocześnie zaś pragnął go.

Nagle Siglind uniosła nieco głowę i spojrzała na niego, jakby wyczuła jego wzrok.

- Co sądzisz o tym, że przygnało nas akurat na tę wyspę? - zapytała.

- Myślę, że to bardzo szczęśliwy traf - odpowiedział zgodnie z prawdą. - Obojętnie, co znajdziemy w głębi lądu, już tu, na brzegu, czuje się, że klimat jest łagodniejszy niż w starej ojczyźnie. Ziemia jest żyzniejsza. Jest mnóstwo wody. Ta kraina nie jest wrogiem ludzi, nie trzeba z niej w pocie czoła wrywać każdego kłosa.

- Z pewnością tak właśnie jest - przyznała mu rację. - Nie obawiasz się jednak, że Odyn zażąda za nią jakiejś ceny? Nie zastanawiasz się, dlaczego nas tu przywiódł?

Uśmiechnął się do niej.

- Może, dlatego, że ty przyłączyłaś się do nas. Zapewne zobaczył w tobie obraz Tanuri.

Szybko, prawie z przerażeniem, spuściła oczy. Jego uśmiech zrobił się jeszcze trochę szerszy i Candamir przeciągnął się szeroko.

- Cóż, jutro o wschodzie słońca ruszamy i będzie to z pewnością długi dzień. Skoro zaś ty, jak widzę, zdecydowałaś się wysiadywać na głupiej książce mojego Saksona jak kura na jajkach, ja idę spać. Dobranoc.

Siglind wyprostowała się i z niezadowoleniem zmarszczyła królewskie czoło. Z lodowatym spojrzeniem życzyła mu dobrej nocy, wstała z gracją ze skalistego podłoża i

bez pośpiechu skierowała się ku stromej ścieżce prowadzącej do jej grotty Candamir przez kilka chwil pozostał przyczajony w cieniu przy wejściu do jaskini, a gdy się upewnił, że wystarczająco się oddaliła, ponownie wyszedł, by śledzić jej wspinaczkę. Wdrapywała się szybko i zwinnie, nie wahając się mimo ciemności. Candamir odczekał, aż dźwięk jej stóp na skale ucichnie. Nasłuchując w ciszy, poczuł pierwsze, łagodne krople na twarzy. W pierwszej chwili pomyślał, żeby księżę Saksona zostawić na deszczu. Gdyby ją tak porządnie zmoczyło, z pewnością znikłyby te wszystkie bzdury i niebezpieczne historie w niej zawarte. Nie miał jednak serca, żeby to zrobić, bo przeczuwał, że to właśnie z tych osobliwych run jego parobek czerpie całą swoją siłę i cierpliwość. Przemógł, więc swoją obawę przed tym dziwnym podarkiem jego boga, podniósł księżę koniuszkami palców za brzegi drewnianej okładki i zaniósł do jaskini.

Ogień u wejścia rzucał migotliwe światło na prawie okrągłe pomieszczenie. W ciągu ostatnich dwóch dni służące nie próżnowały: z paproci i gałęzi przyniesionych z lasu przygotowały każdemu miękkie posłanie, a nawet uplotły parawan dający ich panu należne odosobnienie. Wielu ludzi uratowało z katastrofy „Sokoła” liczne koce i skóry, nikt, więc nie musiał się obawiać chłodu nocy. Było niemal przytulnie. Candamir wyczuwał nieruchome postaci wzdłuż wybrzuszonej ściany: Hacona, Astę z Fulcem i maleńką Hergildą, służbę w tylnej części jaskini, gdzie legowiska znajdowały się niżej, a powietrze było nieco ostrzejsze. Puste było jedynie posłanie Saksona.

Bezszelestnie wszedł za parawan, w zupełnych ciemnościach zrzucił ubranie i położył się. Zaszeleściło, gdy Gunda przewróciła się z boku na bok.

- Nie śpisz? - szepnął.

- Tak kopie dzisiejszej nocy. Myślę, że niebawem się i urodzi.

- Dobrze - mruknął. - Już nie mogę się doczekać.

Gunda uśmiechnęła się w ciemności. Wiedziała, że Candamir niecierpliwie czeka, aż ona urodzi dziecko, żeby wreszcie jej łono znów należało do niego, jak to ujął. Pochlebiali jej, że tak bardzo jej pragnął.

- Mam nadzieję, że to będzie syn - odezwał się nagle. - Jesteśmy małym narodem na nowej ziemi i musimy szybko się rozwijać. Mam nadzieję, że to będzie syn, Gundo.

- Też mam taką nadzieję.

Rzeczywiście modliła się codziennie do bogów, aby to był syn. Wiedziała

doskonale, że ma to ogromne znaczenie, że może wpłynąć na całą jej przyszłość.

O wschodzie słońca osiem osób wyruszyło w drogę. Dobra liczba, stosowna do okazji, jak stwierdziła Brygida, kiedy żegnali się z nią w porannej mgle na skraju lasu. Olaf zdecydował, że Jared również ma iść na zwiad, a także kował. Harald dołączył do grupy, ponieważ chciał zobaczyć, czy odkryje coś, co wskazywałoby na występowanie rudy. Miał na to ogromną nadzieję. Wiele narzędzi i broni o decydującym znaczeniu dla życia mieszkańców, zwłaszcza jego młot, kowadło i zapasy kruszywa, zatoneło razem z „Sokołem” w głębinach. Jak dotąd nikt poza nim nie uświadamiał sobie chyba, co to oznaczało, on zaś z nikim swoją troską się nie dzielił. Gdyby jednak nie znaleźli rudy żelaza, już następne pokolenie osadników Catanu nie będzie miało toporów do karczowania lasu ani pługów do uprawy ziemi. Żelazo, bowiem nieużywane rdzewieje, a używane ściera się. Żelazo zanika.

Candamir stał razem z Osmundem, Haconem i Astą i poruszał palcami u nóg, aby sprawdzić, jak leżą podarowane buty.

- Dobrze - ocenił i klepnął Austina w ramię tak, że chudy mnich mało nie upadł na ziemię. - W takich sprawach jesteś naprawdę użyteczny.

- Raduje się moje serce, że umiesz docenić moją służbę, panie - odparł Sakson nieco zgryźliwie. Mądrze przewidując, zatroszczył się również o buty dla Siglind i to zajęło mu połowę nocy. Tak jak się Candamir spodziewał, Austinowi dostało się przy tej okazji kilka kopniaków i ostrych słów. Austin wiedział od dawna, że szczodrość jest jedną z najpiękniejszych cech, jaką mają ci ludzie, i wielu z tych, którzy cokolwiek jeszcze zachowali z rzeczy zabranych z dawnej ojczyzny, chętnie dzieliło się z tymi, którzy żeglowali na „Sokole”. Równie jednak powszechna jak hojność była gwałtowność, która wybuchała szczególnie łatwo, gdy ktoś wyrywał ze snu rozbitków, wciąż jeszcze wyczerpanych.

- Candamirze, czy mogę jednak pójść z wami? - poprosił Hacon już po raz dziesiąty. Jego brat jednak przecząco pokręcił głową.

- Zostaniesz tutaj i pomożesz siostrze. Thorbjorn zgodził się, że weźmie cię ze sobą na ryby, żebyście mieli dosyć jedzenia, gdy mnie i Saksona nie będzie. Teraz to jest

twoje zadanie, Haconie, i chciałbym, żebyś przestał wreszcie się uskarżać i rzetelnie je wypełnić. Jasne?

Hacon spuścił wzrok.

- Tak.

- Dobrze. Masz robić to, co ci każe Asta. Podczas mojej nieobecności to ona zarządza domem. Lepiej, żebyś nie słyszał żadnych skarg na ciebie.

- Daj mu już spokój - poprosiła Asta z wyrozumiałym uśmiechem. - Bardzo mi pomoże, jestem pewna.

Wręczyła bratu węzełek: kilka kawałków suszonego mięsa w skórzanej sakiewce owiniętej kocem. To było wszystko, co zamierzał zabrać, poza sztyletem.

- Bracie - Asta stanęła na palcach i pocałowała go w policzek - uważaj na siebie. Osmundzie, Austinie, was też to dotyczy.

Dla przyjaciela brata i niewolnika także przygotowała węzełki na drogę, co zostało przyjęte z wdzięcznością.

- Już pora - pogonił ich kowal. - Ruszajmy

Brygida miała dla każdego ze zwiadowców pióro białego kruka na cienkim rzemyku z foczej skóry. Jeden po drugim skłaniali przed starą głowę, a ona każdemu wieszala na szyi tę osobliwą ozdobę.

- Oby w drodze towarzyszyła wam moc i mądrość Odyna - powiedziała, po czym szorstko i niezbyt uroczyście przegnała ich w las.

Ruszyli pełni ciekawości i chęci działania. Zaczęli się przedzierać przez drzewa w kierunku południowego wschodu. Ciemne poszycie lasu pokrywała miękka trawa, którą już znali, zarośla zaś, przynajmniej na początku, nie były szczególnie gęste, szło się więc dobrze. Osmund i Jared podążali na przedzie, za nimi szły Inga i Siglind, potem wędrowali kowal z żoną, a Candamir z Saksonem stanowili straż tylną.

Kiedy Austin przyspieszył kroku, żeby znaleźć się bardziej z przodu, Candamir chwycił go za rękę i pociągnął do tyłu.

- Zostań - szepnął. - Dokąd to?

Zdziwiony Austin uniósł brwi, ale odpowiedział chętnie:

- Do Ingi, panie. Umówiliśmy się, że razem będziemy wypatrywać dymnicy.

- Czego?

- Dymnicy. Leczniczej rośliny, która mogłaby pomóc na dolegliwości woreczka żółciowego ojca Ingi. Roślina ta jest dość rzadka, ale przy odrobinie szczęścia może gdzieś tu będzie kwitła...

Dłoń na przedramieniu Austina zrobiła się jak żelazny zacisk.

- Czy ty mnie masz za tak bardzo głupiego? - zapytał Candamir. Jego niebieskoszare oczy błyskały złowrogo.

- Panie? - Austin był beznadziejnie zmieszany.

- Może sądzisz, że jestem ślepy? Ciągnie cię w pobliże nie Ingi, lecz jej - Candamir dyskretnie wskazał kciukiem na Siglind, która przed nimi wdrapywała się na zwalone drzewo, rozmyślnie ignorując wyciągnięte ku niej pomocne dłonie zarówno Osmunda, jak i Jareda. - Nie mam zupełnie nic przeciwko temu, żebyś sobie wziął żonę - ciągnął Candamir cicho. - Ale rozglądaj się łaskawie wśród kobiet z twojej sfery. Żebyś cię już nigdy nie przyłapał w jej pobliżu, rozumiano?

Austinowi wreszcie zaświtało, o co jego panu chodzi. Ukradkiem westchnął.

- Panie, już wiele razy próbowałem ci wyjaśnić, że kontakty z kobietami są mi zakazane. Moje śluby...

- Przecież wlałeś jej prawie pod suknię - przerwał Candamir. - Jeśli jeszcze raz cię na tym złapię, to poznasz mnie ze strony, którą lepiej zostawić nieodkrytą.

Groźba była wypowiedziana bardzo poważnie i nie umknęło to Saksonowi. Zdumiony i nieco strwożony spoglądał bokiem na Candamira, ale na pozór nieporuszony odparł:

- Zupełnie źle zrozumiałeś sytuację.

- Była jednoznaczna!

- Nie, panie. Ja...

- Dość! - syknął Candamir. - Słyszałeś, co powiedziałem.

- Bardzo wyraźnie.

Candamir kiwnął głową.

- To nie zapominaj o tym.

Sakson zastanawiał się przez chwilę, czy nie wyjaśnić Candamirowi, czego



Siglind u niego szuka. Potem jednak uznał, że nie można ryzykować, bo nie sposób ocenić, jak Candamir by zareagował. Możliwe, że dopiero wtedy naprawdę by się rozłościł i zabronił swojemu niewolnikowi wszelkich kontaktów z królową Zimnych Wysp.

Candamir przestał zwracać uwagę na niewolnika i dołączył do Osmunda i Jareda. Austinowi nie pozostało nic innego, jak czekać, aż Siglind znajdzie się w towarzystwie kowala i jego żony, żeby dopiero wtedy zbliżyć się do Ingi i spełnić obietnicę. Tamtego ranka nie znaleźli jednak dymnicy.

W ciągu całego przedpołudnia teren się wznosił, ale poza tym prawie się nie zmieniał. Znajdowali się teraz w starym lesie mieszanym. Przeważały dęby nieznaney im odmiany, ale spotykali też znane im drzewa iglaste, a nawet - ku ich wielkiej radości - jesiony. Chociaż pora roku była wczesna, natura była już przebudzona i odkryli w wysokiej trawie mnóstwo kwiatów, które w większej części były im obce. Austin znał niektóre ze swojej ojczyzny widząc jednak wiele z nich, mógł jedynie wzruszyć ramionami. Niebo pozostawało niezmiennie błękitne, a kiedy słońce zaczęło się wznosić, młode liście błyszcząły i malowały na ziemi cudowny plamisty wzór ze światła i cieni. W lesie było ciepło i zwiadowcy chłonęli jego piękno w niemal nabożnym milczeniu. Wszędzie wokół nich coś szumiało i bzyczało. Las był pełen życia. Austin ostatni raz pojechał na polowanie, gdy był jeszcze chłopcem, przed wstąpieniem do klasztoru, teraz nie mógł, więc sobie przypomnieć, czego uczył go ojciec, odkrył jednak tropy jeleni, dzików i rozmaitej leśnej zwierzyny, a potem ślady kopyt, których rozmiar go przeraził, gdyż nie mogły pochodzić od tego małego byczka, jakiego Osmund przyprowadził z lasu pierwszego wieczoru na Catanie. Czyżby żubr? Albo nawet tur? Tego Austin nie wiedział, ale zachował swoje obawy dla siebie. Tak czy inaczej, mężczyźni trzymali broń w pogotowiu i czujnie wpatrywali się w cieniste gęstwiny. Choć nie byli doświadczonymi łowcami, wyczuwali przecież, że wszędzie wokoło pulsuje życie, i nie mogli przestać myśleć o niedźwiedziu, którego spotkał wcześniej Candamir. Nie wypatrzyli jednak niczego groźniejszego od wiewiórek - jednych czarnych, innych rudych - oraz mnóstwa ptaków.

Krótko przed południem trafili na strumień płynący mniej więcej w kierunku ich marszu i zdecydowali, że pójdą wzdłuż niego, gdyż w wodzie po kostki posuwali się dużo szybciej. Inga, Asi i Siglind szły w pobliżu brzegu, wciąż się zatrzymując i schylając nad każdą rośliną i każdym niepozornym krzaczkiem, jaki tam rósł. Często wpadały w zachwyty, bo Inga i żona kowala prawie wszędzie odkrywały skuteczne korzenie i zioła, które albo cieszą podniebienie, albo leczą gorączkę, bóle stawów i tym podobne rzeczy. Z kolei Siglind знаła się na roślinach, z których kwiatów lub owoców uzyskuje się barwniki do farbowania kolorowych sukien, cieszących się na Zimnych Wyspach dużą popularnością. Obiecała, że jeszcze przed zimą każdy będzie miał szatę tak czerwoną jak jej suknia.

- Dzięki, ale naprawdę nie trzeba - bronił się Candamir.

Inga i Siglind zaśmiały się na widok jego przerażonej miny.

- Czemu by nie? - zapytała Inga. - Mamy nową ojczyznę, cóż, więc przemawia przeciwko nowym szatom? Gdybyśmy wszystko mieli robić tak jak dawniej, mogliśmy zostać w Elasundzie.

- Opuściłem Elasund, bo pragnąłem przyszłości, nie czerwonych szat - odezwał się Osmund, ale zaraz dodał z niemrawym uśmiechem: - Z pewnością byłoby to piękne, gdybyście wy, kobiety, wszystkie odziały się w tak piękne barwy. Myślę jednak, że powinniśmy się trzymać naszych zwyczajów, Ingo. Dzięki temu nie zapomnimy, kim jesteśmy.

„Może nie wszystkich zwyczajów” - przemknęło przez głowę Candamirowi. To jednak chciał niebawem omówić z Osmundem w spokoju, gdy będą sami.

Kowal na razie pozwalał młodszym mężczyznom prowadzić grupę, a także zabierać głos. Teraz jednak przypomniał:

- Postarajmy się zajść jak najdalej. Na pewno nie zrobiliśmy jeszcze nawet pięciu mil.

Wszyscy przytaknęli i ruszyli dalej.

Mniej więcej godzinę przed zmierzchem opuścili strumień, wspięli się po stromym zboczu wzgórza i na jego szczycie, po raz pierwszy od wyjścia, znaleźli się na ogromnej polanie. Na jej środku wznosił się samotny dąb, który wydawał się wyższy niż

wszystkie pozostałe drzewa.

- Odpocznijmy tutaj przez noc - zaproponował Candamir i wszyscy przyznali, że to stosowne miejsce na obóz

Nikt o tym wyraźnie nie wspominał, ale nie było im pilno do nocowania w mrocznym lesie.

Gdy kobiety i Sakson wzięli się za wykopywanie płytkiego dołu pod ognisko, a Jared i Harald zbierali chrust, Osmund i Candamir podeszli do samotnie stojącego drzewa i spoglądali na nie w górę.

- Ty czy ja? - zapytał Candamir. Osmund zerwał dwa źdźbła trawy.

- Ten, kto wyciągnie krótszą.

Schował ręce za plecy i pomieszał źdźbła, a kiedy wyciągnął rękę, z kościstej pięści wystawały dwie zielone końcówki mniej więcej równej długości. Nie wahając się długo, Candamir wyciągnął pierwszą z brzegu. Osmund otworzył dłoń. Źdźbło, które na niej leżało, było dłuższe.

- Ty będziesz miał ten honor.

Przykucnął i splótł dłonie przed sobą. Candamir postawił na nich lewą stopę, wsparł się o gruby pień pokryty korą i wyciągnął się z pomocą Osmunda w górę tak wysoko, że udało mu się sięgnąć najniższego konaru. Teraz było już łatwo. Bez wysiłku podciągnął się w górę i znikł pośród gęstych liści szybko i zwinnie jak kot.

Drzewo było potężne, dostojne w swojej starości i miało grube konary także wysoko w koronie. W końcu jednak gałęzie zrobiły się zbyt cienkie, Candamir przemieścił się więc w bok, a kiedy wystawił głowę przez liście, znajdował się z pewnością na wysokości dziesięciu sążni nad ziemią i dobry kawałek wyżej od wierzchołków innych drzew. Powoli rozejrzał się dookoła.

Popołudnie było nadal jasne i bezchmurne, a widok był niezmacony. Jedyne na północy, nad morzem, które robiło wrażenie bardzo już odległego, unosiła się lekka mgiełka.

Panorama, jaką Candamir sobie zafundował, była tak piękna i różnorodna, że tylko rozglądał się z szeroko otwartymi oczyma. Las był ogromny. Najwidoczniej dotarli do najwyższego punktu - stąd teren we wszystkich kierunkach opadał i niełatwo było oceniać dystans, ale Candamir oszacował, że skraj lasu na wschodzie znajduje się w

odległości dwudziestu mil. Dalej rozciągała się trawiasta równina, aż do stóp szarego pasma gór. Potężna rzeka, która zdawała się spływać z tych gór kawałek dalej na południe, przecinała równinę szerokim korytem, po czym znikła w lesie.

Candamirowi zabiło serce. „To nasza rzeka - pomyślał. - Jeśli osiedlimy się na jej brzegu, na pewno już nigdy nie zabraknie nam wody”. Błyszczącymi oczyma wpatrywał się w szeroką, niebieskoszarą wstęgę. Wtedy, ku swojej dzikiej radości, na równinie wypatrzył stado zwierząt, które rozpoznał po sprężystych, trudnych do pomylenia ruchach: to były konie!

Skierował wzrok dalej na południowy zachód. Także w tym kierunku rozciągał się las daleko w głąb wyspy. Tam zaś, gdzie się kończył, zdawało się też kończyć wszelkie życie. Candamir zmrużył oczy. Miał świetny wzrok, ale dziwna, czarno-brązowa równina, którą tam niewyraźnie dostrzegał, była zbyt oddalona, żeby ją dokładnie rozpoznać. W natężeniu wpatrywał się w tamtym kierunku i wtedy dojrzał coś, co przeraziło go do tego stopnia, że wypuścił z ręki konar i się poślizgnął.

Znacznie szybciej, niż to sobie uświadomił, zamortyzował ciałem początek poślizgu i chwycił się konaru, zanim zrobił sobie krzywdę. Następnie z niezwykłą ostrożnością wdrapał się na niego. W końcu znalazł się znowu na konarze, na który wcześniej wspiął się z pomocą Osmunda, opuścił się z niego, chwilę się kołysał, po czym skoczył z wysokości ostatnich czterech czy pięciu stóp.

Pozostali oczekiwali go w napięciu.

- I? - zapytała Inga z zapartym tchem.

- Spadłeś? Tak dziwnie zaskrzypiało - dopytywała się badawczo Siglind.

- Są tu gdzieś góry? - chciał wiedzieć kowal.

- Jakież ślady osadnictwa? - wpadł mu w słowo Jared.

Candamir podniósł prawą rękę.

- Nie spadłem, a to, co widziałem, było dobre. Przynajmniej w większości.

Podszedł do ogniska i usiadł na kocu. Chociaż Candamir był oświetlony, tu, na dole, było już wyraźnie ciemniej niż nad drzewami. Zmierzchało i stwierdzili, że mrok nadchodzi tu o wiele szybciej niż w Elasundzie.

- Zjedzmy coś, póki jeszcze coś widać - zaproponował

Sakson, który wiedział z doświadczenia, że Candamir robi się bardziej

rozmowny, kiedy się pożywi.

Inni również zgromadzili się wokół małego ogniska, a Inga rozdała po małej porcji suszonego mięsa.

- Tak, są góry, Haraldzie - zaczął opowiadać Candamir. Pokazał na wschód. - Cały łańcuch, jak się wydaje, ale dosyć oddalone. - Opowiedział też o pozostałych obserwacjach. - Nie odkryłem żadnych śladów ludzkich osad, ale wyspa jest bardzo duża. Poza wybrzeżem na północnym zachodzie nie widziałem morza. Na południowym skraju lasu leży ziemia, która przynajmniej z daleka robi wrażenie pustej. Żadnych drzew, żadnej zieleni. Tylko góra, o której opowiada pieśń.

- Ognista góra? - podjął Jared. - Jesteś pewien?

Candamir lekko zmarszczył czoło.

- Nie, tak sobie tylko pomyślałem...

Na chwilę zapadło niezręczne milczenie.

- Cóż, właściwie to żadna niespodzianka - orzekł w końcu kowal w zadumie. - Wszystko inne było takie, jak opisywała pieśń. W każdym razie mniej więcej. Białe kruki. Żyzna ziemia. Bogactwo ptaków i roślin. Należało się, więc liczyć z tym, że będzie tu również ta góra, którą Odyn przebił swoją włócznie, prawda?

Wszyscy przytaknęli.

- Czy widziałeś dużo ognia? - zapytał Candamira Harald. - Czy strzelały w powietrze ogniste kule, czy wylewała się płonąca rzeka?

Młody człowiek pokręcił głową.

- Nie sądzę. Jak już mówiłem, góra jest bardzo, bardzo daleko. W środku opustoszałego terenu. Jednak wszystko, co zdołałem dostrzec, to słaby czerwony żar.

Miało to zabrzmieć uspokajająco, ognista góra wywołała jednak u wszystkich pewien niepokój. Z opowiadań marynarzy wiedzieli, że takie góry powodują trzęsienia ziemi i mogą wyrzucać z wnętrza ziemi trujące opary - łatwo stają się narzędziem gniewu bogów. Pozostają w niepokojącej sprzeczności z niezmienną stałością ziemi i morza. Sakson czytał kiedyś, że góry te, zwane przez ludzi wykształconych wulkanami, są podobno przejściem między światami, wiecznie ziejącymi bramami piekieł. Skoro jednak inni byli przekonani, że ogniste góry są dziełem Odyna, zdecydował się pozostawić swoją wiedzę dla siebie.

Candamir wrzucił gałąź do ogniska.

- Cóż, jak zawsze. Nie mamy żadnego powodu, żeby wędrować tak daleko czy w ogóle iść na południowy zachód. Może jutro rano ktoś z was wdrapie się na górę, aby się rozejrzeć, ale twierdzą, że nasza nadzieja leży na południu, na brzegu szerokiej rzeki.

Osmund potrząsnął głową.

- Mnie w zupełności wystarcza, że ty to widziałeś.

Było to proste stwierdzenie, nie mogło jednak stanowić przekonującego dowodu. Candamir, co do niego niepodobne, był przez chwilę zakłopotany, ale uśmiechnął się ukradkiem do przyjaciela z wdzięcznością.

Jared chyba rozważał, czy osobiście nie wyrobić sobie pojęcia na temat właściwości terenu i ognistej góry, wiedząc zapewne, że ojciec oczekuje tego od niego. Siglind przejęła jednak inicjatywę.

- I tak powinniśmy pójść w stronę tych gór - oświadczyła. Zdawała się nie widzieć nic niewłaściwego w tym, że nieproszona wtrąca się do męskiej narady. Na to pozwalały sobie jedynie starszki, jak Brygida, które były tak stare, że każdy okazywał im szacunek, niezależnie od tego, czy im się należał. Jared rzucił młodej cudzoziemce spojrzenie wyrażające zakłopotanie i niezadowolenie, którego ona albo nie zauważyła, albo z wyższością zignorowała. Kiwnęła głową w kierunku kowala.

- Zakładam, że nic o tym nie mówisz, bo nie chcesz na razie nikogo niepokoić, być może niepotrzebnie. Masz jednak rację, że nasza osada daleko nie zajdzie, jeśli nie znajdziemy żelaza, prawda?

Kowal zrobił wielkie oczy

- Skąd wiesz?

Siglind zrobiła nieokreślony gest. Często słyszała, jak Cnut naradzał się ze swoim administratorem, i dowiedziała się przy tym wielu najróżniejszych rzeczy. Na przykład tego, że Zimne Wyspy z powodu braku własnych złóż rudy są bezbronne. Wiedziała, że żelazo jest podstawą dobrobytu i władzy.

- Widziałam ładunek „Sokoła” - odparła. - Czy aby nie jest tak, że wszystkie wasze zapasy i narzędzia razem ze statkiem poszły na dno?

Harald wzruszył ramionami i skinął głową.

- Masz zupełną rację - odpowiedział i w końcu opowiedział wszystkim, co go

niepokoiło.

Candamir i Osmund spojrzeli na siebie ze zgrozą. O tym nigdy nie myśleli. W Elasundzie kowal raz na rok chodził w góry, gdzie u chłopów, którzy mieli kilka kamienistych mórg, ale utrzymywali się głównie z wydobycia rudy, kupował roczny zapas surówki. Żelazo było zawsze czymś oczywistym, bo nigdy go nie brakowało. Dlatego dotychczas po prostu nie wpadli na to, że jego brak może stanowić kłopot.

Ponure milczenie pogłębiło się wraz z zapadnięciem zmroku.

- Ale, Haraldzie, co... Co z nami będzie, jeśli na Catanie nie znajdziemy rudy żelaza? - zapytała wreszcie cicho Inga. Nie sposób było nie zauważyć strachu w jej głosie, a Jared przysunął się do niej bliżej i troskliwie okrył jej ramiona kocem. Robiła wrażenie, jakby wcale tego nie zauważyła. Kowal uśmiechnął się do niej przez żar ogniska.

- Nie sądzę, że będzie tak źle, moje dziecko. Przypomnij sobie słowa pieśni. Olbrzymy, także sam Odyn, którzy tę krainę wymyślili i stworzyli, niczego tak nie kochali, jak pięknej broni. To oznacza, że pobłogosławili te góry bogactwem złota i rudy. Pytanie tylko, gdzie je ukryli...

Mina Ingi wskazywała, że trochę ją to pocieszyło, a Candamir stwierdził, że jego też. Kiedy nieco później zawinął się przy dogasającym ognisku w swój koc, szybko zasnął i śnił o dzikich koniach, które widział na zielonej równinie.

Następnego ranka zgodzili się na propozycję Candamira - pójść możliwie dokładnie na południe, aby dotrzeć do brzegu rzeki, ich poszukiwania miały jednak przede wszystkim na celu znalezienie odpowiedniego miejsca na osadę. W miarę upływu dnia teren całkowicie się zmienił. Im dalej od morza, tym las był starszy, a ziemia wilgotniejsza. Wszędzie spotykali stawy i małe spokojne jeziora, zaczęli się, więc już martwić, czy teren nie zrobi się bagnisty. Gęsty podrost lasu z dzikiego bzu, jeżyn i nieznanych zarośli mocno utrudniał marsz, a roje much brzęczały im nad głowami. Był to męczący dzień, nikt jednak się nie skarżył.

Ich skromne zapasy żywności zaczynały się kończyć, ale na razie nie musieli się obawiać głodu, gdyż zarówno Candamir, jak i Osmund, a także młody Jared byli

wyćwiczeni w łowieniu ryb oszczepem, w leśnych potokach roilo się zaś od pstrągów. W krótkim czasie nałapali tyle ryb, że wszyscy mogli się najeść do syta. Była to miła odmiana po znieawidzonym już suszonym mięsie.

Po południu trzeciego dnia dotarli wreszcie do rzeki, którą Candamir widział wcześniej z drzewa. Ponieważ zboczyli nieco na zachód, poszli w górę jej koryta, aż dotarli do łagodnego zakola, a las się w końcu przerzedził. Małe kępy sosen i brzoź zamykały polanę, dalej robiły się coraz rzadsze.

W końcu zatrzymali się i, mając las za plecami i rzekę po prawej, spojrzeli na pagórkowatą okolicę. Daleko na wschodzie dostrzegali na horyzoncie niewyraźną zasłonę niebieskawej mgły

- Czy to są te góry? - zapytała Inga.

- Tak sądzę - odparł kowal. - Daleko to? Jak myślisz, Osmundzie?

Osmund podniósł rękę do oczu.

- Trzy dni. Może cztery

Patrzył na rzekę, która mniej więcej kilkaset sążni w dół rozwidła się, żeby opłynąć zalesioną wysepkę w kształcie statku. Potem spojrzął na rozległą równinę i łagodne wzgórza, rozciągające się między skrajem lasu i podnóżem góry Inaczej sobie wyobrażał „kraj zieleni”. Podłoże składało się tu najwidoczniej z jasnego wapienia, który wszędzie przeświecał przez cienką warstwę ziemi. Ciemna, wysoka trawa rosła nieregularnymi kępami. Osmund schylił się i wziął źdźbło trawy między palce.

Nawet Candamir był rozczarowany

- Z daleka wyglądało to lepiej - westchnął. - Tu na pewno nie urośnie zboże.

Osmund potrząsnął głową.

- Za to w lesie ziemia jest doskonała. Nie zostaje nam nic innego, jak wykarczować pola. No, Candamirze, nie rób takiej miny Właściwie liczyliśmy się przecież z tym, że będziemy musieli nasze pola odebrać lasom.

- Jeśli tu się osiedlimy, będziemy przynajmniej mieli pastwiska dla bydła - wtrącił Jared. - Możemy zacząć karczowanie tutaj i zbudować drewniane domy zaraz przy rzece.

- Nie za blisko rzeki - ostrzegła Siglind. - Zakładając, że zimą w tych górach leży śnieg, to wiosną rzeka wystąpi z brzegów i, jeśli będziemy za blisko, porwie nasze spichlerze.



Candamir obserwował ją ukradkiem kątem oka. Stała wyprostowana i osłaniała oczy szczupłą dłonią. Palce miała długie, skórę niemal białą. Łagodny wiatr przesunął jej na twarz kilka kosmyków jasnych włosów. Niecierpliwe odgarniała je z powrotem prawą dłonią.

- Na drugim brzegu trawa wygląda na bardziej zieloną - zauważyła.

- Zawsze się tak wydaje - powiedział sucho Osmund.

- Ale nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy się rozejrzeli na drugim brzegu.

Popłynę tam i obejrzę sobie.

Zzał pożyczone buty. Candamir poszedł za jego przykładem.

- Płynę z tobą.

Zeszli razem na płaski brzeg i przez chwilę w zamyśleniu spoglądali na rzekę, która miała tu około dwustu sążni szerokości.

- Mój ojciec zwykł powiadać: przez nieznane rzeki najlepiej przeprować się na tratwie - powiedział Candamir. Jego ojciec znał mnóstwo mądrych porzekadeł i chętnie przytaczał je zawsze wtedy, kiedy chciał swojego beztroskiego syna uczynić ostrożniejszym. Osmund skinął głową.

- Twój ojciec był mądrym człowiekiem. W obcych rzekach łatwo utonąć.

- No.

Spojrzeni na siebie, zaśmiali się i wskoczyli do wody.

W tym samym czasie inni badali brzeg i skraj lasu. W trzcinach gnieździło się wiele ptaków, Inga i Siglind zebrały, więc kilka jajek.

- Nie mam nic przeciwko pstrągom - oświadczyła Siglind. - Są o niebo lepsze od suszonego mięsa. Ale czy jest coś smaczniejszego od jajka?

Wzięła jedno, ostrożnie przebiła cieką skorupkę koniuszkiem małego palca i ze smakiem wyssała zawartość.

- Hm... Cudowne. Musisz spróbować, Ingo - powiedziała zachęcającym tonem i podała dziewczynie małe, zielono nakrapiane jajko jakiegoś wodnego ptaka, ale Inga nawet nie spojrzała. Jej wzrok był skierowany na rzekę, a oczy miała przymrużone, jakby czegoś szukała na drugim brzegu. W końcu z ulgą odetchnęła.

- Widzę ich. Obu - pokazała palcem.

Siglind także spojrzała i dostrzegła dwie postaci, które nachylały się nad czymś,

co odkryły w trawie. Były zbyt daleko, żeby je rozpoznać, ale jedna czupryna była czarna, a druga jasna jak pszenica.

- I? Którego z nich dwóch pragniesz? - zapytała Inga z zainteresowaniem.

Dziewczyna lekko się zarumieniła, chętnie jednak odpowiedziała.

- Osmunda... - Wciąż spoglądała w jego kierunku, a jej piękne błękitne oczy błyszczały. Potem jednak z westchnieniem odwróciła wzrok. - Obawiam się tylko, że nic z tego nie będzie.

- Czemu tak myślisz?

- Jego żona zmarła już pół roku temu. Dość czasu, by poprosić ojca o moją rękę. A on nawet na mnie nie patrzy.

- Czego nie można powiedzieć o Jaredzie - zauważyła starsza z nich sucho.

Inga przytaknęła, wzięła wreszcie jajko, które Siglind jej dawała, i pogładziła palcem szorstką, cieniutką skorupkę.

- Otóż to. Jared chce mnie, ja chcę Osmunda, a Osmund pragnie ciebie. Jestem pewna, że bogowie śmieją się do łez.

Siglind nie dała się zwieść pozorom swobody. Wcale nie tak dawno sama przecież miała czternaście lat i marzyła o błękitnookim bohaterze o silnych ramionach i łagodnym sercu. Chociaż jej marzenie się nie spełniło, ale zamieniło w koszmar, wiedziała przecież dokładnie, jak bezbronnym i wrażliwym jest się w tym wieku. Wzięła dłoń Ingi i uścisnęła.

- Z mojej strony nie masz się, czego obawiać. Nie jestem zainteresowana twoim Osmundem.

Inga spojrzała na nią, jakby chciała wyczuć, czy Siglind mówi prawdę, a potem uśmiechnęła się z ulgą.

- Zatem Candamirem?

Jednak królowa Zimnych Wysp stanowczo pokręciła głową.

- Nie chcę już żadnego męża.

Inga poruszona milczała przez chwilę, po czym zapytała:

- Ale... Dlaczego nie?

Siglind uniosła kącik ust. Miało to wyglądać na rozbawienie, ale na Indze zrobiło to raczej wrażenie gorzkiego uśmiechu. Nie otrzymawszy odpowiedzi, ciągnęła:

- Czy nie uważasz, że wszystkie kobiety niezamężne mają obowiązek możliwie szybko znaleźć męża i mieć dzieci? Jest nas tak mało w tak wielkim, obcym kraju. Nasz lud musi jak najszybciej się rozwijać.

- Tak, oczywiście. Ale ja nie należę do waszego ludu, Ingo.

Poza tym Cnut tak długo usiłował bezowocnie uczynić ją ciężarną, że nabrała już przekonania, że i tak nie może sprawić, że zwiększy się liczba członków tego ludu.

- Skoro sądzisz, że nie jesteśmy dość dobrzy dla ciebie, to, czemu popłynęłaś z nami? - zapytała Inga.

Nie było w tym ani urazy, ani wścibstwa, a jedynie zdziwienie. Siglind pokręciła przecząco głową.

- Jakże mogłabym tak sądzić? Możesz być pewna, że byłabym bardziej dumna, będąc żoną dobrego rybaka niż złego króla. Nie, nie, zupełnie nie o to chodzi! - Nie wiedziała, jak wyjaśnić Indze powody swojej decyzji, nie budząc w niej równocześnie obawy przed małżeństwem. - Ja... ja byłam mężatką przez cztery lata i stwierdziłam, że to nie jest życie dla mnie. Nie tylko ja tak przecież myślę. U was też od czasu do czasu zdarzają się wdowy, które już nie wychodzą za mąż, prawda?

Inga przechyliła głowę.

- Rzadko. Ale masz rację, to się zdarza.

- Sama, więc widzisz.

- Ale czego pragniesz zamiast tego?

- Nie wiem - odparła Siglind. - Myślę, że musi istnieć jeszcze coś innego. To przecież nie może być wszystko, prawda?

- Łoboda? - nierozumiejąc, Jared zapytał Saksona. - Cóż to takiego ta łoboda?

Zgromadzili się pod drzewami, bo zbierało się na deszcz. W osłoniętym rowie na skraju lasu rozpalili ognisko, a Austin i kobiety badali, co tu rośnie.

- Łoboda jest trochę jak kapusta - odparł Sakson. Nie było to jednak trafne porównanie. Przez chwilę się zastanawiał, jak rzecz wyjaśnić. - Kiedy zbiory grochu i fasoli są marne, ludzie jadają czasem gotowane pokrzywy, prawda?

Jared skrzywił się w wiele mówiący sposób, ale przytaknął.

- Łobodę można właśnie porównać do pokrzywy, ale łoboda jest smaczniejsza. Wyrasta na wysokość człowieka, a zerwana rośnie znowu, i tak ciągle, aż przyjdą mrozy.

- Czyli tę samą roślinę można zbierać wielokrotnie? - dopytała się Inga, niepewna, czy dobrze zrozumiała.

Austin skinął głową.

- Jeśli ma się na to ochotę - dodał. - Bo znowu taka smaczna to ona nie jest.

Asi, zaciekawiona, podeszła bliżej, obejrzała roślinę, przy której stali młodzi, i rzekła zdecydowanie:

- To nie ma znaczenia. Tak czy inaczej, oznacza to, że będziemy mieli, co jeść. Będziemy mogli najść się do syta, zanim zbierzemy pierwsze zboże.

- Tak - Austin, który kuczał i badał liście, znów się wyprostował. - Jeśli to rzeczywiście jest łoboda.

- Mówiłeś przecież, że znasz tę roślinę ze swojej ojczyzny Wy, cudzoziemscy niewolnicy, naprawdę wszyscy jesteście tacy sami - burknęła Asi. - Najpierw zgrywacie nie wiadomo, kogo, a potem nic nie wiecie.

Sakson wiedział, że Asi to w gruncie rzeczy dobra dziewczyna. Przypuszczalnie jednak przerażała ją ten nowy kraj i cała niepewność z nim związana, wzięła mu, więc za złe, że najpierw zrobił jej nadzieję na trochę pewności, a zaraz potem postawił to pod znakiem zapytania. Uśmiechnął się ze skruchą i wyjaśnił:

- Wiesz, istnieje wiele różnych gatunków tej rośliny i nie jestem całkiem pewien, czy ta tutaj należy do jednego z nich. Najgorsze jest to, że istnieje też chwast, który ma takie same trójkątne liście, a jest dosyć trujący.

- Cóż, jest bardzo prosty sposób, żeby ustalić, z którym gatunkiem mamy do czynienia. Wystarczy spróbować - oświadczył Jared i zrobił zapraszający gest w stronę Austina. - Zawsze jest bardzo praktycznie mieć przy sobie jakiegoś niewolnika. Nigdy nie wiadomo, do czego może się przydać.

Nie mówił tego poważnie i wszyscy się roześmiali, Austin im jednak nie zawtórował. Nagłym ruchem skoczył do Jareda, wyrwał mu ze słabo zaciśniętej dłoni krótki oszczep i tak gwałtownie młodzieńca popchnął, że ten upadł na ziemię. Wszystko nastąpiło tak szybko, że nikt nie zdążył Saksona powstrzymać, gdy ten uniósł broń nad prawe ramię i rzucił z zadziwiającą siłą. Przerazona Siglind zachłysnęła się powietrzem,

a Inga wydała stłumiony okrzyk. Jednak to nie Jared leżał w trawie śmiertelnie ugodzony, ale wielka, czarna locha. Oszczep tkwił w jej szerokiej piersi, ona zaś, z budzącą grozę siłą właściwą tym zwierzętom, zdołała jeszcze przetoczyć się na drugi bok. Wszyscy odskoczyli, kiedy próbowała wstać na nogi. Potem jej małe, ciemne oczy znieruchomiały i zrobiły się szkliste. Locha leżała bez ruchu.

Austin odetchnął po długim wstrzymywaniu powietrza i wyciągnął do Jareda rękę.

- Przepraszam. Ale stałeś do niej plecami, a ona wyskoczyła z krzaków tak niespodziewanie i z taką prędkością, że nie miałem czasu cię ostrzec.

Jared zignorował wyciągniętą rękę i skoczył na równe nogi. Twarz miał zaczerwienioną i rzucił szybkie spojrzenie na Ingę i Siglind, te jednak wpatrywały się w zabitego potwora.

- Na wszystkich bogów, jakże ona jest wielka - mruknęła Inga, cała drżąca. - I jaka paskudna.

Siglind przyznała jej rację.

- Skąd, u diabła, tak nagle się wzięła?

Austin wskazał na drzewa.

- Na pewno ma tu gdzieś w pobliżu warchlaki i poczuła się zagrożona naszą obecnością. Kiedy mają młode, są naprawdę niebezpieczne, gdyż... - Urwał, bo poczuł nagle na ramieniu czyjąś dłoń i ją stracił. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć czy zrobić, Jared zdzielił go pięścią w brzuch. Mnicha zatkało, upadł na kolana, skulił się i zaniósł się zdławionym kaszlem.

- Co ci przyszło do głowy, żeby mi wyrywać broń, ty łajdacki karle? - warknął Jared i kopnął go w bok.

- Jaredzie - napomniał kowal. - Zostaw go w spokoju. On najprawdopodobniej ocalił ci życie, ty głupi smarkaczu.

Ta przemowa nie nastroiła Jareda bardziej pokojowo, a nie umiał postępować z niewolnikami inaczej niż tak, jak nauczył go ojciec. Raz jeszcze kopnął Saksona z całej siły, aż ten upadł na ziemię i uderzył twarzą w jeden z licznym odłamków skalnych, które leżały tu rozrzucone.

- Może byś łaskawie odpowiedział! - Jared zrobił krok w jego kierunku, jakby mu

jeszcze nie było dość, ale ktoś mocno chwycił go za łokieć i odciągnął do tyłu.

- Nie może odpowiedzieć, póki brak mu powietrza, prawda? - powiedział Candamir. Cały mokry pojawił się nagle jak spod ziemi. Jared wyrwał się ze złością.

- Twój niewolnik jest arogancki i bezczelny Candamirze! Nie umie się zachować. Ojciec ma rację!

Candamir przyjrzał mu się z wyrazem pogardy.

- Tak, jestem przekonany, że każdy z twoich niewolników przyglądałby się z należnym szacunkiem, jak dzik cię wdeptuje w ziemię.

Jared oskarży cielsko wskazał palcem na nieruchomą postać na ziemi.

- Podniósł na mnie rękę. Żądam, aby tę rękę stracił.

- Jesteś nieobliczalny.. - Candamir odwrócił się od niego z niesmakiem.

Jared patrzył na jego plecy, potem na niewolnika na ziemi, a dłoń błędziła mu w kierunku pochwy ze sztyletem.

- Jaredzie! - odezwał się ostro Osmund, który, cały mokry jak Candamir, stał obok niego. - Sądzę, że to ty jesteś osobą, której brak szacunku.

Jared prychnął ze złością, ale opuścił rękę.

- Możesz być pewien, że mój ojciec się o tym dowie, Candamirze - zagroził cicho.

- Och, oczywiście. Na pewno będzie dumny z tego, jakie męstwo tu dziś pokazałeś - odrzekł Candamir, nachylił się nad Saksonem i odwrócił go na plecy - Do licha - niewolnik miał rozbity nos, który teraz bardzo mocno krwawił. - Czy to przejdzie?

Pod wpływem szlacheckiej dumy raczej niż mnisiej cierpliwości strząsnął Austin z ramienia jego pomocną dłoń, wstał niepewnie i chwiejnie skierował się ku rzece.

- Nie wpadnij do wody! - zawołał za nim Candamir. Już zmierzchało, a brzeg był w niektórych miejscach zdradziecki. Odpowiedzi nie było. Candamir cicho westchnął, spojrzał na martwą lochę i powiedział ze wzruszeniem ramion:

- Przynajmniej wiemy teraz, czym się dziś i jutro najemy - Zdjął z siebie mokre ubranie i starannie rozwiesił na gałęzi. Było wytarte i dziurawe, ale jedyne, jakie miał. - No, bierzmy się za lochę. Musimy ją przynajmniej stąd zabrać, zanim się ściemni.

Przyłapał Siglind na tym, jak spojrzeniem pełnym zarówno fascynacji, jak i odrazy wpatrywała się w jego bliznę nad pępkiem. Skrępowany dotknął szramy dłonią i

powiedział z ironią:

- Mam ich jeszcze kilka. Pokazać?

Przyłapana drgnęła, uśmiechnęła się z nie mniejszym zakłopotaniem i zdecydowanym krokiem podeszła do martwej lochy Inga poszła za nią.

- Biedne prosiątka - mruknęła.

Mężczyźni wyśmiali ją.

- Nazywają się warchlaki - objaśnił ochoczo Osmund. - Jeżeli szczęście nam dopisze, przyjdą tu w poszukiwaniu matki. Wtedy będziemy mogli je wyłapać i także zabrać ze sobą. Nie sądzisz, że ludzi uradowałaby taka delikatna pieczeń?

Spojrzała na niego z wyrzutem.

- Jesteś bez serca. Pokręcił przecząco głową.

- I tak by nie przeżyły. Są zdane na matkę.

Była przy nich Asi, grzebiąca w swoim zawiniątku, które było większe od pozostałych i zawierało najbardziej niewiarygodne skarby

- Z ludzkimi dziećmi nie jest właściwie inaczej, mój drogi - mruknęła. W końcu z uśmiechem triumfu wydobyła na światło dzienne to, czego szukała: silny rzemień z foczej skóry. Związali nim tylne nogi lochy, przetrzucili przez grubą gałąź i podciągnęli w górę. Harald, Candamir i Osmund musieli ciągnąć wspólnie. Zwierzę było większe i cięższe od każdej świni, jaką kiedykolwiek mieli okazję sprawić.

- Jaredzie, przestań marudzić, chodź pomóc - polecił zniecierpliwiony Osmund.

Jego młody kuzyn usłuchał w milczeniu. Ponieważ na podwórzu jego ojca ubito więcej zwierząt niż u kogokolwiek innego, dysponował największym doświadczeniem i podjął się zadania rozcięcia gardła i brzucha dzika w celu spuszczenia krwi. Wymagało to pewnej wprawy, jeśli nie chciało się przy tym skąpać we krwi. Jared dał sobie z tym radę elegancko i bez wysiłku, czym zasłużył sobie na pomruki uznania trzech kobiet. To poprawiło mu humor, ale przez cały wieczór był bardziej milczący niż zwykle.

Trzewia, poza wątrobą i nerkami, spalono. Również serce Candamir odłożył na bok na warstwę dębowych liści, ponieważ należało się ono Saksonowi, gdyby je zechciał. Kiedy dokończyli dzieła, było już dawno po zmroku, zdecydowali więc odłożyć dalsze prace na następny dzień. Harald tak długo dłubał sztyletem przy martwym zwierzęciu, aż odciął oba udźce, które upieczono nad ogniem. W tym samym czasie Osmund i

Candamir opowiadali, co znaleźli na drugim brzegu.

- Miałaś rację, Siglind - zaczął Osmund. - Trawa jest tam rzeczywiście bardziej zielona, bo gęstsza i grubsza. Zapewne, dlatego, że ziemia jest lepsza.

- Chyba jednak nie jest tak naprawdę dobra - wtrącił Candamir. - Nie jestem pewien, czy warstwa na skałach jest wystarczająco gruba, żeby dało się orać. Nie mamy też zwierząt pociągowych. Ale możemy spróbować tam coś zasiać. Sądzę, że plony byłyby lepsze, niż gdybyśmy, jak ci Lombardowie, hodowali zboże w cieniu drzew.

- Ale jeśli tak zrobimy i próba się nie powiedzie, stracimy nasze cenne ziarno pod siew - sprzeciwiła się Asi.

Candamir przytaknął.

- Wiem. Tę ziemię muszą dokładnie obejrzeć Olaf i Siward. Z nas wszystkich oni mają największe doświadczenie w uprawie zboża.

Przez chwilę rozważali wszystkie za i przeciw, aż wreszcie udźce były upieczone na chrupko. Asi odcięła mięso od kości, dała każdemu po kawałku i odłożyła jeden dla Saksona, który nadal nie wracał. Jedli w milczeniu, całą uwagę skupiając na aromatycznym smaku dziczyzny. W końcu Harald oblizał ze smakiem palce i powiedział:

- Trawa po tej stronie jest wystarczająco dobra, żeby paść bydło, a po drugiej stronie tak samo. Mamy rzekę, dającą nam wodę i żywność, las pełen drewna do budowy i pod nasze przyszłe pola. Jeśli w tych górach znajduje się ruda żelaza, to przecież nie jest to daleko. Sądzę, że znaleźliśmy miejsce na naszą nową osadę - zakończył, a zabrzmiało to niemal uroczyście. Wszyscy pokiwali głowami, tylko Candamir miał zastrzeżenia:

- Berse i wielu innym nie spodoba się, że to miejsce jest oddalone od morza o dwa i pół dnia marszu. Będą mieli rację. Dotychczas żyliśmy z tego, co dawało nam morze. Oczywiście możemy łowić ryby w rzece, ale co z wątluszem i dorszem? Przede wszystkim ze śledziem? Co z fokami? Mamy zrezygnować z tego wszystkiego?

Po raz pierwszy od wielu godzin głos zabrał Jared.

- Musimy się z tym liczyć. Ojciec mówił, że tu w ogóle nie ma fok, bo one lubią zimne wody mórz północnych. Za to będziemy mieli więcej zboża niż wcześniej i więcej bydła.

Po prostu musimy się przestawić.

- Otóż to - potwierdził kowal. - Poza tym wcale nie wiemy, czy rzeczywiście



morze jest odległe o dwa i pół dnia, Candamirze. Być może jest jakiś bliższy brzeg od tej zatoki, gdzie dopłynęliśmy. Poza tym...

- Trzeba tylko pójść w dół rzeki - wtrącił Osmund rozbawiony, że nikt nie wpadł na coś tak oczywistego. - Jak powszechnie wiadomo, rzeki płyną ku morzu. Ta jest bardzo głęboka. Jeżeli między tym miejscem a wybrzeżem nie ma żadnych wodospadów czy przełomów, statki będą mogły wiosłować w górę rzeki i prosto do wioski przywozić to, co wyłowią w morzu. Musimy tylko zbudować przystań, która oprze się nurtowi.

- Thorbjorn i Haldir muszą przecież wiedzieć, jak to się robi - powiedziała Inga. - W końcu synowie Eilharda w dawnej ojczyźnie mieszkali w jednej z nadrzecznych osad i mieli tam przystanie dla swoich wielkich statków.

Wszyscy przytaknęli.

- Zatem jutro musimy się rozdzielić - zaproponował Harald. - Ja pójdę w góry. Jedno lub dwoje z was powinno mi towarzyszyć. Pozostali wrócą na wybrzeże, opowiedzą, co znaleźliśmy, i przyprowadzą tu naszych ludzi.

- Ale, Haraldzie, co będzie, jeśli nie znajdziesz rudy? - zapytał Osmund.

- Wtedy będzie musiała wyruszyć następna grupa zwiadowców i przeszukać całą wyspę, choćby to miało trwać i rok. Tak czy inaczej, powinniśmy się osiedlić tutaj. To dobre miejsce.

W tej sprawie wszyscy byli jednomyślni.

- Co zapewne nie powstrzyma mojego ojca, Haflada i innych grymaśników przed wytknięciem nam wszystkiego, co w tym miejscu nie jest doskonałe - westchnęła Inga.

Harald, siedzący po przeciwnej stronie ognia, uśmiechnął się do niej.

- Trzeba się z tym liczyć.

Łagodny, cichy deszcz, który padał już od dłuższej chwili, odnalazł już drogę przez liściasty dach i kapał z sykiem na ogień. Wiatr był jeszcze słaby, ale zrobiło się nieprzyjemnie. Inga owinęła się w koc.

- Och, to będzie spokojna noc - mruknęła kwaśno.

Inni także w miarę możliwości przygotowali się na mokrą noc, a Siglind szepnęła do Candamira:

- Nie ma go już ponad dwie godziny

- Kogo? A, mojego Saksona. Przecież wróci. Stąd nie może mi uciec, prawda? -

rozwinął swój koc i na próżno szukał wzrokiem jakiegoś suchego kawałka ziemi.

- Skoro ty za nim nie idziesz, ja to zrobię - oświadczyła zdecydowanie.

Candamir uniósł brwi.

- Mając nadzieję, że wszystkie niedźwiedzie i inne dzikie zwierzęta przed jej królewską wysokością padną na kolana?

- Jest tam sam i bez broni - syknęła.

- Z własnej woli - odparł. - Są chmury i jest przeraźliwie ciemno. Jak go znaleźć?

Prychnęła pogardliwie i wstała.

- O, potężny Tyrze, naucz mnie cierpliwości - warknął Candamir, ale wstał i powstrzymał ją gestem. - Zostań. Ja pójdę.

Gdy tylko oddalił się na dwadzieścia kroków od ogniska, nie widział już własnej wyciągniętej ręki. Deszcz był nadal drobny, ale nie było widać ani księżyca, ani gwiazd. Candamir bezradnie skierował się ku rzece, której chlupot i plusk słyszał w ciemności, potknął się o korzeń, zaplątał się w gałęzie i przeklął Siglind. Pewnie nigdy by Saksona nie znalazł, gdyby ten już godzinę temu nie wrócił z rzeki. Mając ognisko w zasięgu wzroku, przysiadł sobie pod gęstą koroną buka czerwonolistnego. Ziemia była tu prawie sucha.

- Jeszcze jeden krok, panie, a potkniesz się o moją nogę - ostrzegł cicho.

Candamir przerażony odskoczył i zaczął go wypatrywać. Kiedy odkrył, gdzie siedzi, kucnął przy nim.

- Co cię napadło, żeby oddalać się na tak długo? - tłumił w sobie krzyk. - Chcesz się zabić?

- Nie. Taka myśl od czasu do czasu wydaje się ponętna, ale moja wiara mi tego zabrania - miało to zabrzmieć ironicznie, ale ponieważ było tak ciemno, że nie widzieli nawzajem swoich twarzy, Candamir usłyszał, jak bardzo przybity czuje się jego niewolnik.

Na chwilę położył mu dłoń na ramieniu.

- Wszystko w porządku?

- Oczywiście.

- Nos niezłamany?

- Pojęcia nie mam. A jeśli nawet... - zabrzmiało to niezwykle szorstko.

- To chodź. Położysz się spać.

Austin jakby go nie słyszał.

- Widziałem kiedyś, jak dzik zabił człowieka - powiedział cicho. - Zgroza.

- Tak, na pewno. Przestań już narzekać. Jared jest głupi. Powinien być ci wdzięczny za to, co zrobiłeś.

Sakson wiercił się zakłopotany.

- Nie zrobiłem tego, aby chronić jego czy innych. Zrobiłem to z pychy.

- Co?

- Widziałem, że locha błyskawicznie nadbiega, i wiedziałem, że mogę ją zabić. Więc to zrobiłem. Bo chciałem. Z pychy. To ciężki grzech, wiesz, szczególnie dla mnicha.

- Daj spokój, nie sądzisz, że jest już trochę za późno na te twoje mętne wywody? Nieważne, co ci wtedy przez głowę przeszło, wystarczy, że przysłużyłeś się wszystkim - Candamir pokazał brodą w kierunku obozowiska. - Tam czeka na ciebie kawałek soczystego udźca z dziczyzny Oraz serce.

Austin nie był zainteresowany.

- Zjedz ty. Wciąż jesteś za chudy

- Musisz to mówić...

- Ale dla mnie post ma sens. Zostaw mnie tutaj, panie, jeśli jesteś tak dobry. Muszę porozmawiać z moim Bogiem.

Cierpliwość Candamira się wyczerpała.

- Dość tego! Robisz niepotrzebne problemy z rzeczy w ogóle bez znaczenia.

Mnich uśmiechnął się żałośnie w mrok.

- Nie mówiłbyś tak, gdyby to twoją dłoń miał odciąć Olaf. Wiesz przecież doskonale, że to jeszcze nie koniec tej historii.

Candamir burknął.

- Nawet gdyby. Ponieważ w najbliższym czasie będziemy tu potrzebowali każdej pary rąk, również i twoja jest bezpieczna przed zemstą Olafa. Już ja się o to postaram. A teraz chodźmy. Jeżeli o mnie chodzi, to możesz sobie prowadzić rozmowy ze swoim pociesznym bogiem, ale rób to w pobliżu ogniska, gdzie będziesz bezpieczny. Chodź, Austinie.

Zdumiony Austin podniósł głowę. Nie można jednak było zobaczyć miny Candamira i stwierdzić, czy to imię wymknęło mu się niechcący, czy nie.

Harald wziął ze sobą w drogę żonę, gdyż była wytrzymała i górskie okolice ją nie przerażały. Poprosił też Candamira, aby pożyczył mu Saksona na poszukiwania rudy, od której zależało ich przetrwanie.

- Oczywiście - chętnie zgodził się młodzieniec. - Nie wiem jednak, czy będzie z niego jakiś pożytek. Nie sądzę, żeby rozumiał się na żelazie i wydobywaniu rudy

- Nie szkodzi. Ma dobry wzrok, który już sam w sobie jest wiele wart. Może też razem z Asi stwierdzić, co w tych górach rośnie. Te informacje również mogą nam się przydać - uśmiechnął się i wokół oczu zrobiły mu się promyki z niezliczonych małych zmarszczek. - Poza tym czasem mądrze jest nie być tam, gdzie się kogoś uraziło, nie sądzisz?

Candamir zrozumiał przesłanie. Odpowiedział konspiracyjnym uśmiechem i skinął głową.

- Dziękuję, Haraldzie.

- Nie ma, za co, mój chłopcze. Kto wie. Jeśli łagodny Sakson o ognistym spojrzeniu i zdumiewających zdolnościach myśliwskich na kilka dni zejdzie wszystkim z oczu, to może nawet królowa Zimnych Wysp zauważy, że wśród nas jest jeszcze niejeden chłop na schwał, co?

Candamir z obawą obejrzał się przez ramię, ale stali sami z Haraldem na brzegu rzeki i nikt nie słyszał, o czym mówią. Opuścił wzrok.

- Chodzi ci o to, że się jej spodobał? - zapytał z troską. - Co ona w nim widzi?

Harald w zamyśleniu pokręcił głową.

- Myślę, że wyciągasz błędne wnioski. Powiedziałbym raczej, że się jej spodobał jego bóg.

- Co?

- Hm... Mnie w każdym razie by to nie zdziwiło. Wyniosła królowa to tylko maska. Pod nią kryje się coś zupełnie innego. Coś niespokojnego i zaszczutego. Może coś poszukującego. Jeśli ty chcesz być tym, co odnajdzie, Candamirze, to będziesz

musiał stać się tym, czego szuka.

Candamir, kręcąc głową, spojrział na kowala.

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

- To sobie to przemyśl.

Candamir założył ręce i westchnął.

- Nie wiem... Ona jest strasznie tajemnicza, nie? Wcale nie mam pewności, czy jej pragnę, poważnie.

- Cóż, sądzę, że będziesz musiał się i nad tym trochę zastanowić - odrzekł Harald z powagą, ale w oczach miał wesołe ogniki.

Pięcioro młodszych zwiadowców ruszyło w drogę powrotni do zatoki, idąc bez przerwy i bez dalszych przygód. Szli tą samą drogą, którą przyszli. Czasami trafiali na wąskie przecinki, które wcześniej sami zrobili w leśnym podroście, i Osmund stwierdził, że jeśli wszyscy osadnicy przejdą tą drogi do rzeki, powstanie tu wyraźna ścieżka, a gdy będzie się po niej chodziło więcej razy, transportując cały dobytek, powstanie trakt.

Na swojego kuzyna Osmund patrzył krytycznym okiem, ale zdawało się, że Jared przemógł swoją dzieciinną złość. Niemal swobodnie żartował z obiema kobietami. Wyszukiwał dla nich - choć z dzika zostało jeszcze więcej, niż było im trzeba - rzeczne raki i ptasie jajka, był, więc właściwie dobrym kompanem. Jedynie wobec Candamira zachowywał się chłodno i możliwie rzadko zwracał się do niego. Candamir zdawał się tego nie dostrzegać, sam był cichy i zamyślony.

Umysł Candamira rzeczywiście był zajęty różnymi problemami i pytaniami, które bardziej dotyczyły jednak karczowania lasu i budowy domów niż tego, co mu Harald zadał na drogę do przemyślenia. Większość czasu siedł z Osmundem za obiema młodymi kobietami i Jaredem, obserwując Siglind i delektując się grą promieni słońca na jej włosach i jej naturalną gracją. Kiedy przechodziła przez płytki potok, odkrył na jej łydce mały pieprzyk i od tej chwili wciąż się zastanawiał, czy jeszcze kiedyś go zobaczy. Byłoby pięknie, gdyby mu kiedyś pozwoliła zdjąć z siebie purpurową suknię i szaroniebieską koszulę. Potęga tych fantazji zaniepokoiła go jednak, a nawet od czasu do czasu ogarniała go obawa, że jest dla Siglind utrapieniem, i lepiej było wtedy, gdy

zobaczył ją pierwszy raz, oddać ją jej rodzinie lub na pełnym morzu wypchnąć za burtę. Wszystkie te myśli i osobliwe uczucia były dla niego czymś obcym. Dlatego zajął się mnóstwem zagadnień praktycznych dotyczących ich przetrwania w nadchodzącej przyszłości, stosując je jako coś w rodzaju tarczy ochronnej. Godzinami naradzał się z Osmundem, który także z radością dał się w to wciągnąć.

O zmierzchu drugiego dnia nad potokiem zobaczyli kilka saren, kilka razy natknęli się także na niewielkie stada jakiejś odmiany rogatego bydła, zdomowionej w tym lesie. Były to piękne zwierzęta o ciemnobrunatnej, długiej sierści i wielkich, jasnych oczach, a zachowywały się ufnie. Kiedy trzeciego dnia przed południem, już w pobliżu brzegu, zwiadowcy znów trafili na taką grupkę zwierząt, Candamir dla próby założył rzemień na kark jednej z krów i odciągnął ją kilka kroków od stada. Uległa na to pozwoliła, a jej cielaczek poszedł za nią. Dlatego razem z Osmundem podjęli szybką decyzję, aby przygnać ze sobą całe stado.

- Straciliśmy wszystkie nasze owce - stwierdził Osmund. - Nigdy nie jest za wcześnie na tworzenie nowego stada bydła.

Zabrali ze sobą cztery krowy, z których trzy właśnie się ocieliły, oraz dwa byki. Większy z nich był jedynym zwierzęciem, które okazało niechęć, wzdragając się przed pójściem z dwunożnymi przybyszami. Dlatego Candamir założył mu rzemień i go prowadził. Mrugając oczami, najwidoczniej całkowicie zdezorientowany, byk dreptał obok człowieka, a Candamir ze śmiechem klepał go po silnym karku.

- Jeszcze o tym nie wiesz, mój drogi, ale niebawem staniesz się dzielnym wołem i pomożesz nam wyrwać z ziemi korzenie drzew.

- Tam, Haconie, popatrz! - Wiland chwycił przyjaciela za ramię i wskazał na skraj lasu. - To twój brat i inni. I prowadzą bydło!

Hacon i Wiland wspinali się po skałach w poszukiwaniu krzemienia, który tu miejscami występował. Teraz pospiesznie wrzucili swoje łupy do przezornie zabranego woreczka i szybko zaczęli schodzić. Kiedy przechodzili obok jaskini służącej za dom

Candamira, wydobył się z niej krzyk rozdzierający serce. Hacon wzruszył ramionami i przyśpieszył kroku.

- Już jej nie słyhać - mruknął do Wilanda. - Trwa to tak od wczorajszego wieczora. Mam nadzieję, że niebawem będzie po wszystkim.

- Na pewno - odparł uspokajająco syn Siwarda. - Albo w końcu urodzi, albo umrze. Tak czy inaczej, długo to już nie potrwa.

Kiedy dotarli do brzegu, przybysze byli już otoczeni ciasnym gronem słuchaczy

- ...poszedł z Asi i Saksonem w góry szukać rudy - usłyszeli, jak opowiada Osmund. - Wszyscy są zdrowi. Znaleźliśmy miejsce, które uważamy za stosowne.

Z nieskrywaną dumą zwiadowcy jeden przez drugiego opowiadali o wielkiej rzece i zielonej równinie, o górach i lasach, a także przygodach, które przeżyli. Hacon i Wiland przysłuchiwali się temu z zazdrością.

- Czy Berse już wrócił? - zapytał w końcu Candamir.

Słuchacze pokręcili głowami.

- Nie musimy tu wszyscy na nich czekać - zarządził Olaf. - Wystarczy, gdy zostanie dwóch lub trzech z nas. Proponuję wyruszyć ku tamtej rzece jutro rano. Liczy się każdy dzień.

Rozległ się pomruk zgody.

- Teraz powiedz nam, bratanku, skąd masz to wspaniałe bydło?

Odpowiedział nie Osmund, ale Jared.

- W lesie jest ich pełno, ojcze.

Hacon nie widział go z powodu wszystkich ludzi, którzy stali między nim a przybyłymi, ale słyszał radosne podekscytowanie w głosie Jareda:

- Ten kraj jest rzeczywiście taki, jak obiecywała legenda. Jest po prostu wszystko, czego ludziom trzeba do życia. I wszystkiego w nadmiarze!

- Ach tak? - odezwał się Siward z lekką drwiną. - Znaleźliście może przez przypadek owce? Moje, bowiem poszły na dno. Albo kury? Kozy, świnie?

- Sakson odkrył na razie ślady cietrzewi - odparł Osmund. - Gdy poszukamy, to je znajdziemy.

- Świnię też widzieliśmy - wspomniał Jared jakby mimochodem. - Napadła na nas i...

- Sądzę, że na szczegóły będzie dość czasu potem - przerwał Candamir. - Jeśli naprawdę chcemy jutro rano ruszać, to musimy się brać do roboty. Nam, żeglującym na „Sokole”, jest najłatwiej, bo nie mamy, czego pakować. Ale wszyscy inni owszem.

Ludzie ze śmiechem rozeszli się do swoich jaskiń i zagród, które postawili dla ocalałych owiec, i zaczęli się przygotowywać na kolejną wyprawę z nadzieją, że będzie to już ostatnia taka wędrówka.

Candamir dojrzał w końcu brata i podszedł do niego, nadal z bykiem na postronku.

- Haconie! - klepnął go w ramię, a oczy mu błyszczały. - Słyszałeś? Jutro ruszamy do miejsca, które będzie naszym nowym domem.

- To wspaniale, bracie. Nie mogę się już doczekać.

- To, czemu masz taką zatroskaną minę? Coś nie tak?

Hacon kiwnął głową.

- Wszystko w porządku. Tylko... Gunda rodzi.

Candamir uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Naprawdę?

Hacon uciekł wzrokiem i Candamir zrobił się śmiertelnie poważny

- Są trudności?

- Nie mam pojęcia. Od wczorajszego wieczoru krzyczy bez przerwy.

Candamir cmoknął niezadowolony.

- Marna postawa jak na córkę fryzyjskiego władcy, co? Czy Brygida jest przy niej?

Hacon skinął głową.

- Była z nią całą noc.

- Co mówi?

- Nic. Przecież ją znasz. Parobków i mnie wyrzuciła z jaskini.

Candamir pokiwał głową i wetknął w dłoń postronek.

- Masz. Przywiąż go gdzieś. Uważaj, żeby ci nie uciekł z powrotem w las. Nasza jest też połowa krów.

Odwrócił się i zaczął się wspinać do swojej jaskini. Dotarłszy na miejsce, oparł się o wygrzaną słońcem skalną ścianę przy wejściu do jaskini i z założonymi na piersi



rękami przysłuchiwał się krzykom swojej niewolnicy i niezrozumiałym pomrukowi pozostałych kobiet. Z ulgą stwierdził, że głos Gundy jest wciąż silny. Wiedział, że naprawdę należałoby się niepokoić wtedy, gdyby krzyki ustały przed przyjściem dziecka na świat. Mimo to jej współczuł. Pełne bólu jęki brzmiały w istocie okropnie. Nie miał jednak wyrzutów sumienia, jakie widział już u innych mężczyzn. Uważał je za niedorzeczne i niepojęte, bo w końcu to nie on, a bogowie tak rzecz urządzili, że porody odbywają się w bólu.

Z niezwykłą dla siebie cierpliwością czekał i minęła pewnie godzina, gdy oto pomruki w jaskini zrobiły się głośniejsze i bardziej nerwowe.

- Musisz przeć, moje dziecko, bo to nigdy się nie skończy - usłyszał, jak mówi Brygida. A potem: - Ach tam! Co to znaczy, już nie możesz? Oczywiście, że możesz. No, przyj!

Potem poszło już szybko. Krzyk raz jeszcze zrobił się głośniejszy, po czym nastąpiła napięta, prawie zupełna cisza. Candamir wstrzymał oddech, zacisnął powieki i modlił się w myśli. Wtedy rozległy się zbawienne, wściekłe wrzaski niemowlęcia. Candamir znów otworzył oczy, z uśmiechem oparł głowę o skalną ścianę i spojrzał w bezchmurne niebo. Następnie wkroczył do ciemnej jaskini.

- Czy to chłopiec?

Musiał pomrugać oczami, zanim zdołał cokolwiek rozpoznać. Asta, Brygida i kilka służących stało kręgiem w środku pomieszczenia wokół posłania z paproci. Na dźwięk głosu jego siostra szybko się schyliła i rozłożyła koc. Potem odwróciła się do niego i uśmiechnęła.

- Tak, Candamirze. To chłopiec.

Candamir podszedł bliżej i zerknął jej przez ramię. Ani Gunda, ani niemowlę nie wyglądali szczególnie pięknie. Koc przykrywał jedynie dolną połowę ciała Gundy, a na jej nagim brzuchu leżało maleńkie, usmarowane stworzonko, które się trochę ruszało. Włosy Gundy były przepocone, na twarzy malowało się wyczerpanie, ale oczy jej błyszczały radością. Candamir ukrył swój niesmak, uśmiechnął się z wysiłkiem i kiwnął do niej głową.

- Dobra robota! - Po czym zwrócił się do Brygidy: - Czy zdrowy?

Starowina na chwilę położyła mu dłoń na ramieniu.

- Jest zdrowy i ma błogosławieństwo bogów, Candamirze. Jest pierwszym dzieckiem, które przyszło na świat na Catanie. Tak, jak w przepowiedni. Odyn będzie jego bogiem opiekuńczym.

Candamir bez słowa pokiwał głową. Poczuł nagle ogromną kluchę w gardle i nie był w stanie nic powiedzieć. Brygida zrobiła się znów konkretna i stanowcza.

- Poczekaj na zewnątrz. Zaraz ci go przyniesiemy. Znikaj, nie masz tu zupełnie nic do szukania.

Kiedy wreszcie Asta wyszła na światło słoneczne i wyciągnęła do brata ręce, w których trzymała jego syna, niemowlę było już umyte, choć nadal czerwone jak rak, a jego twarz była pomarszczona jak zimowe jabłko.

- To przejdzie - zapewniła Asta z uśmiechem. - Wierz mi, za kilka dni będzie prawie taki ładny jak ty. Spójrz, ma zupełnie czarne włosy, widzisz?

Candamir przytaknął zafascynowany i niepewnie wyciągnął ręce. Asta położyła na nich noworodka. Zdawał się ważyć nie więcej od źdźbła słomy. Oczy miał otwarte, mocno błękitne, ale robiły wrażenie, jakby patrzyły w pustkę. Candamir podniósł dziecko ku słońcu, a zauważywszy w dole na brzegu swojego przyjaciela, ryknął:

- Osmundzie! Spójrz!

Osmund, a także wszyscy na brzegu podnieśli głowy.

- To syn! - ogłosił z dumą. - Pierwszy syn Catanu!

Wieczorem rozpalili na brzegu wielkie ognisko, aby świętować przyjście na świat syna Candamira i równocześnie pożegnanie z zatoką. Przez sześć dni, kiedy nie było zwiadowców, pozostali osadnicy nie próżnowali: odparowywali morską wodę, aby uzyskać sól, łowili ryby i stwierdzili, że w wodach wokół Catanu żyje równie bogata różnorodność stworzeń jak w lesie. W czasie odpływu chodzili po skałach w sąsiednich zatokach, aby je zbadać, sprawdzając, gdzie piaszczyste wybrzeże zmieniło się najpierw w piarżysko, a potem w stromy klif. W trakcie jednego z tych wypadów Hacon i Wiland wypatrzyli wysoko na skałach małe kozy o długiej sierści, które z pewnością dałoby się schwytać i hodować dla mleka, mięsa i wełny, o czym Hacon opowiadał bratu pełen dumy.

- Będziemy je hodować - przyrzekł Candamir ze śmiechem. - Przysięgam, że niewiele czasu upłynie, a będziemy mieli tyle zwierząt, że nie będziemy nawet wiedzieli, gdzie je pasać...

Prawdę mówiąc, śmiał się przez cały wieczór. Po prostu tryskał szczęściem i doskonałym humorem. Kobiety przygotowały napitek ze sfermentowanego mleka owczego, który wprawdzie nie smakował zachwycająco, ale cudownie szumiało po nim w głowie. Co chwila ktoś podchodził z kuflem i gratulował mu syna, a Candamir pił wszystko, co mu dawano. Wszyscy sąsiedzi i przyjaciele zdawali się podzielać jego świetny humor. Narodziny syna powszechnie uznano za dobrą wróżbę i wszyscy byli ciekawi następnego dnia i miejsca, gdzie mieli zakładać swoją nową osadę. Ludzie wydawali się Candamirowi bardziej żywotni niż kiedykolwiek wcześniej i nawet w oczach starszych błyszczało oczekiwanie, słońce Catanu nadawało zaś twarzom chorobliwą bladość.

- Jakimż dobrym, silnym ludem będziemy - powiedział do Osmunda i Asty, którzy przysiedli obok niego na piasku. Osmund miał w ramionach synka, trzymał jego małe rączki między kciukiem i palcem wskazującym i z wesołym uśmiechem obserwował przyjaciela.

- Jak chłopak będzie miał na imię, Candamirze? Ole, po twoim ojcu, jak sądzę.

Należało do zwyczaju nazywanie chłopców po ich nieżyjących dziadkach, dzięki czemu nie zanikała pamięć o zmarłych. Candamir niespodziewanie pokręcił jednak głową i spojrzał na siostrę.

- Pomyślałem sobie, że może Nils. Jeśli się zgodzisz.

- Czy.. Czy zrobiłbyś to? - zapytała Asta z niedowierzaniem.

- Czemu nie? Nils był młody i miałby prawo z nami żeglować i odkryć ten wspaniały kraj. Los na to nie pozwolił. Powinna jednak przetrwać przynajmniej pamięć o nim. Poza tym był moim szwagrem.

- Zgadza się - wtrąciła Asta. - Mimo to nie zamieniłeś z nim w życiu jednego słowa, a gdy jeden jedyny raz miałeś okazję się z nim spotkać, to złamałeś mu nos.

Candamir, zażenowany, z uśmiechem wzruszył ramionami.

- Byłem wtedy chyba szesnastolatkiem zaślepionym nienawiścią ojca i jego agresywnymi przemowami przeciwko klanowi Nilsa. Ale nigdy nie jest za późno, żeby

uznać swój błąd. Tak przynajmniej twierdzi mój Sakson.

Asta była poruszona gestem Candamira. Uścisnęła mu dłoń.

- Dziękuję, bracie. Skoro już jesteś w tak świetnym nastroju, to może byś tak zajrzał na chwilę do Gundy? W końcu ma ona pewien związek z twoją wielką radością. Mało nie umarła, a ty od swojego powrotu nawet na nią nie spojrzales.

Zniecierpliwiony skinął głową.

- Tak, tak. Pójdę do niej. Później.

- Skoro miała tak ciężki poród, nie bardzo będzie w stanie jutro przejść dziesięć lub więcej mil - wtrącił Osmund. - Będziemy musieli ją nieść.

Candamir beztrąsko wzruszył ramionami.

- Tym mogą się zająć Tjorv i Nori. Jak już mówiłem, na szczęście nie mamy nic, co musielibyśmy dźwigać.

- Ja mam rocznego synka, krzesło rodowe, dwie krowy, młodego byczka i parobka ze złamaną nogą, a tylko jednego zdrowego niewolnika do pomocy - zaproponował Osmund.

- Możesz sobie pożyczyć moich parobków, ilu chcesz - zaproponował Olaf, który w towarzystwie Siglind podszedł do nich, jedną ręką trzymał ją za łokieć, a w drugiej dzierzył kufel. Osmund pokręcił przecząco głową.

- Wielkie dzięki, stryju, ale jakoś dam sobie radę - odpowiedział uprzejmie, choć nieco sztywno. Candamir czuł, że dłoń Olafa na ręce Siglind nie spodobała się przyjacielowi tak samo, jak jemu. Olaf zdawał się nie zauważać chłodnej postawy Osmunda.

- Jak chcesz, mój chłopcze. Nie myśl, że chcę cię traktować z góry czy stawiać w niezręcznej sytuacji. Ale jesteś moim bratankiem i masz prawo do mojej pomocy. Nie zapominaj o tym.

- Naprawdę jestem wdzięczny - zapewnił Osmund bez cienia drwiny. Stryj kiwnął głową i zmieniając temat, zwrócił się do Candamira:

- Ja również chciałbym ci z całego serca pogratulować i życzyć twojemu synowi błogosławieństwa bogów.

- To bardzo uprzejmie z twojej strony - odparł Candamir, wcale nie starając się ukrywać swojej podejrzliwości.

- Pewnie uznasz, że nie jest to odpowiednia chwila, ale muszę z tobą pomówić o twoim saksońskim niewolniku - ciągnął Olaf.

„Wiedziałem” - pomyślał Candamir ze złością.

- Tak? Dlaczego?

- Sam dobrze wiesz. Upokorzył mojego syna i wyrwał mu broń.

- Naprawdę? Jeśli uważasz, że Jared był w tamtej sytuacji bez winy, to, dlaczego chodzi dziś wieczór z siniakiem pod okiem?

Olaf machnął ręką.

- Ponieważ zachował się jak głupi smarkacz i z taką bzdurą do mnie przyszedł, zamiast samemu rzecz załatwić.

W tej chwili nie o to jednak chodzi. Istnieją prawa, Candamirze, których każdy z nas musi się trzymać. Dotyczy to także ciebie i twojego parobka bardziej niż kiedykolwiek. Podniósł broń przeciwko wolnemu człowiekowi. Powinien na kolanach dziękować swojemu bogu, że żądam tylko jego ręki.

Candamir bez pośpiechu wstał.

- Mój niewolnik nie podniósł broni przeciwko nikomu i zachowa rękę.

- Jeśli się w tej sprawie nie mylisz...

Candamir z pozornym spokojem wzruszył ramionami. Teraz, kiedy stał, poczuł, że jest pijany. Mimo że przez całą zimę nie wziął do ust niemal niczego prócz wody, wciąż jednak zupełnie dobrze potrafił maskować swoje uczucia. Nie zataczał się, a jego wymowa nie była ani rozwlekła, ani niewyraźna.

- Jared był zły tylko, dlatego, że marnie wypadł w oczach kobiet. Jego oskarżenia są zupełnie bezpodstawne. Mój Sakson nie zrobił nic niezgodnego z prawem.

- Cóż, ponieważ poza tobą jest jeszcze pięcioro świadków, nie powinno być trudności z ustaleniem prawdy i dowiedzeniem zarzutów Jareda, prawda?

- Wybaczcie, że się wtrącam - mruknęła Siglind dziwnie jak na nią unizonym tonem. - Ale obawiam się, Olafie, że nie mogę potwierdzić wersji Jareda, bo nie patrzyłam w tamtym kierunku i nie widziałam, co się wydarzyło. Inga, Asi i ja klęczałyśmy na ziemi, badając pewną roślinę.

Olaf puścił jej łokieć, popatrzył na nią zmrużonymi oczami i kiwnął głową.

- Rozumiem. - Z nadzieją spojrział na Osmunda, ten jednak powiedział

przepraszająco:

- Nie było mnie przy tym, stryju. Kiedy wróciłem z nad rzeki, już dawno było po wszystkim.

- Zostaje jeszcze kowal - zauważył Candamir. - Ale po tej fatalnej historii ze złe zrobionym mieczem... Cóż - młasnął, jakby z całego serca było mu przykro z powodu nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. Siglind, nie umiejąc powstrzymać śmiechu, odwróciła się i wzięła Roryka z rąk Osmunda.

- Chodź, mój mały Przecież już ci się oczka zamykają. Co byście powiedzieli na to, żebyśmy poszli razem poszukać Cudrun? - kiwnęła głową na pożegnanie i znikła w ciemności.

Osmund i Candamir ukradkiem wymienili znaczące spojrzenia. Mina Olafa była zaś niepokojąco ponura. Przez chwilę patrzył za Siglind, potem spojrzał Candamirowi prosto w oczy i groźnie podniósł palec wskazujący.

- Ty i ja wiemy, że Jared mówi prawdę. Być może bywa głupi, ale nie jest kłamcą.

- Wcale tak nie twierdziłem - oświadczył Candamir.

- Jesteśmy, więc zgodni. Masz siedem dni na przyniesienie mi dłoni Saksona.

Candamir przewrócił oczami.

- O, nieustraszony Tyrze... Czyś ty za długo był na słońcu, Olafie? Potrzebuję Saksona zdrowego.

Olaf zbliżył się do niego w taki sposób, że młodzieniec poczuł się zagrożony i musiał się naprawdę hamować, żeby go nie odepchnąć.

- To przerażające, jak ten cudzoziemiec tobą rządzi - warknął Olaf. - Jaką władzę ma nad tobą. Ze względu na niego lekceważysz starodawne prawa swojego ludu, czy to w ogóle do ciebie dociera?

- Od samego początku mówiłem, że nowa ojczyzna stwarza dobrą okazję, aby wprowadzić kilka nowych praw. Może i nasze prawa są stare, ale nie wszystkie są rozsądne czy sprawiedliwe. Nieważne, co tam Sakson rzekomo zrobił, ale najpewniej uratował ludziom życie. Na pewno twojemu pierworodnemu. Nie pozwolę, żeby go za to karać.

Olaf prychnął z pogardą.

- Pięknie, skoro najwidoczniej nie jesteś w stanie pojąć, co do ciebie mówię, ujmę to wyraźniej: twój niewolnik upokorzył mojego syna. Radzę ci, nie zaczynaj ze mną. Jesteś mi coś winien. Jeśli nie dasz mi tego, czego żądam, to prędzej czy później będziesz musiał mi dać coś innego. Nikt, bowiem nie pozostanie mi nic dłużny. Czy teraz mnie zrozumiałeś?

„Ja ci jestem coś winien? - pomyślał Candamir zdumiony. - Nie dalej jak tydzień temu stanąłem z mieczem w dłoni po twojej stronie w sytuacji beznadziejnej, gdy przewaga była po stronie przeciwników. Chociaż w końcu rozpętał się sztorm, który ocalił twoje nędzne życie, nadszedłby za późno, gdy nie było tam wtedy Osmunda, Haralda i mnie”. Ale oczywiście było absolutnie nie do pomyślenia, żeby powiedzieć to wszystko na głos. Jeżeli Olaf naprawdę chce się okazać takim niegodziwcem, żeby nawet za to nie podziękować, to Candamir zupełnie nic na to nie może poradzić. Dlatego odparł po prostu:

- Zrozumiałem, że chcesz mi grozić, Olafie.

- I dobrze ci radzę, nie lekceważ tej groźby.

Candamir machnął ręką.

- Tak, tak. Nie zmruję oka ze strachu - kiwnął głową do przyjaciela. - Idę zajrzeć do syna i jego matki. Dobranoc, Osmundzie.

- Oby przyśniły ci się wielkie czyny twojego syna i oby spełniło się wszystko, o czym będziesz śnił - były to zwykłe życzenia dla kogoś, kto właśnie został ojcem, ale Osmund wypowiedział je tak ciepło, że stało się jasne, po czyjej stronie stanął w tym konflikcie. Olaf przyjrzał mu się zdziwionym, nawet nieco rozbawionym wzrokiem, po czym gwałtownie się odwrócił i zostawił przy ognisku bratanka samego z Astą.

- Och, Osmundzie - mruknęła z troską Asta. - Nic dobrego z tego nie wyniknie.

- Prawda - zgodził się niechętnie i przez chwilę gapił się w ogień. Potem spojrzał na nią, kręcąc głową. - Cenię swojego stryja, Asto.

- Tak, wiem.

- Sądzę, że jego intencje są lepsze, niż twój brat sądzi. W tej sprawie Olaf nie ma jednak racji. Dlatego Candamir będzie musiał stawić mu czoła, obojętnie, co z tego wyniknie.

Raczej rozstrojony niż zaniepokojony Candamir wspinał się ku jaskini, która dziś po raz ostatni miała jemu i jego ludziom służyć za schronienie. Gunda i niemowlę leżeli na posłaniu za parawanem. Mała łożowa świeczka stała w bezpiecznej odległości na skalnym podłożu i oświetlała obie śpiące twarze. Kobiety umyły Gundę i uczesały jej włosy. Miała podkrążone oczy, ale były to już ostatnie znaki ciężkiej walki. Koc przykrywał ją do pępka. Syn leżał na jej brzuchu, z głową między ciężkimi piersiami, nabrzmiałymi mlekiem.

Candamir usiadł przy śpiących i, oparłszy się plecami o skalną ścianę, obserwował matkę i dziecko. Stwierdził, że widok jest ujmujący. Żywy symbol płodności. Obietnica przyszłości pełnej błogosławieństw. Zdjęty nagłą troską, położył dłoń na czole Gundy. Nie miała jednak gorączki. Nie powinien się martwić, tak radziła mu Asta. Gunda jest zahartowana i akurat w odpowiednim wieku - miała szesnaście lat. Pewnie Asta ma rację. Fryzyjska służąca robiła we śnie wrażenie spokojnej i kwitnącej - wydawało się, że nie zostało śladu po wyczerpującym, bezsilnym cierpieniu, które widział wczoraj po południu. Przekrzywił głowę i, przyglądając się pożądliwie jej nabrzmiałym brodawkom, zastanawiał się, jakże by to było - possać z nich i spróbować jej mleka. Zanim jednak zdołał wprowadzić w czyn te nieprzystojne pomysły, Gunda się przebudziła. Podniosła ku Candamirowi swoje wielkie, jasnoblękitne oczy. Lewą ręką poszukała syna, położyła mu obronnym gestem dłoń na główce i uśmiechnęła się.

- Uznasz go? - zapytała Candamira.

- Oczywiście. Już to zrobiłem. Przyszedłem ci powiedzieć, jak bardzo jestem ci wdzięczny, Gundo.

Wolną prawą dłonią chwyciła go za rękę. Jej palce objęły go zdumiewająco silnie.

- Zastanawiałam się, panie.

- Tak?

- Ja wiem, że tak naprawdę nigdy nie wierzyłeś w to, że mój ojciec jest szlachcicem, ale to prawda. Gdybyśmy się spotkali w mojej ojczyźnie, byłabym panną z dobrego domu, z dużym wianem.

Candamir przeczuwał coś przerażającego.

- Gundo...



- Nie, wysłuchaj mnie, proszę - nalegała cicho. - Wszystko potoczyło się inaczej i jestem twoją niewolnicą. Ale teraz jesteśmy w nowym kraju, gdzie stare zasady nie mają już tego znaczenia, co dawniej. Sam mówiłeś, prawda? Może... Mógłbyś mnie wziąć za żonę. To nie byłby żaden wstyd. Pochodzę z równie dobrego domu, co ty. Tobie potrzeba żony, a nie tylko nałożnicy. Będziesz odgrywał ważną rolę w zakładaniu nowego rodu, wiem o tym dobrze. Być może będziesz postacią bardziej znaczącą niż kiedykolwiek twój ojciec. Do tego trzeba ci żony, która cię wesprze. Która wie, jak takiej pozycji chronić. Mogłabym być tą żoną, gdyż do tego mnie wychowano, Candamirze.

Uwolnił rękę, gdy wymówiła jego imię.

Usta jej drżały, ale nadal patrzyła na niego.

On pokręcił głową.

- Nie, Gundo.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ spałaś z Osmundem - tak brzmiała szczerą odpowiedź. W każdym razie połowa szczerą odpowiedzi. Druga zaś połowa to: - Ponieważ jest inna, której pragnę.

Kiedy już padły te słowa, uświadomił sobie, że to prawda. Niemal odruchowo odpowiedział sam sobie na pytanie, które chodziło mu po głowie od czasu opuszczenia Zimnych Wysp. Jakże łatwo było nagle przyznać się do tego: pragnął Siglind. Choć była niedostępna i miała język ostrzejszy niż jego sztylet, chociaż nie była nietknięta i nie mogła mieć dzieci, pragnął jej. Gunda nie była głupia i doskonale wiedziała, o której kobiecie myśli.

- Pytanie tylko, czy jesteś w stanie ją zdobyć - ostrożnie dała mu do myślenia.

Skinął głową. Było równie prawdopodobne, że Siglind wybierze Olafa, Osmunda czy wręcz Saksona.

- Nawet gdyby - ciągnęła Gunda - jak myślisz, jak poczułby się Osmund, gdybyś mu ją porwał sprzed nosa? On jest wrażliwy. I niedawno stracił żonę, do której był przywiązany całym sercem. Chcesz być odpowiedzialny za to, że znowu mu się przydarzy? Czy nie jest ci bliższy niż własny brat...

Candamir nagle wstał.

- Wyjaśnijmy sobie jedno, Gundo: jesteś matką mojego syna i, jak już mówiłem,

jestem ci wdzięczny. Im więcej dzieci mi darujesz, tym wyżej będę cię cenił, ale nie zmieni to niczego w twojej pozycji. Nie chcę cię ranić... - Sam zauważył, że to kłamstwo, bo chciał, żeby cierpiała za to, że tak łatwo odkryła jego największą troskę, a w dodatku głośno ją wypowiedziała. Mimo to powtórzył: - Nie chcę cię ranić, ale lepiej, jeśli nie będziesz się oszukiwała. Nie ożenię się z tobą bez względu na to, co się wydarzy. Gdy będę chciał zasięgnąć twojej rady lub usłyszeć twoją opinię, to cię o nią zapytam. Zrozumiałaś?

Odwróciła głowę.

- Tak, panie. Oczywiście - jej głos był zdławiony.

Ze złością też się odwrócił, chwycił pierwszy z brzegu koc i położył się obok śpiącego brata na twardym podłożu. Czuł się naprawdę podle.

Mimo wszystkich strat poniesionych podczas żeglugi wciąż pozostawało ponad dwieście pięćdziesiąt osób, które nazajutrz ruszały w głąb łądu. Brali ze sobą owce i byli ciężko obciążeni dobytkiem i zapasami żywności na trzydniową wędrówkę, ale nastroje panowały dobre. Nie zepsuł tego nawet lekki deszcz, który rozpadał się wczesnym przedpołudniem. Aura była ciepła i łagodna, inna niż ta, do której przywykli osadnicy

Olaf wyznaczył Jareda, aby razem z braćmi Larsem i Gunnarem oraz dwoma parobkami zostali w zatoce i czekali na powrót Berse. Chłopak nie był tym szczególnie zbudowany, ale powiedział uprzejmie:

- Oczywiście, ojcie. Jak sobie życzysz.

- Oczekajcie jeszcze dziesięć dni. Jeśli Berse do tego czasu nie wróci, przyjdźcie za nami. Kiedy tylko tam dotrzemy, zbudujemy tratwę i zbadamy rzekę. Jeżeli stwierdzimy, że jest spławna, wrócimy po statki.

Jared przytaknął.

- Mam nadzieję, ojcie. Przykro byłoby, gdybyśmy musieli tak po prostu zostawić tu „Morskiego Smoka”.

Podobnie myśleli wszyscy właściciele statków. Nikt nie wiedział, do czego miałyby im się jeszcze przydać te statki, były one jednak od zawsze symbolem zarówno

dobrobytu, jak i odwagi, nikomu nie było, więc łatwo się z nimi rozstawać. Na pożegnanie Olaf położył każdemu synowi po kolei ręce na ramionach.

- Nie mam nic przeciwko temu, żebyście w tym czasie spędzili z lasu trochę rogacizny, ale bądźcie ostrożni. Chcę was zobaczyć zdrowych.

Jared, Gunnar i Lars zarumienili się wobec tych niecodziennych przejawów uczuć ojcowskich i przyrzekli, że będą na siebie uważać.

Tjorv i Nori nieśli rannego niewolnika Osmunda na noszach z gałęzi i koców. Na drugich noszach Hacon i zdrowy parobek Osmunda nieśli Gundę i małego Nilsa. Pozostała służba i Asta dźwigali dzieci na plecach w zawiązanych chustach. Candamir i Osmund mieli na barkach każdy po ciężkim tłumoku z kocami, naczyniami i pozostałym dobytkiem, ofiarowanym przez życzliwych sąsiadów. Przed sobą gnali bydło. Siglind, która także szła z nimi, miała najłżejszy ładunek: skórzany worek Saksona.

- Czemu nie wyrzuciłaś do morza tej zbędnej rzeczy? - przekomarzała się Inga, idąca z nimi na przódzie. - Trzeba było ten worek napęcznieć solą. Kto wie, skąd będziemy ją brać, skoro nie będziemy już mieszkać nad morzem.

Siglind z wymuszonym uśmiechem machnęła ręką.

- Jak powiedział Olaf, wystarczy tylko popłynąć w dół rzeki.

Było zupełnie oczywiste, że to zwiadowcy prowadzą pochód, bo przecież tylko oni znali drogę. Inni osadnicy szli żwawo za nimi, pełni ciekawości i nadziei, a ciągle ktoś podchodził i zadawał zwiadowcom pytania o las i jego mieszkańców, o rzekę, równinę i góry za nią, tak jakby ci badali okolicę nie przez sześć dni, a przez sześć lat. Często nie znali odpowiedzi i to Osmund był tym, który cierpliwie w kółko wyjaśniał:

- Tego też nie wiemy. Trzeba poczekać. Ale na pewno

Odyn o to także się zatroszczył.

Candamir przyznał w duchu, że sprawia mu przyjemność rola przewodnika, która nagle mu przypadła. Już podczas rejsu stwierdził, że ponoszenie odpowiedzialności za wielu ludzi nie stanowi dla niego problemu. Na pokładzie „Sokoła” oczywiście było jednak, że to on jest dowódcą, skoro statek należy do niego i to on jedyny na pokładzie jest doświadczonym żeglarzem. Tutaj sytuacja była zupełnie inna - Catan był dla

wszystkich wielką tajemnicą, ale mężczyźni z pokolenia jego ojca do niego zwracali się o radę, a to mu pochlebiało. Poza tym złościło to Olafa, którego ponurą minę nietrudno było zauważyć, co w niemałym stopniu zwiększało zadowolenie Candamira.

Wcale nie było łatwo znaleźć miejsce na obozowisko dla tak licznej gromady ludzi i zwierząt, ale ponieważ Osmund i Candamir narzucili szybkie tempo, o zmierzchu dotarli do znanej im ogromnej polany z samotnym dębem. Stado białych kruków poderwało się z korony dębu i z chóralnym krakaniem pofrunęło szukać schronienia w lesie. Ludzie patrzyli za nimi z głośnymi „ach” i „och”. Wciąż nie przywykli do białych ptaków bogów.

Z ulgą, ale ostrożnie odłożył Hacon nosze i poruszał barkami. W ciągu dnia brat nieraz mu pomagał, ale przez ostatnie kilka godzin chłopiec miał wrażenie, że mu ręce odpadną. Położył się na miękkiej ziemi w cieniu potężnego drzewa.

- Dziękuję, Haconie - powiedziała Gunda. Wzrok miała spuszczonej, jakby była zmieszana tym, że sprawia tyle kłopotów. - Jutro na pewno zdołam kawałek przejść sama.

Buńczucznie machnął ręką.

- Nie ma potrzeby. Ważysz niewiele więcej niż piórko.

Przez cały dzień widział, że była zatroskana. Może chodziło tylko o to, że cierpiała z powodu wyczerpania po porodzie, ale Hacon i tak uważał, że musi ją rozchmurzyć. Dlatego ostrożnie pogłaskał swojego maleńkiego bratanka palcem po czole i powiedział:

- Jestem niemal pewien, że nasz Nils jest cięższy od ciebie. Kawał chłopca z niego. Przyniosło to zamierzony skutek. Gunda się uśmiechnęła. Ale tylko na chwilę.

- Z Nilsa? - zapytała zamyślona.

- Candamir wczoraj wieczorem oświadczył Aście, że tak ma mieć na imię. Nie do wiary, nie powiedział ci?

- Och, nie mieliśmy nawet okazji, żeby zamienić słowo.

Hacon wzruszył ramionami, ale kiwnął przy tym głową.

- Nils. Po... mężu Asty - takie dziwne, a przy tym spóźnione gesty pojednania w wykonaniu brata uważał za nieco żenujące.

„Oczywiście” - pomyślała Gunda z goryczą, zapewne dla Candamira każde imię

jest dobre. Byle nie imię jej ojca...

Podeszła do nich Asta i podała każdemu kubek mleka.

- Proszę. Jeszcze ciepłe.

Hacon pił tak chciwie, że dwie strużki płynęły mu z kącików ust. Kiedy zdyszany przerwał, Asta, kręcąc głową, zauważyła:

- Pijesz jak mały chłopczyk, choć zrobiłeś się silny jak mężczyzna.

Z szerokim grymasem oddał jej kubek, machnął ręką i ze skupioną miną pomacał swoje mięśnie. Z radosnym zdumieniem stwierdził, że siostra ma rację, całe godziny wiosłowania nie pozostały bez efektów.

- Daj pomacać - zażądał Candamir, który akurat w tej chwili podszedł. - Zawsze chciałem się dowiedzieć, jak się odczuwa w dłoni takie nic.

Hacon pospiesznie szarpnął ręką, ale Candamir był szybszy. Jego dłoń wciąż jeszcze bez trudu obejmowała biceps brata.

- Hm... - mruknął z dezaprobatą. Zauważywszy jednak proszący wzrok Asty, puścił Hacona, zdecydowanym ruchem poczochnął go po czuprynie i powiedział: - Dwa razy większe niż przed naszym wyjazdem. Nie jest to dużo, ale robisz postępy, braciszku. Zeszłej jesieni nie dałbyś rady zrobić tego, co dzisiaj tak łatwo ci poszło.

Hacon wpatrywał się w trawę, ale i tak widać było, że promienieje. Jego przyjaciel Wiland podszedł do nich wolnym krokiem.

- Chodź, Haconie, wdrapiemy się na to drzewo.

Hacon zapalił się do tego pomysłu, najwidoczniej zapominając zupełnie o zmęczonych rękach. Asta chciała zaprotestować, ale Candamir powstrzymał ją ruchem głowy. Potem poszedł z chłopcami pod ogromne drzewo i pomógł im osiągnąć najniższej gałęzi.

- Rozmiękczasz go takim rozczulaniem się - powiedział jeszcze Candamir siostrze, gdy znów przyszedł do niej. Przyjęła jego wyrzuty jak zwykle bez sprzeciwu i podała mu kubek świeżego krowiego mleka, które było tak wspaniale słodkie i tłuste, że zaspokoilo jego dotkliwy głód. To nastroiło go ugodowo i powiedział cicho:

- Wiem przecież, że chcesz dobrze. Ale w ten sposób nie oddajesz mi przysługi.

Asta, nadal milcząc, nakarmiła mlekiem synka, który niecierpliwie ciągnął ją za suknię. Natomiast Siglind nie ceniła wysoko powściągliwości, która jednak, jak uznał

Candamir, jest piękną cechą u kobiety Podeszła do nich z pełnym naręczem chrustu, rzuciła go niedbale na ziemię i zauważyła:

- Jakkolwiek byś brata nie żyłował, nie będzie z niego taki twardziel jak ty.

- Nie? Dlaczego tak sądzisz?

- Jest na to za mądry.

Candamir nawet nie starał się szukać kontrargumentów.

- Ach tak? Wielkie dzięki - odparł kwaśno. - Mój ojciec zwykł mawiać, że siła rozumu rośnie wraz z siłą mięśni. Był to bardzo mądry człowiek, który nawet kiedyś ułożył pieśń, a i tak najczęściej to on wygrywał świąteczne zawody w strzelaniu z procy

- Pieśń? - zapytała ciekawie. - Jaka?

- Och... - Candamir nagle się speszył. Schylił się i zaczął układać chrust, żeby zająć czymś ręce i nie musieć już patrzeć w te niepokojące błękitne oczy. - O czynach przodków. O bogach. O wszystkim.

- Była bardzo piękna - wtrąciła Asta.

- Zaśpiewaj! - Siglind bez zastanowienia poprosiła Candamira.

- Może po jedzeniu - odparł wymijająco.

Tak jak na to liczył, udało mu się wykręcić, ponieważ przy jedzeniu i później istniał tylko jeden temat: ognista góra. Nie tylko Hacon i Wiland, ale także kilku mężczyzn wdrapało się na wysokie drzewo, aby obejrzeć dalszą okolicę, i wszyscy dostrzegli w oddali czerwony żar. Teraz siedzieli w dużych grupach przy ogniskach i opowiadali sobie ściszonymi głosami wszystko, co słyszeli o takich górach.

- Jedno jest pewne - rzekła Brygida, siedząca między Osmundem a swoim tępym synem Hafladem. - Taka góra zawsze oznacza niebezpieczeństwo.

Od przybycia do Catanu ludzie przysłuchiwali się Brygidzie z większą uwagą niż dawniej, a przede wszystkim z większym szacunkiem. W starej ojczyźnie nikt nie odczuwał potrzeby pośrednika między sobą a bogami, ale tutaj świat bogów i pieśni stał się bardziej realny, niż kiedykolwiek sobie wyobrażali, bardziej, niż niektórzy mogli to spokojnie przyjąć. W jednej chwili nauczyli się Brygidę doceniać. Mimo to Inga nieśmiało zapytała:

- Czy jednak Tanuri nie miała racji, Brygido? Ogień jest jednym z czterech żywiołów. Jak w ogóle może istnieć miejsce bez ognia?

Staruszka uśmiechnęła się do niej, a był to uśmiech niemal łagodny, jakim rzadko kogokolwiek obdarzała. Nie było tajemnicą, że miała słabość do najmłodszej pociechy Siwarda i chętnie Indze przekazywała swoją wiedzę. Jak dotąd jej ojcu udawało się w tym przeszkadzać, bał się, bowiem przede wszystkim czarów.

- Cóż, w pewnym sensie Tanuri miała rację - odparła stara. - Niestety, jej obraz świata nie był tak czysty jak twój ani jej serce tak dobroduszne. Tanuri była dzieckiem rozpuszczonym, samolubnym.

Wielu słuchaczy wstrzymało oddech.

- Ale Odyn powiedział, że jest mądrzejsza od niego - zaproponował Candamir.

Brygida zarechotała.

- Nawet ojciec bogów może czasem być zakochanym głupcem i wtedy jego zdolność oceny jest ograniczona, tak jak u zwykłych ludzi. Tanuri była bystra. Nawet chytra. Ale nie była mądra. Chciała się kosztem Odyna zabawić. Czyli, jak każde nierozumne dziecko, igrać z ogniem. Ognista góra na tej wyspie jest bardziej dziełem Tanuri niż Odyna. Ta góra oznacza ją, nie jego. Jest tym, czym ona, nie tym, czym on.

- Zatem ta góra jest jedynym złem w tym kraju? - chciał uzyskać pełną informację Siward.

- Nie - odparła zdecydowanie. - Nic w tym kraju nie jest złe. Złe są tylko te rzeczy, które nosimy w sobie i które przywieźliśmy tutaj. Sam ten kraj jest bez skazy. Góra jednak stanowi zagrożenie. Tak samo jak niebezpieczny bywa rozpuszczony, samolubny dzieciak.

- Nieprzewidywalny - mruknęła Inga.

- Hm... możliwe - kiwała z wahaniem siwiuteńką głową Brygida. - Przy czym trzeba pamiętać, że jest to kraj Odyna. Jego wola rządzi wszystkimi elementami, także tymi, które noszą znamiona Tanuri. Dlatego jest tak niezwykle ważne, abyśmy nie stracili jego przychylności. To on nas tutaj przywiódł. Wybrał nas! - Nagle podniosła palec i stuknęła nim Osmunda w pierś. - Ciebie przede wszystkim, bo byłeś pierwszym, który postawił nogę na tej ziemi. Wszyscy jesteśmy mu coś winni, ale ty szczególnie.

- Powiedz mi, co to jest, a ja mu to dam, jeżeli będę w stanie.

- Och, jesteś w stanie. To nic trudnego. Musisz go czcić. Wszyscy musicie. Nie połowicznie, jak to zwykliście robić dawniej, przy sobótkach czy święcie Jul albo, gdy akurat mieliście jakąś prośbę. Naprawdę czcić, powiadam. Oddawać mu cześć. Zaczyna się to od tego, że nie będziecie tolerować żadnego boga, który chciałby potęgę Odyna unicestwić - tu zerknęła na królową Zimnych Wysp. Siglind zaczepnie podniosła głowę. Pod osłoną ciemności Asta ukradkiem położyła jej dłoń na ręce, ale Siglind równie dyskretnie ją strząsnęła.

- Czemu się na mnie gapisz? - zapytała Brygidę.

- Czy nie jest, aby tak, że księgę Saksona i przeklęty krzyż jego boga nosisz w swojej sakiewce?

- Gdyby tak było? Cóż cię obchodzi, co noszę w swojej sakiewce?

- Czy nie zrozumiałaś tego, co właśnie powiedziałam? To Odynowi winni jesteśmy szacunek i cześć. Nie temu głupiemu bogu chrześcijan.

- Nie sprzeciwiam ci się - skłamała Siglind. - Cóż mogą jednak zaszkodzić runy na pergaminie tak potężnemu bogu jak Odyn?

- Nie mogą - odparła Brygida. - Ale mogą zaszkodzić tobie. I młodemu Haconowi. A kto wie, kogo jeszcze porażą. To są niebezpieczne runy, ja to wiem.

- To śmieszne.

- Tak? W takim razie wrzuć je do ognia.

- Nie. - W odmowie tej była esencja jej królewskiej wyniosłości, którą tak doskonale się posługiwała. Zarówno Candamira, jak i Osmunda zachwyciła jej odwagą.

W rzeczywistości Siglind tak bardzo się bała, że nagle poczuła zimny pot na piersiach i plecach. Zawsze, gdy czuła się zagoniona do kąta, brała byka za rogi. W ciągu czterech lat, kiedy była żoną Cnuta, z powodu tej postawy nieraz połała się jej krew i miała złamaną niejedną kość. Wspomnienie to powodowało część jej strachu. Ale bała się także władzy tej złej staruchy, bała się, ponieważ była tu sama i bezsilna między obcymi, a najbardziej obawiała się, że utraci Biblię. Nikt jednak nie miał pojęcia, co dzieje się w duszy Siglind. Nawet Brygida, która przecież zwykle przenikała każdą maskę, nie umiała jej przejrzeć. Nachyliła się trochę.

- Chcesz, więc, żebyśmy uwierzyli, że te runy nie mają nad tobą władzy, a równocześnie odmawiasz ich spalania?



Siglind pomodliła się do Jezusa Chrystusa, jak ją uczył Austin. Nie była szczególnie zaskoczona faktem, że to zadziało. Zdziwiła ją jedynie szybkość, z jaką niebiosy zesłały jej natchnienie.

- To nie runy mnicha pragnę zachować. Chodzi o to, że Sakson zaczął w tej księdze spisywać kronikę naszej podróży i osadnictwa.

- Co spisywać? - zapytał Candamir, nie rozumiawszy

- Taką... Opowieść. Aby nic nie poszło w zapomnienie. O tym, jak Odyn nas tu przywiódł. O wszystkich wielkich czynach, jakich jeszcze tu dokonacie. Czy nie jest rzeczą dobrą, aby opisywać te wydarzenia dla naszych potomków?

Brygida niecierpliwie machnęła ręką.

- Dla upamiętnienia tych czynów ułożymy sobie pieśni.'

- Ale pieśni są nietrwałe - odparła Siglind. - Najpierw się je zmienia, potem zanikają fragmenty, a w końcu nie zostaje prawie nic z prawdy. Weź choćby pieśń o Catanie. Kto poza tobą ją jeszcze zna? Jak brzmiała ona pierwotnie? Gdyby ją spisano, nie poszłoby w zapomnienie tak wiele z historii tej wyspy

- Tak, tu ma rację - mruknął Candamir. - To przemawia na korzyść tej... Jak to się nazywa?

- Kronika - powtórzyła Siglind.

Candamir kiwnął głową w kierunku Brygidy

- Na korzyść tej kroniki.

Naprawdę tak uważał. Nie, żeby mu na tym szczególnie zależało. Miał jednak przecucie, że ta księga jest dla Siglind cenna. Wiedział też, że Sakson, gdyby utracił księgę, zapewne rzuciłby się w gardziel ognistej góry. Candamir nie miał nic przeciwko zgłoszonemu przez Brygidę żądaniu większej pobożności i oddania bogom. Wiedział, że sam nigdy wystarczająco nie czcił bogów. Nie mógł sobie jednak po prostu wyobrazić, co Odyn miałby przeciwko tym kilku zwierzęcym skórkom z runami na nich.

- Nie musimy o tym decydować dzisiaj - odezwał się Osmund, aby załagodzić spór. - Uważam, podobnie jak Candamir, że taka opowieść może być cenna dla przyszłych pokoleń i pewniejsza od pieśni, które opierają się tylko na pamięci. Ale możemy też uczynić coś innego - tu spojrział prosto na Brygidę. - Wybudujmy naszym bogom dom w naszej nowej wsi. Byłoby to miejsce, gdzie moglibyśmy składać ofiary w

święteczne dni i robić też wszystko inne, co uznasz za stosowne.

Przez chwilę wszyscy siedzieli jak porażeni gromem. Propozycja była niezwykła, wręcz niesłychana. Olaf mógłby im powiedzieć, że poza nimi inni także wpadli na taki pomysł, że w jednym z miast na południu ich dawnej ojczyzny oraz w Irlandii są takie świątynie, choć bardzo rzadkie. Oczy Brygidy żarzyły się w ciemności. „Już widzi siebie w roli kapłanki takiej świątyni” - pomyślała Siglind zgryźliwie.

Stara skinęła w stronę Osmunda.

- Niech tak się stanie - oświadczyła.

W podekscytowaniu zaczęli debatować, jaki wybudować dom - czy podobny do tych, w których mieszkają ludzie, czy raczej jako święty gaj. Czy święte źródło jest konieczne, czy też nie. Biblia Saksona i niebezpieczne runy poszły przynajmniej na razie w zapomnienie. Osmund odszukał wzrok Siglind i mrugnął do niej. Spuściła głowę i uśmiechnęła się.

Candamir wstał, wyszedł niezauważony z kręgu oświetlonego ogniem i spojrział ku południowemu zachodowi, gdzie leżała ognista góra.

Bez większych przeszkód dotarli do celu późnym popołudniem trzeciego dnia. Poza kilkoma drobnymi deszczykami było sucho i w południe chmury się rozwiały. Niebo nad skrajem lasu, rzeką i rozległą zieloną równiną było błękitne. Widok, który roztoczył się przed osadnikami, był tak piękny, że z początku nawet Siward ani Haflad nie wymyślili nic, co mogliby skrytykować. Również zwiadowcy widzieli tę krainę po raz pierwszy w promieniach słońca i byli zachwyceni jak nigdy dotąd. Za łagodnymi wzgórzami, wyglądającymi jak morskie fale w spokojny dzień, rozciągała się trawiasta równina, aż do podnóża gór. W oddali, ale wystarczająco blisko, żeby obraz był wyraźny, pasło się spokojnie stado dzikich koni. Cicho i dostojnie płynęła rzeka ku morzu, a w nabrzeżnych skałach śpiewały ptaki.

Brygida wzięła się pod boki i z całym spokojem rozejrzała dookoła.

- Tak - orzekła wreszcie - to jest to miejsce.

Praca zaczęła się następnego ranka. Olaf, Siward i inni doświadczeni hodowcy zbóż byli zgodni: równina na południowym brzegu rzeki wystarczająco nadaje się pod uprawę żyta, jeśli posieją je płytko i nie będą liczyć na zbyt dużo. Zapewniali, że nie ma nawet potrzeby orki. Bruzdy pod ziarno można zrobić zaostrzonymi kijami i to w zupełności wystarczy. Natomiast inaczej rzecz się ma z jęczmieniem, pszenicą i roślinami strączkowymi. Tu trzeba zaczekać na wykarczowanie ziemi. Wynikało z tego, że na piwo można było liczyć dopiero w przyszłym roku, za to w lesie było tyle dzikich pszczół, że dawało to nadzieję na bogate zbiory miodu, miód pitny stanowił zaś słodką i smaczną pociechę, gdy nie było piwa.

Z pierwszych drzew, które mężczyźni ścięli, zbudowano tratwę. Potem przeciągnięto przez rzekę długą linę. Wszyscy poświęcili w tym celu to, co mieli ze skóry morsa, ponieważ jest ona najtrwalsza. Do liny przymocowano tratwę i już oto mieli prowizoryczny prom, którym kobiety mogły się bezpiecznie przeprawić na drugi brzeg, aby wyznaczyć pola pod żyto. Synowie Eilharda popłynęli na drugiej tratwie w dół rzeki w poszukiwaniu drogi do zatoki, gdzie zawinęli na początku. Pozostali mężczyźni ścinali drzewa i przeciągali pnie na brzeg rzeki, gdzie miały posłużyć jako drewno budowlane.

- Drzewo upada! - wrzasnął Osmund, na co Candamir, Nori i Tjorv uskoczyli w bezpieczne miejsce. Była to jodła, wysoka na ponad dziesięć sążni. Opadała leniwie i dostojnie, choć przecież ze słyszalnym rozmachem. Igliwie szemrało i trzeszczało w podmuchach wiatru. Kiedy jodła leżała już na ziemi, mężczyźni uwolnili jej pień od konarów i gałęzi. Następnie wspólnie wyciężyli siły - także Hacon, syn Haralda Godwin, parobek Osmunda i jeszcze kilku drwali pracujących w pobliżu - i ponieśli drzewo ku miejscu składowania, przekraczając liczne już pnie. Brakowało jeszcze tylko kilku kroków, ale im bliżej podchodzili, tym bardziej oczywiście skład drzewa zdawał się oddalać. Nadal nie wiedzieli, w jaki sposób mają transportować grube pnie dębów i buków ani jak wyrywać z ziemi ich korzenie. Candamir przysiadł na jednym z pni i otarł ręką czoło.

- Czego nam trzeba, to zwierząt pociągowych - oświadczył.

Mówił to nie po raz pierwszy

Osmund usadowił się obok niego.

- Jest tyle rzeczy, których nam trzeba - odparł. - Nie wszystko można załatwić szybko, ale zwierzęta pociągowe będziemy mieli w ciągu kilku dni. Przestań się, więc skarżyć.

Candamir przytaknął ciężko. Osmund miał rację, za dużo się martwił, zamiast rozkoszować się tu, w lesie, łagodnymi, najczęściej słonecznymi wiosennymi dniami. Najazd ludzi, hałas ich głosów i siekier, a wreszcie zwalanie się drzew z początku tak oszołomiło ptaki, że całkowicie zamilkły. Z czasem przywykły jednak do rozbrzmiewających rytmicznych uderzeń i znowu zaczęły świergotać. Dzień wcześniej drwale znowu widzieli stado białych kruków.

Candamir lubił tę robotę. Mieszanina zapachu wiosennych kwiatów, żywicy i świeżo ściętych drzew była urzekająca. Jeszcze rok później zapach świeżego drewna przywodził na myśl podekscytowanie i energię tych pierwszych tygodni na Catanie. Ścinanie drzew było robotą katorżniczą, ale podobnie jak wielu mężczyzn uwielbiał pracować do granic wytrzymałości, poddając w ten sposób próbie swoje siły. Zupełnie spontanicznie pojawiło się ciche współzawodnictwo: każdy obliczał, ile pni jego grupa przyniosła do wieczoru do przyszłej osady, a ile inne grupy. Były to radosne dni, lecz Candamir nie był wcale beztroski.

- Hacon, Godwin, przynieście coś do picia - zarządził.

- Tjorv, Nori, przetaczajcie pnie na brzeg, ale nie do wody, słyszycie? Bo popłyną z prądem. Później zwiążemy je linami, spuścimy na wodę i przeciągniemy na miejsce budowy. Kiedy wszystkie pnie będą nad rzeką, będziecie mogli odpocząć.

Ukradkiem położył rękę na zmęczonych plecach i odczekał, aż parobkowie i chłopcy się oddalą, po czym powiedział cicho do Osmunda:

- Dotąd tak wyraźnie nie zdawałem sobie sprawy, co oznacza zatopienie „Sokoła”. Jestem... nędzarzem.

- Ale ten stan nie potrwa długo - odparł Osmund z przekonaniem.

Candamira naszły najrozmaitsze wątpliwości. Nie chodziło tylko o owce i konie, które utracił. W ogóle nic już nie miał. Siekiery, którymi pracowali, dał im Haflad wbrew własnej woli, pod twardym naciskiem matki. Wsparcie Brygidy było równie cenne, co niespodziewane. Oświadczyła swojemu opornemu synowi i wszystkim innym, że

Osmund i Candamir zasłużyli na nagrodę za to, że na pokładzie „Sokoła” przywieźli ludzi żywych do Catanu i że wreszcie znaleźli to miejsce. Odyn ich wybrał i cała społeczność jest im coś winna.

Dostali, zatem siekiery Jednak kaftan Candamira był już tak dziurawy i potargany, że właściwie nie warto było go zakładać, bo już ani nie grzał, ani nie chronił. Z portkami było nieco lepiej, choć Asta raz po raz musiała je łątać. Ponieważ owce się potopiły, w najbliższym czasie nie było szansy na materiał na nowe odzienie. Mógł oczywiście pożyczyć ubranie od któregoś z sąsiadów. Konieczność ciągłego chodzenia po prośbie była jednak dla niego nieznośna.

- Przynajmniej bydlą będziemy niebawem mieli pod dostatkiem - przerwał jego rozmyślenia Osmund. - Olaf znów złapał wczoraj pięć byków.

Olaf nie brał osobiście udziału w karczowaniu, ale przydzielił do tego swoich czterech najsilniejszych niewolników. Sam spędzał dnie w lesie, zganiając bydło. Miał już zupełnie pokaźne stado, a wszystkie młode byki, które łapał, kastrował. To samo ze swoimi bykami zrobili Osmund i Candamir. Poza tym do ciężkiej pracy nadawały się nie tylko woły, można było także użyć do tego potulnych krów, co nawet nie uszczupliło rzeki mleka. Już po kilku dniach krowy przywykały do jarzma. Zajmowała się tym Siglind, ponieważ miała szczęśliwą rękę nie tylko do koni. Obiecała, że za dwa dni będzie można przy wyrębie użyć pierwszego zaprzęgu.

Największym jednak nieszczęściem była utrata ziarna pod siew. Ani Candamir, ani Osmund nie wiedzieli, jak sobie z tym poradzić.

- Karczowanie jest teraz naszym najpilniejszym zadaniem - oświadczył Olaf podczas zgromadzenia, które zorganizowali pierwszego wieczoru. - Oczywiście każdy z nas pragnie posiadać i uprawiać własną ziemię, przestrzegam jednak przed tym, żeby każdy brał się za karczowanie innego kawałka. Róbmy to wspólnie, a szybciej nam pójdzie. Ziemię, którą do jesieni uczynimy uprawną, podzielimy na działki równej wielkości i każdy będzie mógł uprawiać własną. Potem będziemy dalej karczować, przez całą zimę, jeżeli pogoda nam pozwoli. Nowe ziemie uprawne znowu wiosną podzielimy i tak dalej. Powinniśmy robić to tak długo, aż będzie dość ziemi dla każdego gospodarstwa. Potem już każdy będzie mógł sam karczować las, aby zdobyć dla siebie dodatkową ziemię.

Wszyscy wiedzieli, że propozycja była rozsądna. Prawdę mówiąc, dla większości czymś dziwnym była praca na ziemi, której nie mogli traktować jako swojej własności, gdyż wolnemu człowiekowi nigdy by do głowy nie przyszło gospodarować ziemią, która do niego nie należy. Wszyscy jednak uznali sensowność wspólnego działania. Gdy jesienią nadejdzie czas siewu, każdy powróci przecież do dawnych zasad, choćby początkowo jako drobny rolnik. Wtedy jednak Osmund i Candamir zostaną z pustymi rękami. To samo dotyczyło żyta jarego, które należało zasiać już w najbliższych dniach.

- Może Brygida ogłosi, że jest wolą Odyna, aby każdy oddał nam garść żytniego ziarna - odezwał się Candamir z przekąsem. - Żadne inne rozwiązanie nie przychodzi mi do głowy

- Kto wie. Gdy się dostatecznie dokładnie poszuka, może nawet znajdzie się na tych terenach dzikie zboża - snuł domysły Osmund. Zgodnie z jego wyobrażeniem na Catanie możliwe było po prostu wszystko.

- Tak - westchnął Candamir. - Gdy poszukamy jeszcze dokładniej, na pewno znajdziemy drzewa, na których rosną już upieczone chleby...

Osmund się roześmiał, a równocześnie dał mu łokciem kuksańca pod żebro.

- Nie szydź z tego, co nam ofiarowali bogowie.

- Racja. Nie ma jednak sensu liczyć na cud. Ziarna pod siew potrzebujemy teraz. Wiesz równie dobrze jak ja, że wśród nas tylko jeden człowiek ma dosyć ziarna, aby móc oddać jego wystarczającą ilość.

Osmund przytaknął, ale nie pociągnął tematu. Pokazał w kierunku rzeki.

- Idzie Hacon z wodą dla nas.

- Najwyższy czas - burknął Candamir. - W oczekiwaniu na mojego brata można paść z pragnienia. - Gdy chłopiec się zbliżył, zapytał: - Czy tę wodę niosłeś z drugiego brzegu? Co ci zajęło tyle czasu?

Hacon podał mu dzban i z uśmiechem pokręcił głową.

- Pojawił się Berse. Wyobraź sobie, przyplłynął rzeką „Wilkiem Morskim”. Zaraz za nim Jared, Lars, Gunnar i ich parobkowie płynęli „Smokiem”, bo na szczęście wiatr jest od zachodu.

- Wspaniale - powiedział zadowolony Osmund. - Rzeka jest splawna. Wiedziałem.

Podobnie jak w poprzednich dniach, również i tego wieczoru zebrali się wszyscy wolni mężczyźni i kilka kobiet wokół trzaskającego ogniska, tym razem, aby dowiedzieć się, co odkrył Berse, opływając wyspę.

- Zajęło nam to dwanaście dni - zaczął garbaty szkutnik swoim chropawym głosem. - Jak wiecie, pożeglowaliśmy w kierunku zachodniego wybrzeża. Na początku widzieliśmy jedynie strome skały, aż dotarliśmy do ujścia tej rzeki. Składa się ono z dwóch odnóg opływających podmokły las. Za rzeką wybrzeże jest wciąż skaliste, ale już nie tak strome. Dalej łagodnie wznosi się w głąb lądu teren porośnięty lasem. Rankiem drugiego dnia okolica jednak się zmieniła. Aż do zmierzchu nie widzieliśmy nic poza czarnym, skalistym pustkowiem. Kiedy zarzuciliśmy kotwicę i zapadł zmrok, w oddali nad tym pustkowiem była ognista łuna. To na pewno była...

- Ognista góra, tak, widzieliśmy ją - przerwał Olaf i kiwnął głową.

Berse wyraźnie ulżyło, że ta niezbyt dobra wiadomość nie była dla nich nowością, i zaczął opowiadać dalej. Teren za pustkowiem był równinny, porośnięty gęstym lasem, pocięty wieloma rzekami i strumieniami, a możliwe też, że bagnisty. W pobliżu ujścia jednej z rzek zakotwiczyli na noc i słyszeli dochodzące aż w głąb morza kumkanie całej armii żab. Kiedy piątego dnia dotarli do południowych wybrzeży, zobaczyli podnóże pasma najwyraźniej wysokich gór. Niższe zbocza były lesiste. Dalej nie rosły już żadne drzewa, a jedynie trawa albo niskie krzewy, nie mogli rozpoznać, co to właściwie było. Ponad tym terenem widać było już tylko nagie, szare skały, w których gnieździło się wiele orłów. Nawet na samych szczytach nie leżał jednak śnieg. Legenda mówiła widocznie prawdę, że ta kraina nie zna zimowej bieli. Za górami wybrzeże zrobiło się przyjemniejsze i widzieli wiele zatok o szerokim piaszczystym brzegu. W jednej z takich zatok rzucili kotwicę i na kilka godzin zeszli na ląd, aby rozpoznać okolicę. Również tam, na południowym wschodzie Catanu, napotkali żyzne ziemie i w większości zalesione. Rosło tam więcej niż tutaj, na północnym zachodzie, drzew iglastych, szczególnie jeden gatunek, o szarej korze, rozłożystej koronie i długich szpilkach, którego nie znali. Jego żywica miała zapach ciężki i aromatyczny, i to on zapewne przyciągał niezliczone motyle - w każdym razie Berse nigdy wcześniej tylu nie widział, a

niektóre były wielkie i barwne jak tęcza. Odkryli tam także kwiaty, jak mak czy osiet, które w dawnej ojczyźnie kwitły dopiero w miesiącu siennego księżycy. Niewykluczone, że klimat tam był jeszcze łagodniejszy niż tutaj, ale nie tak suchy czy słoneczny jak w krajach po drugiej stronie Alp czy na południu Francji, o których opowiadał Olaf i inni kupcy

- Rzeka, którą napotkaliśmy, płynie z gór i niesie mnóstwo czystej, zimnej wody. Widzieliśmy też nieznanne nam ptaki i zwierzęta. Nawet jednego węża. Mój syn Sigurd próbował go złapać, uważając, że skoro w tym kraju nie ma nic złego, to i wąż będzie niegroźny. Ten ukąsił go i uciekł. Sigurd przez dwa dni gorączkował, jęczał i wymiotował, ale na tym się skończyło. Powiedziałem mu, że Odyn wraz z olbrzymami stworzyli tę krainę, aby zachwyć pewną kobietę, nie zaś nieostrożnego głupca jak on.

Rozległy się śmiechy

- Wybrzeże wschodnie niewiele się różni, jedynie mniej więcej w środku leży wyżyna, którą także pieszo zbadaliśmy. Jest tam wspaniała trawa i widzieliśmy więcej rogacizny, niż możecie sobie wyobrazić. Tamte krowy są większe, ciemniejsze i bardziej włochate niż te, które wyłapaliście w tych lasach. Jednak z tamtymi bykami nie chciałbym mieć z bliska do czynienia. Na północnym wschodzie wybrzeże zrobiło się bardziej postrzępione i skaliste. Wreszcie zobaczyliśmy znowu podnóże gór. - Wskazał kierunek, gdzie leżały góry, w które wybrali się Harald, Asi i Sakson. - To z pewnością są te same góry. Kto wie, może przez cały kraj biegnie jedno potężne pasmo górskie od północnego wschodu aż po południowy zachód?

- To by wyjaśniało, dlaczego po wschodniej stronie panuje inny klimat niż tutaj - wtrącił Olaf.

Berse przytaknął.

- Widzieliśmy górskie kozy czy coś podobnego, a także dzikie konie. W wodach przybrzeżnych aż roi się od ryb i delfinów. Fok nie ma, tak jak przypuszczałeś, Olafie. Nigdzie też nie odkryliśmy żadnych śladów innych ludzi. Jeżeli są tu jacyś ludzie, muszą mieszkać daleko w głębi lądu i unikać morza i wybrzeży. Byłoby to jednak nader dziwne, bo nawet, jeśli ten kraj jest duży, to nadal jest to wyspa, a nie słyszałem jeszcze o wyspiarzach, którzy nie żyliby z rybołówstwa. Jeśli chcecie znać moje zdanie, sądzę, że jesteśmy tu sami.



Przez chwilę było cicho i w tym czasie każdy zastanawiał się nad tym, o czym opowiadał Berse.

- Patrzcie - dodał jeszcze szkutnik. Włożył rękę do sakiewki, którą miał przytroczoną u pasa, i wyciągnął dłoń bliżej ognia, aby lepiej było widać. Leżała na niej perła wielkości ziarna grochu i mieniła się matowo w świetle płomieni.

- U południowo-wschodnich wybrzeży leży rafa. Sigurd tam zanurkował i to właśnie wyciągnął na powierzchnię.

Tu i ówdzie dały się słyszeć okrzyki zachwytu.

- Czy odkryliście jakieś miejsce, które nadawałoby się na założenie osady lepiej niż to tutaj? - zapytał w końcu Siward.

- Czyś ty nie słyszał, co mówiłam? - weszła mu w słowo Brygida. - Tutaj jest to miejsce. Widziałam je w wyroczni.

Berse i tak mu odpowiedział, a zrobił to tylko, dlatego, by nie zmarnować okazji do umniejszenia autorytetu starej.

- Nie. Oczywiście wyżyna na wschodzie nie wymaga karczowania, ale nie ma tam dostępu od strony morza. Tutaj, nad tą rzeką, możemy nadal być żeglarzami, co tam byłoby niemożliwe. Kto wie, czy ziemia tam nie jest też zbyt sucha. Ta okolica tutaj... - urwał i wiele mówiącym gestem ogarnął rzekę, góry, równinę i las. Widocznie brakło mu słów.

- Jest dokładnie taka, jak obiecywała pieśń - cicho dokończył za niego Osmund.

- Otóż to - zgodził się szkutnik.

Oczywiście on i jego ludzie musieli podczas opływania wyspy zostawić wiele rzeczy niezbadanych. Będą musieli wysłać jeszcze kilka zwiadów, żeby mogli uznać, że znają nową ojczyznę. Ale stwierdzili, że na razie nie jest to pilne. Niejednemu zamarzyło się pożeglować na południowy wschód i ponurkować za perłami, powędrować na wyżynę i zobaczyć wielkie krowy, wylapać je, a nawet zacząć hodować, ale wszystko to mogło poczekać. Berse potwierdził to, co Brygida mówiła od samego początku: w tym kraju nie ma się czego obawiać poza jednym - gniewem bogów.

Wkrótce zgromadzenie się rozeszło.

- Wiem, stryju, że jest późno, ale czy mógłbym z tobą chwilę porozmawiać? - poprosił Osmund Olafa ściszym głosem. Stryj nie wydawał się ani niechętny, ani zdziwiony, choć Osmund ostatnio wyraźnie go unikał.

- Oczywiście. Zapraszam w moje skromne progi. Jeżeli będziemy mieli szczęście, będzie już gotowy świeży miód do picia.

- Miód? - zapytał ze zdumieniem Osmund, gdy szli wzdłuż brzegu. - O tej porze?

- Mieliliśmy jeszcze trochę pszczelego miodu z zeszłego roku - wyjaśnił Olaf.

Osadnicy na początku mieszkali w prowizorycznych szałasach: każdy wbił w ziemię kilka zaostrzonych pali, a kobiety z gałęzi i choiny lub trzciny uplotły ściany. Kto miał jeszcze płótno namiotowe, zrobił z niego dach dla tego skromnego domostwa, aby się osłonić przed częstymi deszczami. Ci, którzy nie zaliczali się do tych szczęśliwców, jak Candamir i Osmund, przykryli swoje szałasę gęsto ulistnionymi gałęziami i czasem nocami było im trochę mokro. Nie stanowiło to jednak problemu, gdyż nie było zimno.

Wszedłszy za stryjem do jego domostwa, Osmund bez zdziwienia stwierdził, że również we względnie przestronnym szałasie Olafa było ciasno, ponieważ mieściło się tu duże gospodarstwo. Mimo ciasnoty pan domu miał niewielkie pomieszczenie tylko dla siebie, oddzielone skórą i kocami. W środku znajdowała się nawet ława oraz skrzynia, której można było używać jako stołu, oraz posłanie dla Olafa i tej spośród młodych niewolnic, którą akurat wybrał na towarzyszkę nocy. Jedną z nich, drobna, ciemnowłosa dziewczyna z Irlandii, weszła z miodem dla Olafa i jego gościa. Osmund powiódł za nią wzrokiem, gdy wychodziła, a oczy błyszczały mu pod wrażeniem jej urody.

- Bogowie muszą cię naprawdę kochać, stryju - zauważył z uśmiechem.

Olaf ostrzegawczo podniósł palec wskazujący

- Na tym nie może za bardzo polegać żaden człowiek.

- Z kuflem w dłoni usiadł na ławie i zapraszającym gestem wskazał Osmundowi miejsce na skrzyni. - A zatem? Co mogę dla ciebie zrobić, mój chłopcze?

Osmund nie od razu odpowiedział. Czuł, jak serce podchodzi mu do gardła, a dłonie robią się wilgotne. Speszony podniósł kufel do ust i pociągnął głęboki łyk, aby zyskać na czasie. Miód był wyborny. Przez parę chwil młodzieniec skupił się na tej przyjemności, której od dawna był pozbawiony. Potem się wzdrygnął.

- Chciałbym cię prosić o pożyczkę, stryju - rzucił. - Trochę żyta i... Dwie lub trzy

owce, jeśli to możliwe. Dostaniesz wszystko z powrotem. Gdy tylko będę mógł ci oddać.

Olaf nie odpowiedział natychmiast. Zamyślony gładził kciukiem posrebrzoną siwizną brodę. Potem zauważył:

- Mogę sobie wyobrazić, że nie jest ci łatwo przychodzić do mnie z taką prośbą. Właśnie tobie.

- Zdaje się, że nic w życiu nie przyszło mi z taką trudnością - przyznał szczerze Osmund. - Nie widzę jednak innej rady. Kiedy się ma syna, o którym trzeba myśleć, można sobie na dumę pozwalać tylko do pewnej granicy

Stryj skinął głową.

- Nie chcę z tej sytuacji przysparzać ci jeszcze większej męczarni niż ta, którą już i tak czujesz, Osmundzie, ale moja odpowiedź brzmi „nie”.

Przez chwilę Osmund siedział jak skamieniały. Potem odchrząknął, odstawił kufel i wstał.

- W tej sytuacji nie pozostaje mi nic innego, stryju, jak życzyć ci dobrej nocy.

- Siedź - ostro nakazał Olaf. - Jeszcze nie skończyliśmy.

Osmund demonstracyjnie stał dalej z założonymi rękami.

- Więc?

Stryj patrzył na niego, jakby próbował go przejrzeć lub coś przeniknąć.

- Chętnie bym ci pomógł - powiedział, i zabrzmiało to uczciwie. - Wszystkim jednak, co bym ci pożyczył, podzielisz się z Candamirem, prawda? To twój brat mleczny i wiem, jak bliscy sobie jesteście. Powiedz szczerze.

Osmund opuścił ręce i skinął głową.

- Tak. Masz rację - przyznał.

- Sam widzisz, dlatego nie mogę tego zrobić. Mam z twoim drogim przyjacielem porachunki. Prędzej wyrzucę żyto do rzeki, niż on będzie jadł chleb z mojego ziarna! Przykro mi ze względu na ciebie, Osmundzie. Ale musisz się zdecydować. W tej sprawie nie wykazałeś takiej lojalności, jaką bratanek jest winien stryjowi...

- Czyli miałem dla ciebie kłamać? - przerwał Osmund zapalczywie. - Nie było mnie tam, nie widziałem, co zaszło.

- Nie, nigdy nie wymagałbym, żebyś mówił nieprawdę. Zresztą nie było nawet takiej potrzeby, prawda? Wszyscy wiemy doskonale, co się wydarzyło. Wiemy też, że

Candamir w tej sprawie nie ma racji, niezależnie od tego, jakie były okoliczności. Złamał prawo. Ty zaś stanąłeś po jego stronie, zamiast wpłynąć na niego i przywołać go do rozsądku. Nie jest tak?

Osmund nie odpowiedział od razu. Walczył ze sobą. W końcu z ociąganiem przytaknął, usiadł z powrotem na skrzyni, wziął kufel w obie dłonie i wpatrywał się w niego.

- On jest tak bardzo przywiązany do tego niewolnika... - starał się wyjaśnić.

- To poważna sprawa, bo ten niewolnik ma na niego zły wpływ - wtrącił stryj.

Osmund przyznał mu w duszy rację.

- Okoliczności naprawdę przemawiają jednak na korzyść Saksona. Gdyby tego nie zrobił, to Jared prawdopodobnie teraz by nie żył.

- Lepsza śmierć niż upokorzenie.

- Może i tak. Candamir powiedziałaby jednak: lepsze upokorzenie niż śmierć.

- Zatem rozumiesz, o co mi chodzi. To ten przeklęty, niewiarygodny Sakson jest winien, że Candamir łamie nasze prawa, których przestrzegaliśmy od dawien dawna i które uczyniły nas takimi, jakimi jesteśmy.

Osmund pokręcił przecząco głową.

- Nie sądzę, stryju. Candamir urodził się ze skłonnością do buntu przeciwko obowiązującym regułom. Wszystko, co powszechnie uważa się za nienaruszalne, on stawia pod znakiem zapytania. Jego ojciec naprawdę starał się wybić mu to z głowy. Na próżno jednak, taka już jego natura.

Olaf zniecierpliwiony wzruszył ramionami.

- Być może. Już nieraz myślałem, że Candamir popełni jakieś głupstwo, za które zapłaci życiem lub w najlepszym razie zostanie wygnany, gdyby nie ty Muszę też przyznać, że nie płakałbym po nim. Ale chwali ci się, że tak wiernie stoisz po stronie przyjaciela. Powinieneś tylko uważać, żeby nie dać się wciągnąć w jego idiotyzmy.

- Cóż - uśmiechnął się niemrawo Osmund. - Robię to przez całe życie. Od czasu, kiedy zacząłem sobie cokolwiek uświadamiać, starałem się w ten czy inny sposób nie dać się wciągnąć w jakąś sytuację bez wyjścia. Nie zawsze się to udawało, ale stało się moim ulubionym nawykiem. W jednej sprawie Candamir ma rację: będzie nam tu potrzeba tylu rąk, że byłoby nonsensem komukolwiek obcinać dłoń. Może za kilka lat, ale nie teraz.

Olaf kategorycznie pokręcił głową.

- Właśnie w trudnych czasach trzeba uważać, aby nie łagodzić praw, bo staną się zbyt słabe - po tych słowach przestał marszczyć czoło i życzliwie uśmiechnął się do bratanka. - Widzę, że twoja postawa jest w gruncie rzeczy rozsądna i uczciwa, co wcale mnie nie dziwi. Musisz jednak podjąć decyzję, Osmundzie. Musisz zająć jasne stanowisko. Jeżeli chcesz mojego ziarna pod siew i moich owiec, musisz mi przysiąc, że nic z tego nie oddasz Candamirowi.

Osmund rozumiał już, dlaczego Olaf przyjął tak sztywną postawę, ale nie zmieniło to jego decyzji.

- Tego nie mogę obiecać.

Wełniany koc, który służył jako drzwi do komory, poruszył się gwałtownie i wkroczył Candamir.

- Pożycz mi ziarna i zwierząt, Olafie - powiedział szorstko. - Masz moje słowo, że nie wezmę z tego nawet najmniejszego ziarenka ani strzępka wełny

- Candamirze... - zaczął ugodowo Osmund, ale Olaf mu przerwał.

- Stałeś tu, zatem i podsłuchiwałeś, tak? Czemu właściwie mnie to dziwi?

Osmund pospiesznie powstał, bojąc się, że Candamir rzuci się na Olafa z pięściami, ale przyjaciel go zaskoczył.

- Nie, nie sędzę, żebyś miał rację - odparł Candamir niezwykle uprzejmie. - Szukałem Osmunda i Eilhard powiedział, że widział go z tobą. Przyszedłem, więc tutaj, ale że twoje ściany są plecione z gałęzi, nie mogłem uniknąć tego, że słyszałem ostatnie słowa. Zapewne dobrze, że tak się stało. Dlaczego bowiem Osmund miałby cierpieć z tego powodu, że między tobą i mną jest konflikt? Daj mi ziarno.

- Nie - oznajmił Olaf. - On przecież nie miałby serca patrzeć na nędzę twoją i twoich bliskich.

- W tym kraju nikt nie musi cierpieć nędzy - sprzeciwił się Candamir.

- Może i racja. Wystarczająco często jadasz z miski Osmunda - zabrzmiało to obraźliwie, jakby Candamir był pasożytem, a przecież zapraszali się nawzajem z Osmundem regularnie, jak to często bywa między przyjaciółmi.

Candamir nie połknął jednak także i tego haczyka. Może i był zapalczywy, ale nie był na tyle głupi, żeby nie wiedzieć, że Olaf i jego ludzie mogą być groźni, więc należy

zachowywać się ostrożnie.

- Jakoś zdobędę ziarno pod siew - oświadczył z przekonaniem. - Osmund nie będzie nawet miał pokusy, żeby zlekceważyć twoje życzenia.

- Jak zamierzasz to załatwić? - zapytał Olaf z niejakim rozbawieniem. - Od śmierci twojego wuja Sigismunda nie ma już nikogo na tyle z tobą spokrewnionego, żeby miał wobec ciebie jakieś zobowiązania. Przyjaciel twojego ojca zaś, nieustraszony Harald, stracił wszystko tak samo jak ty. Zdradź mi, zatem, skąd zamierzasz wziąć ziarno, a jeśli mnie przekonasz, Osmund nie wyjdzie stąd z pustymi rękami.

- Daj spokój - powiedział Osmund. - To podłe.

Obie strony sporu milczały i można było sądzić, że to już koniec. W rzeczywistości zaś Candamir zastanawiał się nad odpowiedzią, a Olaf czekał, zacząjony jak pająk. W końcu Candamir kiwnął do niego głową.

- Mój brat i ja będziemy u ciebie pracować.

- Nie, Candamirze - zaprotestował Osmund. Wiedział, że to się nigdy nie uda. Candamir mówił dalej, jakby go nie słyszał.

- Co trzeci dzień. Od radosnego księżyca aż do zimowego siewu. Powiedz, co chcesz mieć zrobione, a zrobimy to. Za żyto pod siew, pszenicę ozimą i jęczmień.

Stwierdził, że ziarno pod siew jest po prostu ważniejsze od owiec. Owce musiały poczekać do przyszłego roku. Ktoś da mu i jego ludziom jakiś używany przyrodziewek, zanim zejda na dziady i zaczną wyglądać naprawdę nieprzyzwoicie.

- Ponieważ nie będzie mnie, co trzeci dzień przy karczowaniu, pozbędę się jesienią jednej trzeciej mojej działki.

- Sądzę, że byłoby to bardzo niesprawiedliwe - odrzekł Osmund i uprzedził w ten sposób ewentualną zgodę stryja. - Kiedy wróci Sakson i zacznie pomagać przy karczowaniu, trzech twoich ludzi będzie pracowało w lesie codziennie, a przez dwa do trzech dni aż pięciu ludzi, jeśli wliczyć w to Hacona. Natomiast ja w tej chwili mam tylko jednego niewolnika zdolnego do pracy i mimo to miałbym otrzymać więcej ziemi od ciebie?

- To prawda - przyznał Olaf.

- Nalegam - upierał się Candamir pozornie spokojnie.

- Nie mogę pozbawiać społeczności siły roboczej, nie płacąc za to określonej

ceny. Zatem, co ty na to?

Olaf udawał, że jeszcze przez chwilę walczy z sobą. Chciał zobaczyć, jak Candamir się poci ze zdenerwowania. Młody człowiek nie stracił jednak panowania nad sobą, ani jego twarz, ani cała postawa nie zdradzały, że najchętniej rozniósłby wszystko i wszystkich w tej chacie na drobne kawałki. Jego przyszłość zależała, bowiem od tego, co Olaf zdecyduje, znalazł się przecież na łasce i niełasce akurat swojego wroga. Ten wreszcie skinął głową.

- Zgoda. Możesz zacząć od tego, że postawisz mi dom. I to porządny, jeśli wolno prosić. Wiem, że potrafisz, widziałem przecież dom Osmunda w Elasundzie. Nie próbuj, więc mnie nabierać. To, jak określe podział ziemi na jesiennym zgromadzeniu thing, będzie zależało w całości od tego, jak bardzo będę zadowolony z twojej pracy Teraz wynocha.

Candamir bez słowa odwrócił się na pięcie i wyszedł z szałas. Osmund, z powątpiewaniem kręcąc głową, zadumał się nad swoim stryjem, po czym z wymuszoną uprzejmością życzył mu spokojnego odpoczynku i wyszedł za przyjacielem w mrok nocy.

- Nic nie mów! - odezwał się Candamir stłumionym głosem, kiedy szli obok siebie w ciemności. - Rozumiesz? Ani słowa!

Osmund posłusznie milczał, ale tylko przez chwilę. Potem zapytał:

- Po co mnie szukałeś?

- Co? Aha. Cudrun przyszła i mówiła, że jedna z twoich krów się cieli. Ta czerwona z małą plamką na pysku. Obejrzałem ją sobie. Może być ciężko. Dlatego pomyślałem, że lepiej będzie, jak cię sprowadzę.

Osmund skinął głową, ale ani trochę nie przyspieszył kroku ze względu na krowę. Przed szałasem Candamira zatrzymał się.

- Nie wolno ci tego robić, Candamirze. Wiesz doskonale, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

- Może i nie - odezwał się cicho przyjaciel. - Ale nie ma innego wyjścia i ty wiesz o tym aż za dobrze.

- Musi być jakieś wyjście - odparł Osmund. Zabrzmiało to niemal rozpaczliwie.

Candamir zaśmiał się, choć właściwie bardziej miał ochotę wyć.

- Nie bój się. Przysięgam na pamięć wszystkich moich przodków, że nie podniosę broni na twojego stryja i nie rozpocznę spirali krwawej zemsty między twoim i moim klanem. Przecież już od święta Jul jestem przekonany, że prawo krwawej zemsty jest przekleństwem, od którego powinniśmy się tutaj, w nowej ojczyźnie, uwolnić. Nie, Osmundzie. Zarobię na ziarno, pracując własnymi rękami, i tyle. Będzie okropnie, Olaf nie przepuści żadnej okazji, żeby mnie upokorzyć, ale zacisnę zęby i wytrzymam to, aż kiedyś będzie po wszystkim. Zadowolony?

- Nie - odparł szczerze Osmund. - W tej chwili jednak nic lepszego nie przychodzi mi do głowy.

Gunda szybko wróciła do zdrowia po ciężkim porodzie, tak jak przewidywała Asta. Była jeszcze nieco blada i na razie unikała łoża Candamira, ale pracowała wraz z innymi kobietami na polach żyta na przeciwległym brzegu, z małym Nilsem w zawiniątku na plecach. Niemowlak rozwijał się wspaniale. Dzięki bogactwu ryb w rzece, dobremu krowiemu mleku i innym darom lasu i rzeki jego matka świetnie się odżywiła, miała, więc też dużo mleka. Skóra Nilsa wygładziła się i straciła niepokojący czerwony odcień, a chłopiec wrzeszczał silnym głosem, szczególnie nocami. Hacon, parobkowie, a nawet Candamir przeklinali cicho, gdy wrywał ich ze snu, ale Gunda często przyłapywała swojego pana, gdy ten patrzył na syna z takim uwielbieniem, że była zazdrosna.

Rankiem po powrocie Berse Candamir i Hacon stali razem w nadbrzeżnej trawie w butach mokrych od rosy Słońce właśnie wschodziło, kiedy Gunda odeszła od małego ogniska przed drzwiami swojego szałas i dała każdemu miskę zupy rybnej. Hacon odczekał, aż niewolnica odejdzie, po czym zapytał brata:

- Co to znaczy, że będziemy dla niego pracować? Po co? Nikt nie ma tylu parobków, co właśnie on.

- Wiem. Ale ponieważ nie mamy nic poza naszą siłą roboczą, tylko nią możemy zapłacić za ziarno pod siew.

Hacon łyknął zupy i przez chwilę milczał. Czoło miał zmarszczone.

- To mi się wcale a wcale nie podoba - oświadczył.



- Doprawdy? Cóż, nie musi ci się podobać. Ja też tak myślę, Haconie, a mimo to będę tam pracował, i ty również.

Hacon zaczepnie podniósł podbródek

- Czemu o takich rzeczach zawsze sam decydujesz? Mogłeś mnie przynajmniej zapytać o zdanie.

Candamir prychnął rozbawiony

- Czy muszę pytać wołu o zdanie, zanim go zaprzęgnę do pługą?

- Zatem widzisz we mnie woła roboczego.

- Już dość, Haconie. Jesteś moim młodszym bratem i masz robić to, co mówię.

- Nie robię tego zawsze? - odparł młody - A ty traktujesz mnie jak jakiegoś chłystka, choć mam piętnaście lat i jestem prawie dorosły.

- Skoro jesteś dorosły, to przestań jęczeć i jak mężczyzna poddaj się temu, co nieuniknione.

Hacon ugryzł się w język, żeby nie kontynuować dyskusji. Nic by to przecież nie dało, poza tym, że dostałby w twarz, spokojnie mógł, więc z niej zrezygnować. Candamir, jakby chciał wynagrodzić bratu to panowanie nad sobą, oświadczył nagle pojednawczo:

- Zapewne byłoby lepiej zrezygnować z ziarna Olafa, nawet gdyby miało to oznaczać, że bylibyśmy na przewidywalny okres, mniej więcej rok, ciężarem dla naszych sąsiadów. Jeśli jednak się nie zgodzę, Olaf nie da Osmundowi nic. Rozumiesz? Za to nie mogę być odpowiedzialny

- Rozumiem - zgodził się chętnie Hacon. - Osmund, choć na to nie zasługuje, już wystarczająco długo jest z nas wszystkich najuboższy - westchnął głęboko, a potem z zażenowaniem wzruszył ramionami. - Chciałbym tylko, żeby istniało coś innego, co moglibyśmy dać Olafowi. Im mniej będę miał z nim do czynienia, tym będę szczęśliwszy. On jest obrzydliwy

- Cóż za absurd - Candamir zniecierpliwiony machnął ręką, jakby sam nie powiedział tego samego Osmundowi na krótko przed świętem Jul. - Jak wiesz, nie mamy nic innego. Nie rób takiej miny. W końcu Olaf chce tylko jednego przekłętego domu.

„Już w to wierzę” - pomyślał Hacon. Ale więcej się nie odezwał, zarzucił tylko siekiere na ramię i poszedł z bratem lasem ku brzegowi.

Siglind dotrzymała słowa i mieli już pierwsze dwa zaprzęgi. Teraz prace na karczowisku szły szybciej. Mężczyźni wyciągali z ziemi korzenie zwalonych drzew, tak, aby można było do nich umocować łańcuch. Stosownie do wielkości i grubości korzenia zaprzęgali jednego lub dwa woły, a równocześnie pięciu silnych chłopów używało długich belek jako dźwigni. W ten sposób usunęli większość korzeni. Powrót Berse okazał się również dużą pomocą dla pracujących w lesie, gdyż nikt nie posługiwał się siekierą z taką wprawą jak szkutnik i jego synowie. Nikt też nie znał się lepiej na wyrębie i transporcie drewna. Z pomocą wołów można było szybciej przeciągać pnie na brzeg rzeki i teraz w jeden dzień wyrąbywano więcej drzew niż przedtem przez dwa dni. W ciągu tygodnia przed nocą Thora wykarczowali w gęstym lesie spory kawał ziemi.

To także Berse był tym, który zaproponował, aby pnie sortować jeszcze przed transportowaniem ich na miejsce składu w przyszłej osadzie. W zależności od rozmiaru i gatunku drewno nadawało się albo na konstrukcje i krokwie, albo na deski do obicia ścian. Inne pnie Berse rezerwował sobie na budowę łodzi i statków. Candamir z uwagą przysłuchiwał się, obserwował i uczył się, jak siekierą ociosywać okrągłe pnie, aby powstawały kwadratowe krokwie. Berse pokazał mu także, jak rozłupywać młode pniaki na deski. Candamir ćwiczył się już wcześniej w tym rzemiośle, pomagając Osmundowi stawiać dom, ale Berse umiał to wszystko robić dużo szybciej i dokładniej. Candamir podziwiał miarę, jaką Berse miał w oku. Kiedy szkutnik rozłupał pień, wszystkie deski były tej samej grubości.

- Nie chce się wierzyć - mruknął Candamir, przyłożył dwie deski do siebie i, mrużąc oczy, przyjrzał się krawędziom.

- Nie różnią się nawet o włos!

Berse zaśmiał się do siebie z zadowoleniem.

- Szkutnictwo wymaga dokładności. Przy każdym uderzeniu siekiery czy młota trzeba pamiętać, że ma się w rękach życie wielu ludzi.

Zafascynowany młodzieniec kiwnął głową i odłożył deski, bo musiał znów brać się za robotę. Gdy jednak wrócił do swojej grupy drwali, stwierdził, że Osmund, Hacon i inni nie ścinają buków i sosen, jak ustalili na to popołudnie, lecz badają młody, prosty jak

świeca jesion. Z błyskiem w oku Osmund wskazał młodziutkie, szczupłe drzewko, niewiele od niego wyższe.

- Co sądzisz?

Candamir z namysłem obszedł jesion dookoła i wnikliwie obejrzał go ze wszystkich stron. Jak na drzewo, które musiało wzrastać w cieniu tak licznych starszego rodzeństwa, jesion miał piękną, szeroką koronę, a jego gałęzie, chciwie dążące ku słońcu, nie były łamliwe. Candamir skinął głową.

- Jest doskonały.

Odesłali Hacona, Godwina i parobków do zaplanowanej pracy, sami zaś wzięli się do cierpliwego i ostrożnego wykopywania młodego drzewa. Uważali, aby nie uszkodzić korzeni bardziej, niż było to konieczne, a potem Osmund zdjął kaftan i owinął je nim, aby nie mogła się z nich obsypać ziemia i by nie wyschły.

- Nie wiem, Osmundzie - westchnął Candamir. - Sądzisz, że zdołasz go znowu ożywić?

Jego przyjaciel z lekkim grymasem potrząsnął głową.

- Brygida już ustawiła swój kołowrotek, nie widziałaś? Powiedziała, że ten, kto jej przyniesie nowy jesion dla osady, otrzyma od niej odzienie z pierwszego płótna utkanego na Catanie, napełnione wszystkimi dobrymi czarami, do jakich jest zdolna.

- Hm... - mruknął Candamir. - Ona jest jednak stara i ma bardzo pokrzywione palce. Zapewne tkanie trochę potrwa. Do tego czasu będziesz marzył.

- Niechby nawet! Chodź. Chwyć pień, ale przy koronie, bo się złamie.

Młode drzewko nie było ciężkie, tylko nieporęczne. Bez wysiłku zanieśli jesion na trawiasty brzeg rzeki, gdzie osadnicy już teraz zbierali się wieczorami. Nigdy o tym nie rozmawiano, ale dla wszystkich było jasne, że właśnie ta łąka będzie miejscem zgromadzeń osady. Żeby się zebrać, żeby przeprowadzić właściwy thing, potrzebowali świętego drzewa.

- Na razie będziemy musieli się zadowolić świętym drzewkiem - zauważył Candamir, gdy ostrożnie rozwinęli kaftan.

- Nie szkodzi - odparł Osmund. - Przed zasadzeniem powinniśmy sprowadzić Brygidę. Kto wie, na co trzeba zwrócić uwagę. Może musi wypowiedzieć jakieś formuły albo za i pomocą run ustalić właściwe miejsce. Na pewno byłaby to przerażająca wróżba,

gdyby nowe święte drzewo uschło.

Bawiące się w pobliżu wyrębu dzieci wysłali po Brygidę. Stara nie dała na siebie długo czekać i była bardzo zadowolona z ich wyboru. Przyznała, że nie zna żadnych zasad dotyczących sadzenia świętego jesionu, bo nic takiego nie wydarzyło się w Elasundzie za jej życia, a także jej babka, która przekazała wnuczce całą wiedzę o świecie i bogach, nigdy o tym nie mówiła. Postąpili, więc zgodnie ze zdrowym rozsądkiem: wybrali miejsce wystarczająco bliskie brzegu, aby dobre duchy rzeczne mogły wpływać na ich przyszłe zgromadzenia, nie za bliskie jednak, żeby uniknąć niebezpieczeństwa, że ktoś podczas thingu wpadnie do wody. Brygida nakazała Candamirowi wykopać dół i napęnić rzeczną wodą wiadro, nad którym wymruczała zaklęcie, po czym wlała wodę do dołu. Następnie wsadzili drzewko, ostrożnie wypełnili zagłębienie żyzną, ciemną ziemią Catanu, dobrze udeptali, a sadzonkę wsparli o wbity palik, który miał taką samą grubość jak pień jesionu.

Na koniec wszyscy cofnęli się kilka kroków, by podziwiać swoje dzieło.

- To będzie kiedyś piękne drzewo - orzekł Candamir z przekonaniem.

Brygida przytaknęła.

- Ja już nie zobaczę, jak będzie wyglądał wyrosnięty, ale to bez znaczenia. - Następnie zwróciła się do młodzieńców: - Obaj zasłużyliście na nowe odzienie. Powiedziałabym też, że obu wam pilnie go trzeba. Będziecie musieli jeszcze kilka dni uzbroić się w cierpliwość, ale płótno będzie niedługo gotowe. Inga i Asta pomogą mi przy szyciu.

Podziękowali z zakłopotaniem. Nie przywykli do takiej życzliwości Brygidy, co spowodowało, że stali się podejrzliwi.

- Spójrzcie tylko! - odezwał się nagle Osmund. - Idzie Harald i Sakson.

- Prowadzą konia! - wykrzyknął zachwycony Candamir. - Ale gdzie jest Asi?

Musieli jeszcze chwilę cierpliwie poczekać, zanim poznali odpowiedź na to pytanie. Harald i Austin szli grzbietem trawiastego wzgórza, które co prawda leżało najbliżej, ale i tak stok schodzący po tej stronie ku brzegowi rzeki ciągnął się łagodnie przez pół mili. Jak w końcu rozpoznał Candamir, była z nimi piękna klacz, kasztanka, którą Sakson prowadził na postronku. Tylko częściowo obłaskawiona, wciąż szarpała głową w górę, jakby takim niespodziewanym ruchem chciała się uwolnić, obok niej zaś,

na pozornie o wiele za długich nogach, dreptał niepewnie ciemny źrebak. Klacz nerwowo ruszała uszami, ale i tak bez gwałtownych sprzeciwów niosła ciężary, które mężczyźni przytroczyli jej do grzbietu.

Kiedy grupka, minąwszy chaotyczne zbiorowisko szałasów i namiotów, wkroczyła na łąkę, potwierdziły się złe przeczucia Candamira. Po Asi nie było ani śladu, a twarz Haralda była szara od troski.

- Pójdę po Godwina - powiedział Osmund i odwrócił się. Brygida i Candamir pozostali na miejscu, aż kowal i saksoński niewolnik do nich podeszli. Wtedy Candamir zrobił krok w przód i chwycił Haralda za rękę. - Co się stało?

- Spadła - odparł kowal. Głos miał chrapliwy i szorstki, jakby dziś dopiero po raz pierwszy się odzywał. - Ona... Spadła.

Candamir spojrzał pytającym wzrokiem na swojego Saksona. Jego twarz także wyrażała troskę. Odwrócił się i długo patrzył na wschód, gdzie leżały góry. Potem powiedział:

- Z daleka te góry wyglądają na gładkie i masywne, ale naprawdę są poszarpane, pełne rozpadlin i stromych grani. Musieliśmy daleko się wspinać, zanim znaleźliśmy rudę.

- Asi... Moja bystrooka Asi ją odkryła - podjął Harald z lekkim uśmiechem dumy - Austin powiedział jeszcze: „Nie, to zbyt niebezpieczne, daj, ja się tam wdrapię”, ale ona nigdy nie słuchała tego, co się jej mówiło. Była może na wysokości dziesięciu sążni, gdy odpadła od skały. Ona... Upadła niemal pod moje stopy i wszystko stało się tak szybko... Nic nie mogliśmy zrobić. Jeszcze żyła. Bolał ją bark, na pewno złamany, i nie mogła poruszać nogami, ale wciąż żyła. Może ze dwie godziny. Zanim się ściemniło, umarła.

Z lasu wrócił Osmund z synem kowala, starszym od Hacona mniej więcej o rok. Kiedy Godwin zauważył nieobecność matki i wyraz twarzy ojca, stanął jak skamieniały, powoli podniósł rękę i zakrył oczy. Harald podszedł do niego, położył mu dłoń na drżących ramionach, podprowadził go bliżej wody i cicho z nim rozmawiał.

Candamir popatrzył za nimi w rozterce, po czym znowu zwrócił się do swojego niewolnika:

- Cóż za złe nowiny, Austinie.

- Tak, panie.

- Kiedy już było po wszystkim, czy wdrapaliście się tam i wydobyliście rudę? - Candamir wskazał na klacz, która dźwigała dwa niekształtne, pospiesznie załadowane kosze. Oba były wypełnione wielkimi grudami wyglądającymi jak czerwone odłamki skał.

Niewolnik przytaknął.

- Tyle przynajmniej mogliśmy dla Asi zrobić, czyż nie?

Dopiero wieczorem Candamir wydobył z niego szczegóły. Nieliczni domownicy siedzieli przed szalasem wokół ognia i jedli pstrągi usmażone na chrupko. Były smakowite i soczyste, ale nastrój był ciężki. Nikt nie znał wcześniej Asi tak dobrze jak kowala, ale rodzina Haralda płynęła z nimi na „Sokole” i przeżycia podczas żeglugi zbliżyły ich do siebie. Wszyscy czuli się tak, jakby stracili kogoś z rodziny. Szczególnie Gunda była niepokieszona. Po jej pięknej twarzy wciąż płynęły łzy.

- Bogactwo rudy jest w tych górach - odezwał się wreszcie Austin, poproszony przez Hacona, aby opowiedział, co przeżyli. - Zdaniem Haralda już ta jedna żyła, którą odkryła Asi, jeżeli będziemy systematycznie wydobywać rudę, uwolni nas na cały przyszły rok od wszelkiej troski związanej z żelazem. W drodze powrotnej odkryliśmy jeszcze jedno złożo, ale w równie niedostępnym miejscu. Musimy się zastanowić, jak zorganizować wydobycie, jeżeli chcemy uniknąć dalszych wypadków.

- Czy Asi... Czy bardzo cierpiała? - zapytała Gunda.

- Nie. Sądzę, że nie. Mówiła, że prawie nie czuje swojego ciała. Potem straciła przytomność, a po jakimś czasie jej serce po prostu przestało bić. Tam, na górze... Niewiele rośnie. Nazrywaliśmy krzewów i karłowatych sosen, ułożyliśmy stos i spaliliśmy jej ciało zgodnie z waszym zwyczajem, a nad jej prochami zbudowaliśmy mogiłę ze skał. Harald zdjął swoje pióro białego kruka i zostawił jej w grobie, bo, jak powiadał, była najlepsza ze wszystkich zwiadowców. - Austin przerwał, zamyślił się na chwilę, po czym powtórzył: - Nie, nie cierpiała bardzo. Kowal cierpiał bardziej.

- Tak, dla Haralda jest to z pewnością smutne - powiedział Candamir. - Byli małżeństwem chyba ponad dwadzieścia lat. Któremu małżeństwu się to udało?

Tak wiele kobiet zmarło przy porodzie. Mężczyźni wypływali na morze i nie

wracali albo padali ofiarą krwawych porachunków. Było czymś wyjątkowym, gdy para dożywała wspólnie wieku średniego.

Sakson posępnie pokiwał głową. Kowal opowiadał mu, że w ciągu lat wspólnego życia zmarło im troje dzieci. Austin domyślał się, że tyle trosk z pewnością zbliża do siebie męża i żonę.

- Potem związaliśmy nasze kaftany w tłumoki i przyciągnęliśmy rudę na równinę - opowiadał dalej. - Tam natknęliśmy się na stado dzikich koni, pomyślałem, więc, że uraduje się twoje serce, panie, gdy przyprowadzę ci jednego, który i nam ulży Jak wiesz, nie bardzo znam się na koniach. Ale miałem trochę szczęścia i udało mi się schwycić żrebaka. Klacz przysła za nim już prawie dobrowolnie. Potrzebowałem dwóch dni, żeby ją przyzwyczaić do uprzęży, którą zrobiłem, ale nie był to czas zmarnowany Kowal mógł wtedy spokojnie przemierzać zieloną równinę i walczyć ze swoim bólem, ja zaś miałem sposobność odkryć swoją miłość do koni. Klacz jest stworzeniem przekornym, ale dobrodusznym. Jestem pewien, że przyniesie ci wiele radości. Drugiego dnia pod wieczór przyszedł kowal i oznajmił, że górę, gdzie wydarzyło się nieszczęście, powinniśmy nazwać na cześć Asi, aby nie zapomniano, jaką ofiarę poniosła dla osadników Catanu. Następnego ranka wyruszyliśmy w drogę.

- Dobrze, że znów jesteś z nami - powiedział Hacon z nieśmiałym uśmiechem.

Sakson skłonił głowę.

- Dziękuję.

- Również władczyni Zimnych Wysp będzie z pewnością zadowolona, że cię znowu zobaczy - zauważyła Gunda nie bez uszczypliwości. - Dźwigała tę twoją ciężką księgę znad morza aż tutaj. Aż dziw, że nie zaszczyciła nas swoim towarzystwem przy posiłku, żeby ci ją oddać.

- Dość - uciszył ją Candamir, a ona aż się wzdrygnęła.

Austin domyślał się, że Candamir jest zdenerwowany, ponieważ dzisiaj o zmierzchu Siglind z Osmundem przepłynęła na drugi brzeg i, jak wiedział, tratwa jeszcze nie powróciła.

- Cóż, muszę przyznać, sam też się cieszę, że znowu tu jestem.

Asta skinęła z przekonaniem.

- Po tym, co się stało, dla Haralda była to na pewno ponura wyprawa. Jest taki

milczący Zapewne dłużyły ci się dni.

Sakson z uśmiechem wzruszył ramionami. Prawda jednak była taka, że po śmierci Asi rozmawiał z Haraldem więcej niż przez wszystkie poprzednie dni. O śmierci, o sensie życia i o bogach. Wprawdzie Harald nie odczuwał potrzeby nowej religii, ale nagle zapragnął się dowiedzieć, co mnich sądzi o tych sprawach.

- Przeciwnie. Kował to dobry człowiek i nawet przy całym swoim smutku był najlepszym towarzyszem podróży, jakiego można sobie wymarzyć. Ale to miejsce tutaj... Cóż, wy przywykliście zapewne do niego na tyle, że już tego nie dostrzegacie, ale mnie piękno tej okolicy przepełniło tęsknotą. Te góry już przed wypadkiem były niegościnne i strome. W każdym razie mnie się takie wydały, bo nie jestem do gór przyzwyczajony. Poza tym aż roi się tam od węży Na przedgórzu trzeba uważać na niedźwiedzie, a po równinie hasają wilki. - Bezwiednie aż się wzdrygnął. - Niby wiem, że Odyn ma szczególne upodobanie do wilków, ale byłbym szczęśliwszy, gdyby ich nie stwarzał.

Nikt się nie sprzeciwił, przede wszystkim kobiety były tego samego zdania, co on. Porwanie dziecka przez wilki było koszmarem nocnym każdej matki.

- Cóż, w kraju, gdzie jest tyle innych zwierząt, z pewnością nie trzeba się obawiać psów Odyna - stwierdził Candamir.

- Nie trzeba, były bardzo płochliwe - przyznał Austin. - Pewnego wieczoru podeszły blisko ogniska, zdaniem Haraldą po prostu z ciekawości, i dało się je przegonić jednym rzutem kamienia.

- Sam, więc widzisz. Nawet taki tchórz jak ty dał sobie z nimi radę - zażartował Candamir.

Austin uśmiechnął się wyrozumiale i nic nie powiedział. Choć jego przodkowie modlili się kiedyś do tych samych bogów, co ci ludzie tutaj, jego lud uważał jednak wilka za zapowiedź zbliżającego się nieszczęścia i za symbol niezgody i śmierci. Tak samo jak kruka.

Święto w wigilię miesiąca radosnego księżycą, czyli noc Thora, w dawnej ojczyźnie oznaczało koniec ciemnej i początek jasnej połowy roku. Było to jedno z największych świąt w roku. Osadnicy zaniechali tego dnia prac w polu i w lesie, aby się



przygotować. Zerwano mnóstwo dzikich kwiatów i upleciono z nich wianki dla młodych dziewcząt, a także ozdoby na domy Nikomu nie przeszkadzało, że na razie były to podszyte wiatrem szalasy, które nawet przystrojone kwiatami nie stały się zbyt piękne. W każdym razie największy wieniec przeznaczony był na drzewiec Thora: potężny pal, wysoki na trzy sążnie, który mężczyźni wkopali w ziemię na łące.

Trzeba też było przygotować świąteczny posiłek. Ludzie złapali we wnyki w lesie drobne zwierzęta i ptaki, a do wilczych dołów wpadł odynec i dwie lochy. Na cześć bogów ubito i upieczono wiele wołów. Kto miał jeszcze zapasy, ten przygotował miód pitny, a wyszła tego zupełnie pokaźna ilość.

Kiedy wszystko było gotowe i nadeszło późne popołudnie, ludzie zgromadzili się na brzegu. Na długich, grubo ciosanych stołach kobiety postawiły rzędem wszystkie przygotowane przez siebie smakowitości, a zapach pieczeni uwodził powonienie. Najpierw jednak musieli odprawić obrzędy

Obok nowego jesionu osady stała Brygida, trzymając w dłoni kamień z runą sowilo. U jej stóp stały dwie gliniane miski. Jedna zawierała krew wołu, a druga biały muł kredowy

Mniej więcej czterdziestu wolnych mężczyzn ustawilo się przed Brygidą w równym rzędzie. Wszyscy byli rozebrani do pasa, boso, a każdy dzierzył w ręku kij wysokości człowieka.

Siward był pierwszy. Brygida wzięła runę w obie dłonie, potrząsnęła nimi kilka razy i upuściła runę w wyciągniętą prawą dłoń Siwarda. Kamień upadł znakiem runicznym do góry

- Lato - oznajmiła.

Siward wziął pędzel z sitowia z miski wypełnionej krwią wołu i namalował sobie na piersiach runę sowilo.

Berse był następny. Kamień na jego dłoni wylądował runą w dół.

- Wnuk Durina walczy w imieniu zimy - oznajmiła Brygida z uroczystym wyrazem twarzy, ale w jej starych oczach błyskały wesołe ogniki.

Berse śnieżnobiałym mułem kredowym namalował sobie na krótkim torsie runę sowilo.

Mężczyźni występowali jeden po drugim, aż podzielili się na dwie grupy mniej

więcej równej wielkości, a każdy miał na piersiach znak runiczny odpowiedniej barwy. Następnie ustawili się tak, że ludzie zimy mieli za plecami północ, a wojownicy lata południe. Oddalili się od siebie mniej więcej na dwadzieścia kroków i z dużym zaangażowaniem zaczęli onieśmielać przeciwników mrocznymi spojrzeniami, przy czym rytmicznie uderzali o ziemię swoimi kijami.

- Po prostu nie chce mi się wierzyć, że oni to robią - mruknął zakłopotany Sakson.

- Ja bym dał wszystko, żeby tam być - odezwał się Hacon równie niewyraźnie. Candamir mu jednak zabronił. Zapowiedział, że może w przyszłym roku. Tylko, że to samo mówił w zeszłym...

Brygida trzymała teraz w dłoniach jeden kwiat czerwony i jeden biały. Uniosła rękę w górę.

- Wyjątkowo wykażcie trochę rozumu i nie rozwalcie sobie głów - napomniała. - Nie możemy wyrzec się z żadnego z was. Gdyby jednak miała nadejść śmierć, nie wolno dążyć do krwawej zemsty, gdyż ten bój rozsądzą bogowie - upuściła oba kwiaty. - Oby Thor zesłał wam zwycięstwo!

„Cóż za bezsensowne życzenie” - pomyślała Siglind nie po raz pierwszy przy tej okazji, bo przecież siłą rzeczy zwyciężyć mogła tylko jedna ze stron. Mimo to krzyczała razem z pozostałymi kobietami, dziećmi i niewolnikami, gdy mężczyźni rzucili się na siebie. Zagrzewające do walki wołania widzów ginęły jednak zupełnie w bojowych okrzykach ponad czterdziestu męskich gardeł. Ów ryk aż mroził krew w żyłach, tak złowrogo i niebezpiecznie rozbrzmiewał.

Tego roku Candamir, tak jak we wszystkich latach ubiegłych, od kiedy wolno mu było uczestniczyć w tym honorowym obrzędzie, znalazł się po stronie zimowej. Wielu mężczyznom tak się zdarzało, że runa zawsze uparcie pokazywała im tę samą stronę. Stwierdził, że ich walka jest o wiele trudniejsza, ponieważ oczywiście w głębi duszy każdy z wojowników, a także wszyscy widzowie pragnęli, aby właśnie lato, które użyźnia pola i przynosi życie, pokonało śmiertcionośną zimę. Świadomość jednak, że stoi po złej stronie, uczyniła jego i jego towarzyszy jeszcze bardziej zaciętymi. Żadnemu przeciwnikowi nie patrzył w twarz. Wiedział, że Osmund znowu stał w obozie przeciwnym, tak samo jak Harald i przyjaciel Hacona Wiland. Nie chciał ich widzieć. Żadne uczucia nie mogły hamować jego uderzenia. Wpatrywał się tylko w czerwone

runy i całą mocą wwierał się wzrokiem w pomalowane ręce, nogi i ciała.

W jednej chwili wrogie oddziały zupełnie wbiły się w siebie. Używano nie tylko drewnianych kijów, ale także pięści, łokci, stóp i kolan. Pogodne, wiosenne popołudnie wypełniły jęki, kolejne ryki bojowe i przerażający odgłos kijów z dębu i jesionu na nagiej skórze, od którego Austinowi zrobiło się trochę niedobrze, choć właściwie było to nawet przyjemne.

Candamir kątem oka dostrzegł opadający na niego kij i przykucnął, ale nie dość szybko. Jared trafił go w plecy. Uderzenie aż zaparło Candamirowi dech w piersiach, ale nie upadł na ziemię. Zanim jeszcze się wyprostował, walnął młodzieńca zaciśniętą pięścią w brzuch, a gdy Jared się skulił, rąbnął go kijem w kark tak potężnie, że przeciwnik bez przytomności upadł na ziemię.

- Więcej szczęścia następnym razem, młodziku - warknął Candamir przez zaciśnięte zęby i, nie spojrzawszy nawet na nieruchomą postać, zajął się kolejnym przeciwnikiem. Pole wyraźnie już opustoszało. Wszędzie potykano się o w różnym stopniu wyczerpanych wojowników, leżących w trawie.

Mieszanina woni potu i krwi otaczała wojowników jak niewidzialny obłok. Łąka była wydeptana i wyglądała trochę jak zaorana. Po stronie zimowej na nogach było jeszcze trzech, po stronie przeciwnej siedmiu lub ośmiu.

Osmund i Candamir - zdyszani, krwawiący i już nieco zmęczeni walką - trafili w końcu na siebie. To także zdarzało się niemal każdego roku. Osmund już wcześniej stracił swój kij, po prostu rozwalił go, uderzając po krzyżach jakiegoś nieznanego przeciwnika, wyrzucił więc połamane kawałki, żeby kogoś poważnie nie zranić. W tej sytuacji również Candamir odrzucił swój kij, po czym rzucili się na siebie z pięściami. W końcu stali się jedynymi, którzy jeszcze walczyli.

Łąkę ogarnęła cisza pełna napięcia, przerywana jedynie dyszeniem walczących i głuchymi ciosami. Walka się przedłużała. Każdy z nich musiał coraz dłużej czekać, aż jego przeciwnik podniesie się na nogi. Obaj mieli pęknięte łuki brwiowe i obu krew zalewała oczy, jednemu lewe, drugiemu prawe. Poza tym Osmund miał jedno oko prawie całkowicie spuchnięte. Candamirowi ząb ruszał się tak bardzo, że bał się, że prawdopodobnie go straci. Oba ciała były śliskie od potu i krwi. Chwiejnie stali naprzeciw siebie, a ich ręce wisiały pozornie niegroźnie aż do chwili, kiedy ten, na

którego przychodziła kolej, zdobywał się na wysiłek, aby unieść pięść i z solidnym mimo wszystko rozmachem ugodzić przeciwnika w szczękę, szyję lub pierś. Potem i to się skończyło, stali tak, więc nieruchomo ze zmrużonymi oczami, jak woły w upalnym słońcu, i wyglądało to tak, jakby im się już wszystko ostatecznie poplątało i nie wiedzieli nawet, co tu robią i po co.

Jednak pozory były mylące. Candamirowi kręciło się w głowie i czuł się tak, jakby grzązł w gęstej mgle, ale myśleć był w stanie równie jasno jak zawsze. Miał świadomość, gdzie są, co tu robią i dlaczego. Wiedział to bardzo dokładnie i zdawał sobie także sprawę z tego, że nie wytrzymaliby już dłużej, gdyby wśród widzów nie stała Siglind. Ani jemu, ani Osmundowi nie udało się jak dotąd porozmawiać na ten temat, o tym niezręcznym, niejasnym problemie, który z żadnej strony nie miał pary rogów, żeby za nie chwycić. Obaj pragnęli Siglind, ale tylko jeden mógł ją zdobyć. Walczyli, więc o nią w jedyny sposób, jaki mieli do dyspozycji.

Chociaż w tej chwili Candamir to wszystko sobie uświadamiał, wiedział też, że Siglind nie będzie uzależniać swojej decyzji od tego, który z nich przykuśtyka z pola walki jako zwycięzca.

Widział, że Osmund mobilizuje ostatnie rezerwy. Był to długi proces, którego przebieg odzwierciedlały tylko jego oczy, Candamir od zawsze umiał jednak w tych oczach czytać jak Sakson w swojej księdze. I pomyślał: „Jeżeli ona jest mądra, wybierze ciebie, bo z nas dwóch to ty jesteś lepszym człowiekiem. Nie wiem tylko, jak ja to wytrzymam...”.

W mgnieniu oka, zanim Osmund zacisnął pięść, Candamir podniósł obie ręce dłońmi przed siebie i upadł w miękką trawę.

- Lato zatriumfowało nad zimą! - zawołała Brygida. Nie sposób było nie usłyszeć jej zadowolenia.

Nastąpił długo powstrzymywany wybuch radości. Kobiety i dziewczęta wbiegły na pole walki i jak Walkirie budziły poległych. Jeden po drugim podnosili się półżywi wojownicy i pośród jęków dawali się prowadzić ku rzece. Tam się kąpali, aby ochłodzić rany i powstrzymać różne, w większości drobne krwawienia. Tym razem nie doszło do poważnych obrażeń. Syn Berse, Sigurd, miał zwichnięty bark i ryczał jak byk, gdy mu go Sakson z powrotem nastawiał. Smolarz Haflad złamał rękę, co nie wzbudziło niczyjego

współczucia, wielu miało połamane któreś z żeber, ale to wszystko były drobiazgi niegodne rozpamiętywania.

Osmund osunął się w trawę obok Candamira i teraz leżeli obaj podparci na łokciach, ze zwieszonymi głowami, ciężko dysząc. Równocześnie odwrócili się do siebie, wymienili mroczne spojrzenia, po czym wybuchnęli śmiechem.

- Chłopie, ależ ty wyglądasz - zauważył Candamir nie bez złośliwej satysfakcji. - Założę się, że potrwa, co najmniej tydzień, zanim będziesz znów widział na lewe oko. Masz potężnego siniaka.

- Trzeba poczekać - odparł spokojnie Osmund.

Potem podeszły do nich Inga i Gunda, podały im kufle chłodnego miodu i pomogły stanąć na nogi.

- Byłeś cudowny - powiedziała z uśmiechem Inga do Osmunda, kiedy ten oddawał pusty kufel. Podziękował, speszony przejechał dłonią po krwawiącym łuku brwiowym i dał się poprowadzić ku rzece.

- Ty też nie byłeś zły, panie - mruknęła Gunda.

Candamir mrugnął do niej, dyskretnie wsparł się na jej ramieniu, a w drodze do rzeki ukradkiem rozglądał się za Siglind. Pomagała gromadce dziewczynek przystrajając głowy wiankami. Sama też miała wianek, upleciony głównie z niezapominajek. Wyglądała czarująco. Siostra Candamira klęczała zaś w trawie przy Haraldzie i bandażowała mu wilgotnym płótnem wyraźnie skręconą kostkę. Wzrok kowala skierowany był ku odległym góróm.

Zapadł leniwy, niemal już letni wieczór. Niebo było granatowe, a na nim księżyc w trzeciej kwadrze wyróżniał się pośród j mnóstwa gwiazd. Ludzie z radością biesiadowali, pili, rozpalili też wielkie ognisko, grali na drewnianych fujarkach lub wolich rogach, czym robili wiele hałasu - jak stwierdził Austin, nie po raz pierwszy zdumiony - śpiewali pieśni o swoich, bogach i przodkach. Kiedy zbliżała się północ, Brygida wybrała syna Olafa, Larsa, aby ozdobił wieńcem drzewiec Thora. Promieniejąc z dumy, młodziutki chłopiec z zadziwiającą zręcznością wspiął się po gładkim palu z liną w zębach. Dotarłszy na szczyt, kiwnął na pozostałych chłopców, a ci do drugiego końca

liny przywiązali wielki, imponujący wieniec z kwiatów. Lars wciągnął go na górę, zawiesił na szczycie pala i pośród ogólnej radości ześlizgnął się z powrotem na ziemię.

- Na Zimnych Wyspach ludzie w tę noc zawsze ofiarowywali Thorowi dziewicę - zauważyła Siglind, która z Saksonem stała przy ognisku i patrzyła na uwieńczony pal Thora.

- Co?

Spojrziała na niego i uśmiechnęła się, widząc jego przerażoną minę. Potem kiwnęła potakująco głową.

- Chodzi o to, że tej nocy bogowie są obecni wśród ludzi. Wydaje mi się jednak, że Thor nigdy osobiście nie pojawił się na Zimnych Wyspach, a oczywiście zawsze Cnut miał ten przywilej, aby w zastępstwie boga uszczęśliwić jakąś mniej lub bardziej chętną dziewicę. Na oczach swoich świętujących poddanych, których płodność w ten sposób potwierdzał. Przynajmniej tak kazano nam wierzyć. - Jej wątpliwości były równie wyraźne jak sarkazm.

Austin się wzdrygnął.

- Przywykłem już do wszelkiego rodzaju barbarzyństwa, ale przynajmniej tego w Elasundzie nie było.

Potem pomyślał jednak, że być może wcześniej tak bywało. Zawsze uważał, że to wieńczenie drzewca Thora ma w sobie coś okropnego, i teraz przyszło mu do głowy, że pewnie jest to pozostałość po tym odrażającym pogańskim obrzędzie.

- Sądzę, że nie było - odrzekła Siglind. - Ci ludzie tutaj nie mają ani wodza, ani kapłana, zawsze, więc wybuchałyby kłótnie o to, kto ma zastępować boga.

Sakson w zamyśleniu pokiwał głową.

- Co się działo później z tymi dziewicami? - zapytał.

- Och - Siglind wzruszyła ramionami. - Cnut zatrzymywał je na jakiś czas, gdy jednak stwierdzał, że nie zaszły w ciążę, odsyłał je do rodziców albo do właścicieli, bo niektóre były też niewolnicami. Co do kobiet, biedny Cnut nie miał wiele szczęścia, o ile wiem, żadna nie dała mu potomka.

- Może to i lepiej dla mieszkańców Zimnych Wysp - zauważył mnich. - Być może przyjdzie po nim jakiś lepszy król, nie jego syn dziedziczący jego słabości.

- To prawda.

Milczeli i spoglądali na drzewiec Thora, który stał teraz w centrum swawolnych tańców. Przy ognisku opustoszało i zrobiło się znacznie ciszej. Z oświetlonego ogniem kręgu jedna po drugiej znikaly pary, szukając sobie ustronnego miejsca wśród przybrzeżnych trzciny albo pod osłoną drzew.

Candamir był pijany, ale w żadnym razie nie uszło jego uwagi, że saksoński niewolnik łamie wyraźny zakaz i znowu prowadzi z Siglind jakiegoś, najwidoczniej poważne, rozmowy, wciąż patrząc jej głęboko w oczy. Stwierdził jednak, że znajdzie czas następnego dnia, żeby się z nim ostro rozmówić. W tej chwili Candamirowi, co innego było w głowie. Upoił go nie tylko miód, ale i sama noc Thora, i krew mu wrzała.

Podszedł do swojej fryzyjskiej niewolnicy, która, paplając i chichocząc, stała w otoczeniu przyjaciółek, bezceremonialnie objął ją od tyłu, kładąc dłonie na jej brzuchu, wtulił twarz w jej włosy i szepnął:

- Pozbądź się małego. Już dość się naczekałem.

Jej ciało zeszytywniało z jego objęciami, ale rozwiązała chustę, w której Nils spał przy jej piersi, i podała niemowlaka Aście.

- Zajmiesz się nim przez chwilę, pani?

- Oczywiście.

Candamir niecierpliwie odciągnął ją od gromady i światła ogniska.

- Chwila raczej nie wystarczy - zapowiedział.

Nie zadał sobie wiele trudu przy wyborze ustronnego miejsca. Nagle nie potrafił już zapanować nawet na chwilę nad zniecierpliwieniem. Za leszczyną, która rosła tak blisko brzegu, że słyszeli tajemniczy plusk nocnej rzeki, pociągnął Gundę w trawę, jedną ręką podciągnął jej suknię, drugą niecierpliwie rozpinając spodnie, po czym wszedł w nią z jękiem o brzmieniu raczej ulgi niż namiętności.

Gunda z trudem powstrzymywała uśmiech. Candamir wydał jej się chłopcem, który po długim dniu zabaw i gier z kolegami w końcu dostał łyk wody, by zaspokoić dręczące pragnienie. Nie zaraziła się jednak jego chucią. Leżała pod nim cicho i obojętnie, z rękami w trawie. Całkowicie pochłonięty sobą, wydawał się w ogóle nie zauważać nietypowej dla niej powściągliwości. Jego dyszenie było głośniejsze niż

zwykle i przyspieszało razem z jego samolubnym stękaniem. Gdy doszedł, zaraz przetoczył się na bok i legł na plecach, dysząc ciężko.

- Czy już? - chciała wiedzieć. - Mogę sobie pójść, panie?

Candamir wyprostował się jednym ruchem.

- Co jest? - zapytał ze złością. - Co z tobą?

- Nie wiem - skłamała, także usiadła i wzruszyła ramionami.

Bardzo ją zranił podczas tamtej nieszczęsnej wieczornej rozmowy po narodzinach Nilsa, o czym zapewne już dawno zapomniał. Poczula się oszukana. Dała mu syna - jego pierworodnego - a on nie miał ochoty, żeby cokolwiek dać jej w zamian. Jej rozczarowanie było tak wielkie, że wszelkie pożądanie zanikło.

- Nie wiesz, zatem - mruknął z westchnieniem zniecierpliwienia i zmierzył ją ponurym spojrzeniem, nie chcąc zauważyć, jak bardzo jest nieszczęśliwa. Uznał, że w ogóle nie ma prawa być nieszczęśliwa. Zawsze traktował ją dobrze, posiadał ją delikatnie i z uważaniem, gdy przyszła do niego: zahukane dziecko o jasnych lokach, szpiczastych kolanach i szczupłej twarzyczce; zdawała się składać tylko z tych błękitnych oczu. Teraz jednak nie miał zamiaru robić tego po raz drugi. Gunda stała się już dorosłą kobietą, a przede wszystkim była jego własnością.

- Cóż, cokolwiek to jest, chcę, by się skończyło.

- Przykro mi, panie, jeśli cię nie zadowoliłam - odparła nieco zuchwale.

Jej odrzucenie uraziło go. Zupełnie jej nie rozumiał, uznał, że naprawdę na to nie zasłużył. Odpowiedział z krótkim skinieniem głowy:

- I powinno ci być. Nie myśl, że nie miałbym serca cię sprzedać. Nadal jesteś warta tyle, co worek ozimej pszenicy, a z niej większy dla mnie pożytek niż z zadzierającej nosa Fryzjki w moim posłaniu.

Gunda położyła dłoń na ustach i ze zdumieniem wpatrywała się w Candamira.

- Ależ... Ależ ja jestem matką twojego syna - przypomniała.

- Znajdę mamkę dla niego - odparł ze wzruszeniem ramion, wstał, ubrał się i wszedł do czarnej jak noc rzeki, która przy brzegu w tym miejscu była płytką i bezpieczną.

Gunda patrzyła za nim. „Jeszcze pożałujesz - pomyślała. - Nie wiem jeszcze, w jaki sposób, ale postaram się, żebyś pożałował?”. Potem zdjęła przez głowę wytartą suknię



i weszła za nim do wody, żeby go udobruchać.

Osmund bezszelestnie podszedł do Siglind i Saksona. Obrzucił Austina niechętnym spojrzeniem i pokazał mu prawie niezauważalnym ruchem brody, że jest tu niepożądany. Sakson chętnie pospacerował do stołu, aby sprawdzić, czy wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu został jeszcze jakiś kawałek pieczeni z dzika.

Osmund zapraszającym gestem podał Siglind kufel. Przyjęła go z wdzięcznym skinieniem głowy. Gdy piła, bacznie obserwował najmniejsze poruszenia mięśni na jej szczupłej szyi.

- Hm... Smaczne - pochwaliła, oddając mu kufel.

Machnął ręką.

- Lepiej wypij do dna. Ja chyba mam już dosyć.

Zaśmiała się ze zdziwieniem.

- Jeszcze się nie spotkałam z tym, żeby mężczyzna samodzielnie dokonał tego mądrego spostrzeżenia.

Uśmiechnął się, speszony, wziął ją za rękę i zaprowadził na drugą stronę ogniska, w miejsce leżące już trochę poza oświetlonym kręgiem. Tam nikt im nie przeszkadzał i usiedli w trawie. Siglind opuściła głowę. Z rękami splecionymi nerwowo na piersiach, Osmund obserwował ją ukradkiem. Lewe oko miał tylko trochę opuchnięte, zimna rzeczna woda oraz łagodzący olejek goździkowy, który Brygida po bitwie hojnie rozdzielała, dokonały cudu. Siglind pomyślała, że choć większość mężczyzn jej ludu było świetnie zbudowanych, to Osmund miał chyba najpiękniejszą budowę ciała, jaką kiedykolwiek widziała. Ponadto był mądry i nieustraszony, miał też wszelkie cnoty pożądane u mężczyzny - poza bogactwem, ale i to było w tym kraju jedynie kwestią czasu. Mimo to wolała być teraz w każdym innym miejscu - nawet u stóp ognistej góry - niż tutaj z nim sam na sam.

- Siglind... - zaczął cicho.

Podniosła głowę.

- Tak?

Zawahał się. Trudna sprawa - tak inna niż z Gislą, której o nic nie musiał pytać,

bo sprawy były wtedy jasne jak słońce. Urzeczywistniał jednak swój zamiar z właściwym sobie uporem.

- Kiedy byliśmy wczoraj na południowym brzegu, powiedziałem ci, jak sobie wyobrażam najbliższe lata i na co mam nadzieję w przyszłości. Jakie mam plany. Dzisiaj boję się, że mogło to zabrzmieć, jakbym się chciał przechwalać.

- Nie. Wcale nie - odparła zgodnie z prawdą. - Twoje plany są dobre i rozsądne, osiągniesz wszystko, co sobie zamierzyłeś, jestem tego pewna. Twój syn będzie z ciebie dumny i będzie układał pieśni o twoich czynach. - Sama słyszała, że mówi to ze ściśniętym gardłem i bez tchu. Kusiło ją, żeby skoczyć na równe nogi i uciec stąd, ale po prostu nie było wyjścia z tej sytuacji. Niespodziewanie duża, ciepła ręka Osmunda znalazła się na jej dłoniach.

- Przysięgam ci na oko Odyna, że nie masz najmniejszego powodu, aby się mnie obawiać.

Bezradnie potrząsnęła głową.

- Wiem, że nie mam.

- Skoro wiesz, to, dlaczego drzysz jak sarna w potrzasku?

- Wcale nie...

- Siglind...

- Nie, Osmundzie, proszę. Nic już nie mów.

- Ale ja muszę. W przeciwnym razie całe życie będę sobie zadawał pytanie, co też byś mi odpowiedziała. Zatem: czy chcesz zostać moją żoną?

W jego głosie brzmiał lekki uśmiech, który obejmował zawsze tylko jeden kącik ust i od którego nie tylko Indze nogi robiły się miękkie. Siglind nigdy nie czuła silniejszego pociągu do niego niż właśnie w tej chwili. Pragnęła całym ciałem tego mężczyzny, z gatunku, o którym sądziła, że wymarł. Nic nie dała jednak po sobie poznać. Od tak dawna przywykła do skrywania swoich odczuć, że i teraz nie kosztowało ją to zbyt wiele trudu. Był to odruch obronny, który przenikał ją do głębi.

- Nie.

- Och - nie zabrał dłoni, a przeciwnie, na mgnienie oka ścisnął ją mocniej, później jednak stopniowo wycofał rękę, aż przestali się dotykać. Osmund podciągnął kolana, oplótł je palcami i, jak to robił często, zapatrzył się w gwiazdy - W takim razie zapewne

nieźle cię zirytowałem. Wybacz, jeśli byłem natarczywy - poprosił nieco sztywno.

- Wcale nie - sprzeciwiła się zniecierpliwiona. Na krótko przerwała, a potem mówiła dalej: - Twoja propozycja to dla mnie honor. Wiem, że nie ma tu lepszego mężczyzny, którego mogłabym poślubić.

- Ale serce i rozum idą często innymi drogami i to Candamir jest tym, którego pragniesz - dokończył za nią tak cicho, że nie zdołała rozpoznać, jakim tonem to mówi. Wściekłym? Zrezygnowanym? Rozbawionym? Naprawdę jednak zrozpaczonym. Osmund wcale nie był pewien, że Siglind go zechce. Teraz musiał jednak stwierdzić, że wcale nie był przygotowany na jej odmowę.

- Pewnie masz rację - powiedział z udawanym spokojem. - To z pewnością jest mądry wybór. Bogowie kochają Candamira, szczęście zawsze mu sprzyja, a on na nie zasłużył. W jego sercu nie ma ciemnych zakątków.

- W każdym sercu są mroczne miejsca - zaproponowała. - I mylisz się. Nie mam zamiaru za niego wychodzić, ponieważ w ogóle nie chcę więcej wychodzić za mąż, rozumiesz?

- Nie - przyznał otwarcie, odczuwając przy tym nieskończoną ulgę. - W takim razie, czego pragniesz?

Nie odpowiedziała od razu. Mniej więcej tydzień wcześniej, wieczorem, kiedy potajemnie przyjęła od Austina chrzest, mnich opowiedział jej o świętych niewiastach w jego ojczyźnie, które wyrzekły się mężczyzn i świata, poświęcając się w pełni swojemu Bogu. Oblubienice Chrystusa - tak je nazywał. Uczestniczyły w tajemnicy tego Boga i potrafiły czytać z jego księgi. Oblubienice Chrystusa. Siglind nie całkiem jeszcze pojmowała, co to oznacza, ale brzmiało cudownie. Przeczowała, że to właśnie jest jej droga, ale nie mogła tego wyznać Osmundowi, który Boga Austina nienawidził i od przybycia do Catanu stał się żarliwym wyznawcą Odyna.

- Nie jestem jeszcze pewna - przyznała. Podniosła się, uklękła przed Osmundem i wzięła go za rękę. - Wiesz, jak to jest, kiedy zapada zmrok i nie sposób znaleźć drogi, prawda?

- Wiem.

- Kiedy życie jest udręką?

Wstydliwie opuścił wzrok, ale przytaknął.

- Ciemności ustąpiły - ciągnęła Siglind. - Ale drogi wciąż nie widzę.

- To także nie jest mi obce. Wierzyłem, że droga moja i twoja jest jedna i ta sama, ale chyba się oszukiwałem. - Zaciśnął zęby, żeby nie błagać ją o przemyślenie decyzji. Zawsze czuł, że są do siebie podobni, i dlatego sądził, że do siebie przynależą. Jej odmowa oznaczała stratę, którą odczuł jak fizyczny ból. Była to dla niego tragedia. Odwrócił głowę i wpatrywał się w ogień.

Niezwykle delikatnie położyła swoją dłoń na jego.

- Nie smuć się, Osmundzie. Urazić cię to ostatnia rzecz, jakiej bym chciała. Z własnej woli poszłam na wygnanie, ale nie doceniłam samotności. Jest pełna goryczy Ty jednak od pierwszego dnia byłeś moim przyjacielem.

- Jestem nim nadal, jak wtedy - zapewnił, zanim jeszcze zdecydował, czy może wciąż nim być.

Siglind w milczeniu skinęła głową. Czowała się okropnie. Wiedziała, że Osmund jest urażony i przeklinała samą siebie, bo wszystko zrobiła nie tak. Dlaczego nie była zręczniejsza, dlaczego nie zdołała spowodować, żeby w ogóle nie doszło do tej rozmowy, tak bolesnej dla obojga?

- Chciałabym stać się zupełnie innym człowiekiem - zwierzyła mu się. - Pewnego dnia będziesz zadowolony, Osmundzie, że odrzuciłam twoje oświadczenia, które są dla mnie zaszczytem. Zawsze przynoszę wszystkim tylko nieszczęście. Mam na sumieniu całą moją rodzinę, bo Cnut zabił wszystkich, żeby mnie dostać. Tylko po to, by stwierdzić, że jego królowa nie może mu dać synów. Ty... Naprawdę zasługujesz na lepszą kobietę.

Musiał się uśmiechnąć.

- Cóż za urocza próba pocieszenia mnie. Obawiam się jednak, że szyta grubymi nićmi.

- Nie, to, co mówię, traktuję bardzo poważnie. To, że mi nie wierzysz, nie zmienia stanu rzeczy. Poza tym...

Osmund przycisnął usta do jej ust. Nie wiedział, co go naszło, ale po prostu nie mógł się powstrzymać. Siglind była tak blisko, noc była tak upojna i wszędzie w ciemnościach ciche szelesty i tłumione dyszenie zdradzało obecność innych par.

Odwzajemniła jego pocałunek. Chciała sobie wmówić, że chodziło jej o

uśmierzenie urazy spowodowanej odmową, ale szybko zauważyła, że nie tylko o to. Jakiś cichy, zdradliwy głos w głowie podszeptował jej, że zasługuje przynajmniej na jeden niewinny pocałunek w tę noc, podczas której najwidoczniej wszyscy inni oddawali się tej przyjemności - najstarszej zabawie świata. Kiedy Osmund ją objął i mocniej do siebie przytulił, naszała ją pokusa, aby przestać się zastanawiać i pozostawić rzeczy ich naturalnemu biegowi. Wiedziała jednak, że później Osmund nie przyjmie już odmowy, i instynkt ostrzegł ją przez zagrożeniem, że za godzinę rozkoszy będzie się musiała wyrzec wszystkiego, czego naprawdę pragnęła: innego życia, innego boga, innej drogi.

Ostrożnie się uwolniła i pokręciła głową.

Osmund ukradkiem westchnął.

## **RADOSNY KSIĘŻYC rok pierwszy**

*Na południowym brzegu rzeki są pola żyta należące do każdego klanu, rozdzielone brzdami i przygotowane. Stanowią obraz porządku, jaki wprowadzili ludzie i na jaki pozwolił Bóg. Lato zapowiada się ciepłe i suche, ale bez suszy wszyscy, więc ośmielają się mieć nadzieję na nagrodę w postaci dobrych zbiorów. Również karczowanie postępuje sprawnie dzięki sile i niezmordowanej pracowitości tych ludzi. Serce się raduje, gdy się patrzy jak nieświadomie idą za Bożym przykazaniem i czynią sobie ziemię poddaną.*

*Kobiety zwolnione od pracy na południowym brzegu przędą i tkają nową wełnę i przemierzają las w poszukiwaniu nowego bydła do udomowienia. Są odważne i silne jak boginie z ich legend.*

Austin przerwał na chwilę i rozważał, czy nie dodać jeszcze określenia „piękne”, ponieważ oczywiście chciał, aby osadnikom podobało się to, co o nich napisał w kronice, gdyby pewnego dnia zażyczyli sobie, aby im to przeczytał - na co ciągle miał nadzieję. Uznał jednak, że mnichowi nie przystoi wychwalanie gracji niewieściej.

*Cietrzewie najwidoczniej nie są liczne i nietatwo je znaleźć, dlatego dla ochrony przed lisami trzymamy je w ciasnych kurnikach, gdzie wysiadują jajka. Warchlaki ubitej lochy trzyma się w zagrodce i karmi krowim mlekiem w nadziei, że się oswoją i dadzą się skrzyżować z kilkoma świniami domowymi, które przywieźliśmy. Każdy klan ma już znaczne stado bydła, a grupa chłopców wyruszyła ku podnóżom gór w poszukiwaniu kóz. W ten sposób stopniowo, dzięki nieskończonej dobroci Boga, dochodzimy do dobrobytu. Brakuje nam jedynie owiec. Olaf, nieformalny przywódca tego ludu, zaczął już budowę domu...*

Austin znów odłożył pióro. Brzmiało dobrze: „Olaf, nieformalny przywódca tego ludu, zaczął już budowę domu” mówiło o postępie i bezpieczeństwie. W końcu ludzie to nie ptaki - solidny dach nad głową był koniecznym warunkiem życia w zdrowiu i bezpieczeństwie. Saksona coś jednak ścisnęło w okolicy żołądka za każdym razem, gdy pomyślał o tej budowie. Tak samo jak Osmund, miał jak najgorsze przeczucia, co może wyniknąć z tego, że akurat porywczy Candamir ma się zetrzeć z władcym Olafem...

Niektórzy ludzie szemrali, kiedy Olaf wybrał sobie kawałek wykarczowanej ziemi na działkę pod swój nowy dom. Jak oświadczył Siward, nie po to harowali od świtu do nocy, zdobywając ziemię orną, żeby jeden z nich, który się ma za lepszego od innych, mógł sobie na niej postawić wielki dom. Olaf odparł na to nieporuszony, że nikomu ziemi nie kradnie, a tylko korzysta z działki, z której Candamir już dobrowolnie zrezygnował.

- O dobrowolności nie bardzo można tu mówić - mruknął pod nosem Candamir. Osmund się sprzeciwił:

- W tej sprawie nie padło jeszcze ostatnie słowo, stryju.

Olaf zrobił gest zamykający ten temat.

- Będzie, co ma być. Ja chcę mieć dom tutaj i nigdzie indziej. Odpowiednio blisko rzeki, żebym mógł sobie kiedyś zbudować przystań dla mojego statku. Wszyscy w końcu postawicie sobie domy tam, gdzie zechcecie, nie zachowujcie się, więc tak, jakbym sobie przywłaszczał prawa, których nie miałby każdy z was. Jedyna różnica polega na tym, że robię to teraz.

Tydzień po nocy Thora Candamir i Hacon rozpoczęli pracę i wykonywali ją, zgodnie z umową, co trzeci dzień. Olaf przydzielił im do pomocy Jareda, niemego Turończyka i jeszcze dwóch silnych niewolników. Candamir szczegółowo wypytał Olafa o jego życzenia i wiedział dokładnie, co ma robić. Olaf zapragnął zupełnie innego domu

niż ten, w którym mieszkał w dawnej ojczyźnie. Bez podwójnych ścian wypełnionych ziemią, bo Olaf był przekonany, że na Catanie nawet zimą nie będzie tak chłodno, żeby była konieczna aż taka ochrona. Nie, konstrukcję domu wyobrażał sobie tak, jak to widywał w krajach o łagodniejszym klimacie: ściany z zewnątrz obite deskami, od środka zaś uszczelnione plecionką z gałęzi i gliną oraz pobielone. Tym, bowiem, co Olaf koniecznie chciał mieć, były okna. Na ziemi wykreślił patykami plany, dzięki czemu Candamir wiedział dokładnie, jak sobie całą rzecz wyobraża.

- W każdej długiej ścianie chce dwa okna? - pytał Hacon z niedowierzaniem. - Przecież wtedy każda pogoda wlezie do środka.

- Hm... Chodzi mu o to, żeby podczas deszczu albo chłodu można je było zamknąć okiennicami. Szczerze mówiąc, jest mi obojętne, czy w swoim nowym domu będzie mókł lub marzł.

- Robiłeś kiedyś okna? Wiesz, jak to się robi?

Candamir zniecierpliwiony wzruszył ramionami.

- Przypuszczam, że tak jak drzwi, nie? Na górze kładzie się belkę w celu podparcia, i tyle. Czego natomiast nie wiem, to jak się kryje dach trzcina - z powodu dużej ilości szuwarów rosnących w pobliżu brzegu Olaf zarządził, aby dachy pokryć właśnie nimi.

- Austin na pewno wie, jak to się robi - odezwał się chłopiec z przekonaniem. - W jego ojczyźnie wiele dachów jest nią krytych, jak opowiadał.

- Dobrze. Zapytamy go. Teraz do roboty.

Olaf osobiście wymierzył dwadzieścia kroków długości i piętnaście kroków szerokości swojego nowego domu i pod jego nadzorem Candamir wbił narożne kołki oraz naciągnął sznurek. Wzdłuż tak oznaczonych wymiarów zrobili wykop pod fundamenty Niewolników wysłał na wzgórze, aby nałupali kredowej skały i wyciosali kamienie na fundamenty, w które zostaną wpuszczone słupy nośne podtrzymujące poziome belki konstrukcji.

Parobkowie dostarczali ze składu drewno na budowę, a Jared, Candamir i Hacon ociosywali pnie na belki. Jared nie miał większego doświadczenia z drewnem i był raczej



przeszkodą niż pomocą. Przeklinał dużo i głośno, a na jedną belkę potrzebował tyle czasu, co Candamir na trzy, ale nawet wtedy efekt jego pracy okazywał się garbaty i krzywy

Candamir, wzdychając, doszedł do wniosku, że lepiej byłoby wkład Jareda ograniczyć do wytwarzania drewnianych bolców i klinów, ale powstrzymał się od komentarza. Wiedział, że chłopak wciąż ma mu za złe tę głupią historię z dzikiem i nie chciał go już bardziej nastawiać przeciw sobie. Kiedy jednak po raz drugi w ciągu kilku chwil Jaredowi wyslizgnęła się siekiera i tylko o włos minęła jego stopę, Candamir zaproponował:

- Odpocznij sobie trochę, Jaredzie. To niebezpieczne, kiedy się przy tym ma zmęczone ręce.

Jared rzucił ukradkowe, ale jednoznaczne spojrzenie pełne zawiści w kierunku dużo młodszego Hacona, który dawał sobie radę znacznie zręczniejsze. Wbrew oczekiwaniom jednak się nie rozzłościł.

- Jeśli mnie ojciec złapie na próżnowaniu, to już nie żyję - mruknął ponuro.

Candamir mrugnął do niego porozumiewawczo.

- Twój ojciec gna teraz wasze owce na równinę. Jest daleko stąd.

- Ale jutro policzy gotowe belki i będzie się zastanawiał, dlaczego jest ich tak mało.

Turończyk odłożył pień, który właśnie przywlókł, podszedł do nich i wskazał na siekierę Jareda. Potem jak dziecko prosząco złożył ręce. Jared prychnął pogardliwie.

- Tak, odpowiadałoby ci to, co? Ale możesz sobie to wybić z głowy.

Candamir zdziwiony zmarszczył czoło.

- Dlaczego nie dasz mu spróbować?

- Bo on jest niebezpieczny Ojciec zabronił dawać mu do ręki jakiegokolwiek ostre narzędzie od czasu, gdy Turończyk rzucił się kiedyś na niego z kosą. W dniu, kiedy straciłeś swój bluźnierczy język, zgadza się, Turonie? Jazda, przynieś nam więcej drewna! Masz szczęście, nie muszę mówić ojcu, że się objąłeś, bo by ci wygarbował skórę.

Niewolnik odwrócił wygoloną głowę i ruszył z powrotem do składu, ale nie uszło uwadze Candamira, że zacisnął wargi ze złością.

Około południa na pozbawionym cienia placu budowy zrobiło się upalnie, Candamir pozwolił, więc Jaredowi i Haconowi wykąpać się w rzece, żeby im słońce nie zaszkodziło. Sam pracował dalej, gdyż upał przeszkadzał mu równie mało jak chłód. Kiedy Turończyk następnym razem wrócił ze składu drewna, Candamir wstał i po raz pierwszy od tygodni przyjrzał mu się dokładnie. Młody niewolnik był raczej wychudły. Candamir domyślił się, że przypuszczalnie wciąż jeszcze się buntował, a kiedy chłosta nie pomagała, Olaf go głodził. Wyglądał jednak na umięśnionego, silnego i zdrowego.

- Umiesz obchodzić się z siekierą? - zapytał Candamir.

Niespodziewany uśmiech nadał zaciętej twarzy zaskakująco dobry wygląd i niewolnik ochoczo przytaknął. Dłońmi pokazał kształt jakiegoś podłużnego naczynia i po chwili Candamir zrozumiał.

- Jesteś skutnikiem? - zapytał zdumiony

Turończyk skinął głową. Candamir wyjął z pochwy sztylet, wziął go w prawą dłoń, a lewą podał niewolnikowi siekierę.

- Pokaż, więc, co potrafisz. Ale uważaj, co robisz. Jeśli z siekierą w dłoni odwrócisz się w moim kierunku, już nie żyjesz.

Młody człowiek pokornie spuścił wzrok i odwrócił się ku drewnianym belkom, które Candamir ociosywał, po czym położył obie dłonie na stylisku siekiery. Następnie wprawnie zabrał się za robotę, wyraźnie nie przejmując się bezpieczeństwem swoich bosych stóp. Jego ruchy były oszczędne i pełne: godnej pozazdrosczenia lekkości. W mgnieniu oka belka była gotowa, a powierzchnia, którą ociosywał, równie gładka jak obrabiana przez Candamira. Na koniec wbił siekierę w korę kolejnego pnia, wyprostował się i odszedł na bok.

Candamir krytycznie badał dzieło, ale mimo starań nie zdołał odkryć żadnej wady.

- Hm... - mruknął. - Chyba raz jeszcze pogadam z Jaredem.

Przekonać Jareda wcale nie było łatwo, gdyż chłopiec śmiertelnie się bał, co się stanie, gdy ojciec się dowie, że dał niewolnikowi do ręki siekierę. Poza tym czuł do Turończyka wielką nienawiść, której Candamir nie rozumiał, traktował go z przesadną

surowością i przy każdej okazji go kopał - czasem dosłownie, czasem w przenośni.

Udało się jednak Candamirowi, mobilizując wszystkie resztki swojej cierpliwości, przekonać syna właściciela budowy o pożytku, jaki wszyscy będą mieli, gdy się dopuści Turończyka do ciosania belek.

Ten z kolei był szczęśliwy, mogąc znów praktykować swoje rzemiosło, i od tej pory służył Candamirowi wiernie jak pies. Dzięki temu już pod koniec miesiąca mogli zabierać się za więźbę dachu.

- Proszę, panie, będzie ci smakować. Do licha, wydaje mi się, że wciąż chudniesz, niezależnie od tego, jak dobrze cię karmię - gderała Heide, wręczając Candamirowi pełną miskę smakowitego dania z dzikich buraków i wołowiny.

Candamir z wdzięcznością zaciągnął się upojnym aromatem, a równocześnie położył lewą dłoń w okolicy żołądka na swoim nowym, ziemistobrązowym ubraniu, które mu uszyła Brygida.

- Bzdura - odparł. - Jest odwrotnie, gdybym mniej pracował, zacząłby mi się odkładać tłuszcz przy tych ilościach, którymi mnie opychasz.

- Tak, chyba nigdy nie jadaliśmy tak dostatnio jak na Catanie - zgodził się Osmund, który przyszedł do nich z Rorykiem w gościnę. - Berse i Siward już teraz wyglądają na nieźle otłuszczonych.

Jego synek, siedzący mu na lewym kolanie, łakomie sięgnął łyżką do miski, którą dostał Osmund, ten jednak ją odsunął.

- Za chwilę, mój chłopcze.

Podniósł miskę nieco w górę i wymruczał:

- Dzięki ci, Odynie, za dary Catanu i twoje mądre przewodnictwo, które pozwoliło nam tu dotrzeć.

Wszyscy zgromadzeni przy ogniu, poza Saksonem, poszli za jego przykładem. Zwyczajem wielu osadników stało się wspominanie przy każdym posiłku boga, któremu zawdzięczają jedzenie.

- Musisz się w końcu nauczyć pokory wobec naszych bogów albo będziesz chodził spać głodny - ofuknął Osmund saksońskiego niewolnika.

Ten uprzejmie spuścił wzrok, ale odrzekł:

- Wolę dziękować mojemu Bogu za jado, którym nas obdarza.

Osmund z niedowierzaniem spojrział na Candamira. Zwykle nie mieszał się w domowe sprawy przyjaciela - zachowywał się wręcz odwrotnie - teraz jednak nie powstrzymał się od uwagi:

- Wydaje mi się, że jesteś zbyt pobłażliwy

Candamir wzruszył ramionami.

- Może i tak. Ale co miałbym zrobić? Można człowieka zmusić, żeby coś zrobił. Zapewne można go nawet zmusić, żeby powiedział wszystko, co się chce usłyszeć. Niezależnie jednak od użytych środków nie zdołasz nikogo zmusić, żeby w coś wierzył lub nie wierzył. Jeżeli chcesz zniszczyć czyjąś wiarę, musisz go zabić. Co zresztą już prawie z Saksonem bym zrobił, gdybyś mi nie przeszkodził, prawda?

Z trudem się powstrzymał od miny wyrażającej zadowolenie z własnej przebiegłości, jeśli jednak sądził, że uciszył wątpliwości przyjaciela, to się pomylił.

- Może wtedy zrobiłem błąd - burknął Osmund i rzucił mroczne spojrzenie Austinowi, który udawał jednak, że z wielkim zainteresowaniem studiuje zawartość swojej miski. Wreszcie Osmund objął Roryka jedną ręką i wziął w nią miskę, a w drugą chwycił łyżkę i zaczął karmić syna. Z mimowolnym uśmiechem obserwował chłopczyka, który jadł z wielkim apetytem, wręcz łakomie. To zajęło Osmunda przez chwilę, potem jednak wziął dla siebie łyżkę, spojrział znów na Candamira i powiedział:

- Mam tylko nadzieję, że Odyn nie weźmie ci za złe twojej zbytnej pobłażliwości.

Candamir nie odpowiedział od razu, a tylko jadł z takim samym zaangażowaniem jak Roryk. Wiedział, że Osmund ma rację i że zbyt lekko traktuje wszystkie te sprawy. Niewybaczalne było, że od przybycia do Catanu jego postawa wobec bogów niewiele się zmieniła. O ile, Osmund i liczni sąsiedzi zrobili się nadzwyczaj gorliwi i ciągle mówili o świątyni, którą zamierzają wznieść Odynowi, o tyle Candamir ograniczał się jak przedtem do składania ofiar bogom w czasie wielkich świąt i próśb o wsparcie w trudnych sytuacjach kierowanych do Tyra, jego boga opiekuńczego.

- Odyn nie może nas chyba ukarać surowiej, niż już to zrobił - zauważył ponuro Hacon. - Cóż może być gorszego niż przymus stawiania domu akurat Olafowi?

Candamir uznał, że co racja, to racja, ale Osmund upuścił łyżkę do miski, żeby Hacona spoliczkować.

- Uważaj, co mówisz. Jednym tchem obrażasz bogów i mojego stryja, chłystku - mówił Osmund jak zwykle bez złości, ważąc słowa. Jego uderzenie było jednak celne.

Przerażony Hacon chwycił się za policzek i spojrzał na brata z wyrzutem. Ale Candamir nie miał zamiaru brać go w obronę. Gdyby to on sam pozwolił sobie na taką obraźliwą uwagę, Osmund zapewne przyjąłby ją z pobłażającym uśmiechem. Hacon nie był jednak na miejscu Candamira i był już najwyższy czas, żeby się nauczył, na co może sobie pozwolić, a na co nie. Od opuszczenia Elasund wciąż się buntował. Do pewnego stopnia Candamir nawet to rozumiał. Tak wiele się zmieniło - prowadzili zupełnie nowe życie. On sam zrobił się bardziej krytyczny wobec tradycji i stawiał pod znakiem zapytania wiele z tego, co kiedyś było nietykalne. Być może Hacon myślał tak samo. Kto jednak przekracza granice, robi to zawsze na własną odpowiedzialność. Najwidoczniej tego także brat musiał się nauczyć...

- Gdzie jest Asta? - zapytał Osmund, aby przełamać trochę nieprzyjemne milczenie.

- U żony Thorbjorna - odparł Candamir z pełnymi ustami, po czym przełknął. - Rodzi dziecko, chociaż o miesiąc za wcześnie, jak twierdzi Brygida. Uważa, że mogą to być bliźnięta, dlatego poprosiła Astę o pomoc.

Osmund kiwnął głową i zjadł znów pełną łyżkę, po czym dalej karmił Roryka.

- Jeśli będą dwie dziewczynki, to przy najbliższej okazji powinniśmy zamienić słowo z Thorbjornem - rzekł w zamyśleniu.

- Że niby jedna dla Roryka, a druga dla Nilsa? - zapytał Candamir rozbawiony - Jesteś bardzo przewidujący, Osmundzie.

Ten spokojnie wzruszył ramionami.

- Pierwsze dziewczynki, która przyjdą na świat na Catanie, także będą miały błogosławieństwo bogów, jak Nils. Na pewno Odynowi chodzi o to, żeby zawczasu przypieczętować ich związki.

- Poczekaj przynajmniej, aż się urodzą - fuknęła Heide. - To przynosi pecha, gdy się przedwcześnie swata dziewczynki.

Po jedzeniu przyjaciele przepawili się małym promem na drugi brzeg rzeki, aby obejrzeć żyto i w spokoju zamienić kilka słów. Przez dłuższą chwilę szli w milczeniu wzdłuż pól i w niemal religijnym skupieniu obserwowali pierwszą delikatną zieleń, która się pojawiła w równiutkich bruzdach pośród krótko skoszonej trawy. W końcu zatrzymali się przy wierzbie, która rosła nieopodal brzegu.

- Siward i Eilhard też mówią o tym, żeby już teraz postawić dom - odezwał się Osmund, patrząc na rzekę.

- To mnie nie dziwi - odparł Candamir. - Karczowanie idzie szybciej, niż mogliśmy sobie wszyscy wymarzyć. Nawet, jeśli zimy są tu łagodne, na pewno przynoszą dużo deszczu. Któż chciałby wtedy mieszkać w szałasie z gałęzi?

- Zaproponowałem ludziom, żebyśmy jeden dzień na trzy poświęcili budowie domów. Tym sposobem jesienią nie będziesz musiał niczego oddawać z ziemi, która ci się należy, a wszyscy przed zimą będziemy mieli domy.

- Wszyscy poza mną - burknął Candamir.

- Ach, daj spokój. Dom Olafa wkrótce będzie gotowy, jeżeli będziesz dalej pracował w tym tempie. Jesteś tak zręczny i masz już tak wiele doświadczenia, że własny dom postawisz w czasie, który innym wystarczy na samą konstrukcję.

Candamir wzruszył ramionami.

- Kto wie. Być może masz rację. Czy to znaczy, że ty także zaczniesz budować?

Osmund przytaknął, niespodziewanie odwrócił głowę i spojrzał na Candamira.

- Będę się żenił. Na sobótki.

Candamir przez chwilę był przerażony i serce mu zamarło. Założył ręce, jakby mu było zimno, zagapił się w ziemię i mruknął:

- Zatem... Zatem oświadczyłeś się jej. - Wziął wdech i głośno wypuścił powietrze z piersi. - Zawsze wiedziałem, że jesteś odważniejszy ode mnie. A teraz... Cóż, teraz muszę za to zapłacić. - Miało to zabrzmieć spokojnie, ale nie do końca udało mu się ukryć gorycz w głosie.

- Tak, oświadczyłem się Siglind - odpowiedział Osmund. Nie odrywał od przyjaciela wzroku. Odczekał kilka chwil, aby jego przyjaciel i mleczny brat jeszcze trochę pocierpiał, po czym mówił dalej: - Nie chciała mnie jednak. Twierdzi zresztą, że

ciebie także nie chce.

Candamir czuł tak szybkie zmiany nastroju z ponurego na radosny i z powrotem, że aż mu się w głowie od tego zakręciło.

- Och, na wszystkich bogów, to niemożliwe, żeby chciała poślubić Olafa...

Osmund pokręcił głową.

- Wygląda na to, że w ogóle nie chce zostać niczyją żoną - przekazał przyjacielowi te strzępy informacji, które udało mu się z Siglind wydobyć.

Candamir prychnął.

- Cóż za bzdurne gadanie...

- Cóż. Może powiesz jej to przy okazji.

Candamir pomyślał, że może i powie, po czym zapytał z ciekawością:

- No? Która jest tą szczęściarą?

- Inga.

Candamir nie był szczególnie zaskoczony

- Tak. Podczas żeglugi obawiałem się kilka razy, że ci się nocą wślizgnie pod koc i skala twoją niewinność. Jestem pewien, że narzeczona nie posiada się ze szczęścia.

Osmund uśmiechnął się mimo woli.

- Tak, pewnie tak.

- W przeciwieństwie do narzeczonego. Osmund machnął ręką.

- Nie, nie. Tak jest w porządku.

- Jest w porządku? - powtórzył Candamir zdumiony. Groźnie podniósł palec wskazujący - Wzgardziłeś moją siostrą, bo, jak twierdziłeś, nie mogła zastąpić Gisli, a teraz nagle żenisz się z Ingą, bo ci się to wydaje w porządku?

- To było w innym kraju, Candamirze. Wszystko się zmieniło. A Brygida mówi, że widziała w wyroczni, jak z Ingą bierzemy ślub.

- Ona zawsze twierdzi, że widzi to, co służy jej zamiarom - rzucił Candamir.

Na chwilę mina Osmunda zrobiła się tak nieprzyjemna, że Candamir już prawie się zląkł, że dostanie w twarz, tak, jak wcześniej jego brat. Osmund jednak pokręcił jedynie głową i powiedział:

- To nieprawda. Ona ma zbyt wielki szacunek do wyroczni, żeby nadużywać jej dla swoich intryg. Możesz wierzyć, że to widziała. Głupotą jest buntować się przeciwko

temu, co Norny dla kogoś przewidziały - brzmiało to tak, jakby te proste prawdy powtarzał głównie dla siebie samego. - Inga będzie dla mnie dobrą żoną, a dla Roryka dobrą matką, tego jestem pewien. Nie mam żadnego powodu, aby narzekać na swój los.

Dziewczęce, skromne oddanie Ingi działało na niego i stanowiło balsam na duszę po odmowie Siglind. Brygida widziała jeszcze więcej, widziała rzeczy, których nie mógł powiedzieć Candamirowi, ponieważ stara kazała jemu i jego narzeczonej przysiąc, że będą milczeć jak grób. Wyroczenia ujawniła, bowiem, że po śmierci Brygidy Osmund i Inga przejmą wielką moc. Że będą obrońcami starej, prawdziwej wiary, że Inga zostanie kapłanką świątyni, strażniczką świętego źródła, a Osmund będzie... Wciąż jeszcze przechodził go dreszcz na wspomnienie, jak Brygida go nazwała i co mu przepowiedziała. Gdyby te prorocтва miały się rzeczywiście spełnić, to być może Siglind będzie gorzko swojej odmowy żałowała. Osmund zdawał sobie sprawę, że ta myśl jest małosłowna i jadowita, mimo to cieszyła go...

- Ale wiele ci w posagu nie wniesie? - zapytał Candamir niedyskretnie.

Osmund powrócił z odległych marzeń na ziemię.

- Co?

- Inga. Mówimy o twojej narzeczonej - powiedział Candamir z demonstracyjną cierpliwością. - Siward stracił wszystko, tak jak my Wiano wypadnie raczej skromne.

Osmund ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył.

- Siward ma swoje źródła. W każdym razie dostanę kilka owiec.

Candamir westchnął.

- Zapewne jestem głupcem, że się nie staram o jedną z paskudnych córek Berse. Małżeństwo to doprawdy zyskowny interes. Nie jest też taką harową, jak stawianie domów.

Osmund zaśmiał się cicho.

- Jak sądzisz? Wybudujesz do końca dom mojego stryja bez rozlewu krwi?

- Zabieramy się już za więźbę dachu. Nie bardzo mogę sobie wyobrazić, żeby teraz coś miało pójść nie tak.

Candamir jednak się oszukiwał.



Dwie okoliczności wpłynęły szczególnie na to, że dotychczas wszystko przebiegało właściwie gładko. Po pierwsze, Olaf był zawsze bardzo zadowolony podczas inspekcji na budowie i choć bardzo się starał, nie zdołał znaleźć żadnej usterki. Nigdy nie rzekł jednego słowa pochwały, ale Candamira to nie dziwiło. Wiedział sam, że wykonał dobrą robotę, a także, jak przewidział Osmund, podczas budowy przychodziły mu do głowy rozmaite dobre pomysły dotyczące jego własnego domu. Drugą dobrą okolicznością było to, że Olaf nie narzucał się ze swoją obecnością. Była pora strzyżenia owiec, a ponieważ miał ich więcej niż ktokolwiek inny, strzyżenie i mycie wełny zajmowało mu odpowiednio więcej czasu. Ponadto wybrał się sam na długą wyprawę na równinę, żeby schwytać kilka koni, ponieważ nie podobało mu się, że Candamir ma już wierzchowca, a on jeszcze nie.

Gdy jednak wrócił z ogierem, dwiema kłaczami i źrebakami, ale cały w siniakach, jego duch przygody na jakiś czas osłabł i Olaf zaczął kontrolować swój przyszły dom częściej niż raz dziennie. Oznaczało to, że Candamir nie mógł już zatrudniać Turończyka jako cieśli, co spowolniło postępy i zepsuło mu humor.

- Gdzie twój brat? - zagadnął Olaf pewnego słonecznego, upalnego poranka na początku miesiąca Przełomowego Księżyca.

Candamir stał wysoko na drabinie i mocował krokiew dachową. Opuścił dłoń z młotkiem, spojrzął w dół i odparł:

- Z Jaredem i Turończykiem na południowym brzegu ścinają trzcinę. Potrzebujemy całego jej kopca na tak duży dach. Gdybyśmy teraz się za to nie zabrali, to niepotrzebnie opóźniłoby się zakończenie budowy - rozzłościło go, że tłumaczy się ze swojej decyzji.

Olaf spokojnie skinął głową.

- Uważam, że jesteś w stanie doskonale zebrać myśli i dość rozsądnie planować, jeżeli tylko tak zdecydujesz.

- Och, wielkie dzięki - warknął Candamir.

- Przypuszczam, że nie możesz się już doczekać, żeby się uwolnić wreszcie od tego uciążliwego obowiązku i móc zabrać się za własny dom, prawda? Nie zapominaj jednak, jak brzmi nasza umowa: jesteś mi winien pracę swoją i brata aż do rozpoczęcia siewu.

Candamir nie odpowiedział. Wbrew temu, co dobrze wiedział, miał nadzieję, że Olaf wykaże trochę przyzwoitości i w podzięce za solidnie wybudowany, przestronny dom odpuści mu te ostatnie tygodnie. Oczywiście, jak widać, nadzieja okazała się płonna. Wziął młotek i stuknął w bolec, wyobrażając sobie, że to czaszka Olafa. Naturalnie chybił i uszkodził krokiew, ociosaną z takim trudem. Ze złością zacisnął powieki i odchylił głowę do tyłu.

Olaf udał, że niczego nie zauważył, i przez pusty otwór drzwiowy wkroczył do środka. Z zadowoleniem stwierdził, że wygląda to już na dom klanowy. Konstrukcja z belek była gotowa i całkowicie obita równo obrobionymi deskami. Cztery otwory okienne w obu dłuższych ścianach wpuszczały do środka jasne promienie słońca. Przednia część izby była oddzielona ścianą z desek, za nią znajdowała się sypialnia, oświetlona przez okno w ścianie szczytowej. Ku zdumieniu sąsiadów Olaf opowiedział się przeciwko palenisku, ponieważ dawało więcej ciepła niż potrzeba w tym klimacie, a także niepotrzebnie dużo dymu. Zamiast tego przed ścianą drugiej izby został wykopany okrągły dół pod piec, tam zaś, gdzie wcześniej palenisko wyznaczało środkową oś każdej głównej izby, Olaf planował ustawić długi stół, jak w królewskiej komnacie. Natychmiast po pokryciu dachu chciał ustawić swoje okazałe krzesło rodowe.

Przez niedokończony dach patrzył w górę na Candamira.

- Nad drzwiami mojego domu chcę mieć herb.

- Że co? - odkrzyknął Candamir, nie rozumiejąc.

- Obrazowy symbol mojego rodu, który Jared po mojej śmierci będzie przekazywał dalej. Statek z głową kruka. Potrafisz to wyrzeźbić w belce nad drzwiami?

„Co jeszcze sobie zażyczymy?” - pomyślał kwaśno Candamir.

- Nie. Ale sądzę, że mój Sakson potrafi.

- To niech wyrzeźbi.

Candamir kiwnął głową i zszedł z drabiny.

- Masz szczęście, że zachował dłoń - zauważył mimochodem.

Olaf wyszedł bez słowa komentarza.

Nie Austin, ale Siglind wyjaśniła Candamirowi, jak się kryje dach trzcina. Tam,

gdzie dorastała na Zimnych Wyspach, rozciągały się moczary bujnie porośnięte trzcina i dlatego krycie nią dachów było czymś zwyczajnym. Kiedyś pomagała przy tym ojcu i braciom, przynajmniej mniej więcej wiedziała, więc, jak się do tego zabrać.

- Nie, Haconie, musisz ciąć dużo niżej. Potrzebujemy tej grubej, dolnej części trzciny, rozumiesz? Popatrz.

Wyjęła mu z ręki sztylet Candamira, lewą ręką chwyciła wiązkę trzciny i przyłożyła ostrze na samym dole. Stali w płytkiej wodzie, ponieważ najlepsza trzcina rosła zaraz przy brzegu. Siglind miała bosc stopy, a wyblakła czerwona suknia była mokra aż po uda i ciągle kleiła się jej do nóg. Nie przeszkadzało jej to - przeciwnie, chłodne, mokre płótno było przyjemne w tym upale. Haconowi i młodemu Turończykowi nie było jednak łatwo skupić się na pracy. Nogi Siglind tak wyraźnie się rysowały, jakby w ogóle była bez sukni. Ten widok bardzo ich rozpraszał.

Za to Jared zdawał się tego nie zauważać. Zacięty i milczący robił swoje, schylony, z twarzą odwróconą od pozostałych. Od kiedy rozniosła się wieść, że na sobótki Inga wychodzi za Osmunda, Jared zrobił się posępny.

Hacon zmusił się, aby wzrok, a także myśli skierować ku dłoniom Siglind, i z niemrawym skinieniem głowy odebrał wielki nóż.

- W porządku. Wolałbym tylko, żeby nie było takiego morderczego upału. Strasznie kręci mi się głowie, gdy się schylam.

Siglind drwiąco ściągnęła usta.

- Jakoś nie sądzę, żeby twoje skargi obudziły współczucie twojego brata. Stopy masz w chłodnej wodzie, zadanie masz łatwe, a tu, nad rzeką, zawsze wieje lekki wiaterek. On natomiast w palącym słońcu buduje dach. Nie chcemy go przecież zawieść, jeśli chodzi o pokrycie dachu, prawda?

Hacon z westchnieniem pokręcił głową.

- Nie. Oczywiście, że nie. - Z ociąganiem zabrał się do pracy - To naprawdę wielkoduszne z twojej strony, że nam pomagasz, Siglind. Dlaczego to robisz?

- Bo jestem twojemu bratu winna przysługę. Wziął mnie na pokład swojego statku, karmił i przywiózł tutaj. Tutaj też wciąż mnie zaprasza, żebym z wami jadła.

- Tak, to naprawdę szlachetnie z jego strony - szepnął Hacon w kierunku trzciny.

Siglind nic na to nie powiedziała. Za to Gunda, która siedziała z małym Nilsem na

kocu w przybrzeżnych trawach w cieniu krzewu głogu i wiązała trzinę w pęczki, wymieniła z Haconem porozumiewawcze spojrzenia.

To także nie uszło uwagi Siglind, zignorowała to jednak, tak samo jak lekceważącą wypowiedź Hacona. Uznała, że nie ma pozycji stosownej do zwracania uwagi bratu czy niewolnicy Candamira. Ścisłe rzecz biorąc, nie miała tu w ogóle żadnej pozycji. Nie miała też większego pojęcia o tym, co dalej z nią będzie, gdzie na przykład będzie mieszkać, skoro wszyscy ci ludzie budują sobie domy. Była całkiem sama, jak to jej wcześniej wyjaśnił Osmund, i chociaż sama tego chciała, budziło to w niej trwogę. Pewnie czuła się jedynie w obecności Austina, ponieważ promieniował wewnętrznym spokojem i mówił jej o bezpiecznym schronieniu, które nie ma nic wspólnego z dachem. Chociaż Candamir zrobił się dla swojego niewolnika wyraźnie szorstki, zawsze jednak, gdy Sakson przy posiłku niby przypadkiem siadał koło niej i rozmawiał z nią o wiele za długo i za cicho, Candamir to tolerował i za to też Siglind była mu wdzięczna.

Jeszcze raz się upewniwszy, że jej trzej kosiarze robią wszystko, jak trzeba, usiadła w przybrzeżnej trawie i zaczęła tak samo jak Gunda ściągać wilgotne trzcinę w wiązki i silną wełnianą przędzą wiązać pęczki odpowiednie na dachówki.

Przez chwilę pracowała w milczeniu, a sterta przyciętej trzcinę stale rosła. Gdy jednak Turończyk poślizgnął się w śliskim przybrzeżnym błocie i wpadł do wody, Hacon uznał, że on sam zasłużył na odrobinę ochłody. Niedbale wbił cenny nóż Candamira w błoto, zanurzył się w wodzie i zanurkował. Kawalek przepłynął pod wodą i pociągnął za nogi niemego niewolnika, który właśnie wstał. Ten przewrócił się z nieartykułowanym okrzykiem przerażenia.

Hacon i Turończyk baraszkowali dłuższą chwilę w chłodnej kąpieli. W ciągu tygodni, które upłynęły od rozpoczęcia budowy, stali się naprawdę dobrymi przyjaciółmi. Siglind weszła na płyciznę, zabrała sztylet Candamira, żeby go nurt nie porwał, i przyglądała się z uśmiechem, jak chłopcy chlapią się wodą i przewracają, razem nurkują, po czym wynurzają się, prychając. Wzdrygnęła się jednak, gdy nagle jakiś ostry głos zapytał:

- Wy to nazywacie pracą, tak?

Byli tak daleko od promu, że nie zauważyli przybycia Olafa. Oto niespodziewanie stał na brzegu przy Siglind, podparty rękami pod boki, i obserwował obu pływaków ze

zmarszczonym czołem, które zapowiadało nieszczęście. W mgnieniu oka przerwali swobodną zabawę i wyszli z wody.

Olaf chwycił nieszczęsnego niewolnika za ramię i uderzył go pięścią w twarz.

- To tak wiernie mi służysz, gdy tylko się odwrócę! - warknął, powalił Turończyka na ziemię kolejnym ciosem i kopnął go w brzuch. Niewolnik skulił się, przetoczył na bok, byle dalej od okrutnych kopniaków, i nie mogąc złapać tchu, zwymiotował. Olaf przez chwilę jeszcze na niego popatrzył, po czym zwrócił się do syna.

- Dlaczego nie dbasz tu o porządek? Jared się wyprostował.

- Oni tylko przez moment się chłodzili. To wszystko.

- Och, wierzę ci na słowo - zakpił Olaf. Jeszcze raz kopnął niewolnika w bok i rozkazał: - Wstawaj, mięczaku. Do roboty. Nie myśl, że już się z tobą policzyłem...

Hacon stał obok z oczami rozszerzonymi z przerażenia, ale teraz odzyskał mowę.

- Olafie, proszę, daj już spokój. To... To była moja wina.

- Ach tak? - Olaf zrobił krok w jego kierunku, a Hacon mimowolnie uskoczył w bok. Zawstydził się, że nie potrafi lepiej skrywać swojego strachu, chociaż porywczosć tego dużego człowieka ze starannie uczesaną siwą brodą przeraziła bardziej pozostałych niż jego samego.

- Ty, zatem jesteś tym, który się tu tak świetnie bawi na mój rachunek, tak? Uważasz to za honor? W ten sposób dotrzymujesz słowa, które dał twój brat?

Wielka ręka Olafa objęła ramię Hacona jak stalową obręczą i chłopiec zacisnął zęby, na co Siglind powiedziała spokojnie:

- Na twoim miejscu dobrze bym to sobie przemyślała, Olafie.

Ten puścił Hacona i podszedł do niej.

- Och, oczywiście. Przecież ty mieszasz się z przekonaniem w sprawy, które wcale cię nie dotyczą, prawda?

Nie opowiedziała i na pozór pokornie opuściła głowę, ale osiągnęła to, co chciała: wściekłość Olafa minęła tak szybko, jak wybuchła, a Hacon wyszedł z tego bez szwanku. Nie całkiem jednak mu się upiekło.

- Zatem to była twoja wina, tak? - zapytał Olaf surowo.

Hacon ugryzł się w język, żeby mu się nie wymknęło to, co pomyślał: „Nikt tutaj nie zrobił nic takiego, żeby miał ponosić jakąś karę”. Potulnie przytaknął.

- Uważasz, że to w porządku, w ten sposób łamać słowo brata?

Hacon gwałtownie pokręcił głową.

- Nie złamałem, przysięgam.

- Cóż, widzę, co widzę. Ale dam ci szansę sprawę załatwić. Możesz dzisiejszej nocy wypasać moje owce, aby odpracować czas, który mi ukradłeś.

Turończyk ukrył twarz w trawie. To on powinien tej nocy paść owce. Wygląda jednak na to, że jego pan ma wobec niego inne plany...

Hacon z ulgą skinął głową.

- Oczywiście, Olafie. Powiedz tylko, gdzie je znajdę i kiedy mam tam być.

- Godzinę drogi na wschód stąd jak po sznurku w równinie jest dolinka, gdzie leży lepsze pastwisko. Tam stoją owce. Wyjdź na godzinę przed zachodem słońca, a na miejscu zwolnij Gunnara.

Hacon nie czuł się najlepiej, mając przed sobą perspektywę samotnego spędzenia nocy pod rozgwieżdżonym niebem. Nigdy jeszcze nocą nie pasał owiec, gdyż w dawnej ojczyźnie trzymali swoje małe stado w zagrodzie, a latem w Elasundzie nigdy nie było wilków i owce chodziły sobie samopas.

Gunnar zapewniał, że jest to dziecinna igraszka i całkowicie bezpieczne zajęcie. Nie wolno było tylko dopuścić, żeby wygasło ognisko. Gdy zwierzęta robią się niespokojne, to zapewne w pobliżu jest wilk, ale to właściwie nigdy się nie zdarza. Wówczas trzeba chwycić w rękę płonącą gałąź, ciasno spędzić stado i chodzić dookoła niego, aż wilk się wycofa, by zapolować na jakąś łatwiejszą zdobycz.

Razem z młodymi owieczkami stado Olafa liczyło ponad dwa i pół tuzina zwierząt. Candamir nigdy tak wielu nie miał, ale tym Hacon się najmniej przejmował. Owce są posłuszne i leniwe, a z natury najchętniej pozostają w stadzie - nie obawiał się, że jakaś owca mu zginie. Niepokój wywoływały w nim jedynie samotność i ciemność. Oczywiście właśnie teraz musiały mu przyjść do głowy wszystkie opowieści o trollach i duchach, jakie kiedykolwiek słyszał. Przysunął się bliżej ogniska i grzebał w nim patykiem. Żeby przepędzić ciszę, pod nosem nucił sobie pieśń o Odynie i Tanuri. Jak bardzo się boi, rozumiał jednak dopiero wtedy, gdy niespodziewanie na jego ramieniu

ktoś położył rękę. Wrzasnął przerażony i się odwrócił.

- Haconie... - Cichy, łagodny śmiech. - To tylko ja.

- Gunda...

- Tak.

Zaskoczenie na chwilę odebrało mu mowę. Odczekał, aż mu serce przestanie się tłuc, po czym zapytał:

- Ty... Cóż ty tu robisz?

- Przyszłam za tobą.

- Po co? - zapytał oszołomiony.

Przysunęła się do niego i teraz mógł ją dobrze zobaczyć. W zawiniątku przy piersi trzymała śpiące niemowlę. Ostrożnie je teraz odwiązała i ułożyła w miękkiej trawie. Potem poważnie spojrzała na Hacona swoimi wielkimi, błyszczącymi oczami i wzięła go za rękę.

- Już od dawna czekam na okazję, żeby być raz z tobą sam na sam.

Speszony chłopiec uwolnił dłoń.

- Obawiam się, że nie jest to zbyt dobry pomysł. Co by na to powiedział Candamir? Nie zauważy, że cię nie ma? - zapytał zatroskany.

Pokręciła głową. Ostatnio Candamir wieczorami był tak wyczerpany, że zasypiał zaraz po jedzeniu, jeśli tylko nie kładła się przy nim. Dziś wieczór o zmierzchu powiedziała mu, i że chce pójść do rzeki i się wykąpać. Nie miał nic przeciwko temu i tylko skinął głową, a oczy już mu się zamykały

- Niczego nie zauważy, bądź spokojny. - Znowu wzięła go za rękę, nachyliła się ku niemu i delikatnie przycisnęła usta do jego ust. Hacon zamknął oczy.

Gryzło go sumienie. Doskonale wiedział, że już tym pocałunkiem zdradził brata. Przeczował wyraźnie, że Gunda nie zamierza na tym poprzestać. Zdawał sobie sprawę, że Candamir nie zasłużył na to. Jego brat nie wpadł w złość, kiedy Hacon mu się przyznał, co się wydarzyło na brzegu i jakiego piwa sobie nawarzył. Candamir jedynie poradził mu, wdychając ciężko, aby wykorzystał najbliższe godziny na rozmyślanie o takich cnotach, jak lojalność i poczucie obowiązku, a także o tym, czy traktuje te sprawy wystarczająco poważnie. Hacon miał bardzo stanowczy zamiar tym się zająć, zamiast tego miał jednak właśnie w doprawdy haniebnym sposobie złamać zasady lojalności.

Odwrócił głowę.

- Gundo, nie...

- Dlaczego nie? Nikt nie musi się dowiedzieć, Haconie. Wrócę przed świtem. Księżyc daje dość światła, żeby trafić.

- Ale tak się nie godzi...

- Nie jest, aby tak, że on ci zawsze zabrania tego, czego chcesz, a sam bierze wszystko, na co ma ochotę? - przerwała mu. - Czy to, aby sprawiedliwe?

- Nie - zgodził się Hacon. Dziewczyna trafiła w drażliwy punkt.

- Sam widzisz. No, Haconie... Przestań marudzić - mówiła łagodnym szeptem, a jego przeszedł przyjemny dreszcz. - Tak naprawdę to on mnie już wcale nie pragnie. Wiesz doskonale, do kogo się pali. Ale ty mnie pragniesz, prawda?

- Tak - przyznał.

Gunda ściągnęła przez głowę swoją wyświechtaną siermięgę, wzięła dłoń Hacona i położyła sobie na piersi. Hacon w skupieniu zmrużył oczy. Zatem tak się je czuje. Inaczej niż wszystko, czego kiedykolwiek dotykał. Zupełnie nowe odczucie.

Tej nocy poznał mnóstwo nowych rzeczy Gunda uwodziła go z wielką zręcznością, wdzięczna za jego podniecenie, jego delikatną nieśmiałość i jego radość. Poszła za nim, aby się zemścić na Candamirze, ale otrzymała znacznie więcej, ponieważ mimo całej swojej niezdarności Hacon ofiarował jej wszystko to, co ona jemu, ona zaś znalazła pociechę w tym, jak niepohamowanie ten chłopiec jej pożądał.

Kiedy Olaf znalazł ich następnego ranka, nadal spali wyczerpani, nadzy, ciasno w siebie wtuleni. Owce były daleko rozproszone, a w trawie Olaf odkrył ślady krwi.

Olaf prowadził ich teraz z powrotem, związanych i otoczonych hańbą. Jechał na nerwowej klaczy, tylko częściowo ujeżdżonej, i ciągnął za sobą oboje złoczyńców na długim sznurze. Mały Nils wrzeszczał na całe gardło, bo był głodny, a Gunda, kiedy tylko sznur na to pozwalał, starała się związanymi rękami pogłaskać syna po głowie, żeby go uspokoić i pocieszyć. Na próżno jednak. Ani ona, ani Hacon nie mieli butów. Olaf narzucił ostre tempo i oboje mieli zakrwawione stopy, kiedy dotarli na miejsce.

Kobiety i dziewczęta, zobaczywszy na brzegu smętne trio zmierzające ku osadzie,



nie mogły znaleźć żadnego wytłumaczenia. Stłumionym głosem Brygida wysłała Ingę do lasu po mężczyzn. Po chwili nadeszli w grupach, po dwóch i po trzech. Z siekierami w dłoniach, spieszyli ku osadzie, jakby wybuchł pożar.

Niebawem wszyscy osadnicy zgromadzili się w pobliżu młodego jesionu. Wokół Olafa i dwójki pojmanych mężczyzn tworzyli wewnętrzny krąg, a kobiety i niewolnicy zewnętrzny.

Chwiejnie, powoli jak we śnie, Candamir podszedł kilka kroków bliżej i stanął przed Olafem. Skóra na jego policzkach i wokół oczu robiła wrażenie dziwnie cienkiej i naciągniętej. Nawet nie spojrzął na swojego brata ani na niewolnicę.

- Sześć owiec, Candamirze! - rzekł Olaf tak głośno, żeby wszyscy usłyszeli. Mówił zupełnie spokojnie i wydawał się znacznie bardziej opanowany niż poprzedniego dnia nad rzeką. Oczy miał jednak niesamowicie posępne. - Wilki porwały piątą część mojego stada, a twój brat w tym czasie tracił swoją niewinność.

Candamir spojrzął na Hacona. Chłopiec potrzebował dłuższej chwili, by zebrać się na odwagę, podnieść głowę i odwzajemnić spojrzenie. Tego, co zobaczył, nie spodziewał się jednak. Liczył się z wściekłością i odrazą, nie zaś z nieskrywaną zgrozą. Większą niż tamtej nocy, kiedy pojawili się Turończycy.

- Candamirze... - zaczął niepewnie, ale brat podniósł lewą dłoń, żeby go uciszyć i niemal równocześnie prawą zdzielił Gundę w twarz. Ta krzyknęła przerażona, gdyż tego się nie spodziewała, w każdym razie jeszcze nie teraz, i zatoczyła się do tyłu. Chwycił ją za ramię, zanim zdążyła upaść, ale zaraz ją puścił i wyjął niemowlę z zawiniątka, nie dotknąwszy już Gundy. Nils wydierał się głośniejsz niż kiedykolwiek i był to jedyny głos na tej cichej łące. Candamir odwrócił się i podał syna Aście.

- Zabierz go stąd - po czym wrócił do Olafa. - Sześć owiec? - zapytał stłumionym głosem. Wielkiej postury żeglarz z poważną miną skinął głową.

- Jeden baran, dwie kotne owce i trzy jagnięta. Ciekawy jestem, Candamirze, jak ty chcesz to spłacić? Co ma twój brat, co masz ty, żeby mi spłacić należność za moje straty?

Candamir wskazał palcem na Gundę, nie patrząc na nią.

- Ją.

Olaf szyderczo uniósł brwi.

- Nie, dziękuję bardzo. Tyle to ona nie jest warta. Mam dość młodych ciał, a moje niewolnice są mi oddane. Nie trzeba mi takiego zdradliwego, fryzyjskiego ścierwa. Równie mało jestem zainteresowany twoimi przygłupimi parobkami, a także twoim Saksonem. Na to jest już za późno.

Candamir miał wrażenie, jakby trzewia skręciły mu się w jeden bolesny supeł.

- Wiesz doskonale, że nie mam nic innego, żeby ci powetować straty - powiedział z wysiłkiem.

Olaf się uśmiechnął. Był to uśmiech wręcz promienny, czego Hacon w ogóle nie był w stanie pojąć.

- Właśnie. Ty wiesz, co prawo przewiduje w takiej sytuacji, prawda?

Candamir rozejrzał się dookoła, szukając pomocy. Spojrzenia pozostałych mężczyzn były pełne współczucia i nigdzie nie dostrzegł satysfakcji. Nie zauważył jednak nawet cienia oporu. Zwiesił głowę.

- Tak. Znam prawo. Zrób to, więc, Olafie. Potem trzeba będzie to prawo zmienić. Jest, bowiem bezużyteczne i złe.

Olaf karcąco podniósł palec wskazujący.

- Prawo jest stare, sprawdzone i sprawiedliwe. Wolni mężczyźni, którzy są właścicielami jakiegoś majątku, płacą srebrem lub bydłem. Nędznicy wam podobni oraz niewolnicy płacą krwią. Sądzę, że tuzin razów za każde porwane zwierzę będzie w sam raz.

Candamir aż się wzdrygnął. Nie wyrzekł jednak słowa sprzeciwu. To było w sam raz. W tym kraju nie było owiec i dlatego te nieliczne, które przywieźli ze sobą, były szczególnie cenne. Spojrzał w twarz brata.

„Szara - przeszło Haconowi przez myśl. - Jego twarz jest szara”. Ale twarz Candamira pozostała niewzruszona, a głos był ostry jak brzytwa, kiedy powiedział:

- Oby przepotężny Thor, który jest twoim bogiem opiekuńczym, dał, choć iskierkę swojego męstwa twojemu tchórzliwemu sercu zdrajcy. Będzie ci potrzebna, bracie.

Do Hacona wreszcie wszystko dotarło i trwoga ogarnęła jego duszę jak jakaś ciemna zasłona.

Olaf zabrał go na opustoszały plac budowy swojego domu i poprowadził pod samotny buk, który został na skraju karczowiska. Wszyscy poszli za nim. Nikt nie powiedział słowa. Z powagą na twarzach osadnicy zgromadzili się wokół potężnego starego drzewa.

Hacon nadal miał związane ręce. Olaf przerzucił sznur przez jeden z konarów i pociągnął, aż ręce chłopca wyciągnęły się nad jego głowę. Potem kilka razy owinął wolny koniec sznura wokół pnia i zawiązał porządny węzeł. Zrobiwszy to, podszedł od tyłu do Hacona, mocno chwycił jego kaptotę obiema - rękami i zdarł ją jednym mocnym ruchem. Przetarte płótno rozdarło się bez oporu i odsłoniło ramiona i plecy chłopca.

Hacon zacisnął powieki i przycisnął usta do ramienia. Kolana mu drżały. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek w życiu tak bardzo się bał, żeby czuł się taki samotny. Uświadomił sobie też z żalosną pewnością, że zaraz narobi w spodnie. Poczul nieodpartą chęć, żeby błagać o litość, choć przecież dobrze wiedział, że to by nic nie dało. Tym, co go ostatecznie powstrzymało, była obawa przed pogardą brata.

Nic się nie działo. Gdyby miał odwagę otworzyć oczy i spojrzeć za siebie, zobaczyłby, że Olaf mówił coś cicho do swojego najstarszego syna, po coś go wysyłając, a Jared w mgnieniu oka wrócił z pejczem i podał go ojcu.

Kiedy Austin to zobaczył, poczuł się wstrząśnięty. Również w jego ojczyźnie kara chłosty należała do zwyczaju, choć tylko wobec niewolników, ale nigdy dotąd nie widział tak barbarzyńskiego narzędzia chłosty: pejcz składał się z trzech rzemieni, których końce obciążono małymi ołowianymi kulkami. Mnich powoli osunął się na kolana, złożył ręce i zaczął się modlić.

Olaf podszedł od tyłu do Hacona, ostrożnie, wręcz z czułością potrząsnął pejczem, aż rzemienie się rozplatały i cicho zadzwoniły ołowiane ciężarki. Następnie smagnął nimi po nagich plecach Hacona.

Krzyk Hacona rozległ się po opustoszałych, brązowych polach. Na jego plecach pojawiły się trzy blisko siebie położone pręgi, z których natychmiast zaczęły płynąć strużki krwi. Drugie uderzenie trafiło niemal dokładnie w to samo miejsce i tym razem wrzask Hacona zabrzmiał jak ryk rannego zwierza. Chłopiec szarpnął głową w tył i odruchowo próbował się wyrwać z więzów - na próżno jednak.

Wielu osadników z wyrazem bólu na twarzy odwróciło głowy, nie tylko kobiety, ale także niektórzy z tych mężczyzn, wierzących w stare prawa oraz w to, że Hacon otrzymuje jedynie to, na co zasłużył.

Kiedy zakończył się pierwszy tuzin razów, pod Haconem ugięły się kolana i cały ciężar jego ciała zawisł na rękach i poranionych przegubach, a jego krzyki stały się jeszcze głośniejsze.

Candamir, który dotychczas stał nieruchomo jak sierota w pierwszym rzędzie i z kamienną twarzą obserwował okrutne widowisko, nagle się poruszył.

- Wystarczy - mruknął i zrobił krok w kierunku Olafa. Osmund i Harald, którzy nie przypadkiem stali u jego boków i go podtrzymywali, chwycili go jednak za ręce i pociągnęli z powrotem.

- Nie mieszaj się, chłopcze - ostrzegł kowal stanowczo. - Takie jest jego prawo. Wszystko byś tylko pogorszył.

Candamir prawie nieświadomie napiął mięśnie i starał się wyrwać, ale towarzysze go nie puszczali. Ich wielkie dłonie tylko mocniej się zacisnęły na jego ramionach.

Olaf znowu zabrał się dzieła, spokojnie i z dużą precyzją. Trzeba było przyznać, że w tym rzemiośle dysponował jakimś doświadczeniem. Cał po calu zamieniał plecy Hacona w otwarte rany. Gdy chłopiec spłacił drugą owcę, nie wydawał już z siebie żadnego dźwięku poza bezwładnym łkaniem. Jego ciało szarpało się pod wpływem bezlitosnych razów, ale nie stawiał już oporu. Był niemal nieprzytomny.

Candamir spojrzał na Haralda.

- Puszczaj.

Kowal z wahaniem uwolnił jego rękę. Candamir odwrócił głowę w drugą stronę.

- Osmundzie...

Przyjaciel wcale nie miał zamiaru go puszczać.

- Tylko, jeśli mi przysięgniesz, że będziesz rozsądny

- Rozsądny? Czyż ty nie widzisz, co się tu dzieje? On go zabije. Bądź, zatem tak dobry i puść mnie.

Osmund niezdecydowanie spojrzał w kierunku buka. Jego stryj nie wykazywał najmniejszych oznak zmęczenia ani litości. Trochę zaczął się pocić, ale jego ręka wznosiła się z tą samą siłą. Osmund również zaliczał się do tych, którzy wierzyli, że

prawo jest nietykalne i że publiczna kara powinna być wystarczająco surowa, żeby przerazić każdego obserwatora. Okrucieństwo było jednak obce jego naturze. Współczuł Haconowi i martwił się o niego. Powoli cofnął rękę.

- Ale nie możesz nic zrobić - mruknął w rozterce.

- Nie? - Drżącymi palcami Candamir rozpiął klamrę swojego pasa, niedbale rzucił go na ziemię, chwycił za kołnierz i ściągnął przez głowę swoją nową szatę, po czym wręczył ją zdumionym przyjaciołom. Podeszedł do pnia buka, odczekał, aż Olaf się zamachnie po raz kolejny i chwycił rzemienie lewą dłonią. Rozwścieczony Olaf stanął przed nim. Był trochę zadyszany

- Co? Co masz do powiedzenia?

Candamir puścił pejcz, a dłoń miał mokrą od krwi Hacona. Jego gardło było tak suche, że nie był w stanie odpowiedzieć. Pokręcił głową, podeszedł od tyłu do brata i całkowicie przesłonił go swoim niewątpliwie szerokim ciałem. Lewą ręką objął Hacona i podniósł chłopca na nogi, żeby się nie udusił. Hacon jęczał słabo, kiedy Candamir przycisnął swój tors do jego pleców. Swobodną prawą dłonią Candamir oparł się o pień buka. Potem spojrział przez ramię, a zobaczywszy błyszczące oczy Olafa, odzyskał mowę.

- Co? Przejmuję od niego połowę, to chyba nie jest zabronione, co? No, na co czekasz?

Olaf opanował własne zdumienie i się zaśmiał. Był to szorstki, warkliwy rechot zadowolenia, jakby pochodził gdzieś z głębi trzewi.

- Nie mówiłem ci, że nikt nie pozostanie mi nigdy nic dłużny? - zapytał.

„Zupełnie nic nie jestem ci dłużny” - pomyślał Candamir, ale podarował sobie tę uwagę.

Kiedy rzemienie po raz pierwszy z owym paskudnym świstem smagnęły go po plecach, gorzko pożałował swojej decyzji. To było okropne - znacznie gorsze, niż sądził. Morderczo piekący ból odebrał mu oddech, aż się zastanowił, skąd Hacon brał powietrze, by tak głośno krzyczeć. Zanim ból zdążył osłabnąć, pejcz znowu wylądował na jego plecach, a obciążone rzemienie tak głęboko wniknęły w ciało, że pomyślał, że pewnie odsłoniły kręgosłup. Miał dosyć. To było wszystko, co z wolnej woli mógł wziąć na siebie za swojego nielejalnego, podstępnego, zdradzieckiego brata, którego w tej chwili

nienawidził tak bardzo, że najchętniej osobiście zlałby go do krwi. Candamir pozostał jednak na miejscu. Przy każdym solidnym smagnięciu wzdrygał się całym ciałem, a pot lał się z niego po prostu strumieniami. Mimo to stał tak twardo, jakby zapuścił w tej ziemi korzenie jak ten buk. Zacisnął zęby, aż zgrzytnęło, i liczył razy. Oczy miał mocno zaciśnięte, mięśnie na szyi wyglądały jak grube powrozy, on zaś czuł niejasno, że zdecydowanie za silnie obejmuje brata i bardziej sam się go trzyma, niż go podpira. Nie mógł jednak nic na to poradzić. Palcami wczepił się w wygrzaną słońcem, szorstką korę drzewa, co dało mu pociechę. Tak czekał, aż nastąpi koniec.

Kiedy wreszcie została uregulowana zapłata za wszystkie sześć owiec, Olaf opuścił pejcz. Dyszał.

Candamir trwał w bezruchu.

Wtedy podszedł Osmund ze sztyletem w dłoni, obrzucił stryja spojrzeniem pełnym nieskrywanej odrazy i przeciął więzy Hacona. Chłopiec osunął się na ziemię jak worek ziarna, pociągając za sobą brata. Candamir go nie puścił. Na wpół leżał, na wpół siedział na ziemi z lewą nogą boleśnie wykręconą, ale na razie nic nie mógł na to poradzić. Długie włosy zwisały mu na twarz i zakrywały także twarz Hacona. Było dobrze. Było prawie tak, jakby byli sami.

Wokół nich zgromadzili się jednak ludzie - Candamir widział ich stopy. Usłyszał kobiecy płacz. Rozpoznał ją, to była Asta.

- Odejdź - powiedział. - Już!

Osmund kiwnął na pozostałych. Harald objął Astę ramieniem i wyprowadził ją. Także Austin się wycofał, ale tylko kilka kroków. Podejrzliwie przypatrywał się Olafowi, który wciąż stał w cieniu drzewa i z uśmiechem na ustach obserwował swoje dzieło. Dopiero, kiedy Osmund warknął opryskliwie: „Gdybyś był tak dobry stryju...”, obudził się z zamyślenia, niecierpliwie skinął głową i poszedł sobie.

Osmund, klęcząc przy przyjacielu, ostrożnie chwycił Hacona za rękę.

- Musisz go puścić, Candamirze.

Candamir bez wahania uwolnił brata, który zaniósł się zduszonym szlochem, kiedy Osmund objął go ramieniem. Na ten dźwięk Candamir się wzdrygnął.

- Ostrożnie!

Osmund ze skruchą skinął głową.

- Chodź tu, Saksonie! - Kiedy Austin przybiegł, powiedział: - Zabierz Hacona do waszego szałas i zrób dla niego, co w twojej mocy.

Mnich nachylił się nad chłopcem i położył mu dłoń na czole. Hacon zaczął się trząść, a jego twarz była blada jak śmierć.

- Haconie, otwórz oczy - rzekł Austin nie szorstko, ale stanowczo. Chłopiec otworzył drżące powieki.

- Tak, dobrze. - Sakson uśmiechnął się do niego porozumiewawczo. Nikt nie był w stanie się domyślać, jak bardzo był wzburzony. - Zaniosę cię. To niedaleko. Gdy już tam będziemy, jakoś ci ulżę. Zrozumiałeś?

- Tak - wymruczał Hacon, ale wzrok miał nieobecny, a źrenice rozszerzone.

Austin i Osmund porozumieli się jednym skinieniem głowy. Mnich chwycił Hacona za ręce, postawił go na nogi i równocześnie schylił się, żeby osuwający się chłopak oparł się na jego ramieniu. Zanim Sakson zdążył się wyprostować, Hacon stracił przytomność.

- Dzięki ci, Boże - szepnął Austin z ulgą i bez widocznego wysiłku ruszył w drogę z bezwładnym ładunkiem.

Candamir wykorzystał krótką chwilę, gdy nikt nie patrzył, aby podnieść się do pozycji kłęczącej. Tak pozostał, z ręką znów na pniu drzewa i zamkniętymi oczami.

- Czy krzyczałem?

- Nie. Nie wydałeś z siebie żadnego dźwięku.

Candamir otworzył oczy, aby się upewnić, że Osmund nie kłamie. Ten jednak z podniesionym czołem odwzajemnił spojrzenie, nawet się trochę uśmiechając, po czym dodał:

- To się wcale mojemu stryjowi nie spodobało.

- Racja. Zauważyłem - odparł Candamir i podniósł rękę, żeby otrzeć sobie mokre czoło, która jednak upadła bezwładnie. Ból był tak wielki, że nie warto było. Osmund wstał i wyciągnął do niego dłoń.

- Chodź. Zaprowadzę cię do rzeki. Trochę zimnej wody dobrze ci zrobi.

Candamira przeszył dreszcz na samą myśl, że cokolwiek miałoby dotknąć jego pleców, choćby najmniejsza kropelka wody. Myśl o rzece wydawała mu się tak odległa jak Elasund. Mimo to przyjął wyciągniętą dłoń i pomoc przy wstawaniu. Nie chciał tu

zostać. Buk był wspaniałym drzewem i bardzo mu pomógł przetrwać torturę, zastanawiał się jednak, czy go nie ściąć.

Kiedy stanął na nogi, pociemniało mu w oczach i zachwiał się. Osmund chwycił go za rękę i twardo nakazał:

- Nie upadnij, słyszysz? To z pewnością byłoby okropne.

- Tak. Na pewno. Osmundzie... - Było mu tak strasznie niedobrze, że nie mógł dalej mówić. Gardło mu się ścisnęło, sucho się dławiąc, ale nie chciał teraz wymiotować, ponieważ ciało w nieuchronny sposób skręciło się, i po prostu nie był w stanie stawić temu czoła.

- Co? - Osmund zrobił ostrożny krok w kierunku rzeki, ciągnąc Candamira za sobą. - Chodź. Krok za krokiem. Zaraz poczujesz się lepiej, zobaczysz. Myśl o czymś innym. To, co chciałeś powiedzieć?

- To... To nie było w porządku.

- Nie - zgodził się Osmund bez zastrzeżeń. - Nie było.

- Chciał go zabić.

- Nie jestem pewien, czy chciał, ale wyraźnie do tego zmierzał, to prawda.

- Może nadal zmierza.

- Może.

- A... A ty nie byłeś jedynym, który dostrzegł, że to nie było w porządku. Harald. I wielu innych. Nawet Haflad, który mnie nie znosi. Wszyscy pomyśleli to samo.

- Tak. Wiem.

- Musimy zmienić prawo, Osmundzie. Stanowić prawo i wymierzać kary musi thing. To on ma wydawać wyroki. A nie... Jeden człowiek.

Osmund z troską spoglądał na chorobliwie bladą, mokrą od potu twarz mlecznego brata. Candamir dyszał, a jego głos osłabł.

- Być może masz rację - przyznał Osmund, bardziej po to, żeby go uspokoić, niż dlatego, że sam w to wierzył. - Omówimy to, gdy poczujesz się lepiej.

Dotarli do brzegu. Candamir zmrużonymi oczami wpatrywał się w połyskującą powierzchnię wody. Potem spojrzął na jedną z tratw, którą zbudowali, żeby łowić ryby

- Zabierz mnie trochę dalej w dół rzeki.

Osmund popatrzył na niego z konsternacją.



- Nie sądzisz, że to trochę nie najlepszy moment na wycieczkę? Musisz trafić do Brygidy albo jeszcze lepiej do Saksona, żeby opatrzyć rany

- Same się zagoją. Przede wszystkim muszę przez chwilę zostać sam. - Chciał się zastanowić. Chciał być daleko od Hacona i Gundy, od tych wszystkich współczujących, ciekawskich spojrzeń, i jakoś to wszystko ogarnąć.

- Candamirze, gdybyś wiedział, jak wyglądasz... - odezwał się przyjaciel poważnie.

- Osmundzie.

- Już dobrze. Jak sobie chcesz. Ale dziś wieczór zabieram cię z powrotem.

„Najpierw będziesz musiał mnie znaleźć” - pomyślał Candamir.

Gunda nie widziała, co się działo przy buku, ponieważ Asta wysłała ją z dziećmi do szałasu i kazała tam czekać. Słyszała jednak krzyki Hacona, a gdy nadszedł Austin z chłopakiem na ramieniu, załapała się łzami.

- To ja go zabiłam! To moja wina! - zawodziła, załamując z rozpaczony ręce.

Sakson był nieskończenie wdzięczny, gdy w pozbawionym drzwi wejściu niespodziewanie pojawiła się Siglind, gdyż nawet on nie potrafił dać sobie rady z ciężko rannym chłopcem oraz z niewolnicą, która wpadła w histerię. Siglind jednym spojrzeniem ogarnęła sytuację, weszła i chwyciła Gundę za rękę.

- Teraz musisz się pozbierać - oświadczyła surowo. - On żyje. Chodź. Wyjdźmy stąd, nie będziemy przeszkadzać Austinowi i Haconowi. Gdzie jest reszta służby?

Gunda wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Pewnie gdzieś się wymknęli. Jak zawsze, gdy robi się niespokojnie - szlochała, nie mogąc oderwać wzroku od zakrwawionych pleców Hacona, ale starała się uspokoić.

Austin ułożył nieprzytomnego chłopca na jego pośladku, na brzuchu, a głowę przekręcił mu w bok, żeby mógł swobodnie oddychać.

- Potrzebuję pomocy - powiedział.

Siglind zastanowiła się przez chwilę. Stwierdziła, że Gunda na razie nie jest do niczego potrzebna. Zapewne lepiej, żeby jej nie było, kiedy wróci Candamir.

- Zabierz dzieci Asty i idź do niej. Jest u Haralda - dostrzegła tęskne spojrzenie, jakie Gunda rzuciła swojemu synkowi, pokręciła jednak głową. - Nie, zostaw go tutaj.

Śpi i na razie cię nie potrzebuje. Zaopiekuję się nim, bądź spokojna. Ale teraz już idź.

Gunda sama wiedziała, że jest to dobra rada. Nie czuła się w tej chwili na siłach, by stanąć przed Candamirem. Wzięła, więc małą Hergildę w objęcia, Fulca za rękę i wyszła, a łzy wciąż spływały jej po twarzy.

Siglind odczekała, aż umilkną jej kroki, po czym zapytała Austina:

- Czy Candamir ją zabije?

Sakson starał się właśnie niezbyt czystą szmatą zatamować krwawienie. Nie spojrział w górę, a tylko wzruszył ramionami.

- Tak sędzę.

Podeszła bliżej.

- Mówiłeś, że potrzebujesz pomocy?

- Potrzebuję rumianku, żeby zapobiec zgorzeli, oraz nagietka i skrzypu, żeby rany się goiły.

- Wiem, jak wygląda skrzyp. Rośnie na podmokłej łące zaraz przy rzece. Ale pozostałych roślin nie znam.

- Ziemne jabłko i paznokietek? - spróbował Austin.

- Tak. Oba rosną w lesie. Widziałam je, niedaleko stąd.

Mnich uśmiechnął się z ulgą.

- Właśnie o nie mi chodziło.

Siglind się odwróciła.

- Będę się spieszyła - przyrzekła.

Hacon odzyskał przytomność ze zdławionym okrzykiem przerażenia i natychmiast zaczął się znowu trząść. Zapewne bardzo przemarzł, ale Austin nie odważył się go przykryć. Zamiast tego wziął go za rękę i przemawiał do niego uspokajająco, opowiadając, jak to piękna królowa Zimnych Wysp osobiście poszła nazbierać dla niego leczniczych ziół. Wyczarowało to cień uśmiechu na skamieniałych rysach.

- Gdzie Candamir? - zapytał Hacon.

- Nie wiem. Ale na pewno zaraz przyjdzie - Austin sięgnął po kolejne płótno, zamoczył w misce z wodą i otarł nim mokre czoło chłopca.

- Strasznie chce mi się pić - poskarżył się Hacon.

Austin pożałował, że nie ma wina lub miodu, albo, chociaż odrobiny piwa -

czegokolwiek dającego siły - ale miał jedynie wodę. Ostrożnie przystawił Haconowi kubek do ust. Chłopiec pił chciwie. Chwilę potem znowu zamknął oczy.

Siglind dotrzymała słowa. Nie minęły nawet dwie godziny, gdy wróciła. Do lasu był teraz niezły kawał drogi, ponieważ karczowisko sięgało już bardzo daleko, a zbieranie ziół jest zajęciem czasochłonnym.

- Wspaniale - mruknął mnich, kiedy Siglind położyła przed nim wypełnione po brzegi zawiniątko z kawałka płótna. - Mogłabyś z nim przez chwilę zostać, aż przygotuję maść? - poprosił.

- Co mam robić? - zapytała.

Austin z westchnieniem wzruszył ramionami.

- Właściwie w tej chwili niewiele można zrobić. Dodaj mu odwagi, jak się obudzi. To najważniejsze. Jest przekonany, że brat nigdy mu nie wybaczy.

Przeszło jej przez głowę, że w tej sprawie zapewne ma całkowitą rację.

- Pomódl się za niego - dodał Austin. - To nigdy nie zaszkodzi.

Przytaknęła, wyjęła mu z ręki zakrwawiony gałganek i skinęła głową, że może już iść.

Właściwie do zrobienia maści potrzeba oleju roślinnego, wina i wosku pszczelego. Dziś jednak Austin zdecydował, że zrezygnuje z takich luksusów. Przygotowanie łądzynek i płatków już zabrało mu więcej czasu, niż przewidywał, nie miał teraz zamiaru chodzić od chaty do chaty i prosić o olej i wosk. Na pewno nie pójdzie prosić tej starej wiedźmy o olejek goździkowy i zmarnować swoją maść jej pogańskimi czarami. Zamiast tego ugotował roślinną papkę z odrobiną wody, którą wcześniej poświęcił, a następnie wymieszał z łyżką rozpuszczonego smalcu wieprzowego. Potem odstawił intensywnie pachnącą maść, żeby ostygła. Kiedy jednak nakładał tę maść Haconowi, ten tak żałośnie jęczał, że Siglind z trudem powstrzymywała się od łez. Współczująco patrzyła na rannego chłopca, potem spojrzała na jego maleńkiego bratanka i zastanawiała się w rozterce, co z nimi dalej będzie.

- Gdzie jest Candamir? - po raz któryś z rzędu zapytał Hacon.

Nikt jednak nie wiedział.

Trzy dni i dwie noce Candamir spędził w lesie.

Nieopodal rzeki natknął się na niewielkie zagłębienie porośnięte trawą. Tam się

położył i, nasłuchując wody, ptaków i wiatru, czekał, aż przestanie odczuwać w plecach ból, jakby go przypalano żywym ogniem. W miarę możliwości pozostawał w bezruchu i niebawem z wyczerpania zapadł w sen podobny do omdlenia. Głos Osmunda obudził go, kiedy las przenikała już miedziana wieczorna poświata.

- Pokaż się, jeśli chcesz, żebym cię znalazł!

Candamir milczał.

- W takim razie przyjdę jutro z samego rana!

„Dzięki, wierny przyjacielu. Jedyne bracie, jakiego jeszcze mam...”

Pierwszej nocy oskarżał los, przeklinał Norny i bogów za to, że przywiedli go do tego cudownego kraju, który obiecywał wszystko, co się zamarzy, a ściągali na niego tylko nieszczęścia: zdradę własnego brata, upokorzenie przez wroga na oczach wszystkich. Zesłali mu niewiastę, z którą rad by dzielił życie, a ona go nie chciała. Zesłali mu także syna, ale jego matka okazała się plugawa i nic nie warta. Mało się nie roześmiał...

Candamir przeraził się, gdy zamiast tego zaczął płakać, ale nie miało to znaczenia, bo i tak nikt nie widział. Gdy już raz zaczął, niełatwo było mu przestać. Wył, więc jak mały chłopiec, aż w końcu był zbyt wyczerpany i brakło mu łez. Zamknął piekące oczy i wpadł w szpony okropnego, pogmatwanego sennego koszmaru, związanego w jakiś sposób z jego ojcem, z zimowym głodowaniem i spichlerzem.

Z niespokojnego snu wyrwał go ostatecznie czyjś dotyk. Był to mały liszek, który ciekawie go badał i delikatnie trącał wilgotnym noskiem, jakby wyczuwał, że to obce stworzenie jest samotne i nieszczęśliwe. Piękny rudy towarzysz był ufny i tak miłutki, że Candamir zdobył się przynajmniej na błądy uśmiech. W odległości nie większej niż łokieć liszek przysiadł w trawie i tak patrzyli na siebie.

- Mam nadzieję, że nie jesteś przebiegłym Lokim, który chce mnie skusić do zrobienia jakiegoś głupstwa o opłakanych skutkach - mruknął Candamir. - Bo akurat chętnie bym cię wysłuchał.

Osmund dotrzymał słowa. Każdego ranka i każdego wieczoru przychodził na miejsce, w którym zostawił Candamira i wołał go, a wieczorem trzeciego dnia Candamir opuścił swoją kryjówkę i podszedł.

- Odynowi niech będą dzięki - zawołał Osmund z ulgą. - Już myślałem, że jesteś martwy

- Nie. Głodny

Osmund uśmiechnął się przelotnie i rzucił możliwie dyskretne spojrzenie na plecy Candamira. Bez zdziwienia stwierdził, że widok nadal jest paskudny, a skóra, tam gdzie: jeszcze została, miała barwę czarno-siną przechodzącą w żółtą. Zdumiało go jednak, jak szybko zagoiły się pręgi.

- Spokój i woda w rzece - wyjaśnił Candamir, któremu nie umknęło to spojrzenie.

Osmund kiwnął głową.

- Chcesz ze mną wrócić? Czy mam ci załatwić coś do jedzenia i przynieść tutaj?

Candamira kusiło, żeby przyjąć tak wielkoduszną propozycję, ale, wzdychając, pokręcił głową.

- Zdaje się, że jeśli nie wrócę z tobą dziś, to już nigdy nie wrócę.

- Wszyscy się ucieszą na twój widok - stwierdził Osmund bez szczególnego nacisku. - Wielu przychodziło do mnie i pytało o ciebie. Martwili się. Wszyscy mówili, że nigdy jeszcze nie widzieli, żeby ktokolwiek uczynił dla drugiego człowieka to, co ty dla Hacona. Nie wiem, czego się wstydzisz, ale nie masz powodu. Wszyscy są pełni szacunku dla ciebie.

- O tak, założę się, że tak - odparł Candamir cierpko. - Twój stryj przede wszystkim...

- Nie powinno cię obchodzić, co on myśli. Na razie to on ma mniej przyjaciół.

- Nigdy nie miał przyjaciół. On ich nie potrzebuje.

Candamir i Osmund powoli podeszli do brzegu i po chwili milczenia Candamir dodał:

- Ja nie zrobiłem tego dla Hacona.

„Zrobiłeś - pomyślał Osmund. - Zrobiłeś. Widziałem”. Powiedział jednak:

- Z nim jest bardzo źle, Candamirze. Twój Sakson mówi, że już pora, żebyś wrócił do domu.

Candamir nie odpowiedział. W milczeniu ruszyli ku osadzie.

Austin, Siglind i Asta czuwali na zmianę przy Haconie. Już pierwszej nocy dostał wysokiej gorączki i od tamtej pory jego stan stale się pogarszał. Gorączka spowodowała, że zrobił się niespokojny, a rany nie chciały się goić. Ból męczył go tak samo jak wyrzuty sumienia. W gorączkowych zwidach stale wołał Candamira, a kiedy był przytomny, pytał o niego. Nic nie mogli mu powiedzieć. Nie wiedzieli, gdzie Candamir się zasztył, Osmund po prostu odmówił odpowiedzi na ich pytania, ponieważ się obawiał, że będą szukać jego młecznego brata i przeszkadzać mu. „Wróci, jak przyjdzie pora” - to wszystko, co miał do powiedzenia.

Siglind spędziła z Austinem wiele godzin na modlitwach przy chorym i była zdumiona, ile spokoju i siły jej to przyniosło. Wszelkie jej obawy rozwiały się już ostatecznie, kiedy Austin ochrzcił chorego chłopca i wyjaśnił jej, że teraz jest już obojętne, czy Hacon przeżyje, czy umrze, skoro jest na bezpiecznym łonie kościoła, a jego dusza jest nieśmiertelna.

Zmierzchało, gdy Candamir dotarł do swojego szałas. Przez chwilę stał niezauważony przy wejściu i obserwował obraz, który miał przed sobą: Siglind leżała na jego posłaniu i spała. Nie była przykryta, bo wieczór był ciepły, poza tym w szałasie paliło się małe ognisko - czego Candamir surowo zabronił. Zatopił się w obserwacji jej szczupłych pęcin. Nori, Tjorv i Heide także położyli się spać. Asty i jej dzieci nie było. Austin siedział skulony na ziemi przy Haconie, Gunda zaś znajdowała się zaraz przy drzwiach i uciszała synka. Odkrywszy cień przy wejściu, gwałtownie wciągnęła powietrze i położyła sobie dłoń na ustach.

- Panie...

Wszedł i minął ją, nawet nie spojrzawszy.

Austin podniósł głowę. Ze zdziwieniem stwierdził, że Candamir ma na sobie swoją nową, misternie wyszywaną szatę, którą Osmund mu przechował. Candamir wyglądał właściwie niemal tak, jak zwykle. Prawdę zdradzały jedynie niezwykle sztywne

ruchy i lekko zmrużone oczy

- Cieszę się, że cię widzę w dobrym zdrowiu, panie.

Candamir nieobecny gestem skinął głową i spojrzął na Hacona.

- Co z nim?

Austin westchnął i odgarnął mokry kosmyk z czoła chorego chłopca, który oddychał z wysiłkiem.

- Nie wiem dokładnie. Jest tak, jakby całe jego ciało znajdowało się w stanie obłąkania. Tętno słabe i nierówne. Gorączka nie chce spaść, a rany nie chcą się goić. Organizm nie przyjmuje pożywienia. On... Po prostu niknie w oczach.

„Umiera?” - o to chciał zapytać Candamir, ale nie zrobił tego, bo nigdy nie wiadomo, co gorączkujący słyszy. Zamiast tego przysiadł na ziemi przy posłaniu chorego, możliwie daleko od żarzącego się ogniska.

- Przynieś coś do jedzenia - rozkazał. - Jestem głodny.

Austin wstał i trochę bezradnie rozejrzał się po ciasnej izbie. Gunda położyła małego Nilsa na kocu. Wiedziała, gdzie Heide schowała resztę zupy rybnej z kolacji, i przyniosła Candamirowi drewnianą miskę, z której unosił się przyjemny zapach cebuli.

- Proszę. Jeszcze ciepła.

Candamir udał, że nie słyszy.

- Saksonie, mówiłem, żebyś mi przyniósł coś do jedzenia.

Austin wziął miskę od Gundy i mu wręczył. Candamir krótko skinął głową, pociągnął łyk rosółu, palcami wyłowił kawałek białego mięsa i połknął. Między dwoma kolejnymi kęsami warknął przez ramię do Gundy:

- Wynocha.

- Ale... Jest ciemno - sprzeciwiła się ostrożnie. - Dokąd mam pójść?

- Rzuć się do rzeki. Mnie to jest obojętne - nadal unikał patrzenia na nią.

Z na wpół otwartymi ustami gapiała się na niego. Potem wybiegła.

Candamir zatopił się w mrocznym milczeniu i jadł, nie uświadamiając sobie smaku na języku. Austin mu nie przeszkadzał, zabrał później pustą miskę i dorzucił do ognia naręcze suchych gałęzi.

- Nie mówiłem, że tu w środku nie będzie się rozpalać ognia?

Sakson przytaknął.

- To dla niego potrzebuję ciepłej wody, a były całe godziny, że nie chciałem go zostawiać nawet na chwilę. Przyniesienie wody z zewnątrz trwa. Szczególnie nocą. Nocą jest najgorzej.

- Zawsze tak jest - odparł Candamir. Kiedy się jest chorym lub rannym, siły obronne organizmu wydają się wycofywać wieczorem wraz z zachodzącym słońcem, a ból i gorączka, w przymierzu z mrokiem, nabierają mocy. Zapewne, dlatego właśnie nocą marła większość tych, którym nie dane było zginąć na polu bitwy.

Hacon jęczał w niespokojnym śnie. Jego rzęzący oddech brzmiał jak szloch. Candamir przyglądał mu się, a na środku czoła powstała mu ostra zmarszczka troski.

- Jakże on może być taki słaby? Osmund miał rację. Rozmiękczyłem brata.

- Nie, panie, nie zrobiłeś tego - sprzeciwił się cicho Austin. - Ale on jest jeszcze chłopcem i już choćby dlatego może nie być taki... Taki niezniszczalny jak ty Mimo zimowego głodu w ciągu zeszłego roku wyrósł z niego mądry młodzieniec. To wymagało całej energii, jaką ma.

Candamir obronnym ruchem uniósł dłoń.

- Wszystko zrobiłem nie tak. Po prostu wszystko. Teraz za to płacę.

- Dlaczego tak sądzisz? - zapytał zaskoczony mnich. Ponieważ pojęcie grzechu było tym ludziom zupełnie obce, z reguły nie dostrzegali związku między swoimi uczynkami i swoim losem. Po prostu nie odpowiadało to ich wizji świata.

Candamir nie miał zamiaru otwierać serca akurat przed swoim saksońskim niewolnikiem, ale było mu tak ciężko, że nie umiał oprzeć się pokusie.

- Wszystko wymyka mi się z rąk. Nie zdołałem go tak wychować, żeby nauczył się przyzwoitości, i teraz nas obu okrył hańbą. Haruję jak wół, ale mimo bogactwa tego kraju jestem biedniejszy niż kiedykolwiek w naszej nędznej dawnej ojczyźnie. Olaf odmówi mi należnego ziarna pod siew, a ja się zastanawiam, jak mam z tym żyć, że dla kilku marnych ziaren żyta wybudowałem mu dom...

- Nie załamuj się, panie - rzekł mnich. - Niech pokój zagości w twoim sercu, a sposób się znajdzie, wierz mi. Przede wszystkim przebaczyć swojemu bratu.

Candamir spojrział na śmiertelnie chorego chłopca. Bolało go bardzo, że widzi go tak cierpiącego. Gdy słyszał krzyki cierpienia Hacona, kroilo mu się serce i wtedy przypominał sobie wszystko. Od kiedy skończył osiem lat, opiekował się braciszkiem,



uczył go robić siusiu na stojąco, strzelać z łuku, jeździć na nartach i jeszcze tysiące innych rzeczy. Było po prostu niemożliwe tak z dnia na dzień przestać się nim opiekować - ten nawyk był zbyt głęboko zakorzeniony. Przebaczyc mu jednak nie potrafił.

- Dlaczego miałbym to zrobić? - zapytał kwaśno.

- Ponieważ jest to jedyna droga, która może was wyprowadzić z mrocznej doliny, jego i ciebie też. To uczyniłoby z ciebie człowieka mądrzejszego i lepszego.

- To uczyniłoby ze mnie słabeusza i głupca - sprzeciwił się Candamir ze złością, ale przyciszonym głosem, żeby nikogo nie obudzić. - Co z nią? Może jej także mam przebaczyć? - zapytał szyderczo.

Austin bezradnie wzruszył ramionami. Teoretycznie odpowiedź brzmiała oczywiście „tak”. Chrystus przebaczył jawnogrzesznicy: „Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem”. Nie mógł się jednak sam pochwalić nieskończoną pobłażliwością boską. Żaden grzech nie wydawał mu się tak odrażający, jak grzech nieczystości niewiasty.

- Sądzę, że ta sytuacja jest nieco inna, panie - odparł Austin wymijająco. - Hacon głęboko żałuje swojego uczynku. Jeśli chodzi o Gundę, to wcale nie jestem tego taki pewien.

- Nie - warknął Candamir. - Ona nie żałuje swojego czynu. Ale jeszcze pożałuje...

- Zabijesz ją? - zapytał Sakson niepewnie.

Candamir z udawanym spokojem wzruszył ramionami.

Jeszcze nie podjął decyzji. Tym, co go powstrzymywało, nie było współczucie czy nawet przywiązanie, ani też wzgląd na niewinnego, bezbronnego synka. Gunda była jednak zdrową, młodą kobietą, mogącą urodzić jeszcze wiele dzieci, a niczego tak pilnie nie było tu trzeba, jak liczego potomstwa. Zabicie jej wydawało się nierozumnym marnotrawstwem. Poza tym karą zbyt łagodną...

- Jeszcze nie wiem. Może ją sprzedam, jeśli ktoś ją zechce. Jakoś muszę próbować zdobyć ziarno. Ona jest jednak w tej chwili moim najmniejszym zmartwieniem. Bardziej się zastanawiam nad tym, czy pozwolę żyć Olafowi, gdyby Hacon zmarł.

Austin wyprostował się jak świeca.

- Przyrzekłeś, panie. Przysięgałeś, że zerwiesz z prawem krwawej zemsty.

- Wiem. Jeśli jednak dotrzymam przysięgi, to obrażę bogów i moich przodków. Każdy tutaj nazwie mnie tchórzem.

- Nikt tutaj nie ośmieli się nazwać cię tchórzem po tym, co uczyniłeś. Poza tym, jeśli złamiesz swoją przysięgę, to i tak obrazisz swoich przodków i bogów.

Candamir przytaknął z uśmiechem pozbawionym radości.

- Tak czy inaczej, będę przeklęty niezależnie od tego, co zdecyduję.

Austin wiedział, że to nie jest dobry moment, ale już nie mógł się powstrzymać:

- Zatem sam widzisz, jak okrutni i głupi są twoi bogowie. Skoro to jest wszystko, co mają ci do zaproponowania, to może nadeszła pora, żebyś odwrócił się od nich i zwrócił się ku mojemu.

Candamir drwiąco uniósł kącik ust.

- Jesteś doprawdy przebiegły, Saksonie. Ale twój bóg musiałby mi najpierw dowieść, że rzeczywiście jest łaskawszy i potężniejszy od moich bogów, o czym tak ochoczo zapewniasz. Powiedz mu, żeby uczynił cud i ocalił mojego brata.

- A jeśli to uczyni, czy wyrzekniesz się starych bogów?

Candamir zadumał się na chwilę i na koniec pokręcił głową.

- Nie sądzę, żebym zdołał. Ale już nie zwalczałbym twojego. Czcić go nie zabraniałbym ani tobie, ani Haconowi.

Austin pokiwał głową, po czym wzdychając wzruszył ramionami.

- Jest to raczej skromna propozycja, panie, a z moich do świadczeń wynika, że mój Bóg nie bardzo daje się naciągać na takie targi. Ale zobaczę, co się da zrobić.

Zanim Candamir zdążył wyrazić niezadowolenie z tej wymijającej odpowiedzi, jego brat odzyskał przytomność. Gwałtownie się szarpnął w malignie, jakby miał senne koszmary, przekręcił się na bok i zakrył głowę rękami.

- Candamir... - jęknął słabo.

- Jestem, Haconie.

Chłopiec powoli zdjął ręce z twarzy i zmrużonymi oczami popatrzył w jego kierunku.

- To prawda? Wróciłeś? - Wyciągnął rękę, szukając go po omacku.

Choć Candamir właściwie tego nie chciał, jego palce objęły wyciągniętą dłoń, zanim zdążył się powstrzymać. Była rozpalona.

- Och, Candamirze. Ja... ja...

- Cii...

- Candamirze, tak się boję.

Ileż razy już to słyszał? „Candamirze, boję się. Śniło mi się, że jakiś potwór siedział mi na piersiach. Wiatr tak wyje, Candamirze. Boję się”. Tak jak zawsze przy takiej okazji kusiło go, żeby odpowiedzieć: „Wytrzymaj. Musisz się nauczyć panować nad własnym strachem. Bądź wreszcie mężczyzną, Haconie”. Dzisiaj jednak, zamiast go pouczać, jak często i wcześniej, przysunął się bliżej i delikatnie ułożył jego głowę na swoich kolanach.

Siglind nie była całkiem pewna, czy to jawa, czy jeszcze śni. Słyszała cudowny, kryształowo czysty głos, który śpiewał pieśń o dwunastu boskich siedzibach:

*Froheim jest piąta, gdzie złotem lśniąca  
Ogromna Walhalla się rozciąga. Tam  
Odyn co dzień tych wybiera, Którzy w boju  
polec przeznaczeni...*

Powoli, bez jednego poruszenia, otworzyła oczy i nie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła: Candamir wrócił i to jego głos słyszała, zupełnie jednak odmieniony. Głowę Hacona trzymał na kolanach, chłopiec leżał bez najmniejszego ruchu, ale nie był martwy, bo widziała, jak oddycha. Candamir położył mu dłoń na ciemnych włosach i patrzył na niego poważnie, z lekko zmarszczonym czołem, śpiewając dla niego:

*Widoczny jest dla wszystkich, Którzy do  
Odyna przybywają, Siedziby kształt i  
budowa: Dach kryją tarcze, ściany z*

*włóczy stoją, Pancierzami przykryta jest  
ława...*

Była to mroczna pieśń, która opowiadała o zdradzie i bohaterskiej śmierci, ale do Siglind nie docierały słowa. Była poruszona brzmieniem tego głosu i widokiem, jaki przedstawiali obaj bracia. Nigdy jeszcze nie widziała Candamira w tak bardzo intymnej sytuacji. Widziała, jak bardzo jest wyczerpany, zraniony i bezradny, uderzyło ją jednak coś innego, coś o wiele głębszego. Nie potrafiła znaleźć właściwego słowa na to, co czuł wobec brata i co ujawnił w chwili, kiedy sądził, że nikt go nie obserwuje. W każdym razie było to coś, z czego Candamir nigdy by się nie zwierzył. Cokolwiek to było - zapragnęła tego dla siebie.

Ta myśl tak ją zatrwożyła, że zacisnęła powieki, jak mała dziewczynka, przekonana, że umknie groźnym ceniom, jeśli mocno zamknie oczy. Leżała bez ruchu i nagle nie miała nawet śmiałości oddychać.

*Pijany jesteś, zbyt chciwie pijesz,  
I rozum już ci się miesza.  
Wiele tracisz, trzymając z dala przychylność  
Moją i zwolenników moich.*

Tak w pieśni mówił Odyn do zdradzieckiego Geirroda, to samo mógłby zarzucić jej jednak właśnie odnaleziony Bóg. Nie zamierzała wzbudzać jego gniewu, zbaczając z wybranej ścieżki. Ale jej serce niespodziewanie zabiło i stanęło w gardle, poczuła gęsią skórę na rękach i nogach, brzmienie głosu Candamira wywołało w niej zaś pragnienie, które było jej obce i nieznanne.

Po raz pierwszy w życiu czuła się tak osobiwie, rozpoznała jednak doskonale, co to znaczy. „To niemożliwe - pomyślała ze zgrozą. - To zupełnie wykluczone”. Nie chciała już żadnego mężczyzny Niezależnie, bowiem od tego, co rzekomo dostrzegła w

oczach Candamira, wystarczająco często widziała, że potrafi być równie szorstki i bezlitosny jak każdy inny. Mężczyźni, jak uczyła ją matka, wszyscy są tacy sami - nie mają głowie nic poza walką i miodem, a także tym, aby przekazać swoje nasienie możliwie wielu kobietom. Nie są też zadowoleni, dopóki nie napełnią goryczą życia własnego i wszystkich wokół.

Doświadczenia Siglind zgadzały się z tą opinią i miała już tego dosyć. Dlatego właśnie wybrała na oblubieńca Boga Saksona. Gdyby teraz odwróciła się od niego, nie byłaby lepsza od Gundy...

- Saksonie, chodź tutaj - Candamir wyrwał ją z zamyślenia. - Zdaje się, że umiera. Siglind jedynym szarpnięciem usiadła na posłaniu.

Austin klęczał na ziemi przed szalasem, targował się ze swoim Bogiem i nasłuchiwał śpiewu pierwszych porannych ptaków. Teraz jednak przyszedł w pośpiechu, nachylił się nad chorym chłopcem i położył mu dłoń na piersiach. Po czym pokręcił głową, a kiedy ją podniósł, Siglind ku swojemu zdumieniu zobaczyła, że się uśmiecha.

- Nie, panie, nie sędzę. On śpi. Po raz pierwszy od trzech dni śpi spokojnie. Wydaje mi się nawet, że gorączka nieco spadła. A tutaj, sprawdź sam... Serce bije spokojniej niż jeszcze wczoraj wieczór.

Candamir pospiesznie położył dłoń na piersiach Hacona, jakby się obawiał, że te promyczki nadziei mogłyby zniknąć, gdyby nie dotknął ich wystarczająco szybko. Stwierdził jednak, że Austin ma rację. Serce Hacona biło równo i mocno, chociaż leżał bez ruchu, a oddychał tak spokojnie, że prawie nie było słychać.

Musiały minąć jeszcze dwa dni, zanim naprawdę odetchnęli. Kilka razy wracała jeszcze gorączka i lodowate dreszcze, a Hacon wciąż nie mógł się uspokoić, gojenie ran postępowało, więc dosyć wolno. Chłopiec opierał się, wręcz buntował, kiedy Austin nakładał mu masę. Candamir zrozumiał to po tym, jak sam po raz pierwszy zakosztował tej wątpliwej przyjemności. Paskudztwo piekło jak ogień. Ale pomogło. Najpierw jemu, a w końcu także bratu. Okropne pręgi zagoiły się i nie powstała zgorzel.

Kiedy przez cały dzień gorączka nie wróciła i Hacon po raz pierwszy zjadł miskę zupy, Siglind się pożegnała. Candamir poszedł ją odprowadzić. Było późno, zapadał już

zmierzch, a w trawie grały świerszcze.

- Jaki piękny wieczór - zauważyła i głęboko zaciągnęła się słodkawym zapachem lata.

Candamir przyglądał się jej w sekretnym upojeniu, do którego przez ten czas zdążył się już przyzwyczaić. Siglind odchyliła głowę do tyłu, lekko rozłożyła ręce i po prostu tylko oddychała. Z bosymi stopami w trawie, opaloną skórą, w wyblakłej sukni i z grą światłocieni na włosach wyglądała tak, jakby całe życie spędziła na tej słonecznej łące, jakby była częścią tej krainy. „Tanuri” - pomyślał już pewnie po raz tysięczny. Tak właśnie musiała wyglądać córka Albenów, kiedy ją ujrzał Odyn o zmierzchu na brzegu strumienia.

- Siglind...

Otworzyła oczy i kiedy tak na niego patrzyła, nie pozostało mu nic innego, jak się uśmiechnąć. Nastąpiła chwila wszechogarniającej lekkości. Trwała tylko przez mgnienie oka, ale nie była przez to mniej cenna.

- Tak? - zapytała. - Co chciałeś powiedzieć?

- Och... Już nie wiem.

- Hm... - mruknęła, spłotła ręce za plecami i zakołysała się, stojąc na palcach. - Niech się zastanowię. Myślę, że chciałeś mi podziękować, i tyle.

- Naprawdę powinienem, prawda?

Założyła włosy za ucho i machnęła ręką.

- Nie, właściwie nie trzeba. Przecież tak naprawdę to nic nie mogłam zrobić, bo za mało się znam na tych sprawach. Może powinnam uczyć się u Austina zielarstwa. Sądzę, że to właśnie on uratował Hacona.

- On albo jego bóg - mruknął Candamir.

Siglind zaśmiała się cicho.

- Tak. Słyszałam o waszych targach.

Candamir wzruszył ramionami, a mały niesforny warkoczyk na lewej skroni także założył sobie za ucho, jakby zapragnął naśladować jej gesty.

- Nie ma zbyt wysokiej ceny za życie, wydaje mi się. Nawet, gdy jest to życie nic niewartego słabeusza.

Jej mina natychmiast zrobiła się poważna. Wyciągnęła rękę, jakby chciała ująć

dłoń Candamira, zaraz ją jednak cofnęła.

- Nie wolno ci tak źle myśleć o swoim bracie - rzekła, kręcąc głową. - Tylko sam się nad sobą znęcasz w ten sposób. Jesteś dla niego niesprawiedliwy. On nie jest ani bezwartościowy, ani słaby. Tylko młody. Zrobił wielki błąd i drogo za to zapłacił. Czy to nie wystarczy?

„Nie” - pomyślał z goryczą, ale nie zamierzał już rozmawiać na ten temat. I tak zobaczyła i usłyszała ostatnio o jego rodzinnych sprawach więcej, niż by sobie życzył.

- Może i tak - odparł z udawaną beztroską. - Muszę się nad tym zastanowić.

- Tak zrób. I to szybko.

- Cóż to ma znowu znaczyć?

- To ma znaczyć, że musisz przestać zaszywać się jak w norze. Wiem, że poza Osmundem i kowalem jak na razie wszystkich, którzy przyszli o was zapytać, szorstko odesłałeś. Nie możesz jednak wiecznie się chować. Musicie zmienić prawo, powiadałeś. Miałeś rację. Postaraj się, aby to zrobili, zanim wszyscy zapomną, co się wydarzyło. Wierz mi, że nie każdy będzie to pamiętał tak długo, jak ty i Hacon.

- Za każdym razem, gdy już zapominam, że kiedyś byłaś królową, ty mi o tym przypominasz - zauważył i tym sposobem uniknął odpowiedzi.

Wcale nie uszło to jej uwadze, nie naciskała go już jednak.

- Och, na Zimnych Wyspach nikt nie miał mniejszego wpływu na prawa niż królowa, możesz mi wierzyć. Krajem rządził tylko Cnut, a Cnutem wyłącznie jego humory.

- W takim razie ludzie na Zimnych Wyspach bardzo się oddalili od tradycji przodków.

Siglind przytaknęła.

- W nowej ojczyźnie tradycje i zwyczaje szybko tracą na znaczeniu.

- Tak, to prawda.

- To niekoniecznie jest źle - wykorzystwała jego zgodę. - Jeżeli nie prowadzi do tego, że ludzie oprócz korzeni tracą także swoje wartości i poddają się tyranii, bo tak jest najwygodniej. - Nagle wpadła w złość. - Dochodzi do tego szybciej, niż można by sądzić. Może się to zdarzyć i tutaj, Candamirze.

Domyślał się, kogo ma na myśli, kręcąc jednak głową, odparł:

- Jestem ostatnim, który mógłby temu zapobiec w obecnym stanie rzeczy. Straciłem całe poważanie, jakim się kiedykolwiek cieszyłem, a tym samym wszelkie wpływy. Dzięki mojemu bratu, którego los tak sobie wzięłaś do serca.

Niecierpliwie machnęła ręką.

- Mylisz się. Zarówno, co do stanu rzeczy, jak i co do brata.

- Naprawdę nie sądzę, że tobie to oceniać - odparł niespodziewanie ostrym tonem.

Siglind głośno westchnęła.

- Nie. Oczywiście, że nie mnie - mruknęła pokornie i odwróciła się. - Dobranoc, Candamirze.

- Dobranoc. - Patrzył za nią, aż rozplynęła się w wieczornych cieniach wysokiej trawy. Potem wrócił do swojego szałas.

Tygodnie przed sobótkami były ponure dla Candamira i wszystkich, którzy mieli nieszczęście należeć do jego domowników. Gdy pozostali osadnicy radowali się wspaniałą letnią pogodą i wielkim świętem, a także z niecierpliwością czekali na wesele, w małym szałasie na skraju nadbrzeżnej łąki panowała głęboka zima.

Po wyzdrowieniu Hacona Candamir z bratem i parobkami chodził, co rano pracować w lesie i wydawał się beztroski, śmiał się też, gdy, zdjawszy kapotę w południowym upale, przyłapał kogoś na tym, że krzywi się na widok jego pleców. Natychmiast po powrocie do domu porzucał jednak wszelką radość jak parę niewygodnych butów.

Był tak szorstki dla domowników, że niebawem nikt do niego słowem się nie odzywał, jeśli tylko było to możliwe. Hacona traktował z drwiną i cierpką wyższością, obrażał chłopca przy każdej okazji sprośnymi uwagami na temat jego męskości. Młodszy brat uciekał, gdy tylko się dało, wieczorami wołał jeść ze swoim przyjacielem Wilandem, a do szałas wślizgiwał się dopiero wtedy, gdy było już cicho i ciemno. Najgorzej była traktowana Gunda. Candamir nie przyjmował żadnego jedzenia z jej rąk i nie odzywał się do niej. Właściwie to nie chciał także jej dotykać - była mu wstrętne. Raz upił się jednak tym obrzydliwym trunkiem ze sfermentowanego owczego mleka i poszedł do niej. Gunda żyła w stałym śmiertelnym strachu i dlatego była uległa, udawała namiętność, obojętnie



jak bardzo był wobec niej brutalny, a wszystko dlatego, że najbardziej obawiała się, że jego nienawiść może się przenieść na jej bezbronny synka. Candamir oczywiście ją przejrzał, zamiast jednak mieć żal - czy choćby zostawić ją w spokoju - zrobił się jeszcze bardziej chamski.

Kiedy nazajutrz doszedł do siebie, z ciężką głową i niesmakiem w ustach, zebrało mu się na płacz z rozpacz i wstrętu do siebie samego.

- Proszę, panie - Heide podała Candamirowi danie z łobody i koziego sera. Wiedziała, że zawsze to lubił. - Mam jeszcze dla ciebie piękny kawałek cielęcej wątróbki - dodała.

- To dawaj.

Jadł aromatyczną potrawę drewnianą łyżką i już niemal skończył, gdy przyniosła mu wątróbkę: niewielki kawałek ciemnego, soczystego mięsa na drewnianym talerzu.

- To wszystko? - warknął.

Heide skinęła głową i zdecydowała raczej nie mówić, że nie tylko Haconowi, ale także Gundzie dała kawałek, bo dziewczyna była coraz chudsza i nie miała już dosyć mleka. Zapewne, dlatego mały Nils tak dużo płakał, co nie poprawiało ogólnego nastroju.

- Jest jeszcze mnóstwo tamtego - powiedziała kucharka łagodnie.

- Dobrze. Przynieś. I zrób coś, żeby skończyły się te płacze.

Zabrała pustą miskę i zaniósła do paleniska.

- Małe dzieci wrzeszczą, panie, to normalne. Też wrzeszczałeś, głośniej niż twój syn. Wiem dobrze, bo byłam przy tym. Nic na to nie można poradzić.

- Nie? Przynieś mi kamień wielkości pięści, to ci pokażę, co na to można poradzić.

Heide zbladła i z wyrzutem pokręciła głową. Gunda wydała z siebie krótki krzyk głębokiej rozpacz i skoczyła ze swojego miejsca w kierunku dziecka, żeby zanieść Nilsa gdzieś, gdzie jego ojciec nie będzie go słyszał.

- Siadaj - warknął Candamir w jej kierunku, nawet nie spojrzawszy.

- Panie... - zaczął trwożliwie Austin.

- Lepiej zamilcz - poradził Candamir. - Nie ma nic takiego, co chciałbym od

ciebie usłyszeć.

- Nie ma, w to wierzę - odparł Sakson. - Wiedziałbyś przecież, że jest to prawda, czyż nie? Który to uzalający się nad sobą słabeusz unika usłyszenia prawdy?

Tjorv, Nori i Heide spojrzeli na niego, jakby postradał zmysły, a i on sam powziął takie podejrzenie. Całymi tygodniami przyglądał się jednak tej niedoli i teraz miarka się przebrała.

- Jak mnie nazwałeś? - zapytał Candamir i wstał.

Austin także wstał i oddalił się dwa kroki od paleniska, nie chciał, bowiem wpaść do ognia, gdy będzie upadał. A na to się zapowiadało.

- Świetnie mnie zrozumiałeś - odrzekł na pozór spokojnie.

Niemal z wdzięcznością Candamir rzucił się na niego.

Dobiegło końca rozpamiętywanie w nieskończoność, czy to Sakson i jego przeklęty bóg są winni wszystkich jego nieszczęść, a teraz przynajmniej jeden z nich za to zapłaci.

Lewą ręką złapał niewolnika za kołnierz i zacisnął prawą pięść, ale nie zdążył uderzyć. Dwa ogromne łapska objęły od tyłu jego tułów i odciągnęły. Candamir nie musiał się oglądać za siebie, żeby sprawdzić, kto go odwiedził w tej niestosownej chwili. Znał tylko jednego człowieka, którego kapota groziła pęknięciem nawet na rękawach, gdy ten napiął mięśnie.

- Harald...

- Otóż to - odparł kowal swoim przyjemnym, głębokim głosem. - Czy muszę tobą najpierw potrząsnąć, czy mogę cię już puścić?

- Bądź tak dobry.

Harald uwolnił go, ale równocześnie położył mu dłoń na ramieniu i odwrócił do siebie.

- Zjadłeś już? To chodź, pójdziemy nad rzekę. Chciałbym z tobą omówić kilka spraw.

Candamir nie był wcale zainteresowany. Bez trudu mógł sobie wyobrazić, co Harald miał mu do powiedzenia, i nie chciał go słuchać, tak samo jak Saksona. Kowalowi nie mógł jednak tak łatwo zatkać ust jak swojemu niewolnikowi. Niezależnie od tego, że Harald był jednym z najbardziej poważanych ludzi w tej społeczności oraz

jego przyjacielem, Candamir z pewnością nie zdołałby sobie, tak bez przygotowania, poradzić z następstwami...

- Tak. Oczywiście, Haraldzie.

Z zadowolonym skinieniem głowy kowal odwrócił się i - ukradkiem puszczejąc oko do Austina - zaprowadził Candamira na brzeg.

Wzięli mały prom i przeprawili się na drugą stronę, co robiło wiele osób, które nie chciały, aby im przeszkadzano. Tu, na południowym brzegu, było cicho i spokojnie, a widok pola żyta podnosił na duchu. Zboże rosło wspaniale. Niemal można było powiedzieć, że rośnie w oczach. Kłosa były już na tyle wysokie, że było widać, jak wiatr je pieści. „Jeszcze pięć, najwyżej sześć tygodni - ocenił Candamir - i będą mogli zaczynać żniwa”. Na myśl o świeżym, jeszcze ciepłym żytnim chlebie zawsze robił się głodny jak wilk, nawet, jeśli właśnie był po jedzeniu.

Spacerkiem szli skrajem pola w kierunku południowym. Bogactwo kwiatów kwitło pośród traw i wciąż pilnie zajęte pracą były pszczoły i trzmiele. Kowal również nasłuchiwał brzęczenia.

- Będziemy mieli bogate zbiory miodu - zauważył z zadowoleniem. - Ty wiesz, jaką mam słabość do miodu.

- Któż jej nie ma - odrzekł Candamir zatopiony w myślach. „Słodkie zapomnienie...”.

- Posłuchaj, mój chłopcze - zaczął nagle Harald. - Chciałbym pojąć twoją siostrę za żonę. Ona także tego chce. Mam nadzieję, że udzielisz zgody?

Bardziej niż samo pytanie Candamira zaskoczył ton trwożliwej niepewności. Stał i spojrzał na kowala.

- Haraldzie... Oczywiście, że się zgadzam.

Harald uśmiechnął się, skinął głową i ruszył dalej.

- Wiesz, spędziła u nas sporo czasu w ciągu ostatnich tygodni.

Nie uszło to uwadze Candamira. Dotarło także do niego, że siostra często nie wraca do domu na noc, ale sądził, że chce uciec od rodzinnych kłopotów. Wiedział dobrze, że Asta się go boi, kiedy jest rozgniewany albo w podłym humorze. Zawsze tak

było. Nie zdziwiło go, zatem, że szuka ucieczki u mężczyzny, który był jej najbliższy zaraz po ojcu. W każdym razie chciał w to wierzyć. W rzeczywistości sprawy miały się zgoła inaczej...

Kowal podniósł rękę w geście bezradności.

- Na początku byłem jak sparaliżowany. To znaczy po śmierci Asi. Jakby mi odcięto jakąś część ciała, bez której nie jestem w stanie funkcjonować. Twoja siostra była wtedy na miejscu i pomogła mi. Również w praktycznych sprawach związanych z codziennym życiem. Dlatego początkowo nie zauważyłem, co się dzieje. W ogóle nie miałem zamiaru więcej się żenić.

Candamir uśmiechnął się do siebie.

- Cieszę się. Oboje jesteście za młodzi, żeby spędzić samotnie resztę swoich dni. Co za szczęście, że się odnaleźliście.

Harald przystanął.

- Bogowie zesłali nam wielkie szczęście. To zaś prowadzi do ciebie i twojego życia, które nie jest ostatnio tak dobre, jak do tego przywykłeś.

Twarz Candamira zrobiła się zacięta.

- Och, nie mówmy teraz o tym.

- Właśnie, że musimy Chodź, siądziemy sobie tu na chwilę. Trawa pachnie tak wspaniale. No, mój chłopcze.

Przysiedli obok siebie w trawie na skraju pola. Candamir wyrwał źdźbło trawy, wetknął je między wargi i zapatrzył się za zachód, gdzie słońce znikало za drzewami i barwiło małą grupkę chmur ognistą czerwienią.

Milczenie przeciągało się, ale nie było to nieprzyjemne. Ponieważ kowal z natury był małomówny, Candamir już we wczesnej młodości przywykł do tej spokojnej ciszy. Zauważył, że dobrze mu ona robi. Dziś jednak kowal wydawał się zdecydowany, żeby być bardzo wymowny.

- Zrobiłeś sobie z Olafa niebezpiecznego wroga, Candamirze. Wiedziałaś o tym, a jednak to zrobiłeś. Było to słuszne, bo w spornej kwestii miałaś rację. Z pewnością jednak wiedziałaś, że ta wrogość także dla ciebie stanie się kiedyś ciężarem.

- Ale nie w ten sposób - zaprotestował Candamir i wyjął źdźbło z ust. - Liczyłem się z tym, że zawsze będzie przeciwko mnie na thingu. Że będzie mnie oszukiwał, gdy

będę zmuszony robić z nim jakieś interesy, co zresztą już się stało. Że pewnego dnia zabije mnie w walce. Ale nie... Nie tak. Takie upokorzenie. Ta... całkowita utrata godności. Naprawdę nie wiedziałem, że jest dla mnie tak cenna. Cieszę się tylko, że mój ojciec tego nie dożył. On... On tak strasznie by się wstydził.

Harald powoli pokręcił głową.

- Jesteś w błędzie. Zupełnie mylnie oceniasz te sprawy. Twój ojciec byłby z ciebie dumny. Ja na jego miejscu byłbym dumny z ciebie. Ty..

- Haraldzie, proszę - przerwał Candamir stłumionym głosem. - Żadnych pięknych kłamstw z litości. To by mnie chyba dobiło.

Kowal odwrócił twarz do niego i spojrzał mu w oczy

- Powiadam ci prawdę, a ty teraz zamilkiesz i jej wysłuchasz. Nawet Eilhard, którego wspaniałe czyny na polu bitwy jeszcze za jego życia będą opiewane w pieśniach, powiedział, że nie potrafiłby zrobić tego, co ty uczyniłeś dla brata. Poświęcić się dla towarzysza w bitewnej gorączce jest czynem mężnym i szlachetnym. Ale żeby tak z zimną krwią i pełną świadomością oddać się w ręce wroga, to wymaga tego rodzaju odwagi, którą niewielu posiada. Widziałem, że Olaf robił wszystko, żeby cię rzucić na kolana, żeby cię zmusić do zostawienia Hacona i żebyś się stamtąd odczołgał. Wszyscy to widzieli. Z każdym uderzeniem, które z wolnej woli przyjąłeś na siebie, Olaf robił się mniejszy, a ty większy. Nikt z twoich sąsiadów nigdy nie szanował cię bardziej niż dzisiaj.

Candamir nie wierzył w ani jedno słowo, ale nie chciał urazić Haralda i zachował swoje wątpliwości dla siebie.

- Najchętniej wyjechałbym na jakiś czas - przyznał wreszcie. - Może na równinę. Spokojnie wyszukiwałbym najpiękniejsze konie, schwycił i tam je ujeździł, a nikt by mi nie przeszkadzał. Albo jeszcze dalej. Zbadać pustkowia i ognistą górę. Albo zbudować łódź i opłynąć Catan. Tęsknię za morzem, wiesz. Ale nie mogę. Mój brat, mój syn, służba... Są jak młyński kamień u szyi. Czasami czuję się tak, jakbym nie mógł oddychać.

Kowal pokiwał głową.

- Odpowiedzialność bywa ogromnym ciężarem i rzeczywiście o wiele za wcześnie spadła na twoje barki, gdy twój ojciec nie powrócił z wyprawy. To jednak, że

nie możesz od niej uciec, nie musi oznaczać, że nie jesteś w stanie nic zmienić.

- Jak to rozumiesz?

Pozornie bez związku kowal zmienił temat.

- Candamirze, chciałbym cię prosić, żebyś mi wybudował kuźnię i chałupę. Możliwie szybko. Chcę twojej siostrze i jej dzieciom zapewnić porządną dom. Dam ci za to pszenicy. Tyle, ile ci potrzeba.

„To byłby jeden kłopot z głowy” - pomyślał Candamir. Zapytał jednak:

- Skąd ty masz ziarno pszenicy?

Harald uśmiechnął się tajemniczo.

- Kowal zawsze dostanie to, czego potrzebuje, bo każdy jest zdany na niego.

Candamir z westchnieniem rozłożył ręce.

- Niczego nie robiłbym z większą ochotą, wspaniale byłoby budować wam wasz nowy dom - odparł. - Jeśli jednak nie wykarczuję ziemi, nawet najlepsza pszenica mi się nie przyda. Powiesz pewnie, i słusznie, że ziemia bez ziarna też nikogo nie nasyci, ale...

- Posłuchaj - kowal wszedł mu w słowo. - Rozmawiałem z wieloma ludźmi. O karczowaniu i siewie, o konieczności budowy domów przed zimą, a także o tobie. Berse powiada, że jesteś doskonałym cieślą, lepszym niż każdy z jego synów.

- Przecież to śmieszne. Każdy potrafi rozłupać pień drzewa i wyciosać kilka belek...

Harald zaśmiał się cicho.

- Tak, ja też zawsze twierdzę, że właściwe to każdy byłby w stanie sam sobie wykuć noże albo lemiesz do pługa, bo to przecież takie proste. Proste jest to jednak tylko dla tego, kto wie, jak to się robi. Masz więcej doświadczenia, niż zapewne sam zdajesz sobie z tego sprawę. Czy po śmierci ojca nie wyremontowałeś, aby własnoręcznie wszystkich waszych zabudowań gospodarczych? Czyż nie wybudowałeś Osmundowi chaty? Nie postawiłeś Olafowi błyskawicznie nowego domu? Masz cenny talent, Candamirze, nawet, jeśli nie jesteś tego świadomy, bo wydaje ci się to takie oczywiste. Tak samo uważa Berse, a on w końcu zna się na tym, prawda?

Candamir nic nie odrzekł. Był osłupiały.

- Wymyśliliśmy coś następującego - ciągnął Harald.

- Ty i Berse będziecie stawiać nasze domy. Oczywiście dostaniecie tylu

parobków, ilu wam będzie trzeba. Za to inni wykarczują waszą ziemię, a każdy da wam trochę ziarna, zaorzą, więc także wasze pola i obsiejecie. Nie patrz na mnie tak podejrzliwie. To nie ma nic wspólnego z jałmużną. Zostaniesz wynagrodzony za swoje rzemiosło tak samo jak ja. Dzięki temu być może każdy klan będzie miał na początku zimy własny dom.

Candamir zastanowił się nad tym. Plan był rozsądny, to musiał przyznać. Byłby to koniec jego nędzy. Przy tym dobrze się rozumiał ze zrzędlwym, karłowatym szkutnikiem - był pewien, że mogą świetnie współpracować. Trochę się rozchmurzył. Karczowanie lasów i uprawa pól to harówka konieczna dla przeżycia. Za to budowanie domów sprawiało mu dużą przyjemność. Tylko, dlatego był w stanie bez skargi dotrzymać umowy z Olafem. Przyszłość nagle przestała wyglądać tak ponuro...

- No... Brzmi nieźle, Haraldzie.

Kowal uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Prawda? Nie jest to jedyna rzecz, którą dla ciebie wymyśliłem. Przejdźmy teraz do twojego brata.

- Szkoda. Właśnie zaczynałem czuć się lepiej.

- Nie mam zamiaru ci zarzucać, że nie masz dla niego serca. To po prostu byłoby zbyt wysokie wymaganie. Doprawdy już dość dla niego uczyniłeś. Jest chłopcem w trudnym wieku, wierz mi, że wiem, co mówię, bo mój Godwin jest tylko trochę starszy. Zrobił wielkie głupstwo. Ni mniej, ni więcej. Kiedyś uporasz się z upokorzeniem, które spowodował, być może pewnego dnia nawet znowu się polubicie. Zanim jednak do tego dojdzie, nie powinniście mieszkać pod jednym dachem. Oddaj mi go do terminu, Candamirze. W zamian uwolnij mnie od mojego nieznośnego syna.

Candamir spojrzał zdziwiony.

- Godwinowi bardzo brak matki - wyjaśnił kowal. - Uważa, że jest o wiele za wcześnie, żeby się znowu żenił. Nie kryje się z tym poglądem, szczególnie przy Aście. Jest wobec niej bezczelny i doprowadza mnie do białej gorączki. Nie ma już spokojnego dnia w moim domu, a twoja siostra jest nieszczęśliwa. Tak dalej być nie może.

Candamir rozchmurzył się już do reszty. Był przekonany, że tylko w jego szłaście trwają kłótnie między nim a jego bliskimi.

Harald się uśmiechnął.

- Każda rodzina ma swoje zmartwienia, nie wiedziałeś?

- No tak. Właściwie to wiedziałem.

- A zatem? Co powiesz na moją propozycję?

- Zgoda. Obawiam się tylko, że szybko jej pożałujesz. Hacon to leniwy nicpoń.

- Godwin też. Candamir pokręcił głową.

- Nie był taki, kiedy pracował z nami w lesie.

- Widzisz? O to właśnie chodzi. Godwin tobie pokazuje się ze swojej najlepszej strony i jestem przekonany, że Hacon u mnie będzie się zachowywał tak samo. Ponieważ Godwin nie czuje do ciebie żadnej złości ani Hacon do mnie.

Nagle Candamir przypomniał sobie, że on sam jako młody chłopak wykręcał się od pracy w obejściu u ojca, za to zawsze chętnie buszował po kuźni. Szanował, bowiem kowala, ojca zaś przeważnie nie znosił... Wyciągnął do kowala dłoń. Harald ją uściśnął i w ten sposób dobili targu.

- Teraz przejdźmy do Gundy.

Candamir wyszarpnął rękę i ze wstydem odwrócił wzrok.

- Nie podjąłeś decyzji, żeby ją zabić, prawda?

Candamir podciągnął długie nogi, objął kolana rękami i oparł na nich brodę.

- Nie - powiedział w kierunku falującego żyta. - Dość już krwi się polało w tej przeklętej sprawie. I... Nie mogę zapomnieć, jak słodkim, niewinnym stworzeniem była, kiedy się u mnie zjawiała. To ja sprawiłem, że stała się taka. Ona nie ponosi tu żadnej winy.

Kowal milczał zdziwiony. Uznał, że jak na tak młodego człowieka wiedza Candamira o samym sobie była niezwykle głęboka. To nietypowe dla kogoś tak porywczego jak on. Harald domyślał się, że musiało być to dzieło mądrego, młodego Austina. Podczas ponurych godzin w górach, gdy zginęła Asi, poznał Austina i nauczył się go cenić. Uznał też, że to dobrze świadczy o Candamirze - był w stanie otworzyć się na ten wpływ, który przecież pod wieloma względami kłócił się z tym, co od niepamiętnych czasów ojcowie przekazywali swoim synom.

- Nie potrafię jej jednak wybaczyć - mówił dalej Candamir. - To dziwne. Kiedyś... Raz oddałem ją Osmundowi na jedną noc. Krótko po śmierci Gisli. Nie bardzo mnie to wtedy obeszło. To było, co innego. Może dlatego, że to nie był mój brat.



- Bardziej dlatego, że ty wyraziłeś na to zgodę. Jest różnica, czy się coś daje z serca, czy go okradają.

- Tak, racja.

- Uważam za słuszne to, że darowałeś jej życie - zwierzył mu się kowal. - Wielu widzi rzecz inaczej, ale czymkolwiek ona by nie była, jest w każdym razie matką twojego syna, pierwszego syna Catanu. Również Brygida uważa, że z tego powodu powinna żyć. Ty jednak nie możesz jej zatrzymać.

- Nie mogę, wiem.

- Ivar mi mówił, że chętnie by ją wziął.

- Ivar? Kapitan „Morskiej Strzały”?

Harald przytaknął.

- Chce ci dać za nią lochę. Prawdziwą domową świnię, którą przywiózł z Elasund, oraz wszystkie prosiątka.

- Ależ Ivar jest tłusty, bezzębny i ma pełno wrzodów na twarzy - zaprotestował Candamir.

Harald z trudem zachował poważną minę. Chciał jedynie sprawdzić rzeczywisty stosunek Candamira do fryzyjskiej niewolnicy.

- W takim razie mnie ją sprzedaj - zaproponował. - Asta bardzo ją polubiła. Twój syn mógłby dorastać w moim domu, aż dojdzie do wieku, w którym będzie mógł opuścić matkę i wrócić do domu ojca. Nie mam już niewolnicy, nasza Tjorvig podczas drugiego sztormu wypadła przecież za burtę i utonęła. Aście przyda się trochę pomocy przy dzieciach i gospodarstwie. Jako zapłatę zrobię dla ciebie najlepszą siekierę, jaką kiedykolwiek miałeś w rękach.

Brzmiało rozsądnie. Candamir wiedział, że musi się rozstać z Gundą. Nie wiedział natomiast, co pocnie ze swoimi naturalnymi żądzami. Nie był to jedyny kłopot z propozycją Haralda, która wydawała się tak wygodna.

- Siekiera by się przydała - odparł z westchnieniem szczerego żalu. - Na to jednak nie mogę pozwolić. Jeśli Hacon i ona będą mieszkali pod jednym dachem, nie potrwa długo, aż ona znów rzuci mu się na szyję, a tego nie chcę. Hacona nie można za nielojalność jeszcze dodatkowo nagradzać.

Już na samą myśl ogarnęła go wściekła zazdrość. Nie podobała mu się także

wizja, żeby brat i jego służąca spokojnie mieszkali razem pod dachem kowala. Nie zasłużyli na spokój.

Harald kiwnął głową i zrezygnowany wzruszył ramionami.

- Jak właściwie mają się sprawy z tobą i piękną królową? Candamir machnął ręką.

- Marnie. Ona mnie nie chce.

- Powiedziała ci?

- Nie mnie. Osmundowi.

- On pytał ją w twoim imieniu? Doprawdy, chłopcze, zastanawiam się czasem, czy ta wasza przyjaźń nie posuwa się, aby trochę za daleko.

Candamir zaśmiał się zawstydzony.

- Nie, nie. On ją spytał, czy zechce wyjść za niego. Kiedy mu odmówiła, wyjaśniła też, że w ogóle nie pragnie już żadnego mężczyzny. Miałaś rację, Haraldzie: Siglind nie jest już zainteresowana żadnym śmiertelnikiem, a jedynie bogiem mojego Saksona. Kiedy Austin opowiada jej historie o jego czynach, to oczy jej aż błyszczą.

- Dziwi mnie, że na to pozwalasz.

- Muszę - Candamir opowiedział Haraldowi o targu, jakiego dobił z bogiem Saksona.

- Rozumiem. Cóż, zapewne królowa Zimnych Wysp tak gorzko się rozczarowała śmiertelnymi mężczyznami, że uważa za bezpieczniejsze zwrócenie się ku sferom boskim. Niewykluczone jednak, że jeszcze pod czyimś wpływem zmieni zdanie.

Candamir wzruszył ramionami.

- Na pewno nie moim.

- Na twoim miejscu nie byłbym taki pewny. Może musiałbyś się o nią trochę mocniej postarać? Gunda jest tutaj tylko przeszkodą. Przemyśl to sobie, Candamirze. Nic dobrego z tego nie wyniknie, jeśli zostanie u ciebie.

Młody człowiek odwrócił wzrok i zapatrzył się w rzekę.

- Też wcale się przy tym nie upieram.

- Na młot Thora, cóż za piękna narzeczoną - szepnął Berse do Candamira. - Tylko pozazdrościć twojemu przyjacielowi.

Candamir przyznał mu rację. Być może Inga nie była piękną rzucającą na kolana, ale była ładną, młodą dziewczyną o delikatnej, różowej cerze, a dziś jej oczy promieniały. Poza tym miała na sobie nową suknię o takiej samej ciemnoczerwonej barwie, jaką niegdyś miała suknia Siglind. Królowa Zimnych Wysp osobiście farbowała płótno na suknię ślubną i uszyła ją z pomocą Britty, młodej macochy Ingi. Na jasnych włosach Ingi zaplecionych w warkocze leżał wianek z jasnoróżowych dzikich róż, które rosły na niskich krzewach w lesie.

- Tak, jest zachwycająca - odparł cicho, żeby nie zakłócić uroczystej ciszy.

Brygida stanęła przed parą narzeczonych, ale zwróciła się teraz do ojca narzeczonej, stojącego o krok za córką po lewej stronie:

- Czy uzgodniono wiano? - zapytała stara kobieta.

Siward skinął głową.

- Z powodu zatopienia „Sokoła” nie mam w tej chwili wiele, ale Osmund się zgodził, że gdy tylko będę mógł, dam mu w posagu pół tuzina owiec.

Pół tuzina owiec było na Catanie znacznie więcej warte niż w Elasundzie i zgromadzeni wydali pomruk aprobaty. Było powszechnym zwyczajem, aby przy świadkach policzyć wiano, ponieważ panna młoda mogła w razie rozwodu żądać jego zwrotu i - wraz z podarkiem porannym - zachować jako osobisty majątek.

- Dobrze. Oddaj teraz rękę córki jej narzeczonemu - pouczyła go Brygida.

Siward wystąpił przed Ingę. Sprawiał nieco rzewne wrażenie, ale uśmiechając się, wziął swoje najmłodsze dziecko za rękę i pocałował w czoło.

- Oby Berchta ci błogosławiła i zesłała ci szczęście, jakim jest wielu synów, Ingo - powiedział pod nosem trochę skrępowany. Następnie wziął dłoń córki i dłoń narzeczonego, po czym je połączył. Filigranowa rączka Ingi zniknęła w muskularnej dłoni Osmunda. Widok ten wzbudził hamowaną dotąd euforię i nawet Osmund z Ingą wymienili ukradkowe uśmiechy.

Brygida wyjęła z płytkiej glinianej miski przygotowaną wcześniej girlandę z lili i brzoźowych gałązek. Na końcach kwietnej ozdoby wisiały dwa małe, drewniane krążki z runami perthro oraz ingwaz, które oznaczały żeńską i męską płodność. Stara owinęła girlandę wokół przegubów państwa młodych i zawiązała luźny węzeł. Potem rozłożyła swoje dłonie.

- Ojcie bogów, pobłogosław ten związek twojego wiernego wyznawcy z twoją służebnicą.

Inga odwróciła się do Osmunda. Oczy błyszczały jej naprawdę jak gwiazdy. Nikt nie mógł wątpić, że oto tego dnia spełniło się jej długo pielęgnowane marzenie. Z uroczystą powagą oświadczyła jednak:

- Jedynie do ciebie pragnę od dziś należeć i wspólnie z tobą pragnę służyć Odynowi, który oby udzielił nam swojej mądrości i nigdy losu nie odwrócił przeciwko nam.

Taka obietnica małżeńska była niezwykła i nieznana, osadnicy zdziwieni spojrzeli, więc po sobie. Niektórzy zastanawiali się, kto wymyślił taką religijną przysięgę i czemu miałyby służyć. Wszyscy jednak byli poruszeni.

- Jedynie do ciebie pragnę od dziś należeć i wspólnie z tobą pragnę służyć Odynowi, który oby udzielił nam swojej mądrości i nigdy losu nie odwrócił przeciwko nam - powtórzył Osmund donośnym głosem, patrząc głęboko pannie młodej w oczy. Kiedy skończył, lekki uśmiech wkradł się w kącik jego ust.

Indze ze szczęścia aż zakręciło się w głowie. Być może to wyczuł, w każdym razie objął ją ramieniem, bezceremonialnie przytulił do siebie i pocałował w usta. To przerwało uroczystą ciszę, a goście zaczęli klaskać i się śmiać. Po czym otoczyli państwa młodych, aby im złożyć życzenia. Candamir był pierwszy. Objął przyjaciela.

- Oby spotkało was całe szczęście tego świata - życzył.

- Dzięki, Candamirze.

Ten zwrócił się ku pannie młodej i z szacunkiem ucałował jej dłoń.

- Uczyń go szczęśliwym. Bo się pogniewam - zagroził, puszczając do niej oko.

Zaśmiała się.

- O to się nie martwię...

Candamir puścił ją i wycofał się, żeby zrobić miejsce pozostałym składającym życzenia, i znowu znalazł się obok Asty i Haralda.

- Jak myślisz? - Kowal popatrzył na swoją narzeczoną, lekko przechylając głowę.

- Nie żał ci rezygnować z tak wzruszającej ceremonii? Jeszcze nie jest za późno, wiesz. Zawsze jeszcze możemy poprosić Brygidę, żeby udzieliła nam ślubu.

Asta pokręciła jednak głową.

- Po co? Nie mam posagu, którego mogłabym potem zażądać z powrotem, nie mam też ojca, żeby oddał moją rękę.

- Tylko brata - wtrącił Candamir.

Krótko ścisnęła jego dłoń.

- Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że cię poprosiłam, abyś uczynił mi ten zaszczyt.

Ponieważ nie miała najlepszego mniemania o Brygidzie i była zdania, że równie dobrze mogą sami prosić bogów o pobłogosławienie ich związku, dlatego po prostu przeprowadziła się z dziećmi do szałasów kowala. Nikogo to nie zaskoczyło. Nikogo poza Saksonem.

Candamir pokręcił głową.

- Jeśli ty jesteś zadowolona, to ja też.

Poza tym uważał, że nie ma na razie najmniejszej potrzeby, aby znalazł się w centrum powszechnej uwagi. Gdyby Osmund nie wybrał akurat tych sobótek na swoje wesele, Candamir pewnie uciekłby na równinę i trzymał się z dala od wszelkiego świętowania. W tej sytuacji nie mógł jednak tego oczywiście zrobić. Starał się zatem swoje ponuractwo tak głęboko ukryć, żeby nie było widoczne nawet dla Osmunda. Podczas uczty weselnej po ceremonii zaślubin jadł i pił z właściwym sobie zacięciem i nawet stał się sprawcą dobrej zabawy, wznosząc trochę dosadne toasty na cześć młodej pary Inga za każdym razem rumieniła się, ale z uśmiechem.

Po uczcie weselnej zaczęło się właściwe świętowanie sobótek: zawody pięściarskie, rzut kamieniem, przeciąganie liny i strzelanie z łuku, na zmianę z muzyką, tańcami i wciąż nowymi daniami. Hacon świetnie się bił na pięści z rówieśnikami, pokonał swojego przyjaciela Wilanda, musiał się jednak poddać synowi Olafa Larsowi, który twarz pokonanego niepotrzebnie długo trzymał wciśniętą w błoto przybrzeżnej łąki, aż Hacon w panice zaczął się szarpać i widzowie rozdzielili przeciwników. Kiedy Hacon w końcu wstał, włosy miał rozczochrane, a twarz całą w błocie. Wyglądał bardzo zabawnie. Okrzyk triumfu Larsa poniósł się po majestatycznie płynącej rzece. Poza tym zawody w rzucie kamieniem wygrał Olaf.

Candamir wymknął się stamtąd, nie wzięwszy udziału w żadnej konkurencji, mimo że wcześniej tak uwielbiał zawody. Poszedł do niewielkiej zagrody przy swoim

szalaście, gdzie trzymał bydło, a także konie, założył klaczy uzdę własnej roboty i wskoczył na jej nieosiodłany grzbiet. W ciągu ostatnich tygodni poświęcił jej wiele czasu i zrobiła się posłuszna jak owieczka, bardzo się też do niego przywiązała. Wiedział, że cierpi jednak z powodu rozłąki ze swoimi źrebackami. Pozwolił, więc niesfornemu, małemu ogierowi biec u boku matki, spacerkiem objechał szerokim łukiem łąkę i nędzne szalały, po czym pogalopował na północ, do lasu.

Były to dla niego tereny niemal nieznanne. Las był w większości liściasty i młodszy niż bór, który dotychczas karczowali. Candamir domyślił się, że musiał tędy przejść potężny pożar mniej więcej dziesięć, piętnaście lat wcześniej. W gęstym poszyciu buszowały leśne zwierzęta, a w potoku, przy którym się w końcu zatrzymał, bóbr pracowicie budował żeremie.

Candamir zsiadł, pozwolił klaczy na popas i usiadł na brzegu, aby przyjrzeć się temu niezrównanemu mistrzowi ciesiołki.

- Masz nadzieję, że się nauczysz jeszcze czegoś od niego? - zagadnął jakiś łagodny, ale ostrożny głos za jego plecami. Candamir lekko się wzdygnął, ale się nie odwrócił.

- Nie mogę liczyć nawet na to, że kiedykolwiek będę, choć w połowie tak dobry jak on, nawet po stu latach budowania domów - odparł.

Wywołało to srebrzysty śmiech. Po czym na skraju pola jego widzenia pokazały się dwie białe stopy i rąbek wyblakłej czerwonej sukni.

- Cóż za przypadek, że się tutaj spotykamy, wasza królewska mość - zauważył nie bez drwiny.

- To nie przypadek - odparła. - Szłam za tobą. I nie nazywaj mnie tak. Już nie jestem królową.

W końcu odwrócił głowę i spojrzał na Siglind zmrużonymi oczami. Z okazji święta zaplotła jasne włosy w niezliczone cienkie warkoczyki, jak wtedy, gdy ją ujrzał po raz pierwszy w życiu. Na pokładzie „Sokoła” tamtej niesamowitej nocy przy Zimnych Wypach...

Kiedy odczytała wyraz jego twarzy, spuściła wzrok.

- Przepraszam. Nie chciałam ci przeszkadzać.

- Nie przeszkadzasz - skłamał. - Skoro już tu jesteś, to może przysiądziesz koło

mnie?

Nie dała się długo prosić. Usiadła w trawie oddalona o dobry łokieć od niego i śledziła misterną, a przy tym mistrzowską pracę bobra.

Candamir kątem oka przyglądał się jej stopom. Wydawały mu się drobne jak na tak wyrośniętą kobietę. Były też niezwykle czyste, zważywszy, że Siglind właściwie ciągle chodziła boso.

- Ominie cię święto - zauważyła bez wstępów.

- To nie jest zakazane.

- Nie. Ale niepodobne do ciebie.

Ze zmarszczonym czołem spojrział na nią.

- Skąd ty to możesz wiedzieć?

- Znam cię już od jakiegoś czasu. Niemal ćwierć roku - dodała trochę zdziwiona, jakby sama uświadomiła to sobie dopiero teraz.

„Przecież ja sam siebie już nie znam” - przeszło mu przez myśl. Splótł długie palce na podciągniętych kolanach i znów zapatrzył się na rzeczkę, której powierzchnia tu i ówdzie połyskiwała, gdy promień słońca przebijał się przez soczystą zieloność liściastego dachu.

- Mam nadzieję, że nie przysłaś za mną w to cudowne, spokojne miejsce, żeby mi robić wyrzuty. Bo gdybym chciał słuchać dobrych rad, zostałbym tam, gdzie jest mój Sakson, moja siostra i jej nowy małżonek, którzy ochoczo, nieproszeni, dzielą się ze mną swoją mądrością.

Siglind uśmiechnęła się, patrząc na jego prostacko skrzywioną minę, ale odrzekła z powagą:

- Nie, przysłałam cię prosić o przysługę.

- Naprawdę? - Odchylił się do tyłu i oparł na łokciach.

- To ciekawe.

- Jutro ma się odbyć thing, jak słyszałam - zaczęła.

Candamir przytaknął.

- Co roku nazajutrz po sobótkach zbiera się thing. Myślałem, że tak jest wszędzie.

- Możliwe. Prawdopodobnie na Zimnych Wyspach zwyczaj ten poszedł w zapomnienie, bo tam, gdzie król o wszystkim sam decyduje, takie zgromadzenia są

całkowicie zbędne.

- Rozumiem.

- Słyszałam również, że jutro na thingu ma być losowanie, w jakiej kolejności będą budowane domy.

- To prawda. Pierwszy dom dostanie kowal, żeby mógł uruchomić kuźnię i zaopatrzyć nas w narzędzia potrzebne do budowania, żniw i uprawiania nowych pól. Wszyscy pozostali będą losować.

- Brzmi to bardzo rozsądnie - uznała. - Kto będzie stawiał te domy?

- Berse i ja, a z nami około dwa tuziny niewolników. Sigurd będzie pomagał ojcu, a ja mam syna Haralda Godwina jako... Ucznia rzemiosła, jak sądzę. To powinno wystarczyć.

- Kto będzie krył dachy? - dopytywała się Siglind.

Candamir wzruszył ramionami.

- Tego będziemy musieli się nauczyć. Przy okazji może raz jeszcze wyjaśnisz mi to, co sama wiesz na ten temat.

- Wolałabym sama to robić.

- Co? - zapytał, bo nie zrozumiał. Z niechęcią zmarszczyła czoło.

- Kryć dachy. O tym przecież mówimy, nie?

- Ty?! - zaśmiał się osłupiały - Cóż za głupi pomysł!

- Ach tak? Jestem jedyną osobą, która ma doświadczenie w budowie trzciniowych dachów. Co zatem przemawia przeciwko?

- Jesteś kobietą i byłaś królową. To byłoby niestosowne - wyjaśnił cierpliwie.

- To, czym kiedyś byłam, jest bez znaczenia i tym się nie najem. Jestem kobietą, racja, ale jestem też samotna i dlatego potrzebuję domu jak każdy z was, Candamirze, tylko mniejszego. Również chciałabym mieć przed zimą dach nad głową. Potrzebuję też ziarna i innych zapasów. Jak mam na to wszystko zarobić, jeśli nie pracą? Dlaczego więc nie zajęciami, które mam opanowane lepiej niż ktokolwiek z was?

Zrozumiał, że jej propozycja nie jest tak całkiem niedorzeczna, mimo to pokręcił głową.

- Nikt nie będzie chciał pracować w polu, gdy ty będziesz kryła nasze dachy, Siglind. Będziemy głodować...



- Co? Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Mówię o tym, że lubieżne chłopcy będą się rojami pojawiać na budowie, żeby ci zajrzeć pod suknię, jak będziesz stała na drabinie.

Siglind spuściła oczy i zaczerwieniła się, trudno orzec, czy ze wstydu, czy złości.

- Istnieje dużo prostszy sposób, żebyś przed zimą miała dach nad głową, a zarazem nie musiała się wspinać po dachach, gdzie można skręcić kark, i żeby co noc w twojej skromnej chatce nie nachodził cię nikt opętany namiętnością...

- Lepiej nie mów dalej - ostrzegła cicho.

To właśnie ta groźna nuta w jej głosie nie pozwoliła mu jednak przestać.

- Wystarczy, że wyjdiesz za mnie.

Gwałtownie podniosła głowę, a złowrogie iskielki w jej oczach mogły wręcz budzić strach.

- Za takiego próżnego, zarozumiałego, prostackiego głupka jak ty? Równie dobrze mogłam zostać z Cnutem i oszczędzić sobie mnóstwa cierpienia i trudu!

Candamir w widoczny sposób przełknął ślinę.

- Zwykle „nie” też by wystarczyło - mruknął zgaszony.

Tak naprawdę nie liczył na to, że się zgodzi. Ale po raz pierwszy w jego życiu złożył kobiecie propozycję małżeństwa i taka odmowa bardzo go ubodła.

Spojrzała na jego spuszczoną ciemną czuprynę i nagle ogarnęły ją wyrzuty sumienia.

- Wybacz, Candamirze - poprosiła częściowo zniecierpliwiona, a częściowo skruszona. - Nie chciałam tego powiedzieć.

Podniósł dłoń w geście obronnym.

- Och, jakoś przeboleję - stwierdził z pozornie beztroskim skrzywieniem, choć wcale nie był tego pewien. - Prawdopodobnie masz rację. Jestem właśnie taki, jak to opisałaś.

Westchnęła głęboko. „Potrafisz też być zupełnie inny - pomyślała. - Niestety, niezbyt często, ale wiem, że potrafisz, bo sama widziałam”.

- Uraziłeś mnie swoimi prostackimi uwagami i dlatego chciałam się odgryźć. Ale wcale nie myślę tego, co mówiłam.

Popatrzył na nią, kręcąc głową.

- Najpierw uderzasz, a potem starasz się nałożyć na ranę balsam. To jest doprawdy typowe dla was, kobiet. Nigdy nie umiecie się zdecydować, czego właściwie chcecie.

- Nie, Candamirze. To tylko wam się tak wydaje, bo nigdy nie przyjmujecie do wiadomości, gdy wam wyraźnie mówimy, czego chcemy.

- Niech i tak będzie. Nie miałem zamiaru cię obrażać, a tylko powiedzieć ci prawdę. I ja miałem na myśli to, co mówiłem. Być może sformułowałem to niezręcznie, ale naprawdę chciałbym się z tobą ożenić - podnosząc dłoń, powstrzymał jej próbę przerwania. - Nie, nie mów tego. Znam twoją odpowiedź i nie pali mi się, żeby ją powtórnie usłyszeć. Chciałem jedynie to wyjaśnić.

- I mieć w tej sprawie ostatnie słowo... - zauważyła z wymuszonym uśmiechem.

- Tak, właśnie.

Wstał, na pozór spokojnie, tak naprawdę wydawało mu się jednak, że zaraz ogarnie go panika. Nie był w stanie już ani chwili znieść jej bliskości i widoku. Drżącymi palcami chwycił cugle klaczy, którą uwiązał do niskiego konara, i delikatnie pogłaskał ją po miękkich chrapach. Ona zaś równie delikatnie i czule chwyciła jego palec między wargi i pieściła przez chwilę.

- Przyjdź jutro na thing i sama przedstaw swoją propozycję - poradził Siglind, wsiadając na konia. - Ja cię poprę.

Oniemiała gapiała się za nim. Siedział na swoim koniu pięknie wyprostowany i bez wysiłku kierował nim kolanami, luźno tylko trzymając cugle w jednej dłoni. Cmoknął cicho i zarówno klacz, jak i źrebak zastrzygli uszami. Po czym zniknęli razem między drzewami. Ciemna czupryna Candamira, jego ubranie i ciemnobrązowa sierść koni szybko rozplynęły się w leśnych cieniach.

Gdy zaczynało zmierzchać, większość osadników była tak kompletnie pijana, że kiedy młoda para zaczęła się zbierać do odejścia, mało, kto był jeszcze w stanie wybełkotać jakiś sprośny żart.

Brygida dała Osmundowi i Indze znak, żeby szli za nią, po czym zaprowadziła ich prawie niezauważenie na brzeg rzeki przy ich szałasie. Tam czekała Asta, Britta i

kilka niewolnic, które zajęły się Ingą. Zaprowadziły ją na płyciznę, wykapały w rzece i na koniec ubrały w suknię, którą Brygida specjalnie w tym celu utkała i uszyła: była z surowej, niefarbowanej wełny, a zieloną i brązową nicią wyszyto na niej osobliwe znaki i runy.

Osmund nerwowo i niepewnie patrzył za kobietami, które zniknęły za wysoką przybrzeżną skałą. Nie podobało mu się, że Brygida kazała mu pozostać trzeźwym. Przede wszystkim chciał, żeby dała im już spokój i by mógł zostać wreszcie sam na sam ze swoją młodą żoną...

- Och, daruj sobie tę nieszczęśliwą minę - fuknęła stara. - Lepiej chodź tu i mi pomóż. Tym prędzej będziesz miał okazję zrobić to, co ci od rana chodzi po głowie.

- Mam nadzieję. Dość się już naczekałem - odparł bez najmniejszego skrępowania. Potem podszedł do niej w pobliże ognia. - Co mam robić?

- Masz - wetknęła mu w wielkie dłonie mózdzierz wypełniony w jednej trzeciej suszonymi płatkami kwiatów i korzeniami.

- Co to jest? - zapytał pełen wątpliwości.

- Tym się nie kłopotcz. Nie ty masz to wypić, lecz Inga.

- Która jest moją żoną. Więc? Co tu jest?

- To da jej wizję. I uczyni płodną.

- Uważasz, że w noc poślubną trzeba nam twoich magicznych napojów? - zapytał z niedowierzaniem, zbyt zdziwiony, żeby się naprawdę rozzłościć.

- Nie. Chodzi jednak o coś więcej niż o waszą noc poślubną, Osmundzie. Teraz rób, co ci mówię. Wierz mi, nie pożałujesz.

Uśluchał jej bez słowa, a kiedy zmieszała zawartość mózdzierza z kuflem miodu, napój się spienił i zasyczał. Brzmiało to jak trucizna. Osmund nie mógł powstrzymać drżenia i ze skruczą musiał stwierdzić, że odczuwa ulgę na myśl, że nie jest tym, który ma ten kufel opróżnić. Brygida wyszła z napojem na zewnątrz, wciąż mrucząc coś pod nosem, Osmund nie był jednak w stanie zrozumieć z tego nawet słowa. Szedł za nią, miotając się między zgrozą, ciekawością i zniecierpliwieniem.

Kobiety oczekiwały ich na brzegu. Zobaczywszy, jak nadchodzi, Inga nieśmiało uśmiechnęła się do swojego młodego małżonka. Następnie wzięła z rąk Brygidy kufel i wypila do dna, o nic nie pytając.

- Dobrze - mruknęła Brygida z zadowoleniem. - Teraz zawieź nas na wyspę na rzece, Osmundzie.

Osmund uprzejmie podziękował Aście i pozostałym kobietom, wziął małżonkę za rękę i przez chwilę przyglądał się dziwnemu odzieniu, które miała na sobie, po czym zaprowadził ją do wiosłowej łódki, zacumowanej u brzegu i mieszczącej akurat trzy osoby. Brygida przycupnęła na rufie, Inga przyklękła na dziobie. Osmund wziął się za wiosła.

Dawno już zapadła noc, ale wzeszedł księżyc niemal w pełni i zabarwił ciemność oraz wodę granatem.

Wyspa na rzece była porośnięta starymi liściastymi drzewami, długa, a kształtem przypominała prawie statek. Osmund nigdy wcześniej na niej nie był - zawsze budziła w nim niesamowite uczucie, jakby była miejscem zakazanym. Wiedział jednak, że kobiety często tam pływały i zarówno Brygida, jak Inga zdawały się dobrze znać to miejsce.

Gdy wyciągnął łódkę na przybrzeżną pływiznę, kobiety bez wahania przeszły między dwoma wysokimi bukami i pomaszerowały w las. W świetle księżycyca Osmund z trudem dostrzegał wydeptaną ścieżkę.

Stanowił straż tylną, a po kilku krokach usłyszał ciężki oddech Ingi. Niemal dyszała. Przyspieszył kroku i położył jej dłoń na ramieniu.

- Wszystko w porządku? - zapytał cicho.

- Nie rozmawiaj z nią - nakazała Brygida stłumionym głosem. - Ona jest teraz w objęciach Odyna. Jest jego wysłanniczką. Nie słyszy cię.

„W objęciach Odyna? W moją noc poślubną?” - chciał zapytać ze złością, ale się opanował. Czuł moce, które działały na tej wyspie, nawet, jeśli nie umiał ich nazwać. Napełniły go pokorą, a nawet przeraziły, ale w każdym razie spowodowały, że chętniej niż zwykle poddał się przewodnictwu Brygidy.

Nagle Inga, bez wyraźnego powodu, porzuciła ścieżkę i wbiegła między dwa krzewy leszczyny w gęstwinę. Osmund błagalnie spojrział na Brygidę, która dała mu znak, żeby podążył za żoną. Tym razem straż tylną objęła stara. Im bardziej zagłębiali się w knieję, tym drzewa robiły starsze i rzadziej rosły, księżycowa poświata, więc tu i ówdzie przenikała przez liściaste korony. Gęstwina została w tyle, a ziemię porastały sięgające kolan paprocie.

Było bardzo cicho. Osmund czujnie nasłuchiwał, ale nie było słyhać żadnych zwykłych dźwięków nocy, nie było też wiatru. Zrobiło mu się nieswojo, wzruszył ramionami i z zaciętą miną ruszył dalej.

W końcu Inga doprowadziła go do polany. Nie widział powodu, dla którego na obszarze mniej więcej trzydziestu kroków nie rośnie ani jedno drzewo, ale też szczególnie go to nie zdziwiło. Tutaj nic już go nie dziwiło. Również samotny biały kruk, który sfrunął z korony potężnego dębu i usadowił się u stóp Brygidy

Inga stanęła na środku polany, głowę odchyliła do tyłu, uniosła w górę rozłożone ręce i zaczęła powoli kręcić się wokół własnej osi. Oddech się jej uspokoił. Szczupła twarz błyszczała w świetle księżyca. Robiła wrażenie spokojnej, skupionej, a przy tym odprężonej. Jej cień padał dokładnie w kierunku Osmunda. Ten stał nieruchomo na skraju polany i jak zaczarowany obserwował żonę.

Inga opuściła ręce, spojrzała wielkimi oczami na Osmunda i zrobiła w jego kierunku trzy kroki. Już miał do niej wyciągnąć ręce, gdy nagle upadła na kolana.

- Idź do niej, Osmundzie - mruknęła Brygida. - Nie rób żadnych gwałtownych ruchów, nie wolno ci jej przestraszyć.

Powoli podszedł do Ingi i ukląkł przy niej w wysokiej trawie.

- Podaj jej swój sztylet - poleciła Brygida równie cicho jak przedtem.

Ze zmarszczonym czołem obejrzał się za siebie.

- Ale ona nie... - zaczął.

- Zrób to! - Był to szept, ale rozkazujący ton brzmiał w nim bardzo wyraźnie.

Osmund niepewnie wyjął zza pasa sztylet i podał Indze, na razie razem z pochwą. Wzięła go, jakby na to czekała, choć był przekonany, że w ogóle nie jest świadoma jego obecności, że widzi i słyszy zupełnie inne rzeczy. Było mu przykro, że jest tak odległa akurat tej nocy. W pewien nieokreślony sposób złościło go to - czuł się oszukany. Mimo to śledził każdy jej ruch, obawiając się, że może sobie ostrzem zrobić krzywdę.

Inga chwyciła sztylet w obie dłonie za rękojeść z kości wieloryba i wbiła go w pulchną ziemię, jakby to był szpadel. Odgarnęła wzruszony grunt i kopała dalej. Niewiele ziemi wydobywała, ale jej ruchy były systematyczne i płynne, po krótkiej chwili wykopała, więc dół wielkości wojennego szyszaka. Wtedy przestała, przysiadła na piętach i obejrzała swoje dzieło ze zmarszczonym czołem.

Po kilku chwilach dół zaczął się wypełniać wodą.

Osmund wydał stłumiony okrzyk zdumienia i szarpnął się do tyłu. Przeszedł go dreszcz i pojawiła mu się gęsia skórka na rękach i nogach, ale nawet tego nie poczuł.

Inga zaśmiała się uradowana. Niedbale odrzuciła sztylet i zanurzyła obie dłonie w wodzie.

- Odnalazłam je - powiedziała niezbyt głośno, a jednak słychać było w tym triumf. - Brygido, odnalazłam źródło Odyna!

- Dobra robota, moje dziecko - rzekła stara. Także w jej głosie wyraźnie było słychać zadowolenie. Brygida nie ruszała się, patrząc ponad ramionami młodej pary na źródło, którego mała sadzawka zdążyła się już wypełnić po brzegi. Woda, zmącona wzruszoną glebą, wylała z brzegów i popłynęła ku Brygidzie. Nie sposób było śledzić jej biegu, gdyż płynęła w trawie. Mimo to biały kruk uznał nagle, że dość już zobaczył, i odfrunął bezszelestnie, zaraz przed tym, jak Brygida poczuła wodę na gołych stopach.

- To jest to miejsce, Osmundzie - oznajmiła, jakby to nie było oczywiste. - Tutaj wzniesiecie świątynię.

Skinął głową bez słowa. Nie wydał z siebie żadnego dźwięku, wciąż mając wzrok przykuty do swojej żony.

Najwidoczniej całkowicie nieświadoma siebie, Inga chwyciła rąbek swojej osobliwej ślubnej sukni i ściągnęła przez głowę. Pod spodem nie miała nic. Jej jasna skóra błyszczała w świetle księżyca, a kiedy znów zanurzyła dłonie w sadzawce, aby spryskać sobie piersi i ramiona, błysk ten nabrał srebrzystego odcienia.

Osmunda jeszcze bardziej ścisnęło w gardle. Nigdy wcześniej nie widział nic równie poruszającego.

- Brygido - odezwał się cicho. - Gdy się to skończy, to... Możesz już sobie pójść.

Z cichym śmiechem pogłaskała go po jasnych jak pszenica włosach, odwróciła się i rzekła na pożegnanie:

- Powodzenia, mój chłopcze. Postaraj się o potomka, przyszłego króla Catanu.

„A co z Rorykiem?” - pomyślał przerażony, ale nie był w stanie skupić się na tej czy jakiegokolwiek innej myśli. Skinął tylko głową i przytulił żonę tak mocno, jakby miał zamiar ją ogrzać. Jej skóra była gładka i pachnąca. Gdy Brygida niepostrzeżenie się oddaliła, wracając do łódki, Inga uwolniła się od uścisku Osmunda, położyła się w trawie

i wyciągnęła do niego rękę.

Nazajutrz rano Osmund z podkrążonymi oczami zjawiał się na thingu. Krótco po wschodzie słońca Brygida popłynęła łódką z powrotem na wyspę - miała zadziwiająco wiele siły w pokrzywionych od starości rękach i wiosłowała bez widocznego wysiłku - przywiozła im posiłek, po czym wysłała Osmunda do osady, przyrzekłszy, że zostanie z Ingą. Panna młoda jeszcze spała, ale na jej ustach pojawił się uśmiech, gdy ją na pożegnanie delikatnie pocałował w skroń.

Wolał nie wiedzieć, czym Brygida napoiła Inge, i w pewien sposób żałował, że jego młoda żona była tak oszołomiona, że w najlepszym razie miała mętne pojęcie, z kim była, a zapewne dzisiaj przypomni sobie zaledwie jakieś strzępy. Musiał jednak przyznać, że napój miał też bezspornie swoje zalety. Tym razem nie było żadnej obawy, zawstydzenia i niezręczności, czyli wszystkich tych rzeczy, które z jego nocy poślubnej z Gislą uczyniły wydarzenie, do którego możliwie rzadko wracał myślami. Przeciwnie. Jego nowa żona była pewna siebie, śmiała i... Nienasycona. Do tego stopnia, że dziś rano z trudem utrzymywał się na nogach.

Nie tylko on. Większość osadników zbyt swawolnie świętowała przesilenie letnie, ale to oczywiście Osmund musiał znieść wiele uszczypliwych uwag. Z właściwą sobie cierpliwością puszczał wszystko mimo uszu, z niewzruszoną miną, żartownisie szybko, więc stracili zapal, a Olaf niebawem przywołał zgromadzenie do porządku.

Za najważniejszy punkt spotkania większość uważała losowanie kolejności stawiania domów i dlatego zajęto się tym najpierw. Długo szukano odpowiedniego sposobu. Dom Olafa był już właściwie gotowy, również Harald został wyłączony z losowania, ale wliczając chałupki dla Brygidy i Siglind, wciąż pozostawały do podziału dwa tuziny i dwa miejsca. Austin wyjaśnił Candamirowi, że używane przez niego dziwne runy są znakami przedstawiającymi liczby. Zaproponował, żeby wyryć na drewnkach lub kamkach takie runy liczbowe od jednego do dwudziestu sześciu i dać każdemu przywódcy klanu do wylosowania jedną z nich. Sposób ten wywołał jednak sprzeciw, gdyż jedynie Sakson mógł go nadzorować, a wielu mu nie ufało. W końcu skutnik znalazł sposób. Poszedł do lasu, znalazł suchą gałąź, odpowiednio dla jego celu długą i

cienką, po czym starannie przełamał ją na dwa tuziny i dwa kawałki.

- Te kawałki można poskładać z powrotem, ale ponieważ miejsce każdego złamania jest inne, istnieje tylko jedna właściwa kolejność - wyjaśnił zgromadzeniu i wskazał pękaty skórzany woreczek, który trzymał w ręku. - Wszystkie kawałki są tutaj. Każdy z was wyciągnie jeden. Pierwszy kawałek jest oznaczony młotem Thora. Kto go wyciągnie, pierwszy po kowalu otrzyma dom. Następnie ustalimy, kto wyciągnął kawałek pasujący do niego. I tak dalej. Czy ktoś ma pytania?

Oczywiście tym, który nie zrozumiał zasady losowania, był Haflad, przygłupi syn Brygidy. Niektórzy głośno stęknęli, gdy poprosił o dokładniejsze objaśnienie, ale Berse cierpliwie powtórzył cały sposób.

- To będzie trwało godzinami - mruknął opryskliwie Austin, który przycupnął z Astą i Siglind w trawie na skraju zgromadzenia. Mylił się jednak. W ciągu pół godziny ustalono kolejność. Berse i Candamir nauczyli się jej na pamięć, ale poradzili każdemu, aby zatrzymał swój kawałek do czasu otrzymania domu. Osmund stał w niewielkim cieniu nowo jesionu osady i wciąż z niedowierzaniem gapił się na obły kawałek drewna w swojej dłoni, na szorstkiej korze, którego widniał zarys młota Thora wykonany krwią wołu. Brygida podeszła do niego i przyjrzała mu się z rozbawieniem.

- Czego robisz taką głupią minę? Powinieneś się cieszyć. - Krzywym palcem stuknęła go w pierś. - Poczekaj tylko, miesiąc nie minie, a twoja żona będzie przy nadziei.

- Jak tak dalej pójdzie, to na pewno nie - wtrącił się stary Eilhard, który stał w pobliżu, i znowu wybuchły śmiechy.

Osmund uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Masz rację, i naprawdę się cieszę z mojego wylosowanego kawałka - odpowiedział Brygidzie. - Tylko, że to jest takie niezwykle. Ja nigdy nie miałem szczęścia.

- Widocznie twój los się odwrócił - rzuciła mimochodem i zwróciła się do kogoś, kto przyszedł do niej z jakimś pytaniem.

Te słowa wydały mu się jednak znaczące i już nie opuszczały jego umysłu.

Ponieważ Siglind także musiała ciągnąć los, wciąż stała z mężczyznami w wewnętrznym kręgu zgromadzenia. Wykorzystała okazję do przedstawienia swojej



propozycji, zanim straciłaby odwagę. Z wysoko podniesioną głową i najwidoczniej całkowicie przekonana o swojej niezbędności przedstawiała zgromadzonym, jak dobrym rozwiązaniem byłoby, gdyby zajęła się kryciem dachów trzcina. Równocześnie przylapywała tego czy innego, jak rozmarzonym wzrokiem patrzy na jej suknię, i uświadomiła sobie z rosnącą paniką, że wątpliwości Candamira nie były tak niedorzeczne, jak sądziła. Dzielnie mówiła jednak dalej.

Wydawało się, że to kobiety wydały głośniejsze pomruki niezadowolenia niż mężczyźni. Ale zanim wyraźnie wypowiedziano jakieś zastrzeżenia czy odmowę, Candamir, zgodnie z obietnicą, zabrał głos i poparł jej propozycję. Zakończył miażdżącym argumentem, że najsolidniejszy nawet dom jest nic nie wart, gdy deszcz wpada przez niewprawnie pokryty dach.

Niespodziewanie zmieniło się nastawienie obecnych. Nie tylko Harald i Osmund, lecz także Siward i Eilhard, jego synowie Thorbjorn i Haldir, a także wiele wpływowych osób opowiedziało się po jej stronie. Siglind uzyskała wyraźną większość.

Fakt, że Olaf głosował przeciw, osłodził Candamirowi to zwycięstwo, ale nie rozumiał nieoczekiwanego poparcia. „Nikt z twoich sąsiadów nigdy nie szanował cię bardziej niż dzisiaj” - powiedział mu Harald nad rzeką kilka dni wcześniej. To stwierdzenie nadal wydawało mu się niewiarygodne, wręcz śmieszne. Niemniej jednak mężczyźni słuchali go dzisiaj z większą niż kiedyś uwagą, inaczej na niego patrzyli.

Candamir, nie myśląc długo, postanowił wykorzystać sprzyjającą chwilę.

- Ustaliliśmy, że każde gospodarstwo przeznaczy do stawiania domów jednego niewolnika.

Wszyscy przytaknęli.

- Dla mnie każdy robotnik jest równie dobry, jeśli jest pracowity, i możecie nam przysłać tego, którego wam najmniej będzie brakować przy innych pracach. Chcę jednak do pomocy Turończyka. - Nagle spojrzenie jego szarych oczu skierowało się niby bez związku na Olafa.

Ten wyprostował się, demonstrując całą swoją imponującą posturę, i zmarszczył czoło.

- Turończyka? Wybij to sobie z głowy Sam go potrzebuję.

- Nalegam - odparł Candamir. - W swojej ojczyźnie był skutnikiem i jest

zręcznym cieślą. Bez niego jeszcze byś nie mieszkał w swoim nowym domu.

- Szkutnikiem? - Na chwilę zdumienie zastąpiło złość. - Skąd ty to możesz wiedzieć? Nie mógł ci tego powiedzieć.

- Można się porozumiewać także bez słów, wystarczy się trochę postarać, i...

- Czy to znaczy, że dałeś mu do ręki siekiere, chociaż zabroniłem? - Olaf spojrzał na swojego najstarszego syna. - Ty na to pozwoliłeś?

Jared wyraźnie zbladł, ale wytrzymał to spojrzenie i skinął głową.

- Byłoby marnotrawstwem nie wykorzystać jego zdolności. Ani razu nikomu siekiere nie zagroził.

- Pewnie dlatego, że ciebie nie było w pobliżu, Olafie.

- Candamir nie mógł się powstrzymać, żeby tego nie dodać. - Ale nieważne. Wykonał świetną robotę przy twoim domu i potrzebuję go tak samo przy innych.

Twarz Olafa wyrażała wściekłość. Naprawdę można się go było przestraszyć, gdy zmrużył oczy w te małe szparki, przez które i tak było widać zimne, błękitne iskierki.

- Nietrudno mi sobie wyobrazić, dlaczego chcesz ze mną tutaj publicznie zaczynać, Candamirze, ale obojętnie, ile razy byś tego nie powtarzał: mojego niewolnika nie dostaniesz!

- Twojego niewolnika? To on jest twój? - zapytał Candamir. - Jakim prawem żądasz go dla siebie? Po napadzie zeszłej jesieni thing postanowił, że ma zostać przy życiu i pomóc naprawiać szkody, które uczynili jego ludzie. Jakimże to sposobem on przypadł akurat tobie, skoro jesteś jedynym, który właściwie żadnych strat nie poniósł?

Niespodziewanie Olaf poczuł się zagoniony do kąta i nie od razu odpowiedział. W końcu odezwał się, ze zniecierpliwieniem wzruszając ramionami.

- Po prostu tak wyszło. Teraz zaś należy do mnie prawem zasiedzenia.

- Tak nie wyszło przypadkowo - sprzeciwił się ostro Candamir. - Pozostali, którym odebrano bliskich, których okaleczono, którzy stracili prawie całe bydło i zapasy, byli tylko zbyt skolowani, żeby zauważyć, co robisz. Ty zaś po prostu znowu wzięłeś sobie to, co chciałeś mieć, zupełnie bezprawnie. Samowolnie. Przecież właśnie tak lubisz robić, prawda?

Zapadła cisza. Nie było słyhać nic poza świerszczami w trawach i tajemniczą pieśnią rzeki.

- Candamir ma słuszość - oświadczył wreszcie Thorbjorn, najstarszy syn Eilharda. - Turończyk należy się społeczności, nie tobie, Olafie. Trzymałeś go bezprawnie i dlatego, moim zdaniem, nie można tu zastosować prawa zasiedzenia.

Wielu przytaknęło.

Olaf powoli rozejrzał się dokoła, przyglądając się kolejnym twarzom z pogardliwą miną. Nie był to człowiek, który kiedykolwiek sam siebie oszukiwał, doskonale więc wiedział, że właściwie nikt z sąsiadów nie darzy go osobiście szczególnym poważaniem. Nie przywiązywał zresztą do tego wagi. Często szli za nim - jak choćby na tę wyprawę - ponieważ miał duże doświadczenie, a jego rozum i zdolność oceny sytuacji przewyższały możliwości większości z nich. Ale zawiść, którą od zawsze budziło jego bogactwo, groziła stale przemianą we wrogość. W Elasundzie był wystarczająco potężny, aby się chronić. Musiał jednak uznać, że tutaj, gdzie najpóźniej po pierwszych dobrych żniwach każdy będzie bogatszy niż kiedykolwiek wcześniej, niespodziewanie jego władzy zagraża koniec.

- Dobrze - powiedział w końcu z uśmiechem, który nie wydawał się go kosztować większego wysiłku. - Weźcie go sobie. Ale nie przychodźcie potem do mnie z wyrzutami, kiedy go ogarnie ponury nastrój i roztrzaska czaszkę Candamirowi albo Berse. Pamiętajcie: ostrzegałem was.

Siward, Haflad i kilku innych pokiwało z zadowoleniem głową, Eilhard puścił zaś w obieg dzban miodu. Dla nich sprawa była załatwiona. Candamir jednak, stojąc dalej z założonymi rękami, rzekł:

- Jeszcze nie skończyłem.

Wszyscy zamilkli i patrzyli na niego w oczekiwaniu.

Poczuł, jak serce mu się tłucze i wilgotnieją dłonie. Nagle zrobił się strasznie zdenerwowany. Uzmysłował sobie, że Siglind miała jednak rację: jeżeli naprawdę chce coś zmienić, jeśli chce sprawić, żeby w tej lepszej, nowej ojczyźnie mieli również lepsze prawa, musi to zrobić szybko. Czemu więc nie teraz, kiedy ogólne nastawienie wydaje się mu sprzyjać?

- Równie samowolnie, jak sobie przywłaszczyłeś niewolnika, Olafie, odmówiłeś kowalowi zapłaty za miecz, a także niemal na śmierć zatłukłeś mojego brata.

- Ależ to śmieszne... - warknął Olaf.

- To prawda - odezwał się Harald bez cienia wrogości. - Gdyby Candamir nie przyjął na siebie połowy chłosty, Hacon z pewnością już by nie żył. Widziałem chłopca następnego dnia i nie miałem nadziei, że wyjdzie z tego. A nawet twoje owce nie są warte życia człowieka, Olafie. Jeśli chodzi o miecz, to został uszkodzony, zanim zapłaciłeś, ale przez ciebie, nie przeze mnie, a potem odmówiłeś zapłaty

- Skoro poczułeś się tak niesprawiedliwie potraktowany, to, czemu nie wyzwaleś mnie na pojedynek? - wybuchł Olaf.

- Nie miałeś już miecza - odparł z uśmiechem kowal i rozległy się śmiechy. Ale Harald natychmiast spoważniał.

- Sprawa nie była warta przelewu krwi. Podobnie jak twoje owce.

- Nie może tak dalej być, że człowiek ma do wyboru jedynie podporządkowanie się samowoli kogoś innego lub walkę z nim, ryzykując rozlew krwi - Candamir podjął znowu wątek. Podniósł dłoń jak do przysięgi. - Żaden głód, żadna wojna nie pochłonęła tylu ludzi i nie przyniosła tyle cierpienia, co bezsensowne porachunki, które toczymy między sobą i które ojciec synowi zostawia jako dziedzictwo...

- Ale takie jest prawo bogów - przerwała Brygida. - Jak śmiesz poddawać to wątpliwość?

Candamir podskoczył do niej.

- Prawo bogów, powiadasz, tak? Przecież ulżyło ci, kiedy oszczędziłem życie Haflada podczas święta Jul.

- Ulżyło mi - przyznała spokojnie. - Byłam jednak zaskoczona. Nie było to słuszne.

- Matko! - wykrzyknął Haflad, wyraźnie zgorszony i bardzo urażony takim brakiem bezwarunkowej matczynej miłości. - Byłem pijany, zrobiłem głupstwo...

- Ach tak? - wtrącił się Candamir, po części poruszony, po części rozbawiony tym zupełnie nieoczekiwanym wyznaniem.

- I miałbym za to oddać życie? - mówił dalej sprytnie smolarz do matki.

Wzruszyła chudymi ramionami.

- Skoro doprowadziłeś do pojedynku, to tak. Tak głosi prawo.

- Czy do ciebie nie dociera, co to za niedorzeczność? - zapytał Candamir. Wskazał na swoją siostrę. - Klan Nilsa i nasz krwawo mściły się na sobie z powodów,

których nawet nie znam. Żądza zemsty była jednak tak silna, że Asta dla mojego ojca i dla mnie po prostu umarła, kiedy wyszła za Nilsa. Gdyby jakiś Turończyk go nie zabił, przypuszczalnie ja bym to zrobił pewnego dnia. Potem porachunki te przeszłyby dalej na Fulca i Hacona, choć w ich żyłach płynie ta sama krew.

- Powinieneś się wstydzić, że tak słabo znasz dzieje swojego klanu - zrugła go Brygida. - Twój pradziadek ukradł pradziadkowi Nilsa statek, pożeglował nim w morze i ani jego, ani statku już nigdy w Elasund nie widziano. Klan Nilsa zemścił się i zabił brata twojego pradiadka. Słusznie! Była to poważna, obrzydliwa kradzież!

- Zgoda - przyznał Candamir. - Tylko, co z tą starą historią ma wspólnego Nils i ja?

- Krwawa zemsta jest prawem bogów - powtórzyła z uporem starucha.

- Dobrze. Przecież wcale nie miałem zamiaru proponować, żebyśmy to prawo znieśli - odparł Candamir. Było to kłamstwo. Wiedział jednak, że nie uda mu się przeprowadzić tak daleko idącego, niesłychanego projektu. Niewiele myśląc, postanowił, zatem urzeczywistniać swój cel stopniowo. - Chodzi mi jedynie o to, aby powstrzymać takie krwawe porachunki, z powodów, których bogowie mogą się tylko śmiać.

- Jak to sobie wyobrażasz? - zapytał z powątpiewaniem Siward.

- Bardzo prosto. Thing jest równie starą tradycją jak prawo krwawej zemsty, prawda? Od zawsze wolni mężczyźni; zbierają się, aby podejmować decyzje. Dlaczego tak jest?

„Dobry jest - pomyślał Austin, który z kobietami siedział w trawie przy zewnętrznym kręgu zgromadzenia i uważnie się przysłuchiwał. - Zapewne nie ma pojęcia, że istnieje coś takiego jak retoryka, ale instynktownie sprawnie się nią posługuje”. Sakson był bardzo dumny ze swojego młodego pana.

- Ponieważ decyzje są podejmowane zgodnie z wolą większości, a wówczas możliwie wielu ludzi jest zadowolonych - odpowiedział Siward na pytanie Candamira. - Dlatego też, że wiele głów jest mądrzejszych niż jedna.

- „Dlatego, że wiele głów jest mądrzejszych niż jedna” - powtórzył powoli Candamir, odczekał chwilę, po czym kontynuował, by nadać tym słowom większą wagę. - Dlatego powiadam: niech w przyszłości thing stanowi prawo. Niech nasza społeczna mądrość, przede wszystkim pochodząca od spokojnych rozumów, decyduje, co ma

nastąpić, kiedy ktoś kogoś okradnie, jest komuś winien zapłatę za pracę, czy z powodu karygodnego niedbalstwa odda owce wilkom na pożarcie. Postanówmy, że wyrok thingu będzie obowiązywał wszystkich. Tylko wtedy zaś, gdy ktoś z nas nie podporządkuje się takiemu wyrokowi, tylko wtedy przeciwnik lub poszkodowany może krwawo się mścić.

Przez chwilę panowała zupełna cisza, po czym wszyscy naraz zaczęli mówić. Mówili tak głośno i w takim podekscytowaniu, że powstał po prostu hałas. Pomysł był nowy i wielu było wstrząśniętych jego dziwacznością. Austin pomyślał, że gdyby byli nadal w Elasundzie, to nikt z tych ludzi nawet nie wysłuchałby propozycji do końca. Znajdowali się jednak w nowym, obcym świecie i przekroczyli stare granice. Dorośli. To dało mu nadzieję, gdy pomyślał o własnych planach.

Nastąpiła długa, chwilami gorąca debata. Olaf, Brygida i stary Eilhard stanowczo odrzucili propozycję Candamira. Poparli go Harald, Thorbjorn, a nawet Haflad. Postawiono wiele pytań praktycznych, na przykład takie, czy również kobiety i niewolnicy będą mogli składać skargi przed takim sądem albo być oskarżani, czy nie należałoby w związku z tym zwoływać zgromadzenia bardziej regularnie i w określonych terminach, oraz wiele innych.

Słońce stało wysoko, kiedy doszli do porozumienia. Propozycja Candamira przeszła niewielką większością głosów.

## **SIENNY KSIĘŻYC, rok pierwszy**

*Kobiety zabrały się za koszenie łąk na równinie po tej i po drugiej stronie rzeki. Chciały tak długo gromadzić siano, aż złączą się zbiory żyta, gdyż będziemy potrzebowali dużo paszy na zimę dla bydła. Na polach, które wyrwano lasom, zaczęła się orka, a równocześnie nadal niezmordowanie karczowano las. Gotowa jest już kuźnia i nowy dom Osmunda, a budowa domu dla Siwarda i jego młodej żony ma się ku końcowi.*

Austin przerwał pisanie i spojrzął ku niewielkiej grupie nowych zabudowań. Zapowiadała się piękna osada. Kuźnia, młyn, który wreszcie miał być postawiony, oraz domy wszystkich tych, którzy nie chcieli w przyszłości rezygnować z posiadania statków i pływania ku morzu, miały stać zaraz nad brzegiem, gdzie niegdyś był skraj lasu. Ci z osadników, którzy obawiali się powodzi i zalania dobytku, budowali się o strzał z łuku głębiej w łąd. Obejścia mogły leżeć dalej od siebie niż w Elсандzie, gdyż tutaj nie obawiano się wrogich napaści. Kilku najpiękniejszych drzew nie wycięto, niektórzy będą, więc mieli na swoim podwórzu zacieniony zakątek, dający kryjówkę przed słońcem, które tutaj świeciło częściej, niż do tego wszyscy przywykli. Kobiety zaczęły zakładać grządki z warzywami i ziołami. Austin podziwiał niezmordowaną pracowitość osadników, która z pewnością była miła Bogu. Był pełen nadziei. Znów zamoczył białe krucze pióro w drewnianej miseczce, w której rozrobił atrament.

*Co wieczór o zmierzchu mężczyźni idą do lasu zbierać miód. Pitny miód, który kobiety z niego robią, jest wyborny, wyborniejszy niż wszystko, czego kiedykolwiek próbowałem. Żyto żółto dojrzewa na polach, krzewy w lesie uginają się od dzikich jagód, a wszędzie spotyka się leśne zwierzęta. Chłopcy na przedgórzu nałapali kóz, których futro jest tak gęste i długie, że zwierzęta te z pewnością zastąpią nam brakujące owce.*

*Zaprawdę każda niedola ma swój koniec - chwała niech będzie Panu.*

- Te belki przy kalenicy kładź ciasniej, Candamirze! - zawołała Siglind w górę. Osłoniła oczy dłonią, ale i tak musiała je mrużyć przed letnim słońcem. - Bo tak nie będą się trzymać trzciny dachówki!

Spojrzał na nią w dół przez lewe ramię.

- Przestań ujadać, kobieto! - warknął. - Gdyby to robić po twojemu, to byśmy budowali szczelne dachy z samych tylko belek i listew.

Wzruszyła ramionami.

- Jeśli na głowy Siwarda i Britty będzie się lał deszcz, to im powiem, że byłeś zbyt leniwy, żeby zbudować porządną więźbę dachową! - odgryzła się.

Candamir westchnął i kiwnął do Godwina i Turończyka, którzy stali obok na drabinach.

- Słyszeliście, chłopcy, co każe jej królewska mość - powiedział. Uczynił to wystarczająco głośno, żeby musiała usłyszeć, bo wiedział, że nie znosi, jak ją tak nazywa.

Z dołu rzeczywiście dobiegło niezadowolone syknięcie, z którego zrozumiał tylko coś jakby „Drań!”. Śmiejąc się, wetknął młotek za pas i szybko zszedł z drabiny. Twarz i tors miał opalone na brąz i błyszczące od cienkiej warstewki potu.

- Najlepiej by było, gdybyś wróciła do ścinania trzciny - oświadczył. - Jutro rano możesz zacząć.

Siglind podała mu duży dzban miodu, który trzymała w dłoniach.

- Moja trzcina już dawno jest gotowa - odparła i wskazała równo związane i poukładane wiązki leżące na skraju placu budowy. Zdobyła już dosyć doświadczenia, aby wiedzieć, że ta ilość będzie wystarczająca.

W ugodowym nastroju przysiedli obok siebie w cieniu na stercie pachnącego drewna i na zmianę pili z dzbana. Candamir bez przerwy obserwował Siglind kątem oka. Jej skóra też była opalona - nie tak silnie jak jego, bo widocznie chroniła się od słońca, ale wystarczająco, żeby podkreślić błyszczący blond jej pysznych włosów i błękit oczu. Na jej bosych stopach, zwykle tak doskonale czystych, można było dostrzec tu i ówdzie



ślady nadbrzeżnego błota. Asta z Ingą, w podziękowaniu za dachy ich domów, uszyły jej parę butów i nową suknię, ale do pracy nie nosiła obuwia i wkładała na siebie to, co zostało ze starej sukni. Materiał zdążył już wyblaknąć do jednolitego różu i Siglind, ku powszechnemu zdziwieniu, przerobiła resztki sukni na parę spodni. Candamir uśmiechnął się ukradkiem na wspomnienie rozczarowanych min mężczyzn i wstrząśniętych twarzy kobiet, gdy Siglind po raz pierwszy pojawiła się na budowie ubrana w ten sposób. Brygida i kilka innych osób nazwało to niestosowną paradą, ale wcale tak nie było. Niestety, co zauważył nie tylko Candamir, to przedziwne ubranie nie zasłaniało więcej niż wcześniej suknia. Było podobne do szerokich strojów używanych, wśród których, przez murarzy, jak twierdził Olaf, jest czymś zwyczajnym, że kobiety noszą męskie ubrania, a mężczyźni - damskie.

Siglind nie zwracała uwagi na żadne protesty i przytyki. W swoim niezwykłym ubraniu roboczym mogła swobodnie i bezpiecznie poruszać się na drabinie i uznała, że tylko to się liczy

Z wnętrza domu dobiegały głucho uderzenia młotków o drewno. Berse, Sigurd i kilku niewolników objało jeszcze konstrukcję deskami i stawiało ściankę działową między główną izbą a sypialnią.

- Jutro więźba dachu będzie gotowa - przyrzekł Candamir. - Jeśli mi pokażesz, jak to się robi, to ja i kilku moich ludzi pomożemy ci przy kryciu dachu. Za dużo pracy dla ciebie jednej.

Nie sprzeciwiała się. Przy tylu pracownikach, doświadczeniu Berse i ogromnej pomysłowości Candamira stawianie domów szło szybciej, niż wcześniej wydawało jej się to możliwe. Sama nie dałaby rady z przycinaniem, wiązaniem i mocowaniem trzciniowych dachówek.

- Och, to nie jest takie trudne - wcisnęła mu do ręki dzban, wstała i przyniosła jedną z dachówek. - Zaczyna się u dołu przy okapie - wyjaśniła, siadając znowu przy nim.

- Co ty nie powiesz - rzucił sucho. - Wiesz, nie jestem aż tak ograniczony, jak sądzisz.

- Jak mi będziesz przerywał, zamiast słuchać, to niczego się nie nauczysz - fuknęła.

Oddał jej dzban i podniósł rękę.

- Przebacz mi jeszcze ten jeden raz...

- Dachówki przybija się do poprzecznych łąt. Bardzo ciasno obok siebie. Każdy kolejny rząd musi zachodzić na dwie trzecie poprzedniego, bo inaczej nie będzie szczelny. Kiedy się dojdzie do kalenicy, zaczyna się znów od okapu i naciąga się sznur za każdym rzędkiem, żeby dachówki wypchnąć trochę w górę. W ten sposób uzyskuje się ostateczną szczelność, ale także odpowiedni, jakby zmierzwiony wygląd, rozumiesz?

Przytaknął zafascynowany.

- W każdym razie, mam nadzieję, że się utrzymają - dodała Siglind z niepewnym, lekkim uśmiechem. - Właściwie odpowiedni czas na ścinanie trzciny jest zimą. Wtedy jest ona odpowiednio dojrzała. Ale nie możemy na to czekać.

- Nie. Jestem jednak pewien, że nie ma to znaczenia. Przecież najważniejsze, żeby trzciny porządnie wyschły i stwardniały przed jesienną szarugą, prawda?

Skinęła głową.

- Skoro mamy tak suche lato, to powinno się udać - za kończył z przekonaniem.

- Jeśli będziesz potrzebowała pomocy przy ścinaniu, daj mi znać. Przyślę ci Gundę.

- Lepiej dziś niż jutro - odparła szybko.

Rzucił jej podejrzliwe spojrzenie i burknął cicho:

- Niech zgadnę: sądzisz, że źle ją traktuję i że przydałaby się jej jakaś odmiana?

Candamir zabronił Gundzie opuszczać szalas bez wyraźnego pozwolenia, co doprowadziło do tego, że spędzała całe dnie z Nilsem w półmroku, gdy wszyscy inni coś pożytecznego robili na powietrzu.

Siglind pokręciła jednak przecząco głową.

- Nie, Candamirze. Nie mnie to osądzać. Nie uważam też, że traktujesz ją jakoś szczególnie źle. Przeciwnie. Byłam zaskoczona, że darowałeś jej życie. Rozumiem twoją postawę. Każdy mężczyzna będzie uważał ją za łatwą i nie możesz już jej ufać.

Wbił wzrok w ciemnobrunatną ziemię u swoich stóp.

- Tak właśnie jest - mruknął speszony. Nie było mu już jednak niezręcznie rozmawiać o tym z Siglind. Oswoili się ze sobą i nabrali dziwnej swobody. Od miesiąca pracowali razem przy stawianiu domów. Było to dla obojga coś nowego, wspaniała

przygoda, od pierwszego dnia dużo się razem śmiali. Nadal był w niej zakochany, niemal odruchowo szukał jej bliskości i cierpiał z tego powodu, że mu odmówiła, ale niezależnie od tego stali się przyjaciółmi.

- Przy tobie będzie jednak w pewnych rękach - dodał. - Nie mogę przecież wiecznie jej więzić, choćby ze względu na chłopca. Jemu potrzeba światła, słońca i żeby swoim maleńkim noskiem poczuł wiatr - zawsze łagodniał, gdy mówił o synu. Nils miał teraz ćwierć roku. Rozwijał się wspaniale i uśmiechał się, kiedy ojciec brał go na ręce.

- W takim razie załatwione. Bo naprawdę będę potrzebowała pary rąk - powiedziała Siglind niemal szorstko i podała mu dzban z miodem. Wziął go i na mgnienie oka dotknął jej dłoni.

Miała długie palce i szczupłe dłonie, ale szorstkie i spracowane jak jego. Przedłużył ten dotyk bardziej, niż było to konieczne, ukradkiem dotknął opuszek jej palców, aż w końcu zabrała ręce i położyła między kolanami, jakby chciała je ukryć.

- Przyjdź wieczorem i zjedz z nami - zaproponował jej jak zwykle.

Siglind chętnie by się zgodziła. Wiedziała, że Candamirowi trochę dokucza samotność. Tęsknił za Astą i Haconem, choć nadal był zły na brata. Także Osmund nie przychodził już tak często do przytulnego ognia przed szafasem przyjaciela, ponieważ Inga była zazdrosna i chciała mieć męża wyłącznie dla siebie. Ten znosił jej roszczenia z łagodnym uśmiechem, przynajmniej na razie. Osmund był wyraźnie oddany swojej młodej żonie i powszechnie szeptano i żartowano na temat tego, ile też czasu spędzą za zamkniętymi drzwiami swojego nowego domu.

Po krótkim wahaniu Siglind pokręciła jednak przecząco głową.

- Nie, dziś nie.

Candamir odwrócił wzrok i skinął głową, niezbyt zaskoczony, a mimo to rozczarowany. Nie pytał ją o powody. Wiedział, że unika sytuacji, które groziły tym, że zostanie z nim sama, choćby nawet na kilka chwil. Było jej przykro, że widzi jego smutek. Najchętniej wzięłaby go za rękę i wszystko mu wyjaśniła. Wiedziała jednak, że jej nie wolno.

- Cóż... - Candamir wstał. - Biorę się za robotę. Dzięki za miód.

Zręcznie i żywo jak kot wspiał się na drabinę, ale gdy był już w połowie wysokości, komuś na górze więźby wyslizgnęła się jedna z wąskich belek - zwana

krokwia wiszącą - poleciała w dół i uderzyła Candamira w bark. Ten nie zauważył, co się dzieje, stracił równowagę i boleśnie upadł na ziemię.

- Candamirze! - krzyknęli ze zgrozą Siglind i Godwin, syn Haralda. Siglind podbiegła do niego, a Godwin i młody Turończyk pospiesznie zeszli z więzby. Candamir już jednak usiadł, rozcierał dłonią lewą kostkę u nogi i uspokajająco machnął ręką.

- Nic się nie stało. Tak przypuszczam.

Niezgrabnie wstał na nogi i skrzywił się, gdy przeniósł swój ciężar na skręconą stopę. Następnie z niezadowoleniem pokręcił głową nad swoim uczniem i niemym niewolnikiem.

- Wciąż coś zrzucacie z dachu. To cud, że już dawno kogoś nie zabiliście. Kiedy się nauczycie trochę uważać?

- Przykro mi, Candamirze - powiedział cicho zmieszany Godwin, choć w tym przypadku był bez winy. Turończyk stał nieco dalej. Wzrok miał spuszczone, ale było widać, że jego szczęki skamieniały. Nie ruszał się, ale drżał i po torsie spływał mu pot, w żadnym razie nie spowodowany upałem. Człowiek ten był chory ze strachu.

- Weź się w garść - burknął ze złością Candamir. - Nie zamierzam ci przecież wyrwać serca.

Turończyk rzucił mu błyskawiczne, spłoszone spojrzenie i głośno przełknął ślinę.

Candamir przegonił go machnięciem ręki i z niesmakiem się odwrócił. Trzymając w dłoni krokiew, która spadła, znowu wszedł na drabinę.

Za jego szorstkością kryła się jednak troska i współczucie. Długo się bronił, zanim przyznał sam przed sobą, że bardzo lubi tego młodego skutnika, mimo że był Turończykiem i sprowadził na jego lud wielkie cierpienie. Ale to było dawno, a pracując z nim dzień w dzień, nie można było go nie doceniać - był nie tylko świetnym cieślą, ale także przemiłym człowiekiem. Candamir złapał się na tym, że żałuje tego, że Turończyk jest niemy, bo chętnie dowiedziałby się, jak to możliwe, że tak młody człowiek jest tak doświadczonym rzemieślnikiem, jak żyją ludzie w Turonii i jeszcze wielu innych rzeczy. Przypomniawszy sobie też, jak nazajutrz po napadzie jeniec dzielnie patrzył w oczy śmierci i jak przyjął pozbawienie go języka. Nic jednak z tamtej odwagi nie pozostało. Nietrudno było odgadnąć, co uczyniło z niego takiego nerwowego tchórza - plecy, ramiona i tors Turończyka były pokryte bliznami bezlitosnego pejczy Olafa. Ponieważ Candamir sam

już doświadczył, jak może zniszczyć człowieka ból i cielesne poniżenie, nie mógł się nie zastanawiać, czy on sam z czasem nie dałby się tym sposobem złamać. Była to niepokojąca myśl.

- Nie wiem, co robić, Austinie - zwierzyła się Siglind swojemu powiernikowi i nauczycielowi.

Wypatrzyła go późnym popołudniem w zagrodzie przy szałasie Candamira i pomogła mu doić krowy i kozy. Candamir miał już pół tuzina jednych i drugich, było więc co robić. Sakson był wdzięczny za pomoc, zwłaszcza, że zwierzęta były dziś wyjątkowo niespokojne i cały czas włożyły na zmianę to w cebrzyk z mlekiem, to na niego samego. Dojarze przysiedli na niskich zydelkach i rozmawiali między krowami brzuchami i nabrzmiętymi wymionami. Ich poufnej rozmowie towarzyszyło równomierne strzykanie mlecznych strumieni do wiader.

- Musisz się modlić - odparł. - To całkiem naturalne, że naszyły cię wątpliwości, co do słuszności twojej drogi. Wszystkim nam się to zdarza.

- Modlić się? - zapytała trochę niepewnie. Nie na taką odpowiedź liczyła.

Mnich przytaknął.

- Czy sama mi nie mówiłaś, ile pociechy odnalazałaś w modlitwie, kiedy drżeliśmy o życie Hacona?

- Tak - przyznała. - Ale to było, co innego. Hacona tylko Bóg mógł ocalić i tylko możliwość błagania Go o ratunek dała mi poczucie mniejszej bezradności. To zaś właściwie nie ma nic wspólnego z Bogiem.

- Nie powinnaś tak mówić - niezwykle surowo przywołał ją do porządku. - Postanowiłaś poświęcić mu swoje życie. Zatem od tamtej pory wszystko, co robisz, ma z Nim związek. Jesteś bliska zdradzenia Go.

- To nieprawda!

- To jest prawda - odparł mnich, tym razem łagodnie. - My wszyscy, którzy wybraliśmy Boga jako drogę życia, od czasu do czasu mamy taką pokusę. Bóg wodzi nas na pokuszenie, aby nas sprawdzić. Albo szatan, żeby nas zdobyć dla siebie. Bywa rozmaicie. Tak czy inaczej: zanurz się w modlitwie. Pość. Otwórz się na Boga. Wtedy

pokusa minie, wierz mi.

Słuchała go z czołem zmarszczonym troską.

- Nie jestem pewna, czy tego chcę - przyznała otwarcie.

Austin ukradkiem westchnął.

- Nie jesteś? - rzekł współczująco. - Jak mogłabyś być pewna? Jesteś jeszcze bardzo młoda, a poza tym jesteś kobietą. Przypomnij sobie jednak, co ci mówiłem o źródle grzechu i kobietach. Tylko wyrzekając się tego, możesz prawdziwie należeć do Boga.

Siglind przez dłuższą chwilę doła w milczeniu, w niewypowiedzianym buncie, jak podejrzewał.

- Czy nigdy nie miałaś chęci wziąć sobie żony? - zapytała w końcu.

- To nie ma nic do rzeczy - odparł.

- Mimo to chciałabym wiedzieć.

- Nie chciałem.

- Nie? Nigdy nie spotkałaś takiej, która wydała ci się inna niż wszystkie? Którą chciałaś mieć w całości dla siebie? Z którą chciałaś spłodzić dzieci?

Mnich zaczerwienił się na samą myśl o czymś takim i zdecydowanie pokręcił głową. Jedyne kobiety, jakie poznał, to matka, dwie siostry i służące na podwórzu ojca. Do klasztoru poszedł, gdy miał dwanaście lat. Tam był bezpieczny od wszelkich cielesnych popędów i pokus. Kiedy ponad dziesięć lat później wyprawił się za morze i przybył do Elasundu, gdzie ponownie spotkał kobiety, stwierdził z ulgą, że nie mogą mu już zaszkodzić. Były inne rzeczy, którymi Bóg go od czasu do czasu sprawdzał lub, których przeciwieństwo mogło go sprowadzić na manowce - Austin wiedział, że jego największą słabością jest pycha.

- Oczywiście, żał mi czasem, że nie mam rodziny - przyznał, gdyż od czasu, gdy porzucił wspólnotę braci w klasztorze, czuł się jednak czasem bardzo samotny. - Ale jest to niewielka cena za przywilej prowadzenia życia w harmonii z Bogiem. Bycia bardzo blisko Niego.

- Tak - zgodziła się ochoczo. - Jestem pewna, że jest to warte chyba każdej ceny. Ale jeśli Bóg mnie chce, czemu dopuszcza, żeby się tak działo? Chodzi mi o to... Zapewne nie jesteś w stanie sobie tego wyobrazić, skoro nigdy ci się to nie przydarzyło.

Ale kiedy obudziłam się dziś rano, była to pierwsza rzecz, o której pomyślałam, a potem... Rozradowało się moje serce. Tłukło się i dziko skakało do gardła. Nigdy nie podejrzewałam, że można coś takiego odczuwać. To było takie... Silne.

- To jest pokusa cielesna - rzucił ostrzegawczo.

- Sądzisz, że chodzi tylko o to, żeby z nim spać? - zapytała zdziwiona. - Nie. Nie, to nie to. W każdym razie nie tylko to. - Wstała, przelała zawartość cebrzyka do dużego wiadra stojącego w cieniu lipy, po czym podeszła do następnej krowy.

- Nie zajdziesz daleko, jeśli będziesz sama siebie okłamywać - powiedział mnich ostrożnie.

Siglind pokręciła jednak głową.

- Wiem. Ale jest tak, jak mówię. To jest uczucie, które znam. Jest to coś, co nazywasz chyba pożądaniem. Zaznałam czegoś takiego czasem także z Cnutem. Kiedy go długo nie było, a potem wracał w dobrym nastroju i bez złości. Czasem tak bywało. Wiesz, Cnut miał dobre dni... - Zastanowiła się i tak się zagłębiła w swoich wspomnieniach, że nawet nie zauważyła, jak bardzo jej otwartość zawstydziała Saksona. - Nie - orzekła stanowczo. - Z Candamirem jest jakoś inaczej. Sakson wzruszył ramionami.

- Cóż, jakkolwiek by nie było, musisz go sobie wybić z głowy, ponieważ jesteś kobietą zamężną. Bóg brzydzi się cudzołóstwem. Jedyna droga, jaka ci pozostaje, to ta, którą zechciałaś wybrać kilka tygodni temu: musisz się wyrzec świata i zostać oblubienicą Chrystusa.

- Nadal nie do końca rozumiem, jak to ma wyglądać.

- Jest to droga długa i kamienista - przyznał Austin. - Musisz nauczyć się czytać i zgłębiać Słowo Boże. A kiedy już to sobie dobrze przyswoisz, wtedy złożysz śluby.

- Co się stanie, gdybym te śluby złamała? - zapytała poważnie.

- Wtedy Bóg pokaże ci się ze swojej bezlitosnej strony Spotka cię wieczne potępienie. Wieczne piekło, gdzie płacz i zgrzytanie zębów.

- Ale... Dlaczego jest aż tak zazdrosny? - zapytała. Jej głos nie był już tak buntowniczy. - To, co czuję do Candamira, nie ma przecież nic wspólnego z Bogiem. Jedno drugiego nie wyklucza. Dlaczego On żąda mnie całej?

- Nie wiem, dlaczego. Nie nam kwestionować jego przykazania. Od początku ci mówiłem, że żąda ceny za zbawienie twojej duszy

Siglind zwiesiła głowę.

- Nie sądziłam, że kiedykolwiek znajdę na tym świecie coś, czego zapragnę. Dlatego wydawało mi się łatwe wyrzec się tego. Ale teraz nie jestem już pewna, czy zdołam.

Austin miał wiele zrozumienia i współczucia dla słabości i niedoskonałości ludzkich. Nie było mu łatwo reprezentować bożą nieugiętość, ale wiedział, że zbawienie Siglind zostało zagrożone i tylko on może jej pomóc, bo to on ją namówił do wstąpienia na tę krętą ścieżkę. Po krótkim wahaniu wstał z zydelka i błogosławiącym gestem położył jej dłoń na głowie.

- Zdołasz, wierz mi - mruknął. - Jesteś silniejsza, niż ci się wydaje. Jeśli będziesz się modlić, Bóg da ci siłę, której teraz być może ci brak.

Nie był to szczęśliwy zbieg okoliczności, że Candamir akurat właśnie w tej chwili wszedł do zagrody. Oczywiście opacznie zrozumiał widok, który mu się przedstawił, a szybkość, z jaką Sakson cofnął rękę, wydawała się potwierdzać jego podejrzenia. Rzucił parobkowi spojrzenie, które doprawdy mogło zmrozić krew w żyłach.

Siglind spojrzała w górę, kiedy pocieszająca dłoń tak nagle zniknęła, i wydawała się zaskoczona, ale bez poczucia winy z tego powodu, że Candamir ich odkrył.

- Już koniec na dzisiaj? - zapytała zdziwiona i przetarła oczy wierzchem dłoni.

Uwadze Candamira w żadnym razie nie uszły podejrzone błyski w jej oczach. Cóż mogło doprowadzić ją do łez? Pomyślał, że zapewne rzuciła się Saksonowi na szyję, ale ten ją odrzucił, bo jeszcze mu życie miłe, nie umiał się jednak powstrzymać, żeby jej, choć raz nie dotknąć... Candamirowi nie było łatwo utrzymać na wodzy swoją wściekłą zazdrość i z trudem powstrzymał się od skręcenia karku mnichowi zaraz, na miejscu.

- Tak jak mówisz. Więźba dachu jest gotowa. Teraz twoja kolej - wskazał na wiadro w cieniu. - Pełne? To zabiorę.

Austin zszedł na bok, żeby zrobić mu przejście, i położył rękę na boku pięknej, czerwonobrazowej krowie, która jako ostatnia była dojona.

- Tak, prawie. Tylko jeszcze... - urwał, ponieważ krowa nagle zaczęła ryczeć i komicznie podskakiwać, przy czym nadepnęła mu na nogę, a następnie wybiegła.

Candamir schylił się po wiadro, zanim jednak zdążył położyć dłoń na skórzanym pałąku, naczynie się przewróciło, jakby popchnięte przez niewidzialnego trolla. W tym



samym momencie Candamir usłyszał ryczenie krów i ziemia pod stopami zachwiała się jak na morzu. Natychmiast uświadomił sobie, co to może oznaczać i nie myśląc wiele, skoczył w kierunku Siglind, w dwóch krokach dotarł do niej, pociągnął ją na ziemię i rzucił się na nią, a krowy i kozy w tym czasie biegały w kółko jak oszalałe. Candamir ochronił głowę rękami, zaryzykował jednak spojrzenie w bok i zdumiony zobaczył, jak oswojony, młody byczek wziął szalas na rogi i błyskawicznie zburzył, tuż po tym, jak Gunda z Nilsem wybiegła przez drzwi i z krzykiem rzuciła się na ziemię.

Głuchy, bębniący łoskot, który zdawał się wydobywać z samych trzewi ziemi, zagłuszył jej krzyk, a także pęknięcie ścian plecionych z gałęzi oraz nielicznych sprzętów we wnętrzu tego skromnego obejścia. Własne dzieło zniszczenia zdawało się jeszcze podsycać panikę byka: galopem zawrócił, silnie kopnął Candamira w bok i pognął w kierunku rzeki. Wszystko to trwało może pół minuty. Potem ziemia ucichła i zrobiła się znów spokojna.

Siglind szarpnęła się i odepchnęła ostry łokieć Candamira.

- Może byś mnie łaskawie wypuścił? Co to ma znaczyć? Myślałeś, że niebo spadnie mi na głowę? - zapytała z przekąsem.

Powoli wstał i uwolnił ją.

- Wybacz, wasza wysokość - odparł nie mniej zaczepnie. - Chciałem cię ochronić przed stratowaniem.

- Udało ci się. W tym celu swoim ogromnym ciężarem połamałeś mi zebra, a do tego rozerwałeś mi ubranie - oskarżycielsko wskazała na przetartą suknię.

Candamir cmoknął.

- Żal królewskiej szaty...

Usiedli w trawie i mierzyli się przez chwilę ponurym wzrokiem. W końcu Candamir wstał i podszedł do swojej niewolnicy, która leżała na ziemi nieruchomo jak porażona, z dzieckiem przyciśniętym do łona. Nils zaczął wrzeszczeć. Candamir chwycił Gundę za rękę i niezbyt delikatnie postawił na nogi.

- No już, weź się w garść. To minęło i ani tobie, ani Nilsowi nic się nie stało - jego głos nie brzmiał tak szorstko jak zwykle, był niemal łagodny.

Zdumiona Gunda podniosła głowę.

- Racja, panie - mruknęła. - Dziękuję, już dobrze. - Delikatnie położyła Nilsa na

plecach i pocałowała go w głowę, na której zdążyła się już pojawić gęsta, czarna, kręcona czupryna.

Candamir puścił ją i rozejrzał się za Saksonem. Również Austin padł na ziemię, kiedy ziemia się zatrzęsała i bydło wpadło w szal. Teraz powoli wstał i się przeżegnał.

- Do licha, dzielny Austin jest cały blady - zadrwił Candamir.

Mnich niemrawo skinął głową.

- Wierzę, panie. Kolana mam miękkie.

„To tak jak ja” - pomyślał szybko Candamir, ale nie miał zamiaru się do tego przyznawać.

- Cóż, jak przestaniesz się trząść, idź szukać bydła.

- Oczywiście, panie. Przeżyłeś kiedyś takie trzęsienie ziemi?

Candamir przez chwilę się zastanawiał.

- W lecie przed śmiercią mojej matki ziemia w Elasundzie raz się zatrzęsała. Nie wiem, czy było to tak silne, jak dzisiaj. Mnie w każdym razie trzęsienie wydawało się wtedy potężne i miałem wrażenie, że trwa całą wieczność. Ojciec mnie jednak wyśmiał i powiedział, że trwało nie dłużej, niż spragnionemu zajmuje opróżnienie dzbanka piwa.

Podniosła się także Siglind i strzepywała żdźbła trawy ze swojego sfatygowanego ubrania.

- Mam tylko nadzieję, że nowe domy nie wyglądają tak, jak twój szalas...

- Chcesz mnie obrazić? - zapytał Candamir ze złością.

- Nie, tylko...

- Candamirze! U was wszystko w porządku? Och, przepotężny Thorze, szalas... - zdyszany Hacon, który właśnie nadbiegł, stanął jak wryty.

Jego brat z westchnieniem wzruszył ramionami.

- To zrobił byk. Ale nikogo nie było w środku. Wszyscy zdrowi. A u was?

Młody kiwnął głową.

- Też - skrępowany patrzył w trawę. W ciągu tych ty godni, kiedy jako uczeń mieszkał z Haraldem i Astą, rzadko widywał brata, świadomie schodząc mu z drogi. Gdy jednak od czasu do czasu trafiali na siebie, nigdy nie wiedział, co ma powiedzieć czy zrobić. Podejrzewał, że Candamir doskonale widzi jego skrępowanie i ma z tego złośliwą satysfakcję.

Również teraz starszy brat zmierzył go chłodnym spojrzeniem i odwrócił się, jakby mu się nie podobało to, co ujrzał.

- Pójdę zobaczyć, czy ktoś nie potrzebuje pomocy.

- Pójdę z tobą - odezwała się Siglind.

- Ja też - zaproponował Hacon, dużo mniej pewny siebie. Candamir niecierpliwie wzruszył ramionami, nie odwrócił się do nich, a przechodząc, popchnął Saksona.

- Ty nadal tu jesteś! Przeprowadź bydło, powiedziałem!

Sakson opuścił zagrodę, ale bez zbędnego pośpiechu.

Trzęsienie ziemi wywołało zamieszanie wśród osadników. Ponieważ wielu było akurat w trakcie dojenia, oszalałe krowy i kozy poraniły kilku służących i niewolników, ale nikt nie poniósł poważnych szkód. Poza szałasem Candamira jeszcze cztery inne zostały stratowane albo po prostu się zawaliły. Nowe domy, jak stwierdził z zadowoleniem, pozostały jednak nietknięte. Kuźnia wyglądała za to jak pobojuwisko: narzędzia pospadały ze ścian, a zawartość worka z kawałkami rudy i jeszcze jednego z węglem drzewnym rozsypała się po klepisku. Hacon i Siglind zostali w kuźni, żeby pomóc przy usuwaniu tego bałaganu, a Candamir sam ruszył ku nowemu domowi Osmunda.

Chata Osmunda była przestronna, a złote światło późnego popołudnia oświetlało przez okno zachodnią ścianę. Na prawo od okna stał kołowrotek Ingi, barwne makatki na ścianach świadczyły zaś o jej niestrudzonej pracowitości. Podobnie jak Olaf i Harald, również Osmund zrezygnował z paleniska, a w środku izby stał stół - prezent od Candamira, który był dla jego przyjaciela dużą niespodzianką, gdy ten się wprowadzał. Największe wrażenie robiło jednak wspiane krzesło rodowe, które nie tylko przetrwało zatonięcie „Sokoła”, ale przede wszystkim ocaliło życie małemu Rorykowi.

Ojciec i syn uśmiechnęli się, gdy w drzwiach pojawił się gość.

- Wejdz, Candamirze - zachęcił go Osmund. - Mam nadzieję, że również wy uniknęliście tragedii?

Był właśnie w trakcie zgarniania odłamków glinianych talerzy, które zapewne potłukły się podczas trzęsienia ziemi. Candamir przekroczył próg i skinął głową Indze.

Odpowiedziała równie niemym pozdrowieniem, bez cienia uśmiechu.

- Wszyscy wyszli bez szwanku. Tylko nie ma już mojego szałas - odparł Candamir przyjacielowi. - Ale to niewielka strata.

Bez zaproszenia przysiadł na ławie po gościnnej stronie stołu i wziął na kolana Roryka, który zbliżył się do niego niepewnymi krokami.

- Do licha, Roryku, jakim ty już jesteś dużym chłopcem.

Osmund niedbale położył odłamki na ziemi obok pieca i usiadł naprzeciw.

- Przenieś się ze swoim gospodarstwem do mnie, aż twój dom będzie gotowy.

Powiedział to tak, jakby rzecz była zupełnie oczywista, i jeszcze dwa miesiące temu sam Candamir uznałby to za najprostsze rozwiązanie, ale zmarszczone czoło Ingi ostrzegło go, że sprawy się zmieniły.

- Dziękuję, Osmundzie - odparł z uśmiechem, który był bardziej bez troski niż jego samopoczucie - ale Harald już nas zaprosił. Jest teraz moim szwagrem i chyba by go uraziło, gdybyśmy nie przenieśli się do niego.

- Tak - przytaknął Osmund. - Zabawne, ale wciąż o tym zapominam. - Nagle zwrócił się do Ingi: - Gdzie miód, kobieto?

Jego słowa zabrzmiały łagodnie, ale Candamir wyraźnie wyczuwał, że coś wisi w powietrzu. Chciał wstać.

- Dzięki, Osmundzie, ale to naprawdę nie jest...

- Siedz - zaprotestował przyjaciel. - Nalegam.

Candamir opadł z powrotem na ławę, a Inga przyniosła każdemu spory dzban świeżego miodu. Unikając spojrzenia Candamira, mimo głośnych sprzeciwów chłopczyka, zabrała Roryka i zaniósła do sypialni.

- Cicho, mały wojowniku, czas na słodkie sny... - słyszeli jej szept, zanim zamknęły się drzwi.

Nigdzie nie było widać niewolników Osmunda ani Cudrun, mamki. Candamir z zadowoleniem stwierdził, że są sami, i trochę się zdziwił, że w tej sytuacji mu ulżyło.

- Twoja żona nie ma ochoty ze mną rozmawiać - zauważył.

Osmund machnął ręką.

- Jest w ciąży. Gisla też w pierwszych tygodniach była nieznośna. Najlepiej nie zwracać na nią uwagi, to jej przejdzie.

- Szybko poszło, Osmundzie - pochwalił Candamir z lubieżnym wyrazem twarzy.

Jak zawsze humor Candamira był dla Osmunda zaraźliwy Naprawdę był dumny z tego, że jego żona już po sześciu tygodniach jest przy nadziei. Rozparł się w swoim wygodnym rodowym krześle i długo jeszcze gawędzili jak za dawnych czasów. Rozmawiali o zbiorach żyta, orce i postępach przy budowie domów. Snuli plany.

- Wniesiesz na najbliższym thingu oskarżenie przeciwko mojemu stryjowi, żeby ci dał ziarno pod siew, które jest ci winien? - zapytał w pewnej chwili Osmund.

Candamir wzruszył ramionami i zamyślony obracał w dłoniach kufel.

- Jeszcze nie wiem. Właściwie powinienem, prawda? Ale też mógłbym z tego wielkodusznie zrezygnować, dla świętego spokoju, skoro wynagrodzenie za stawianie domów przyniosło mi wystarczająco dużo ziarna.

- Hm... - mruknął Osmund. - Tak ugodowego jeszcze cię nie widziałem. Czy nie po to głównie wprowadzałeś te swoje niesłychane prawa, żeby powstrzymać samowolę takich ludzi jak Olaf?

Candamir podniósł wzrok.

- Tak. Ale ty głosowałeś przeciw, wiem to. Dlaczego? Z powodu lojalności wobec stryja?

Osmund ze zdziwieniem uniół brwi.

- Jak wiesz, moja lojalność wobec stryja ostatnia osłabła - zaśmiał się. - Jak twierdzi Olaf, w sposób godny ubolewania.

- Więc? Dlaczego? - zapytał Candamir...

Osmund nie odpowiedział od razu. W zadumie wodził palcem po wzorach i runach wyrzeźbionych na oparciu krzesła.

- Ponieważ mam głęboki szacunek dla tradycji. Prawdopodobnie zbyt głęboki, całkiem możliwe. W każdym razie dla ciebie tradycja ma zdecydowanie zbyt małe znaczenie.

Candamir się nie rozzłościł.

- Kto wie... - Pociągnął z kufła głęboki łyk. - Ale po prostu uważam za niedorzeczne trzymanie się tych tradycji, których jedyną wartością jest to, że istnieją od dawna.

- Prawo krwawej zemsty nie jest tak złe, jak sądzisz. Właśnie, dlatego, że krwawe

porachunki zawsze dotyczą niewinnych, odstręczają niejednego człowieka od uczynienia niesprawiedliwości, skoro wie, że czyn, który go kusi, może kosztować życie jego synów i wnuków.

- Tak, Osmundzie, brzmi to bardzo rozsądnie - odparł żywo Candamir. - Tylko, że to tak nie działa. Przypomnij sobie Haflada podczas zeszłego święta Jul. Był zbyt pijany, żeby rozważać konsekwencje, a przecież tak właśnie najczęściej dochodzi do konfliktów tego typu.

- Niebezpieczne jest jednak przekazywanie thingowi stanowienia praw, ponieważ każdy jego uczestnik jest stronniczy - odpowiedział Osmund. - Załóżmy, że to samo zdarzyłoby się dzisiaj raz jeszcze i tym razem zabiłbyś Haflada. Co wtedy? Każdy na thingu wyrokowałby stosownie do tego, komu jest bliższy, tobie czy jemu. Z powodu więzów krwi czy przyjaźni, nieważne, pod jakim względem. To niesłuszna droga, Candamirze.

- Jaka jest więc słuszna? - chciał wiedzieć Candamir.

Jeśli liczył na to, że to pytanie zatka przyjacielowi usta, to się pomylił. Osmund zawahał się, nie po to jednak, żeby przemyśleć odpowiedź, lecz po to, żeby starannie dobrać słowa.

- Nam potrzebny byłby sędzia. Musielibyśmy wybrać jednego spośród nas, najmądrzejszego i najrozumniejszego, który rozstrzygałby waśnie i osądzał naruszenia prawa. Tylko w ten sposób może w społeczności zapanować porządek i sprawiedliwość.

Candamir spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Wolni ludzie mieliby podporządkować się wyrokom jednego człowieka, jak niewolnicy swojemu panu?

Osmund przytaknął.

- Jednemu, który cieszy się ich poważaniem i którego wyroków nikt nie waży się kwestionować.

Candamirowi coś zaświtało.

- „Dobry lud powinien mieć dobrego króla, który chroni prawa” - mruknął.

Osmund popatrzył na niego zaskoczony.

- To właśnie powiedziałeś Wilandowi - przypomniał mu Candamir. - Rankiem po napaści Turończyków. Nie zapomniałem tego.

Jego przyjaciel w zadumie pokiwał głową.

- Tak. Właśnie w to wierzę. Dobry lud zasługuje na bezpieczeństwo, a tylko dobry król może je zapewnić.

- Jak Cnut na Zimnych Wyspach? - zadrwił Candamir.

Osmund stanowczo pokręcił głową.

- Mam na myśli naprawdę dobrego króla. Wybranego przez lud i naznaczonego przez bogów.

Candamir musiał przyznać, że ta myśl nie była pozbawiona uroku. Przekazanie władzy nad społecznością jednemu człowiekowi, który najlepiej spośród wszystkich się do tego nadaje, uprościłoby wiele rzeczy. Wizja ta napelniła go jednak niepokojem.

- Ale komu chciałbyś powierzyć taki urząd? Chodzi mi o to, że nie możesz zajrzeć w serce nawet Haraldowi czy Eilhardowi, którzy z pewnością należą do najmądrzejszych. Czy nie otworzylibyśmy samowoli drzwi na oścież, wynosząc jednego nas ponad innych? Skąd wiadomo, kto jest w stanie oprzeć się pokusom, jakie niesie władza?

- Jak mówiłem, w tej sprawie zasięga się porady u bogów. Candamir położył płasko dłoń na stole i powoli, głęboko oddychał.

- Bogowie najczęściej idą za własnymi zamiarami.

Po raz pierwszy twarz Osmunda zrobiła się zacięta, niemal mroczna.

- Jakbym słyszał twojego Saksona. Błuznisz bogom, Candamirze, to niebezpieczne.

Candamir prychnął.

- Mój Sakson...

- Osmund ma całkowitą rację - rozległ się nagle od drzwi głos Brygidy. - Doprawdy nic dziwnego, że Odyn w swoim gniewie wstrząsnął ziemią, skoro widzi, jak mu dziękujemy za jego dar.

Candamir niechętnie spojrział przez ramię ku wejściu.

- A ty jak długo już tam stoisz i podsłuchujesz, co?

Zignorowała go, weszła bez zaproszenia do izby i usiadła na ławie daleko od niego.

- Jesteśmy tutaj już ćwierć roku. Budujemy sobie domy i w najbliższych dniach

zaczynamy żniwa. Co ze świątynią, którą mieliśmy wznieść Odynowi? To był twój pomysł, Osmundzie, a jakoś przestałeś o tym mówić?

Osmund ze wstydem opuścił wzrok.

- Masz rację - przyznał. - Ważniejsze było dla mnie karczowanie i domy. Trzęsienie ziemi było jednak wyraźnym ostrzeżeniem, co do tego nie ma wątpliwości.

„Ostrzeżenie na pewno, tylko, od którego boga?” - zastanowił się Candamir. Nieprawdą było to, co mu wmawiał Osmund, wcale nie poddał się podszeptom swojego saksońskiego niewolnika. Jego bóg dowiódł mu jednak swojej mocy w sposób najwyraźniejszy z możliwych, uzdrawiając Hacona, który leżał już na łożu śmierci. Był to pierwszy raz, kiedy jakiś bóg zrobił coś specjalnie dla niego. Był to jedyny powód, dla którego Candamir czuł się wobec niego zobowiązany i musiał przyznać, że nawet się go trochę boi. W każdym razie w jednym Saksonowi wierzył - ten bóg jest potężniejszy od bogów, których dotychczas poznał.

- Wzniesiemy świątynię, Brygido, kiedy każdy klan będzie miał dach nad głową - przyrzekł Osmund, żeby ułagodzić starą. - Jeżeli o mnie chodzi, nawet przed budową młyna. Teraz nie jest to jednak możliwe, sama przecież rozumiesz.

- Nieważne, co ja rozumiem czy nie rozumiem - odparła ostro. - To Odyna trzeba ułagodzić. On zaś dał nam do zrozumienia, że jego cierpliwość się wyczerpała. Musicie porzucić wszystkie inne zajęcia i od jutra rana zabrać się za budowę na wyspie.

- Ale ty jesteś ciemna... - warknął Candamir.

- Nie, to ty jesteś ciemny! - ostro wpadła mu w słowo. - Staniesz się dla nas wszystkich zagrożeniem, jeśli się nie opamiętasz. Zresztą kowal i twoja siostra tak samo jak ja odczytują znaki. Harald zaproponował, żeby jutro rano zwołać thing i na nim postanowić, co z budową świątyni. A ty, skoro tak zdecydowanie jesteś za rozszerzeniem władzy zgromadzenia, nie bardzo możesz się tej decyzji sprzeciwić, prawda, mój chłopcze?



## **ŻNIWNY KSIĘŻYC, rok pierwszy**

*Żyto zebrane, siano powiązane, na nowych polach zaczęły się siewy i sadzenie pasternaku, który wszędzie dziko tu rośnie. Co prawda dni zrobiły się krótsze, ale nie są chłodniejsze i ludzie powoli zaczynają wierzyć, że może tutaj wcale nie nadejdzie prawdziwa zima. Nie czuje się obawy, która zwykle narastała pod koniec lata.*

*Każdego dnia Wszechmocny uczy nas czegoś o tym błogosławionym kraju, z każdym dniem lepiej udaje się nam przystosować do warunków naszej nowej ojczyzny. Mamy mniej wełny niż dawniej, ale za to mamy w nadmiarze skór wołowych oraz - dzięki wielu ściętym drzewom - kory, która dostarcza nam kwasu garbnikowego. Stopniowo doszło do tego, że nosimy ubrania z miękkiej skóry, która jest dużo trwalsza niż wełna. Ku ogromnemu zaskoczeniu smolarz Haflad odkrył dla sąsiadów sposób karczowania nowych pól ogniem zamiast siekierami. Dzięki wcześniej wykarczowanym przecinkom można uniknąć zagrożenia, jakim byłyby niekontrolowane pożary lasu. W przyszłym roku będziemy już mieli tyle ziemi, ile jesteśmy w stanie uprawiać. Również zakładanie ogrodów i stawianie domów oraz zabudowań gospodarczych zostało dostosowane do nowego klimatu. Każdy cieśla cieszy się wielkim poważaniem. Dotyczy to zwłaszcza mojego pana, który od kilku tygodni całkowicie poświęca się wznoszeniu świątyni na wyspie na rzece.*

Niestety, przeklętej wiedźmie, dzięki pojętej uczennicy, udało się znaleźć doskonałe miejsce na uprawianie swojego pogańskiego kultu. W swoją noc poślubną Inga na tej małej wysepce dokopała się źródła - Austin wołał nie poznawać szczegółów okoliczności tego obrzędu - i niebawem osadnicy zaczęli szeptać o magicznej mocy tej wody. Parobek Osmunda zanurzył w niej zranioną nogę i krwawienie natychmiast ustało. Stary Eilhard zarzekał się, że podagra już mu prawie nie doskwiera, od kiedy obmył bolące członki w źródlanej wodzie, a nieszczęsny Turończyk, który pracował z

Candamirem przy budowie świątyni, codziennie pił z tego źródła, mając nadzieję, że wyrosnie mu nowy język - jak dotąd jednak bezskutecznie.

Nazajutrz po trzęsieniu ziemi thing postanowił, że wznoszeniu świątyni należy oddać pierwszeństwo i powierzył Candamirowi - mimo stanowczego sprzeciwu Olafa - kierownictwo nad pracami i projektowanie. Chociaż młody mistrz budowlany był przeciwny całemu przedsięwzięciu, poświęcił mu się w całości, a ogromna ambicja dodawała mu siłę. Wyglądało na to, że budowla na wyspie będzie większa niż wszystkie, jakie osadnicy kiedykolwiek oglądali. Przez cały tydzień wszyscy niewolnicy musieli łupać wapień na fundamenty, srogi gniew Candamira spotykał zaś każdego, kto był zbyt powolny lub przynosił za mało kamienie.

Niebawem stanęły konstrukcje ścian i były już w większości wypełnione. Na dom bogów wybrał Candamir wyłącznie najpiękniejsze, nieskazitelne pnie, a budowla dopiero wtedy miała być gotowa, gdy belki zostaną pokryte kunsztownymi płaskorzeźbami i ozdobione runami i wizerunkami. To musiało jednak poczekać, aż będą mieli czas, żeby poświęcić się tego rodzaju ornamentacji. Nadal uważał, że budowa domów mieszkalnych jest pilniejsza i trapiło go, że teraz, kiedy Berse i jego ludzie pracowali sami, posuwa się to w tak ślimaczym tempie. Candamir miał także ambitne plany w związku z dachem świątyni: chciał mu nadać kształt kadłuba knary, żeby ich potomkowie nigdy nie zapomnieli, że w istocie są ludem żeglarzy, ani też tego, jak się tutaj znaleźli. Żeby podobieństwo do statku było pełne, zamierzał ten dach pokryć nie trzcina, a dachówkami z drewna. Siglind z wielką ulgą zgodziła się z nim, zwłaszcza, gdy się dowiedziała, jaką powierzchnię miała mieć budowla, i oceniła, ile trzciny byłoby na to trzeba. Budowa świątyni wzbudziła wśród osadników duże zainteresowanie i radosne podekscytowanie, a po pracy zarówno mężczyźni, jak i kobiety często przyplýwali na wyspę, aby obejrzeć postępy. Wielu podziwiała dzieło Candamira i przywoziło mu oraz jego pracownikom smakołyki i upominki, chcąc okazać swoją wdzięczność i podziw. Nie wszyscy byli jednak zachwyceni domem bogów.

- Nie robi nic bez rady tego chytrego Saksona, Haraldzie, i w ten sposób to, co nam buduje, będzie świątynią tamtego przeklętego Boga cieśli! - oświadczył wściekły

Olaf.

- Bzdura - odparł kowal z pełnymi ustami. Popił swój kęs łykiem miodu i ciągnął:  
- Sercem naszego domu bogów jest nie ołtarz ukrzyżowanego, lecz święte źródło. Tak, jak chciała Brygida.

Olaf uniosł palec wskazujący i ostrzegawczo nim potrząsnął.

- Powiadam ci, widziałem świątynie chrześcijan, i wyglądały tak samo jak to, co Candamir chce nam sprzedać jako nasz święty przybytek.

- Przecież on nic nie sprzedaje - mruknął Hacon. - On to robi bez zapłaty.

- Zamknij się! - naskoczył na niego ostro brat. - Czy ty w ogóle nie umiesz się zachować? Olaf rozmawia z Haraldem, a ciebie nikt o zdanie nie pytał.

Hacon głośno wypuścił powietrze i zwiesił ramiona, po czym zapatrzył się w swoją miskę mięsnej zupy i bez zapału zanurzył w niej łyżkę. Zawsze, kiedy przebywał w jednym pomieszczeniu z Olafem, czuł, że gardło ma jak zasznurowane, a dłonie robiły się wilgotne. Strach przed tym człowiekiem niemal go paraliżował, nie chciał jednak bez sprzeciwu się przysłuchiwać, jak Olaf oskarża jego brata i Austina.

Siedzieli przy długim stole w izbie kowala, wszyscy domownicy Candamira i wszyscy ludzie Haralda. Candamir i Austin w milczeniu jedli kolację, a Olaf stał przy krześle Haralda, ze złością gestykulował i wygadywał na nich, jakby ich tu nie było.

- Jeśli nie mam racji, to powiedz mi, dlaczego świątynia jest ustawiona akurat na osi wschód-zachód, a nie na północ-południe, co?

Harald porzucił nadzieję, że będzie mógł spokojnie jeść dalej, i z tłumionym zniecierpliwieniem odsunął miskę od siebie.

- Nie wiem, Olafie. Nie rozumiem się na tych sprawach. Czy coś by się stało, gdybyś zapytał o to Candamira?

Olaf prychnął.

- Równie dobrze mogę to sobie podarować!

- Polana była zbyt wąska, żeby budowlę ustawić w inny sposób, a w dodatku źródło leży na wschodnim skraju polany - wyjaśnił Candamir licznym oczkom tłuszczu w swojej zupie. - Brygida zabroniła wyciąć nawet jedno drzewo na wyspie. Zgodziła się jednak, żeby budowlę stawiać na osi wschód-zachód, gdyż taki jest bieg słońca.

- Co ty powiesz! Ale założę się o każdą sumę, że twój Sakson to zaproponował -

upierał się Olaf.

Candamir nie odrzekł na to nic, bo Olaf trafnie przypuszczał.

Sakson spojrział na pana domu.

- Czy wolno mi zabrać głos?

Harald zrobił przyzwalający gest. Austin musiał się zebrać na odwagę, żeby spojrzeć Olafowi w twarz, ponieważ tak samo jak Hacon bał się tego zwalistego, porywczego człowieka, nikt jednak by tego nie odgadł. Mina Saksona była poważna, choć nie spięta.

- Mój pan tylko dlatego pytał mnie o radę, bo ja w swojej ojczyźnie widziałem już wielkie budowle służące modlitwie, on zaś nie. Mylisz się jednak, jeśli sądzisz, że chcę go oszukać i wznieść świątynię mojemu, a nie waszym bogom. Mój Bóg wcale by jej nie zechciał, brzydzi się, bowiem oszustwem i nieuczciwością. Harald kiwnął głową.

- Proszę, Olafie, uspokoiłeś się?

Olaf zaśmiał się cicho.

- Wierzysz temu przebiegłemu Saksonowi dlatego, że jesteś tak głupi, czy po to, żeby mnie zmylić, Haraldzie? Powiadają, żeś człowiek mądry...

- W każdym razie jestem człowiekiem głodnym i dokończyłbym posiłek, jeśli pozwolisz. Twoje oskarżenia są bezpodstawne, ale skoro koniecznie chcesz, to przedstaw je na thingu. Będzie za tydzień.

Z oszczędnym skinieniem głowy Olaf skierował się ku wyjściu.

- Mam nadzieję, że do tego czasu Odyn nie ześle nam kolejnego ostrzeżenia.

Milczeli, aż opuścił izbę i hałaśliwie zatrzasnął drzwi. Wtedy Asta zauważyła z przekąsem:

- Jaki to się nagle zrobił bogobojny Zawsze sądziłam... - zamilkła, gdy jej mąż ostrzegawczo chwycił ją za rękę i położył palec na ustach.

- Tak - szepnął pod nosem Hacon. - Założę się, że stoi pod drzwiami i podsłuchuje.

Harald i Asta rozpoczęli niewinną rozmowę o przechowywaniu jabłek, które rosną w całym lesie, a Candamir w tym czasie kątem oka obserwował brata. Hacon znowu podrósł i Asta uszyła mu nowe ubranie z delikatnej, jasnobrązowej wołowej skóry. Włosy miał dłuższe niż dawniej i tak samo jak Candamir nosił dwa cienkie

warkoczyki, które okalały mu twarz, równo zaplecione, z końcami związanymi cienkim rzemykiem. Starszy brat ze zdumieniem stwierdził, że już niebawem Hacon będzie się musiał zacząć golić.

Zmysł obserwacyjny Hacona był tak samo mocno wykształcony, jak u Candamira, to przyglądanie się nie uszło, więc jego uwagi.

- Napatrzyłeś się? - zapytał skrzepowany, ale z uśmiechem.

Candamir wzruszywszy ramionami, sięgnął po kawałek żytniego chleba i przełamał go na dwie połówki.

- Stwierdzam ze zdziwieniem, że jednak wyrośnie z ciebie jeszcze kawał chłopca.

- W tym celu musiałbym tylko wyrwać się z twoich szponów! - odszczeknął Hacon.

Zapewne czuł się pewnie, siedząc poza bezpośrednim zasięgiem rąk brata, ten jednak podniósł się gwałtownie, lewą dłonią przyciągnął go do siebie za ubranie i wymierzył mu lewy i prawy policzek.

- To jest, więc twoje podziękowanie, tak?

- Candamirze! - zawołała Asta zgorszona. Odwykła już od takich scen, w domu kowala panował, bowiem względny spokój. Nikt tu nie miał wybuchowego charakteru, a ona już najmniej, i domostwo to stało się dla niej bezpieczną przystanią.

Hacon uwolnił ubranie z pięści Candamira i skoczył na równe nogi.

- Tak, to jest moje podziękowanie, słowo prawdy. Ale ty nigdy nie umiałeś jej znieść, bracie! Gdy wyrosłem już na tyle, żeby przestać się gapić na ciebie z nabożnym szacunkiem, nie przepuściłeś żadnej okazji, żeby mnie upokorzyć i poniżyć. Dopiero żyjąc w tym domu, zaczynam powoli wierzyć, że być może jestem jednak coś wart. Och, pewnie nie taki nienaganny i szlachetny jak ty, ale wygląda na to, że mogę się nauczyć wykuwać dobre narzędzia. Bo w przeciwieństwie do ciebie Harald uwierzył, że ja także mogę coś zrobić dobrze, rozumiesz?

Candamir skinął głową. Był głęboko urażony, twarz mu stężała.

- Haconie, niechętnie cię rozczarowuję, ale znowu mówisz bez zastanowienia - odezwał się kowal. - Musisz to szybko naprawić. Najlepiej od razu i to na świeżym powietrzu, bo chciałbym mieć trochę spokoju przy moim stole. Jestem przekonany, że kiedy sobie rzecz przemyślisz i wrócisz, po prosisz brata o wybaczenie.

- Niech się wypcha - burknął Candamir.

Hacon ze spuszczoną głową opuścił izbę. Gunda, przekonana, że nikt nie patrzy, chciała iść za nim, ale Candamir warknął:

- Ani mi się waż!

Wzdrygnęła się i wróciła na koc przy ogniu, gdzie bawiła się z Nilssem i dziećmi Asty Fule od początku miał słabość do Gundy i w jej obecności zawsze był grzeczny jak baranek. Asta bardzo pragnęła, żeby Candamir zmienił zdanie i zostawił jej tę służącą. Rzadko jednak szanse na to były mniejsze niż dzisiaj.

- Przepraszam, Haraldzie - powiedział Candamir, wzdychając, i bezradnie wzruszył ramionami. Zapewne powiedziałby coś więcej, gdyby byli z kowalem sam na sam, ale przy Aście, Saksonie i reszcie służby nie mógł się przyznać, że nie miał racji.

Harald kiwnął głową z lekkim uśmiechem. Nie bardzo mógł robić Candamirowi wyrzuty, bo gdyby jego Godwin nie przeniósł się do Berse i jego synów, wołac to niż dom ojca, zapewne ojciec z synem przy każdej sposobności rzucaliby się sobie do gardła jak Hacon i Candamir.

Po jedzeniu Asta kazała służbie uprzątnąć stół i dla wszystkich parobków poza Austinem znalazła jakieś zajęcie, nareszcie siedzieli, więc przy stole tylko we czwórkę.

- Musisz być dobrze przygotowany, kiedy Olaf na zgromadzeniu w przyszłym tygodniu powtórzy swoje zarzuty, Candamirze - ostrzegł Harald.

- Tak - odparł młodzieniec gniewnie. - Na każdym thingu muszę być przygotowany na jakieś oskarżenia Olafa. A komu to zawdzięczam?

- Mnie - odezwał się Austin bez żadnej zachęty - Nie zapominajmy, jak to wszystko się zaczęło. To nie wina Hacona. Przeciwnie, on w tych porachunkach jest jedynie niewinną ofiarą.

- Niewinną? - powtórzył Candamir poruszony. - Nie oszukał mnie, więc? Nie zostawił owiec Olafa wilkom, żeby się rznąć z moją niewolnicą?

Asta i Austin aż się wzdrygnęli, słysząc takie słowa, a jemu właśnie o to chodziło. Sakson odpowiedział jednak spokojnie, jakby nie zrobiło to na nim wrażenia:

- Nigdy by do tego nie doszło, gdybyś nie musiał odrabiać dla Olafa pańszczyzny, a to z kolei tylko stąd się wzięło, że ja...

- Nie, mylisz się, Austinie - wpadł mu Harald w słowo. Było to bardzo niezwykle,

że milczkowaty kowal komukolwiek przerywał, wszyscy spojrzeli, więc oszołomieni na niego.

- Olaf jest wściekły na Candamira z zupełnie innych powodów, dlatego też jest zły na swojego bratanka - odezwał się wreszcie Harald. - Musicie sobie to wyjaśnić, ty i twój mleczny brat, Candamirze, bo w przeciwnym razie możecie się obaj poróżnić, i to na noże.

- Jak to rozumiesz? - zapytał Candamir z zainteresowaniem.

- Tutaj chodzi wyłącznie o władzę. W Elasundzie Olaf był najpotężniejszym człowiekiem, bo był majętny, a wszyscy pozostali ubodzy. To wystarczyło, by słuchali z szacunkiem, gdy mówił, a właściwie każdy musiał robić to, czego on zechciał, ponieważ był mu coś winien lub czegoś od niego oczekiwał. Poza tym jest nieustraszony, silny, obyty w świecie i bogaty w doświadczenie. Cóż, czasy się zmieniły i my wszyscy też staliśmy się obcy i do pewnego stopnia bogaci w doświadczenia, a wielu z nas jest nieustraszonych i silnych. Olaf nie będzie młodszy, wiesz. W niezbyt odległej przyszłości siły go opuszczą, wzrok zawiedzie i dotknie go to wszystko, co staje się przekleństwem każdego, kto nie zginie w kwiecie wieku na polu walki. Natomiast ty i Osmund jesteście młodzi. Już choćby, dlatego stanowicie dla niego zagrożenie.

- Jak to? - nie mógł pojąć Candamir. - Olaf będzie miał mnóstwo roboty, skoro zamierza wszczynać waśń z każdym, kto jest od niego młodszy. Jego własny syn też zalicza się do tych osób.

- Ale Jareda jest w stanie kontrolować. Jared nie ma też takiej pozycji, jaką macie Osmund i ty.

Austin przytaknął. Wiedział doskonale, do czego Harald zmierza.

- Osmund jest wybrańcem - wyjaśnił swojemu panu. - To jego Odyn wyznaczył, żeby pierwszy postawił stopę na tej ziemi. Przede wszystkim wielką wagę przywiązuje do tego Brygida, a ona z kolei ma tutaj znacznie większe wpływy niż w dawnej ojczyźnie. To ona się postarała, żeby Osmund ożenił się z Ingą, która ma być jej następczynią. Osmund jest... nowym faworytem waszych bogów. To daje mu władzę. Każdy szuka jego towarzystwa. Ty zaś, panie, jesteś tym, który Olafowi otwarcie stawiał czoła, ale w sposób, który wszystkimi tutaj wstrząsnął i który im uświadomił, że gwiazda Olafa gaśnie.

- Jest właśnie tak, jak mówi Austin - potwierdził kowal i pogładził brodę. - Przede wszystkim zaś jesteś tym, który słowami i czynami nadał kształt niepewnej przyszłości. Budujesz ludziom domy i świątynię, udowodniłeś im, że nie muszą się już poddawać żadnym tyranom władzy w rodzaju Olafa, a mogą zamiast tego wykorzystać jedyną okazję, aby sami ustalać własne reguły. Osmund uosabia na Catanie władzę Odyna. Ty jesteś uosobieniem twórczej siły naszej społeczności. Olaf jest znakiem przeszłości. Wie o tym świetnie i zabije was, gdy tylko będzie mógł, żeby przejąć wasze role.

Candamir siedział bez ruchu i patrzył z niedowierzaniem na kowala. Po czym skrzywił się na pozór niefrasobliwie i wzruszył ramionami.

- Cóż, zanim uda mu się mnie zabić, będzie musiał mnie pokonać. Raczej nie przyjdzie, żeby mnie zamordować we śnie, co? Nie rozumiem, czego miałbym się obawiać.

Harald i Austin wymienili spojrzenia pełne troski. Obaj pomyśleli o największej słabości Candamira - upartej kobiecie mieszkającej samotnie nad rzeką w swoim szałasie z gałęzi, która od samego początku obudziła w Olafie instynkt łowiecki.

- W każdym razie bądź czujny - poradził poważnie Harald. Austin przyznał mu rację. Powiedział do Candamira:

- Jeśli pozwolisz, panie, pójdę po Hacona. Robi się ciemno i czuję niepokój na myśl, że Olaf się tam czai gdzieś w mroku.

Candamir pozwolił mu zniecierpliwionym machnięciem.

Austin znalazł Hacona w kuźni, która stała na samym brzegu rzeki, w odległości rzutu kamieniem od domu Haralda. Chłopiec właśnie usuwał zimny popiół z pieca, żeby nappełnić go węglem drzewnym na następny dzień. Popiół zbierał do skórzanego wiadra. Asta robiła z niego mydło, a nadmiar wykorzystywała jako nawóz do warzywnych grządek. Kiedy Hacon zauważył mnicha przy wejściu, uśmiechnął się, ale zaraz ze zmarszczonym czołem zapytał:

- Przyszedłeś wygłaszać mi kazania? Daruj sobie.

- Skąd możesz wiedzieć, zanim mnie nie wysłuchasz? - zainteresował się Austin.

- Bo już teraz wiem, że masz rację. Ale to i tak nic nie da. Nie potrafię go prosić o



przebaczenie. Ani za dzisiejszy wieczór, ani za to, co się wydarzyło z Gundą.

Austin podszedł bliżej i przysiadł na ławie, która stała tu tak samo jak w Elasundzie, aby zapewnić miejsce gadułom i próżniakom, którzy zawsze chętnie zaglądali do kuźni, żeby poczekać na nowy lemiesz, ponarzekać na pogodę, połów czy zbiory, a robotę zostawić innym.

- Dlaczego nie potrafisz? - zapytał mnich.

- Bo nie żałuję - wyjaśnił krótko Hacon.

- Aha. Masz rację, to rzeczywiście utrudnia sprawę. Ani Bóg, ani brat nie odpuszczają ci grzechów, jeśli nie będziesz za nie żałował.

- Wiem! - Hacon pilnie dalej pracował, ale w końcu opuścił ręce, zwrócił się ku Austinowi i dopiero teraz Sakson zauważył, jak bardzo chłopiec cierpi. - Ja... Kocham Gundę, Austinie. Wiem, że jestem jeszcze na to za młody, ale kiedyś chciałbym się z nią ożenić i uczynić ją szanowaną kobietą, tak jak na to zasługuje.

„Nic nie uczyni szanowanej kobiety z tej wywłoki” - miał już Austin na końcu języka.

- Candamir jednak do tego nie dopuści. Wcale już jej nie pragnie, traktuje jak ostatnią szmatę i tylko wypatruje Siglind. Raczej skręci Gundzie kark, niż mi ją zostawi.

- Czemu uważasz, że kochasz Gundę? To znaczy, czy jesteś pewien, że to naprawdę chodzi o sprawy serca, a nie... - Austin niejasno wskazał miejsce poniżej pasa Hacona i jak zwykle się zaczerwienił. - No, wiesz.

- Tak, jestem pewien. Czasami spotykamy się nocą. Och, nie rób takiej miny, nie zrobiliśmy tego znowu. Rozmawiamy. My... - wzruszył ramionami. - Cóż, mamy wiele wspólnego i jesteśmy niemal w tym samym wieku. Prawdopodobnie można powiedzieć, że się już poznaliśmy. Może twoje zdanie o niej będzie lepsze, gdy się dowiesz, że Gunda postanowiła tak samo jak ja zwrócić się ku twojemu Bogu. Opowiedziałem jej trochę tego, co o nim wiem, ma do ciebie wiele pytań. Ale nie śmie. Boi się ciebie prawie tak samo jak mojego brata. Znowu jest przy nadziei. Kiedy Candamir to zauważy, to... - urwał. Doprawdy nie wiedział, co się wtedy stanie.

- Nie wie, kto jest ojcem? - zapytał Austin z lekkim niesmakiem.

Hacon rozłożył ręce.

- Skąd ma wiedzieć? Oczywiście, że nie. Dlatego Candamir jej dziecko sprzeda

albo zabije, kiedy się urodzi, i ją pewnie też. Mnie z kolei nie robiłoby to różnicy, czyje ono jest. Wychowywałbym bratanka z równą chęcią jak własnego syna. Przecież najważniejsze, żebyśmy się mnożyli, prawda?

- Niby tak. Mimo to jesteśmy dziećmi bożymi, a nie jakimiś królikami, Haconie, dlatego warto wiedzieć, kto jest ojcem dziecka, prawda? Poza tym masz dopiero piętnaście lat i nie możesz się żenić. Wybacz też szczerą, ale szkoda cię dla takiej kobiety jak Gunda.

- Dlaczego tak mówisz? - wybuchnął chłopiec. - Co ci daje prawo ją osądzać?

- Bo jest nieczysta i złamała boże przykazanie.

- Przecież nie znała tych przykazań.

- To, co uczyniła, jest zakazane waszymi zasadami tak samo, jak moimi.

- Nie mówiłeś, że wszyscy jesteśmy grzesznikami i dlatego możemy się radować, że miłosierdzie Boga nie zna granic?

Austin cicho zaśmiał się do siebie.

- Znów, Haconie, pokonałeś mnie moją własną bronią.

Hacon uśmiechnął się niemrawo, podszedł do niego i usiadł obok.

- Pomóż nam, Austinie - poprosił usilnie. - Przecież Candamir cię słucha. Pomóż nam, a przysięgam, że nasze dzieci będą wychowywane w twojej wierze.

Mnich miał już dosyć podejrzanych kompromisów, do których zmuszała go jego kłopotliwa misyjna działalność. Obronnie podniósł rękę.

- Wybrałeś drogę Boga i powiadasz, że Gunda także chce to uczynić. To chyba zatem oczywiste, że wasze dzieci otrzymają chrzest, a próba przekupienia mnie w ten sposób powinna być poniżej twojej godności.

- Zgadza się - przyznał chłopiec ze skrucą. - Te dzieci będziemy jednak mieć tylko pod warunkiem, że nie odmówisz nam swojej pomocy.

- Aha - mruknął Sakson sucho. - To samo przekupstwo w zmienionej postaci. Jesteś sprytnym mówcą, Haconie, tak samo jak twój brat.

- To jak? Zrobisz to? - chłopiec wstrzymał oddech. Austin położył dłonie na kolanach i przez chwilę wpatrywał się w zimny piec. Wreszcie powoli skinął głową.

- Dobrze. Niewiele mogę zrobić, ale tyle zrobię. Ty musisz mi jednak przysiąc, że zachowacie powściągliwość, aż zostanieie połączeni w obliczu Boga, mając na to zgodę

twojego brata.

- Och, Austinie, to może trwać całe lata...

- Taki jest mój warunek - przerwał mnich zdecydowanie. - W przeciwnym razie stałbym się współnikiem waszego występku.

Hacon przez chwilę się zastanawiał, po czym głęboko westchnął i skinął głową.

- Masz rację. Tego od ciebie nie mogę wymagać. - Położył lewą rękę na sercu, a prawą uniósł w górę. - Przysięgam na krew Jezusa Chrystusa.

- Nie zapomnij.

- Nie zapomnę.

- Żeby dowieść swojej dobrej woli i stałości, musisz pójść do brata i pogodzić się z nim. On przez całe życie robił dla ciebie wszystko, co mógł. Więcej nie można od nikogo wymagać. Nigdy nie będę twierdził, że wszystko robił właściwie, bo tak nie było. Ale się starał.

- Tak. Wiem o tym. Cokolwiek mu jednak powiem, nigdy mi nie przebaczy

- Być może go nie doceniasz. Również twój brat wiele się nauczył od czasu wyruszenia w tę podróż. Nie jest już tym samym człowiekiem, nikt z nas już nie jest. Jakkolwiek się jednak rzeczy mają, ty musisz zrobić pierwszy krok. Taka jest wola Boga.

- Skąd ty to tak dokładnie wiesz? - zapytał Hacon z powątpiewaniem.

Austin się uśmiechnął.

- To należy do tych rzeczy, które zawsze są wolą Boga. Powiedział, bowiem: „Miłujcie waszych nieprzyjaciół i módlcie się za tych, którzy was prześladują”. A także: „Dobrze czyńcie tym, którzy was nienawidzą; błogosławcie tym, którzy was przeklinają, i módlcie się za tych, którzy was oczerniają”.

- Ale kto by tak czynił, tego cały świat nazwie tchórzem - zaprotestował Hacon.

Mnich spokojnie wzruszył ramionami.

- Chrystus nie nazwie go tchórzem. Powiada też bowiem, że jeśli będziemy czynić to, do czego nas przeznaczył, wtedy „wasza nagroda będzie wielka i będziecie synami Najwyższego; ponieważ On jest dobry dla niewdzięcznych i złych”.

- Amen - mruknął Hacon, wzdychając, i zwiesił głowę.

- Lepiej niech jednak nie liczy na to, że kiedykolwiek pokocham Olafa...

Pszczoły Catanu z niezliczonych kwiatów leśnych robiły cudowny, złoty miód, ale też broniły go wszelkimi sposobami. Osmund był wprawnym, nieustraszonym bartnikiem. Była to umiejętność, która wymagała wielkiej cierpliwości i sprawności, zwłaszcza wtedy, gdy się nie wiedziało, gdzie znajdują się barcie. Trzeba było za owadami przemierzać gęstwinę wzdłuż i wszerz, co rusz tracąc je z oczu, ponieważ są bardzo małe, a przede wszystkim trzeba było wspinać się na drzewa, aby dotrzeć do ich gniazd. Sakson już przed laty opowiadał, że w jego ojczyźnie pszczoły trzyma się w ulach, które albo stoją koło domu, żeby nie trzeba było daleko chodzić po miód, albo w okolicy drzew, krzewów czy kwiatów, z których miód najbardziej odpowiada właścicielowi. Jak co roku o tej porze Osmund pomyślał, że ci Anglosasi mimo swojej śmiesznej religii nie są jednak tacy głupi, jak się powszechnie uważa, i że z pewnością się opłaci, jeśli spróbuje samodzielnie takiej hodowli pszczół.

U stóp jesionu, na którym mieszkały pszczoły, rozpałił małe ognisko z gałęzi i liści, uciął świeżą gałąź i cierpliwie trzymał ją w płomieniach, aż, mocno dymiąc, zaczęła płonąć.

Z tą dymiącą pochodnią wdrapał się na jesion i pomachał gałęzią pod pszczelim gniazdem, aby przegonić większość jego mieszkańek, a te, które zostały w domu, oszołomić. Jak wszystkie pszczoły, które w życiu widział, te również wyfrunęły zaskoczony i stworzyły wściekle bzyzącą, ciemną chmurę, zamiast jednak uciekać, precyzyjnie zaatakowały złoczyńcę.

Osmund liczył się z tym i był przygotowany. Zeskoczył z powrotem na ziemię, uciekł za swoje małe ognisko i otoczył się jego dymem jak magiczną opończę. To odstraszyło wiele pszczół, ale nie wszystkie. Nie bez powodu miał na sobie ubranie z długimi rękawami i skórzaną kapotę, ale dłonie, którymi chronił twarz, zostały okrutnie pożądlone.

- No, Jaredzie, na co czekasz? - zawołał na kuzyna. Nic nie było widać w całym tym dymie, a głos Osmunda był stłumiony, ponieważ wciąż zasłaniał twarz dłońmi.

Cicho przeklinając, Jared wspiął się na jesion, wyjął sztylet, przeciął gniazdo i wybrał z niego miodowe plastry. Również i on nie wyszedł z tego bez szwanku. Cztery użądlenia na rękach i ramionach poczuł niemal równocześnie, ale nie dał się zmylić,

przede wszystkim nie zrobił żadnego gwałtownego ruchu, co tylko zwiększałoby zagrożenie, a tylko wrzucił ociekające plastry do wiaderka przytroczonego do pasa.

- Gotowe!

Zręcznie zlął z drzewa i wspólnie rzucili się do ucieczki. Przy jednym z małych strumyków, które przecinały las, by w końcu zasilić duży potok, zatrzymali się i z wdzięcznością zanurzyli dłonie chłodnej w wodzie. W pierwszej chwili palce w zimnej kąpieli zaboląły jeszcze bardziej i Jareda aż zatkało.

- Czemu to musi tak boleć? - burknął przez zaciśnięte zęby. - Skoro ta kraina jest taka doskonała, to, dlaczego musi my nadal płacić taką cenę za miód?

Osmund uśmiechnął się do niego.

- To proste, Jaredzie. Zastanów się nad tym, a sam znajdziesz odpowiedź.

Jared poruszał na próbę palcami i zaraz przestał.

- Ach tak, już wiem, do czego zmierzasz. Chodzi ci o to, że gdybyśmy miód zdobywali w łatwiejszy sposób, to pity nie smakowałby nam tak słodko.

- Otóż to.

- Mam tylko wątpliwość, czy to się opłaca. Do licha, siedem żadeł zostawiły mi te bestie. Ty ile masz?

Osmund odpowiedział wzruszeniem ramion.

- Pojęcia nie mam.

W istocie było ich ponad dwa tuziny i zrobiło mu się słabo - nie wiedział, czy to od słońca, czy od jadu. Może też ze wstydu, że nie był zręczniejszy

Kuzyn przyjrzał mu się badawczo.

- Pocisz się - zauważył.

- Nie ma się co dziwić. Jest upał.

- Jesteś też blady jak śmierć. Osmund cmoknął niecierpliwie.

- Bzdura. Jestem tak samo opalony na brąz jak ty. Wszyscy jesteśmy, tego się nie uniknie przy takim lecie. Przestań się na mnie gapić. Ja... - nagle zamilkł i zacisnął powieki.

- Co? - zapytał chłopiec.

Bez żadnego ostrzeżenia Osmund upadł w wodę i znieruchomiał.

- Osmundzie! - Jared aż podskoczył ze zgrozy - Co z tobą?

Nie otrzymał odpowiedzi. Zmartwiony wszedł do płytkiego strumienia i wyciągnął kuzyna na brzeg. Osmund był nieprzytomny „Jeśli umrze, Inga będzie moja” - taka była pierwsza myśl Jareda, ale natychmiast uświadomił sobie, że zależy mu na tym, by kuzyn przeżył. Bardziej niż sądził.

- Och, Osmundzie, co ja mam teraz począć? - zapytał pełen obaw i rozejrzał się dookoła, szukając pomocy.

Również Candamir był w lesie. Obszedłszy swoje wnyki, znalazł dwa zajęce i jedną kunę. Zabił zwierzęta szybkim, miłosiernym cięciem noża i przytroczył sobie zdobycz do pasa. Mięso kuny było gorzkie i na Catanie nikt nie musiał czegoś podobnego jeść. Chciał jednak mieć futro.

Zadowolony ruszył w drogę powrotną. W lesie panowała senna cisza babiego lata. Z zamkniętymi oczami Candamir głęboko wciągnął ciepłe powietrze wypełnione zapachem mchu, drzew i niezliczonych jagód, dojrzewających wszędzie przy ziemi i na krzewach. Cóż za upajający aromat! I choć bardzo wczuwał się w ten zapach, w powietrzu nie było jeszcze śladu jesieni. Powoli rozłożył szeroko ramiona, przechylił głowę w tył i się roześmiał.

- Tylko głupiec śmieje się bez powodu - rzekł jakiś znajomy głos za plecami.

Candamir szybko opuścił ręce, ale nie spieszył się z odwróceniem za siebie. Natychmiast rozpoznał, kto mówi.

- Może i tak. Ja zaś śmieję się ze szczęścia, że wciąż trwa lato.

Siglind wyszła z cienia drzew i podeszła do niego.

- Dobry powód - przyznała.

- Tak wcześnie, a ty już z dala od pracy? - zapytał. Powoli szli ramię w ramię dalej.

- To samo mogłabym powiedzieć o tobie - odparła Siglind.

- Och, właściwie to szukam Turończyka. Ponad dwie godziny temu wysłałem go, żeby dostarczył na wyspę świeżego drewna, ale on nie wrócił. Postanowiłem, więc poszukać go i zrugać, a przy okazji zajrzeć do moich wnyków.

- Co, jak widać, się opłaciło - wskazała na zdobycz u jego pasa. - Ze mną jest

podobnie - oznajmiła. - Dach domu Thorbjorna właśnie został zakończony i wybrałam się na poszukiwanie przywrotnika.

- Przywrotnika? - powtórzył Candamir, nie zrozumiał Przymknęła.

- Jest to zioło pomagające przy pewnej dolegliwości, która mnie regularnie trapi, a której ty za to nigdy nie będziesz musiał się obawiać.

- Cóż to za dolegliwość? - zapytał, zanim sobie uświadomił, o co jej chodzi. Uniósł dłoń. - Aha, już wiem. Moja matka na to cierpiała. Co miesiąc. Ale żaden przywrotnik nie był jej znany.

- Bo wtedy nie było jeszcze z wami Austina - odrzekła. Candamir rzucił jej rozbawione, niedowierzające spojrzenie.

- To Austin zna się na środkach przeciwko niewieścim przypadłościom? Potrafi wymówić ich nazwy, nie jękając się?

Siglind zaśmiała się mimo woli, ale stanowczo skinęła głową.

- Jeśli chodzi o kwestie lecznicze, to jest w stanie całkowicie przewyciężyć swój wstyd.

- Założę się, że jest - burknął Candamir. - Założę się, że w twojej obecności pokonuje wszelki wstyd - miało to zabrzmieć żartobliwie, ale nie całkiem udało mu się ukryć gorycz.

Siglind spojrzała z ukosa.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Podniósł rękę, jakby się poddawał. Nie chciał ciągnąć tej rozmowy. W każdym razie nie dzisiaj.

- Zupełnie nic.

- Ale ty...

Candamir położył jej dłoń na ramieniu i wskazał przed siebie. Pośród drzew, na samym brzegu małego potoku, wypatrzył jakiś ruch. Teraz rozpoznał Jareda, który zdenerwowany machał rękami.

- Chodź tu! Pospiesz się! - wołał z trwogą syn Olafa. Candamir i Siglind przyspieszyli kroku. Dotarłszy na miejsce, odkryli Osmunda, który leżał bez ruchu u stóp Jareda w przybrzeżnej trawie. Candamir przyklęknął przy nim.

- Co się stało? - zapytał.

Jared bezradnie wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Po prostu upadł.

- Sprowadzę Austina - powiedziała Siglind i już chciała się odwrócić.

- Nie, to nie jest konieczne - odparł Candamir. Wskazał wiadro ze wspaniale ukształtowanymi plastrami, które Jared niedbale postawił na brzegu. - Osmund zbierał miód - dodał, jakby to wyjaśniało wszystko.

- No i? - zapytała.

- Wie doskonale, że właściwie nie powinien tego robić. Ale nie znam nikogo, kto tak jak Osmund kocha miód. Dlatego nie mógł sobie odmówić. Kiedy użądła go więcej niż dwie lub trzy pszczoły, pada. Naprawdę nie wiem już, ile razy przynosiłem go z lasu do domu. Kiedyś był nieprzytomny ponad dwie godziny. Jego ojciec zaczął się o niego bać i zabronił mu chodzić po miód.

- Co Osmunda nie powstrzymało - wtrącił Jared. Candamir przytaknął.

- Kiedy to się stało?

- Tuż przed waszym przyjściem.

Candamir zbadał ręce i szyję swojego mlecznego brata, czyli miejsca, w które pszczoły zazwyczaj żądają. Zobaczywszy mnóstwo spuchniętych miejsc po żądłach, przeraził się, ale nie dał nic po sobie poznać.

- Cóż, nie mam zamiaru czekać tutaj dwie godziny, aż Osmund się ocknie - burknął, chwycił przyjaciela mocno za blade policzki i niezbyt delikatnie potrząsnął. Siglind klepnęła go w ramię.

- Och, daj mu spokój, niezguło! - powiedziała ostro i przyklękła. - Zdejmij koszulę, namocz ją i przynieś mi. Candamir z zazdrością obserwował, jak delikatnie układa głowę Osmunda na kolanach, ale bez sprzeciwu zrobił, co chciała.

Jaredowi bardzo ulżyło, że nie jest już sam z chorym kuzynem. Z uwagą patrzył, jak Siglind chłodzi twarz, szyję, tors i ręce Osmunda, a przede wszystkim przykładła wciąż na nowo wilgotny okład na opuchnięte miejsca. Nie dawało to jednak żadnego efektu i troska Jareda powróciła.

- Czy on w ogóle jeszcze oddycha?

Candamir stał przy Siglind półnagi, z założonymi rękami, i przyglądał się Osmundowi zniecierpliwiony i zatroskany. Po pytaniu Jareda schylił się, wyrwał źdźbło



trawy i przytrzymał je przy nosie Osmunda. Żdźbło wyraźnie zadrżało. Candamir położył więc przyjacielowi dłoń na sercu.

- Równomiernie i mocno - oznajmił.

- To dobrze - powiedziała Siglind i delikatnie odgarnęła choremu jasne włosy z czoła. - Myślę, że zaraz się ocknie. Wydaje mi się, że oddech mu się pogłębia.

Tak było. Niebawem Candamir i Jared dostrzegli, że pierś Osmunda unosi się i opada. Wkrótce Osmund poruszył się i zadrżał.

- Spokojnie - szepnęła Siglind i położyła mu okład na czoło, na którym nagle pojawiły się kropelki potu. - Zaraz poczujesz się lepiej, zobaczysz.

Osmund uśmiechnął się niemrawo.

- Siglind... - I nagle z przerażeniem otworzył oczy i gwałtownie się wyprostował, jakby jej dotyk go oparzył.

- Spokojnie, chłopie - pouczył go Candamir. - Tylko spokojnie.

Usiadł obok przyjaciela i spojrzał mu badawczo w oczy

- Candamirze... - W jego głosie brzmiało zmieszanie. - Co się... Gdzie jesteśmy?

- W lesie. Zbierałeś miód i znowu upadłeś.

- Ach tak. - Osmund uśmiechnął się słabo. - Teraz sobie przypominam. Gdzie Jared?

- Jestem, kuzynie. - Chłopiec podszedł do niego. - Nieźle mnie wystraszyłeś.

- Hm... - mruknął Osmund sucho, oparł się na ramieniu Candamira i nieco niepewnie stanął na nogi. - Już po wszystkim. No, nie patrz tak na mnie, jakbym powstał z martwych, dobrze? - burknął rozstrojony Jak zawsze było mu wstyd, że zemdlał jak jakaś panienka.

Candamir wcale nie był pewien, czy naprawdę jest już po wszystkim. Czasami po zagadkowym pszczelim śnie Osmundowi było okropnie niedobrze. Miał usilną nadzieję, że tym razem tak nie będzie - żaden mężczyzna nie ma ochoty wymiotować pod nogi pięknej kobiety, w każdym razie mężczyzna trzeźwy

- Jaredzie, to już może z Siglind sobie pójdziecie. Ja zostanę z Osmundem, aż...

- Mowy nie ma - Siglind stanowczo mu przerwała. - Zostanę tutaj, aż się przekonam, że znowu czuje się dobrze.

Osmund ukradkiem przewrócił oczami.

- Czuję się dobrze.

- Tym lepiej - odparła spokojnie, wcale nie zbierając się do odejścia.

Tak, zatem siedzieli w trawie we czwórkę. Czuli się niemal tak, jakby znów były tamte pierwsze dni, kiedy poszli na zwiady. Od tamtej pory upłynęło wiele czasu, niejedno się wydarzyło, odsuwając ich od siebie, ale wciąż byli sobie bliscy jak starzy towarzysze broni. Rozmawiali o postępach przy budowie świątyni, o szeroko omawianej kwestii, czy zboże ozime w ogóle wejdzie, jeśli nie będzie mrozu, a także o planach Osmunda i Candamira, aby późną jesienią, po zakończeniu prac polowych i postawieniu wszystkich domów, wybrać się na długą wyprawę badawczą w głąb kraju.

- Chociaż już nie wierzę, żebyśmy gdzieś tutaj natknęli się na innych ludzi - wyznał Candamir. - Siedzimy tu już niemal pół roku. Gdyby Odyn przywiódł na swoją wyspę jakichś ludzi poza nami, dawno byśmy trafili na ich ślady.

Osmund przytaknął.

- Też tak sędzę. Ale chcę z bliska zobaczyć pustkowie i ognistą górę. - Jego policzki wciąż były blade pod opalenizną, ale nie dyszał już tak, jak przed kwadrans. Rzeczywiście czuł się lepiej.

- Tylko uważajcie na siebie. - Siglind nie mogła się powstrzymać od wtrącenia tych słów, chociaż w istocie kusilo ją, żeby towarzyszyć obu przyjaciółom.

- Jak nam dobrze pójdzie, chciałbym przekroczyć góry i obejrzeć teren po drugiej stronie wyspy - powiedział Candamir, nie zwracając uwagi na jej ostrzeżenie.

- Po co? - zapytał Jared zdziwiony. - Czy gdziekolwiek może być lepiej niż tutaj?

- Przypuszczalnie nie - wzruszył ramionami Candamir. - Chciałbym się tylko rozejrzeć. Jeśli dotrzemy aż na brzeg morza, zanurkuje w poszukiwaniu pereł i przyniosę ci je, Siglind.

Gwałtownie opuściła wzrok, ale mężczyźni i tak dostrzegli delikatny rumieniec, który oblał jej twarz.

- Z podziękowaniem wstrzymam się do dnia, w którym to rzeczywiście nastąpi - powiedziała z wymuszonym uśmiechem.

- Tak, myślę, że to mądre - musiał przyznać Candamir i oboje się roześmiali.

Osmund poczuł znajome ukłucie.

- Jak sądzicie, może już pójdziemy? - zapytał. - Już dosyć czasu zmarnowaliśmy.

Pozornie bez wysiłku stanął na nogi. Pozostali poszli za jego przykładem i ruszyli na wschód w drogę powrotną do osady Szli chyba nieco wolniej niż zwykle. Osmundowi nadal kręciło się w głowie i był tak wyczerpany, jak zdarzało mu się jedynie po długiej, zaciętej walce. Nie było mu jednak niedobrze i wiedział, że nazajutrz będzie już po strachu. Uznał, że trochę przesadził, i zaczął się zastanawiać, jak udoskonalić swoją metodę zbierania miodu.

Brnęli przez nieprzebytą gęstwinę, z dala od wszelkich ścieżek, które osadnicy wydeptali sobie wzdłuż i wszerz lasu, ponieważ szli na skróty. Wystarczająco dobrze znali okolicę, by wiedzieć, że po stu krokach dotrą do polanki i kolejnego potoku, który płynie bezpośrednio do ich rzeki. Jared, który niósł wiadro z popołudniową zdobyczą, odłamał pełny miodu kawałek plastra i podał Siglind.

- Proszę.

- Och, wielkie dzięki, Jaredzie. - Chciwie jak dziecko zdrapała cienką warstwę wosku przykrywającą komórki i wyssała je ze smakiem. Ze starannie skrywaną rozkoszą Osmund i Candamir obserwowali jej beztroski śmiech, jej małe różowe paluszki wydobywające ostatnie krople z licznych zakamarków.

- Bądź tak dobry i mnie też daj kawałek, Jaredzie - Candamir wyciągnął rękę.

- Nie po to dałem się pożądlić, żebyście teraz wy dostawali smakołyki - zaprotestował Jared.

- Ach, tylko mały kawałek. No już, nie bądź taki. Ty...

Przerwał, bo Siglind nagle stanęła jak wryta. Na jej twarzy malowała się taka groza, że Candamir pomyślał, że do plastra była przyklejona pszczoła, dostała się jej do ust i użądliła. W rosnącej panice zastanawiał się, co ma robić, a wtedy Jared wydał stłumiony krzyk, wyrażający zarówno wstręt, jak i rozpacz.

Skołowany Candamir stwierdził, że Siglind i Jared patrzą w tym samym kierunku, także więc tam spojrzął. To, co ujrzał, nappełniło go tak wielką odrazą, że wydawało mu się, jakby jego trzewia nagle się rozplynęły jak woda. Wstrząs był silniejszy niż jakikolwiek znany mu fizyczny ból. I nic dziwnego. To, co działo się przed jego oczami, było najczarniejszym i najobrzydliwszym koszmarem, jaki kiedykolwiek go spotkał.

Niecałe dwadzieścia kroków przed nimi klęczał z opuszczonymi spodniami Turończyk. Plecy miał wygięte, ogoloną głowę odrzuconą do tyłu, a twarz wykrzywioną

ponurą maską cierpienia. Ręce opierał o pień drzewa, aby przyjmować okrutne pchnięcia człowieka, który klęczał za nim z ręką wczepioną w jego wątle ramiona i gwałcił go. Kiedy czworo niepożądanych świadków wciąż stało skamieniałych ze zgrozy, przestał, wstał i poprawił na sobie ubranie. Młody niewolnik odsunął się na bok i drżącymi rękami bezskutecznie podciągał spodnie.

Osmund musiał się pogodzić z tym, że nie może powstrzymać potężnego napadu mdłości. Gwałtownie się odwrócił i zniknął między krzewami leszczyny

Jared ostrożnie jak lunatyk postawił wiadro na ziemi, po czym odwrócił się nieco od całej sceny, zakrył ręką oczy i w nieregularnych odstępach w kółko bełkotał pod nosem: „Och, przepotężny Thorze!”, jakby chciał ubłagać swojego opiekuńczego boga, by ten cofnął zdarzenie, które zobaczył.

Siglind zrobiła niepewny krok w kierunku Turończyka i jego gwałciciela, co wreszcie wyrwało Candamira z osłupienia. Położył jej dłoń na ramieniu tak silnie, że aż się przelękała, czy uścisk ten nie połamie jej wszystkich kości jak gałązek. Wymienili krótkie spojrzenia. Candamir znacząco pokręcił głową, położył palec na ustach, po czym sam wyszedł zza osłony gęstwiny ku okrutnej scenie. Kolana miał miękkie jak masło, a krok tylko na pozór zdecydowany.

Z opuszczoną głową przykucnął obok młodego Turończyka i pomógł mu osłonić nagość. Kiedy niewolnik go ujrzał, wybuchł dławionym szlochem i schował głowę w ramionach.

Candamir znowu powstał i powoli się odwrócił.

- Jesteś już skończony, Olafie.

Ta świadomość napelniła go dzikim, gorzkim triumfem, i nie krył zadowolenia.

Teraz Olaf był tym, który stał jak skamieniały, Candamir przypuszczał jednak, że nie z powodu przerażenia. Wiedział, że za czołem Olafa umysł pracuje, wręcz widział, jak potężny kupiec szuka w myślach wymówek lub jakiegoś podstępu. Candamir nie był, więc zaskoczony, gdy Olaf wybrał ucieczkę przez atak.

- Dlaczego? Bo mnie złapałeś, jak się zabawiam ze swoim niewolnikiem? Naprawdę sadzisz, że ktoś ci uwierzy na słowo, jeśli oskarżysz mnie o tak haniebny czyn, Candamirze? Jestem szanowanym człowiekiem, nie zapominaj o tym - sprawiał wrażenie nawet na swój sposób rozbawionego, skoro pozwolił sobie na żarty z Candamira.

Candamir nie powiedział mu, że jest więcej świadków, bo chciał, o ile było to możliwe, nie mieszać ich w tę obrzydliwą historię.

- Wreszcie wiemy już ostatecznie, na czym opiera się ten twój szacunek, prawda? Na kłamstwie i oszustwie. W rzeczywistości jesteś... Jesteś... - Było mnóstwo pogardliwych określeń na to, czym był Olaf, ale Candamir nie wymówił żadnego.

- No? Jak ty chcesz mnie oskarżać, skoro się za bardzo wstydzisz, żeby to wypowiedzieć?

- Jakoś się przemogę - obiecał Candamir kwaśno. Ze wstrętem pokręcił głową. - Och... Na wszystkich bogów, Olafie, jak ty możesz sam siebie znosić?

Stary machnął ręką.

- Wiesz, nie jest tak źle, jak ty to sobie roisz w tym swoim ograniczonym widzeniu świata. Są kraje, gdzie każdy dobrze urodzony trzyma sobie chłopca do zabawy. Gdy byś chciał kiedyś spróbować, zawsze spokojnie możesz się do mnie zwrócić.

Było to jak uderzenie pięścią w brzuch. Candamirowi aż zrobiło się niedobrze od wściekłości i odruchowo wyciągnął sztylet z pochwy u pasa, jakby chciał się obronić.

W tej samej chwili Olaf dobył miecza.

- Osmundzie! - gardłowo zawołał Jared w kierunku krzaków. - Cokolwiek właśnie robisz, musisz natychmiast tu przyjść.

Po chwili Osmund wyszedł z gęstwiny i razem z pozostałymi przyglądał się nierównej walce, która trwała tam na polance. Candamir i Olaf nie mieli dosyć miejsca na pojedynek, co było szczególnie niebezpieczne dla Candamira, ponieważ Olaf miał ostrze sięgające dalej.

- Jak on potrafi walczyć - mruknęła Siglind zdziwiona. - O tym... Wcale nie wiedziałam.

Osmund rzucił jej błyskawiczne spojrzenie. Jej wzrok był przykuty do Candamira, a jej oczy błyszczały

Osmund musiał jej przyznać rację, choć był mniej zaskoczony, ponieważ razem z Candamirem wprawiali się w walce na miecze, topory i sztylety od czasu, gdy tylko zaczęli chodzić, Osmund znał, więc kocią zwinność i siłę swojego mlecznego brata. Ten zaś bez trudu unikał wściekłej klingi Olafa, a nawet raz udało mu się dopuścić

przeciwnika tak blisko, że ranił go sztyletem w ramię.

- Mimo to nie da rady, jeśli nic nie zrobimy. Takiego mistrza miecza jak Olaf nie da się pokonać nożem - powiedział cicho Osmund. - Zostańcie tu. Ja idę.

Niechętnie opuścił kryjówkę i podszedł do walczących. Na szczęście Jared i Siglind nie posłuchali go, ale poszli za nim. Kiedy bowiem Olaf spostrzegł Osmunda, na jego twarzy po raz pierwszy pojawiło się prawdziwe przerażenie. Świadomość, że naprawdę jest skończony, uderzyła go jak niespodziewany ból, i bez najmniejszego wahania podniósł miecz na swojego nieuzbrojonego bratanka. Z tym Osmund wcale się nie liczył, a poza tym był wymęczony i otepiały - uskoczył zdecydowanie za wolno.

Jared rzucił się na ojca od strony ręki, w której trzymał on miecz, i w ten sposób zapobiegł pchnięciu, które byłoby zabójcze. Siglind wykorzystała chwilowe zaskoczenie Olafa i wyrwała mu broń z opuszczonej dłoni. Candamir opuścił ręce. Na małej łączce zapanowała cisza i nie było słyhać nic prócz dyszenia walczących. Zdawało się, że nawet ptaki zamilkły ze zgrozy

W końcu Olaf podniósł głowę. Był tak blady, że jego skóra wydawała się niemal przezroczysta, skołowany patrzył na syna.

- Jak chcesz z tym żyć, mając własnego ojca na sumieniu, Jaredzie? Nie sądzę, że sobie z tym poradzisz. Na to jesteś zbyt tchórzliwy

- Nie jest tchórzem - sprzeciwili się Candamir i Osmund niemal jednym głosem.

Młody człowiek głośno przełknął ślinę, ale wytrzymał spojrzenie ojca.

- Nie wiem, ojciec. W każdym razie tak dalej nie mogę żyć - minę miał dziwnie pozbawioną wyrazu, ale smutek w jego oczach pozwalał podejrzewać, że Jared był tym zajściem znacznie mniej zaskoczony niż pozostali. Candamir zastanawiał się, jak też mogło naprawdę wyglądać życie w domu Olafa za zamkniętymi drzwiami, i przypomniał sobie z tłumionym wzdrygnięciem, że zeszłej zimy, pełnej głodu, o mały włos nie wysłał tam swojego młodego, pięknego brata.

- Chciałeś zabić Candamira i chciałeś zabić nawet mojego kuzyna tylko po to, żeby nadal móc bez końca robić to, co dawniej - ciągnął Jared. Potem pokręcił głową. - Ale już dosyć. Jeśli to ma być lepsza ojczyzna niż poprzednia, to, dlaczego nie może być taka również i dla mnie, mojego rodzeństwa i wszystkich, którzy są na twojej łasce?

Tym razem to Olaf był tym, którego prowadzono do osady związanego i

otoczonego hańbą. Candamir złapane we wnyki zwierzęta porzucił w lesie, a odzyskanym sznurem związał Olafowi ręce na plecach. Razem z Osmundem prowadzili go do osady, uważając jednak, żeby nie naruszać godności Olafa, nie szarpali go, jedynie rozbroili i szli pół kroku za nim, każdy po jednej stronie.

Jared został w lesie. Sprawiał wrażenie bardzo zdenerwowanego i powiedział, że chce przez jakiś czas być sam.

Siglind bardzo przejęła się losem Turończyka. Ten początkowo unikał patrzenia na nią czy kogokolwiek innego i nie reagował, gdy do niego mówiono. Gdy jednak mężczyźni odeszli, dał się przekonać do popłynięcia na wyspę do świętego źródła.

Zrobiło się późne popołudnie. Mężczyźni wracali z pola i zabierali się za prace przy domu, kobiety stały przy piecach, służące doily bydło. Wkrótce, więc wszyscy gadali, że Osmund i Candamir przyprowadzili do osady związanego Olafa, i jak zwykle członkowie społeczności zgromadzili się przy nowym jesionie na brzegu, aby usłyszeć, co się wydarzyło, i uradzić, co robić.

Gdy już pojawili się wszyscy wolni mężczyźni i wolne kobiety, a także większość niewolników, Brygida zapytała:

- Co to ma znaczyć?

Osmund i Candamir wymienili spojrzenia. Potem Osmund odpowiedział starej:

- Niech odeślą dzieci.

- Ale...

- Lepiej mnie posłuchaj, Brygido.

Popatrzyła na niego przez chwilę zmrużonymi oczami, po czym skinęła głową i wykonała gest, jakby chciała przepłoszyć stado gęsi.

- Słyszeliście? Już was nie ma, do domów i szałasów!

Candamir podszedł zaś do Haralda i coś mu szepnął.

Kowal spojrział na niego wielkimi oczami.

- Jesteś pewien?

Candamir głośno odetchnął i spojrział na niego. „Oczywiście, że jestem pewien - mówił jego wzrok. - Chyba nie sądzisz, że robię to dla zabawy?”.

Harald założył na piersiach potężne ręce. Z wściekłą miną zwrócił się do zgromadzenia.

- Candamir powiada, że Olaf dopuścił się przestępstwa na Turończyku.

Na chwilę zapanowało zdumione milczenie. Po czym rozległy się podniecone pomruki. Wszyscy mówili równocześnie, ale stłumionym głosem. Brygida niezdarnie przysiadła w trawie i odwróciła się plecami do zgromadzenia. Wiedziała, że to sprawa, którą mężczyźni muszą załatwić między sobą.

Stary Eilhard powtórzył pełne niedowierzania pytanie Harald:

- Czy to pewne?

- Poza nami było jeszcze trzech świadków. Osmund, Siglind i... Jared.

Mruczenie zrobiło się głośniejsze.

Przestępstwo było tak odrażające, tak niesłychane, że nikt nie czuł się powołany do dalszego śledztwa. Mało, kto w ogóle słyszał o czymś takim. Jedynie Brygida i Eilhard, najstarsi spośród osadników, pamiętali, że coś podobnego bardzo dawno temu raz się w tej osadzie wydarzyło, i wreszcie Eilhard niechętnie zabrał głos. Zwrócił się do Olafa.

- Co masz do powiedzenia na ten zarzut?

Olaf stał wyprostowany i na pozór bez trwogi odwzajemniał spojrzenie starego wojownika.

- Nic.

- Nie żałujesz? - głos Eilharda zabrzmiał niemal jak zaklęcie.

- Nie.

Znowu zrobiło się zupełnie cicho.

- W takim razie musisz umrzeć, Olafie - wycedził Eilhard.

Austin spuścił głowę i przeżegnał się. Było mu wszystko jedno, czy ktoś to widzi. „Jezu Chryste, spraw, by byli miłosierni i niech to się stanie szybko” - modlił się gorliwie. Miał jednak mało nadziei, że jego modlitwa zostanie wysłuchana. Znał swoje mimowolne owieczki. Zrobią coś okropnego. Widział to po ich zaciętych minach, po ponurych ognikach w szarych i błękitnych oczach.

Sakson wiedział, że u tych ludzi, którzy właściwie nie bardzo się przejmowali zagadnieniami moralnymi, stosunki nierządne między mężczyznami uważa się za



najbardziej odrażające ze wszystkich przestępstw. W gruncie rzeczy przyznawał im rację. Ponieważ i tak był przekonany, że jedynie surowe kary zdołają nauczyć ludzi przyzwoitości i powściągliwości, stwierdził, że wobec takiego grzechu sam zalecałby nieugiętą surowość. Chociaż słyszał, że nawet w chrześcijańskich klasztorach zdarzają się tego rodzaju praktyki, które najlepiej przykryć zasłoną milczenia. Miłość między mężczyznami wydawała mu się tak zepsuta, jak każda inna forma nierządu. Ten lud rozumiał to jednak inaczej. Przypomniawszy sobie rozmowę, którą kilka lat wcześniej prowadził na ten temat z Candamirem, kiedy jego pan był bardzo pijany. Od tamtej pory wiedział już, że ten szczególnie grzech wydaje się tutejszym ludziom bardziej niewybaczalny niż jemu. Dla nich występki Olafa były nie do opisania.

- W takim razie oddajcie mi mój miecz i pozwólcie, że zrobię to sam - zażądał Olaf. Głos miał mocny jak zawsze, nawet nie zadrżał. - Nie zapominajcie, że beze mnie nikt z was nigdy by nie dotarł na Catan. Jesteście mi coś winni. Przynajmniej godną śmierć.

Nagle Siward podniósł się z trawy, podszedł do niego i splunął mu w twarz. Olaf wzdrygnął się i szarpnął do tyłu.

- Nie jesteśmy ci winni nic! - wykrzyknął rozwścieczony najstarszy mieszkaniec Catanu. Jego nienawiść wobec Olafa, która w ciągu ostatnich miesięcy tylko się żarzyła, ale nie wygasła, teraz znów zapłonęła. - Ty zwiodłeś nas jedynie na manowce! Tylko Odynowi zawdzięczamy, że tu jesteśmy. Jesteś hańbą dla niego, dla nas wszystkich, i nie zasługujesz na życie w tym kraju! Eilhard ma rację. Musisz umrzeć. W dawnych czasach takich jak ty topiło się w trzęsawisku.

Olaf szyderczo wykrzywił usta.

- Na Catanie długo możesz szukać bagna, dzielny Siwardzie.

Candamir nie mógł się powstrzymać, żeby nie podziwiać jego odwagi. Olaf musiał się bać - był zbyt mądry, żeby nie wiedzieć, że czeka go przerażający koniec, nic nie dawał jednak po sobie poznać.

Nagle rozległ się piskliwy okrzyk. Wszyscy aż się wzdrygnęli, a Osmund spojrział na swoją młodą żonę, która spowodowała to zamieszanie, z niechętnie zmarszczonym czołem. Inga podskoczyła, podniosła szczupłe ramiona, spojrzała wielkimi oczami na małżonka i uniosła rękę.

- Przepraszam. W trawie była żmija. Przestraszyłam się... Przepraszam.

Żadna ciężarna kobieta nie cieszyła się ze spotkania z wężem, gdyż była to zła wróżba dla przyszłości dziecka. Siward podniósł głowę.

- Żmija? Gdzie?

Pokazała mu palcem, który wciąż drżał.

- Tam. Odpełzła w kierunku brzegu, ojczce.

Szkutnik Berse odważnie poszedł we wskazanym kierunku, nachylił swój garbaty tułów i wypatrzył w wysokiej trawie jasnobrązową żmiję z czarnym wzorem, nie dłuższą niż ręka. Błyskawicznym ruchem chwycił ją tuż za głowę i podniósł do góry. Żmija walczyła, żeby się uwolnić, wiła się tam i z powrotem całym cielskiem, na próżno jednak. Z wężem w wyciągniętej ręce skutnik podszedł do Eilharda, Siwarda i Haralda stojących nierównym półkolem przed Olafem.

- No? Co powiecie?

Trzej mężczyźni, milcząc, porozumieli się spojrzeniem. Eilhard zwrócił się do Brygidy, która wciąż odwrócona siedziała nieruchomo w trawie.

- Czy to jest znak?

Nie odpowiedziała od razu. W końcu jednak przytaknęła.

- Tak - burknęła. - To znak, bez wątplenia.

Eilhard stanął przez więźniem.

- Umrzesz żmijową śmiercią. Oby bogowie dali ci siłę i odwagę.

Olaf nawet nie drgnął, przyjmując wyrok.

- Od razu? - zapytał.

Starzec przecząco pokręcił głową.

- Jutro rano. Będziesz miał okazję pożegnać się z syna mi i uregulować swoje sprawy.

Pierwszy raz było widać, że Olaf z trudem zachowuje spokój. Zwiesił głowę.

- Dziękuję, Eilhardzie - usłyszeli jego pomruk.

- Żmijowa śmierć? Co to znaczy? - zapytał podejrzliwie Austin, kiedy wracał z Candamirem i Haraldem. Nie otrzymał odpowiedzi. Kował ze spuszczoną głową wszedł

do domu i zaraz wycofał się do sypialni. Candamir poszedł do kuźni i demonstracyjnie zamknął niewolnikowi drzwi przed nosem.

Austina nie można było jednak tak łatwo zbyć, gdy coś obudziło jego żądzę wiedzy. Zadał, więc to samo pytanie Haconowi, który ze swoim przyjacielem Wilandem siedział na brzegu niedaleko kuźni i rzucał kamyki do wody. Obaj przyjaciele również byli bardzo wstrząśnięci, ale nie byli tak małowolni i ponurzy jak dorośli.

- Włożą żmiję do wydrążonej trzciny - wyjaśnił Hacon. - Następnie wepchną ją Olafowi do gardła. Żmija wpełźnie mu do brzucha i... Pokąsa go od środka.

- O mój Boże... Hacon kiwnął głową.

- Nigdy jeszcze tego nie widziałem. Musi to wyglądać strasznie - mówił, trochę się jękając. Znał jednak dobrze swojego anglosaksońskiego przyjaciela, wyrwał go, więc z odrętwienia wywołanego grozą i stanowczo ostrzegł: - Lepiej nie rób nic, żeby oszczędzić Olafowi okrutnego losu, Austinie. Jeśli go uwolnisz i cię przyłapią, ty będziesz tym, który połknie żmiję.

Mnich wzdrygnął się mimo woli.

- Nie, wielkie dzięki. Może zrobiłbym to dla kogoś innego, ale nie dla Olafa. Chociaż wcale na to nie zasłużył. Żaden człowiek nie zasługuje na taką śmierć. To barbarzyństwo.

Hacon nie miał pojęcia, co znaczy „barbarzyństwo”, ale i tak był skłonny przyznać Austinowi rację. Nic jednak nie powiedział.

- Kto go pilnuje? - zapytał Sakson.

- Thorbjorn i Haldir, synowie Eilharda - odparł Wiland.

- Mój ojciec uważa, że powinni go pilnować ludzie, którzy nie mają osobistych pretensji do Olafa, co zagwarantuje, że wszystko odbędzie się godnie i przyzwoicie.

Austin poruszony pokiwał głową. Określenia „godnie” i „przyzwoicie” nie bardzo pasowały do tego rodzaju egzekucji, ale wiedział, co Wiland miał na myśli. Jego żywy umysł wybiegał już w przyszłość.

- Wiele się tu zmieni, gdy nie będzie już Olafa - zauważył w zadumie.

- Będzie lepiej - odparł Wiland. Austin przytaknął.

- Mimo to niedobrze, że postęp naszej społeczności jest związany z tak przerażającym, krwawym czynem. Nie wróży to dobrze naszej przyszłości.

- Może i nie - przyznał Hacon. - Jakiś bóg zesłał nam jednak tę zmiję jako znak. A żaden inny bóg temu nie zapobiegł.

Sakson zgodził się, wzdychając.

- Tak. Mnie też od czasu do czasu przychodzi do głowy, że w chwilach decydujących On woli spoglądać w inną stronę.

Im dłużej Jared rozmyślał o przyszłości, tym bardziej robił się ponury.

Został na polance, gdzie los jego rodziny tak tragicznie się odwrócił, ponieważ miał niejasną nadzieję, że ukaże mu się któryś z bogów i wyjaśni przynajmniej, dlaczego to wszystko musiało się wydarzyć. Czekając, zdarł skórki z kuny i zajęcy Candamira i oprawiał je, żeby później położyć właścicielowi pod drzwiami. Nie, dlatego, żeby chciał Candamirowi oddać przysługę, ale aby zająć czymś ręce i nie dźgnąć sztyłem samego siebie.

Oto był więc wolny. Nadszedł w końcu dzień, na który tak długo czekał - jego ojciec albo już nie żył, albo umrze w ciągu najbliższych godzin, jeśli thing okazał miłosierdzie i pozwolił na niewielką zwłokę. Tak czy inaczej, koszmar się skończył. Teraz Jared będzie głową rodziny. On będzie prowadził gospodarstwo, ustalał nowe, lepsze zasady, pomagał rodzeństwu i zapomni o przerażających rządach ojca, z wiarą patrząc w przyszłość. Nie wiedział jednak, jak ma tego dokonać. Przecież go znienawidzą! Przede wszystkim Lars, jego piętnastoletni brat, który zawsze mu zazdrościł pozycji najstarszego syna i był gotowy zapłacić każdą cenę za zwrócenie na siebie uwagi ojca, z chęcią znosił, więc wszystko, ale dosłownie wszystko, co ten robił. Z siostrami nie było inaczej. Olaf rządził, bowiem nie tylko żelazną ręką, ale także sprytem - potrafił wzbudzać zarówno miłość, jak i strach. Zwłaszcza w matce. Do czasu, aż w końcu nie wytrzymała i pewnego zimowego dnia, pośród zawiei, rzuciła się do lodowatego fiordu. Jared przeklinał ją za to, że zostawiła jego i rodzeństwo na pastwę losu. Dziś byłby już skłonny jej wybaczyć. Kusiło go, bowiem, żeby podążyć w jej samobójcze ślady...

- Jaredzie.

Wzdrygnął się i podniósł głowę. Zdążył już zapaść zmrok i nie od razu można

było rozpoznać, kto stoi na skraju gęstwiny. Poznał jednak chód, gdy tamten podchodził bliżej. To nie Thor przybył do niego, ani żaden inny bóg.

- Osmund...

Kuzyn zrobił zapraszający gest.

- Chodź. On chce się z tobą widzieć. I musisz się zająć rodziną.

Jared przełknął ślinę przez zaschnięte gardło.

- Jeszcze żyje?

- Tak. Do jutra rana.

- W jaki sposób...

- Nie sądzę, żebyś naprawdę chciał wiedzieć. Ty i twoje rodzeństwo powinniście być daleko od osady, aż będzie po wszystkim.

- Och, Osmundzie. Co ja mam im powiedzieć? Jak mam im to wyjaśnić? Oni... Nazwą mnie ojcobójcą. W głębi duszy wszyscy w rodzinie będą mnie tak nazywać, choć wiedzą już, jaki z niego potwór, i nikt z nich łzy nie uroni za nim.

Osmund pomyślał, że kuzyn ma rację. Chociaż Jared nie mógł przecież powstrzymać Candamira od oskarżenia jego ojca, to i tak chłopiec zawsze będzie ponosił winę za to, że nie zginął, przynajmniej podejmując jakąś próbę walki. Haniebny czyn Olafa pójdzie w zapomnienie, ponieważ wszystkich napełnił takim wstydem, że nikt bez potrzeby nie będzie chciał o tym wspominać. Za to Jared będzie w pieśniach opisywany jako ten, który zdradził własnego ojca.

- Życie często jest pełne goryczy, Jaredzie. Nie wierzę, że to odkrycie jest dla ciebie czymś nowym.

- Nie jest.

- Teraz najważniejsze jest twoje rodzeństwo. Musisz spróbować im ułatwić tę sytuację w możliwie dużym stopniu. Musisz też znieść wszystko, cokolwiek by ci mówili. Jestem przekonany, że potrafisz, bo rodzeństwo jest ci drogie i zapewne nikt tak dobrze jak ty nie rozumie, jak bardzo czują się rozdarci, jak ogromne jest ich zagubienie. Będziesz wobec nich cierpliwy i uważający, wiem o tym.

- To wiesz więcej ode mnie. Pod żadnym pozorem nie chcę też rozmawiać z nim.

Już na samą myśl o tym robiło mu się niedobrze ze strachu. Chociaż rozsądek podpowiadał mu, że ojciec nie może mu już niczym zagrozić, to długo jeszcze potrwa,

zanim jego ciało w to uwierzy.

- Zrób to jednak, Jaredzie. Zrób to dla siebie. W przeciwnym razie jego cień będzie cię ścigał przez całe życie i skończysz jak twoja matka. Nie powinieneś mu dawać powodu do triumfu.

- To prawda - mruknął młodzieniec.

Przez chwilę panowała cisza. Potem Jared włożył sztylet do pochwy i wstał.

- Masz - wręczył Osmundowi kijek, na jednym jego końcu wisiały oprawione zające, a na drugim skórki. - Daj to Candamirowi. Szkoda byłoby dobrego mięsa.

- Dziękuję. Odprowadzę cię kawałek.

- Żeby ze mną pobyć czy żebym mimo wszystko nie uciekł? - zapytał chłopiec z niewesołą miną.

- Bo idziemy tą samą drogą, kuzynie - odpowiedział Osmund, a Jared rzucił mu podejrzliwe spojrzenie, bo słowa te zabrzmiały dziwnie znacząco. Było jednak zbyt ciemno, by mógł zobaczyć wyraz twarzy Osmunda.

Podczas godzinnego marszu prawie się do siebie nie odzywali. Im bliżej byli osady, tym mocniej Jared czuł, jak skręca go w żołądku, ale obecność Osmunda pomogła mu wziąć się w garść.

Na nadbrzeżnej łące, nieopodal jesionu, ktoś wbił w ziemię pochodnię. Jared spojrzał w tamtym kierunku zmrużonymi oczami i na skraju oświetlonego kręgu rozpoznał postać swojego ojca, jakby z innego świata. Na ramiona położono mu jako jarzmo gruby konar i przywiązano do niego rozpostarte ręce. Związane miał także nogi w kostkach. Thorbjorn i Haldir siedzieli nieopodal w trawie odwróceniem do więźnia plecami, aby mu pokazać swoją pogardę. Jaredowi przemknęło przez głowę, że równie dobrze mogliby spać. Olaf był tak mocno związany, że na ucieczkę nie było żadnej szansy.

Osmund na chwilę położył kuzynowi dłoń na ramieniu, po czym się odwrócił.

Powolnym, niechętnym krokiem podszedł Jared w kierunku pochodni, minął wartowników, którzy skinęli w jego kierunku z poważnymi minami, po czym stanął przed ojcem. Dopiero teraz zauważył Larsa, który leżał w trawie po prawej stronie i załamany szlochał. Ciało miał dziwnie skręcone, jakby cierpiał na jakieś skurcze.

- Larsie - napomniał Jared głucho. - Weź się w garść. Chłopiec gwałtownie usiadł.

- Nie odzywaj się do mnie! - syknął. - Nigdy już nie odezwę się słowem do ciebie,

przysięgam na...

- Nie, Larsie, tak nie można - wpadł mu w słowo ojciec. Mówił cicho, ktoś mógłby uznać, że łagodnie, a wartownicy byli za daleko, żeby cokolwiek słyszeć. - Nie zgadzam się na to, żebyście byli dla siebie wrogami. Twój brat zrobił to, co musiał. Chcę, żebyście zachowali pokój i postarali się, aby nasz klan rozwijał się i był silny. Takie jest moje ostatnie życzenie. - Mimo jarzma na szyi z trudem podniósł głowę i spojrzał na Jareda. - Albo, ściślej mówiąc, przedostatnie. Moje naprawdę ostatnie życzenie skierowane jest do ciebie, Jaredzie.

Mimo ciepłego nocnego powietrza Jared poczuł lodowaty dreszcz.

- Czego chcesz? - zapytał chłodno.

Przez wiele lat, kiedy jako kupiec wyprawiał się za morze, Olaf nauczył się, że aby dostać to, co się chce, trzeba być zręcznym graczem, który nie traci zimnej krwi. Nigdy wcześniej nie grał o tak wysoką stawkę jak dziś. Wydawało mu się także, że nigdy dotąd nie osiągnął takiej jasności umysłu. Ogromnym wysiłkiem woli nadał swojemu głosowi ton łagodnej dobrotliwości.

- Wiesz, że czeka mnie zmijowa śmierć?

Pod Jaredem nagle ugięły się kolana. Osunął się, czy może upadł w trawę przed Olafem.

- Tak. Wiem, ojcze.

Olaf uśmiechnął się do niego.

- W takim razie weź sztylet, synu, i oddaj mi już naprawdę ostatnią przysługę.

Niedługo po zapadnięciu zmierzchu Candamir poszedł do małego szałas Siglind, oddalonego zaledwie kilka kroków od kuźni. Był niespokojny. Czuł się strasznie - zawstydzony, skalany i winny, chociaż nie miał pojęcia, dlaczego. Uznał, że jeśli Siglind czuła się podobnie, to nie powinna dziś wieczór być sama. Jej szałas był jednak opustoszały, a popiół w ognisku przed drzwiami zimny. Candamir był gorzko rozczarowany i musiał przyznać, że najwidoczniej nie sam niósł pociechę, ale chciał ją znaleźć. Zaczął się martwić. Gdzież się mogła podziewać w ten wieczór, tak ciężki jak ołów, grobowo cichy i duszny?

Najpierw szukał jej u Saksona, ten siedział jednak z Haconem i Wilandem przy kuźni i opowiadał im jakąś historię. Chłopcy słuchali z uwagą i błyszczącymi oczami. „Zapewne znowu mówi o cudownych czynach swojego boga” - pomyślał Candamir, skoro udało się jednak Saksonowi zająć chłopców myśleniem o czymś innym, to dobrze. Poszedł w dół rzeki do nowego domu Osmunda, ale pana domu nie było, a Inga nie wiedziała, gdzie się podziewa.

- Myślałam, że jest u ciebie - powiedziała. W jej głosie brzmiał wyrzut. Candamir pokręcił głową.

- Może szuka Jareda. Westchnęła głęboko.

- Pewnie masz rację. Och, Candamirze. Cóż to za okropna historia...

Ze zwieszoną głową przytaknęła.

- Nie wiesz czasem, gdzie się podziewa Siglind?

- Patrzyłeś, czy łódź jest już z powrotem? Być może jest jeszcze na wyspie.

Od kiedy założyli osadę, na rzece zgromadziła się cała kolekcja przeróżnych pływających jednostek: łodzi wiosłowych z wydrążonych pni, tratw i pozostałych statków, które tu sprowadzono. Haldir i Thorbjorn przyciągnęli na brzeg potężne pnie i wzdłuż rzeki wybudowali drewniany pomost, gdzie wszystkie łodzie mogły bezpiecznie cumować. Nawet w słabym świetle księżyca Candamir dostrzegł jednak od razu, że jednej łodzi brakuje. Była zwrotna i łatwa w sterowaniu, a Candamir powiedział Siglind, że zawsze, kiedy będzie potrzebowała, może ją sobie pożyczyć. Najwidoczniej Inga miała rację.

Candamir niezdecydowanie stał przez chwilę nad brzegiem, nasłuchując majestatycznego szemrania rzeki. Nie miał chęci spotkać się teraz z Turończykiem. Już na samą myśl o tym wilgotniały mu dłonie. Nie wiedziałby, co mu powiedzieć, jak mu spojrzeć w oczy. Jego niepokój pokonał jednak rozterkę, odwiązał, więc cumę łodzi Osmunda, lekko do niej wskoczył i powiosłował w dół rzeki ku wyspie.

W cieniu drzew było jeszcze ciemniej niż na rzece, ale Candamir znalazłby drogę do świętego źródła nawet z zawiązanymi oczami, bo od tygodni chodził nią dzień w dzień. Kiedy dotarł do świątynnej polanki, zobaczył Siglind klęczącą na ziemi z



opuszczoną głową i rękami złożonymi tak, jak uczył ją Austin.

Nowy ciężar przytłoczył serce Candamira. Z wahaniem podszedł do Siglind i zaważył, że u jej stóp leży młody Turończyk. W lewą pierś miał wbity wąski sztylet Siglind, wciąż trzymał dłoń na jego rękojęści. Jego powieki były zamknięte.

Przez chwilę Candamir patrzył na zmarłego i na modlącą się kobietę, i stwierdził, że wcale nie był zaskoczony. Wreszcie Siglind opuściła rękę, ale nie spojrzała w górę.

- Austin powiada, że jedyny prawdziwy Bóg zakazuje odbierać sobie życie. Ale jakże miałam mu odmówić sztyletu? On był wszystkim, czego pragnął.

- Bardzo... - musiał odchrząknąć - bardzo słusznie uczyniłaś. Ale to chyba nie najlepszy pomysł, żeby w tym miejscu nazywać boga Austina jedynym prawdziwym - dodał ostrzegawczo.

Skinęła głową, wzruszając ramionami. Przycupnął przy niej i delikatnie położył jej dłoń na ramieniu. Siglind lekko drgnęła i podniosła głowę, nie strząsnęła jednak jego dłoni. Po twarzy płynęły jej łzy. Jej oblicze nagle wyraźnie odmłodziło. Candamir spróbował lekko się uśmiechnąć. - Myślisz, że mogłabyś zebrać trochę drzewa?

- Oczywiście. Ale Turończycy nie palą swoich zmarłych. Tak samo jak mieszkańcy Zimnych Wysp. Grzebią ich w grobie w ziemi, a nad grobem usypują wzgórek nagrobkowy

- Dobrze. Zrobimy tak. Ale na chwilę zostaw mnie z nim samego.

Pokręciła głową.

- To nie jest konieczne. Pomogę ci... Chwycił ją za rękę.

- Jesteś bardzo roztrzęsiona, Siglind. Napij się ze świętego źródła i zostań tam przez moment, żeby się uspokoić. Pomogłaś Turończykowi rozstać się z nieznośnym życiem. Naprawdę dość już dla niego uczyniłaś. Ja zajmę się resztą.

Kusiło ją, żeby się na to zgodzić, zaoponowała jednak.

- Przecież był ci wstrętny Candamir pokręcił głową.

- Już nie. - Po czym przyszła mu do głowy pewna myśl: - Nie masz przypadkiem jeszcze tamtego wosku? Z miodowego plastra, który dał ci Jared dziś po południu? - Wydawało mu się, że działo się to przed rokiem.

Siglind rozwiązała woreczek przy pasku i wyjęła kilka pociętych kawałków plastra.

- Proszę.

Kiwnął głową, poczekał, aż się oddaliła, ukląkł przy zmarłym i wyjął sztylet z jego piersi. Ostrożnie odłożył go na bok, żeby później wyczyścić go i oddać Siglind. Następnie podwiązał zmarłemu szczękę płócienną taśmą, którą Siglind wcześniej przygotowała, żeby usta mu się otwierały, a także zatkał woskiem uszy i dziurki w nosie, jak nakazuje zwyczaj, aby duch nie wymknął się z ciała i nie nachodził żywych.

Na koniec zaniósł ciepłe jeszcze ciało na miejsce nieopodal polanki, gdzie Turończyk czasem chętnie robił sobie w południe krótką przerwę na odpoczynek. Siglind przyszła tam z dwiema łopatami z budowy i wspólnie pogrzebali zmarłego. Zrobiwszy to, oboje postąpili krok do tyłu i przyjrzeni się płaskiemu nagrobkowi.

- Nawet nie wiem, jak się nazywał - mruknął Candamir.

- Tak. Nikt chyba nie wie.

Nagle Candamir ze złością wbił łopatę w ziemię.

- Cóż za przekłete marnotrawstwo - rzucił z trudem hamowaną złością. - Olaf zasłużył na to, co go czeka!

- Czyli na co? - zapytała cicho Siglind.

- Żmiję na śniadanie.

- Jezu Chryste...

- Podaruj sobie współczucie! Turończyk był tylko niewolnikiem, ale był też wspaniałym człowiekiem i nie pierwszym, którego Olaf doprowadził do samobójstwa. Och, potężny Tyrze, któż może wiedzieć, jak często się to zdarzało, zanim go nie przyłapaliśmy... - Nie był w stanie mówić dalej. Myśli była tak ponura, że aż go zatkało.

- Często - rzekła Siglind. - A kiedy Turończyk zagroził, że powie wszystko kowalowi, Olaf odciął mu język.

Candamir odruchowo zaplótł ręce na piersiach. Po czym spojrzał na nią.

- Skąd wiesz? Wskazała na grób.

- My... Długo rozmawialiśmy po tym, jak przyszliśmy tutaj dziś po południu. W miarę możliwości. Ja zadawałam pytania, a on odpowiadał, kiwając albo kręcąc głową lub rysując patykami obrazki na ziemi. Najpierw... Najpierw myślałam, że mu ulży, gdy to wszystko z siebie wyrzuci.

- Jestem pewien, że tak było.

- Nie dość jednak, żeby móc dalej żyć - odparła ze ściśniętym gardłem.

- Siglind... To nie twoja wina. Nie wolno ci tak myśleć. Nie dręcz się tym.

- Gdybym tylko umiała znaleźć inne słowa, Candamirze...

- Nie - przerwał jej. - Nie. Żyć z tym, co się wydarzyło, to jedno. Ale żyć z tym, że cały świat o tym wie... - Stanowczo pokręcił głową. - Zrobiłbym to samo, co on. Obojętnie, co by mi mówiono. Wierz mi. Każdy by tak zrobił.

Siglind była zdumiona tym wyznaniem, ponieważ nie uważała dobrowolnego odbierania sobie życia za czyn szczególnie bohaterski. Było dla niej tak niezwykle, że Candamir to powiedział, że była skłonna mu uwierzyć.

Zatroskany popatrzył raz jeszcze na grób.

- Będzie mi go brakować, to przynajmniej jest pewne. I nie tylko jako cieśli - dodał, wyraźnie sam zdziwiony tym odkryciem. - Teraz bym się wykapał.

- Przecież jest noc - sprzeciwiła się nieobecny głosem.

- Nieważne. Zaczekaj tu na mnie. Przyjdę po ciebie, gdy będę gotowy. To nie potrwa długo.

Skinęła głową z łagodnym uśmiechem i odwróciła się.

Jak zawsze w świetle księżycy woda w rzece połyskiwała granatem, a stojący już na zachodzie księżyc obdarzył cudownym połyskiem grzebienie niewielkich fal.

Kiedy Siglind podeszła do brzegu, dostrzegła zarysy obu łodzi, ale nic poza tym. Zaniepokojona zbliżyła się do wody i w momencie, gdy odkryła ubranie Candamira przewieszane przez burtę łodzi zacumowanej po lewej stronie, jego właściciel wynurzył się z wody - najpierw kruczoczarna czupryna, potem ramiona, a wreszcie plecy Siglind cicho wstrzymała oddech i przygryzła dolną wargę.

Candamir, który najwidoczniej był myślami gdzieś daleko, odrzucił głowę w tył, podniósł ręce, zebrał swoje niesamowicie gęste włosy na karku i wykręcił je. Nagle jednak się odezwał:

- Liczę do dziesięciu. Potem się odwrócę. Jeśli dalej będziesz tam stała, nie biorę odpowiedzialności za konsekwencje.

- Nie, nie odwracaj się, proszę! - zawołała przerażona. - Pozwól mi jeszcze przez

chwilę popatrzeć, ale się nie odwracaj!

Opuścił ręce i pozostał w bezruchu.

- Dlaczego chcesz mnie oglądać, skoro mnie nie pragniesz?

Nie odpowiedziała.

- Raz... dwa... trzy...

- Tylko spróbuj! - przerwała mu z obawą, ale i groźbą.

- Cztery... pięć... sześć...

Już się nie sprzeciwiała. Candamir stwierdził, że pewnie uciekła. Dotrzymał jednak słowa i liczył dalej:

- Siedem... osiem... dziewięć... i... - Powoli się odwrócił. Siglind stała zaledwie krok za nim, naga. Światło księżyca na rzece zawsze stanowiło wspaniały widok. Ale księżycowa poświata na kropelkach, które spływały po jej białych piersiach, tworzyła widok, od którego serce mu oszalało. Patrzył na nią w zachwycie, bez ruchu, jak zaczarowany.

Siglind obserwowała go z nie mniejszym zachwytem. Wargi miała lekko rozchylone i nawet w słabym świetle księżyca było widać, jak są czerwone. Lewą dłoń trzymała na powierzchni wody, niepewnie na wpół wyciągniętą w jego kierunku. Jeżeli Austin miał rację, to właśnie była o krok od zaprzepaszczenia zbawienia swojej duszy, wiedziała o tym. Od czasu ucieczki z Zimnych Wysp nigdy nie była jednak tak samotna i nieszczęśliwa, jak tej nocy. „Módl się, gdy szukasz pociechy, a Pan ześle ci pociechę” - zapewniał ją Sakson wiele razy. Próbowwała, więc, raz za razem, wciąż jednak bezowocnie. Tej nocy również. Aż do czasu, kiedy Candamir przyszedł na polanę. Zapewne niewybaczalnym bluźnierstwem była nawet myśl, że Bóg mógł go zesłać w odpowiedzi na jej modlitwy. To właśnie jednak przyszło jej do głowy.

W jej oczach tak wyraźnie malowała się zgroza i trwoga, że nawet Candamir nie mógł tego przeoczyć. Wyciągnął do niej rękę.

- Chodź - powiedział cicho. - Chodź. Przysięgam, że nie musisz się mnie obawiać.

Mimo woli uśmiechnęła się, słysząc to jego zapewnienie, świadczące o tym, jak nietrafnie odczytał jej obawę. Lekko kręcąc głową, zmniejszyła dzielącą ich przestrzeń. W rzeczywistości już dawno dokonała wyboru. Potrzebowała pociechy i bliskości z krwi

i kości. Choć Duch Święty był dla niej kuszący i obiecujący, nie wystarczał. Chrystus nie był oblubieńcem, którego pragnęła. Pragnęła Candamira. Jeśli Bóg jej nie wybaczy, następstwa będą straszne, to pewne, żywiła jednak pewną nadzieję, że Austin jest w błędzie, bo przecież nie ma pojęcia o magii między mężczyzną i kobietą, która też w końcu musi pochodzić od Boga, skoro to właśnie On stworzył wszystkie rzeczy.

Gdy tylko znalazła się w zasięgu ręki, Candamir chwycił ją za przegub i przyciągnął do siebie, jakby się bał, że może jeszcze się rozmyślić i wymknąć mu się jak rzeczna woda przez palce. Uwolniła dłoń, objęła go za szyję i przyłgnęła do niego. Kiedy poczuła jego podniecenie, cicho się zaśmiała.

- Candamirze, biedactwo moje - szepnęła. - Mam nadzieję, że mi wybaczysz, że tak długo kazałam ci czekać.

Położył dłonie na cudownych, krągłych piersiach i poczuł ich jędrność, delikatną skórę i krople wody. Z cichym westchnieniem przycisnął usta do jej ust, pocałował ją, niemal równocześnie położył dłonie na jej talii i pociągnął głębiej w wodę. Także jej udzieliło się jego gorączkowe podniecenie, oplotła nogami jego biodra i kochała się z nim w płytkiej wodzie rozgrzanej latem. Candamir uświadomił sobie wtedy jak przez mgłę, że jemu - właśnie jemu - przypadło to, za czym Odyn na próżno tęsknił od chwili, gdy dostrzegł Tanuri na brzegu.

Spała może z godzinę, on zaś leżał przy niej w trawie na boku, z głową podpartą na dłoni, i wykorzystywał ten czas, aby się Siglind spokojnie przyjrzeć i opanować radosne zdumienie. Jeszcze niedawno nie miał właściwie nadziei, że to się wydarzy. Nie pojmował też, dlaczego zdarzyło się to właśnie teraz, jeszcze nie umiał powiedzieć, co to znaczy, ale nie martwił się tym.

W końcu się obudziła, gdy nie zdołał już dłużej utrzymać z dala od niej swoich dłoni.

- Co robisz? - zapytała sennie.

- Szukam znamienia. Musi tu gdzieś być na łydce, widziałem je, kiedy przeprawialiśmy się przez rzeczkę. Ale jest ciemno. Nie mogę go znaleźć.

Uśmiechnęła się.

- Ależ jest. Poczekaj do jutra rana.

Poczuł, że na jego sercu leży jej chłodna dłoń. Candamir uwolnił się od niej, położył na plecach i podłożył sobie ramię pod głowę. Jutro rano nie było już odległe.

Siglind zirytowała własna nieprzemyślana uwaga. Położyła głowę na jego ramieniu i wodziła dłonią po piersi Candamira, czesząc palcami ciemne, kręcone włosy. Były jak jedwab. Candamir zamknął oczy, na chwilę poddał się temu wspaniałemu uczuciu, po czym przytulił ją do siebie.

- Co... Co spowodowało, że zmieniłaś zdanie? - Wiedział, że to niebezpieczne pytanie, ale ciekawość nie dawała mu spokoju.

- Ty - odrzekła.

- Tak? Czym?

- Tego ci nie zdradzę. Może i lepiej.

- Zechcesz mieszkać w moim domu, szlachetna królowo, jeśli znajdę czas, żeby go postawić?

- O tym porozmawiamy innym razem - oświadczyła.

- Och - w jego głosie zabrzmiał smutek. - Rozumiem, że to znaczy „nie”.

- Mylisz się. Mam jednak pewne warunki.

- Doprawdy? - Pozwolił sobie na grymas w ciemności. - Powiedz.

- Nie - odparła stanowczo. - Później.

- Dobrze. Jak chcesz.

Do „warunków” można się jakoś dostosować, tego był pewien. Położył dłoń na jej ciepłym biodrze i zamknął oczy, aby w pełni oddać się temu, co czuł. Tak chętnie przekreśliłby ją na plecy, położył się na niej i sprawdził, jak poczuje jej skórę, gdy jest sucha. Wiedział jednak, że to nie jest odpowiednia chwila.

- Niebawem wzejdzie słońce - powiedział cicho i nie chętnie usiadł.

Siglind położyła mu dłoń na ramieniu. Oczy miała duże i pełne niepokoju.

- Nie odchodź.

Podniósł rękę w obronnym geście.

- Muszę. Choć bardzo mnie to smuci. Ale tak trzeba.

- Czyż nie zrobiłaś już dość? - zapytała. - Doprowadziłaś złoczyncę i pogrzebałaś ofiarę. Czy to nie wystarczy? Po co chcesz tam być?

- Nie, nie chcę. Ale dla Osmunda ta historia jest jeszcze bardziej okropna niż dla mnie, bo Olaf jest jego stryjem i Osmund zawsze czuł, że ma wobec niego zobowiązania. Nie mogę go teraz tak zostawić, rozumiesz?

Westchnęła.

- Staram się - burknęła.

Bez słowa skinął głową. Nic dziwnego, że nie mogła zrozumieć, skoro powiedziano jej zaledwie część prawdy. Gdyby jednak zabrakło go na egzekucji Olafa, ktoś szybko by zauważył, że zniknęła także Siglind, a Osmund natychmiast wyciągnąłby trafne wnioski. Candamir przeczuwał, że Osmund długo mu nie wybaczy, kiedy się dowie prawdy o nim i Siglind - na ujawnienie tego żaden moment nie był dobry. Akurat ten dzień byłby chyba najgorszy ze wszystkich. Przytulił Siglind nieco gwałtowniej, niż zamierzał, i pocałował ją na pożegnanie. Potem wstał.

- Ale ty musisz tu zostać - powiedział. Przytaknęła i położyła mu dłoń na policzku.

- Zaczekam tu na ciebie, Candamirze.

Teoretycznie śmierć zmijowa wydawała się prosta. Nie uwzględnili jednak zachowania samej żmii. Była mała, ale niewiarygodnie szybka i zwinna, nie miała też najmniejszej ochoty dać się wepchnąć do suchej, twardej trzciny. Do brzasku została już tylko godzina, a Siward, Berse i Haflad bezskutecznie się nad tym męczyli, aż musieli uznać swoją porażkę i pójść do Brygidy prosić o pomoc.

Stara siedziała przed swoim szałasem przy małym ognisku, w którym ze złością gmerała krzywym patykiem. Jej trzy czarne kruki przysiadły sennie w pobliżu i jak zwykle przyłączył się do nich jeszcze jeden biały kruk Catanu.

Mężczyźni przedstawili Brygidzie swój kłopot, gdy jednak skończyli, stara pokręciła głową.

- Nie. Nie pomogę wam.

Siward ze złością zrobił krok w jej kierunku.

- Sama mówiłaś, że żmija to znak! Nie zachowuj się, więc teraz tak, jakbyśmy byli niepotrzebnie okrutni. Nikogo to nie bawi, rozumiesz?

Przytaknęła nieporuszona.

- To był znak. Czy z tego powodu musi mi się podobać to, co sobie bogowie umyślili? Olaf jest marnym towarzyszem i zawsze taki był, ale to ja sprowadziłam go na ten świat, jak zresztą niemal wszystkich z was, a przynajmniej waszych synów i córki, nie kiwnę, więc nawet palcem, żeby wam w tej sprawie pomóc. Jasne?

Mężczyźni spłoszeni kiwnęli głowami.

- Doskonale! Nic nie stoi chyba na przeszkodzie, żebyście sobie już poszli, prawda?

Błyskawicznie się oddalili.

W końcu Britta, młoda żona Siwarda, wpadła na rozwiązanie. Wiedziała doskonale, że zawdzięcza Olafowi życie, bo oddał jej swoją słodką wodę, kiedy mała nie umarła z pragnienia zatruta wodą morską. Teraz wciąż jednak walczyła o uczucie swojego męża i była zdecydowana zrobić wszystko, aby je zdobyć.

Kiedy mała żmija ukąsiła zarówno Berse, jak i Haflada, a mężczyznom kończyła się już cierpliwość, Britta wpadła na pomysł, żeby żmii zszyć pysk. Teraz problem został rozwiązany szybko: wspólnymi siłami zszyli żmiję nicią z silnego końskiego włosia, zostawiając jeden koniec odpowiednio długi, który następnie przeciągnęli przez wydrążoną trzcinę. Kiedy ; koniec nici pokazał się na drugim końcu rurki, wystarczyło już tylko wciągnąć tam żmiję. Było to dziecinnie łatwe.

W ten sposób wszystko było przygotowane.

Kiedy pierwszy delikatny róż zabarwił szarą poświatę poranka, osadnicy zgromadzili się przed szałasem Siwarda: wszyscy wolni mężczyźni, kilku chłopców i zaledwie pół tuzina kobiet. Większość wołała zostać w domu z dziećmi i niewolnikami.

Osmund i Candamir wymienili spojrzenia i kiwnęli głowami, ale nic nie mówili. W ogóle mało mówiono. Jedynie tu i ówdzie dały się słyszeć szepty, gardłowe i urywane. Stary Eilhard zwrócił się do Siwarda.

- Czy wszystko gotowe?

Siward przytaknął i podniósł trzcinową rurkę. Britta zaczopowała jej oba końce gliną, żeby żmija, której pysk wcześniej uwolniła, nie mogła się wymknąć.



- Wszystko gotowe.

- W takim razie chodźmy - rzekł Eilhard.

Ciasno stłoczeni ruszyli ku nadbrzeżnej łące, nad którą unosiła się poranna mgła. Dlatego brak strażników zauważyli dopiero wtedy, gdy dotarli do jesionu.

- Gdzie się podziali? - zapytał zdziwiony Eilhard. - Thorbjorn? Haldir? - Jego głos brzmiał raczej słabo. Być może spowodowało to wilgotne, mgliste powietrze. Może jednak również on obawiał się tego samego, co pozostali.

Pośród białych strzępów mgły nieco bliżej brzegu dostrzegli związanego więźnia w skurczonej pozycji. Jego czoło leżało na podciągniętych kolanach, a przywiązane do grubego konara ręce zwisały bezwładnie.

Szkutnik Berse podszedł do niego, a pozostali rozeszli się po łące.

- Tutaj są! - zawołał Harald. - Eilhardzie, tutaj są twoi synowie!

Niemal równocześnie usłyszeli, jak Berse wydaje niewyraźny okrzyk zdumienia. Chwytał więźnia za włosy i pociągnął mu głowę do tyłu.

- To Jared! Och, na wszystkich bogów...

Na łące zrobiło się zamieszanie. Wszyscy biegali bezładnie jak mrówki, gdy ktoś wetknie kij w mrowisko. Eilhard, Siward i większość pozostałych pospieszyło do miejsca, gdzie kowal klęczał w mokrej trawie. Leżeli tam synowie Eilharda spokojnie obok siebie, z rękami złożonymi na piersiach. Ich ojciec wstrzymał oddech i najstarszemu synowi położył dłoń na sercu. Po czym, mrużąc oczy, podniósł głowę.

- Żyje... Och, Thorbjornie...

- Haldir też - oznajmił Haflad jeszcze spokojniej. - Moim zdaniem są tylko spici jak beły.

- Ale na szczęście nikt o twoje zdanie nie pyta! - przerwał mu Siward. - Idź lepiej sprowadzić swoją matkę, durny wole!

Haflad rzucił mu pełne urazy spojrzenie, ale odwrócił się i pobiegł do szałasów Brygidy. Przez ten czas Osmund i Candamir, nachyleni nad Jaredem, uwolnili go z niezaskuszonych więzów. Oko miał podbite i rozciętą wargę - Osmund domyślił się, że kuzyn znowu poczuł na sobie ojcowską pięść. Położył Jaredowi przyjazną dłoń na ramieniu.

- Co się stało?

Jared poruszył zdrętwiałym ciałem i przejechał językiem po zębach.

- On... Ja... - Strząsnął dłoń z ramienia, wstał i spojrzał Osmundowi prosto w oczy. - Nie ma go. I to moja wina. Sprowadź pozostałych, Osmundzie. Zrozumiem, jeśli każecie mi zamiast niego połknąć zmiję. Ale skoro tak ma być, to nie chcę czekać.

Osmund kiwnął głową i spojrzał na Candamira.

- Sprowadzisz ich?

- Oczywiście.

Chwilę trwało, zanim ludzie ruszyli w kierunku brzegu. Stali bezradnie wokół Thorbjorna i Haldira, z przerażeniem patrzyli na śpiących, i dopiero, gdy przysła Brygida i oznajmiła, że dzielnym strażnikom nic nie będzie, poszli za Candamirem i otoczyli kręgiem Jareda.

Znużony młodzieniec podniósł głowę i nie zdziwiło go, że spotyka spojrzenia wrogie i podejrzliwe.

- Posłał po mnie - zaczął swoją spowiedź. - Zażądał, żebym albo go uwolnił, albo przynajmniej oszczędził mu zmijowej śmierci i zabił go. „Zrób jedno z dwojga, Jaredzie, ale zrób to” - powiedział. Pomyślałem, że moim obowiązkiem jest posłuchać go ten ostatni raz...

- Jest wyrok thingu - rozłoszczony Siward wpadł mu w słowo.

Jared przytaknął.

- Ale bądź szczerzy, Siwardzie. Ciebie też to przerażało. A nie był to twój ojciec.

Siwardowi najwidoczniej nie było łatwo znaleźć stosowną odpowiedź.

- Mów dalej, kuzynie - zachęcił go Osmund. Jared oddychał szybko.

- Wyjąłem sztylet, nie wiedząc jeszcze, co zrobić. Zanim cokolwiek postanowiłem, rzucił się na mnie mój brat. On... Miał w ręce kamień i powalił mnie nim na ziemię. - Ten fakt wstrząsnął nim bardziej niż wszystko inne: Lars naprawdę był gotowy go zabić. Własnego brata... Chłopak wziął się jednak szybko w garść i podjął opowieść:

- Najwidoczniej wszystko sobie dokładnie zaplanował. Kiedy odzyskałem przytomność, przywiązywali mnie zamiast ojca. Opowiadali, że już godzinę wcześniej irlandzka niewolnica ojca poszła z kuflem do Haldira i Thorbjorna. Powiedziała im, że chciała przynieść mojemu ojcu miodu, ale odmówił, może, więc oni... Upiła ich, nie

budzając podejrzeń. Candamirowi zaświtało.

- Zioło lulka? - zapytał. Jared przytaknął.

- Rośnie tutaj, tak samo jak na Zimnych Wyspach, prawda? Tak, wmieszali zioło lulka i szybko obaj strażnicy zapadli w zatruty sen.

- Dlaczego... Dlaczego, do licha, irlandzka niewolnica pomogła twojemu ojcu? - przerwał Candamir zdumiony. - Nie chce mi się wierzyć, że był dla niej łaskawy i dobrotliwy

- Nie, nie był. Zrobiła to jednak, bo... Jest od niego zależna. Tak samo jak Lars. - Jared pomilczał przez chwilę, po czym spojrzał na kuzyna i bezradnie wzruszył ramionami. - Oni wszyscy z nim poszli, Osmundzie. Wszyscy Lars, Gunnar, Leif, Einar, a także Sigrun i Thorhild. Całe moje rodzeństwo z wyjątkiem Oty. Ota ma dopiero jedenaście lat, ale... Zna go. Dawno już go przejrzała. Wcześniej niż ja.

- Poszli z nim? - przerwał zdenerwowany Siward. - Dokąd? Jared uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Nie myślisz chyba poważnie, że mi powiedzieli, co?

- Czyli Olaf uciekł - stwierdził kowal. Nagle zrobił się spokojniejszy niż większość pozostałych i zaczął głośno się zastanawiać. - Razem z twoimi braćmi, dwiema z twoich sióstr, czterema niewolnicami i siedmioma niewolnikami - przerwał ze zmartwioną miną. Spojrzał w kierunku przystani, wielu też tam popatrzyło. „Smok Morski” stał jednak na kotwicy ze złożonym masztem, tak samo jak dzień wcześniej. Olaf nie opuścił Catanu.

- Zabrał ze sobą więcej niż siedmiu niewolników - oświadczył Jared. Podniósł rękę i przejechał wierzchem dłoni po zranionej wardze. Nie dało się nie zauważyć, że był podenerwowany

- Jak to? - przerwał Siward ciszę, która nagle zapadła. Jared spojrzał na Haflada.

- Kiedy byliście u Siwarda i mężczyliście się z tą żmiją, Lars był w twoim szałasie. Jeśli sądzisz, że twoi dwaj niewolnicy wypalają w lesie węgiel drzewny, to się mylisz, Hafladzie. Poszli razem z nim.

Nie byli jedynymi uciekinierami. Lars zakradł się jeszcze do kilku innych domów, gdzie niewolnicy byli szczególnie źle traktowani przez swoich panów. Niezadowolonym zapowiedział, że staną się wolnymi ludźmi, jeśli przyłączą się do

Olafa. Pokusie uległo pół tuzina.

- Musimy ich ścigać! - rzekł Siward.

- Bo nic dobrego z tego nie wyniknie - dodał skutnik.

- Jak chcecie ich ścigać? - zapytał Harald ze zwątpieniem. - Wyspa jest rozległa.

- Tak duża grupa musi zostawiać za sobą ślady...

- Nie uszli jeszcze daleko...

Rozgorzała gorąca debata, a Osmund chwycił rurkę ze zmiłą i z całej siły cisnął ją do rzeki. Potem złapał kuzyna pod ramię i pomógł mu się podnieść. Nikt się nie sprzeciwiał. Jared wcale nie był jeszcze pewien, czy komuś nie wpadnie do głowy, żeby kazać mu cierpieć zamiast ojca. Ostatecznie nie zapobiegł jego ucieczce, a nie miał przecież zamiaru umrzeć podczas okrutnej egzekucji przewidzianej dla niego. Również Osmund miał chyba obawy, czy euforia tłumu nie odwróci się nagle przeciwko Jaredowi.

- Idź do domu - poradził mu cicho. - Zostań tam. Przyjdę do ciebie później i pomyślimy, co dalej.

Z niemrawym skinieniem Jared odwrócił się i poszedł. Harald popatrzył za nim.

- Nie ma mu, czego zazdrościć - szepnął do Candamira.

- Nie ma. Myślę, że nigdy nie było - odparł jego szwagier. - Ale nawet, jeśli ma teraz tylko dwie ręce, żeby uprawiać swoje pola, to przynajmniej jest wolny.

Harald przytaknął w zamyśleniu.

- Nie sądzisz chyba, że więcej nie usłyszymy o Olafie ani go nie zobaczymy, co? Cokolwiek o nim jeszcze w przyszłości do nas dotrze, nie będzie to nic przyjemnego. Mam tylko nadzieję, że nikt nie będzie Jaredowi na poważnie miał za złe tego, co stało się tej nocy.

- Haraldzie... Olaf to jego ojciec. Każdy zachowałby się tak samo.

Kowal kiwnął głową, uśmiechając się markotnie.

- Tylko, że mało, kto zechce to przyznać.

Siward zorganizował grupę mężczyzn doświadczonych w boju, aby ścigać Olafa i zbiegłych niewolników. Wziął swojego zięcia, Berse i jego synów, nawet Haldir i Thorbjorn się przyłączyli, bo tchórzliwa próba ich otrucia głęboko ich rozżłościła.

Przeprawili się przez rzekę i niebawem, idąc wyraźnym śladem, zniknęli w lesie na południowym brzegu. Po pięciu dniach powrócili jednak wyczerpani, zawstydzeni, a przede wszystkim z pustymi rękami.

- Szliśmy za nimi aż na pustkowie - opowiadał Siward. - Tam jednak zgubiliśmy ślad. W tamtej okolicy nie ma po prostu nic, na czym mogłyby zostać ślady Ani drzew, ani krzewów, żeby szukać złamanych gałązek, żadnej trawy, miękkiej ziemi, na której mogły zostać ślady stóp, zupełnie nic. Rzeczywiście pustkowie.

- Jak jest ukształtowane? - zapytał Candamir z zainteresowaniem. - Czy widzieliście z bliska ognistą górę?

Haldir odparł:

- Tak, widzieliśmy. Wznosi się mniej więcej w odległości dziesięciu mil od północnego skraju pustkowie. Ale była spokojna. Nie było żadnego ognia, tylko trochę dymu nad szczytem. - Zmęczony oparł się na kiju, który wystrugał sobie w lesie, pokręcił głową i wreszcie znowu spojrzął na Candamira. - Nigdy nie widziałem niczego tak opustoszałego i martwego jak teren wokół ognistej góry. Jest pagórkowaty i popękany, prawie nie do przejścia. Podłoże jest z jakiejś brunatnej, dziwnie porowatej skały, nie rośnie tam nic poza kilkoma wyschniętymi kolczastymi krzewami. Tam nic nie może żyć, nawet muchy nie widzieliśmy. Olaf i jego ludzie umrą z głodu i pragnienia.

Candamir w milczeniu pokiwał głową, ale miał duże wątpliwości. Osmund wypowiedział na głos to, co jego przyjaciel tylko pomyślał:

- Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, żeby przeznaczeniem mojego stryja była śmierć głodowa. Na to jest po prostu zbyt pomysłowy. Jared powiada, że zabrał ze sobą prawie całe ziarno, oraz bydło i owce...

- Przez tamto pustkowie nie da się pędzić bydła, Osmundzie, to po prostu niemożliwe! - przerwał mu Thorbjorn. - Zwierzęta połamałyby sobie nogi w niezliczonych szczelinach albo uszkodziłyby sobie kopyta. Ciężko tam iść nawet człowiekowi w porządnych butach.

- Cóż, skoro na pustkowie trop się urywa i nie znaleźliście padłych zwierząt, to znaczy, że Olaf musiał znaleźć jakąś inną drogę, choćby nam wydawało się to niemożliwe - orzekł Harald.

Tropiciele niechętnie się z tym zgodzili.

- Kilka tygodni temu był pod ognistą górą - odezwał się Jared. Głowę miał zwieszoną i mówił bardzo niepewnie.

- Mówię o moim ojcu.

- Słowem o tym nie wspomniał - rzuciła Brygida sceptycznie.

Jared na chwilę podniósł wzrok i pokiwał głową.

- Wielu rzeczy wam nie mówił. O wielu nie wiecie... Stara cicho westchnęła.

- Wiem więcej, niż sądzisz, mój chłopcze. Masz jednak rację, on był bardzo skryty, i to podobne do niego, że badał tamtą okolicę, nie dzieląc się swoimi odkryciami z sąsiadami.

Jared mówił dalej, jakby do swoich butów.

- W każdym razie wie, jakie warunki panują na tamtym pustkowiu. Mimo to zabrał ze sobą bydło. Musiał, więc znaleźć jakąś drogę, żeby je tamtędy przegnać.

- Nie odkryliśmy tam nawet jednego źródła - sprzeciwił się Sigurd. - Może na Catanie nie brak wody, ale tam jest tylko pustynia!

- Ja na miejscu Olafa kazałbym każdemu mężczyźnie, każdej kobiecie i każdemu zwierzęciu dźwigać tyle wody, ile zdoła unieść, a zwierzętom obwiązałbym kopyta podwójną skórą - zadumał się Osmund. - Miałyby, więc buty, jeśli wolicie. Wtedy mogłoby się udać.

Wszyscy spojrzeli na niego z podziwem, a Brygida zauważyła sucho:

- Od razu widać, że jesteście spokrewnieni. Jesteś rów nie cwany jak on.

Osmund drwiąco uniósł kącik ust.

- Och, wielkie dzięki.

- Dalej, Osmundzie - przynaglił zaciekawiony Candamir. Jego przyjaciel wzruszył ramionami.

- Przecież Olaf musi tylko przeprowadzić ludzi i bydło przez tamtą pustynię. Może być spokojny, wszelki pościg tam się urwie. Po drugiej stronie leży kraina równie bogata i żyzna jak tutaj, co wiemy od Berse. Nie sposób jednak odgadnąć, dokąd skieruje się Olaf już po drugiej stronie pustkowia.

- Cóż, na zachód stamtąd leży morze, na wschód góry. Może iść tylko na południe - uściślił Berse.

Osmund przytaknął.

- Ale południe jest rozległe.

- To prawda.

- Kto wie. Może jednak nadal tkwi na pustkowiu. Skoro jest tak pagórkowate i splekane, jak powiadacie, to na pewno można tam znaleźć jaskinie.

- Ale dlaczego, u licha, Olaf miałby tam zostawać? - zapytał Siward zniecierpliwiony.

Osmund spojrzał na niego z lekko niezadowolonym uśmiechem.

- Żeby być w pobliżu nas, teściu. Candamira, mnie, ciebie, w pobliżu tych wszystkich, którzy spowodowali jego upadek.

Hacon poczuł lodowaty dreszcz na plecach.

- Z czego chcą żyć, skoro to pustkowie?

Osmund nie odpowiedział. Miał jednak złe przeczucia.

Candamir wiedział doskonale, o czym pomyślał jego mleczny brat. Z marsem na czole spojrzał ku coraz liczniejszym pięknym domom osadników otoczonym ogródkami warzywnymi i oborami. „Są położone stanowczo za daleko od siebie” - pomyślał bez zgrozą. Osadnicy nigdy się nad tym nie naradzali, nigdy nie podjęli żadnej wyraźnej decyzji, zakładając zaś nową osadę, założyli, że rabunkowe napady należą już do przeszłości.

- Po prostu wyszliśmy z założenia, że w tym błogosławionym kraju nigdy nie będziemy musieli się liczyć z wrogami... - mruknął.

- Ostrzegałam was! - odezwała się Brygida, a Candamir wyraźnie usłyszał w jej głosie nutę satysfakcji. - Ostrzegałam was, że na Catanie znajdziecie wszelkie zło, jakie sami przywleciecie. Jak mogliście pomyśleć, że zostawiliście za sobą swoją kłótność, swoje umiłowanie niezgody?

Po tych słowach Candamirowi zrobiło się głupio, ale pogardliwie machnął na nie ręką.

- Jakoś nie mogę sobie przypomnieć, żebyś nam doradzała ciaśniejsze stawianie domów. Teraz jest już w każdym razie za późno. Z powodu Olafa i jego gromady niewolników już nie zasną.

Chwilę jeszcze się naradzali, czy wysłanie kolejnej grupy pościgowej ma sens, ale postanowili, że nie. Byłoby to jak szukanie igły w stogu siana, a nikt nie miał teraz czasu,

żeby dłużej zostawiać robotę: chcieli zasiać ozimą pszenicę i żyto, zebrać miód, jabłka i jagody, zmagazynować je lub ugotować - a budowa porządných domów wydawała się pilniejsza niż kiedykolwiek.

Zgromadzenie szybko się rozeszło i Candamir poszedł na brzeg, aby wrócić na wyspę i do pracy. Wskoczył do łodzi, a Jared ją odcumował.

- Dzięki! - Candamir wyciągnął rękę, żeby złapać cumę, ale Jared mu jej nie rzucił.

- Mogę popłynąć z tobą? - zapytał. Candamir wzruszył ramionami.

- Jeśli nie wiesz, co ze sobą począć... Myślałem, że masz pełne ręce roboty, skoro zostało ci wyjątkowo mało parobków, by nie rzec: żadnego, prawda?

Jared nie dał się speszyc przyjacielską drwiną Candamira. Żywo wskoczył do łódki, chwycił za oba wiosła i bez słowa ruszył w kierunku wyspy

- Na młot Thora! - zawołał, kiedy dotarli na polanę ze świątynią. - Budowla gotowa!

- Prawie - uściślił Candamir, ale sam z dumą spoglądał na potężną, wydłużoną konstrukcję. Ściany były odeskowane, więźba dachu wzniesiona. Na tuzinie drabin stało tyluż cieśli: Godwin, zręczny, wszechstronny i bardzo użyteczny Austin, który zajął miejsce Turończyka, i gromada niewolników kryjących pękaty dach drewnianą dachówką.

- Ten dach wygląda jak statek - zauważył Jared z podziwem.

Candamir przytaknął zadowolony i wyjaśnił, jaki był jego zamysł.

- Jeszcze tydzień lub dwa tygodnie i będzie można robić otwarcie świątyni - zakończył. - Ale obawiam się, że nie zdążymy do jesiennego zrównania dnia z nocą, na co liczyła Brygida. Będziemy musieli wymyślić jakiś inny dzień. Chodź, wejdziemy do środka, to ci pokażę sadzawkę ze źródłem, Z typowym dla siebie entuzjazmem chwycił Jareda za rękaw i pociągnął do wnętrza świątyni. Na wschodnim krańcu Osmund pogłębił dół, z którego bije źródło, poszerzył i obudował białym, rzeźnym kamieniem. Teraz kryształowo czysta woda wybijała między kamieniami, napelniała równą, okrągłą sadzawkę i spływała ku wschodniej ścianie korytkiem, także obudowanym głazami. Na końcu tworzył się naturalny strumień, który znikał w lesie.

- To jest... Cudowne - powiedział Jared, pozostając pod wielkim wrażeniem.



Candamir wskazał na środek świątyni.

- Tam Brygida chce mieć wielki ofiarny głaz, żeby ubijać zwierzęta, które następnie będą się piekły na dwóch paleniskach, po lewej i prawej stronie.

Jared pokiwał głową i bacznie rozejrzył się dookoła.

- Naprawdę odpowiednie miejsce, żeby oddawać cześć bogom.

Candamir spojrzał na niego z ukosa.

- Przypląnąłeś tu ze mną, żeby mi uszy miodem zalewać? Chcesz czegoś ode mnie? - zagadnął podejrzliwie.

- Co? - Jared wydawał się całkowicie zatopiony w swoich obserwacjach. Pokręcił głową, ale wyraźnie się zarumienił. - Nie, nie.

- Zatem? Gadaj.

Młody człowiek nie od razu zareagował na tę zachętę. Wreszcie jednak skrzyżował ręce na piersi i spojrzał Candamirowi w oczy. Jego bladobłękitne ślepia były równie błyszczące i przenikliwe jak oczy jego ojca.

- Candamirze, nie jest mi łatwo o tym mówić. Czy dasz mi słowo, że nie będziesz przerywał?

Candamir niechętnie skinął głową.

- Jeśli nie będzie to trwało całymi godzinami...

- Nie.

- Słucham.

- Chciałem cię prosić o przysługę. Chciałem to zrobić już dawno. Z powodu tamtej historii z lochą...

- Do licha, przecież to było wieki temu...

- Obiecałeś! - zaprotestował Jared. Candamir podniósł ręce za znak, że się poddaje. Jared głośno odetchnął.

- Rzadko się zdarzało, żeby było mi tak przykro. A... Wstydzilem się często, starając się być taki, jak ojciec. Opowiedziałem mu jednak o tym, bo wiedziałem, że tego ode mnie oczekuje. Wiesz, co, dopiero teraz, kiedy go nie ma, widzę wyrażnie, jak całkowitą władzę miał nade mną. Ja... Ja opowiedziałem mu o tej sprawie, bo się bałem, że się dowie od kogoś innego. Wszystko wyłącznie ze strachu. A stało się to powodem tak okropnych rzeczy. Tylko dlatego, że byłem zbyt tchórzliwy, żeby posłuchać własnego

sumienia. Bardzo żałuję.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym Candamir zapytał:

- Już?

Jared kiwnął głową, nie odrywając od niego wzroku. Candamir na moment położył mu dłoń na ramieniu.

- Wiesz, przypominasz mi Osmunda. On też mógłby zrobić coś takiego, przypomnieć sobie o takiej nikczemności po wielu miesiącach i szukać w sobie winy za skutki. Gdy dwóch ludzi rzuci się pośród burzy na wieloryba i utonie, to nie wieloryb jest winny, Jaredzie. To, co zaszło między twoim ojcem a mną, nie ma nic wspólnego z Saksonem ani z tobą - zdał sobie z tego sprawę, kiedy Harald jasno mu wyłożył, jakie były rzeczywiste podstawy nienawiści Olafa wobec niego.

- Nie ma, zatem między nami żadnych porachunków? - zapytał Jared z nadzieją.

Candamir z uśmiechem pokręcił głową. Jared nawet nie przeczuwał, że wybrał na swoje wyznanie czas najlepszy z możliwych. Candamir od sześciu dni był w stanie ciągłego radosnego uniesienia i od sześciu dni nocował tu, na wyspie, robiąc wszystko, żeby nie wchodzić w drogę swojemu bratu, wiedział, bowiem, że jego euforia w związku z nieoczekiwaną decyzją Siglind nastroiła go zbytnią łagodnością. A nie miał zamiaru być łagodny dla Hacona. Z Jaredem było jednak inaczej.

- Nie, między nami nie ma żadnych porachunków. A jeśli szybko nie uciekniesz, to będziesz musiał jeszcze wysłuchać mojej rady

Jared skrzywił się, ale nagle nabrał beztroski.

- No?

- Nie oglądaj się za siebie. Weź sobie żonę, która wniesie w posagu kilku niewolników, i uprawiaj swoje pola. To dla ciebie szansa, chłopcze. Możesz teraz robić, co chcesz. Wszystko zależy tylko od ciebie.

Onieśmielony Jared opuścił głowę, ale oczy mu błyszczały.

- Masz rację - powiedział cicho. - Och, na wszystkich bogów, jak słusznie mówisz, Candamirze...

Nadal go bolało, że nie może już mieć Ingi. Miał jednak dosyć rozumu, by zdawać sobie sprawę, że w obecnej sytuacji i tak nie mógłby wziąć za żonę tak ubogiej panny. Za to wnuczka Eilharda, Margild, mogłaby wniesić do małżeństwa, jeśli nie srebro

i bydło, to z pewnością dwóch niewolników, ponieważ stary Eilhard, który od śmierci jej rodziców sam wnuczkę wychowywał, nie stał się, co prawda bogaty dzięki dawno zapomnianym łupom wojennym, ale miał wielu niewolników.

- Gdy będziesz potrzebował rady albo pomocy, to zawsze możesz do mnie przyjść  
- ciągnął Candamir. - Jeśli jesteś mądry, to zwrócisz się Osmunda, bo jego rady są zwykle lepsze niż moje. Nie odmówi ci pomocy. Zobaczysz, że na wiązkę zastąpi ci braci.

Na myśl o Larsie, Gunnarze i reszcie rodzeństwa Jaredowi twarz pociemniała, ale kiedy się odwrócił, znowu się uśmiechał.

- Dziękuję, Candamirze - mruknął i pobiegł ku rzece.

Candamir, pogwizdując, wspiął się na drabinę i pomagał przy kryciu wielkiego dachu. Praca szła wolniej, niż zakładał, ale w miarę jak upływał dzień, jego nastrój był coraz lepszy. Było tak, bo ona obiecała, że o zmierzchu przybędzie, żeby sprawdzić, czy wszystkie jej wskazówki dotyczące mocowania dachówek zostały dokładnie wypełnione.

Siglind jak zwykle dotrzymała słowa. Ledwie tarcza słoneczna, podobna do żółtka jajka, dotknęła szczytów drzew na zachodzie, pojawiła się na polanie bosa, w roboczym ubraniu - tak jak najbardziej lubił.

- Mówiłam, że dachówki muszą zachodzić na siebie w dwóch trzecich. A to wygląda raczej na ćwierć - stwierdziła wadę, zanim jeszcze dobrze weszła na drabinę.

- Godwinie, Austinie! Wy i pozostali możecie już skończyć na dzisiaj. Wystarczy przecież, jeśli sam wysłucham królewskiej krytyki.

Z drwiącym uśmiechem uczeń i parobkowie zeszli z drabin, uprzejmie pozdrowili Siglind, pozbierali narzędzia i zniknęli w lesie. Candamir odczekał może dziesięć uderzeń serca, po czym przytulił Siglind i chciwie całował. Objęła go rękami za biodra i przyłgnęła do niego, odwracając jednak głowę i mówiąc karcąco:

- Poczekaj przynajmniej, aż się oddalą. Gdyby Austin nas zobaczył...

- Od kiedy to muszę się przejmować, co sądzi mój niewolnik o kimś, kogo sobie biorę za żonę? - zapytał zaczepnie.

Przełożyła jego szorstkie ręce na jego własny tors i uwolniła się.

- Tak daleko jeszcze nie zaszliśmy. Może on i jest twoim niewolnikiem, ale

wiesz, ile znaczy dla mnie.

Candamir burknął coś niezadowolony, wziął jej dłoń i położył sobie na policzku.

- Mam już dosyć tych sekretów.

- Tak, wiem - odparła niezobowiązująco. - Chodź, obejrzymy dach.

Z ociąganiem poszedł za nią do wnętrza świątyni i kroczył przy niej powoli, gdy sprawdzała belki i dachówki, czekając na jej ocenę. Przy źródle Siglind wreszcie się zatrzymała.

- Będzie dobrze - przyznała.

Candamir kiwnął głową i usiadł na ziemi, gdzie mech i trawa stopniowo się przerzedzały, ponieważ dzień w dzień deptało je wiele stóp, a teraz było także coraz mniej światła. Zaczerpnął pełną dłoń wody i wypił. Ze wszystkich czystych źródeł Catanu to bez wątpienia dawało najsmaczniejszą wodę: chłodną, słodką, z lekkim posmakiem ziemi. Wilgotną dłonią chwycił Siglind za ramię i przyciągnął do siebie. Zaczerpnął wody obiema rękami i podał jej. Siglind nachyliła się i wypila kilka łyków. Kiedy opuścił ręce, spojrzała na niego. Jej uśmiech wciąż trochę go onieśmielał. Tak bardzo się zmieniła, była taka ufna i otwarta. Nadal nie mógł uwierzyć, że to właśnie on jest tym szczęśliwcem, któremu ten uśmiech jest przeznaczony.

Nie było jednak w jego głosie słycać tego radosnego zdumienia, kiedy powiedział:

- Zatem: porozmawiajmy o twoich warunkach, wasza królewska mość. - Zabrzmiało to szorstko. - Co muszę uczynić, abyś zniżyła się do tego, by zamieszkać w moim domu?

- Jeśli zaraz nie przestaniesz mnie tak nazywać, to sobie pójdę i nigdy więcej słowem się do ciebie nie odezwę! - zagroziła dziko.

Skrzywił się jak prostak.

- Zabawne, że tak cię to denerwuje. Nic poza tym tak cię nie wyprowadza z równowagi. Niełatwo oprzeć się pokusie, wiesz?

- Radzę ci, w twoim własnym interesie, poćwiczyć powściągliwość - ostrzegła ponuro. Potem odwróciła wzrok i zaczesła długie, jasne włosy za uszko, które było niemal przezroczyste i połyskiwało różowo jak muszelka. - Zawsze mówisz to takim aroganckim tonem. Przypominasz mi o tym, co było. O lekceważeniu, z jakim traktowali

mnie ludzie Cnuta. Kiedy mówili „wasza królewska mość”, brzmiało to tak samo.

Cmoknął trochę zniecierpliwiony, ale pojednawczo podniósł rękę. Niewiele mu opowiadała o swoim życiu, gdy była królową Zimnych Wysp, on zaś niekoniecznie chciał się o tym więcej dowiedzieć. Wystarczyło jednak tylko pomyśleć, w jakich okolicznościach została królową i żoną Cnuta, żeby móc sobie wyobrazić, jak wyglądało jej życie na jego dworze. Wziął ją za rękę.

- Przrzekam poprawę. Zaśmiała się mimo woli.

- Nie mogę się już doczekać.

- Powiedz mi. Już mnie nie torturuj. Jakie są twoje warunki?

- Chcę błogosławieństwa Austina dla naszego małżeństwa. Jego Boga.

- To nie powinno być trudne.

- To jest trudne. - Tu wyjaśniła mu, dlaczego. Mina Candamira zrobiła się zacięta.

- Zostaw to mnie.

- Candamirze, nie chcę, żebyś go zmuszał. Zresztą, nic by to nie dało. W tej sprawie zrobi tylko to, co mu nakazuje jego sumienie. Pozwól, że najpierw ja z nim porozmawiam.

Nie mógł pojąć, że trzeba mu pozwolenia na ślub od własnego niewolnika, ale ukrył swoje niezadowolenie.

- Niech będzie. Dalej. Co jeszcze? Przelknęła, podniosła głowę i spojrzała na niego.

- Chcę, żebyś był mi wierny.

- Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem.

- Musisz mi przysiąc, że nie tkniesz innej kobiety

- Co? Ale dlaczego, na bogów?

- Takie jest boże przykazanie.

Candamir wypuścił jej rękę i podrapał się po czuprynie

- Potężny Tyrze... Już teraz mam dziwne uczucie, że zawsze we trójkę będziemy leżeć w łożu: ty, ja i bóg Austina,

- Czy naprawdę żądam zbyt wiele? - zapytała niepewnie, co było do niej niepodobne. - Czy nie będziesz tego samego wymagał ode mnie?

„Przecież tego nie sposób porównywać” - pomyślał Candamir. Wiedział jednak

od początku, że ta kobieta jest inna, szczególna. Nie powinno go zatem dziwić, że stawia szczególne warunki. Nie widział sensu w jej wymaganiach i uważał je za nieprzyzwoite, ale ponieważ jeszcze nigdy w życiu niczego nie pragnął tak jak Siglind, bez wahania podjął decyzję.

- Zgoda.

Sporządziła na niego i dodała bez związku:

- Odeślesz z domu Gundę.

Istniało tylko jedno miejsce, gdzie mógł odesłać Gundę.

- To oznacza jednak, że z konieczności dostanie ją Hacon - zaprotestował słabo.

Siglind przytaknęła.

- Zastanów się, czy jesteś w stanie to zaakceptować, nie czyniąc mi pewnego dnia wyrzutów. Przemyśl to sobie dobrze. Musisz się jednak zdecydować. Ona albo ja.

- Wybieram ciebie.

- W takim razie przysięgnij.

Candamir położył lewą rękę na sercu, a prawą uniósł w górę.

Okolo północy Austin, Siglind, Hacon i Gunda spotkali się w kuźni, aby wziąć udział we mszy świętej. Robili to już od pewnego czasu regularnie, zawsze w dzień tygodnia, który Sakson nazywał szabatem. Nie było to bezpieczne. Gdyby Candamir przyłapał Hacona i swoją niewolnicę, jak się razem wykradają z domu, to wyciągnęłyby naturalnie błędne wnioski, wpadły we wściekłość i może nawet połałyby się krew, zanim ktokolwiek by mu rzecz wyjaśnił. Nie było to jedyne ryzyko. Austin wiedział, że jeśli wiedźma kiedykolwiek się dowie, z kim on oddaje cześć swojemu Bogu, to raz na zawsze skończą się czasy niechętniej tolerancji i Brygida nie spocznie, dopóki ktoś go nie zabije. Zapewne ten honor przypadłby Osmundowi, który od przybycia na Catan stał się największym wyznawcą Brygidy, a to wszystko byłoby szczególnie gorzkie dla Candamira. Nie, rozsądniejsze było służenie Bogu w tajemnicy, jak to musieli czynić pierwsi chrześcijanie w bezbożnym Rzymie.

Rozpostarł na kowadle niewielkie płótno, które Siglind, wkładając w to wiele serca, obszyła czerwoną nicią, położył na nim swój prosty krzyż i kawałek chleba oraz

kubek wody, nie było przecież wina. Nie miało to żadnego znaczenia. Był przekonany, że Pan, tak samo jak on, jest gotowy pójść na ustępstwa. Przynajmniej spotykali się w poświęconej kaplicy, o co Austin postarał się mocą swojego kapłańskiego urzędu. Cóż by na to powiedział Harald, gdyby wiedział, że jego młot kołysze się nad poświęconą ziemią...

Austin zaczekał, aż jego trzy owieczki uklęką przed nim, po czym podniósł złożone ręce.

- *In nomine patris, et filii, et spiritus sancti.*

Z nabożnie pochylonymi głowami uczynili znak krzyża.

Nastąpiła łacińska liturgia, której go nauczono, ale którą miejscami traktował swobodnie, wiedząc, że niemądre byłoby wywoływanie u swoich wiernych poczucia, że są wykluczeni ze świętego misterium mszy. Wzbogacał ją opowieściami o czynach patriarchów i cudach, które czynił Jezus. Tego po prostu nigdy nie mieli dość. Czasem nucił którąś z pieśni stanowiących część jego codziennego życia w klasztorze, a wtedy ogarniała go straszna tęsknota za ojczyzną.

Kiedy wreszcie nastąpiło przemienienie chleba i wody, które podał Siglind, ta pokręciła głową. Spojrzał pytająco, nawet trochę ze złością, ale ponownie pokręciła głową. Austin zwrócił się do Hacona.

- *Corpus Jesu Christi custodiat animam tuam vitam aeternam.*

- Amen - odpowiedział Hacon prawie bezgłośnie z przejęcia i wziął kawałek chleba.

- Co to miało znaczyć? - zapytał ją mnich, kiedy po końcowym błogosławieństwie Hacon i młoda Fryzyjka wymknęli się z kuźni.

- Nie byłam godna - wyjaśniła stanowczo, ale bez szczególnego poczucia winy

Sakson starannie poskładał przykrycie ołtarza i razem z krucyfiksem oraz prostym kubkiem włożył z nabożeństwem do woreczka, zawierającego także Biblię. Dopiero wtedy ponownie zwrócił się do niej:

- Dlaczego tak sądzisz?

- Mówiłeś, że komunie wolno przyjmować jedynie z czystym sercem. Kiedy się

jest wolnym od grzechów Ja nie jestem.

Austin westchnął głęboko. Nie potrzebował szczegółowych wyjaśnień. Nie miał doświadczenia w sprawach między mężczyzną a kobietą, nie był jednak ani ślepy, ani głupi.

- Mówiłem ci, czym jest spowiedź, prawda? Siglind skinęła głową.

- Jeśli chcesz, mogę tu i teraz przyjąć twoją spowiedź. Musisz się postarać pokonać słabości cielesne i przyrzec nigdy więcej tego nie robić. Wtedy Bóg przymknie oko.

- Takie proste to nie jest, Austinie - odparła zmartwiona. - Candamir zapytał mnie, czy chcę zostać jego żoną.

- Co odpowiedziałas?

- Prawdę. Ale powiedziałam mu, że tylko z bożym błogosławieństwem i twoją zgodą.

Pod Austinem nagle ugięły się kolana. Osunął się na kowadło, które wciąż służyło mu jako ołtarz, i podparł czoło pięścią.

- To... To wspaniale, Siglind. Udało ci się uczynić ze mnie męczennika. Candamir nie cofnie się przed niczym, ale to przed niczym, żeby uzyskać moją zgodę, a ja wam jej nie mogę dać.

- Nie, tego nie zrobi, mam jego słowo - powiedziała szybko.

„Na niewiele się to zda” - pomyślał ponuro. Na chwilę zapadła cisza. Siedzieli naprzeciw siebie, mnich na kowadle, Siglind na twardym glinianym klepisku, i patrzyli na siebie nieszczęśliwi. Wreszcie Austin wziął ją za rękę.

- Widzę, że wierzysz w to, że szczęście całego twojego życia od tego zależy. Ale ja nie mogę tego zaakceptować, ponieważ Bóg tego nie akceptuje. Tak bardzo chciałbym ci pomóc. To nie jest moja decyzja. Jesteś oblubienicą kogoś innego i, kładąc się z Candamirem, stajesz się cudzołożnicą. Przykro mi.

Nie spuszczał Siglind z oka. Nie robiła na nim wrażenia ani zrozpaczonej, ani zawstydzonej w stopniu, jaki uważałby za stosowny.

- Wiem - odparła. - Nieraz już mi to mówiłeś. - Był w tym ton zniecierpliwienia.

Austin podniósł brodę.

- I będę to powtarzał tak długo, aż się podporządkujesz bożemu przykazaniu,



gdyż taki jest mój obowiązek. - Nagle wypuścił jej dłonie, uniósł palec wskazujący, a oczy zabłysły mu złowrogo. - Ostrzegam cię przed twoją hardością, Siglind. Jest to podszept szatana i twoja wielka słabość. Sądzisz, że koniecznie musisz dostać to, czego chcesz, ale to nie twoja wola ugnie wolę Boga, tylko odwrotnie!

Jak król na tronie, jak jakiś możny pan na swoim rodowym krześle, ciskał w nią groźbami, aż nagle się przelękła.

- Czy odpowiesz mi na jedno pytanie, Austinie?

- Oczywiście.

- Co w oczach Boga czyni z mężczyzny i kobiety prawdziwe... Jak to się nazywa?

Małżeństwo?

- Błogosławieństwo kościoła - odparł szybko mnich.

- Tego Cnut i ja nigdy nie mieliśmy

Austin nie mógł się powstrzymać od uśmiechu uznania, ale pokręcił głową.

- Skoro w twojej ojczyźnie nie ma jeszcze prawdziwej wiary, to obawiam się, że wiążący jest wasz pogański obrzęd weselny.

- W takim razie odpowiedz mi na jeszcze jedno pytanie. Jeśli jakiś mężczyzna weźmie kobietę siłą, czy są w oczach Boga małżeństwem?

- Nie. To jest cudzołóstwo. Oboje są grzeszni.

- Także kobieta, która przecież nie miała wyboru? Wzruszył ramionami i przytaknął.

- Co może zrobić? Czy może się wypowiadać, żeby uzyskać rozgrzeszenie?

- Tak.

- Może potem poślubić innego mężczyznę i otrzymać łaskę Bożą?

Oczywiście zrozumiał, do czego zmierza.

- Siglind...

- Tak czy nie?

- Tak. Najlepiej gdyby poślubiła tego mężczyznę, z którym już sypiała, ale w sytuacji skrajnej może to być ktoś inny

Siglind uśmiechnęła się z triumfem.

- Ale to nic nie zmienia. Mimo to wciąż jesteś żoną Cnuta - upierał się.

Zdecydowanie pokręciła głową.

- Nie było żadnego obrzędu. Jedyne wola króla. Poza tym nikogo o nic nie pytano, nikt nie wyrażał swojej zgody, nawet nie było niczego przypominającego umowę. Jakbyś to nazwał, Austinie?

Nie mógł się pozbyć wrażenia, że wzięto go z zaskoczenia, ale ona miała rację - to musiał przyznać. Udzielił jedynej możliwej odpowiedzi:

- Grzechem.

- W takim razie chciałabym się teraz wypowiedzieć. - Jej oczy błyszczały, pożądliwie, jak podejrzewał. Nie starał się specjalnie ukrywać swojego niezadowolenia. Znowu wyjął krucyfiks z woreczka, podał jej do pocałowania i burknął:

- Uklęknij, zatem i wyznaj swoje grzechy. Ze szczerym żalem i pokorą, jeśli wolno prosić. Ale bądź tak dobra i oszczędź mi szczegółów...

## WIETRZNY KSIĘŻYC, rok pierwszy

*Otwarcie świątyni na wyspie nastąpiło ostatniego dnia września. Dla tych pogan dzień ten nie ma szczególnego znaczenia, ale dla mnie zdawało się znakiem nadziei, że dom modlitwy miał być przekazany akurat w dzień Świętego Hieronima, który przecież dzięki swojemu przekładowi Pisma Świętego stał się praojcem wszystkich misjonarzy. To on był tym, jak mi się zdaje, który umożliwił niesienie światu Słowa Pana, i choć sam jestem być może niegodny, to jednak kontynuuję jego dzieło. Chociaż zapewniałem grzesznego Olafa, że nie chcę poświęcać ich świątyni mojemu Bogu, tamtego dnia modliłem się w tamtej świątyni do mojego Pana i wszystkich świętych.*

*Wydaje mi się, że nawet ta pogańska świątynia musiała znaleźć w oczach Wszechmocnego upodobanie, skoro została wzniesiona w pokorze i na chwałę Najwyższego. Mój ziemski pan przeszedł samego siebie w swoim rzemiośle. Zaprawdę, stworzył wspaniały dom boży. Jego poświęcenie nie było jednak wielkim świętem: ubito kilka wołów, upieczono je i spożyto, a na koniec wolni ludzie zwołali w świątyni thing. Kiedy jednak pod koniec zgromadzenia mężczyźni chcieli swoim zwyczajem wspólnie się wysikać, wiedźma wygoniła ich na zewnątrz i zabroniła kiedykolwiek hańbić to miejsce przelaną krwią lub ludzkimi odchodami. Jak zawsze podporządkowali się rozkazom starej.*

*Wszyscy są zgodni, że świątynia jest godna podziwu, i darzą wielkim szacunkiem mojego pana, jego przyjaciela Osmunda, uważanego za wybrańca Odyna, oraz jego żonę Inge, która źródło wykopała. Postanowili też od teraz już zawsze prowadzić thing w świątyni, aby znajdować się bliżej rady bogów.*

Candamir naprawdę był dumny ze swojego dzieła i w głębi duszy podejrzewał, że Odyn chciał mu wynagrodzić jego starania i dlatego wpłynął na to, że Siglind zmieniła zdanie. Tymczasem Berse i jego ludzie zaczęli budować dom dla Candamira. Wiernie

spełniali jego życzenia i już teraz było widać, jak wspaniała będzie to budowla. Mimo to Candamir był zadowolony dopiero wtedy, gdy zaczął sam działać na budowie, Berse również się cieszył, że rzutki, młody cieśla zakończył swoje potężne zadanie i znów bierze udział w stawianiu domów dla śmiertelników, ponieważ pomysłowość Candamira była równie niewyczerpana jak jego wytrwałość.

- Pora już kończyć te domy - oznajmił karłowaty szkutnik. - Jest coraz chłodniej.

Candamir zgodził się z nim. Co do tego nie mogło być wątpliwości. Jesień ogarnęła w końcu także i Catan. Można to było poznać po wielu różnych zjawiskach: liście zmieniały barwę, dni zrobiły się krótsze, rankiem nad rzeką kładła się mgła, a na łące rosa, leśne powietrze nabrało zaś cudownego zapachu. Nocą po otwarciu świątyni rozpętała się burza. Nie była przerażająca, ale wystarczająco kłopotliwa dla wszystkich, którzy nadal byli zmuszeni mieszkać w szałasach. Zmartwiony Candamir przemknął się do Siglind, aby się upewnić, że dach z gałęzi nie spadł jej na głowę. Przywitała go gościnnie i zaraz namiętnie pociągnęła na posłanie, wydawała się jednak niespokojna. Objęła go mocno jak tonąca, później jednak zaparła się dłońmi o jego piersi, jakby chciała go odepchnąć. Wiedział, że to całe robienie tajemnicy jest dla niej czymś wstrętnym i nie widzi żadnego powodu, żeby to ciągnąć, skoro uzyskała już pozwolenie swojego Boga. Jeszcze jedno należało jednak uczynić, zanim ujawni swój sekret, a tego właśnie Candamir obawiał się tak bardzo, że na razie wołał to od siebie odsuwać...

Zamiast przyłączyć się do wieczerzy u kowala, przeprosił Astę, narzucił na siebie płaszcz z gładkiej wełny, który mu pozszywała, bardzo użyteczny po zmierzchu, i skierował się do domu Osmunda na przeciwległym skraju nowej osady. Był zaskoczony, gdy znalazł swojego mlecznego brata i jego kuzyna z dłutem i zdzierakiem nachylonych nad czterema solidnymi drewnianymi słupkami.

- Osmundzie...

Przyjaciel odwrócił się przestraszony i przewrócił oczami.

- Przychodzisz w nie najlepszej chwili, wiesz?

Candamir uśmiechnął się niepewnie.

- Przepraszam. Pójdę sobie i przyjdę jutro. Ale zdradźcie mi, co tam robicie?

Osmund i Jared wymienili spojrzenia, trochę rozbawione, a trochę zakłopotane. Potem starszy z kuzynów westchnął.

- Nie, nie musisz nigdzie iść. Podejdz tutaj i obejrzyj sobie. To miała być niespodzianka dla ciebie, ale i tak jesteśmy już prawie gotowi.

Candamir z ciekawością podszedł bliżej, a gdy spojrzął i dojrzał słupki leżące na prowizorycznych drewnianych koziołkach, od razu wiedział, co ma przed oczami. Nagle ścisnęło mu się gardło.

- Krzesło rodowe...

Osmund krytycznie spoglądał na dzieło.

- Co sądzisz? Widać, że nie mamy dużego doświadczenia, co?

Candamir pokręcił głową.

- Jest cudowne.

Naprawdę tak uważał. Słupki były bogato ozdobione wyrzeźbionymi runami i ornamentami, które ponadto zostały kolorowo pomalowane - na ciemnozielono, ciemnoczerwono i ciemnożółto. Krzesło rodowe Osmunda było stare i szacowne, jak własne krzesło Candamira, które wraz z „Sokołem” pograżyło się w odmętach: rzeźbienia na oparciu i podpórkach gładko wypolerowane przez licznych przodków, którzy w tym krześle siadywali przez całe pokolenia i rządzili swoim gospodarstwem. To nowe krzesło było natomiast z tak młodego drzewa, że jeszcze pachniało żywicą, jaśniało słojami, a farba była świeża. Niezniszczone jak ten kraj, bez przeszłości. Candamir uznał, że bardzo pasuje do okoliczności.

- Nie wiem, co mam powiedzieć - oświadczył zakłopotany. Nie mógł oderwać wzroku od swojego niedokończonego podarunku, a oczy mu błyszczały.

Inga zawołała spod pieca:

- Zjedz z nami, Candamirze. Osmund ubił wczoraj świnię i mamy świeżą wieprzowinę.

Candamir nie dał długo się prosić. Zapach był kuszący.

- Chętnie. Dziękuję za zaproszenie.

Na wieczerzę przyszła także Ota, siostra Jareda, mamka Cudrun, dwóch parobków Osmunda i mały Roryk. Było wesoło i żywo. Cięży Ingi nie można już było przeoczyć, zwłaszcza, że młoda kobieta z dumnie wypiętym brzuchem siedziała u boku

męża, rzucając mu od czasu do czasu ukradkowe spojrzenia pełne czułości. Candamir musiał powściągnąć uśmiech, kiedy ich na tym przyłapał.

Rozmawiali na temat dyskutowanego ostatnio zagadnienia, czy wolno przeganiać białe kruki z dopiero, co obsianych pól, czy nie, gawędzili o ciężkiej pracy przy zbieraniu żołądździ i kasztanów służących zimą jako karma dla trzody, nie mówiąc już o bukowych żołądździach, z których wyrabiali olej do lamp, mówili też o wielkiej sensacji zeszłego tygodnia - Austin z Haraldem i Haconem wyruszyli w góry po nową rudę i na południowym stoku przedgórza odkryli winną latorośl z kilkoma małymi winogronami. Zgromadzenie zakonne, w którym Austin kiedyś żył, miało też winnicę. Nie bardzo się na tym rozumiał, ale może wystarczająco dobrze, żeby uprawiać tę roślinę. Ostrzegł, że całe lata potrwa, zanim ktokolwiek skosztuje pierwszego catańskiego wina. Mimo to na samą myśl wszystkim osadnikom zabłyśły oczy

Zaraz po jedzeniu Jared i Ota pożegnali się, Inga także oznajmiła, że ona i Roryk niebawem położą się spać.

- Jak myślisz? - zapytał Candamir przyjaciela. - Może byśmy się przeszli parę kroków? Nie jest tak zimno.

Osmund nie dał się długo namawiać. Księżyc był w nowiu, a ponieważ nie mieszkali daleko od morza, rozgwieżdżone niebo było prawie czyste. Przez całe lato mógł się rozkoszować tym oszałamiającym widokiem, ale nigdy nie miał go dość.

Szli spacerkiem obok siebie przez mrok, każdy z kuflem miodu w dłoni. Było zbyt ciemno, by dostrzec, gdzie kończy się łąka, a zaczyna rzeka, ale słyszeli jej nieprzerwane szemranie, poza tym zdążyli tak dobrze poznać brzeg, że nie byli już zależni od wzroku.

- Przyszedłeś, zatem nie tylko po to, żeby Jaredowi i mnie popsuć niespodziankę - odezwał się Osmund po długim milczeniu.

Candamir zmarszczył czoło.

- Tak to brzmi, jakbym ostatnio potrzebował powodu, żeby cię odwiedzić.

- Nie. Ale robisz to znacznie rzadziej niż dawniej.

- Twoja żona nie może mnie znieść, Osmundzie. Jeszcze tego nie zauważyłeś?

- Co za nedorzecznosc. Jest trochę nieśmiała. - „Pewnie i trochę zazdrosna, podejrzewając, że jej mąż ma więcej uczucia dla swojego mlecznego brata niż dla niej” -

pomyślał przy tym. - Ale dlaczego ciebie obchodzi, co ona myśli?

- Racja. Nie odchodzi mnie to. Zgadza się też, że przyszedłem, bo mam ci coś do powiedzenia.

- No?

Candamir odniósł wrażenie, że jego przyjaciel czeka na jego słowa z założonymi rękami. Wcześniej myślał, że w ciemności będzie mu łatwiej. Teraz wolałby widzieć twarz Osmunda.

- Chodzi o Siglind. Ona... Będziemy się żenić.

„Nie czuj się urażony - dodałby najchętniej. - Ona naprawdę mówiła szczerze w noc Thora: nie chciała już żadnego mężczyzny, ani ciebie, ani mnie. Nie mogła przecież przewidzieć, że zmieni zdanie, bo wydarzy się coś, z czym się nie liczyła”. Tego jednak nie wolno mu było powiedzieć. Wiedział, że w tej rozmowie najważniejsze jest to, aby Osmund mógł zachować twarz. Za wszelką cenę Candamir chciał uniknąć tego, żeby ta sprawa cokolwiek między nimi zmieniła i żeby stało się to wyłącznie z powodu kobiety. Ograniczył się, więc do tego prostego oświadczenia i wypowiedział je takim tonem, jakby zawiadamiał, że zamierza w przyszłym tygodniu siać owies. Resztę właściwie połknął i z niepokojem czekał na reakcję Osmunda.

Musiał czekać dłuższą chwilę. W końcu wyczuł, że jego mleczny brat podniósł kufel i szybko go opróżnił, po czym cicho powtórzył:

- Żenić...

- Tak.

Osmund bezceremonialnie wziął go za rękę i, nie rzuciwszy już nawet okiem na gwiazdy, powiodł go z powrotem do domu, gdzie gestem wskazał miejsce przy stole. Domownicy położyli się już spać w sypialni za ścianą - byli sami. Osmund od żaru w palenisku zapalił sosnową drzazgę, którą zbliżył do knota olejowej lampy. Ze światłem wrócił do stołu, postawił lampę i usiadł w swoim rodowym krześle naprzeciw przyjaciela.

- Candamirze, zaklinam cię, przemyśl to sobie raz jeszcze.

Candamir czuł się tak, jakby dostał w łeb obuchem. Liczył się z chłodnym dystansem, z zazdrością i wściekłością, ale nie z takim otwartym, zatroskanym spojrzeniem.

- Dlaczego? - zapytał skołowany.

- Bo ona nie jest odpowiednia dla ciebie. Przyniesie ci tylko nieszczęście.

Candamir poczuł mocne ukłucie i zapomniał o dobrych obyczajach.

- Jeszcze niedawno sam się jej oświadczyłeś!

Osmund kiwnął głową i wzruszył ramionami.

- Lepiej od ciebie znoszę nieszczęścia.

Candamir prychnął w swój kufel. Osmund znowu spowaźniał.

- Nie, uświadomiłem sobie później, że to był błąd. Dziś dziękuję Odynowi, że mi odmówiła i że on w porę otworzył mi oczy

- Otworzył ci oczy? O czym ty mówisz?

- O tym, że ona wybrała tego boga cieślę.

Candamir spojrzał na niego z niedowierzaniem.

- Tylko tyle? Do licha, Osmundzie, ale mi stracha napędziłeś. Myślałem, że dowiedziałeś się o niej czegoś odrażającego...

- To jest dostatecznie odrażające - przerwał Osmund.

Candamir oparł łokcie na stole.

- Kim był ten, kto nie dopuścił, żeby Brygida wrzuciła w ogień księgę mojego Saksona, ponieważ Siglind tak bardzo na tym zależało? Chodzi mi o to, że przecież wiedziałeś o jej zainteresowaniu bogiem Austina.

- Zgadza się. Zakochany człowiek zawsze będzie głupcem, Candamirze. Byłem tak głupi, żeby wierzyć, że zapomni o tym przeklętym bogu, gdy tylko stwierdzi, że to ja jestem tym, którego szuka. Ona była już jednak w nim zadurzona. Nie chciałem tego przyjąć do wiadomości.

- Ach, czy to jest naprawdę aż takie strasznie ważne? - odparł Candamir beztrąsko.

- I ty o to pytasz? Akurat ty, który z niewyczerpaną mocą twórczą wzniosłeś Odynowi tak wspaniałą świątynię?

- Taka wspaniała to ona znowu nie jest. Jest tylko duża i ma piękny dach, to wszystko. Wybudowałem ją zaś, bo Brygida nie dawała mi spokoju, poza tym obawiałem się też, że może mieć rację, że tamto trzęsienie ziemi było ostrzeżeniem.

- Na pewno miała rację. Odyn naprawdę nas wybrał i oczywiście stawia nam



szczególne wymagania. Pomyśl o dawnych opowieściach. Candamirze: jak łatwo Odyn odwraca się od tych, którzy go rozczarowali lub przestali mu służyć. Jeśli pragniemy zachować jego przychylność, nie wolno nam nigdy ustawać w prośbach o nią.

„Cóż za małosłowny bóg” - Candamir usłyszał w głowie głos Austina i już sama ta myśl go przeraziła. Żeby uspokoić zarówno Osmunda, jak i siebie, powiedział:

- To nie ma nic wspólnego z Odynem. Chcę sobie wziąć żonę, ot, co. Chciałem ci o tym powiedzieć, bo... bo... Ach, sam dobrze wiesz, czemu!

- Doceniam twoją uprzejmość. Twoje obawy były jednak nieuzasadnione. Już dawno sobie wybiłem Siglind z głowy. Ty też powinieneś to uczynić. Och, to piękna kobieta, bez wątplenia. Ale jest też odszczepieńcem. Jest niebezpieczna. Bóg twojego Saksona nigdy nie zdobyłby takiej władzy nad tyloma naszymi ludźmi, gdyby ona nie zwróciła się ku niemu.

Tym, co naprawdę przelęknęło Candamira w tych słowach, było ich szczere brzmienie. Osmund nie wmawiał sobie tego wszystkiego, żeby przeboleć odmowę Siglind. On rzeczywiście w to wierzył.

- Przecież bóg Austina nie ma tak naprawdę żadnej władzy nad nikim tutaj na Catanie - zaoponował zdezorientowany. - Cóż szkodzi, że Siglind się ku niemu zwróciła? Przecież on jest nieszkodliwy.

- On nie jest nieszkodliwy. On stanowi wyzwanie dla naszych bogów. Nigdy nie przyszło ci do głowy, że może, dlatego jest bezpłodna, bo ich rozgniewała?

Tak, myślał o tym. Rozzłościło go jednak, że Osmund tak trafnie dotknął bolesnego miejsca, i wybuchnął:

- Jest mi to obojętne! Ja spełniłem moją powinność wobec bogów. Zrobiłem, co w mojej mocy. Ale pragnę Siglind i nie robi mi różnicy, czy może mieć dzieci. W końcu mam zdrowego syna.

Osmund pokiwał głową.

- Mam nadzieję, że bogowie ci go zostawią.

Candamir poczuł na plecach lodowaty dreszcz.

- Och, Osmundzie. Naprawdę nie wiedziałem, że tak źle o niej myślisz - w jego słowach brzmiało zmartwienie.

Osmund nie od razu się odezwał.

- Nie, nie myślę o niej źle - odpowiedział w końcu z namysłem. Musiał jednak uznać, że nie jest już jej przyjacielem, chociaż w noc Thora to właśnie jej powiedział. - Myślę, że sprowadzono ją na złą drogę. Skutki tego mogą być groźne dla nas wszystkich, a zwłaszcza dla ciebie, jeśli naprawdę się z nią ożenisz.

Candamir westchnął, wrzucił ramionami i spojrzał bezradnie na przyjaciela.

- Zrobię to mimo wszystko. Bez względu na to, co powiesz, bez względu na to, co się stanie. Po prostu nie mogę inaczej.

- W takim razie jesteś po prostu głupcem - oznajmił Osmund i uśmiechnął się mimo woli.

„Tak, ale szczęśliwym” - pomyślał Candamir i stuknęli się z Osmundem kufłami.

W drugim tygodniu wietrznego księżycy - który także w nowej ojczyźnie zasługiwał na swoją nazwę - dom Candamira był gotowy. Podobnie jak większość sąsiadów, również on wydał wielkie przyjęcie z tej okazji. Goście swobodnie biesiadowali, gdy Osmund z pomocą dwóch niewolników wniósł do izby gotowe krzesło rodowe i pan domu po raz pierwszy w nim zasiadł.

Jako szwagier i przyjaciel ojca Harald wziął na siebie zadanie złożenia Candamirowi życzeń szczęścia w nowym domu i przychylności bogów.

Candamir słuchał kowala z ogromną uwagą, ale wzrokiem wodził ukradkiem po izbie, a oczy błyszczały mu dumą. Na ścianach nie było jeszcze makatek, niewiele też było na razie naczyń na półkach nad piecem. Rozstawione na długim stole półmiski były, wszystkie, co do jednego, pożyczone, nie miało to jednak znaczenia. Izba była obszerna i miała dwa szerokie okna, które przy tak marnej pogodzie jak dzisiejsza można było zamknąć dwoma solidnymi okiennicami. Palenisko było tak szerokie, że Heide mogła nad nim powiesić dwa duże kociołki. Zaraz za nim była sypialnia, przez której okno wpadało wschodzące słońce i gdzie Candamir zamierzał nazajutrz obudzić się po raz pierwszy u boku swojej żony.

Zamienił przelotne spojrzenie z Siglind, która siedziała obok niego na ławie i z uśmiechem kiwnęła do niego zachęcająco głową.

Kiedy Harald wypowiedział wszystkie życzenia i wypito zdrowie Candamira, ten

podniósł swój kufel miodu, podziękował kowalowi za piękne słowa, gościom za przybycie i podarki, a na koniec oznajmił:

- Patrząc na ostatni rok, nie mogę wprost uwierzyć, ile się wydarzyło, jak wiele szczęścia przypadło w udziale mnie i nam wszystkim. W zeszłym roku o tej porze nie miałem większej nadziei na to, że moje gospodarstwo przetrwa zimę bez strat w ludziach. Głodowaliśmy i marzliśmy, a świat był mroczny. Dzisiaj narzekamy, jak wiele wysiłku wymaga zebranie wszystkiego z pola i lasu, a także wydojenie bydła. - Tu goście cicho się zaśmiali. Candamir również lekko się uśmiechnął i zmieszany spuścił wzrok, ale bez wahania ciągnął: - Ponieważ mnie znacie, nie zaskoczy was, że mimo obfitości i piękna, którymi nas Odyn w nowej ojczyźnie obdarował, nie byłem w pełni zadowolony, aż do niedawna, kiedy to zdołałem przekonać kobietę, której pragnę, żeby wspólnie ze mną zakosztowała tego wszystkiego. - Zrobił małą przerwę w celu zwiększenia napięcia, i choć każdy mógł się domyślić, o czym Candamir mówi, wszyscy wstrzymali oddech. - Trzeba wam wiedzieć, że moim życzeniem jest pojąć Siglind za żonę. W posagu wnosi zboże, ziarno pod siew i bydło, które otrzymała od was jako zapłatę za wasze dachy, w tym także trzy owce. Ponieważ nie ma ani ojca, ani opiekuna, musi mówić sama za siebie. Pytam cię, zatem, Siglind, czy chcesz zostać moją żoną? - Wyciągnął do niej prawą rękę.

Wstała i podała mu lewą dłoń.

- Tak, chcę - odpowiedziała uroczyście.

Wybuchły ogłuszające oklaski i wszyscy wołali jeden przez drugiego, żeby pogratulować młodej parze. Asta wygrała ten wyścig: szybciej niż ktokolwiek inny podniosła się i objęła szwagierkę.

Wielu powstało z ław i pospieszyło ku nim. Także Osmund. Candamir znał go zbyt dobrze, żeby nie dostrzec, że uśmiech jego mlecznego brata jest nieco wymuszony, ale i tak był mu wdzięczny. Uścisnęli się krótko, jak robili to przy każdej tego typu okazji, ale ich przyjaźń pozostała niezmieniona. Candamir czuł się wolny. Fakt, że Inga i Brygida pozostały na ławach i nie znalazły dla niego i panny młodej życzliwego słowa, nie zmartwił go z kolei w najmniejszym stopniu.

Była już głęboka noc, kiedy wreszcie ostatni goście się pożegnali. Zostali jedynie Harald, Asta i Hacon, i to oni poszli za Austinem, który młodą parę zaprowadził do tylnej izby. Zamknął drzwi przed ciekawskim wzrokiem służby, której przypadło niewdzięczne zadanie doprowadzenia przed snem izby do porządku.

- Haconie, sądzę, że twoją obecność możemy sobie podarować - oznajmił chłodno Candamir.

Ze zwieszonymi ramionami chłopiec już chciał się odwrócić, Austin rzekł jednak:

- Zostań. - Zwróciwszy się do Candamira, mówił dalej: - W tej sprawie wyjątkowo będziesz musiał robić to, co ja powiem, panie, nie na odwrót.

Candamir z niepokojem przez chwilę wpatrywał się w niego, potem kiwnął głową zrezygnowany, nie powstrzymawszy się jednak od warknięcia:

- Lepiej nie zapominaj, że jutro znów wszystko będzie po staremu.

- Nie zapominam - Austin ściągnął usta, ale zaraz zrobił się znów poważny i uroczysty. - Ponieważ oboje oświadczyliście już publicznie, że pragniecie zawrzeć małżeństwo, o to nie muszę was pytać. Zwracam wam jednak uwagę, że związek wasz w oczach mojego Boga jest nierozzerwalny i wasza przysięga wiąże was na całe życie.

- Do rzeczy, Saksonie - mruknął Candamir. - Dzisiejszej nocy mam jeszcze inne zamiary...

Austin udał, że nic nie słyszał.

- Teraz poproszę o obrączki - oświadczył. Candamir spojrział na niego zdezorientowany.

- Jakie obrączki?

- Musicie wymienić się obrączkami, inaczej przysięga nie będzie ważna.

- Mówisz mi to teraz, ty nicponiu. Ty chytry, przebiegły...

- Oto one - nieśmiało odezwał się Hacon. Wyciągnął do mnicha i swojego brata dłoń. Leżały na niej dwie wąskie, srebrne obrączki, jedna mała, druga duża, a obie misternie wygrawerowane w faliste wzory. Nie były bezbłędne i całkiem równe, ale srebro błyszczało bogato i migotliwie w świetle dwóch świec stojących na skrzyni pod ścianą.

- Co... to jest? - zapytał Candamir zdumiony.

Hacon zebrał się na odwagę, spojrział bratu prosto w oczy i uśmiechnął się.

- Mój podarek dla was.

- Czyż nie są wspaniałe? - zapytał Harald cicho, ale z wyraźną dumą ze swojego ucznia. - W górach na wschodzie jest nie tylko ruda żelaza, wiesz? Znaleźliśmy także miedź i srebro. Gdy Hacon usłyszał, że potrzebujecie obrączek, postanowił spróbować swoich sił jako złotnik. Prawie nic nie mogłem go w tej dziedzinie nauczyć. Ma wrodzony talent.

Z pełnym niedowierzaniem zdumieniem Candamir przyglądał się pięknym ozdobom.

- Tak, rzeczywiście ładne - pochwalił Austin, który najwidoczniej uznał, że w nieuzasadniony sposób nadużywa się jego cierpliwości. - Może moglibyśmy już zacząć? - Wziął obrączki z dłoni Hacona, wręczył Candamirowi małą, a Siglind dużą.

Młoda para zwróciła się znowu w jego kierunku, on zaś kazał powtarzać za sobą:

- Biorę sobie ciebie przed Bogiem za męża... Za żonę...I ślubuję trwać przy tobie i szanować cię na dobre i na złe, póki śmierć nas nie rozłączy

Candamir i Siglind podczas tej wzajemnej przysięgi patrzyli sobie głęboko w oczy, a kiedy jedno drugiemu nakładało obrączki, Candamir stwierdził ku swojemu zdziwieniu, że pasują doskonale.

Austin uniósł szeroko ręce, wymruczał jakieś dziwnie brzmiące zaklęcia w obcym języku, które napędziły Candamirowi wielkiego stracha, następnie prawą dłonią uczynił znak w osobliwym kształcie krzyża, który to znak na dokładkę powtórzyli jeszcze Hacon i Siglind, a wtedy było już po wszystkim.

Candamir odczekał chwilę z pochyloną głową. Nie rozległy się jednak żadne grzmoty ani nie trafił go grom z jasnego nieba. Odetchnął z ulgą i, nie czekając na kapłańską zachętę, wziął żonę w ramiona, jakby chciał jej połamać wszystkie kosteczki, i bez skrępowania pocałował.

Austin odwrócił się, ukradkiem i z niezadowoleniem kręcąc głową.

Kiedy wreszcie Candamir puścił żonę i zrobił krok w tył, jego wzrok padł na błyszczącą obrączkę na jej palcu. Odwrócił się w kierunku Hacona. Przez chwilę niepewnie patrzyli na siebie. Potem Candamir wziął głęboki oddech.

- Dobrze. Niech będzie. - Położył mu na ramieniu dłoń z obrączką. - Dzięki, bracie.

Nie było to wiele. Hacon poczuł jednak, jakby zdjęto mu z ramion jakiś ogromny ciężar, i z ulgą zamknął oczy. Równocześnie szybko chwycił Candamira za rękę i zanim tamten zdążył się wycofać, krótko ją uściśnął, po czym puścił. Nie powiedzieli do siebie już nic więcej. Kiedy jednak rodzina się zegnała i kierowała się ku drzwiom, to właśnie na Hacona patrzył Candamir, kiedy mówił:

- Asto, zabierz ze sobą Gundę. Nie chcę już mieć jej w domu, a wiem, że ty będziesz miała z niej pożytek. Daruję ci ją. Chcę jednak chłopaka, gdy tylko ona przestanie go karmić piersią. Nie obchodzi mnie natomiast, co wyrośnie z dziecka, które nosi pod sercem.

Asta skinęła głową i nie dała po sobie poznać ani ulgi, jaką poczuła w związku z takim rozwiązaniem, ani współczucia dla Gundy, która straci syna.

- Jak sobie życzysz. Dziękuję, Candamirze. Dobrej nocy.

Candamir poczekał, aż zamkną się za nimi drzwi. Następnie uroczystym krokiem podszedł do panny młodej, spojrzął na nią błyszczącymi oczyma i położył dłoń na jednej z klamer z brązu, które podtrzymywały jej suknię.

- Candamirze...

- Co? - Odpiął pierwszą klamrę. Krótki łańcuszek łączący oba zapięcia cicho zadzwonił.

- Ja... Dziękuję. Dziękuję, że ze względu na mnie wzięłeś to na siebie. Wiem, że nie było to dla ciebie łatwe. - Zaplotła ręce na jego szyi i spojrzała na niego.

Uśmiechnął się i ochoczo poddał się czarowi tych błękitnych oczu.

- Nie. Ale ci to przyrzekłem, a poza tym byłem coś winien bogu Austina. Teraz jesteśmy kwita.

- Ale...

Położył jej palec na ustach i pokręcił głową.

- Cicho. Jutro o tym porozmawiamy. Teraz pragnę się dowiedzieć, jak wyglądasz, kiedy nie masz na sobie nic prócz tej obrączki.

Również na Catanie stopniowo zbliżało się zakończenie rocznego cyklu siewu i żniw. Pola były obrobione i właściwie nadszedł teraz czas na ubój, wędzenie i

peklowanie, osadnicy nie widzieli jednak żadnego powodu, żeby ubijać tyle bydła, co dawniej. Skoro na Catanie nie ma śniegu i najwidoczniej nie ma też mrozów, można było założyć, że trawa będzie rosła przez całą zimę i będą mogli wypasać bydło. „Po co przygotowaliśmy to całe siano?” - pytali się nawzajem.

Okolo połowy mglistego księżyca, dokładnie przed nastaniem obfitych deszczów, zakończono budowę ostatniego domu przeznaczonego dla Ivara, kapitana „Morskiej Strzały”, i jego dużego gospodarstwa, bo to właśnie Ivar wyciągnął najgorszy los. Teraz brakowało jedynie młyna, jego budowa była jednak wielkim i skomplikowanym przedsięwzięciem, postanowiono, więc przesunąć ją na przyszły rok. Austin widział w swojej ojczyźnie młyny wodne, ale niewiele o nich wiedział. Tylko Olaf zawsze się interesował ich konstrukcją, zwiedzał takie młyny podczas swoich licznych podróży i mógłby osadnikom przekazać wiele szczegółów. Od teraz musieli jednak radzić sobie bez Olafa. Wszyscy byli zgodni, co do tego, że to niezbyt duża strata. Trochę swojego żyta mogli przecież zemleć w młynach ręcznych, a kiedy w przyszłym roku zbiorą pszenicę i jęczmień, zawsze pozostawało inne rozwiązanie - sprowadzić wielki młyński kamień i obracać go wołami. Candamir widział to kiedyś w kraju Franków.

Wciąż było jednak jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia: trzeba było postawić spichlerze, stodoły, łąnie i obory, należało także, póki pogoda pozwoli, posuwać dalej karczowanie. Niemal senna zimowa przerwa, która w dawnej ojczyźnie skazywała ich na śnieg, mróz i mrok, tutaj po prostu nie nadchodziła, i Harald zauważył, że jeśli się nie opamiętają, to będą tak harować przez cały rok bez przerwy, a to może nie być zdrowe.

Z początkiem świątecznego księżyca rozwiały się wreszcie ponure deszczowe chmury i znów pokazało się słońce. Candamir miał już po prostu dosyć tego chłodnego, stałego wiatru, nie mógł już dłużej zapanować nad swoją tęsknotą za morzem. Porozmawiał z Osmundem, Jaredem i kilkoma innymi osobami, które były zgodne, co do tego, że mają już po dziurki w nosie tych wiecznych pstrągów i tęsknią za porządnym morskim połowem. Oporządzili, więc „Morskiego Smoka” i na kilka dni popłynęli w morze na ryby

Półw był bogaty, nałapali wielkich ryb - niektóre były długie na trzy łokcie - podobnych do dorszy i morszczuków z dawnej ojczyzny, ale także mniejszych, delikatnych, o niewiarygodnie doskonałym smaku, których nazw nie znali. Candamir

upajał się beztruskimi dniami na morzu, nieskomplikowanymi relacjami z towarzyszami, możliwymi tylko tam, gdzie, jak okiem sięgnąć, nie ma żadnej kobiety. Głęboko zaciągał się słonym powietrzem i zastanawiał się, jak udało mu się tak długo obywać bez tego. Wiezorami on i Osmund, owinięci w skóry, siadywali na pokładzie, gawędzili jak za dawnych czasów i upijali się. Jared i Sigurd, którzy w domu starali się o względy młodej Margild, każdego wieczoru wszczynali kłótnię, dając pozostałym świetne przedstawienie. Było wspaniale.

Po pięciu dniach namiętność Candamira do morza jednak osłabła, za to ogarnęła go tęsknota za żoną. Również inni uznali, że pora wracać. Połów z pierwszego dnia rozwiesili na sznurach do wysuszenia, ale możliwie dużo świeżej ryby chcieli przywieźć do domu, żeby kobiety mogły ją uwędzić.

Ponieważ wiatr zmienił się na wschodni, musieli wiosłować w górę rzeki, a zanim dotarli na miejsce, niebo znowu zaciągnęło się chmurami. Niebawem zaczął padać lodowaty, rześisty deszcz, pogratulowali, więc sobie mądrej decyzji o powrocie do domu w porę przed zmianą pogody - a przynajmniej prawie w porę.

Przemoknięty do suchej nitki, przemarznięty, z ciężką skrzynią na plecach, o zmierzchu wreszcie dotarł Candamir do domu. Wszyscy poczuli zimny powiew od drzwi i odwrócili się w ich kierunku. Siglind wstała od warsztatu tkackiego i wyszła mu naprzeciw.

- Witaj w domu, żeglarzu - powiedziała, a jej uśmiech całkowicie go rozbroił.

Z hałasem postawił skrzynię i objął żonę, wkładając bezceremonialnie dłoń w wycięcie sukni przy szyi.

- Przywożę wspaniałą rybę na święto Jul - oznajmił cicho, wtulając twarz w jej warkocze.

Pogłaskała go po plecach.

- To bardzo ładnie z twojej strony. Ale jesteś cały mokry i przemarznięty. Chodź do ognia i ogrzej się.

- Znam coś lepszego... - mruknął.

- Tak, pewnie - szepnęła równie cicho. Zabrzmiało to konspiracyjnie i, śmiejąc się, spojrzeli sobie w oczy. Potem jednak pokręciła głową. - Możemy siadać do jedzenia.

Był wygłodniały



- Pachnie cudownie - zauważył, puścił żonę, ale zaraz chwycił ją za rękę i pociągnął w kierunku stołu. - Saksonie, przynieś mi coś do picia.

- Tak, panie. Mam podgrzać miód?

- Nie trzeba.

Austin napełnił z beczki dzban i wraz z dwoma kuflami przyniósł do stołu. Candamir usiadł na swoim krześle rodowym z Siglind u boku. Rozejrzał się dokładnie wokół siebie. Po pięciu dniach świeżym okiem spojrzął na swój dom i stwierdził, że wiele się tu już zmieniło, od kiedy się wprowadzili. Siglind, równie niezmordowanie jak przez całe lato i jesień kryła dachy, teraz dzień w dzień była zajęta tkaniem i oto cudownie wzorzysta makata przykrywała ścianę między oknami, wcześniej tak gołą. Barwne koce i bardzo starannie wygarbowane skóry wyścielały krzesło rodowe i ławy. Na stole stały dwie lampy olejowe, które Tjorv i Nori zrobili z miękkiej wapiennej skały przyniesionej z trawiastej równiny. Jedna z lamp miała uchwyt w kształcie zwiniętego węża, a w drugiej przy odrobinie dobrej woli można było rozpoznać głowę kruka. Żywy ogień trzeszczał w piecu, nad którym wisiał kociołek pełen zupy z króliczego mięsa, świeżych ziół i grzybów, a wydobywał się z niego cudowny zapach. Candamir odetchnął głęboko.

- Muszę powiedzieć... Cudownie znów być w domu.

- Taką też mam nadzieję - zauważyła Siglind szorstko, wzięła swój kufel i wypila. W jej oczach błyszczała niemal ekstaza i Candamirowi wielce pochlebilo, że jego powrót wyraźnie tak bardzo ją ucieszył.

Heide postawiła na stole drewniane miski i położyła łyżki.

- Piękne ryby przywiozłeś, panie - pochwaliła z zadowoleniem. - Jeszcze dzisiaj wieczorem wezmę się za ich wędzenie.

- Tak zrób.

- Przynajmniej jest to coś, co przypomina Elasund. Niech mi Odyn wybaczy, ale święto Jul bez śniegu... To przecież dziwne.

- To tęsknota za domem, Heide - przekomarzał się z nią.

- Jestem tylko głupią, niewiarygodnie starą kobietą - burknęła, napełniła miski, a do stołu przyszli także parobkowie.

- Jak tam? - zapytał Candamir z pełnymi ustami. - Co nowego?

Nori uprzejmie zaczekał, czy pani domu ma coś do powiedzenia. Ponieważ najwidoczniej nie miała, sam zabrał głos.

- Chciałbym się ożenić, panie.

- Naprawdę? - Candamir spojrzał na niego z ciekawością. - Którą spotkało to szczęście?

- Freydis. Należy do Eilharda.

Candamir pokiwał głową. Znał tę służącą starego Eilharda. Była mamką Margild, ale skoro Margild sama niebawem będzie wychodzić za mąż - nawet, jeśli nie wiadomo jeszcze, kiedy - w gospodarstwie starego wojownika mamka nie jest już potrzebna. Freydis była kilka lat starsza od Noriego, jak oceniał, i miała okaleczoną stopę, ale poza tym była zdrowa i na pewno mogła mieć jeszcze dzieci. Candamir nie miał nic przeciwko temu związkowi.

Spojrzał na Siglind.

- Co o tym sądzisz?

Zrobiła zachęcający gest.

- Proszę bardzo. Przyda się nam tutaj jeszcze jedna para rąk. Mam nadzieję, że Eilhard nie podał zbyt wysokiej ceny za nią.

Nori z zakłopotaniem gmerał w swojej misce.

- Chce jedną owcę - wyznał ze spuszczoną głową.

Candamir westchnął. Wszyscy chcieli owce! Chociaż górskie kozy, które trzymał prawie każdy, dawały dobrą wełnę i mleko, i wcale nieźle smakowały - w każdym razie małe koźlątka - to owce były tu tak cenne jak w dawnej ojczyźnie złoto i srebro. Prawdopodobnie z tego samego powodu: sam ich niedostatek czynił je cennymi. Dawniej jedna owca byłaby śmieszna ceną za zdrową, płodną niewolnicę. Teraz to właściwie było za dużo. W przeciwieństwie jednak do srebrnych monet owiec nie można tak nagle podzielić na części, a Candamir widział, że parobkowi bardzo na Freydis zależy.

- Pomówię z Eilhardem - obiecał Noriemu. - Właściwie nie możemy zrezygnować z żadnej z naszych owiec, ale dwie są kotne. Może jakoś się z nim dogadam.

Nori promieniał.

- Dziękuję, panie. Czy mogę wybudować dla nas na podwórzu ziemiankę?

- Buduj sobie. Jeśli nie będziesz zaniedbywał swojej roboty...

Nori głęboko odetchnął. Najwidoczniej nie docierało jeszcze do niego szczęście, które go spotkało. Z nowym apetytem jadł dalej, a między dwoma kęsami oznajmił:

- Ona jest już w ciąży. Wiesz, robisz dobry interes.

- Jeśli dziecko przeżyje - zastrzegł Candamir szorstko, rozbawiony, że niewolnik chce mu schlebiać.

- Och, przeżyje - orzekła Heide z przekonaniem. - Jesteśmy już tutaj trzy czwarte roku, a zmarło dopiero dwoje dzieci. Dawniej w Elasundzie tyle umierało w ciągu miesiąca. Zimą często więcej.

Candamir zauważył ze zdziwieniem, że Heide ma rację. Właściwie to oczywiste, skoro w dawnej ojczyźnie śmierć dziecka była zwykle spowodowana chłodem i niedożywieniem, a kobiety, które w czasie ciąży za mało jadły, roniły albo rodziły niemowlęta od razu bez szans na przeżycie. Z siedmiorga dzieci, które jego matka wydała na świat, przy życiu został jedynie on, Asta i Hacon, a i tak uważano, że ich rodzina miała szczęście. Matka Osmunda straciła siedmioro czy ośmioro dzieci - nie wiedział dokładnie - a i tak Osmund był jedynym, który osiągnął wiek dorosły.

Austin myślał chyba o tym samym.

- Tutaj nie tylko stada rosną szybciej niż w Elasundzie - zauważył. - Liczba ludzi także szybciej rośnie.

Candamir przytaknął z krzywym uśmiechem.

- Bo na szczęście nie wszyscy są tu tak skrępowani jak ty.

Z tymi słowami wziął żonę za rękę i zaprowadził ją do sypialni. Reszta domowników uśmiechnęła się ze zrozumieniem, chociaż Austin wciąż był wstrząśnięty tym, jak bezwstydni są ci ludzie.

Candamir i Siglind rzeczywiście bez zażenowania nadrabiali to, co ich ominęło przez pięć dni, w niezręcznym pośpiechu zdarli z siebie nawzajem ubrania, kochali się najpierw gwałtownie, potem spokojnie, i było im całkowicie obojętne, kto ich słyszy

Siglind już od pierwszego razu nie miała żadnych zahamowań i była pomyslową towarzyszką łoża, ale dzisiaj wydawało mu się, że porusza się jak w transie, a on z ochotą dał się temu ponieść. Z zamkniętymi oczami, wciąż jeszcze bez tchu, leżał na plecach i przytulał ją. Siglind położyła głowę na jego ramieniu, wsłuchiwała się w silne,

równomierne bicie serca jego i wodziła palcem po bliźnie na jego brzuchu - małej pamiątce od Haflada z zeszłego święta Jul - którą jakoś dziwnie polubiła. Po chwili jej dłoń powędrowała w dół.

Candamir z cichym śmiechem przygryzł wargę.

- Potężny Tyrze... Przecież ty jesteś nienasycona, kobieto!

- Jak cię siły opuszczają, po prostu powiedz - szepnęła z udawanym współczuciem.

„Kiedyś pewnie, choć jeszcze nie teraz” - pomyślał lekko zaniepokojony Chwycił jej zuchwałą rękę, drugą też i bez wysiłku przytrzymał je obie w swojej potężnej dłoni za jej plecami, po czym przetoczył się razem z nią tak, że częściowo na niej leżał.

- Żeby ci się tylko w głowie nie przewróciło... - zagroził cicho.

- Nie boję się ciebie - wyznała, bezskutecznie próbując uwolnić rękę.

Candamir popatrzył na nią zachwycony i zaśmiał się z jej daremnych wysiłków.

- Zdradzisz mi, co daje ci tę odwagę?

- Moje szczęście - odparła i nagle przestała się wrywać. Natychmiast ją puścił.

Szybko jak wąż wyciągnęła ręce zza pleców i objęła go za szyję. - Będziemy mieli dziecko, Candamirze!

Wydał okrzyk radości, ujął jej twarz w obie dłonie i pocałował. Nie był szczególnie zdumiony, jak sam zauważył, że ten żyzny kraj uczynił taki cud. Pomyślał jednak, że być może jest to najlepszy dzień jego życia. Poczul się silny i niepokonany, wślizgując się w nią ogarnięty namiętnością.

Było już późno. Księżyc niemal w pełni wzeszedł i świecił przez okna, a oni wciąż rozmawiali. Mówili o przyszłości, dyskutowali o tym, czy to bóg Austina umożliwił poczęcie, aby dać im znak, czy raczej, co Candamirowi o wiele bardziej odpowiadało, spowodował to czar Catanu. Oczywiście zupełnie niezależnie od życiodajnej mocy jego nasienia - nie mógł się powstrzymać, żeby nie dodać tej uwagi, za co otrzymał szturchnięcie ostrym łokciem pod żebra. Rozmawiali także o tym, co mówili Heide i Austin przy wieczerzy, o ile większe niż w dawnej ojczyźnie są tutaj szanse na wychowanie dziecka. Candamir podświadomie, jakby obronnie, położył dłoń na całkiem płaskim jeszcze brzuchu Siglind. Tak w końcu zasnęli.

Candamir był pewien, że spał tylko przez krótką chwilę, kiedy zerwał się z gwałtownym szarpnięciem, obudzony poczuciem, że coś jest nie w porządku. Usiadł, a pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, były rozszerzone przerażeniem oczy żony

Stała bez ruchu przy łóżku, a zaraz za nią znajdowała się jakaś ogromna, ciemna postać, ściskająca jedną dłonią jej prawą pierś, zaś drugą przykładająca ostrze do jej gardła.

- Wstań, Candamirze. Powoli - rozkazał cicho Olaf.

Przez chwilę Candamir nie był w stanie się ruszyć, sparaliżowany odkryciem, że Norny najwidoczniej postanowiły, że najlepszy dzień jego życia ma zarazem być dniem ostatnim.

- Nie każ mi za długo czekać, bo poderżnę jej gardło, przysięgam.

Candamir wstał na równe nogi po drugiej stronie łóżka - nie tej, przy której stali Olaf i Siglind, powoli macając stopą za sztyletem, który zawsze wieczorem kładł przy pościeli. Wtedy jednak przypomniał sobie, że Siglind zdjęła mu pas zaraz przy drzwiach i niedbale rzuciła na podłogę. Sztylet był poza jego zasięgiem.

Candamir zwrócił się do Olafa.

- Czego... - odchrząknął. - Czego chcesz? - Wiedział sam, że pytanie jest głupie, ale w końcu coś powiedzieć musiał.

Olaf pociągnął Siglind na koniec łóżka i nagle światło księżyca padło na obie postacie, Candamir wyraźnie zobaczył, więc twarze. Olaf uśmiechał się niemal uprzejmie.

- Chcę się z wami porachować, Candamirze. Ponieważ twoja wina jest największa, zacznę od ciebie - tu dobył zza pasa najwidoczniej przygotowany wcześniej rzemień. - Zostań na miejscu - rozkazał. Wziął nóż w zęby, błyskawicznie związał Siglind ręce za plecami, a wolny koniec rzemienia przywiązał do słupka łóżka, nawet na moment nie odwracając wzroku od Candamira. Znow trzymał nóż w dłoni, skierowany ostrym końcem w gardło Siglind.

- Teraz podejdź.

- Nie podchodź, Candamirze - rzekła cicho Siglind. - Niech raczej od razu zabije nas oboje.

Olaf uderzył ją otwartą dłonią w twarz.

- Nie licz na to. Zamknij się.

- Zostaw ją w spokoju - własny głos nawet Candamirowi zabrzmiał w uszach obco. Szybko, ale nie tak, żeby Olaf mógł się poczuć zagrożony, wszedł w światło księżyca, i jak nigdy w życiu zapragnął mieć na sobie parę spodni. Starał się brać przykład z Siglind, która swoją nagość nosiła jak uroczystą suknię i hardo, bez śladu strachu, patrzyła Olafowi w twarz.

- Podejdz jeszcze krok bliżej, mój chłopcze - poprosił Olaf z tym swoim niesamowitym uśmiechem, a gdy Candamir stanął przed nim, tamten kopnął go z całej siły w krocze.

Candamir spodziewał się czegoś podobnego, ale to niczego nie zmieniło. Tłumiąc krzyk, upadł na kolana, obiema rękami zakrył przyrodzenie, zacisnął powieki.

- Ty parszywy, tchórzliwy kundlu! - wrzasnęła Siglind, co zabrzmiało tak nienaturalnie i było tak do niej niepodobne, że nawet Olaf przejrzał jej zamiar.

- Możesz sobie krzyczeć tak głośno, jak chcesz - powiedział, wiążąc Candamirowi ręce na plecach. - Waszej służby nie ma już w izbie. Jesteśmy całkiem sami, moja śliczna dziecinko.

Przez wąskie szparki między powiekami Candamir dostrzegł, że Siglind szarpie się ze swoimi więzami, ale nie miała szans. Olaf znał się na węzłach, a słupki łóżka z całą pewnością nie ustąpią. Candamir własnoręcznie je zrobił i wiedział, że jest solidne. Zawstydzala go jednak nieugiętość Siglind. Zły na własną słabość próbował się wyrwać i odepchnąć Olafa od siebie, zanim jeszcze jego przeguby zostały mocno związane. Był jednak za wolny, zbyt zdyszany i nazbyt oszołomiony bólem w podbrzuszu. Węzły zostały, więc mocno zaciągnięte, aż rzemień przeciął skórę, i Candamir klęczał teraz na ziemi, wiedząc, że został pokonany.

- Co zrobiłeś z moją służbą? - zapytał.

- Zabieram ich z sobą. Potrzeba mi więcej ludzi.

- Ach tak? Jak chcesz zapobiec temu, żeby ci nie uciekli?

- Tych dwu przyglupów, których miał jeszcze twój ojciec, najpierw przerażę, a potem dam im kobietę. To powinno wystarczyć. Twojemu Saksonowi przetnę ścięgna nad piętami. Nigdzie już więcej nie ucieknie. Jest mi potrzebny ze względu na jego umiejętność leczenia i wiele różnych rzeczy, na których się zna, z jego nóg bez żalu

mogę zrezygnować.

Candamir przekręcił do siebie przeguby dłoni. Wyobraził sobie, że ramię nieco się poluźnił. Możliwie niepostrzeżenie działał dalej.

- Próbujesz z niewolnikami założyć drugą osadę? - zapytał i przez chwilę jego zdumienie przewyższyło strach. - Ty jednak jesteś głupi, Olafie. Cóż możesz im zaproponować takiego, czego tutaj nie mają?

- Och, mnóstwo rzeczy Wolność, albo przynajmniej to, co im się wolnością wydaje, kobiety, życie bez pracy Poza tym twoje żyto, twoje owce i twoje pozostałe zapasy

Candamira ogarnęła panika, ale natychmiast wziął się w garść. Wiedział, że ani on, ani Siglind nie będą już więcej potrzebowali żadnych zapasów i żadnego bydła.

Ze zwodniczą delikatnością Olaf chwycił go za rękę i postawił na nogi, po czym udając, że go podtrzymuje, niedwuznacznie pogłaskał go po pośladkach. Candamir poczuł, jak skręcają mu się wnętrzności, a także ścisną jądra, nie zdołał powstrzymać żalostnego okrzyku odrazy.

Olaf zaśmiał się z zadowoleniem i klepnął pośladki Siglind.

- Niestety nie mam już czasu, żeby się zająć wami obojgiem, ale myślę, że po prostu zabiorę ze sobą twoją piękną królową. Później w pełnym spokoju będę się mógł jej poświęcić, a będzie mi ona użyteczna na wiele sposobów. Tak długo jednak tęskniłem za tobą, Candamirze, że nie mogę już czekać ani chwili dłużej.

Oszołomiony Candamir dał się zaprowadzić do skrzyni pod ścianą, na środku dużej izby niespodziewanie jednak się wyrwał i kopnął Olafa w goleń. Zamierzał mu złamać kość, ale nie rozległo się spodziewane chrupnięcie. Olaf wściekle krzyknął z bólu i odskoczył, reagując niesamowicie szybko. Zwinnie robiąc krok w bok, błyskawicznie zdzielił Candamira jedną pięścią w brzuch, a drugą w gardło. Candamir zatoczył się, ale wciąż nie stracił ducha walki. Spróbował odepchnąć Olafa barkiem i odskoczyć pod ścianę. Olaf chwycił go od tyłu za gardło i zacisnął dłoń.

Candamir robił wszystko, żeby gwałtownymi szarpnięciami go strząsnąć, miał jednak coraz mniej powietrza i w końcu pociemniało mu w oczach. Z przerażającą nagłością opuściły go wszystkie siły w nogach i osunął na ziemię. Zanim jednak stracił przytomność, Olaf puścił jego gardło, pociągnął za związane ręce w górę i zmusił jego

tułów do pochylenia się do przodu. Candamir hałaśliwie uderzył czołem w wieko skrzyni. Z trudem, chrapliwie łapał oddech, a poniżenie i upokorzenie doprowadziły go do łez.

Olaf przykląkł za nim, lewą dłonią szarpnął ręce Candamira jeszcze wyżej, prawą zaś gmerał już przy swoich spodniach. Candamir przekręcił głowę w bok i przez zasłone własnych włosów zobaczył Siglind stojącą w odległości nie większej niż pięć kroków. Twarz miała zaciętą, wzrok umęczony, a kiedy zacisnął zęby, żeby uzbroić się przeciwko bólowi, spełniła jego niewypowiedziane na głos ostatnie życzenie i zamknęła oczy.

Gdy Candamir poczuł nagle skórę Olafa na swojej, w końcu ogarnęła go panika. Z rozpaczyliwym okrzykiem protestu rzucił się do tyłu, choć był pewien, że to szarpnięcie wyłamie mu, co najmniej jeden z przeciążonych barków.

Olaf chwycił jeden z kamiennych świeczników, który spadł ze skrzyni, i uderzył nim Candamira w czaszkę.

- Dość tego - warknął. Ciało Candamira zrobiło się bezwładne. Olaf zaśmiał się cicho. - Tak, w ten właśnie sposób cię posiadę.

- Nie dostaniesz go jednak.

Zanim Olaf zdążył wstać, otrzymał cios pięścią w skroń i upadł na bok. Z wściekłym warczeniem, brzęcącym niezbyt ludzko, wzdrygnął się, nie mogąc uwierzyć w to, co zobaczył.

- Całkiem nieźle jak na takie chuchro jak ty, mnichu - Olaf bez pośpiechu wstał na nogi i upewniwszy się, że Sakson dobrze sobie obejrzał jego przyrodzenie, starannie zasznurował spodnie.

Austin bez zmieszania patrzył mu w oczy, aby zdołać w porę przewidzieć każdy jego ruch. W lewej dłoni bardzo spokojnie trzymał sztylet, prawą nadal zaciskał w pięść i wcale nie wyglądał na człowieka, któremu walka jest obca. Olafowi przemknęło przez głowę, że właściwie już po nim, i z rosnącą zgrozą zauważył, że Sakson trzyma broń Larsa.

- Gdzie mój syn? - zapytał, dobywając własnego noża.

Austin zrobił krok do tyłu.

- Tego nie wiem. Ale żył jeszcze, kiedy go zostawiałem. Uciekaj, Olafie.

- Nie! - sprzeciwiła się gwałtownie Siglind. - Zabij go. Nie daj mu uciec.



Austin nie patrzył na nią, ale pokręcił głową.

- Tylko wtedy, gdy inaczej już nie można. Nie bądź głupcem, Olafie. Uciekaj! - Wskazał na Candamira, który wciąż leżał częściowo na podłodze, a częściowo na skrzyni, ale już zaczynał się ruszać. - Lada chwila dojdzie do siebie i wtedy...

- Ojczy? - odezwał się zza okna stłumiony głos Larsa. - Ojczy, chodź szybko. Musimy stąd zniknąć. Jeden z tych przeklętych niewolników obudził całą osadę! Szybko, musimy uciekać!

Olaf zaklął, podszedł do okna i wyskoczył.

Austin ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w księżycową poświatę za oknem. Usłyszał ukradkowe kroki w trawie, które szybko się oddalały. Nieco dalej ktoś chyba nawoływał, ale za domem zrobiło się cicho. Z drzeniem wypuścił Sakson długo wstrzymywany oddech, podszedł do okna i pospiesznie zamknął okiennice. Następnie wziął z łóżka wełniany koc i, odwracając wzrok, narzucił go na ciało Siglind jak luźny płaszcz, po czym przeciął jej więzy. Kiedy zdumiona zastanawiała się, czemu działał akurat w takiej kolejności, on podszedł do Candamira, także przeciął mu więzy i już chciał delikatnie chwycić go za ramię, gdy Candamir wzdrygnął się, podskoczył i w podzięcie za ratunek uderzył go głową w krocze. Sakson przewidział coś takiego i w porę się cofnął, żeby uniknąć najgorszego ataku wściekłości.

- Już dobrze, panie - powiedział cicho z godnym podziwu spokojem. - Już go nie ma. Wszystko w porządku.

Candamir podniósł głowę jak pies, który słyszy znajomy głos. Zobaczywszy dziwnie chmurne oczy niewolnika, bezwładnie opadł na skrzynię, podciągnął kolana aż pod brodę i schował głowę w ramionach. Również jemu Austin przyniósł koc i podał ostrożnie, tym razem na tyle roztropnie, żeby go nie dotknąć. W końcu Candamir doszedł do siebie, wziął koc ze skinieniem głowy i okrył się nim.

- Zostawię was na chwilę samych - rzekł Sakson, uśmiechnął się blado do Siglind i ruszył ku drzwiom.

Candamir uniósł głowę.

- Nie, zaczekaj. Jak... Co...

- Zaraz, panie. Miej trochę cierpliwości. Przyniosę wam po kuflu miodu. Wtedy odpowiem na twoje pytania. Bądź dobrej myśli. Wszystko jest w porządku.

„Jestem wrakiem” - musiał przyznać z niesmakiem Candamir. Drżąc, przysiadł na brzeжку łóżka, koc owinął mocno wokół bioder, a poczuwszy, że Siglind jest obok, wziął ją za rękę, nie mając jednak śmiałości, żeby na nią spojrzeć.

- Przepraszam... - powtarzał niewyraźnie. - Przepraszam...

- Nie ma powodu - odparła energicznie. - Nic mi się nie stało. Tobie też nic. Weź się w garść, Candamirze.

- Tak. Staram się, naprawdę.

- To postaraj się bardziej.

Ton jej głosu, na poły wyrozumiały, na poły surowy, pomógł mu przezwyciężyć uczucie odrazy. Odrętwienie stopniowo opuszczało jego członki, a drżenie ustępowało. Kiedy wreszcie podniósł głowę, zobaczył, że jest już całkowicie ubrana, i jej pozazdrościł. Cóż, mógł zrobić tylko jedno. Wstał, zrzucił z siebie koc i nieprzyjemnie rozbawiony faktem, że się wstydzi własnej żony, z ulgą naciągnął spodnie. Kiedy po dłuższej chwili do drzwi zapukał Austin i wszedł z dwoma pełnymi kuflami, Candamir już na tyle zebrał się w sobie, że j był w stanie spokojnie usiąść na łóżku. Jego żona siedziała między jego kolanami, przytulona do niego plecami, on zaś trzymał delikatnie dłoń na jej brzuchu. Poza tym był znów wystarczająco opanowany, żeby móc się zatroszczyć o resztę domowników, swój dobytek i sąsiadów.

- Co się stało? Jakie mamy straty?

Sakson pokręcił głową i podszedł bliżej.

- Nikt nie zginął, przynajmniej nic o tym nie wiem. Był tu Olaf z Larsem i sześcioma swoimi ludźmi, żeby cię napaść. Przyszli pieszo, na to wyglądało.

Candamir skinął głową.

- Tak też mówił. Że będę pierwszy.

- Chciał też zabrać swój statek. Chyba mu się udało. W każdym razie wpadli do izby i wszyscy czworo obudziliśmy się każdy z dłonią napastnika na ustach. Wszystko działo się szybko i cicho, oni musieli to wcześniej przewidzieć. Zabrali nas, twoje owce, konie i twoje ziarno na „Morskiego Smoka”, związali nas i opowiedzieli, jak dobrze nam będzie na pustkowiu. - Tajemniczo się skrzywił i wyciągnął ręce z kuflami. - Proszę,

panie, pani, wypijcie wreszcie. To mnie uspokoi.

Siglind z wdzięcznością sięgnęła po miód. Także Candamir wziął kufel, ale drugą ręką wziął Austina za przegub, na którym widoczne było okropne oparzenie.

-- Skąd to masz?

Uprzejmie, ale stanowczo Sakson uwolnił rękę.

- Musiałem przepalić więzy nad pochodnią, to był jedyny sposób. Nikt nas nie pilnował. Wszyscy byli zajęci przygotowywaniem statku i ładowaniem twojego dobytku. Wysłałem Tjorva i Heide, żeby obudzili osadę. Nori próbował ratować przynajmniej twoje owce, trzeba przyznać, że niecałkiem bezinteresownie, a ja przyszedłem tutaj, bo obawiałem się o wasze życie.

- Uratowałeś więcej niż życie - powiedział Candamir. Zabrzmiała w tym drwina, widać stopniowo dochodził do siebie. Jego oczy zdradzały jednak, że nie żartował.

Sakson zrobił taki gest, jakby chciał powiedzieć, że zawsze chętnie to uczyni, a Candamir przy tej okazji zauważył, że drugi przegub jest tak samo poparzony.

- Ktoś ci musi opatrzyć ręce. Ja zaś muszę pójść nad rzekę i zobaczyć, jak sprawy się mają.

- Zostań - sprzeciwił się Austin. - Swoje już dziś przeżyłeś i powinieneś raczej się przespać. Osmund i Harald wszystkim się zajmą. Obojętnie, co Olaf porwał: wiatr jest wschodni. Nie damy rady dogonić „Smoka”.

- Nie damy, wiem - mimo to Candamir wstał. - Jeśli się jednak nie pokażę, rozejdą się plotki i wszyscy będą przekonani... Że stało się to, co o mały włos by się stało. Tego bym nie zniósł.

Austin zrezygnowany wzruszył ramionami.

- Rozumiem.

Candamir nie musiał jednak chodzić aż na brzeg. Ledwie dotarł do drzwi izby, kiedy te się otworzyły Osmund, Harald, Hacon i inni wpadli do środka.

- Candamirze! - Osmund chwycił go za ramiona. - Odynowi niech będą dzięki! Byłem pewien, że zginąłeś.

W uśmiechu Candamira było więcej odwagi, niż w istocie czuł.

- Znów miałem więcej szczęścia, niż na to zasługuję.

- A twoja żona? - zapytała z obawą Asta.

Candamir pokręcił głową.

- Nic nam się nie stało, nie martw się. Jak tam? Gdzie moja służba?

Heide i Tjorv ze skromnie opuszczonymi głowami podeszli bliżej. Nie przywykli, by ludzie rozstępowali się przed nimi.

- Nori jest u swojej ukochanej, panie - wyjaśnił Tjorv ze zdenerwowaniem. - Zdołał sprowadzić z pokładu twoje owce i konie, zanim wrócił Olaf i odcumował statek.

Candamir na chwilę położył mu rękę na ramieniu.

- Tak czy inaczej, wszyscy wyszliście bez szwanku.

- Ale obawiam się, że twoje ziarno przepadło - rzekł kowal ze smutkiem. - Siward i Berse wypłynęli „Wilkiem”, żeby ścigać Olafa, ale go nie dogonią.

- Nie - ponuro zgodził się Candamir. - Sprawa jest beznadziejna - potarł czoło. Był tak wyczerpany, że ledwie trzymał się na nogach.

Sąsiedzi źle zrozumieli ten gest.

- Nie wpadaj w rozpacz, Candamirze - mruknął Osmund. - Pomożemy ci. Wszyscy mamy przecież dość, a...

Candamir podniósł głowę i uśmiechnął się niemrawo.

- Och, to bardzo ładnie z waszej strony, ale na szczęście nie ma takiej potrzeby. Olaf nie zabrał całego mojego zboża. Nawet jednej trzeciej - popatrzył na zdumione twarze i podniósł ręce. - Cóż, musieliśmy się przecież liczyć z tym, że coś takiego się przydarzy, prawda? Większość mojego ziarna trzymam w szopie, którą zbudowałem na wyspie. Tutaj magazynowałem tylko tyle, ile tam się nie zmieściło. Może teraz będę miał go trochę mniej, ale wystarczy. Tak, czyżbym był jedynym, który podjął jakieś środki ostrożności?

Zapadła chwila ciszy, po czym kowal odparł:

- Nie. Moje ziarno leży w komórce ukrytej pod kuźnią.

- Nie wyobrażaj sobie tylko, Candamirze, że jesteś bardziej przebiegły niż reszta - przekomarzał się Haldir. - Ale ja wam nie powiem, gdzie schowałem swoje. Przecież nie odjęło mi rozumu...

Wszyscy przyznali, że ukryli w bezpiecznym miejscu swoje ziarno, mąkę czy co tam uważali za cenne.

- No, tym razem nam się upiekło - rzekła Brygida, zbierając się do odejścia. -

Któż może jednak zapewnić, że następnym razem będziemy mieli tyle samo szczęścia?

Sama myśl o następnym razie spowodowała u Candamira gęsią skórę.

- Masz rację - przyznał - nie chodzi przecież o to, żebyśmy chowali nasze zapasy jak wiewiórki. Musimy coś obmyślić.

„Żeby tylko ta noc się nie powtórzyła” - pomyślał.

Osmund wychodził ostatni i jeszcze raz przyjrzał się przyjacielowi, upewniając się, że Candamir niczego przed nim nie ukrywa.

- Wszystko w porządku - zapewnił Candamir już po raz któryś. Częściowo uspokojony Osmund się odwrócił.

- Dobrze. Dobranoc, Candamirze. Chyba powinienem jeszcze zajrzeć do Jareda. Pewnie jest roztrzęsiony

- Tak, na pewno - Candamir westchnął. - Dobranoc, Osmundzie.

Zamknął drzwi, zamienił jeszcze kilka słów z Heide i Tjorvem, a także z Norim, który właśnie przyprowadził odzyskane owce i konie, po czym wrócił do Siglind i Austina.

Jego żona tymczasem nałożyła na przeguby Saksona jedną z tych obrzydliwych maści i obwiązała je. Austin siedział na skrzyni, a Siglind nachylała się nad nim. Candamir oparł się barkiem o drzwi i zmrużonymi oczami patrzył na łóżko, w którego zrobienie włożył tyle serca, i postanowił, że nazajutrz porąbie je na opał.

- Cóż, Austinie - odezwał się i założył ręce na piersi, kiedy Siglind podniosła się i odsłoniła Saksona. - Zrobiłeś dla mnie i mojej żony więcej, niż ktokolwiek mógłby oczekiwać od niewolnika. Jestem ci coś dłużny.

Austin wstał i zrobił krok w jego kierunku. Kręcąc głową, odparł:

- Nie zrobiłem tego jako wasz niewolnik, ale jako wasz przyjaciel. Dlatego nic nie jesteście mi dłużny.

- Powiedziałbym, że mój dług jest tym większy - sprzeciwił się Candamir. - Jeśli masz jakieś życzenie, które mógłbym spełnić, to chciałbym o tym wiedzieć.

Austin stał nieruchomo i nie spuszczał wzroku z Candamira, jak wcześniej z Olafa, obawiając się w każdej chwili jakiegoś podstępного ataku.

- Ja... Mógłbym ulec pokusie i wziąć cię za słowo - powiedział w końcu.

- Zrób wyjątek od swojej żelaznej zasady i ulegnij pokusie - zaproponował

Candamir.

Austin wyprostował ramiona i potarł nos, jakby walczył ze sobą, po czym wypowiedział swoje życzenie:

- W takim razie... Daj mi wolność.

Candamir skinął głową. Nie sprawiał wrażenia zaskoczonego. Siglind natomiast zbaraniała.

- Ależ Austinie, jako niewolnik Candamira masz jego ochronę. Jeśli będziesz wolny..

- Kiedy będę wolny, będę mógł czynić dzieło Pana - wpadł jej w słowo.

- Oddać za to swoje życie?

- Gdy taka będzie Jego wola, tak, jeśli nie, to nie. Zobaczymy. Nie zależy to ani ode mnie, ani od Candamira.

- Jest różnica między ufnością pokładaną w Bogu a brakiem rozsądku - odparła zniecierpliwiona.

- Kiedy znajdziesz tę ufność, daj mi znać - odrzekł krótko i spojrzał na Candamira. - Co ty na to?

Candamir powoli oderwał się od drzwi i podszedł do niego. Zatrzymał się krok przed nim i z powagą spojrzał na tego szczupłego mężczyznę.

- Zwalniam cię z mojej służby, ale nie z mojej przyjaźni.

Wyciągnął ręce i na chwilę się objęli.

- Zatem odchodzę z twojej służby, ale nie z twojej przyjaźni - odpowiedział Austin równie uroczyście. Potem opuścił ręce i poszedł w kierunku drzwi.

- *Dominus vobiscum* - powiedział cicho. - Dobranoc, Candamirze. Dobranoc, Siglind.

*część czwarta*

*hagalaz*

## **RADOSNY KSIĘŻYC, rok siódmy**

- Sądzę, że tam się przejaśnia - Candamir wskazał północ.

Musiał prawie ryczeć, żeby się przebić głosem przez wściekłą ulewę i pomruki grzmotów. Dziełny trzylatek Buri, na którym jechał - zwykle tak nieustraszony i dumny - wzdrygał się teraz przy każdej błyskawicy. Jego piaskowa sierść pociemniała od wilgoci, a czarny ogon szarpał się nerwowo z jednej strony na drugą. Candamir poklepał go uspokajająco po szyi.

- No, już dobrze. Zaraz minie, zobaczysz.

- Dałby Odyn, żebyś miał rację - warknął ponuro Osmund. Powoził wozem zaprzężonym w dwa bardzo silne woły. Na pustym wozie siedzieli Roryk i Nils. Całymi dniami błagali, zanim namówili ojców, żeby ich zabrali ze sobą. Teraz obaj woleliby jednak być w domu. Bardzo się starali nie dać po sobie poznać niepokoju, ale Roryk chwycił ukradkiem w piastkę mały wisiołek z młotem Thora, który nosił na skórzanym rzemyku na szyi, i modlił się do swojego boga opiekuńczego, żeby te błyski i grzmoty jak najszybciej minęły.

Wszyscy czterej byli przemoczeni do suchej nitki, a do celu podróży zostały im jeszcze, co najmniej dwie godziny jazdy. „Groźne góry robią wrażenie tak bliskich” - pomyślał Nils ze zdziwieniem.

Osmund spojrzał przez ramię.

- Jak tam, chłopcy, w porządku? Obaj kiwnęli głowami.

- Jeśli jest wam zimno, weźcie derkę spod siodła konia Hacona - poradził. - Jestem przekonany, że was nie wyda.

Chłopcy się nie wahali. Roryk wstał, zachwiał się trochę na trzęsącym się wozie, ale żywo zeskoczył i uwolnił od derki spokojnego wałacha, który był uwiązany z tyłu. Wdrapał się z kocem na wóz, rozpostarł wełniany materiał i zarzucił sobie oraz przyjacielowi na ramiona. Naciągnęli derkę aż pod brody, mocno się nią owinęli i spojrzeli po sobie. Tak było już lepiej. Prawie jak w namiocie.



- Czy wujowi Haconowi nie zgaśnie ogień w taką pogodę? - zapytał Nils z troską. Candamir pokręcił głową.

- Nie, ponieważ jego ogień płonie... - Groźny grzmot mu przerwał, machnął, więc ręką. - Jak dojedziemy, zrozumiesz, dlaczego nie zgaśnie. - Rzucił podejrzliwe spojrzenie na ciemne kłębowisko chmur, z których nad ich głowami strzeliła błyskawica.

Nadzieja go jednak nie zawiodła. W kulminacyjnym momencie Thor pokazał im raz jeszcze tak wyraźnie, co potrafi, że nawet woły poblądły, jak później utrzymywał Candamir, ale niebawem niebo było znowu błękitne, a morska bryza przewiała burzę na południe. Kiedy pojawiło się słońce, z deszczu zostały już tylko pojedyncze krople. Osmund wskazał przed siebie. Nad górami wznosiła się cudowna tęcza.

- Tam, spójrzcie - powiedział chłopcom.

- Bifrost! - zawołał Roryk zachwycony.

Jego ojciec skinął głową z łagodnym uśmiechem.

- Otóż to.

- Powiedz mi, ojcze: skoro jest to most prowadzący do siedziby bogów, to, dlaczego nie pójdziemy tam i nie zapytamy Odyna, czy możemy zamieszkać w Walhalli?

- Ponieważ jest zastrzeżona dla najmężniejszych wojowników, jak dobrze wiesz. Żaden żywy człowiek nie może tam mieszkać. Nie uważasz poza tym, że tutaj żyje nam się wystarczająco dobrze?

Roryk stłumił zniecierpliwione skrzywienie. Nie miał żadnych wspomnień ani z dawnej ojczyzny, ani z legendarnej podróży, ani też z pierwszego, trudnego roku. Nie znał niczego oprócz takiego Catanu, jakim kraina ta była dzisiaj, nigdy nie żył też inaczej niż w łagodnym klimacie i dostatku, działało mu więc na nerwy, że ojciec wciąż prawi kazania, jak to im tu dobrze i jak powinien być za to wdzięczny.

- Oczywiście, ojcze - odpowiedział jednak. - Zresztą, nie chodzi mi o to, żebym chciał tam mieszkać. Chciałbym sobie tylko obejrzeć. Z ciekawości.

- Tak, to mogę zrozumieć. Kłopot w tym, że jeszcze nikt nie znalazł początku tego mostu.

- Cóż w tym trudnego? Jest tam, w dolinie między Asi a następną górą na południe. Przecież to widać.

- Gdybyś tam poszedł, stwierdziłbyś, że się mylisz - powiedział ojciec, z trudem

zachowując poważny wyraz twarzy

Nils już otwierał buzię, ale jeszcze szybciej ją zamknął, zauważywszy ostrzegawcze spojrzenie swojego ojca. „Ale Austin mówił, że tęcza to nie jest most, tylko obraz, który Bóg maluje na niebie... - Już miał się sprzeciwić. - Na znak pokoju między Nim a Jego stworzeniem”. Znał to z opowieści, którą szczególnie sobie upodobał, o Noem i jego wielkiej arce. Ale jak znaleźć początek albo wręcz wspiąć się na tęczę, skoro jej tak naprawdę nie ma? Nils chętnie by się dowiedział. Równocześnie przypomniało mu się jednak, że ojciec zapowiedział mu tęgie lanie, jeśli jeszcze raz rozpocznie zdanie od słów: „Ale Austin powiedział?”. Zachował, zatem milczenie i odwrócił głowę, żeby spojrzeć za siebie. Droga, która niemal jak po sznurku ciągnęła się ku zachodowi i znikła za grzbietem najbliższego trawiastego wzgórza, była wąska - jedynie podwójny ślad kół i pasek trawy pośrodku - ale wyraźnie widoczna. Między osadą a górami zaprzęgi wołów nie jeździły często, ale z biegiem lat ciężkie, okute żelazem koła zdarły cienką warstwę ziemi i teraz wyzierała naga, biała skała. Drogę tę przemierzały nie tylko wozy. Ludzie wyruszali czasem konno lub pieszo w góry po srebro lub miedź, albo żeby poszukać złota. Od czasu do czasu ktoś znajdował trochę tego kruszcu i wuj Nilsa - Hacon - robił z niego cudowne pierścienie i bransolety, wykonał nawet misę na krew ofiarną do świątyni.

Po jakimś czasie stok zrobił się bardziej stromy i droga już teraz stale pięła się w górę. Wołom nie sprawiało trudności ciągnięcie wozów bez ładunku, ale ponieważ były równie leniwe jak silne, szły coraz wolniej. Osmund popędzał je, trzaskając je lejcami po szerokich zadach.

Kiedy wytoczyli się z małej dolinki na kolejny grzbiet, zobaczyli wreszcie drewnianą chatę, a przed nią piec o dziwnym kształcie do wytapiania żelaza.

Hacon już z daleka ich zauważył i pomachał do nich.

Cztery lata wcześniej Harald i Hacon stwierdzili, że wożenie rudy z gór do osady i dopiero tutaj oddzielanie żelaza od żużlu nie ma sensu. W najwyższym, zatem miejscu, do którego mogły jeszcze dojechać wozy zaprzężone w woły postawili tę chatę.

Przed dziesięcioma dniami Hacon wraz z dwoma niewolnikami Haraldą wybrali

się pieszo w góry Wspięli się wysoko na postrzępione granie Asi i pogłębili sztolnię, która tam się znajdowała, a kiedy parobkowie wyciągali rudę, Hacon przygotował piec do wytopu. Lubił to miejsce u stóp potężnej góry i kochał tę pracę, która składała się na przemian z ciężkiej harówki, częściowo w żarzącym się upale, częściowo zaś z czekania całymi godzinami. Była to zawsze miła okazja, aby przemyśleć rozmaite sprawy, które chodziły mu po głowie, i wciąż na nowo odkrywać piękno tej krainy Po dziesięciu dniach spędzonych z niewolnikami, którzy najczęściej byli ponurzy, Hacon ucieszył się jednak, że przybycie brata zapowiada koniec jego odosobnienia.

Niebawem wozy i jeźdźcy dotarli do chaty Hacon serdecznie przywitał brata, jego przyjaciela i chłopców, dając znak jednemu z parobków, żeby przyniósł przybyszom po kuflu piwa. Niewolnik bez słowa zniknął w chacie. Candamir popatrzył za nim, kręcąc głową.

- Nigdy się nie boisz, że mogą cię walnąć w łeb i uciec na pustkowie?

- Tak, boję się - przyznał Hacon z zawstydzaniem.

- Pierwsze noce tutaj zawsze spędzam bezsennie. Ale Harald przysięga, że są oddani. To Łotysze, a on twierdzi, że oni wszyscy są tacy i nie ma się, czym przejmować. Poza tym stoję tu przed tobą żywy, można, więc wnioskować, że ma rację.

Candamir, Osmund i chłopcy dostali swoje piwo, a kiedy Nils się napił, obudziła się jego ciekawość, która była jeszcze bardziej niezaspokojona od pragnienia jego ojca, jak to często twierdziła jego macocha.

- Czy to jest ten piec, w którym smaży się żelazo, wuju Haconie?

Hacon przytaknął.

- Można tak powiedzieć. Chodź, pokażę ci, jak to się robi. Ale uważaj, to bardzo gorące.

Nie tylko chłopcy, ale także ich ojcowie poszli za Haconem do pieca, który wyglądał jak ogromny kosz odwrócony dnem do góry. Młody kowal wskazał dolny brzeg.

- Najpierw trzeba wykopać dół. Potem z glinianej cegły muruje się ściany pieca, widzisz? - Palcem wskazującym pokazał grube, podłużne prostopadłościany. W górnej części nachylały się do wewnątrz, tworząc coś w rodzaju dachu, a w środku znajdował się okrągły otwór, z którego się dymiło.

- Warstwami układa się na przemian rudę żelaza i rozżarzony węgiel drzewny, aż do samej góry.

- Po co ta dziura? - zapytał Roryk, wskazując niewielki otwór w dolnej części ceglanego muru.

- Na miech - objaśnił Hacon. - Dostarcza się nim do ognia powietrze, dzięki czemu płonie bardzo, bardzo gorąco.

- W ten sposób wytapia się żelazo - zakończył Roryk, kręcąc z fascynacją głową.

- W rzeczywistości to żużel się wytapia i odkłada się na dole. Na nim tworzy się warstwa żelaza, ale trzeba to żelazo później w kuźni jeszcze raz rozgrzać, i to znacznie mocniej, zanim można je będzie obrabiać.

- Jak to długo trwa? Od rozpalenia pieca do chwili, w której można wyciągać z niego żelazo? - chciał wiedzieć Nils.

- Przy piecu tej wielkości mniej więcej jeden dzień. Załadowaliśmy piec jeszcze przed wschodem słońca, niebawem będziemy, więc mogli go otwierać. Ale chcę, żebyście obaj poszli do wozu i tam pozostali, słyszycie?

W głębi pieca był taki żar, że jeszcze cały następny dzień należało czekać, aż żelazo się wyzarzy i wychłodzi wystarczająco, aby można było go dotknąć gołą ręką.

- Piec do wytapiania żelaza to nie miejsce dla takich urwisów jak wy - dodał, patrząc z wyrzutem na brata.

Candamir z westchnieniem rozłożył ręce.

- Niestety, mój syn nie jest tak posłuszny jak twój.

Ole, drugi chłopak, którego Gunda wydała na świat ledwie rok po Nilsie, był równie czarnowłosy i szarooki jak Nils, Candamir i Hacon. Było to jednak dziecko tak ciche i potulne, że Candamir z ulgą doszedł do wniosku, że jego ojcostwo jest raczej wykluczone. Nie zmniejszyło to jego urazy do byłej niewolnicy - przeciwnie. Nawet, kiedy Hacon i Gunda się pobrali, Candamir nie umiał jej przebaczyć. Z bratem jednak już dawno temu zawarł pokój. Candamir był z niego niezwykle dumny. Hacon stał się wybitnie utalentowanym kowalem, a w ciągu ostatnich lat rozwinął stosowną dla kowala posturę, tak mocną, że Candamir w zawodach pięściarskich podczas ostatnich sobótek nie mógł dać mu rady. Po niemal godzinnej walce zgodzili się na brak rozstrzygnięcia, gdy pragnienie stopniowo zaczynało być większe od woli zwycięstwa...

- Bierzmy się za ładowanie wozu - zaproponował Osmund, który nigdy nie umiał być bezczynny. Wskazał na gotowe żelazo, uzyskane w ciągu ostatnich dni, które leżało obok chaty jak sterta szarej gąbki pełnej dziur.

- Na to będzie jeszcze jutro cały dzień - odparł Hacon.

Osmund pokręcił jednak głową.

- Roryk i ja jutro wspinamy się na Asi, prawda, synku? Roryk kiwnął głową z błyszczącymi oczyma, ale to Nils powiedział wujowi:

- Jeśli znajdą złoto, pewnie Osmund każe nim okuć swój rogowy puchar. Potrafisz?

Hacon przejechał mu dłonią po czuprynie.

- Mógłbym spróbować. Ale nie będę się tym trudził, za nim Osmund i Roryk naprawdę nie znajdą swojego złota.

Nils zrobił konspiracyjną minę.

- To na pewno jest mądre podejście, wuju - szepnął.

Candamir puknął ich w głowy tym swoim niby przypadkowym stuknięciem, które Hacon tak dobrze pamiętał z dzieciństwa: wyglądało niewinnie, ale czuło się je godzinami.

- Znowu za dużo gadasz, Nilsie. Idź, przynieś z wozu chleb, ser i mięso. Hacon od prawie tygodnia je tylko suszone mięso i czerstwy chleb.

- W porządku - odpowiedział spokojnie chłopak i odruchowo potarł głowę. Jedno spojrzenie ojca wystarczyło, żeby Roryk dołączył do przyjaciela i mu pomógł.

Hacon popatrzył za nimi i na chwilę się zadumał. Już niejedną raz było mu w głębi duszy żal sześciolatniego bratanka, wychowywano go, bowiem z taką samą surowością, jakiej doświadczył sam Hacon. W przeciwieństwie do Candamira Osmund był ojcem niezwykle ciepłym, który swoim synom, zwłaszcza najstarszemu, poświęcał wiele czasu, zazwyczaj był też wyrozumiały. Mimo to Roryk stał się chłopcem zamkniętym i nieśmiałym, często wyglądał na zmartwionego, podczas gdy Nils wydawał się najszcześniejszym dzieckiem, jakie Hacon kiedykolwiek widział. To go irytowało. Nie mógł sobie przypomnieć, żeby w dzieciństwie kiedykolwiek był szczególnie szczęśliwy, naprawdę nie mógł...

- Jak się wiedzie twojej żonie? - zagadnął, kiedy z bratem zaczął rozbierać piec.

Candamir trafił na gorącą cegłę, cicho zaklął i odrzucił ją szybko od siebie, a Hacon złapał ją i równo odłożył na stertę, jakby była zupełnie zimna.

- Dobrze - odparł Candamir i podmuchał na palce. - Jest bardzo okrągła i powolna, ale wiesz przecież, że się tym nie przejmuje. Może będzie już dziecko, gdy wrócimy...

- Cóż, dałby Bóg, żeby tym razem był to chłopiec - Hacon nie mógł się powstrzymać od uwagi.

Candamir wzruszył ramionami i uśmiechnął się z nietypową dla siebie wyrozumiałością. Przyzwyczyił się już do przytyków związanych z tym, że żona obdarowała go dotychczas czterema cudownymi, zdrowymi córkami, ale nie synem. Nie robiło mu to różnicy. Ubóstwiał swoje córki. Poza tym miał Nilsa.

- Jeśli o mnie chodzi, możemy najpierw mieć pół tuzina dziewczynek, zanim zabierzemy się za chłopców - oświadczył.

Hacon wysłuchał tych przechwałek z ironicznym chrząkaniem, na które zasługiwały, po czym zapytał:

- Poza tym, co nowego?

Candamir przeczuwał, o co tak naprawdę chodzi bratu - chciał to wiedzieć każdy, kto był poza domem. Czy pojawił się Olaf i jego rozbójnicy? Jeśli tak, to czy napadł na mój dom?

- Wszystko w porządku - odparł uspokajająco. - Kto wie, może Olaf rozsądnie wyciągnął wnioski z tego, że ostatnie dwa razy musieli się wycofać z niczym poza kilkoma siniakami? Może doszli do wniosku, że mądrzej będzie uczciwie pracować na chleb, i poszli na południe?

Hacon uśmiechnął się posepnie.

- To byłoby zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe, dlatego nie chce mi się wierzyć.

- Mnie też - przyznał Candamir z westchnieniem i obaj się roześmiali.

Mieszkańcy Catanu byli ludźmi czujnymi i kiedy się zorientowali, że z dawnej ojczyzny przywieźli ze sobą niebezpiecznego wroga, nie zostali bezczynni - wokół osady wzniesli mur obronny. Nie był to jednak częstokół ani mur z kamieni, jak początkowo proponowali Eilhard i Siward, ponieważ nikt nie wiedział dokładnie, jak się

buduje tego typu wysoką barykadę, a prace ziemne i przygotowanie pni na palisadę trwałoby długie miesiące i pochłonęłoby energię ludzi, pilnie potrzebną przy innych pracach. To był pomysł Siglind, żeby zamiast tego posadzić kolczasty żywopłot. „Wykorzystajmy zalety tego kraju dla własnej obrony - powiedziała. - Przy tak żyznej glebie i łagodnym klimacie rośliny nie przestaną rosnąć nawet zimą. Jeżeli posadzimy wokół osady żywopłot z tych rosnących wszędzie po lasach krzewów o białych kolcach, to bardzo szybko będziemy mieli mur, którego żaden wróg nie pokona”.

Miała rację. Teraz, po sześciu latach, żywopłot był wyższy od człowieka i szeroki na pięć stóp, a pielęgnowano go starannie i z oddaniem. Ciągnął się szerokimi łukami wokół osady i zarówno na wschodzie, jak i na zachodzie dochodził do rzeki. Po wschodniej stronie w kierunku równiny i od północy w kierunku pół stały ogromne kute bramy najeżone zdradzieckimi ostrzami. Harald i Hacon pracowali nad nimi całymi tygodniami. Kiedy słońce dotykało wierzchołków drzew na zachodzie, bramy zamykano.

Mimo wszystko nie byli całkiem bezpieczni. Olaf i jego ludzie kradli im bydło z pastwisk leżących poza żywopłotem. Największe zagrożenie czyhało zaś od strony rzeki, choć od świątecznego księżycy aż po zmienny księżyc wiosną na Catanie było tak wiele deszczu, że nurt rzeki był zbyt rwący, Olaf nie mógł, więc ani podpłynąć „Smokiem”, ani przeprowić się tratwami. Od radosnego księżycy aż do późnej jesieni mężczyźni z osady musieli jednak trzymać na brzegu straż, a za radą i pod kierunkiem Austina Harald odlał dzwon i zawieszono go na łące na jednym z dolnych konarów jesionu, który zdążył już wyrosnąć na piękne drzewo. Dzwon miał ostrzegać mieszkańców osady i wzywać do broni, gdyby rzeką zbliżał się Olaf ze swoimi ludźmi. Od czasu zawieszenia dzwonu skutecznie odparto już dwa napady. Po drugim nieszczęsnym najeździe Olaf i jego ludzie znaleźli się poza żywopłotem na północnym brzegu i podpalili pola pszenicy. Nikt z tego powodu nie musiał głodować, ale pozostał strach, a także wściekłość.

Candamir zmienił temat i ciągnął swoją opowieść:

- Brygidzie nadal się nie polepszyło. Gdyby mnie, kto pytał, to zanim się skończy ta wiosna, stara uwolni nas od swojej obecności.

- Candamirze... - mruknął Hacon z wyrzutem i przerażony rozejrzał się dokoła.

Ale Candamir, zanim to powiedział, wcześniej się upewnił, że w pobliżu nie ma ani Osmunda, ani chłopców.

- Daj spokój - odparł. - Akurat ty i Austin złożycie przecież ofiarę dziękczynną waszemu bogu, gdy ona wreszcie opuści ten świat.

- My nie składamy Bogu ofiar... - zaczął wyjaśniać Hacon, ale Candamir wpadł mu w słowo.

- Prawdopodobnie właśnie, dlatego on tak długo kazał wam znosić tę starą. Zresztą nieważne. Nikt nie żyje wiecznie, nawet Brygida, a ty będziesz ją tak samo mało opłakiwał jak ja.

- To prawda - przyznał młodszy brat, odwrócił się do brata szerokimi plecami i starannie ułożył na stercie obok pieca ostatnią cegłę. Pokłady gliny cztery lata wcześniej odkrył Haldir - wydobywano z nich glinę na cegły i naczynia. Leżały na południe od pustkowiec, oddalone o pół dnia marszu od wybrzeża. Glinę trzeba było sprowadzać, używając do tego statków i zwierząt jucznych, dlatego ludzie obchodzili się z nią oszczędnie. Jedynie Haldirowi i jego bratu Thorbjornowi tak się spodobało to odkrycie, że postawili sobie nowe domy z wypalanej cegły. Sąsiedzi ich wyśmiali, ale Haldir zapowiedział, że wszystkim przejdzie ochota na śmiechy, kiedy Olaf spali osadę i tylko ich dwa domy zostaną całe...

- Nie będę opłakiwał Brygidy - znów podjął myśl Hacon. - Nie życzę jej też śmierci.

- Tak, tak, bo twój bóg zakazuje takich złych myśli - burknął znudzony Candamir.

- Nie tylko, dlatego - odrzekł nieoczekiwanie Hacon. - Ona przecież zawsze była z nami, odkąd pamiętam. Niepokoi mnie myśl o świecie bez niej.

Candamir z założonymi rękami obserwował brata i uśmiechał się wyrozumiale.

- Czasami przypominasz mi, Haconie, że masz dopiero dwadzieścia jeden lat. Ale tylko czasami. Zazwyczaj jesteś mądrzejszy i rozważniejszy ode mnie. To jednak dziecinne, skarżenie się na zmienność rzeczy.

Hacon przytaknął.

- Masz wiele racji, bracie. - Przez chwilę zastanowił się nad tym. Podobnie jak reszta świata, także ich społeczność zmieniła się od przybycia na Catan. Nie tylko zmarł stary Eilhard, ale także Siward i jeszcze kilku innych ludzi, a sam Hacon, jego przyjaciele Wiland i Godwin oraz całe ich pokolenie dorosło, pożeniło się i wydało na świat wiele dzieci. Liczba mieszkańców, zarówno wolnych, jak i niewolników, niemal się podwoiła,



co obliczył ostatnio Austin.

- Nie, nie mam żadnego powodu, aby skarżyć się na zmienność rzeczy, ponieważ dano nam tu wiele dobrego. Zastanawiam się jednak, co się stanie, kiedy Brygida umrze.

- Co ma się stać? Żona Osmunda będzie odprawiać ceremonie w świątyni i regularnie, za pomocą wyroczeni, będzie nas uszczęśliwiać bądź, jak to zawsze robiła Brygida, napominać, żebyśmy służyli Odynowi z jeszcze większym oddaniem. Przejmie jej rolę i będzie robić wszystko to, co robiła Brygida, skoro jest jej zaufaną uczennicą. Wszystko będzie jak dotąd - zakończył. - Tylko wyglądać będzie ładniej - dodał jeszcze po chwili.

Hacon uśmiechnął się i zadumał, dlaczego Candamir tak rzadko nazywa Inge po imieniu.

- Austin sądzi, że będziemy pragnęli powrotu Brygidy, kiedy jej zabraknie - zauważył.

Candamir przytaknął.

- Austin ma bardzo szczególną skłonność do cierpiętnictwa. Brygida od lat tworzy front przeciwko niemu, jego bogu i wszystkim, którzy modlą się do niego. Również, zatem przeciwko tobie i mojej żonie. Rzeczywiście tylko Austin może sobie życzyć, żeby tak zostało.

- Mylisz się, Candamirze. Austina głęboko porusza, że nasza wiara jest tak źle postrzegana. Boi się jednak, że kiedy Inga zajmie miejsce Brygidy, będzie jeszcze gorzej.

- Bzdura - odparł Candamir zniecierpliwiony. - Jest żoną Osmunda.

„Właśnie” - mógłby odpowiedzieć Hacon, ale wolał nie dotykać tego tematu. Candamir od lat nie chciał dostrzec, że Osmund się zmienił, i zrobił się bardzo wrażliwy, kiedy ktokolwiek chciał nim potrząsnąć i otworzyć mu oczy, żeby się dokładnie przyjrzał postępowaniu przyjaciela. Siglind próbowała od czasu do czasu to robić i wtedy w domu brata aż wióry leciały Hacon jednak, w odróżnieniu od nieustraszonej szwagierki, nie miał jak dotąd przyjemności kłócić się z Candamirem.

- Chodź, wejdziemy do chaty - zaproponował zamiast tego i na chwilę położył Candamirowi dłoń na ramieniu. - Jeśli zostawimy Łotyszy Haralda zbyt długo sam na sam z serem, nic dla nas nie zostanie.

- Mnie się wydaje, że oni za mało cię szanują, bo jesteś chyba dla nich zbyt

wyrozumiały - burknął Candamir, którego nigdy nie zmęczyło wypominanie młodszemu bratu łagodności.

Hacon przyjął to spokojnie.

- Robią to, czego od nich wymagam, więcej mi nie trzeba. Są zresztą niewolnikami Haralda, nie moimi, nie do mnie należy, więc uczenie ich szacunku. Ja nie mam żadnych niewolników, Candamirze.

Starszy brat poniósł obie ręce w geście po części proszącym, po części obronnym.

- Żadnych kazań o równej wartości wszystkich ludzi i ich nieśmiertelnych duszach, Haconie! Miej litość i oszczędź mi tych bzdur, przynajmniej aż zjemy.

Kiedy pięć dni później wrócili do domu, Siglind przywitała męża w drzwiach domu. Jej nieopisanie wielki brzuch zdążył już zniknąć, a gdy Candamir zauważył, że trzyma w objęciach nie jedno, lecz dwa niemowlęta, zrozumiał też, dlaczego pod koniec ciąży przypominała mu ogromnego morsa.

Z uśmiechem zadowolenia objął matkę wraz z dziećmi, delikatnie, nie jak zazwyczaj. Jego dłonie gładziły biodra i talię Siglind, która nie była już może tak szczupła jak w dniu ich ślubu, on widział dziś jednak żonę szczupłą i jędrną jak tamtą siedemnastolatkę, którą wówczas była. Kciukiem odgarnął z jej skroni jasny warkoczyk, po czym przycisnął usta do jej czoła.

Wypuścił ją i wskazał palcem na podbrzusze niemowlęcia na jej lewym ręku. Siglind poważnie pokręciła głową.

- Heidrun.

Bez większej nadziei wskazał na drugie dziecko.

- Heidlind, jak sądzę?

- Tak właśnie...

Odwrocił głowę, oparł czoło na dłoni i zaczął się śmiać.

- To mamy pół tuzina!

Siglind uśmiechnęła się i trochę bezradnie wzruszyła ramionami.

- Ja też nie wiem... Przepraszam, Candamirze.

- Och, nie bądź śmieszna.

Jedną po drugiej brał swoje najmłodsze córki, podnosił ku słońcu, dokładnie oglądał ich maleńkie twarzyczki i całował je w czoło. Heidrun obudziła się i zaczęła płakać. Tylko ją oddał Siglind, a malutką Heidlind, która niemal mieściła się na jego dłoni, sam zaniósł do domu. Wolną ręką objął żonę za ramię.

- Ciężko było? Pokręciła głową.

- Ależ skąd.

Siglind rodziła dzieci z łatwością, która wzbudzała zawiść wielu innych kobiet. Było po prostu podejrzane, że bóle trwały u niej nie dłużej niż dwie godziny, chodziły też pogłoski, że gdy Siglind rodziła, nigdy nie było słyhać krzyków, a jeszcze na dodatek zawsze zachowywała figurę. Przed podejrzliwością, może też i przed wrogością sąsiadek chroniło Siglind tylko to, że, jak widać, potrafiła rodzić wyłącznie dziewczynki. Czwarte dziecko straciła w trzecim miesiącu i Brygida sugerowała, że był to syn, którego Siglind nie pozwolono zatrzymać, bo obrażała bogów.

- Heidrun przyszła na świat, zanim Heide zdążyła sprowadzić Astę - zwierzyła się Candamirowi.

- Najwidoczniej Heidrun jest, tak jak jej matka, pełna niecierpliwości i nieokiełznanej ciekawości - zauważył Candamir.

- Że też akurat ty to mówisz... - zaprotestowała. Potem odwróciła się w kierunku otwartych drzwi i zawołała: - Nils? Gdzież to się podziewa mój milutki urwis? Chodź tu, leśny duszku, i przywitaj swoje nowe siostry!

Zdyszany i umorusany pojawił się na progu syn Candamira.

- Znów dziewczynka? - zapytał.

- Dwie - odparła Siglind.

Z błyszczącymi oczyma Nils wkroczył do izby, a kiedy Siglind nachyliła się ku niemu i włożyła mu w objęcia maleńkie zawiniątko, ten wziął je delikatnie i wprawnie. Jeśli na tym świecie było coś, na czym Nils dobrze się znał, to były to małe siostrzyczki.

- Bliźniaczki? - zapytał z niedowierzaniem. - Będą do siebie tak bardzo podobne, jak te dwa bliźniacze cielątka zeszłej wiosny?

- Tak, pewnie tak - odpowiedział Candamir i przytrzymał Heidlind przy siostrze. - Chyba, że widzisz jakąś różnicę?

- Nowe siostry zawsze wyglądają tak samo - objaśnił Nils ojcu. - Wszystkie

niemowlęta tak wyglądają.

- Cóż za nonsens - sprzeciwiła się Siglind.

W duszy Candamir przyznał rację synowi. Zanim jednak zdążył wyłożyć swój pogląd, ze swojej izdebki, wydzielonej z głównej izby, wybiegła jak burza Irmgardis, żeby uściskać ojca powracającego do domu.

Candamir oddał niemowlę Siglind i przywitał się z najstarszą córką - jedyną, która była do niego podobna i miała takie same jak on kruczoczarne włosy. Podniósł ją w górę i zakręcił w powietrzu, na co odpowiedziała dzikimi okrzykami radości. Potem objęła go rączkami za szyję.

- Znowu dziewczynki - powiedziała, wzdychając. - I to dwie naraz!

Posadził ją sobie na rękę.

- Nie szkodzi, mały elfie. Jeśli dadzą mi tyle radości, co ty, nie będę miał powodu do narzekania.

Irmgardis rozpromieniła się szczerze. Wiedziała doskonale, że ojciec mówi poważnie. W przeciwieństwie do wielu innych dziewczynek w osadzie wyrastała w spokojnej pewności, że nie stanowi dla swojego ojca rozczarowania w życiu, ale wręcz przeciwnie - zajmuje w nim ważne miejsce.

Siglind kiwnęła na Freydis, żonę Noriego, która bardzo jej pomagała przy zajmowaniu się dziećmi. Niewolnica przykuśtykała pospiesznie i zabrała oba niemowlęta do małej izdebki dziecięcej. Candamir rozsiadł się w swoim krześle i rodowym, a na ławach po prawej i lewej jego stronie usiadła żona i dwoje najstarszych dzieci.

Stara Heide przywitała się z typową dla siebie burkliwą serdecznością, przyniosła panu i pani domu po kuflu piwa, dla dzieci mleko, a na stole postawiła talerz z chlebem i zimną wołowiną. Ojciec i syn sięgnęli po nią chciwie.

- Coście tam przeżyli, hm...? - zagadnęła Siglind małego Nilsa.

Przybrany syn żywo opowiedział jej o podróży, burzy, ogromnym piecu do wytapiania żelaza i o bezowocnych poszukiwaniach złota, które prowadzili Osmund z Rorykiem na stokach Asi. Siglind słuchała go cierpliwie, we właściwych miejscach wyrażając swoje zdumienie i zachwyt nad ich małymi bohaterskimi wyczynami.

Od pierwszego dnia pokochała Nilsa i obdarowywała go takim samym uczuciem jak córki. Doszło, więc do tego, że chłopiec nawet nie podejrzewał, że żona ojca mogłaby

nie być jego rodzoną matką. Zarówno Siglind, jak i Candamira przerażał jednak dzień, w którym Nils od jakiegoś niedyskretnego plotkarza dowie się prawdy. Oboje wiedzieli, że ten dzień nadejdzie, jeśli sami w porę nie powiedzą tego synowi. Ale stosowny moment zdawał się po prostu nigdy nie przychodzić. Na razie uważali, że rozsądniej będzie pozostawić chłopca w błędnym przekonaniu. Ogromne oddanie ciotki Gundy Nils przyjmował bez żadnych podejrzeń, a kiedy to oddanie robiło się zbyt nachalne, przeważnie wystarczało jedno mroczne spojrzenie Candamira, aby przywołać ją do porządku.

Złociste popołudniowe słońce oświetlało przez okno południowo-zachodnią ścianę, a było widać z niego łąkę. Candamir musiał mrużyć oczy, ale nigdy by mu nie przyszło do głowy, żeby zamknąć okiennice. Nawet po sześciu latach wciąż uważał okna swojej izby za dar, za który był winien wdzięczność bogom, obojętnie, którym. Zamknął oczy i upajał się grą światła oraz cieni słońca i konarów jesionu na powiekach, a gdy poczuł rączkę córki na kolanie, przez chwilę był w pełnej harmonii z sobą i światem.

Tę rodzinną idyllę zakończył Godwin, zaufany pomocnik Candamira. Zanim jeszcze wszedł do izby, Candamir usłyszał jego ciężkie kroki i uniósł głowę.

- Godwinie! Wejdz. Napij się z nami piwa. Syn kowala nie dał się długo prosić.

- Witaj w domu, Candamirze. Nilsie.

Wziął od Heide kufel z przelewającą się pianą, kiwnął głową w podzięcie, usiadł po gościnnej stronie stołu i chciwie pił. Godwin był bardziej krępy i muskularny od ojca, przypominał raczej swoją matkę. Niektórzy uważali, że jest kłótlivy, wręcz ponury, ponieważ sceptycznie traktował świat i każdemu nieproszonemu gościowi mówił, co myśli. Candamir uważał go za prostolinijnego, jego uczciwość za budującą, a jego zręczność w rzemiośle za niewątpliwie wybitną.

- No? - zapytał Candamir swojego młodego pomocnika. - Kto dziś spowodował twoją uzasadnioną złość?

Godwin uśmiechnął się krzywo.

- Siwold był w warsztacie i skarżył się, że skrzynia jest większa, niż się umawiał.

Candamir beztrąsko kiwnął głową. Siwold był najstarszym synem Siwarda i, podobnie jak on, we wszystkim znajdował jakieś wady.

- Chce zbić cenę, jak przypuszczam?

Godwin fuknął z niesmakiem.

- Powiedział: „Na dziesięć dłoni szeroka”. Na dziesięć dłoni szeroką zrobiłem. Nie wiem, o co mu chodzi.

- Może masz od niego większe dłonie? - zapytała Siglind.

Godwin pokiwał głową, patrząc w swój kufel.

- Gdyby tak nie unikał roboty, to by nie miał takich małych rąk.

Candamir uśmiechnął się ukradkiem, po czym oświadczył: |

- Pogadam z nim. Wyjaśnię mu, że nie może zapłacić mniej, skoro dostał więcej, niż chciał.

Nigdy nie miał okazji zostać rolnikiem, w przeciwieństwie do większości jego sąsiadów. Inaczej niż oni pewnego dnia przestał również karczować nową ziemię. Kawalki, które j miał, wykorzystywał jako pastwiska. Siglind uprawiała zaś duży sad i ogród warzywny, który otaczał ich dom. Nie mieli jednak pól ze zbożem. Po prostu nigdy do tego nie doszli. Kiedy już wszystkie domy zostały postawione, Candamir szybko i spostrzegł, że stolarze nadal będą potrzebni. Szkutnik Berse znowu zajął się swoim właściwym rzemiosłem i budował łodzie, tratwy, przystanie, a także od czasu do czasu prawdziwy statek. Wszyscy jednak chcieli mebli: łóżek dla siebie i swoich powiększających się rodzin, półek na naczynia kuchenne, skrzyń na ubrania, warsztatów tkackich, cebrzyków na masło i drewnianych wiader. Wszyscy chcieli mieć stodoły, obory, zagrody i wychodki. Kiedy Candamir doszedł do wniosku, że nic już nie będzie do roboty, pojawili się ci pierwsi, którzy teraz życzyli sobie przebudowy i rozbudowy swoich domów. Młodzi ludzie dorastali, żenili się i chcieli mieć własne domy. Osada rosła, aż mieszkającym w obrębie żywopłotu zaczęła grozić ciasnota.

Candamir i Godwin stale byli zajęci. Równocześnie Candamir wrócił do swojej dawnej namiętności i hodował konie. Konia chciał mieć teraz każdy mężczyzna, każdy chłopiec i niejedna kobieta. Jeździł, więc od czasu do czasu na równinę, chwycił roczniaka albo żrebną klacz, ujeżdżał je i tresował, aż stawały się bezpiecznymi towarzyszami nawet dla niedoświadczonego jeźdźcy. Zarówno za domy i meble, jak i za ujeżdżone wierzchowce ludzie płacili zbożem i owcami - jedyną walutą, jaka na Catanie miała wartość. Czasem Candamir już sam nie wiedział, co ma począć z tymi wszystkimi workami ziarna. W Elasundzie byłby bardzo majątym człowiekiem.

- Lepiej, żeby Austin z nim pogadał - poradził Godwin.

- Austin? - zapytał Candamir ze zdumieniem. - Co, na wszystkich bogów, Austin ma wspólnego z Siwoldem?

Godwin splunął pogardliwie.

- Ostatnio Siwold trzyma z tym żalonym, ukrzyżowanym bogiem. Tak samo jak twój brat.

- Jeśli jeszcze raz spluniesz na podłogę w mojej izbie, to w przyszłości możesz jeść w swojej ziemiance - skarciła go ostro Siglind. Przykładała wielką wagę do dobrych manier, nie lubiła też, kiedy ktoś nie okazywał jej Bogu stosownego szacunku.

Godwin ze skruchą opuścił głowę.

- Przepraszam - mruknął. Uprzejmie skinęła głową.

- Cóż, nie rozumiem, co bogowie mają wspólnego ze skrzynią Siwolda - wtrącił Candamir. - Albo mi zapłaci umówioną cenę, albo wniosę sprawę przed thing. Wtedy zobaczymy, po czyjej stronie jest racja.

- To akurat ma mnóstwo wspólnego z bogami - zauważyła Siglind kwaśno. - Czyżbyś jeszcze nie zauważył, że udowodnienie swojej racji przed thingiem jest właściwie niemożliwe, jeśli się należy do nowej wiary?

Candamir machnął ręką. Na wylot znał już to gadanie. Rzekome szykanowanie chrześcijan w osadzie było jednym z ulubionych tematów Siglind, którym się chętnie i często ekscytowała. Z założonymi rękami i drwiącym uśmiechem popatrzył na nią.

- Cóż, skoro tak jest, to mogę przynajmniej być pewien, że dostanę uzgodnioną zapłatę.

- Ingo? - Osmund wszedł do swojej izby, przekazawszy zaprzęg wołów na podwórzu jednemu z niewolników. - Jesteśmy z powrotem!

- Twojej żony nie ma w domu, panie - odezwał się jakiś nieśmiały głos, zdający się dochodzić z pieca. - Jest u Brygidy

Osmund musiał zmrużyć oczy, zanim dojrzał dziewczynę, do której ten głos należał. Inga wolała przez ciepłe miesiące trzymać okiennice zamknięte przez cały dzień, żeby upał nie wchodził do izby. Jego oczy szybko przyzwyczyły się do półmroku. Z

uśmiechem przywitał młodą niewolnicę przy ogniu.

- Birte. Wszystko w porządku?

- Tak, panie. Usiądź. Odpocznij po długiej podróży. Zaraz przyniosę coś dobrego do jedzenia - obiecała.

- Otwórz też te okiennice - poprosił i zmęczony rozsiadł się w rodowym krześle. - Tu jest tak ciemno jak zimą w elasundańskiej chałupie.

Podeszła do okna, które było naprzeciw krzesła, i otworzyła okiennice. Potem odwróciła się do Osmunda.

- To dziwne. W ogóle nie pamiętam zimą w dawnej ojczyźnie.

Osmund pokiwał głową i wzruszył ramionami. Birte miała może ze cztery wiosny, kiedy opuszczali dawną ojczyznę. Była córką mamki Ingi i dwa czy trzy lata temu Osmund odkupił ją od starego Siwarda. Za piękną owcę. Tak samo jak młodą Frankonkę, należącą do Thorbjorna, która teraz opiekowała się dwoma synami i córką Osmunda. Za każdego silnego, młodego parobka, którego kupił w ciągu kilku ostatnich lat, dał z kolei po dwie owce. Nie miało to dla niego żadnego znaczenia. Mógł sobie na to pozwolić. Bogactwo i dobytek nie były na Catanie tak ważne jak w Elasundzie, ponieważ wszyscy mieszkańcy Catanu mieli wystarczająco duże majątki, żeby żyć. Chociaż jedno pozostawało tu niezmiennie: o ile Candamir, mierząc miarą dawnej ojczyzny, żył w dostatku, o tyle Osmund był nieprzyzwoicie bogaty.

Tę całkowicie nieoczekiwaną okoliczność zawdzięczał swojej szczęśliwej ręce do owiec, z czego był znany już wcześniej. Z trzech zwierząt, które stryj tak niechętnie mu zostawił zaraz po przyplłynięciu, powstało nie tylko najliczniejsze, ale jak dotąd najlepsze stado na Catanie. A zwierząt tych wciąż było tu tak mało, że ciągle wszyscy chcieli je mieć. Dzięki temu Osmund, niegdyś nędzarz, mógł sobie teraz pozwolić na każdego niewolnika, jaki mu się zamarzył, i mógł go sobie wyszukać. Jego rodzina i on sam nosili najkosztowniejsze tkaniny, jakie wytworzono na Catanie. Nie było to nic szczególnego czy wspaniałego, ale zawsze najwyższej jakości. To samo dotyczyło arrasów na ścianach jego izby, a kufel z miodem, który mu Birte przyniosła, był ze srebra, tak samo jak świeczniki i półmiski.

Birte podała mu kufel i już chciała odejść, on jednak chwycił ją za łokieć i gestem wskazał miejsce na ławie.



- Nie chcesz zjeść? - zapytała, marszcząc czoło. Pokręcił głową.

- Później. Jak się czuje Brygida?

- Źle, panie - oświadczyła dziewczyna i zmartwiona opuściła głowę. - Już wcale nie je, jak mówiła twoja żona, i z godziny na godzinę jest słabsza. Obawiam się... Niebawem nadejdzie koniec.

W zamyśleniu pokiwał głową. Na jego twarzy nic nie drgnęło. Nikt nie mógł się domyślić, jak radosnym podekscytowaniem napełniły go te wieści. Wreszcie stara wiedźma zrobi miejsce dla Ingi. Wreszcie wyrocznia się spełni...

Podniósł kufel do ust i pociągnął duży łyk. Miód był słodki i korzenny, właśnie taki, jak lubił. Rozszedł się błogo po jego ciele. Osmund odstawił kufel na stół i położył swojej niewolnicy dłoń na ramieniu. Podniosła głowę, była trochę zdziwiona beztroskim, niemal łobuzerskim uśmiechem, z jakim ją obserwował. To do niego niepodobne.

- Idź do sauny i napełnij balię - powiedział nagle. - Jestem pokryty kurzem i chcę się wykapać.

- Tak, panie.

- Ale nie sam.

- W takim razie przyjdę i wyszoruję ci plecy - obiecała z uśmiechem.

Osmund zamruczał z zadowoleniem.

- Brzmi to cudownie. Birte wstała.

- Gdzie jest Roryk? - zainteresowała się, przerzucając rozżarzony węgiel drzewny z pieca do kamiennej miski, aby wodę w saunie podgrzać do przyjemnej, letniej temperatury

- Ze swoim rodzeństwem i mamką nad rzeką. Spotkaliśmy ich w drodze powrotnej. Zdaje się, że szli na ryby.

Służąca uspokojona kiwnęła głową. Miała szczególną słabość do cichego, rozmarzonego Roryka i nie chciała, żeby po powrocie znalazł się w pustym domu, podczas gdy ona z jego ojcem będą się zabawiać w saunie. Wiedziała, że chłopak ma skłonność do strachliwości. Z kamienną misą na biodrze podeszła do drzwi i jeszcze raz się obejrzała.

- Opróżnij w spokoju swój kufel, a potem przyjdź. Nie za szybko, bo woda nie będzie jeszcze ciepła.

- Postaram się być cierpliwy - przyrzekł Osmund.

Dom Austina był najdziwniejszym z tych, jakie Hacon znał. W połowie ukryty za leszczyną i małymi, splątanymi jabłonkami, stał pośrodku ogródka z ziołami między domem Candamira a kuźnią Haralda. Jako wolny człowiek Austin miał oczywiście prawo do wykarczowania sobie pola, uprawiania go i hodowania wielkich stad bydła, jak wszyscy inni, on nie chciał jednak niczego z tych rzeczy. Miał jedną krowę, która reagowała na imię Godiva, jedną świnie i kilka kur. To wszystko. Austin był skromny. Jego niewielkie zapotrzebowanie na zboże i warzywa z nadmiarem zaspokajały dary, które otrzymywał jako wynagrodzenie za leczenie chorób, opatrywanie ran czy za swoje maści i nalewki. Z krokwi jego domku zawsze zwisały jakieś woreczki z ziołami, które wieszał tam do suszenia, a cała ściana była zajęta przez półki, na których rzędami stały różne tygły i dzbanuszki. To nie te atrybuty sztuki leczenia czyniły jednak to domostwo osobliwym ani też mały ołtarzyk z krzyżem i świecami przy wschodniej ścianie, ale księgi i całe wyposażenie do ich tworzenia nadawały charakter tej jasnej, jednoizbowej chałupce.

Ze skór zwierzęcych wytwarzał Austin pergamin, który ciął na równe arkusze, rysował na nich linie, zapelniał je tymi swoimi malutkimi runami, po czym zszywał je ze sobą i oprawiał w drewniane okładki obciągnięte skórą. Poza łacińską Biblią na jednej z półek na ścianie stało już pięć gotowych dzieł: traktat o ziołach Catanu, reguła Świętego Benedykta, zbiór legend i pieśni, które mieszkańcy Catanu przywieźli z dawnej ojczyzny, gramatyka łacińska i oczywiście kronika Catanu, która już dawno zajmowała specjalną księgę, na bieżąco uzupełnianą przez Austina, gdy miały miejsce jakieś ważne wydarzenia warte utrwalenia.

Widok ksiąg wciąż jeszcze był dla Hacona czymś obcym. Nie napelniały go już jednak strachem, ale ciekawością i osobliwym podekscytowaniem, mającym w sobie coś z ducha przygody.

- Nad czym pracujesz? - zapytał w ramach powitania, wszedłszy do środka. Schylił się, a mimo to zahaczył czupryną o woreczki z lawendą i rumiankiem, które oszołomiły go swoim aromatem.

Austin siedział za stołem pochylony nad jednym ze swoich niezliczonych arkuszy pergaminu i pisał. Nie podnosząc wzroku, odpowiedział:

- Nad kalendarzem świąt. Postanowiłem na razie odłożyć przekład Biblii. Ważniejsze jest zapisanie rzeczy, które mam już tylko w pamięci, jak liturgia czy też reguła Świętego Benedykta, zresztą już gotowa. Mam na myśli także żywoty świętych i przypisane im dni, to wszystko nie może przepaść. - Kiedy atramentowa linia zrobiła się zbyt cienka, odłożył pióro i z uśmiechem podniósł głowę. - Witaj w domu, Haconie.

- Dziękuję. - Nie czekając na zaproszenie, Hacon przysiadł na ławie obok mnicha i patrzył mu przez ramię. Karta była ciasno zapisana w dwóch kolumnach. Każdy nowy rozdział zawsze zaczynał się od daty.

- *Osiemnasty sierpnia* - przeczytał pod nosem Hacon. - *Tego dnia obchodzimy dzień Świętej Heleny. Helena była matką rzymskiego cesarza Konstantyna, pierwszego imperatora, który uznał prawdziwą wiarę. Poznawszy dzięki biskupom Słowo Boże, pobożny cesarz poprosił swoją matkę Helenę, aby w eskorcie żołnierzy wyruszyła do kraju Żydów i tam poszukała...* - Tu tekst się urywał. Hacon podniósł wzrok. - Czego poszukała? - zapytał.

Austin uśmiechnął się tajemniczo.

- Poczekaj. Gdy skończę, będziesz mógł przeczytać.

- Nie, nie chcę czekać - zaprotestował młodzieniec. - Opowiedz, Austinie!

- Odczytaj mi pięć wersów z Biblii i przetłumacz, tym razem wyjątkowo bez błędów, a wtedy zaspokoję twoją ciekawość - zaproponował nauczyciel.

Hacon ochoczo wstał i bardzo dokładnie umył ręce w wiadrze z wodą, które stało przy drzwiach, po czym ostrożnie i z nabożnym szacunkiem sięgnął po zniszczoną księgę. Otworzył ją mniej więcej w połowie, trafił na psalmy, przeczytał kawałek i bez najmniejszego wysiłku przetłumaczył.

Austin słuchał z założonymi rękami i z bardzo zadowolonym uśmiechem. Hacon był wyśmienitym uczniem. Również Siglind nauczyła się czytać, poznała łacinę i często przychodziła studiować Biblię, chociaż, jak podejrzewał Austin, głównie po to, żeby dotrzymać przyrzeczenia złożonego Bogu i jemu, spełniając swój obowiązek. Pilnie starała się przyswoić sobie Słowo Pańskie i żyć zgodnie z nim, ale od czasu, gdy poślubiła Candamira, to on i rodzina, nie zaś Bóg, znaleźli się w centrum jej życia. Tak

samo było z Gundą, Wilandem i Astą, a także niemal ze wszystkimi z okrągłej czterdziestki jego owieczek, które zdobył w ciągu ostatnich lat. Nie przejmował się tym jednak. Zrozumiał już, że nie każdy jest powołany do życia dla Boga i że w końcu nie po to opuścił ojczyznę, żeby całą ludność zamienić w mnichów i mniszki, ale aby, w miarę możliwości, ocalić ich dusze przed ciemnością. Nie miał nic przeciwko temu, żeby dalej prowadzili swoje ziemskie życie. Hacon jednak, jak się wydawało, należał do wybranych. Jego żądza wiedzy i potrzeby duchowe stawały się tym większe, im więcej się uczył. Chociaż chętnie został kowalem, ożenił się z bezbożną Gundą i mógł jeszcze z nią mieć tuzin dzieci, coraz bardziej było widoczne, że zostanie bratem *In Christo* Austina. Ich związek przypominał mnichowi często o jego młodości w klasztorze, o żadnym wiedzy nowicjuszu, którym był, i o opacie, który go nauczył wszystkiego, co sam wiedział, i uczynił z niego mężczyznę takiego, jak on sam. Austin był głęboko wdzięczny Bogu, że znalazł kogoś, komu może wszystko przekazać.

Opowiedział, więc szczegółowo Haconowi o Helenie i jej poszukiwaniu krzyża, na którym Jezus umarł za ludzkość, o poszukiwaniu, które ostatecznie zostało ukoronowane sukcesem. Nie przemilczał też okrucieństw, których matka cesarza zaczęła się dopuszczać, aby osiągnąć cel, niebawem zagłębili się, więc w fascynującą i wielce uczoną debatę dotyczącą kwestii, czy cel uświęca środki, czy też nie. Zanim jednak doszli do jakiegoś wniosku, w chatce pojawił się Candamir.

- Przykro mi, że przeszkadzam w pogaduszkach...

Hacon ze zmarszczonym czołem obejrzał się za siebie, Austin zaś westchnął:

- Jestem pewien, że to kłamstwo. Oto znów wzięłeś na siebie kolejny grzech, Candamirze. Moje serdeczne gratulacje z okazji narodzin córek. Oby zawsze towarzyszyło im błogosławieństwo Boga.

- Dziękuję - warknął Candamir. - To nie on jest jednak ich bogiem opiekuńczym, lecz Loki i Baldur. Żeby było jasne.

Austina mimo woli przeszedł dreszcz. Nie miał nic przeciwko Baldurowi - wręcz przeciwnie. Ten szlachetny bóg światła, najbardziej ukochany wśród innych bogów za swoją łagodność, którego podstępne zamordowanie miało - zgodnie z wiarą tych ludzi - wywołać pewnego dnia wielką wojnę i koniec świata, był jedynym barbarzyńskim bóstwem, które mnich zdołał trochę polubić. Baldur był, bowiem owieczką ofiarną,

czystą i niewinną, niemal jak Chrystus. Ale Loki?

- Dajesz swoją córkę pod opiekę kłamcy i zdrajcy? Pod opiekę samego diabła? - zapytał zdziwiony.

- Nigdy tak naprawdę nie wiem, jak rozumiesz to słowo - odparł Candamir. - Loki jest najbardziej przebiegły spośród bogów i dlatego jego opieka jest tak potężna, jeśli jej sprawowanie służy jego zamiarom. To prawda, że nie jest zbyt godny zaufania i pełen egoizmu, ma jednak swoje miejsce wśród bogów, podobnie jak egoizm jest stałą częścią świata. Słabością twojej religii jest to, że odcina się od wszystkiego, co nie jest dobre, tak jakby to w ogóle nie istniało.

- Słabością twojej religii jest to, że po prostu obejmuje wszystko, co nie jest dobre, zamiast z tym walczyć - wzburzył się Austin.

- Jesteś i pozostaniesz głupcem, Saksonie - oznajmił Candamir, kręcąc głową. - Chcesz zmieniać naturę rzeczy, a równocześnie sam przecież twierdzisz, że twój bóg stworzył świat takim, jaki jest. Jakże możesz się ośmielać poddawać pod wątpliwość jego dzieło? Czy później zbuntujesz się przeciwko temu, że jesienią opadają liście albo, że każde życie musi mieć swój koniec?

Hacon ciekawie patrzył to na jednego, to na drugiego. Zawsze go bawiło, kiedy ścierały się światy Austina i Candamira, czasem też te potyczki słowne prowadziły do zadziwiających odkryć.

- Nie buntuję się - oświadczył mnich. - Nie wolno nam jednak zła tego świata przyjmować tak po prostu, jak opadania liści. Bóg obdarzył nas rozumem i sercem, żebyśmy zło zwalczali, przede wszystkim w samych sobie.

- Potężny Tyrze, toż on w jednym oddechu sam sobie przeczy - burknął Candamir z wyrazem komicznej rozpacz.

Austin pokręcił głową.

- Pewnego dnia również i ty to pojmiesz.

- Być może. W dniu, w którym na stokach Asi będzie leżał śnieg.

„Taki dzień może nadejść - pomyślał mnich. - Większych cudów będzie dokonywał Bóg i jego święci”. Spokojnie wzruszył ramionami.

- Będzie, co ma być. Ochrzcilem twoje córki i dlatego nie ma znaczenia, którym bożkom je polecisz, bo mój Bóg ochroni je nawet przed zradzieckim Lokim.

Candamir westchnął. Już dawno temu pogodził się z tym, że w tych kłótniach zawsze Austin ma ostatnie słowo, bo jego pasja jest dużo większa. Bez zaproszenia, ale w żadnym razie nie będąc niemile widzianym, Candamir zajął miejsce na ławie.

- Nie po to przyszedłem, żeby po raz kolejny wysłuchiwać, jak obrażasz moich bogów, Saksonie.

- Nie? W takim razie, po co?

- Potrzebuję kawałka pergaminu. Raczej dużego kawałka. Chcę go rozciągnąć na oknie w izbie dzieci. Niemowlęta są delikatne, a jeśli zasłonię okno pergaminem, tak jak sobie to wymyśliłem, to światło się jeszcze przebiję, ale nie przejdzie ani upał, ani deszcz czy zimny wiatr.

Hacon spojrzał na niego zdumiony.

- Wspaniały pomysł - stwierdził. - Może nasz Ole nie będzie się tak często przeziębiał, jeśli my też tak zrobimy

- Nie dam rady zrobić tyle pergaminu, żeby pokryć nim wszystkie okna Catanu - zastrzegł się Austin.

Candamir uśmiechnął się drwiąco.

- Tak, wiem. Jeśli chodzi o twój ukochany pergamin, robisz się chciwy.

- Pozwól mi...

- Zrobię ci na twoje księgi niewielką szafę - zaproponował Candamir. - Z drzwiczkami, żeby ochronić księgi przed kurzem i wilgocią.

Austin uśmiechnął się szeroko.

- Dostaniesz swój pergamin.

- Dobrze. Siglind kazała przekazać, że masz przyjść na biesiadę. Wypijemy kufel miodu za zdrowie Heidrun i Heidlind. Po kuflu za zdrowie każdej córki, ma się rozumieć - dodał z naciskiem.

- Chętnie przyjdę, jeśli mi przyrzekniesz, że nie będziesz mnie zmuszał, żebym pił tyle, co ty.

Candamir skrzywił się drwiąco.

- Masz moje słowo - zapewnił i zwrócił się do swojego brata. - Ty też przyjdź, Haconie. Przyrowadź rodzinę. Poświętujmy trochę, co?

- Zgoda.

- Dobrze - Candamir zadowolony wstał z miejsca. - W takim razie pójdę teraz do Haralda i Asty

- Osmund też przyjdzie? - zapytał Hacon bez nacisku. Wiedział, że Austin zawsze czuje się nieswojo, siedząc przy jednym stole z Osmundem, który go ciągle podejrzliwie obserwuje i mnich musi bardzo ważyć każde słowo, żeby uniknąć sprzeczek z mlecznym bratem Candamira.

- Jeszcze tam nie byłem - odparł Candamir. - Przecież nie było nas przez ponad tydzień i wróciliśmy dopiero przed dwoma godzinami. Lepiej dać Osmundowi nieco czasu, skoro wrócił po tak długiej nieobecności, bo wtedy on ma zawsze pełne ręce roboty.

Austin się zarumienił, a Candamir ze śmiechem wyszedł do ogródka z ziołami, które wypełniały spokojne wiosenne powietrze wspaniałymi aromatami.

- Odejdź, dziecko - powiedziała Brygida. Jej głos przeszedł w szorstki szept, ale wciąż był zadziwiająco wyraźny. - Zrobiłaś dla mnie wszystko, co mogłaś. Teraz idź.

- Nie odsyłaj mnie - prosiła Inga. - Przecież nie mogę cię zostawić samej.

- Nie jestem sama - sprzeciwiła się stara i słabym gestem wskazała swoje trzy kruki. Z czarnych towarzyszy pozostał jedynie Skuld. Jego krewniaków Brygida odprowadziła na tamten świat, a ich następcami zostały śnieżnobiałe kruki z Catanu. Na belkach łoża śmierci siedziały więc teraz dwa białe i jeden czarny ptak, spokojne i oddane jak zawsze. Błady błysk, jakby wspomnienie tkliwego uśmiechu, pojawił się w pożółkłych oczach starej kobiety, kiedy przyglądała się swoim wiernym towarzyszom. - Nie, nie martw się, moje dziecko. Nie jestem sama.

Inga poczuła gęsią skórkę na rękach i plecach. Wiedziała, że jest to ostatnie pożegnanie.

- Och, Brygido... - Nie starała się już powstrzymać łez.

- Cóż ja pocznę bez ciebie? Nie umiem...

- Ależ umiesz. Wiesz wszystko, co musisz wiedzieć. Masz też wszystko, czego ci trzeba: runy, zaklęcia, a niebawem także i kruki. Poza tym masz męża i syna, aby wypełnić prorocstwo. Przestań, więc wycić i narzekać.

Inga musiała się mimo woli roześmiać. Wzięła w ręce stare, pomarszczone dłonie Brygidy i czule je ucałowała.

- Masz rację. Wybacz. Oczywiście, że umiem. Z chęcią zdejmę z ciebie to brzemię, które tak długo nosiłaś.

- Tak, powinno się już znaleźć na barkach młodszych niż moje, bogowie to wiedzą - mruknęła Brygida. - Teraz odejdz. Nie przeciągajmy tego. Poślij po mojego potworkowatego syna. Nie przyniósł mi wiele radości, ale mimo to chcę go raz jeszcze zobaczyć.

Inga nachyliła się, pocałowała Brygidę w czoło i puściła jej dłonie.

- Przyrowadzę ci go. Szczęśliwej podróży, Brygido. Pomarszczone powieki się zamknęły.

- Zegnaj, Ingo.

Nie musiała iść aż do domu Haflada na północnym skraju osady, żeby sprowadzić smolarza, ponieważ siedział z rozkraczonymi nogami i rękami w trawie przed matczyną chałupą i beczał jak mały chłopczyk.

Inga współczująco położyła mu dłoń na ramieniu.

- Chce cię zobaczyć.

Kiwnął głową, z trudem wstał na nogi i poszedł ku drzwiom.

Gdy Inga zobaczyła, że niedźwiedziowaty, naznaczony już siwizną Haflad płacze tak gorzko, nagle poczuła, że łatwiej jej osuszyć własne łzy. Kiedy przeszła przez łąkę i skierowała się na zachód, nagle ogarnął ją pocieszający, melancholijny spokój.

Spokój ten trwał jednak tylko do momentu, gdy dotarła do domu. Wkroczywszy na swoje podwórze, od zachodu zamknięte domem, od północy zabudowaniami gospodarczymi, a od wschodu rzeką, minęła pierwszą saunę, a dźwięki, które dochodziły zza odeskowanych ścian, były niedwuznaczne. Alma, frankońska mamka, kiedyś zarzuciła Birte, że będąc ze swoim panem, narobiła tyle hałasu, jakby chciała cały Catan zawiadomić, że właśnie ją sobie wybrał. Inga niechętnie podsłuchiwała tę scysję i pomyślała sobie, że Alma przesadza, zważywszy, że swojemu panu z niezwykłą regularnością dawała, co roku jednego bękarta. Mimo to Inga musiała teraz przyznać, że frankońska spryciara nie była całkiem pozbawioną racji. Namiętne okrzyki Birte było pewnie słychać aż na pustkowiu...



Inga odwróciła się z niesmakiem, pospiesznie przeszła przez podwórze i weszła do domu. W środku było gorąco i lepko. Marszcząc ze złością czoło, zauważyła, że znowu ktoś otworzył okiennice, i z trzaskiem je zamknęła. Miała ochotę zrobić jeszcze więcej wrzawy. Potrzaskać naczynia lub wrzeszczeć wniebogłosy - cokolwiek, co przegnałoby głos Birte brzmiały w jej głowie. Zrezygnowana opadła na ławę obok krzesła rodowego, położyła głowę na blacie stołu i przycisnęła ręce do uszu.

Nie wiedziała, jak długo siedzi tak nieruchomo, oddając się swojemu zmartwieniu. Usłyszawszy u drzwi dziecięce głosy, zerwała się zawstydzona uzalaniem się nad sobą.

Siward, jej pięcioletni syn, wtargnął do izby, wyprzedzając swoją siostrę Ruthildę. Zaraz za nimi szła mamka z własnymi dziećmi i Rorykiem.

- Mamo, mammo, złapaliśmy pstrąga! - oznajmił podniecony Siward i z dumą pokazał martwą rybę, która wyglądała na dość sponiewieraną.

Pogłaskała syna po jasnej czuprynce.

- To wspaniale, mój chłopcze. Opowiedz, jak tego do konaliście.

Siward bardzo szczegółowo opisał, jakie miał szczęście podczas łowów. Każde zdanie zaczynało się słowami: „A potem ja...”. Jego mała siostrzyczka paplała równocześnie beztrąsko, chociaż brat regularnie trącał ją łokciem, żeby ją uciszyć. Inga wysłuchiwała ich z tkliwym uśmiechem, po czym posadziła dzieci po swojej prawej i lewej stronie i objęła je.

Alma możliwie dyskretnie zabrała własne dzieci znowu na podwórko i zaprowadziła do obory, aby zobaczyć, czy parobkowie zaczęli już dojenie i może zostanie łyżek mleka dla maleństw.

Roryk stał sam z tyłu przy drzwiach izby. Jego mała rączka trzymała framugę i zaciskała się coraz bardziej i bardziej, w miarę jak musiał wysłuchiwać chełpliwej, kłamliwej opowieści swojego brata.

- To nieprawda - powiedział cicho, ze zwieszoną głową. Nikt go nie usłyszał.

- Potem ja szarpnąłem ostrożnie haczykiem, tak jak mnie nauczył ojciec... - twierdził Siward.

- Nie tak było - mrucał Roryk.

- Potem wyciągnąłem rybę na brzeg! - zakończył triumfalnie Siward.

Roryk zaniemówił. Powoli, jakby z wahaniem, przeszedł przez izbę i zatrzymał się przy krześle rodowym ojca. Inga kątem oka zauważyła ruch i odwróciła głowę.

- A, tu jesteś, Roryku! Wróciliście?

Uśmiechnął się nieśmiało i przytaknął.

- Znaleźliście swoje złoto, mój chłopcze?

- Nie - przyznał zawstydzony - Ale to ja złapałem pstrąga. Siward kłamie, mamu. To był mój połów.

Przez chwilę zapanowała cisza. Potem Siward zaczął na wszelki wypadek beczeć. Inga zdjęła dłoń z jego ramienia, aby pokazać mu, że nie dała się nabrać, ale to na Roryka wciąż patrzyła.

- Nie jestem twoją matką.

Zabrzmiało to łagodnie, można by nawet sądzić, że współczująco. Jej spojrzenie było jednak wrogie. Nawet nie obojętne. W spojrzeniu tym czaił się jakiś paskudny wstręt. Roryk często już to widział, ale nigdy nie mógł tego zrozumieć. Był za mały, żeby pojąć, że właśnie on, bardziej niż ktokolwiek z jego rodzeństwa podobny do ojca, ma pokutować za jego występki.

- Roryku, zabierz brata i siostrę na zewnątrz - odezwał się Osmund z drzwi. - Chciałbym przez chwilę porozmawiać z twoją matką na osobności.

Kiedy Candamir podszedł do domu Osmunda, już z odległości dziesięciu kroków słyszał, że jego mleczny brat kłóci się z żoną.

- Ona umiera! - Głos Ingi nie był szczególnie głośny, nieco tylko podniesiony, ale drzwi były otwarte. - Gdy ona leży na łożu śmierci, ty nie masz nic lepszego do roboty, jak...

- Im szybciej wyda ostatnie tchnienie, tym będę szczęśliwszy - Osmund ostro wpadł jej w słowo. - Nie chodzi o nią ani o to, co ja robię, ale o Roryka. Złamałaś przyrzeczenie. Po raz kolejny!

- Osmundzie... - Słowa te zabrzmiały trwożliwie.

Candamir pospiesznie się wycofał. Nie dotyczyła go ta kłótnia i nie chciał też tego słuchać. Spokojnym spacerkiem skierował się ku rzece, aby przeczekać, aż burza się uspokoi, gdy jakiś głos za nim zauważył rzeczowo:

- Tak, tak najmądrzej, panie. Słusznie powiadają, że lepiej się nie wtrącać w takie sprawy.

Odwrócił głowę.

- Birte - uśmiechnął się mimo woli. Była naprawdę pięknym stworzeniem. Jej ciemne włosy opadały mokrymi lokami na ramiona, a ubranie było wilgotne i kleiło się do obfitych piersi, nie pozostawiając żadnych wątpliwości, co do ich kształtu czy wielkości.

Podeszła do niego i odważnie usiadła przy nim w nadbrzeżnej trawie.

- Kiedy oni się kłóca, wszyscy znajdujemy sobie jakieś pilne zajęcia na podwórzu - pokazała w prawo, gdzie rosło kilka krzaków malin. - Przede wszystkim on.

Roryk klęczał w trawie przy malinach, trzymając w dłoni patyk. Szczenię o szarym, kręconym futerku skakało wokół niego i łapało za patyk, próbując go wyrwać dziecku. Osmund hodował psy podwórzowe z równie wielkim powodzeniem jak owce.

- Ojciec mu go podarował - wyjaśniła służąca. - Był największy z miotu i na pewno wyrośnie z niego wspaniały pies. Ale wierność tego zwierzęcia nie jest w stanie zastąpić matczynej miłości.

- Straszna z ciebie gaduła - zauważył Candamir, choć nie było w tym wyrzutu.

Birte wzruszyła ramionami.

- Tak, wiem. |

- Może wszystko byłoby łatwiejsze, gdybyś okazywała swojej pani trochę więcej szacunku.

Potrząsnęła głową.

- Och, mylisz się. Mam dla niej ogromny szacunek. To wspaniała kobieta. Doskonała akuszerka, uzdrowicielka, jest bardzo mądra. Wie wszystko o bogach, tak jak Brygida. Będzie jej godną następczynią. Jednak... Cała mądrość ją opuszcza, gdy idzie o jej męża, panie.

Candamir pokiwał głową. Wiedział, że dziewczyna mówi prawdę, nie miał jednak ochoty z nią tego omawiać. Zamiast tego ograniczył się do rady:

- Bądź trochę bardziej dyskretna.

- Ale dlaczego? - zapytała zdziwiona. - On robi to, co każdy zdrowy, normalny mężczyzna. To znaczy: każdy poza tobą - dodała przekornie.

Z uśmiechem wzruszył ramionami.

- Jest tak zapewne, dlatego, że nie mam tak pięknej młodej służącej.

Nigdy nie złamał przyrzeczenia złożonego Siglind, choć wciąż była to dla niego tortura, przy tym nie udało mu się swojej małżeńskiej wierności utrzymać w tajemnicy. Birte miała, bowiem rację. To, co robił Osmund, było całkowicie normalne, a to, że pan domu miał wiele dzieci z wieloma niewolnicami, było świadectwem dobrobytu, czymś, z czego każdy mężczyzna mógł być dumny. Wielodzietność nigdy nie była zaś ważniejsza niż tutaj.

- Dla mnie jest niepojęte, o co ona się tak złości - ciągnęła Birte, wzdychając. - Jest jedną z najbardziej szanowanych kobiet w osadzie, każdy ją poważa. Zachowuje się jednak tak, jakbyśmy jej coś zabierali. Przecież to śmieszne, nie? Mnie jest obojętne, czy mi uprzykrzy życie z tego powodu, ale to on musi za wszystko płacić. - Tu ukradkiem wskazała na Roryka, który ze swoim pieskiem bawił w trawie, ale bez śmiechu. - To jest z jej strony bardzo niemądre. Nie ma w niej nawet krztyny miłości dla tego biednego malca, a przecież to jedyne, czego pan od niej wymaga.

Candamir wiedział, że właśnie na tym cały kłopot polega. Z uśmiechem uszczypnął Birte w policzek.

- Jeszcze raz ci powiadam: za dużo gadasz. Lepiej bądź ostrożna. Gdybyś mogła mi przynieść kufel piwa, nie musząc w tym celu wchodzić do izby w sam środek bitwy, to bądź tak dobra i zrób to. Ja pójdę do Roryka i rozgonię jego ponure myśli.

- To bardzo pocziwie z twojej strony, panie - powiedziała służąca z ciepłym uśmiechem. - Chyba nikt nie potrafi tego lepiej od ciebie.

- Lata ćwiczeń - wyjaśnił Candamir, wstając. - Jest taki sam jak jego ojciec.

Candamir obudził się z potężnym waleniem w skroniach i takim uczuciem w brzuchu, jakby połknął rozżarzone węgle.

- Nigdy więcej miodu - burknął, przekręcił się na bok i przykrył sobie głowę

poduszką z pierza.

- Wystarczająco często słyszałam już tę przysięgę - odparła Siglind spokojnie i bezlitośnie zabrała mu poduszkę. - Wstawaj, Candamirze, leniuchu. Nad Catanem świeci słońce.

Wiedział, że nie ma, co się spodziewać po żonie nawet iskierki współczucia, mimo to zaoponował:

- Prawie codziennie nad Catanem świeci słońce.

Położyła na jego czole chłodną dłoń.

- Tak czy inaczej, wstawaj. Mężczyźni zbierają się przy jesionie. Coś się wydarzyło.

Oboje się domyślali, co się stało. Bez dalszych sprzeciwów Candamir usiadł i przetarł oczy.

- Gdzie bliźniaczki? - zapytał zdziwiony, gdyż zazwyczaj najmłodsze dziecko dzieliło z nimi łoże tak długo, jak długo było karmione piersią.

- Zabrałam je do Freydis. Bardzo głośno wrzeszczały, a nie chciałam, żeby cię obudziły. Nie mam dość mleka dla dwóch, Candamirze.

- W takim razie kupimy mamkę - odpowiadało mu, że jakaś niewolnica karmiła jego dzieci, ponieważ chciał, aby piersi jego żony pozostały takie jak teraz. Zwłaszcza, że inne kobiety wolno mu było podziwiać jedynie na odległość...

Siglind przytaknęła.

- Sama Freydis i tak nie daje sobie rady z dziećmi, a nasza Heide jest już stara. Zapytam żonę Sigurda. Ma młodą niewolnicę, córkę jej kucharki, która w zeszłym tygodniu także urodziła dziecko.

- Tak zrób - Candamir stłumił ziewnięcie. - Powiedz Sigurdowi, że dostanie za nią tego konia, na którego od tygodni tak chciwie patrzy, kiedy przechodzi koło mojego pastwiska.

- Dobrze.

Candamir wstał z posłania i podszedł do wielkiej wysokiej skrzyni na ubrania pod oknem, na której stała przygotowana miska z wodą do mycia. Umył twarz i ręce, a chłodna, czysta woda z rzeki sprawiła mu przyjemność. Dokładnie wyczyścił zęby solą i nadgryzł gałązkę rozmarynu, leżącą obok pojemnika z solą, aby usunąć z ust

nieprzyjemny posmak, po czym wypluł ją przez okno.

Siglind spłotła ręce za plecami, oparła się o łóżko i obserwowała męża. Uwielbiała mu się przyglądać, kiedy był całkowicie zajęty sobą, podziwiała grę jego mięśni pod jasną skórą. Kiedy Candamir sięgnął po rogowy grzebień, podeszła do niego.

- Pozwól, że ja to zrobię - zaoferowała się.

Z lekkim uśmiechem podał jej grzebień i usiadł na zydłu. Siglind rozpuściła cienkie warkoczyki i uczesała mu włosy - bardzo delikatnie, żeby nie pogorszyć jego bólu głowy. Gdy tak za nim stała, jej wzrok padł na okropne blizny, które nawet po tak wielu latach były wyraźnie widoczne na jego plecach. W zadumie przejechała po nich palcem. Candamir rzucił jej przez ramię pytające spojrzenie.

- Tyle już czasu minęło... - rzekła. - Tak wiele się wydarzyło. Los przyniósł nam niejeden szczęśliwy dzień.

- Dziś znów jest jeden z tych dni - odparł, wziął jej dłoń i pocałował.

Siglind pokiwała głową i zaczęła na nowo zaplatać jego warkocze.

- Właściwie to sam potrafię to dobrze zrobić - zauważył zmieszany.

- Nie odbieraj mi tej radości. W ten sposób jeszcze przez chwilę mam cię tylko dla siebie. Gdy wyjdiesz z domu, znów nie będę cię oglądać całymi dniami, a przecież właśnie wróciłeś.

Cierpliwie poczekał bez ruchu, aż skończyła. Potem odwrócił się do niej.

- Też bym chciał, żeby ta stara wiedźma zaczekała jeszcze kilka dni - wyznał z westchnieniem. - Ale czy ona kiedykolwiek uwzględniła nasze życzenia?

- Co racja, to racja - mruknęła z nutą goryczy w głosie. Brygida nieraz uprzykrzała im życie, bo Siglind została chrześcijanką i nie robiła z tego tajemnicy jak niektórzy. Im silniejsze były ataki Brygidy na Austina i jego boga, z tym większym uporem Siglind obnosiła się ze swoją wiarą. Od czasu, kiedy podczas ceremonii przedostatniego święta Jul wkroczyła do świątyni ze srebrnym krzyżem na szyi, Brygida nie odezwała się do niej nawet słowem, Hacona zaś przeklęła przy wszystkich, ponieważ to on wykuł ten krzyż. Potem ani Siglind, ani Hacon już więcej się nie pojawili na żadnej ceremonii w świątyni.

Candamir przyciągnął Siglind do piersi, a kiedy objął ją ramionami, mimo swojego żalnego stanu poczuł własne podniecenie. Poród był jednak zaledwie pięć dni

wcześniej, wiedział, więc, że musi być jeszcze cierpliwy.

- Nawet w przypadku szacownej Brygidy nie możemy przy zmarłej czuwać dłużej niż dwie noce, bo dni są już ciepłe. Wszystkie uroczystości powinny, więc trwać może tydzień, a potem będziemy mieli czas, żeby...

- Nic nie mów - wpadła mu w słowo ze śmiechem. - Zawrzyjmy umowę, że nie będziemy nigdy jednym tchem używać słów „syn” i „urodzić”. Może, jeśli nie będziemy tego na głos wymawiać, to się nam uda?

- Zgoda! - Tak czy inaczej, warto było spróbować. Candamir ubrał się bardzo starannie, wybrał spodnie z ciemnobrązowej lekkiej wełny i kaftan z miękkiej jagnięcej skóry, który Siglind obszyła na brzegach zieloną nicią. Następnie solidne buty, których ciemnozielone ozdobne rzemyki były tak długie, że zdołał obwiązać nimi łydki aż pod kolana. Gdy jeszcze założył pas ze sztyletem i miezkiem oraz swój miecz, Siglind przyjrzała się mężowi, kiwając głową z uznaniem.

- Daruj sobie - uprzedził ją.

- Co?

- Och, cokolwiek na temat podpitego nicponia w pięknym ubranku, czy co ci tam po głowie chodzi.

Stała na palcach i pocałowała go w policzek.

- Mylisz się.

To prawda, że denerwowało go jej niezadowolenie, gdy za dużo pił, co zdarzało się dość często, zważywszy, że jęczmieniu, chmielu i miodu było pod dostatkiem. Była to jednak troska, którą dzieliła z niemal wszystkimi kobietami - zjawisko po prostu powszechne. W przeciwieństwie do wielu innych mężczyzn Candamir, kiedy mu miód uderzał do głowy, nie stawał się zagrożeniem dla żony i dzieci, a w najlepszym razie dla siebie samego.

- Pomyślałam sobie, że wyglądasz bardzo dostojnie.

- To dobrze. - Wziął ją za rękę i zaprowadził do izby.

Nils i Irmgardis siedzieli już razem z siostrami i służbą za stołem. Freydis karmiła maleństwa.

- Bliźniaczki zasnęły - oznajmiła.

Heide z własnej inicjatywy przyniosła Candamirowi tęgie śniadanie złożone z

zupy rybnej i kiszzonej kapusty.

- Proszę, panie, jedz. Kto wie, kiedy następnym razem znajdziesz na to czas.

Wcześniej przyrzekł sobie, że nie przełknie ani kęsa, ale teraz, zniewolony aromatycznym daniem, poczuł się głodny jak wilk.

- Co to się dzieje, ojcze? - Nils pokazał za otwarte okno. - Czemu mężczyźni się gromadzą?

Candamir odłamał kawałek chleba.

- Nie jestem pewien. Przypuszczam, że stara Brygida umarła.

- Och - powiedział Nils niepewnie. Wiedział, że „umarła” znaczy „już nie ma”.

Dla niego osobiście nie była to wielka strata, inaczej niż w wypadku Tjorva, który zeszłej zimy zmarł na zgorzel po tym, jak zranił się w rękę dłutem. Dla Nilsa Brygida była jedynie odległą, nie całkiem realną postacią, która miała coś wspólnego z jakimiś tam bogami. Czuł jednak, że wydarzenie jest ważne i może zniweczyć jego wielkie plany na ten dzień.

- Nie pójdziemy, więc dziś do Berse? - zapytał wyraźnie rozczarowany.

- Nie, nie sądzę - odpowiedział krótko Candamir.

Berse budował dla Candamira statek. Kadłub był już gotowy i Candamir miał zamiar po powrocie z gór spędzić kilka dni ze skutnikiem i jego synami, żeby własnoręcznie popracować nad relingiem i pokładem. Obiecał Nilsowi, że zabierze go ze sobą, a chłopczyk nie mógł się już doczekać. Teraz zgarbił się i zwiesił głowę nad miską z mlekiem.

- Przestań się mazać, mały - warknął jego ojciec. - Czyż nie wróciłeś właśnie z wyprawy? Tu, w domu, są obowiązki, którymi masz się zająć, prawda? Co by się stało, gdybyś raz dla odmiany o nich pomyślał? Jeśli się nie nauczysz panować nad sobą, to już nigdzie cię ze sobą nie zabiorę.

Nils robił się coraz mniejszy i dławił się szlochem. Siglind rzuciła Candamirowi bardzo mroczne spojrzenie. Uważała, że jest dla syna zbyt szorstki i niecierpliwy - jak wcześniej wobec swojego brata - i wciąż zdaje się zapominać, że Nils ma dopiero sześć lat. Wzięła chłopca na kolana.

- Na pewno za kilka dni pójdziecie do Berse - powiedziała pocieszająco. - Przecież z tym naszym statkiem nie ma jakiegoś szczególnego pośpiechu, prawda?



Nils otarł oczy rękawem.

- Nie, matko - mruknął cichutko.

- „Nie, matko” - powtórzył za nim Candamir, świetnie naśladowując płaczliwy głosik. Tym samym głosikiem mówił dalej: - Wiem, że nie traktujesz poważnie budowy statku, matko. Jesteśmy na wyspie gdzieś na szerokim morzu, dokąd mielibyśmy, więc żeglować?

Irmgardis zaśmiała się z tego udawanego głosu i komicznych wyglupów ojca, a Siglind, chcąc nie chcąc, też się uśmiechnęła, ale natychmiast oświadczyła:

- Jest to bardzo uzasadnione pytanie, na które wciąż jeszcze nie otrzymałam zadowolającej odpowiedzi.

- Na szczęście nie ma takiego prawa, które nakazywałoby mężowi odpowiadać na liczne pytania jego żony - mruknął w kierunku swojej miski.

Nie był w stanie udzielić jej zadowolającej odpowiedzi. Chciał opłynąć Catan. Pragnął jesienią znów z kilkoma przyjaciółmi wypłynąć w morze na połów. Żeby zrobić to wszystko, wystarczyło jednak pożyczyć „Wilka Morskiego”. Prawda była taka, że pragnął mieć statek. Nigdy tak naprawdę nie przeboleał utraty „Sokoła”. Pragnął statku, ponieważ wszyscy jego przodkowie byli żeglarzami i tęsknotę za morzem miał we krwi. Kiedy po raz pierwszy prowadzili tę dyskusję, odparł jej, że potrzebuje tego statku w równie małym stopniu, jak ona srebrnego krzyżyka na szyi, ale tak jak ona chce mieć ten krzyż, tak on chce mieć statek.

Nie mogła nawet bronić się tym, że srebrny krzyżyk kosztuje zdecydowanie mniej niż statek, ponieważ większą część kosztów pokrywał Hacon, który miał być współwłaścicielem nowego „Sokoła”. Obiecał szkutnikowi nowe siekiery, heble i inne narzędzia.

- Jeśli chcesz, pójde z Nilsem do Berse - zaoferował się Godwin, który z żoną mieszkał w tak maleńkiej ziemiance, że dla ułatwienia jadali z Candamirem i jego domownikami. Pan domu stanowczo pokręcił jednak głową.

- Ty musisz dalej pracować przy wozie Haldira. Bardzo na niego czeka. I tak już jest kłopot, że ja w tej chwili nie mam na to czasu.

Godwin wzruszył ramionami i kiwnął głową.

- Svenie - Candamir zwrócił się do młodego niewolnika, którego kupił, żeby

zastąpić Tjorva. - Pójdiesz pomóc Godwinowi. Nori, zaprowadzisz konie na pastwisko. Przed zamknięciem bram przyprowadzisz je z powrotem.

Parobkowie przytaknęli. W drzwiach izby pojawił się Osmund. Kiwnął Siglind na przywitanie, właściwie nawet na nią nie spojrzawszy.

- Już idę - powiedział Candamir i wstał.

- Krótko po północy przysłała Haflada, żeby mnie sprowadził - opowiadał Harald. Stał w cieniu jesionu, otoczony wolnymi mężczyznami osady, jak zwykle znajdowała się tam także spora liczba kobiet i niewolników, siedzących nieopodal w trawie i słuchających opowieści Haralda. - Oświadczył, że ona ma jeszcze wiele do powiedzenia, a ponieważ część z tego byłaby dla niektórych z was niewygodna, chce właśnie mnie przekazać swoją ostatnią wolę, żeby zapewnić jej należną uwagę i wypełnienie.

Tu na chwilę w zakłopotaniu opuścił wzrok. Harald był, jak szacował Candamir, gdzieś w połowie między czterdziestym a pięćdziesiątym rokiem życia. Brodę miał siwą i bezsprzecznie uważano go za najmądrzejszego człowieka w osadzie. Zawsze jednak wydawał się zmieszany, kiedy ktoś mu przeznaczał jakąś ważną rolę. Aby wybawić szwagra z tej niezręcznej sytuacji, Candamir wtrącił:

- Słusznie uczyniła. Dla wszystkich tutaj jest jasne, że ty jej życzenia przedstawiś nam zgodnie z prawdą i nie będziesz ich naginał, biorąc pod uwagę czyjekolwiek osobiste interesy

Dało się słyszeć pomruki aprobaty.

- Mów dalej, Haraldzie - uprzejmie poprosił Candamir.

Kował skinął głową.

- Mamy ją przed pogrzebaniem wystawić w świątyni, gdzie będzie blisko bogów, i czuwać przy zmarłej tak długo, jak uznamy za stosowne. Ponieważ była to kobieta mądra i szacowna, proponuję czuwanie dwunastu mężczyzn od dzisiaj do pojutrze rano.

Znów wszyscy się zgodzili.

- Ona nie chce, żebyśmy spalili jej ciało, mamy je natomiast pogrzebać na południowym brzegu rzeki, w miejscu, z którego widać świątynię.

Nastąpiło zdumione milczenie.

- Również wszyscy, którzy odejdą po niej, nie mają być spaleni, powiedziała. Ziemia ta jest, bowiem święta i każdy, którego Odyn przywiódł na Catan, powinien spocząć niespalony w ziemi Catanu, bogato wyposażony w dary pogrzebowe, które mu ulżą w drodze na tamten świat, żeby ci, którzy tam czekają, mogli zobaczyć, jak Odyn nas wyróżnił.

Na twarzach zgromadzonych pojawiło się zrozumienie. Austin nie wierzył własnym uszom. Był to pierwszy, a zarazem ostatni raz, kiedy ta stara wiedźma wydała nakaz odpowiadający jego własnym życzeniom. Tjorv był pierwszym jego parafianinem, który zmarł, i Austin bardzo boleśnie przeżył widok palenia ciała wiernego parobka, o ile, bowiem wszystkie inne zbawione dusze pewnego dnia dostąpią zmartwychwstania ciała, o tyle Tjorv już na wieczność pozostanie jedynie żalosną kupką popiołu...

- Jeśli chodzi o dobytek, to mamy go podzielić tak, jak sami uznamy za słuszne - ciągnął kowal. - Większość to składniki jej napojów, proszków i tym podobnych rzeczy, ale jest też kilka pereł, trochę złota i bursztynu. Proponuję, aby Inga wzięła sobie z majątku Brygidy to, czego jej potrzeba, a resztę podzielmy między Haflada i Roryka, gdyż są to jedyni potomkowie Brygidy, tak też stanowi zwyczaj i prawo.

Mężczyźni wyrazili zgodę, tylko Sigurd zapytał:

- Inga? Dlaczego Inga? - Jego żona była równie biegła w ziołach i starych pieśniach, uważał, więc, że ona także mogłaby się starać o bycie następczynią Brygidy.

Harald skinął głową, jakby się spodziewał takiego zastrzeżenia.

- Brygida mówiła, że w ciągu godzin przed śmiercią miała wiele wizji. Nie jest przecież tajemnicą, że Inga była jej faworytą i uważała ją za swoją następczynię, ale był to także wybór bogów, i bogowie dadzą nam znak, którego nie zdołają przeoczyć nawet najbardziej ślepe, tępe głowy spośród nas. Hm... To jej słowa, nie moje.

Wielu uśmiechnęło się pod nosem, niektórzy nawet się zaśmiali. Nastrój był raczej swobodny niż ponury. Nikt poza Ingą i może Hafladem tak naprawdę nie kochał Brygidy. Była to jednak postać znacząca i w związku z tym było istotne, aby jej pogrzeb odprawiono według wszelkich zwyczajowych reguł. Nikt nie odczuwał jednak smutku. Wszyscy bardzo dobrze pamiętali ostry język Brygidy i jej złośliwości, które dotknęły ich osobiście.

- Jaki znak? - chciał wiedzieć Jared.

- Dowiemy się, gdy go zobaczymy - odparł kowal. Rzucił Osmundowi pytające spojrzenie, ten jednak rozłożył ręce.

- Nie wiem o tej sprawie więcej niż ty. Kiedy Haflad przyniósł nowinę, że jego matka nie żyje, Inga poszła do lasu. Powiedziała, że wróci, gdy nadejdzie właściwy czas. Cokolwiek to oznacza.

- W takim razie pozostało jeszcze tylko jedno przesłanie, które mam wam to przekazania - Harald potoczył wzrokiem dokoła. - Słuchajcie dobrze, przekazuję słowo w słowo, tak jak to powiedziała: „I bogowie pokazali mi, że najbardziej zdradziecki odszczepieniec sprowadzi ogromne nieszczęście na lud Odyna. Jedynie najbardziej godny z was zdoła go pokonać. Musicie najgodniejszego z was wyłonić jako przywódcę, jeśli chcecie uniknąć upadku”.

Na przybrzeżnej łące zrobiło się cicho. Wszystkim po głowach kołatały się słowa przesłania i starali się je rozszyfrować.

Candamir wymienił spojrzenia z Siglind i na jej twarzy dostrzegł jak w lustrze własny niepokój. Ostatnia wola Brygidy wydała się im paskudna. Nie uważali, że społeczność cokolwiek by zyskała, mając jednego przywódcę. Siglind większość życia spędziła na łasce Cnuta i z jej opisu wynikało, że niebezpieczne jest powierzanie zbyt dużej władzy jednemu człowiekowi. Jaka w końcu jest różnica pomiędzy przywódcą a królem?

- Co to znaczy „wyłonić”? - szeptem zapytała Gunda Austina.

- Wybrać - odpowiedział równie cicho.

Chociaż Candamir, Hacon i Harald wielokrotnie już go zachęcali, żeby towarzyszył mężczyznom na thingu, Austin wołał pozostać w cieniu i zabierać głos jedynie wtedy, gdy ktoś zwracał się z pytaniem bezpośrednio do niego. Wolny czy nie, był i pozostał z boku, budząc podejrzliwość wielu ludzi.

- Cóż, niestety, żaden „zdradziecki odszczepieniec” nie stanie do pojedynku z żadnym z nas, ale najwyżej napadnie nas we śnie - powiedział Haldir. - Na cóż, więc miałby nam się przydać godny przywódca, skoro nie będzie otwartej walki, do której by nas poprowadził?

Jared zbladł. Ogarnęło go bolesne uczucie wstydu, jak zawsze, gdy jego ojciec i bracia stawali się przedmiotem narady. Rozejrzał się w poszukiwaniu pomocy i trafił na

spojrzenie swojej żony Margild. Od razu poczuł się lepiej. Jared i Margild byli parą, której rozsądek zamienił się w miłość. Byli sobie bardzo oddani i Candamir lubił żartować z ich wiecznego gruchania. Również Osmund zawsze starał się ulżyć kuzynowi w takich bolesnych sytuacjach.

- Nie powinniśmy prorocтва Brygidy tak łatwo odrzucać jedynie dlatego, że na pierwszy rzut oka nie widzimy jego sensu - poradził. - Pochodzi ono, bowiem od mądrej kobiety, która była blisko bogów. Chodźmy do świątyni i odprawmy tam Brygidzie pogrzeb zgodnie z jej życzeniem. Ci spośród nas, którzy będą czuwać, będą mieli czas i spokój, żeby zastanowić się nad jej przesłaniem, i być może bogowie wskażą nam jakąś drogę.

- Bardzo rozsądna propozycja - uznał Harald.

Z upływem lat świątynia się zmieniła. Kamienny ołtarz ofiarny w środku świątyni otaczały posągi bogów wysokości człowieka. Większość z nich wykonał Berse, który najlepiej znał się na rzeźbieniu, gdyż przez całe życie tworzył zwierzęce głowy na stawy statków. Rzeźbienia na belkach konstrukcji były już dawno zrobione, ponieważ pracowali nad tym wszyscy mężczyźni przy każdym święcie ofiarowania. Ściany świątyni były zarówno od środka, jak i z zewnątrz czerwone od krwi zwierząt ofiarnych, którą malowano je podczas każdego święta.

Był to powód, dla którego Austin unikał udziału w tych ceremoniach. Widok, a przede wszystkim odór takiej ilości krwi w połączeniu z pogańskimi obrzędami przyprawiał go o mdłości.

Candamir zapewnił go jednak, że dopiero w dniu pogrzebu ma nastąpić kolejne takie ofiarowanie, i poprosił go, żeby przyniósł do świątyni większą ilość swojego oleju do lamp, pachnącego ziołami, ponieważ dwa dni i dwie noce stanowiły przy ciepłocie wczesnego lata dosyć długi czas na pozostawienie niepogrzebanych zwłok.

Mary stały między ołtarzem a źródłem; dwunastu mężczyzn ustawiło się wokół. Z uroczyste opuszczonymi głowami i nieruchomo jak posągi ich bogów otaczali zmarłą, której otwory ciała zostały zgodnie z zasadami zatkanie, a twarz zakryta lnianym płótnem.

Obok każdego z czuwających stała lampa olejowa, środek świątyni był, więc

jasno oświetlony. Drżące, zniekształcone cienie migotały na ścianach. Austin uczynił znak krzyża, po czym wyłonił się z mroku i postawił przed Candamirem gliniany dzban z olejem do lamp.

Candamir ukradkiem uśmiechnął się do niego.

- Możesz już iść - szepnął Osmund. Jego głos był cichy, ale wyraźnie opryskliwy.  
- Odejdź stąd! Profanujesz to miejsce i zakłócasz spokój zmarłym!

Austin nie wziął mu tego za złe. Wiedział, że z ogromną trudnością przychodzi tym ludziom stanie przez wiele godzin nieruchomo, poszczenie i milczenie. Nie przywykli do takich ćwiczeń w ascezie i zagłębianiu się w siebie, obcych ich naturze. Nic więc dziwnego, że stawali się nieprzyjemni i drażliwi.

Mnich rzucił jeszcze ostatnie spojrzenie na zawinięte ciało starej. Dwa białe i jeden czarny kruk siedziały nieruchomo u jej stóp, a Austina przeszył lodowaty dreszcz. Nagle przestraszył się, że Brygida może się niespodziewanie poruszyć albo wręcz powstać. „Odpoczywaj w pokoju, stara wiedźmo - pomyślał. - Ale odpoczywaj”.

Bez widocznego pośpiechu, ale z ulgą opuścił pogańską świątynię.

Rankiem dwa dni później pogrzebali Brygidę. Kilku niewolników na opustoszałym brzegu rzeki naprzeciw wyspy wykopało wielki dół, a kobiety przygotowały dary pogrzebowe: chleb, mięso, rybę i miód jako pożywienie, parę nowych, solidnych butów na daleką, niebezpieczną podróż, mały kołowrotek Brygidy, drewnianą skrzyneczkę z perłami oraz - najważniejszy ze wszystkich - woreczek z runami. Wszystko to kobiety i dziewczęta ułożyły w grobie przy posłaniu ze słomy, wyłożonym miękkimi skórami i kocami z najlepszej wełny. Na tym wszystkim mężczyźni ostrożnie postawili mary

Kiedy żałobnicy opuścili dół grobowy, rozległo się znane wszystkim krakanie i kruki Brygidy przyfrunęły z wyspy, wylądowały w grobie i znów przysiadły u stóp zmarłej pani.

Mieszkańcy Catanu, którzy jak jeden mąż zebrali się wokół grobu, wymienili zdumione spojrzenia.

Haflad z jękiem zszedł z powrotem do grobu i próbował przepłoszyć ptaki, na

próżno jednak. Zaciekle dziobały go po rękach, w końcu wyszedł, więc stamtąd z kilkoma ranami, nie dokonawszy niczego.

- Co teraz? - zapytał bezradnie Harald.

- Mamy je zabić przed zakopaniem grobu? - dopytywał się niepewnie Jared.

- Święte ptaki? - odpowiedział Osmund z niedowierzaniem. - W dodatku święte ptaki Brygidy? Na twoim miejscu dobrze bym się zastanowił...

- Zakopcie grób - odezwał się za ich plecami stanowczy głos.

Wszyscy się odwrócili.

- Zakopcie grób - powtórzyła Inga. - W dawnych czasach było rzeczą zwyczajną, że razem ze zmarłym wysokiej rangi paliło się lub grzebało jego wiernego psa, konia albo nawet oddaną niewolnicę. Nie dotykajcie kruków, ale zakopcie je razem z nią.

Nikt nie odpowiedział. Wszyscy gapili się na młodą kobietę, niektórzy nawet otworzyli ze zdumienia usta. Inga miała na sobie prostą białą szatę bez żadnych ozdób, jedynie na szyi wisiał jej rzemyk ze złotym młotem Thora. Wyglądała bardzo dostojnie. Nie to było jednak powodem, dla którego ludzie patrzyli na nią z szacunkiem i zdumieniem, ale ptaki. Indze towarzyszyły trzy białe kruki. Dwa siedziały jej na ramionach, a trzeci na lewym przedramieniu, tak samo jak kruki Brygidy. Różnica polegała na tym, że kruki Brygidy siedziały na dole w grobie, poza tym jeden z nich był czarny. Najwidoczniej te trzy Inga oswoiła w ciągu dwóch dni spędzonych w lesie. Każdy przecież wiedział, że osvajanie miejscowych kruków jest zupełnie niemożliwe. Były płochliwe i unikały ludzi. Nikt poza kapłanką tego nie dokonał...

Harald otrząsnął się pierwszy. Odchrząknął, po czym powiedział z szacunkiem:

- Widzicie, oto znak. Sądzę, że tym samym została udzielona odpowiedź na pytanie o następczynię Brygidy, prawda?

Spojrzał ku Sigurdowi. Młody szkutnik zwiesił głowę i przytaknął.

Osmund podszedł do żony, wziął ją za rękę i podprowadził nad otwarty grób. Mieszkańcy Catanu utworzyli korytarz, żeby ich przepuścić. W milczeniu Osmund i Inga popatrzyli na zmarłą i jej bogate dary pogrzebowe. Inga z zadowoleniem kiwnęła głową.

- Tak jest dobrze - oświadczyła i cofnęła się, aby mężczyźni mogli zakopać grób i usypać nagrobek. Odwróciła się do Jareda, który stał już gotowy z łopatą w prawej ręce.

- Otwórz dłoń - poprosiła.

Jak we śnie zrobił to, co kazała, i wyciągnął przed siebie lewą rękę. Wysypała mu na dłoń kilka ziaren.

- Rozsyp je na nagrobku, kiedy skończycie pracę. Jared skinął głową.

- Dobrze. - Z ciekawością przyglądał się małym, szarozielonym ziarenkom. - Co to jest?

- Szaleją wodny - wyjaśniła. - Chroni spokój zmarłych przez elfami i złymi duchami rzeczonymi.

- Zgadza się - szepnął Austin do Siglind. - Ale jest bardzo trujący dla ludzi i zwierząt.

Inga go usłyszała. Odwróciła głowę i popatrzyła na niego długo i zimno. Musiał stwierdzić, że młoda wiedźma z trzema śnieżnobiałymi krukami była równie zatrwająca jak stara. Odwzajemnił jednak jej spojrzenie na pozór spokojnie, nawet lekko się uśmiechnął, choć kosztowało go to немало wysiłku. Fanatyzm, który płonął w oczach Ingi, nie był mniejszy od jego wiary, i wiedział, że robi błąd. Byłoby mądrzej i bardziej przysłużyłoby się sprawie bożej, gdyby teraz, ten jeden raz, okazał pokorę. Gdyby mierzył się tu z mężczyzną, zrobiłby to. W tych okolicznościach było to jednak niemożliwe.

Na łodziach i tratwach mieszkańcy Catanu wrócili na wyspę, gdzie niewolnicy przygotowali już zwierzęta na ofiarę. Candamir wybrał na to uroczyste wydarzenie swojego najpiękniejszego byczka, nie mógł jednak powstrzymać cichego wzdychania, kiedy klepał go po silnym karku, a ten, nic nie rozumiejąc, patrzył na niego z ufnością.

- Nie bierz mi tego za złe, mój mały..

Nils stał u jego boku, nerwowo skubał wieniec z kwiatów, który niewolnice przywiązały bykowi, i szeptał zduszonym głosem:

- Proszę, ojczu, nie rób tego.

Kręcąc głową, Candamir spojrzał na niego.

- Przecież rozmawialiśmy o tym już wiele razy. Tak musi być i uważam, że już najwyższy czas, żebyś dał spokój tym głupim żalom. Nie możesz wpadać w rozpacz za każdym razem, kiedy ubijamy zwierzę, Nilsie, bo musimy jeść.



- Wiem.

- Właśnie. - Przysiadł przed synem w trawie i wyjął amulet, który wisiał pod ubraniem na małej szyi chłopca, przedstawiający twarz jednookiego boga. - Popatrz tu.

Nils posłusznie wziął do ręki wizerunek i obejrzał go z niemal pobożnym uśmiechem.

- Odyn.

Candamir przytaknął i położył synowi dłonie na ramionach.

- On nas wybrał. Zwłaszcza ciebie, bo jesteś pierwszym, który na tej ziemi przyszedł na świat, przecież o tym wiesz, prawda?

Skinięcie głową.

- Dlatego jest on twoim bogiem opiekuńczym i codziennie, w każdej godzinie czuwa nad tobą. Możesz mówić o szczęściu, że masz za obrońcę najmądrzejszego i największego z bogów. Nie sądzisz, że to bardzo niewielkie wymaganie, żebyś się na jego cześć rozstał bez łez z tą tępą rogacizną?

- Tak. Ale...

- Nie, Nilsie, nie ma żadnych „ale”. Rób, co trzeba, albo z matką i Austinem pójdiesz do domu.

- Chcę tu zostać! - Był to pierwszy raz, kiedy wolno mu było uczestniczyć w ceremonii w świątyni. Roryk, który był od niego prawie dwa lata starszy i którego ojciec już jako malca zabierał do świątyni, wiele o tym opowiadał. Nils był przejęty i cieszył się na zapas.

- Zgoda - powiedział Candamir. - W takim razie wiesz, jak się masz zachowywać. Nie chcę słyszeć żadnego beczenia, kiedy będą ubijane zwierzęta. Jeśli przyniesiesz mi tutaj wstyd, to twoje beczenie po powrocie do domu będzie nie porównywalnie większe. Czy to jasne?

Nils kiwnął głową. Candamir uśmiechnął się i stuknął go delikatnie pięścią w bark.

- To biegnij poszukać kolegów.

Chłopczyk ukradkiem pogłaskał byka po nodze i pobiegł.

Mężczyźni zaczęli pić, ledwie znaleźli się na wyspie. Gdy porąbali drewno, rozpalili wielkie ogniska po lewej i prawej stronie ofiarnego ołtarza i czynili pozostałe

przygotowania, a piwo i miód płynęły strumieniami. Niemal wszyscy mieszkańcy Catanu obu płci, wolni i niewolnicy, przybyli na uroczystość do świątyni, a w domach został tylko jeden lub dwóch niewolników, aby przypilnować małe dzieci. Oczywiście nie wszyscy zmieścili się w świątyni, choć przecież była duża. Postanowiono, że miejsca wewnątrz zajmą wolni mieszkańcy. Z dala trzymali się jedynie Austin i niecałe dwa tuziny jego zwolenników, którzy mieli odwagę otwarcie przyznać się do nowej wiary.

Candamir wiedział, że dla Siglind uroczystość ta jest równie wstrętna jak dla Austina, mimo to zapytał ją:

- Nie zechcesz ten jeden raz zostać? Dla Ingi? To jej pierwsza ceremonia i na pewno jest bardzo przejęta. Czy nie jest twoją przyjaciółką?

Siglind ze zdziwieniem zmarszczyła czoło, po czym z cichym śmiechem pokręciła głową.

- Już od dawna nie jest. Wciąż mnie zdumiewa, jak możesz udawać tak ślepego.

Inga i Siglind kiedyś były mocno ze sobą związane, gdyż obie należały do grupy zwiadowczej, która stała się już teraz niemal legendą. Różnica ich wieku była niewielka i wtedy uważały, że miały ze sobą coś wspólnego. Wiele rzeczy jednak się zmieniło. Siglind nie odczuwała potrzeby zwierzenia się przyjaciółce, gdyż miała Candamira, z którym dzieliła swoje życie i swoje myśli, dla każdej zaś myśli, której on nie chciał pojąć, miała Austina. Jedynymi kobietami, jakie uznawała za przyjaciółki, były szwagierka Asta i jej niewolnica Freydis - obie z nich wybrały nową wiarę.

- Nie, wierz mi, będzie dużo lepiej, gdy pójde do domu.

Zrezygnowany wzruszył ramionami.

- Jak chcesz.

Położyła dłonie na jego ramionach i stanęła na palcach, żeby go pocałować.

- Czy myślisz, że to coś da, jeśli ci powiem, żebyś nie pił za dużo?

Uśmiechnął się drwiąco.

- Nie.

Chwycił ją w ramiona, bez skrępowania położył wielkie dłonie na jej pośladkach, po czym z żalem pozwolił jej odejść.

W świątyni, która nie miała okien, panował jak zwykle półmrok. Oba ogniska już dawno temu się wypaliły. Wokół sadzawki ze źródłem stał krąg olejowych lamp, które dawały tyle dymu, ile światła.

Ramię w ramię na ziemi ciasno siedzieli ludzie i rozmawiali. Przepędzono ciszę, która panowała w tym miejscu podczas czuwania przy zmarłej. Kiedy jednak Osmund i Thorbjorn przyprowadzili pierwsze zwierzę ofiarne, pomruki przycichły.

Było to byczek Candamira. Najwidoczniej niczego dobrego nie przeczuwał, bo nerwowo kręcił głową i rozglądał się, przewracając oczami, ale Inga uspokoiła zwierzę przygotowanym wcześniej napojem, jak nauczyła ją Brygida, aby było pewne, że ceremonia przebiegnie bez zakłóceń.

Obaj mężczyźni podprowadzili byka do ołtarza i zmusili do wejścia na płaski stopień. Następnie zajęli miejsca po jego lewej i prawej stronie, trzymając w dłoniach naciągniętą linę owiniętą na szyi zwierzęcia. Byk nie mógł już poruszać głową.

Kiedy Inga wkroczyła do świątyni, zrobiło się cicho. Miała na sobie szatę, której nikt jeszcze nigdy nie widział - szeroką pelerynę o szokującej, krwistoczerwonej barwie, z kapturem, który zacieniał jej twarz tak bardzo, że nie było jej widać. Szatę i kaptur ozdobiono magicznymi znakami, runami i pięcioramiennymi gwiazdami. Peleryna sięgała aż do kostek jej bosych nóg i była z przodu spięta, lecz wycięcie było szerokie i Candamir nie był jedynym mężczyzną, który się zastanawiał, czy włożyła coś pod nią. Stała z opuszczoną głową przed bykiem i najwidoczniej zwierzęciu udzielił się jej spokój, bo nagle zamarło bez ruchu. Z jego oczu znikło całe przerażenie.

Oszczędnym, błyskawicznym szarpnięciem Inga wydobyła z rękawa sztylet i pewnym, płynnym ruchem poderżnęła bykowi gardło. Rozległy się pomruki podekscytowania.

Prawie natychmiast potężne zwierzę padło na kolana, a Osmund i Thorbjorn musieli użyć całych swoich sił, żeby utrzymać je w miejscu i nie dopuścić do przedwczesnego upadku.

Inga schyliła się i uniosła wielką, złotą misę wykutą przez Hacona. Było to niezwykle cenne naczynie, a jego brzeg był wysadzany perłami, turkusami i innymi drogocennymi kamieniami występującymi na Catanie. Kapłanka zaczęła cicho śpiewać ku czci Odyna, a czerwona, spieniona krew zbierała się w misie. Monotonna melodia

była tą samą, którą zawsze nuciła Brygida, głos Ingi był jednak silniejszy i nadawał słowom większe znaczenie.

Gdy misa była już pełna niemal po brzegi, Inga odwróciła się ku zebrany.

Osmund i Thorbjorn puścili linę, jakby straciwszy całe zainteresowanie bykiem, i usiedli na ziemi w pierwszym rzędzie wśród sąsiadów.

Czterech niewolników podeszło bez słowa do ołtarza, aby dokończyć spuszczenie krwi, zdjęć martwemu zwierzęciu skórę, zabrać i przygotować mięso. Nikt nie zwracał na nich najmniejszej uwagi. Niewolnicy wybór do tego zadania uważali za ogromne wyróżnienie, choć przecież nie było ono bezpieczne. Kto spowodował zbyt wiele hałasu lub w inny sposób przeszkodził w ceremonii, nie mógł się spodziewać od swojego pana litości.

Wszystkie spojrzenia skierowały się ku Indze, która trzymała misę w wyciągniętych w górę rękach i nadal śpiewała swoją pieśń. Candamir mimochodem podziwiał jej siłę, gdyż to, co trzymała, było ciężkie nawet bez zawartości.

Wreszcie Inga odstawiła naczynie na przygotowany trójnóg, uniosła ręce i odrzuciła kaptur do tyłu. Niektórych aż zatkało. Wspaniałe jasne włosy Ingi były rozpuszczone, a przytrzymał je tylko diadem z kunsztownie grawerowanej miedzi.

- Do licha, Haconie - mruknął Candamir. - Znowu prze szedłeś sam siebie.

Tym jednak, co tak poraziło ludzi, nie były klejnoty, ale twarz Ingi. Czoło i policzki miała ozdobione małymi, czerwonymi runami. Zmieniło to tak całkowicie jej rysy, że wszyscy mieli wrażenie, jakby widzieli ją po raz pierwszy. Inga wyglądała majestatycznie i złowrogo.

Zanurzyła w misie z krwią niewielką różgę i dotknęła nią czoła środkowego posągu przed ołtarzem.

- Bądź pozdrowiony, ojcie bogów, który począłeś i stworzyłeś wszystkie rzeczy, a nas obdarowałeś koroną swojego stworzenia!

- Bądź pozdrowiony, Odynie - zamruczeli zebrani.

Krew spłynęła z czoła figury na jej oczy, przez policzki i w końcu kapała z brody.

Inga zwróciła się ku figurze, która stała po prawej stronie Odyna.

- Bądź pozdrowiony, przepotężny, który bogów i ich siedzibę bronisz przed wszelkim wrogiem!

- Bądź pozdrowiony, Thorze.

- Bądź pozdrowiony, dawco życia, który ziemię, ludzi i zwierzęta błogosławisz płodnością!

- Bądź pozdrowiony, Frejr...

Pozdrowiała bogów jednego po drugim, wychwalała ich i zwilżała krwią, tak jak to czyniła przed nią Brygida.

Kiedyś bardzo stopniowo i ostrożnie stara kobieta wprowadzała ludzi na powrót w częściowo już zapomniane obrzędy przodków i nauczyła, że dzięki krwi zwierząt ofiarnych mogą zwiększyć swój udział w mocy bogów. Początkowo ceremonie te wielu przerażały, ale z czasem do nich przywykli. Nikt już się nie wzdrygał, gdy Inga zanurzyła swoją różgę w misie i kropiła krwią wiernych. Z pokornie spuszczonej głowami zrobili jej miejsce, aby mogła przejść do tyłu i możliwie wielu zwilżyć krwią dającą moc. Kiedy misa była już do połowy opróżniona, wręczyła ją mężczyźnie, przed którym jakby przypadkiem się zatrzymała.

- Poświęć świątynię krwią ofiarną, Candamirze.

Candamir wstał i wziął naczynie. Przez chwilę wpatrywał się w jej obcą, wymalowaną twarz. Poczłł niemal nieodpartą potrzebę, żeby zerwać dziwną szatę z ciała kapłanki, powalić ją na ziemię i posiąść. Zaniepokoiła go nie tylko siła tej potrzeby, ale także jej charakter. Wszystkie obrazy, które mu nagle przeleciały przez głowę, były ohydne. To, co chciał zrobić, było prostackie i okrutne. Otrząsnął się z tego osobliwego uroku i jeszcze przez chwilę popatrzył Indze w oczy. Jej źrenice wydały mu się nienaturalnie rozszerzone, spojrzenie zaś odległe, jakby nie widziała ani jego, ani świątyni, ale coś zupełnie innego.

- Na co czekasz? - zapytała ostro.

Ze zmrużonymi oczami odwrócił się i zaniósł misę pod ścianę świątyni, gdzie postawił ją na ziemi i zanurzył w niej obie ręce. Dłońmi przejechał po ścianie, zwilżając ją nową, jasnoczerwoną warstwą farby. Cieszył się, że jest już nieźle pijany, gdyż nigdy nie miał serca do tego zaszczytne go zadania. Budziło w nim pewien niesmak. Kiedy niespodziewanie odkrył obok siebie swojego syna, który uśmiechnął się do niego konspiracyjnie, po czym zanurzył drobne rączki i pilnie zajął się dolną częścią ściany, Candamir pomyślał, że to, co tu robią, może być niebezpieczne, a nawet tragiczne.

Z każdym zwierzęciem, które zostało ubite na ofiarę, z każdym kuflem, który mężczyźni wypijali, rozgrzewała się atmosfera. Niewolnicy bez przerwy piekli i gotowali mięsiwo, rozdzielali je pośród ludzi w świątyni, ci zaś ze smakiem i radością rzucali się na nie, jak przy każdym innym święcie. Przy każdej następnej ofercie napięcie w świątyni zdawało się jednak rosnąć. Odoru krwi nie przepędził nawet zapach pieczeni i niejeden z mężczyzn, zanim zabrał się do mazania ścian, wpadał w osobliwe oszołomienie i wypijał nieco krwi.

Kiedy ubito piąte z dziewięciu zwierząt ofiarnych, zapadła noc. Otwarto drzwi w szczytowych ścianach wielkiej sali, aby wywietrzyć i wpuścić chłodne powietrze wieczoru. Niektórzy mieszkańcy Catanu skorzystali z tej okazji, żeby odetchnąć zapachem nocy, ulżyć swoim pęcherzom lub zrobić coś innego, co nie cierpiało zwłoki.

Candamir widział, jak jego mleczny brat znika z kapłanką w lesie, i nie zdziwiło go, że Osmund wyraźnie okropnie się spieszy. Przez chwilę tak bardzo mu zazdrościł, że aż go to zabolalo. Usiadł później w trawie, podparł dłońmi czoło i mruknął:

- Potężny Tyrze, cóż to się ze mną dzieje?

- To upojenie krwią - odezwał się znajomy głos z ciemności. - Nie przejmuj się. To minie.

Candamir poderwał głowę.

- Austin... Co ty tu robisz?

Mnich wyszedł z cienia jesionu, gdzie się ukrył, usłyszawszy kroki, po czym usiadł obok Candamira. Z malejącego księżyca została już tylko połowa, ale dawał on dosyć światła, żeby mężczyźni widzieli się nawzajem. Austin trzymał w ramionach śpiące dziecko. Był to Nils.

- Pomyślałem, że zaniosę go do domu.

- To ładnie z twojej strony. Ale co w ogóle sprawiło, że tu jesteś? Zwykle unikasz uroczystości w świątyni, i kiedy się odbywają, nawet nie wchodzisz na wyspę.

Austin przytaknął.

- Chciałem zobaczyć, co robi Inga. - Zawsze istotne jest studiowanie i poznawanie swojego przeciwnika, a dotyczy to nie tylko bitwy. - A także, co robi inaczej

niz Brygida. Każde kolejne pokolenie wprowadza jakiś własny rys. Chciałem się temu przyjrzeć.

- I co? - zapytał Candamir trochę z ciekawości, trochę drwiąco. - Co o tym sądzisz?

- Zdaje się, że zgadzam się z twoim sądem. Pozwoliłem sobie obserwować cię, gdy byłeś w środku. Nie wyglądałeś na szczególnie szczęśliwego.

Gestem zniecierpliwienia Candamir jakby odsunął od siebie tę uwagę.

- Czuję się marnie, bo już od czterech tygodni nie mogę być z żoną, a dzięki ustępstwom na rzecz twojego boga, do których ty i ona mnie zmusiliście, nie wolno mi wziąć żadnej innej kobiety. Mężczyźni nie powinny wtedy przychodzić do głowy myśli głupie i ponure.

Austin skinął głową, chociaż nie uważał, że to właśnie było rzeczywistą przyczyną marnego samopoczucia Candamira.

- Chodź do domu - zaproponował.

Candamir burknął ze złością.

- Co mam tam robić? Jeszcze nie jestem dostatecznie pijany, żeby iść do domu. Za to ty powinienes zniknąć, zanim cię tu ktoś rozpozna. Byłyby z tego tylko kłopoty

- Tak, z pewnością. - Austin jednak się nie ruszył. - Dlaczego chcesz tutaj zostać, skoro serce ci podpowiada, że to, co tu robisz, nie jest słuszne?

- Ależ jest słuszne - sprzeciwił się Candamir gorąco, choć przecież cicho. - Jest to zwyczaj stary i czcigodny.

- Nigdy nie stanowiło to dla ciebie żadnego uzasadnienia.

- Twoi przodkowie także to robili!

- Ale uwolniliśmy się od tego. Ty także tego chcesz.

- Och, nie zaczynaj znowu. Zostaję tutaj. Choćby i po to, żeby sobie udowodnić, że mogę to wytrzymać... - Przerażony tym nieprzemyślanym, haniebnym wyznaniem zakrył usta dłonią. - Cóż to ja gadam - burknął z niesmakiem i opuścił rękę. - Idź, Austinie. Zawsze wyciągasz ode mnie rzeczy, których wcale nie chcę mówić. To obrzydliwe. Lepiej idź, zanim staniesz się ofiarą mojego ponurego nastroju.

- Dobrze. - Sakson z westchnieniem wstał, choć nadal nie miał serca zostawiać Candamira tutaj, pośród tej zgrozy. Kiedy jeszcze stał i się wahał, nagle Nils poruszył się

w jego ramionach i zaszlochał cicho.

- Ojciec... - wymamrotał śpiącym głosem.

Niewiele myśląc, Candamir skoczył na równe nogi i wziął dziecko od Austina.

- Jestem tu, mój synku.

- Miałem okropny sen.

- Nic dziwnego - mruknął Austin pod nosem.

- Cicho - powiedział Candamir i przytulił ciepłe małe ciało. - Teraz już się obudziłeś i zmory już nie ma.

- Nie, dalej jest, wiem. Kiedy zamykam oczy, wszystko wraca.

- Niestety, najczęściej tak już jest ze złymi snami - musiał przyznać ojciec.

- Ale nie płakałem, jak ubijali naszego byka - oświadczył Nils, tym razem wyraźniej. Walczył z sennością.

- Nie. Byłeś wspaniały. Bardzo dzielny

- Pójdziemy do domu, ojciec? - Miało to zabrzmieć spokojnie i bardzo dorośle, nie sposób było jednak nie usłyszeć trwożliwej nuty. Candamir zamienił krótkie spojrzenie z Austinem, po czym skinął głową.

- Dobrze. Idziemy do domu.



## **SIENNY KSIĘŻYC, rok siódmy**

- Spójrz, Candamirze. Czy mniej więcej tak to sobie wyobrażałeś?

Candamir oderwał się od swojej roboty i opuścił hebel. W drzwiach warsztatu stał jego brat i wyciągał ku niemu obie ręce.

Zainteresowany Candamir podszedł bliżej, a kiedy jego oczy przystosowały się do jasnego światła, rozpoznał to, co przyniósł mu Hacon: żelazne ostrze, dłuższe niż ręka, o jednej krawędzi gładkiej, a drugiej uzbrojonej w małe ząbki, bardzo groźnie wyglądające.

Niemal nabożnie Candamir ujął rzecz w obie ręce.

- Och, Haconie. Jest doskonała! - Oczy mu błyszczały. Brat uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Może ją wypróbujemy?

- Koniecznie!

Zżywieniem, jak mali chłopcy, bracia podeszli do stolarskiego stołu Candamira. Hacon świetnie się tutaj we wszystkim orientował. Często mieli okazję pracować wspólnie. Tak wiele przedmiotów codziennego użytku składało się z drewna oraz żelaza: narzędzia, lemiesz, strzały i włócznie do polowania, beczki i wozy, i jeszcze wiele innych. Ponieważ obaj lubili pracować w swoim towarzystwie, spotykali się zwykle raz w tygodniu w kuźni Hacona lub w stolarni Candamira, żeby wykonać jakąś wspólną robotę.

Dwa tygodnie wcześniej Candamir opowiedział Haconowi o pile.

Widział kiedyś cieślę w pewnej osadzie nad rzeką Elbe, który czegoś takiego używał, i to osobliwe narzędzie go zafascynowało. Berse, stary szkutnik, nie miał oczywiście dobrego mniemania o piłach. Burkliwie się bronił, że od najdawniejszych czasów budowało się z drewna domy, meble i statki i jakoś dawano sobie radę bez takich nowomodnych urządzeń. Poza tym narzędzie, które opisywał Candamir, z całą pewnością nie nadaje się do obróbki świeżego drewna.

Candamir z powodzeniem próbował już jednak rozmaitych rzeczy, od których Berse mógłby dostać jedynie zawrotu głowy. Coraz rzadziej używał, zatem młodego, „zielonego” drewna drzew iglastych, jak to było w zwyczaju, za to składował przez kilka lat drewno dębowe i bukowe, a dopiero potem robił z niego skrzynie, stoły czy wozy. Stwierdził, że zrobione z tego materiału sprzęty nigdy się nie wypaczają. Stoły Candamira nie chwiały się, jego skrzynie i drzwi nawet przy wilgotnej pogodzie dawały się płynnie otwierać i zamykać. Takie twarde, sezonowane drewno wymagało jednak zupełnie innego narzędzia i dlatego Candamir marzył o pile.

Nie mówiąc nic nikomu, Hacon zgodnie z opisem Candamira wykuł brzeszczot piły, a ponieważ odpowiednią drewnianą ramę Candamir miał gotową już od dawna, teraz wystarczyło, więc już tylko założyć brakujący element i naciągnąć. W tym celu umocowali brzeszczot w rozszczepionych końcach ramy, która tworzyła podwójny prostokąt otwarty u dołu, unieruchomili ostrze na obu końcach żelaznymi kołkami, które Hacon także ze sobą przyniósł i wetknął we wcześniej wywiercone otwory - oto wszystko było gotowe! Żądni czynu poszli na małe podwórko za warsztatem, aby spróbować odciąć z grubego pnia cztery przyszłe koła do wozu, jakby kroili nożem plasterki kielbasy.

Siglind siedziała z Astą i Gundą na ławce przy domu od strony ogrodu. Dzieci bawiły się wśród owocowych drzew i krzewów malin, z których zwisały już dojrzałe owoce.

Nils pokazał się dziś ze swojej najlepszej strony i wielkodusznie pozwolił, żeby jego kuzyn Ole - w istocie jego brat przyrodni - pozęgłował sobie jego stateczkiem po niewidzialnym dla dorosłych oceanie, i nie zabierał mu go ciągle, jak ostatnim razem. Oto więc nastrój w ogrodzie był pełen spokoju, niemal senny

Właściwie te trzy kobiety, a także przynajmniej większe dzieci, powinny być na łące przy zbieraniu siana, upał był jednak tak okropny, że postanowiły pozostać raczej w cieniu lub w domu i zaprawiać czereśnię, pozostawiwszy koszenie łąk w palącym słońcu niewolnikom, których na szczęście nie trzeba było przecież pytać o zdanie.

Siglind i Gunda trzymały na kolanach po wielkiej misie z czereśniami, a w dłoni

dzierżyły nożyki, którymi zręcznie wydłubywały pestki z owoców, wrzucając je później do odpowiedniego kotła u stóp. Jedyne Asta splótła ręce na swoim grubym brzuchu i nie robiła nic poza siedzeniem.

- O, błogosławione nieróbstwo - rzekła z zabawnym westchnieniem. - Austin z pewnością jest w błędzie. Coś tak wspaniałego nie może być grzechem.

Obie jej towarzyszki się roześmiały. Z domu wyszła Solvig, nowa mamka.

- Heide mówi, że musicie jej szybko przynieść czereśnie, bo nie zdąży ich zaprawić przed kolacją.

- W porządku. Zanieś kocioł do domu, i tak jest już pełny. Resztę zrobimy jutro.

Bez cienia żalu Siglind i Gunda porzuciły swoje zajęcia i zaczęły jeść czereśnie, a niewolnica odniosła naczynie do domu.

- Co z nią? - zapytała Asta, kiedy dziewczyna zniknęła. - Wygląda na bardzo zapłakaną.

Siglind bezradnie rozłożyła ręce.

- Nie wiem. Jest dla mnie zagadką, i to pod każdym względem. Nikt nie wie, kto jest ojcem jej dziecka. Śmiertelnie boi się Candamira, przypuszczam więc, że ktoś potraktował ją bardzo gwałtownie.

- Ale na pewno nie Sigurd - wtrąciła Asta. - Przecież on jest zapatrzony w swoją Britte.

Syn skutnika ożenił się z wdową po Siwardzie niecałe dwa tygodnie po tym, jak zgorzkniały stary zmarł. Mówiło się powszechnie, że Sigurd i Britta już wcześniej byli parą kochanków. Siglind wzruszyła ramionami.

- To niczego nie dowodzi. Ale ja też nie mówię, że to Sigurd. Zresztą nieważne. Jest dziecko, zgroza powinna, więc już dawno pójść w zapomnienie, a Solvig musiała przecież zdążyć już zauważyć, że ze strony Candamira nic jej nie grozi. Mimo to jest bardzo nieszczęśliwa. Nie daje jednak odczuć tego dzieciom. Jest dobrą mamką.

Gunda, która przeżyła u tych ludzi wiele lat jako niewolnica, wciąż jeszcze postrzegała rzeczy z innego punktu widzenia niż szwagierka.

- Może jest zupełnie inaczej - powiedziała. - Może jest zakochana w jednym z parobków Sigurda albo Berse i nie może znieść rozłąki.

- W takim razie powinna otworzyć buzię i to powiedzieć

- odparła niecierpliwie Siglind. - Takie sprawy można rozwiązywać.  
- Otwieranie buzi nie zawsze jest tak łatwe, jak sądzisz  
- sprzeciwiła się Gunda, zanim jednak Siglind zdążyła po prosić ją o wyjaśnienie, jakiś dziwny dźwięk przykuł uwagę trzech kobiet. Było to rytmiczne, wysokie wycie. Albo raczej rwanie. Nie sposób opisać.

- O Boże, cóż to jest? - wykrzyknęła przerażona Gunda.

- Piła - odpowiedział Austin, który właśnie nadszedł z rzeki z wielką kadzią na brzuchu. - Setki razy już wam mówiłem, żeby nie używać imienia Pana nadaremnie.

- Przebacz, Austinie - mruknęła Gunda. Doskonale wiedziała, że mnich jej nie lubi, i wciąż się go trochę obawiała.

- Że co? - zapytała Siglind.

- Piła. Przecina się nią drewno. Od czasu do czasu także palce, ręce lub stopy, co tam akurat podejdziesz. Następnym dźwiękiem, który usłyszycie, będzie okrzyk bólu.

Kobiety roześmiały się niefrasobliwie. Skrzywiona z niesmakiem Asta wskazała na zawartość jego kadzi.

- Co tam masz?

- Wygotowane skóry jagnięce - wyjaśnił Austin i z zachwytem popatrzył na białawy wywar i pływające w nim gąbczaste skóry - Trzeba ci wiedzieć, że da się z tego zrobić najprzedniejszy pergamin. Niestety, rzadko ktoś tutaj ubija jagnię.

Oczywiście większość ludzi wołała, żeby jagnięta podrosły i miały potomstwo, chociaż na sobótki niecałe dwa tygodnie temu niektórzy dobrzy hodowcy mimo wszystko ubili po jagnięciu na ofiarę, a Austin oświadczył, że będzie miał za skóry propozycje nie do odrzucenia.

- Co ty robisz z tym szczególnie cennym pergaminem? - chciała wiedzieć Siglind.

Zanim Sakson zdążył odpowiedzieć, za stolarnią rozległ się zapowiadany wcześniej okrzyk i śpiew piły nagle zamilkł. Siglind i Gunda z przerażeniem skoczyły na równe nogi, jedynie Asta dalej siedziała. W jej stanie po prostu się nie skakało, niezależnie od tego, co się działo. Po kilku chwilach zza warsztatu wyłonił się Candamir.

- Siglind, czy mogłabyś... O, Austin. To się dobrze składa.

- Czy Hacon się zranił? - zapytała z obawą Gunda i zrobiła krok w jego kierunku.

Jak zwykle Candamir udał, że jej nie słyszy, wziął od Austina kadź, niedbale

postawił ją na ziemi i pociągnął za sobą mnicha za rękaw. Gunda wyjątkowo pokonała swoją obawę przed Candamirem i poszła za nimi.

Hacon siedział na stercie drewnianych belek, lewą ręką trzymał się za prawe przedramię, a prawą dłoń lekko zaciskał w pięść. Z pięści tej równo kapłała krew na ziemię usianą wiórami, a na czole Hacona wystąpił pot.

Austin usiadł obok niego.

- Pokaż.

Młody kowal niepewnie wyciągnął do niego prawą rękę, odwracając jednak twarz w drugą stronę.

- Zdaje się, że nieźle go poharatało - powiedział zdenerwowany Candamir.

Austin delikatnie otworzył pięść i obejrzał szkody. W poprzek wnętrza wielkiej, spuchniętej dłoni biegła otwarta rana.

- Och, Haconie! - zawołała Gunda i chwyciła się za policzki. Jej głos zabrzmiał przenikliwie. Candamir rzucił jej krótkie, ale bardzo złe spojrzenie.

- Przynies mi ciepłej wody i czystego lnu, Gundo. Bądź tak dobra - poprosił Austin. - Nie przejmuj się. Będzie dobrze.

Hacon przełknął ślinę. Widać było, jak pod krótką brodą pracuje mu jabłko Adama. Oczekał, aż żona odejdzie wystarczająco daleko, żeby ich nie słyszeć, po czym zapytał:

- Naprawdę tak myślisz?

Austin nie był jeszcze pewien. Jeśli Hacon przeciął sobie ścięgno, to ta ręka już nigdy nie machnie młotem.

- Poruszaj palcami - poprosił młodego człowieka.

Hacon wykonał polecenie. Natychmiast jęknął płaczliwie i odruchowo zamknął zranioną dłoń z powrotem w pięść, Austin zdążył jednak dostrzec, że poruszyły się wszystkie cztery palce oraz kciuk. Poklepał go ramieniem.

- Tak. Sądzę, że miałeś szczęście. Zagoi się.

- Jeśli nie wda się zgorzel - wtrącił ponuro Hacon.

- Racja.

- Jak długo to potrwa?

- Długo - powiedział Austin. Od razu też zapobiegł pro testom: - Uzbrosisz się w

cierpliwość i dasz tej ręce spokój tak długo, aż ci powiem, że wolno ci znów jej używać, czy to jasne?

Hacon przytaknął bez słowa. Mnich klepnął się dłońmi po udach i wstał.

- Przyniosę ci kufel miodu.

Hacon przeczuwał, co to oznacza, i z drzeniem odwrócił twarz.

- Chcesz zszyć ranę?

- Tak trzeba.

- To nie takie straszne, jak myślisz - zapewnił Candamir pocieszająco. W końcu miał już w tej sprawie pewne doświadczenie. Brat rzucił mu podejrzliwe spojrzenie.

- Tylko jeszcze trochę gorsze, co?

Candamir zaśmiał się pod nosem i klepnął go w ramię.

- Przecież słyszałeś. Będzie dobrze. Tylko to się liczy. Nie chciał się jednak temu przyglądać i najchętniej uciekłyby możliwie daleko, zanim Austin rozpocząłby swoje okrutne dzieło. Wyprowadził, więc ze stajni swojego dzielnego Buriego, posadził przed sobą Olego i Nilsa na jego nieosiodłanym grzbiecie i pokłusował z chłopcami przez północną bramę żywopłotu w kierunku pastwisk, aby sprawdzić, jak idzie koszenie. Wszędzie na łąkach byli mężczyźni, kobiety i dzieci - wszyscy pilnie zajęci robotą. Gęstą wysoką trawę koszone długimi kosami, a następnie rozrzucano do suszenia. Na następnych łąkach, już skoszonych, świeże siano roztrząśnięto, a częściowo także ustawiono w kopki. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety dla ochrony przed słońcem nosili na głowach chusty, częściowo też zakrywające usta i nosy, gdyż po trzech tygodniach suszy przy zbiorce siana wzbijało się mnóstwo pyłu.

Na jednej z łąk Candamir zatrzymał konia.

- Jak tam, Svenie? Robicie postępy?

Młody niewolnik wyprostował plecy, ściągnął chustę z ust pod brodę, po czym odparł:

- Tak, panie. Dobrze nam idzie. Nigdy wcześniej nie miałem w rękach tak dobrej kosy.

Candamir uśmiechnął się z dumą.

- Mój brat ją zrobił.

Parobek z uznaniem kiwnął głową.

- Wiem. Kobiety mogą jutro spokojnie zostać w domu. Będziemy potrzebować najwyżej kilku chłopaków do roztrząsania.

Candamir przytaknął i stuknął syna w ramię.

- Jutro rano pójdziesz ze Svenem i Norim, synku. Nils ukradkiem się skrzywił, ale powiedział:

- Tak, oczywiście, ojcze.

- Nie zapomnijcie dziś wieczór przyprowadzić koni z pastwiska - nakazał Candamir swoim niewolnikom na pożegnanie. Nori i Sven stłumili drwiące uśmiechy. Nie było dnia, żeby ich pan im o tym nie przypomniał.

Kiedy Candamir z chłopcami wrócił, cienie w ogrodzie wyraźnie się już wydłużyły, a na północnym zachodzie piętrzyły się ciemne chmury. Zostawił Olego i Nilsa przy ich małym stateczku i wszedł do domu.

- Twój brat poszedł do domu na własnych nogach - zawiadomiła Siglind i postawiła przed Candamirem miskę maślanki, a Candamir zajął miejsce na swoim krześle rodowym.

Pił z wdzięcznością.

- Miód za mocno uderzył mu do głowy - ciągnęła. - Gdy Austin zakładał szwy, Hacon przez cały czas opowiadał mu dowcipy. Zdaje się, że nigdy dotąd żadnej rany nie zszyto szybciej.

Candamir uśmiechnął się pod nosem, ale zaraz znów zmarszczył czoło.

- Ta piła to cudowna rzecz, Siglind. Niezależnie od tego, co mówi Berse, umożliwia wiele rzeczy, których dotychczas nie dało się zrobić. Szkoda tylko, że wspomniałem o niej Haconowi. Jeśli zacznie gorączkować...

Siglind usiadła przy nim i wzięła go za rękę.

- Daj spokój. Nie bądź takim czarnowidzem. Jest zdrowy i silny. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Pokiwał głową, nie mówiąc tego, co oboje wiedzieli - również zdrowi i silni młodzi ludzie mogą dostać zgorzeli albo tęcza i umrzeć. Niepokojnie potarł ręką szyję i kark, po czym próbował otrząsnąć się z ponurych myśli.

- Zdaje się, że nadchodzi burza. Siglind mlasnęła ze złością. - Akurat teraz, w środku koszenia siana. Pewnie masz rację. Cały dzień było okropnie duszno. Poranne mleko już w południe skwaśniało.

- Nie przejmuj się sianem. Wyschnie. Na pewno nie będzie jeszcze ciągłych deszczy. Zresztą jutro wysyłam Nilsa razem z parobkami.

- Nie sądzisz, że jest jeszcze za mały na tak ciężką robotę?

- Nie, nie sądzę. To nie jest ciężka robota. Pora, aby się dowiedział, że chleb nie spada z nieba. Poza tym zbyt wiele czasu spędza z Austinem.

Przez chwilę obserwowała jego zmarszczone czoło. Dostrzegła też ostrzegawczą zmarszczkę złości nad nasadą nosa i zrozumiała, że chce się z nią kłócić, żeby trochę odreagować. Nie była wcale pewna, czy powinna sobie na to pozwolić. Było tak okropnie gorąco i duszno. Miała ochotę na spokój i zgodę. Po prostu nie sposób było przewidzieć, do czego doprowadzi sprzeczka z Candamirem.

Zanim cokolwiek postanowiła, wrócili parobkowie. Heide zawołała dzieci do domu i wniosła jedzenie. Mały Ole usiadł z nimi przy stole. Nie przeszkadzało mu, że został u nich - rodziny Candamira i Hacona ciągle się odwiedzały i wszyscy tutaj dobrze znali chłopca. Kiedy jednak rozpetęła się burza, ten nagle się przeraził i zaczął marudzić za matką. Candamir wstał z westchnieniem, podniósł bratanka z ławy i wziął go pod pachę jak zwinięte ubranie.

- Chodź, mały Przestań kwękać. Zabiorę cię do domu - rzucił żonie spojrzenie i przewrócił oczami. - Zaraz wracam.

Uśmiechnęła się do niego.

- Masz miękkie serce - stwierdziła.

- Nie licz na to - warknął i z żywym ciężarem pod pachą wyszedł w strugi deszczu.

Była to typowa catańska burza - aż kolana drżały od groźnych grzmotów i oślepiających błyskawic. Ole zaczął płakać. Candamir schował jego głowę w swoich ramionach i pośpiesznie ruszył w drogę.

Nie było daleko: przeszli obok chałupki Austina, w której oknach błyskało ciepłe światło świec, minęli później wielką kuźnię i dom Haralda, przeszli przez jego ogród i w końcu wkroczyli na podwórze Hacona z małą kuźnią, graniczące z żywopłotem



nieopodal bramy wschodniej.

Candamir z rozmachem otworzył drzwi domu.

Przy stole siedziała Gunda z małą córeczką na kolanach i bez zapалу jadła. Trwożliwie podniosła wzrok, usłyszawszy otwieranie drzwi. Ogień był już wygaszony, w domu panował półmrok. Candamir postawił Olego na nogi i zerwał ze swoim zwyczajem, bo odezwał się do Gundy:

- Gdzie Hacon?

- Nie wiem. - Jej głos był słaby i zgaszony. - Obudził się mniej więcej godzinę temu i wyszedł z domu. Och, Candamirze...

Przestał na nią patrzeć. Nie interesowały go troski Gundy. Trochę szorstko popchnął chłopczyka w głąb izby.

- No, idź do matki, Ole. - A w kierunku Gundy rzucił jeszcze: - Poszukam.

- Dziękuję, Candamirze.

- Nie dla ciebie to robię - wyjaśnił i wyszedł, zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć.

Bez trudu odgadł, gdzie zaszył się jego brat. Gdyby to on sam tak niebezpiecznie się zranił w rękę, poszedłby do swojego warsztatu, aby powspominać wszystkie dobre godziny, które tam spędził, nacieszyć się nowymi narzędziami, których być może już więcej nie dotknie, i błagać bogów o wsparcie. Słabe migotanie w oknie małej kuźni zdradziło mu, że Hacon jest bardziej do niego podobny, niż obaj zdawali sobie z tego sprawę.

Zastanawiał się nad jakimś stosownym, beztroskim żartem, którym przywita Hacona, otworzywszy drzwi zadbanej kuźni. To, bowiem, co chciałby powiedzieć, nie przeszłoby mu przez gardło.

Hacon skulony klęczał na podłodze. Nad nim stała jakaś wielka postać, ciemno odziana, którą Candamir rozpoznał bez trudu nawet od tyłu. „To niemożliwe - pomyślał. Nie mógł niezauważony przejść przez żywopłot...”. Prawa dłoń Hacona, tak troskliwie przewiązana przez Austina lnianym opatrunkiem, była teraz przygnieciona ciężkim butem intruza, który obciążał ją coraz większym ciężarem. Hacon zakrył oczy lewym, wolnym ramieniem.

- Powiedz mi, Haconie - cicho pytała wysoka postać. Głos był chrapliwy i głęboki

jak zawsze, ale słodziutki, niemal uprzejmy - Kiedy i gdzie znajdę twojego brata samego? Jestem pewien, że wiesz. No, mój chłopcze. Powiedz mi...

Przerażenie Candamira było tak ogromne, że zapragnął stamtąd uciec, żeby się gdzieś ukryć i nigdy już się nie pokazać. Jak sparaliżowany stał na progu, opanowany bezimiennym strachem, który od ostatniego spotkania budził w nim Olaf.

- Nie mam pojęcia - odpowiedział Hacon. - Przyjąłem wiarę Saksona i z tego powodu pokłóciłem się z Candamirem. Zrobiliśmy się sobie zupełnie obcy i nie wiem nic o tym, co on robi.

Olaf zmarszczył czoło.

- Zapewne pomoże odświeżyć ci pamięć, jeśli ci tę zranioną dłoń włożę do pieca, co? Jak widzę, masz tam jeszcze piękny żar...

Z wyraźnym świstem Candamir dobył z pochwy miecz. Jeszcze nie zdążył go całkiem wyciągnąć, gdy Olaf puścił Hacona, wyjął swoje ostrze i odwrócił się na pięcie.

- Szukasz mnie, Olafie? Oto jestem. - Candamir stał w drzwiach na lekko rozstawionych nogach, trzymając w prawej dłoni swój cenny oręż: lekki miecz długości kroku, z dwoma ostrymi krawędziami i krótką, poręczną rękojeścią, doskonale wyważony i zabójczo ostry.

Broń Olafa była równie dobra. Zdobył ją podczas jednego ze swoich napadów na Siwardzie, który aż do śmierci nie mógł się pogodzić z jego utratą. Z zadowolonym uśmiechem Olaf przyglądał się przeciwnikowi.

- Candamir... Jeden z bogów musiał mi dziś szczególnie sprzyjać.

- Nie sądzę. - Candamir zrobił krok do tyłu ku drzwiom i skinął lewą dłonią na Olafa, żeby wyszedł za nim.

Choć słońce jeszcze nie zdążyło zająść, na zewnątrz panowała noc. Grube krople ulewnego deszczu tworzyły jakby szklaną zasłonę i tylko od czasu do czasu błyskawice zamieniały mrok w oślepiającą jasność.

W odległości dziesięciu kroków od kuźni Candamir zatrzymał się, uniósł miecz nad głowę i z bojowym okrzykiem, od którego mogło zmrozić krew w żyłach, rzucił się na wroga. Olaf go obserwował, w ostatniej chwili odskoczył krok do tyłu i odparował cios. Klingi skrzyżowały się z głośnym zgrzytem. Olaf uskoczył w bok i wyprowadził podstępny cios od dołu, przed którym Candamir się obronił, bo także trzymał ostrze

opuszczone w dół.

Hacon stał w drzwiach swojej kuźni z lewą ręką położoną dla ochrony na prawej i przerażonym spojrzeniem śledził każdy krok. Jak to często bywa podczas walk na śmierć i życie, tempo ataków i kontrataków było zawrotne. Dla obserwatora były one zdecydowanie za szybkie, nie można było, więc stwierdzić, że jeden z przeciwników kontroluje walkę.

Wyglądało na to, że Olaf jest szermierzem bardziej doświadczonym od Candamira i lepiej umie zachować zimną krew, Hacon zauważył też jednak, że jego brat dysponuje większą szybkością, a może i większą siłą.

Pośród nagłych błyskawic walczący zniknęli za drzewami owocowymi. Zmierzali w kierunku żywopłotu i coraz szybciej następował cios za ciosem, głośny dźwięk krzyżujących się kling, a od czasu do czasu głucho uderzenie, kiedy któryś z wojowników trafił w pień drzewa.

Hacon poszedł za nimi. Po krótkiej chwili był przemoczony do suchej nitki, a gdy rozległ się ogłuszający grzmot, odruchowo schował głowę w ramiona.

Candamir się wycofywał. Olaf nadawał tempo i spychał go rytmicznymi ciosami miecza ku żywopłotowi. Uklucia w kark ostrzegły Candamira, że nie zostało mu już wiele miejsca na manewrowanie, i podejmując ogromne ryzyko, zrobił unik przed kolejnym ciosem Olafa, obrócił się błyskawicznie wokół własnej osi i zaatakował go z boku daleko wyciągniętą ręką.

O mały włos trafiłby Olafa. Jedyne przypadek sprawił, że ten miał ciężar na lewej nodze i zdołał w porę uskoczyć. Zrobił krok w tył i wyszarpnął sztylet.

- Uważaj, Candamirze! - wyrwało się Haconowi, a chwilę później dostrzegł jakiś cień po swojej lewej stronie. Będąc jeszcze w trakcie odwracania głowy, poczuł nagle na gardle zimne ostrze i jakiś głos szepnął mu do ucha: - Nie martw się o brata. Masz zupełnie inne kłopoty, stary przyjacielu.

- Lars...

Hacon od ponad sześciu lat nie widział syna Olafa, mniej więcej swojego rówieśnika. Teraz także go nie widział, było, bowiem zbyt ciemno. Poznał go jednak po głosie, który wprawdzie nabrał męskiego brzmienia, ale nadal pozostał wyraźnie ten sam.

- Daj ręce na plecy - rozkazał cicho Lars.

- Po co się cackać? Nie mam broni, jak widzisz. Jeśli chcesz mnie zabić, nie zdołam ci przeszkodzić. - Pomyślał o Gundzie, Olem i swojej małej córeczce, i opuszczanie ich zabolalo go. Wiedział, że Gunda będzie niepoczyszona, tak bardzo była zależna od niego i jego ochrony. Postarał się jednak, aby w jego głosie nie zabrzmiała rozpacz. - Nie każ mi czekać, Larsie. W imię dawnych czasów...

Lars zaśmiał mu się do ucha, cicho i wesoło.

- Wcale nie chcę cię zabijać. Masz naprawdę dużą szansę, żeby ujść z życiem, jeśli teraz dasz ręce na plecy.

Błysnął następny piorun, ujawniając, że Candamir jest w wielkim kłopotcie. Stał plecami do żywopłotu, Olaf zaś szedł na niego z dwoma wzniesionymi ostrzami. Potem wróciła ciemność.

- Nie zrobię tego - odparł Hacon.

- W takim razie będę musiał ci pomóc - oświadczył kolejny głos, którego Hacon nie rozpoznał od razu. Odwrócił głowę i dostrzegł zarys postaci po swojej drugiej stronie.

- Gunnar?

Trzeci syn Olafa bez słowa skinął głową, chwycił prawą rękę Hacona i wykręcił do tyłu. Hacon przygryzł język i upadł na kolana.

Candamir rozpaczliwym szarpnięciem wyzwolił się z kolczastych objęć żywopłotu, a miecz Olafa przeciął gałąź dokładnie w tym miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą była pierś Candamira.

- Lepiej się poddaj - zawołał Olaf. Brakowało mu tchu.

- Po co? - dyszał Candamir. - Cóż mi z tego?

- Nie chcę cię zabić.

„Nie - pomyślał Candamir. - Wiem, że chcesz”. Nie był pewien, co stanowiło dla niego większe zagrożenie: Olaf czy panika, która czyniła go bezmyślnym i nie zrównoważonym. Prawa dłoń, trzymająca miecz, była tak wilgotna, że broń w każdej chwili mogła mu się z niej wyślizgnąć.

„Weź się w garść” - napomniał sam siebie ze złością. Starał się odzyskać zimną krew i spokój, stać się takim, jakim był za młodu, gdy miał przed sobą przeciwnika

czyhającego na jego życie. Nie dopuściłby do tego, żeby Olaf dostał go żywcem, na czym więc polega różnica? Czy to możliwe, żeby siedem lat bez walki tak go rozmiękczyło, że nie da rady teraz przetrwać?

To podejrzenie go otrzeźwiło i dobrze na niego zadziało. Zrobił się rozważniejszy. Poruszał barkami i rozluźnił palce trzymające miecz, ale zacisnął je na powrót w porę, żeby obronić się przed następnym atakiem Olafa i odpowiedzieć na niego.

Karty się odwróciły i tym razem to Olaf się cofał. Również Candamir wyjął teraz swój sztylet. Nie docierały do niego ani grzmoty, ani ulewa. Błyskawice utrudniały mu widzenie, tak samo jak deszcz, ale zmrużył oczy w wąskie szparki i nawet po rozbłyskach piorunów wciąż widział na tyle dużo, żeby dostrzegać zbliżające się ostrze przeciwnika. Krok za krokiem spychał Olafa w kierunku kuźni, coraz silniej naciskał, zwiększał tempo. Potem znalazł się w krzewach jeżyn, o mało nie stracił równowagi i wyslizgnął mu się miecz.

Z uśmiechem triumfu Olaf zrobił ku niemu duży krok, zbliżył się i uniósł miecz, kiedy nagle piorun strzelił w młody orzechowiec po jego lewej stronie i rozłupał pień na dwoje. W tej samej chwili zagrzmiało i zarówno walczący, jak i obserwatorzy znieruchomieli.

W mgnieniu oka rozszczepiony pień stanął w płomieniach. Candamir i Olaf stracili kontakt wzrokowy i odskoczyli, byli jednak zbyt powolni. Rozłupana, płonąca korona drzewa przechyliła się w ich kierunku i upadła na obie walczące strony.

Ze zgodnym okrzykiem zgrozy Hacon, Lars i Gunnar rzucili się ku nim. Teraz ulewny deszcz był po ich stronie, gdyż stłumił płomienie i trafione drzewo paliło się tylko niemrawo. Trwało jednak dobrą chwilę, zanim udało im się odciągnąć gęste gałęzie na bok. W końcu odsłonili przerażający obraz, którego Hacon nigdy potem nie zdołał przegonić ze swoich złych snów: Candamir i Olaf leżeli sztywni w nieruchomym splocie jak para martwych kochanków. Olaf znalazł się na górze, a jego ubranie płonęło. Nie mógł jednak tego czuć, gdyż w jego plecach tkwił sztylet Candamira.

- O, przepotężny Thorze... - ochryple wybełkotał Lars.

Ubranie Candamira było spalone na rękawach i ramionach, przez czoło zaś biegła mu krwawa szrama. Hacon schylił się nad nim, aby sprawdzić, czy brat zginął, czy żyje,

wtedy jednak jakiś twardy przedmiot uderzył go w tył głowy i natychmiast przestał cokolwiek widzieć.

Hacona obudziło cudowne, łagodne kołysanie. Otworzył oczy i zobaczył nad sobą rozgwieżdżone niebo urzekającej piękności. „Sztorm minął - pomyślał radośnie. - Zaraz dotrzemy do nowej ojczyzny...”.

Ból w prawej dłoni sprowadził go szybko do teraźniejszości. Usiadł gwałtownie.

- Candamir?

- Jest nieprzytomny - odezwał się z ciemności głos Larsa. Hacon przekręcił głowę. Lars stał przy sterze, rzucił Haconowi jedynie krótkie spojrzenie bez wyrazu i znów patrzył przed siebie. Znajdowali się na pokładzie jakiegoś dużego statku. „Morski Smok” - rozpoznał Hacon. Kiedy ukląkł i spojrzął za reling, zobaczył niespodziewany widok: morze. Była ciemna noc, gwiazdy migotały zimnym blaskiem, tu i ówdzie na grzebieniach fal połyskiwała piana. Na mgnienie oka rozradowało się serce Hacona. W odróżnieniu od Candamira tylko raz w życiu brał udział w rejsie, męczącym i bez żadnych wygod, tak samo jednak jak Candamir miał miłość do morza we krwi.

Radość Hacona nie trwała jednak długo. Oderwał wzrok od morza, rozejrzał się po pokładzie i dostrzegł swojego brata leżącego bez życia przy bakburcie. Hacon wstał niepewnie na nogi, podszedł do niego, przykląkł na deskach pokładu i nachylił się nad nim. Candamir oddychał, ale był zupełnie nieprzytomny. Ktoś zdjął mu kaftan i byle jak zwinięty w poduszkę włożył mu pod głowę. Było zbyt ciemno, żeby rozpoznać, gdzie i jak ciężko jest ranny

- Co z nim? - zapytał Hacon.

- Nie mam pojęcia - odparł Lars. - Zdaje się, że dostał konarem w głowę czy coś w tym rodzaju. Trzeba poczekać.

- A twój ojciec? - zapytał Hacon zakłopotany

- Mój ojciec nie żyje. - Nie sposób było zgadnąć, co Lars odczuwał, gdy to mówił. Zabrzmiało to obojętnie.

- Mimo to chcesz nas zostawić przy życiu?

- Na krótki czas. Przywiezienie was było celem naszej wyprawy

To sprowadziło Hacona na ziemię.

- Czegóż od nas chcecie?

- Chcemy tylko ciebie. Potrzebujemy kowala, Haconie. Twój brat przyda się nam tylko po to, żeby zapewnić nam twoją wierną służbę.

Hacon pokiwał głową. Czuł suchość w ustach. Miał jednak zupełnie spokojny głos, gdy powiedział:

- Cóż, będę robił, co tam chcecie, ale trochę to potrwa, zanim będę w stanie zacząć.

- Tak, widziałem twoją rękę. Nie szkodzi. Mamy czas. Kiedy się mieszka na pustkowiu, człowiek uczy się cierpliwości. Zobacysz.

Gdy weszło słońce, Hacon stwierdził, że załoga statku składa się z dziesięciu mężczyzn: synów Olafa - Larsa, Gunnara i Leifa, oraz siedmiu dawnych niewolników, którzy teraz nosili długie włosy i mieli broń za pasem. Hacon znał ich z przeszłości. Mimo to żaden nie chciał na niego patrzeć, a ci, którzy to uczynili, odpowiedzieli na jego spojrzenie wrogo i zaczepnie. Hacon posmutniał. Zanim zdążył do któregoś z zagadnąć, przyszedł Gunnar i zawiązał mu oczy

- Nie zdejmuj tej przepaski - pouczył go. - Lepiej dla ciebie, żebyś nie wiedział za dobrze, dokąd cię zabieramy, zrozumiano?

Hacon przytaknął z rezygnacją.

Nielatwo jest mierzyć upływ czasu, kiedy się nic nie widzi. Hacon ocenił jednak, że gdy zacumowali, były dwie lub trzy godziny po wschodzie słońca. Mężczyźni sprowadzili go z pokładu i podprowadzili jeszcze kawałek po skalistym podłożu. Następnie zmusili go, żeby ukląkł. Trwał nieruchomo, nasłuchiwał, a po chwili usłyszał pisk tarcia drewna o drewno. Najwidoczniej z użyciem drewnianych bali wciągnięto statek na ląd i zapewne ukryto gdzieś w skałach. Taki był, więc powód, dla którego ci, którzy żeglowali wzdłuż zachodnich wybrzeży, nigdy nie trafili na ślad statku Olafa.

Kiedy Hacon usłyszał ciche jęki, zaczął na oślep macać wokół siebie rękami.

- Candamir?

- Gdzie jestem? - zapytał brat wyczerpany.

Hacon wyczuł coś, co robiło w dotyku wrażenie ramienia, i wyszeptał dobitnie:

- Leż cicho i zamknij oczy, bracie.

- Hacon... Co z Olafem? Gdzie on jest? Co on...

- Cii... Rób, co mówię. Olaf nie żyje. Ale Lars i jego bracia zabrali nas ze sobą.

Jesteśmy w ich rękach.

Nie było reakcji, dało się tylko słyszeć, że Candamir oddychał teraz szybciej i z większym trudem.

- Co z tobą, Candamirze?

- Ja... Nie mam pojęcia. Olaf nie żyje?

- Tak właśnie.

- Ja go zabiłem?

- W pewnym sensie. Masz wszelkie powody do dumy.

- Ja... Kręci mi się w głowie.

- Bądź spokojny To przejdzie, zobaczysz. - Nie otrzymał odpowiedzi i uznał, że brat znów stracił przytomność. Zanim jednak zdążył zacząć poważnie się o niego martwić, wróciła załoga statku. Hacon słyszał, jak dyszeli ze zmęczenia.

Jednym szarpnięciem ktoś zerwał mu z oczu przepaskę, wyrrywając przy tym sporą garść włosów, takie przynajmniej odniósł wrażenie. Hacon rozejrzał się wokół. Jak się spodziewał, byli w wąskiej, skalistej zatoczce.

- Wstawaj! - rozkazał Lars. Potem mocno kopnął Candamira w żebra. - Ciebie też to dotyczy No, już! Przed nami kawał drogi.

- Dokąd? - zapytał Candamir oszołomiony, z wysiłkiem podnosząc się z ziemi.

- Zaraz zobaczysz. Jazda!

Lars postawił Candamira na nogi, a Gunnar związał go, unieruchamiając jego rękę na brzuchu.

- Chcę, aby twoja ręka możliwie szybko była zdrowa, dla tego ciebie nie zwiążę - wyjaśnił Lars Haconowi. - Ale gdybyś próbował uciekać lub atakować któregoś z moich ludzi, albo sprawiać jakieś inne kłopoty, wtedy zabiję Candamira.

Hacon przez chwilę popatrzył mu w oczy Potem bez słowa skinął głową.

Lars i jego bracia poprowadzili ich w górę nagiego, skalistego zbocza.

Kiedy dotarli do grzbietu, zobaczyli przed sobą na pozór nieskończone czarno-



brązowe pustkowie, poszarpane i poprzecinane szczelinami i pagórkami, w środku, którego wystawała ognista góra, jak wzniesiony w górę karcący palec. Dziś było spokojnie, szczyt zakrywała jedynie wąska smuga dymu albo pary.

Hacon i Candamir w milczeniu patrzyli na wschód. Aż po horyzont rozciągało się monotonne pustkowie.

- Otóż to - odezwał się cicho za nimi Lars. - Witamy w krainie pustki.

Szli w górę zbocza czymś w rodzaju żlebu, który wyglądał jak wyschnięte koryto strumienia i prowadził między dwoma płaskimi, stożkowatymi pagórkami. Po dwudziestu krokach odcięli się już od morskiej bryzy i mimo porannego chłodu nagle zrobiło się duszno. Osobliwe koryto strumienia poprowadziło ich wokół prawego stożka i tam niespodziewanie natrafili na niecały tuzin koni. Były mniejsze i silniejsze od koni z równiny, które Candamir hodował i oswajał. Ich sierść była jaśniejsza i bardziej gęsta, a grzywy były krótsze. W skalne podłoże wbite wcześniej żelazne kółka, do których konie były po dwa lub po trzy przywiązane uzdami.

Lars i jego ludzie odwiązali konie i napoili ze skórzanych bukłaków, które wzięli z pokładu. Zwierzęta piły łapczywie, ale każde dostało tylko kilka łyków, następnie mężczyźni związali bukłaki i dosiedli koni.

Lars kiwnął na Hacona.

- Skoro mój ojciec z nami nie wrócił, mamy jednego wolnego konia. Możesz jechać konno.

Candamir zafascynowany przyglądał się końskim kopytom, które tkwiły w płatach grubej wołowej skóry.

- Buty.. - mruknął. - Jest tak, jak przypuszczał Osmund.

- Niech konno jedzie mój brat - poprosił Hacon. - Mnie przecież niczego nie brakuje, a on ledwie się trzyma na nogach.

Lars niespiesznie stanął przed nim. Tak jak Jared, był bardzo podobny do ojca, równie wysoki, o tak samo jasnych oczach. Także ich spojrzenia bywały przeszywające.

- Słuchaj pilnie, Haconie. Tu, u nas, panują nieco inne zwyczaje. Kiedy ci coś mówię, to nie jest to propozycja ani też prośba, lecz rozkaz. Zatem: ty konno, a Candamir

pieszo. Czy to jasne?

Hacon nie odpowiedział od razu. Zapewne nie miał tak bojowej natury jak Candamir, odczuwał jednak opór, żeby tak po prostu się poddać. Dopiero dostrzegłszy spojrzenie brata, który gestem związanej dłoni pokazał mu, żeby się podporządkował, Hacon krótko kiwnął głową i wskoczył na grzbiet małego konia.

Konwój powoli ruszył w kierunku południowego wschodu. Lars jechał na przedzie i ciągnął Candamira za sobą na sznurze. Za nimi jechał Hacon, oskrzydłony przez Gunnara i Leifa. Pozostali ludzie podążali za nimi parami. Po jakichś stu krokach musieli opuścić płytki żleb i stopy Candamira po raz pierwszy dały o sobie znać w związku z rzeczywistym charakterem tego podłoża: nierównego, ostrego i zdradliwego, pełnego rozsianych dołków po kostki, jak jakaś dziobata twarz. Kiedy po dobrej pół godzinie Candamir pierwszy raz upadł, zranił się w oba kolana i golenie tak mocno, że poczuł spływającą po nogach krew. Po następnej godzinie jedna z charakterystycznych skalnych iglic, w które podłoże, było tu bogato uzbrojone, przebiła się przez jego lewą podeszwę i od tej pory utykał.

- Jak to jest daleko? - zapytał Hacon.

- O zachodzie słońca będziemy na miejscu - odparł Gunnar.

„O, potężny Tyrze!” - pomyślał Candamir.

Nie minęło jeszcze pół przedpołudnia, a na pustkowiu zapanował upał jak w piecu. Powietrze połyskiwało nad ziemią, która zdawała się wchłaniać promienie słońca jak gąbka i odbijała jego ciepło.

Candamir znalazł się w przedziwnym, niewyraźnym świetle. W głowie miał głuchy łoskot, tracił równowagę i nieostro widział. Był bardzo spragniony. Najwięcej kłopotu sprawiały mu jednak stopy. Bolały go, a przy każdym kroku czuł w butach wilgoć, która mogła być jedynie jego własną krwią. Mrużąc oczy, starał się spojrzeć w dół, na stopy, nie był jednak w stanie ich wyraźnie dostrzec. Tak samo nie widział podłoża. Dlatego zataczał się i co rusz potykał.

Okolo południa Lars zarządził krótki odpoczynek. Znajdowali się u stóp północnego stoku wzgórza, które wcześniej objechali i które nie dawało cienia, gdyż słońce stało wysoko. Na tej pustyni nigdzie nie było cienia, jak potem powiedział Gunnar Haconowi, dlatego nawet sami bogowie bali się tej opustoszałej krainy.

- Każdy człowiek i każdy koń dostaną po pół kubka wody - poinformował Lars. - To znaczy wszyscy z wyjątkiem Candamira.

Hacon spojrział w kierunku brata. Gdy tylko konwój się zatrzymał, Candamir upadł na kolana i teraz leżał na boku, zasłaniając rękoma twarz przed słońcem. Niczym nie dał po sobie poznać, czy usłyszał, że ma dalej umierać z pragnienia.

Kiedy Gunnar podał Haconowi napełniony do połowy kubek, młody kowal zsiadł z konia i pokręcił głową.

- Wypiję, jeśli mój brat też wypije. Nie wcześniej. Gunnar odwrócił się w stronę do Larsa. Ten obojętnie wzruszył ramionami.

- Naucz się, żeby na drugi raz nie rezygnować z przydziału. Zachowaj jego część dla Leifa, żeby nas znowu nie zatrzymywał, zanim nie dotrzemy do domu.

Mężczyźni się roześmiali, a szesnastoletni Leif opuścił zawstydzony głowę. Złość Hacona z powodu nieskuteczności jego dzielnych gestów została przewyciężona przez zdumienie. „Do domu? - zastanawiał się z niedowierzaniem. - Jak można domem nazywać takie opuszczone przez bogów miejsce?”

Nikt nie dostał nic do jedzenia. Czyż oni wszyscy nie byli głodni? Haconowi już od jakiegoś czasu burczało w brzuchu, gdyż jego ostatnim posiłkiem było wczorajsze śniadanie. Przyjrzał się dokładniej Larsowi i jego ludziom. Wszyscy wyglądali na szczupłych i dobrze zbudowanych, ale nie chudych. „Dlaczego zresztą mieliby być chudzi - pomyślał z goryczą. - W końcu przez te wszystkie lata świetnie im się żyło z pracy naszych rąk...”

Kiedy Lars znowu szarpnął Candamira, żeby postawić go na nogi, ten miał wielki problem w utrzymaniu pozycji pionowej. Jego stan podczas tego odpoczynku wyraźnie się pogorszył. Męczyło go pragnienie, w głowie szumiało, a świat mu falował przed oczami.

- Jak długo jeszcze? - zapytał.

Lars przyjrzał mu się z założonymi rękami, a usta wykrzywił mu szyderczy uśmiech.

- W twoim ślimaczym tempie pięć albo sześć godzin. Candamir pokiwał głową. Żałował, że w ogóle pytał, bo wiedział, że nie da rady.

Lars, Hacon i pozostali dosiedli znowu koni i ruszyli w dalszą drogę. Okolica zaczęła się stopniowo zmieniać. Z wyszczerbionych łańcuchów pagórków zrobiła się rozległa równina. Właściwości podłoża wciąż się jeszcze nie zmieniały, a po lewej stronie nadal wznosiła się ognista góra, którą stopniowo zostawiali za sobą. Na tym pustkowiu nie było żadnego ruchu. Nie było żadnego zauważalnego życia, żadnej zieleni, niczego, co podniosłoby na duchu i pozwoliło oczom oderwać się od tej nieskończonej czarno-brązowej przestrzeni. Doprawdy, nietrudno było w tym kraju wpaść w rozpacz.

Kiedy Candamir po raz drugi tego popołudnia upadł, uświadomił sobie, że to już koniec. Nie był w stanie się podnieść. Podeszwa lewego buta była rozerwana od palców po piętę, a stopa była tak poharatana, że przy każdym kroku zostawał krwawy ślad. Gorsze od zranionej stopy było jednak pragnienie. Candamir zastanawiał się, półprzytomny, czy może nie zauważywszy tego, już umarł i jest na drodze do straszego poziomego świata.

Lars szarpnął za sznur.

- Wstawaj!

Candamir się nie ruszył

- No, jazda! Wstawaj. Nie było reakcji.

- Czy to znaczy, że już nie możesz? - zapytał Lars. - To uważaj, zaraz dowiodę ci czegoś przeciwnego. - Otworzył skórzany wór, który podobnie jak bukłak miał przewieszony przed sobą na końskim grzbiecie, wyjął zwinięty pejcz i zsiadł z konia.

Kiedy Candamir usłyszał ciche dzwonienie ołowianych ciężarków na końcach rzemieni, rozpoznał znajomy dźwięk.

- Larsie... - zaczął niepewnie Gunnar, ale brat uciszył go podniesionym palcem wskazującym. - Bądź cicho!

Hacon zsiadł z konia. Zanim jednak zdążył wypowiedzieć słowo protestu, Lars podszedł do niego i smagnął go rzemieniami po piersiach.

Hacon krzyknął, nie tak rozdzierająco, jak wtedy, ale wstrząs spowodowany nagłym, ostrym bólem był taki sam, a przy tym atak był tak całkowicie niespodziewany, że nie zdołał w całości stłumić okrzyku. Zabrzmiał oburzeniem i złością, ale Candamir podniósł nagle głowę jak pies, który zwęszył znajomy zapach.

- Przestań - wybełkotał. - Przestań, Olafie... Tym razem rzemienie wylądowały na jego plecach.

- Nie jestem Olaf - wycedził Lars. - Olaf nie żyje. Ty go zabiłeś.

- Powiedziałbym raczej, że zabił go Thor - sprzeciwił się Hacon, choć w to nie wierzył. - To on zesłał piorun, który roztrzaskał drzewo w taki sposób, że pogrzebało twojego ojca. A jeśli chcesz, żebym kiedykolwiek dla ciebie choćby kiwnął palcem, to teraz zostawisz mojego brata w spokoju.

Lars odwrócił się do niego. Był spokojniejszy i bardziej opanowany niż jego ojciec, ale nie mniej przerażający. Oczy robiły wrażenie osobliwie zimnych, bez żadnych uczuć. Hacon nie był w stanie wyobrazić sobie, żeby Lars kochał jakąś kobietę, miał dzieci czy ujawnił jakiegokolwiek ciepłe ludzkie uczucia. Lars był jak ta kraina.

- Czy to ręka Candamira, czy Thora, to nie ma znaczenia - oświecił Hacona obojętnie. - Twój brat był przekleństwem mojego ojca od zawsze. To on spowodował jego upadek, jego wygnanie i jego śmierć. A teraz za to zapłaci. - Odwrócił głowę, przez chwilę w zadumie popatrzył na Candamira i kopnął go w zębra. - Nieprawda? Przecież wiesz.

Candamir miał zaciśnięte powieki, ale skinął głową.

Lars spojrzał znowu na młodszego z braci.

- I obaj będziecie mnie słuchać. Jeśli jeden z was zbuntuje się przeciwko mnie, drugi zapłaci rachunek. - Tę zasadę wprowadził jego ojciec, ponieważ wielu jego dłużników było rodzeństwem lub z upływem lat stawali się parami. Właśnie w takich okolicznościach potrzebni byli zaufani ludzie. I Olaf to wykorzystywał, żądając odpowiedzialności za każdego innego człowieka.

- I jak, Candamirze? Czy teraz pójdziesz dalej, czy muszę najpierw Haconowi zedrzeć skórę z pleców?

Candamir nigdy by nie przypuszczał, że raz jeszcze znajdzie w sobie siły, aby się podnieść. Zaskoczył jednak sam siebie. Poszło lepiej, a przede wszystkim szybciej, niż

się spodziewał. Głowę miał zwieszoną, nikomu nie patrzył w twarz i zrobił dwa chwiejne kroki, aż stanął przy koniu Larsa. Jakby niecierpliwie czekał, że wreszcie ruszą w dalszą drogę.

Niecałą godzinę później ponownie upadł, lecz tym razem nie dało się go zmusić do powstania ani kopniakami i biciem, ani obelgami i groźbami. Kiedy Hacon nachylił się nad bratem, był przekonany, że Candamir nie żyje. Nie dostrzegał jego oddechu. Gdy jednak położył mu dłoń na piersi, wyczuł słabe bicie serca.

Kręcąc głową, Hacon podniósł wzrok.

- Tym razem tak łatwo go nie ożywisz, Larsie.

- Zaraz zobaczymy...

- Och, na wszystkich bogów, Larsie, bądź rozsądny! - jęknął Gunnar do brata. - Słońce już zachodzi. Jeśli chcemy dotrzeć przed nocą, musimy się spieszyć. A nie nacieszysz się Candamirem, gdy nam teraz umrze. A, moim zdaniem, on wygląda na umierającego.

Lars ustąpił niechętnie.

- Niech ci będzie. Przerzuć go przez konia Leifa. Leif przejdzie się ćwierć mili piechotą. Potem ktoś inny go zwolni.

Hacon zauważył ze zdziwieniem, jak sprawnie Leif i inni poruszali się w tym trudnym terenie. Najwidoczniej można się było tego nauczyć, skoro się miało sześć lat na ćwiczenie. Gdy Candamira załadowano jak worek ziarna na silnego, wytrzymałego konia, konwój znacznie przyspieszył, a kiedy słońce jak rozżarzona ognista kula jeszcze wisiało nad zachodnim skrajem pustkowia, dotarli do celu.

Nagle droga zaczęła opadać stromo w dół, do jakiejś głębokiej kotliny. Nie była to jednak kotlina, musiał się poprawić Hacon. Raczej jaskinia w ziemi, głęboka na dziesięć sążni. Teren tworzył nieregularny okrąg o średnicy może dwudziestu kroków, a w skalnej ścianie była także niemal okrągła brama.

Prowadziła do naprawdę niesamowitego świata.

Lars zrobił drwiący gest zaproszenia.

- Nie krępuj się, Haconie. Wjedź do środka. To jest twierdza Olafa. Prawdopodobnie jedyna na świecie forteca nie do zdobycia.

Nie było w tym kłamstwa. Skalna brama prowadziła do przestronnej jaskini używanej jako obora i stajnia. Pochodzące z wielokrotnych kradzieży zwierzęta stały wzdłuż ściany na obfitej warstwie siana, także kradzionego, które widocznie regularnie usuwano i zmieniano, ponieważ zapach nie był gorszy niż w każdej zwykłej oborze. Mężczyźni zsiadli z koni i przekazali je dwóm niewolnikom porwanym Hafladowi, którzy pełnili tutaj straż.

- Gdzie jest; jarl? - zapytał jeden z nich.

Słowo to zabrzmiało obco w uszach Hacona. „Jarl” oznaczało wielkiego pana lub przywódcę potężnego klanu, ale w Elсандzie nigdy tak Olafa nie nazywano.

Najwidoczniej tutaj było inaczej. Lars odparł:

- Stoi przed tobą. Mój ojciec nie żyje. Zeszłej nocy pochowaliśmy go na morzu razem z jego bronią i kosztownościami.

Wiadomość wywołała przerażenie, ale bez oznak żałoby

- Zajmij się końmi, a potem przyjdź do izby - polecił Lars. - Mamy mnóstwo do omówienia.

Zdumiony Hacon zastanawiał się, co Lars miał na myśli, mówiąc o izbie. Przecież to tutaj to tylko dziura w skale. Miał jednak szybko stwierdzić, że się mylił.

Dwóch mężczyzn ściągnęło Candamira, który nadal był nieprzytomny, i brutalnie chwyciło, ale Hacon podszedł do nich i poprosił:

- Pozwólcie, że ja go zaniosę.

- Przecież masz zranioną dłoń - zaproponował wyższy z nich.

Hacon uśmiechnął się słabo.

- Uda się mimo to.

Zdrową lewą dłonią wziął Candamira za rękę i przerzucił go sobie przez ramię, jakby ten nie był cięższy od worka siana.

Mężczyźni wymienili ze sobą ukradkowe spojrzenia i z uznaniem pokiwali głowami. Ten skromny popis siły nie uszedł także uwagi Larsa, który postanowił, że nie zapomni tego, co tu widział.

Następnie wziął pochodnię ze stojaka w skalnej ścianie i poszedł dalej w głąb szybu. W migotliwym świetle Hacon zauważył, że jaskinia była znacznie głębsza, niż przypuszczał. Po trzydziestu krokach podłoże spadało stromo w dół, Bóg jeden wiedział, jak głęboko. Hacon zajrzał w przepaść i nie dostrzegł niczego poza czernią bez dna. Nad przepaścią wisiał jednak most z drewnianych desek, szerokich na krok. Przeszedłszy przez niego z obciążeniem na ramionach, obejrzał się na chwilę za siebie i zauważył, że był to most ruchomy. Musiał uznać, że Lars nie przesadzał. Po zdjęciu mostu miejsce to rzeczywiście było nie do zdobycia.

Za przepaścią zaczynał się szeroki, dość stromy korytarz, z którego tu i ówdzie odgałęziały się wejścia do następnych pieczar. Niektóre były pogrążone w mroku i tam Hacon nie mógł niczego dostrzec, ale w innych płonęły pochodnie, i zobaczył osobliwie okrągłe pomieszczenia, jakby bańki powietrza w skale. W jednej z nich trzy kobiety starały się dotrzeć do pieca. Dym szedł pionowo w górę i znikał. „Musiał tam być komin na zewnątrz” - stwierdził ze zdumieniem. Było nawet trochę naturalnego światła dziennego.

Korytarz w skale miał nierówne podłoże i wił się dalej, aż w końcu doprowadził do największej skalnej pieczary, jaką Hacon w życiu widział. Była wyższa i szersza od każdej izby, jaką zdołałaby wykonać ręka ludzka. Część oświetlona przez pochodnie miała z pewnością trzydzieści kroków szerokości i pięćdziesiąt długości. Z tyłu zaczynała się ciemność, ale jaskinia zdawała się iść jeszcze dalej.

- Tam - Gunnar wskazał palcem ścianę po prawej, pod którą na ziemi leżało kilka koców. - Tam go połóż, Haconie.

Hacon z ulgą pozbył się ciężaru, ułożył nieprzytomnego brata na ziemi i ponownie zbadał mu tętno. Bez zmian. Kiedy Hacon się podniósł, zauważył w świetle pochodni, że ściana gdzieś połyскуje zielenią, a nawet czerwienią. Wiedział, że są to oznaki obecności miedzi i żelaza, zaraz, więc nasunęło mu się pytanie, czy Lars nie będzie chciał, żeby wydobywał żelazo tutaj, w samym środku swojego mieszkania.

- Pewnie chce ci się pić, Haconie. Masz, napij się. Wzdrygnął się. Piękna irlandzka niewolnica Olafa, którą dobrze pamiętał, stała przed nim i podawała mu rogowy kielich. Hacon przyjął go z wdzięcznością i łyknął. Była to woda. Nigdy nie słyszał o ludziach, którzy by pili wodę z rogowych kielichów, ale zapewne rogi wołowe



były tu po prostu naczyniami, które najłatwiej było uzyskać. A może woda była tu tak cenna, że połączane kubki były stosowne?

- Myślisz, że mógłbym dostać jeszcze trochę? Muszę spróbować wlać odrobinę w usta mojego brata. I opatrzyć mu rany.

- Przyniosę ci tyle, ile chcesz - przyrzekła z nieśmiałym uśmiechem. - Wody mamy pod dostatkiem.

Usłyszał to Gunnar stojący w pobliżu i dostrzegł wyraz zdumienia na twarzy Hacona. Wskazał na ciemny koniec izby

- Tam jest jezioro. Naturalny zbiornik, jeśli wolisz. Na pustkowiu pada tyle samo deszczu, co na całym Catanie, jak się domyślasz. Na powierzchni słońce zaraz odparowuje wodę, ale wyłobila ona sobie drogę przez porowate skały do tej jaskini i stworzyła zbiornik. Jest ogromny. I nawet w lecie nigdy nie jest suchy.

- Ta woda ma doskonały smak - oświadczył Hacon uprzejmie. Smakowała czystością i w jakiś nieokreślony sposób także skałą. Można było zauważyć, skąd pochodzi.

Gunnar przytaknął.

- Nauczyliśmy się ją cenić. Tamte pierwsze tygodnie, zanim znaleźliśmy to miejsce, były straszne.

- Tak. Wierzę.

Nagle uprzedzenia ponownie nabrały mocy. Jako chłopcy bawili się razem w Elasundzie, chodzili na ryby i psocili na różne sposoby. Wspólnie przeżywali wyjazd do nowej ojczyzny, sztorm, odkrycie Catanu i początki nowego życia. A teraz byli wrogami.

Irlandka wróciła z naczyniem wody i Haconowi ulżyło, że dostarczyła mu pretekstu, aby przerwać tę rozmowę, która się nie kleiła.

- Muszę zajrzeć do brata, Gunnarze. Młody człowiek skinął głową.

- Wygląda na to, że długo nie pociągnie.

- Cóż. Macie tu jakieś lecznicze zioła? Gunnar prychnął rozbawiony.

- Niewiele tutaj rośnie. Mamy tu pył i kamienie. Pył i kamienie. Nic poza tym.

Hacon nie mógł wiele zdziałać dla brata. Wlanie w niego wody okazało się

niemożliwe, bo Candamir nie przeżywał. Przemysł więc rany czystą wodą. Stopy Candamira były jedną miazgą krwi i błota, i to one zajęły Haconowi najwięcej czasu. Widział, że mimo tych wysiłków zaczynają puchnąć. Odwinął płótno z własnej dłoni, obejrzał badawczo ranę i szwy, i też przemysł rękę w wodzie. Mimo starań Olafa szwy zdawały się trzymać, a brzegi rany nie były napuchnięte. Dłoń go nie paliła i Hacon nie odkrył śladów ropy. To dało mu pewną nadzieję. Wyplukał płótno w pozostałej wodzie i prowizorycznie obwiązał dłoń na nowo. Robiąc to wszystko, cały czas modlił się do Jezusa Chrystusa, tak, jak uczył go Austin. Nie pozwalał sobie na myślenie o domu, o Gundzie i dzieciach, o Aście, Haraldzie i Siglind, o tym, jak bardzo się martwią o niego i Candamira. Również nie bez walki przestał się martwić o chorego brata. Zamiast tego złożył los ich wszystkich w ręce Boga i jak zawsze znalazł w tym pociechę i siłę.

Odgarnął Candamirowi spocone włosy z czoła, z czułością większą, niż by się odważył, gdyby brat był przytomny. Twarz okolona krótką czarną brodą, podobna do twarzy Hacona bardziej, niż ten to sobie uświadamiał, wydała się Haconowi szczuplejsza niż jeszcze poprzedniego dnia, niemal wychudzona i strasznie blada.

- Chciałbym być w stanie dla ciebie zaśpiewać, tak jak ty dla mnie śpiewałeś - mruknął młodszy brat - ale obawiam się, że gdy zaśpiewam, tylko skłoni cię to do definitywnego już rozstania się z tym światem.

Usta Candamira ściągnęły się nagle i przez chwilę wyglądał tak, jakby się uśmiechał.

- Candamir? - zapytał Hacon pełen nadziei i delikatnie potrząsnął nim za ramię. Nie otrzymał jednak odpowiedzi.

Ponad dwa tuziny mężczyzn i kobiet zgromadziły się w izbie na wieczerzę. Zgodnie z rachubą, jaką jeszcze poczynili w domu, do wygnańców zaliczono tymczasem - oprócz Olafa, jego czterech synów i dwóch córek - również dziesięciu mężczyzn i osiem kobiet. Hacon widział przy tym, że i tutaj nastąpiły zmiany: synowie i córki Olafa dorośli, jak i on sam. Gromadka zdrowych dzieci dokazywała w skalnej izbie. Odkrył też jedną z niewolnic Ivara, o której wszyscy sądzili, że utonęła podczas kąpieli w rzece, a także jednego z Jutów, który należał do Haldira i który nigdy nie powrócił z wyprawy

łowieckiej na południowym brzegu. Nawet na tej nieurodzajnej pustyni społeczność rozwijała się i rosła.

- Poległ w walce - poinformował Lars swoich milczących słuchaczy. - Pojmał kowala, ale potem pojawił się jego brat...

Zgodnie z prawdą opowiedział, co się wydarzyło, i opisał, jak nocą oddali ojca morzu.

- Sądzę, że było to słuszne - zakończył. - Nikt nie znał i nie kochał morza tak, jak on.

Wszyscy zgodnie przytaknęli.

Po stosownej chwili milczenia Irlandka zapytała:

- Czy mam kowalowi przynieść coś do jedzenia, jarl?.

- Koniecznie - odpowiedział Lars. - Chcemy przecież, żeby pozostał przy siłach.

Młoda kobieta wstała i napełniła miskę z garnka stojącego pośrodku. Wszyscy siedzieli na skórach i wełnianych kocach rozłożonych na skalnym podłożu. W tej wspaniałej sali nie było żadnych mebli. Haconowi przeszło przez głowę, że potrzebowali stolarza równie pilnie jak kowala.

Z wdzięcznością skinął głową i wziął miskę, którą przyniosła dziewczyna. W misce był tłusty rosół z wołowiną. Kiedy łąpczywie jadł, usłyszał, jak Lars mówi dalej.

- Kitel, rano pójdziesz z dwoma ludźmi i jucznymi zwierzętami na brzeg i sprowadzisz tu ładunek ze statku.

Zagadnięty ochoczo skinął głową, ale zapytał:

- Co to jest? Żebym wiedział, ile potrzeba zwierząt.

- Wszystkie. To są ciężkie rzeczy. Żelazo, kowadło i rozmaite narzędzia.

Hacon poczuł bolesne ukłucie i się wyprostował.

- Ach tak? Po prostu opróżniliście mój warsztat, tak?

Lars ze zmarszczonym czołem spojrzał przez ramię w jego kierunku.

- Na niewiele byś się nam przydał bez swoich narzędzi.

„A kim będę, jak kiedyś wrócę do domu?” - chciał zapytać Hacon, ale się powstrzymał. Wiedział, że nigdy go nie wypuszczą. Poza tym wiedział już o nich zbyt dużo. Nie sądził, że zdołałby znaleźć powtórnie drogę do tej jaskini, gdyż na jego oko całe to pustkowie wyglądało wszędzie tak samo. Dla Larsa byłoby to jednak ryzykowne.

Haconowi nic się nie śniło i głęboko spał u boku swojego brata, będąc całkowicie wyczerpanym po mordędze poprzedniego dnia i nocy. Kiedy się obudził, stwierdził, że Candamir nadal nie odzyskał przytomności, nadziei a więc osłabła. Bicie serca wydawało się jeszcze wolniejsze i słabsze niż wczorajszego wieczoru i wciąż bezowocne były próby wiania w brata, choć trochę wody.

- Czy on umiera? - zapytał obojętnie Lars, który nagle przy nich stanął.

Hacon ze smutkiem rozłożył ręce.

- Nie wiem. Mogę jedynie zgadywać. Ale... zdaje się coraz głębiej zapadać.

- Mam nadzieję, że cierpi - odparł Lars ze starannie kontrolowaną złością. - To jest po prostu minimum...

Hacona niespodziewanie naszła tak potężna wściekłość, że nie zapanował nad sobą.

- Twój ojciec dostał tylko to, na co zasłużył! - wydyszał.

- Nie, nieprawda. Za łatwo się wywinął. Przez całe lata nas poniżał i uciskał, wszystkiego próbował, żeby między mną i bratem zasiać niezgodę. Nappełnił nasze życie goryczą dla swojej czystej przyjemności. To był potwór!

Lars niezdecydowanie kiwał głową, jakby nie był pewien, czy powinien się z tym poglądem zgodzić, czy też nie.

- Miał też drugie oblicze - oświadczył nieoczekiwanie.

- Umiał być zupełnie inny

- Tak. Jeśli to służyło jego zamiarom. - Hacon zamknął się tutaj na tę prostą prawdę, której nauczył go Austin, że nawet najobrzydliwszy grzesznik ma dobrą stronę, którą za pomocą Słowa Bożego można wyłuskać. W teorii brzmiało to dobrze, ale zdawało się nie pasować do Olafa. Hacon nienawidził Olafa, chociaż wiedział, że jego wiara właściwie zakazuje takich uczuć. Nienawidził i bał się. - Cieszę się, że teraz obgryzają go ryby! - rzucił z nietypowym dla siebie zacięciem. - A gdybyś ty miał, choć iskierkę rozumu, też byś się cieszył.

Lars nie wpadł we wściekłość, jak by to zrobił jego ojciec. Po prostu pokręcił głową i powiedział:

- Nie rób tego błędu i nie sądź, że jestem inny niż ojciec. Jestem synem, którego zawsze pragnął i którym Jared nie mógł być.

- W takim razie pozostaje mi jedynie uzalić się nad tobą - odparł Hacon.

Pięć dni i nocy trwał zagadkowy brak przytomności u Candamira. Hacon żarliwie modlił się o życie brata i prawie go nie opuszczał. Mimo to w ciągu tych dni poznał życie w twierdzy Olafa, gdyż toczyło się ono głównie w wielkiej izbie. Leżała ona głęboko w trzewiach pustkowia i tu, na dole, panowała wieczna noc. Istniał jednak ustalony rytm. Mieszkańcy nauczyli się wyczuwać, kiedy w świecie na zewnątrz wschodzi słońce, i wstawali z nadejściem dnia. Nie brakowało zdobycznego oleju i łożu do lamp, nie skąpiono pochodni, a wszędzie na ziemi stałe paliły się małe lampki, które pokrywały ściany jaskini ciepłym migotaniem, pozwalając połyskiwać minerałom i rudom. Hacon nie mógł się powstrzymać, żeby nie doceniać piękna tego miejsca.

Mieszkańcy izby zjadali wspólne śniadanie, po czym rozchodzili się do swoich rozmaitych zajęć, które nie odróżniały ich szczególnie od innych ludzi: kobiety przygotowywały posiłki, sprzątały, przędły, tkwały, szyły i zajmowały się dziećmi, mężczyźni doili krowy i oporzadzali bydło oraz wykonywali wszystkie zadania, które trzeba było przeprowadzać poza twierdzą. Następnego ranka po ich przybyciu Kiteł razem z kilkoma innymi ludźmi oraz całym rogiatym bydłem poszli na brzeg, żeby zabrać łupy z pokładu, jak nakazał Lars. Ci, bowiem, którzy brali udział w napadzie i sprowadzili Hacona i Candamira, nie mogli jeszcze ze swoimi końmi sprowadzać ciężkich ładunków. Konieczny był, więc wyczerpujący marsz na brzeg pod palącym słońcem - cały dzień w jedną stronę, dzień z powrotem. Dla Hacona stało się jasne, jak męczące jest tu życie, jak mało ci ludzie mają z tego, co dla niego samego i jego otoczenia wydaje się oczywiste.

Również Lars był często poza twierdzą, zastawiając zwykle Gunnara, żeby w czasie jego nieobecności strzegł prawa. Czasem Gunnar przychodził do Hacona i siadał z nim na chwilę. Tak było także piątego dnia.

- Twój brat wygląda lepiej - zauważył zdziwiony - I widać wyraźnie, że oddycha.

Hacon kiwnął głową.

- Tak. Myślę, że wyzdrowieje. Teraz śpi.

- Hm... Nie bierz mi tego za złe, ale obawiam się, że dla niego byłoby lepiej, gdyby umarł. Lars naprawdę na niego się zawziął.

- Nie przeoczyłem tego. Ale jeśli chce, żebym wykuł dla was nową broń i narzędzia, to powinien się dobrze zastanowić nad tym, co robi.

Gunnar w zamyśleniu pokiwał głową, ale nie sprawiał wrażenia przekonanego.

- A co z tobą? - zapytał Hacon. - Tak mi się zdaje, że nie czujesz nienawiści do Candamira za to, że zabił twojego ojca, przynajmniej w pewnym sensie.

- Nie, chyba nie. - Gunnar skrzywił się, jakby w poczuciu winy, i wzruszył ramionami. - Bałem się ojca, jak każdy tutaj. Dobrze o nas dbał, ale jarłem był bardzo surowym. Lars też taki będzie na swój sposób, ale jest przecież moim bratem. To, co innego. Sądzę... To dla mnie ulga, że ojciec nie żyje.

Hacon pomilczał przez chwilę, po czym zapytał cicho:

- Ale przecież rozumiesz, że ten fakt całkowicie wszystko zmienia, prawda? Twój ojciec był przestępcą osądzonym przez thing. Nie dotyczy to ani ciebie, ani twojego rodzeństwa, ani nikogo innego tutaj. Jestem przekonany, że thing mógłby postanowić, że co było, to było. Wy... wy moglibyście wrócić.

Gunnar uniósł brwi i przyglądał mu się, kręcąc głową.

- Niewolników, którzy u nas otrzymali wolność, twoja propozycja na pewno nie zachwyci.

- Wszystko można wynegocjować - zauważył niejasno Hacon.

Gunnar go wyśmiał.

- Daj spokój! Łatwo mogę sobie wyobrazić, dlaczego chcesz mnie omamić, ale podaruj sobie. Życie tutaj wydaje ci się może nieznośne, ale myśmy do niego przywykli. Wolimy to niż harowę w polu. Sami ustanawiamy reguły i nie musimy się podporządkowywać żadnemu thingowi ani żadnej złośliwej, starej wiedźmie. Jesteśmy wolni.

- Jesteście wygnańcami - odparł Hacon, przy czym nie całkiem udało mu się stłumić ton wyższości.

- Widzisz, to właśnie jest powód, dla którego wami gardzimy - powiedział Gunnar i nie brzmiało to nawet nieprzyjaźnie. - Niektórzy tutaj również was nienawidzą,

przede wszystkim niewolnicy. Ja wami tylko pogardzam. Bo sądzicie, że wasz sposób życia jest jedynym słusznym. Myślicie, że jesteście czymś lepszym od nas. A cóż takiego robicie? Harujecie od świtu do nocy, płodzicie kilku smarkaczy, później zaś kładzecie się i umieracie.

- A co wy robicie? - zaciekawił się Hacon.

- To, co się nam podoba. Ujarczmy tę ziemię, a nawet was. Każemy wam pracować dla nas. Przecież tak naprawdę to jesteście niewolnikami.

- Wasza wolność to buntownicze bezprawie - odrzekł Hacon. - Ziemia, którą podobno ujarczmy, to tylko proch i kamienie, jak sam mówiłeś. O cóż tutaj warto się tak bardzo starać?

- Może to zrozumiesz, gdy trochę dłużej tu pobędziesz. I mylisz się. Do nas należy nie tylko ta pustynia. Wczoraj mój brat wyruszył z kilkoma ludźmi na południe, aby sprowadzić nowe konie i trochę dodatkowego bydła. Południe jest tak bogate i żyzne jak okolica, którą wyście zasiedlili. A na leży tylko do nas.

- Dlaczego więc żyjecie tu, a nie tam?

Gunnar uśmiechnął się z drwiną.

- Żeby być bliżej was. Nie powinniście przecież o nas zapominać. A nie chcemy mieć niepotrzebnie długiej drogi do przewożenia waszego zboża, siana i bydła, rozumiesz.

Hacon skrzywił się z niesmakiem.

- Powinniście byli tymczasem zauważyć, że nie jesteśmy już taką łatwą zdobyczą.

- A wy powinniście byli zauważyć, że na każdy wymyślony przez was środek obronny znajdujemy sposób. Uważamy, że to naprawdę jest śmieszna strata czasu.

- To zdradź mi, jak to zrobiliście - odezwał się niespodziewanie Candamir. - Jak tym razem dostaliście się do osady?

- Candamir! - Hacon z przerażenia aż skoczył na równe nogi. - Obudziłeś się!

Candamir przytaknął, nie odrywając jednak wzroku od Gunnara.

Ten spojrzął na niego lekceważąco.

- Chętnie byś się dowiedział, co?

- Tak. Naprawdę chciałbym wiedzieć - przyznał Candamir.

Gunnar przez chwilę walczył ze sobą, ale nad ostrożnością górę wzięła potrzeba

pochwalenia się przebiegłością.

- Cóż, czemu nie miałbym ci powiedzieć, to przecież nie ma znaczenia. Obserwowaliśmy waszych ludzi przy zbiorce siana. Potem tak samo jak oni zawiązaliśmy sobie głowy i twarze chustami, i razem z nimi dostaliśmy się przez bramę do osady. Osobiście zaniósłem nawet jedną wiązkę siana pod drzwi mojego szacownego brata Jareda. Wydawał się trochę zdziwiony, że ma nadmiarowego pomocnika, ale mnie nie poznał. - Szydercza mina Gunnara na chwilę zrobiła się mroczna. Potem zakończył, wzruszając ramionami: - Zanim was zabraliśmy na pokład „Smoka”, przekradłem się z powrotem i podpaliłem mu tę jego przeklętą stodołę, napełnioną po sam strop.

- Och, Jared! - wyrwało się Haconowi. Odruchowo zasłonił twarz rękami. Jared, jego żona i dwaj parobkowie tak ciężko harowali, żeby mając tak mało siły roboczej, zapewnić sobie trochę dostatku. A Jared nie miał też łatwego życia, bo za każdym razem, kiedy jego ojciec napadał na osadę, syn musiał znosić wrogie spojrzenia i obelgi, niektórzy ludzie zaś całymi tygodniami traktowali go jak powietrze.

Candamir rzucił bratu karcące spojrzenie. Mówiło ono: „Weź się w garść i nie daj mu poznać, jak dotkliwie są dla nas te ich napady”. I oczywiście Candamir miał rację, o tym Hacon wiedział, ale zawsze z trudem mu przychodziło być innym niż z gruntu uczciwym. Zdjął ręce z twarzy i splótł je na piersiach.

- Tak. Da sobie radę. Jared ma w osadzie wielu przyjaciół. Na szczęście. Kto ma takich braci jak on, nie może sobie robić wrogów.

Gunnar gwałtownie wstał i wyszedł.

- Świetnie, Haconie - pochwalił Candamir z ironią. - Właśnie obraziłeś jedyne go sojusznika, jakiego tutaj mamy

Hacon machnął ręką.

- Poradzimy sobie bez sympatii takiego kundla.

- Mów za siebie - skarcił go Candamir niemrawo. - Nie cenię sobie jego sympatii, ale teraz, skoro wygląda na to, że jeszcze trochę pożyję, chciałbym możliwie szybko żyć na wolności.

Hacon uśmiechnął się z ulgą.

- Miło słyszeć, że znowu potrafisz być szyderczy i robić plany. Jak się czujesz?

- Okropnie. I pić mi się chce.



Hacon przyniósł mu rogowy puchar pełen wody.

Candamir ostrożnie usiadł, chwycił róg w obie dłonie i opróżnił go zachłannymi łykami. Kiedy go odstawił, był zdyszany

- Co... co się działo? Gdzie jest Olaf?

- Nie pamiętasz?

- Tylko strzępy. Pamiętam, że trafiłem na Olafa u ciebie i że w twoim ogrodzie walczyliśmy na miecze. Była ulewa. Burza? Tak. Tak, to była burza. Potem nic już nie pamiętam, aż do chwili, kiedy doszedłem do siebie na skalistym brzegu. Co się działo?

Hacon opowiedział.

Candamir słuchał uważnie z lekko zmarszczonym czołem. Kiedy jego brat skończył, w zamyśleniu pokiwał głową.

- Lepiej by było, żebym to ja sam go zabił.

- Cóż, to twój sztylet przebił mu serce. Uważam, że możesz być bardzo zadowolony A w obliczu tego, że jesteśmy tu uwięzieni, z pewnością lepiej, żeby wszyscy myśleli, że miała w tym udział potężna ręka Thora.

Candamir uśmiechnął się markotnie.

- Jakoś nie chce mi się wierzyć, że właśnie to uratowało mnie od żądzy zemsty, którą pała Lars.

Jego złe przeczucia go nie zawiodły. Kiedy Lars wieczorem wrócił i zobaczył, że Candamir jest przytomny i mniej lub bardziej zdrowy, jego twarz przybrała bardzo szczególny wyraz: mieszaniny zadowolenia i mściwości, co spowodowało palące ukłucia w brzuchu zarówno u Candamira, jak i u Hacona. Lars podszedł do nich i spojrzał na starszego z braci. Candamir wstał z ziemi, chociaż stopy miał nadal w tak oplakany stan, że z trudem to znosił. Nie chciał jednak, żeby Lars stał nad nim tak wyniośle i upajał się jego poniżeniem.

- Mój ojciec zawsze powiadał, że nie musi ludzi zniewalać, żeby szli za nim, i dlatego na tym pustkowiu każdy jest wolny - powiedział nagle młody jarl.

Candamir przytaknął.

- Kto traktuje własnych synów jak niewolników, nic nie ryzykuje, traktując

niewolników jak swoich synów - odparł zgryźliwie.

Lars nawet nie drgnął, nie sposób, więc było poznać, czy go usłyszał albo zrozumiał.

- Skoro mój ojciec nie żyje, to wolno mi wprowadzać nowe reguły - Kiwnął na dwóch swoich ludzi, którzy stali w pobliżu. - Założyć mu łańcuchy i ogolić głowę.

Candamirowi wystarczyło czasu, żeby zacisnąć pięść i przywalić Larsowi w twarz, zanim go pochwycili. Nie był wciąż jeszcze tak silny, jakby sobie tego życzył, ale wystarczyło, żeby Larsowi złamać nos, z którego natychmiast zaczęła tryskać krew.

Z okrzykiem przerażenia mężczyźni rzucili się na Candamira i powalili go na ziemię. Kiedy już leżał na ziemi, kopali go tak długo, aż Lars ich odwołał. Candamir poczuł na przegubach dłoni i kostkach u nóg okowy łańcuchów. „Skąd oni je wzięli?” - zastanawiał się, po czym przyszło mu do głowy, że przecież mają już wszystko to, co znajdowało się na pokładzie „Smoka”. A w dodatku Olaf, który dzięki mądrości właściwej swojemu wiekowi ostatnio tak ukochał wolność, wcześniej z każdej wyprawy handlowej przywoził do domu kilku niewolników. Łatwo było, więc w ładowni znaleźć wszystko, czym zniewala się ludzi i łamie ich wolę.

Candamir oszołomiony patrzył po sobie, kiedy ciągnęli go za nogi. Od czasu, gdy jego ojciec tak często i chętnie mu przepowiadał, że źle skończy, liczył się ze wszystkim, ale nie z tym tutaj. Mężny człowiek z pozycją nie pozwala się zniewolić, ponieważ nigdy nie pozostawia swoich wrogów przy życiu. Kajdany na rękach i nogach dowodziły jednak czegoś przeciwnego. I z całkowitą jasnością myśli, którą czasem przynosi szok, stwierdził, że był to jego własny wybór. Pięć dni i nocy spędził w okowach śmierci, a następnie postanowił się od niej odwrócić. Chciał jeszcze kiedyś zobaczyć żonę, syna i córki, nie był, więc tak naprawdę gotowy, żeby to wszystko tutaj zaakceptować, porzucić wszelką nadzieję i opuścić Catan. Uświadomienie sobie, że jego żądza życia jest większa niż jego strach przed utratą honoru, zawstydziła go, ale zarazem pomogła w podjęciu nowego postanowienia. Wytrzyma to tutaj. Jakoś.

W środku izby powalili go na kolana. Ktoś brutalnie złapał go za włosy i wykonał cięcie jakimś wyraźnie tępym nożem. „Och, Haconie! Będziesz tutaj naprawdę potrzebny” - pomyślał, zacisnąwszy zęby. Po chwili na ziemi przed nim wylądowała gruba kępa czarnych włosów. Po niej następne, potem cienki warkoczyk, i drugi, aż

powstał niewielki kopczyk. Widok własnych wspaniałych włosów ujawnił Candamirowi cały rozmiar tej katastrofy i tego, jak nisko upadł, po spiesznie, więc zacisnął powieki, żeby nie zalać się łzami.

## **ŻNIWNY KSIĘŻYC, rok siódmy**

Zakurzony, wyczerpany i zrezygnowany Osmund wrócił o zmierzchu do domu. Domownicy siedzieli przy wieczerzy i wszyscy od razu zauważyli, że jest w ponurym nastroju.

Na znak Ingi służące wstały i zabrały dzieci, a jeden z parobków przyniósł dzban piwa i postawił na stole przed krzesłem rodowym, po czym także wziął nogi za pas. Jedynie dwa psy, które niezauważone leżały nieopodal pieca, czając się na ewentualne smakołyki spadające ze stołu, podskoczyły i przywitały go radośnie, strącając merdającymi ogonami wszystko w swoim zasięgu, co nie było umocowane. Osmund pogłaskał je po głowach i w zamyśleniu wytargał za uszy, po czym opadł na swoje miejsce, nawet nie spojrzął na piwo, tylko popatrzył na żonę i pokręcił głową.

- Zupełnie nic? - zapytała niepewnie.

- Nic. Ani śladu. Tam nikt nie da rady przeżyć.

Przed dziesięcioma dniami poprowadził dużą grupę mężczyzn na pustkowie, aby poszukać zaginionych. Po dwóch dniach marszu dotarli na miejsce. Przed zapuszczeniem się na pustynię powtórnie napełnili bukłaki wodą i używali jej tak oszczędnie, jak nakazywała odpowiedzialność, mimo to po trzech dniach musieli wracać, aby żywi mogli dotrzeć do pierwszego źródła. Do grupy poszukiwawczej należeli Haldir, Thorbjorn, Godwin i Sigurd oraz kilku innych, których Osmund uznał za najlepszych i najodważniejszych, w końcu jednak wszyscy musieli się poddać z powodu pragnienia, a Osmund zrozumiał, że trzeba wreszcie zrezygnować z tych poszukiwań. Przecież to nie miało sensu, jeszcze pewnego dnia któryś z nich zginie.

Ta akcja poszukiwawcza była już trzecią z kolei. Za każdym razem wchodzili na pustkowie z innej strony, a kiedyś nawet pozęglowali statkiem do jego wybrzeży, aby je zbadać od strony zachodniej. Poza kilkoma ciemnymi śladami, które mogła zostawić krew, nie udało im się jednak niczego odkryć. Osmund sam wiedział, że to bezcelowe.

- Przykro mi, najdroższy - rzekła bezradnie Inga, położyła dłoń na jego wielkiej

ręce i delikatnie ją uścisnęła. Osmund nie zabrał dłoni od razu, za co była wdzięczna, ale po kilku chwilach ostrożnie uwolnił się z jej uścisku i niespokojnie wstał.

- Spójrz na mnie, nawet pyłu z rąk nie zmyłem... - mruknął, a stwierdziwszy, że służba, przerażona jego ponurą miną, uciekła, zaczął sam przygotowywać sobie miednicę do mycia.

Inga powstrzymała go jednak.

- Siedź, ja przyniosę wodę. Odpocznij sobie nieco i dojdź do siebie.

Z wdzięcznością skinął głową, usiadł z powrotem i pociągnął głęboki łyk piwa, a kiedy wróciła z miską pełną wody, umył ręce i twarz. Dłużej, niż to było konieczne, przytrzymał na twarzy lniany ręcznik, usiadłszy zaś, spojrzał na żonę ze zmęczonym uśmiechem.

- Co słyszeć tu w domu, moja śliczna kapłanko?

Wzruszyła ramionami.

- Dobrze. Dzieci, bydło i służący zdrowi, żniwa idą bez przeszkód i niebawem zboże będzie zebrane. Po raz kolejny Odyn nam sprzyjał.

- Nam tak. Ale dlaczego nie Candamirowi? Czy możesz mi to wyjaśnić? Jak bogowie mogli dopuścić, żeby wpadł w łapy Olafa? Zawsze go kochali. Jak mogli go tak nagle opuścić?

Inga przysiadła obok niego na ławie.

- Znasz odpowiedź, Osmundzie. Nie sądzę, że nie jest mi przykro z powodu tego, co stało się z Candamirem i Haconem - dodała pośpiesznie, zanim zdążył wybuchnąć.

Było to kłamstwo. Nie żałowała ani jednego, ani drugiego, ponieważ Candamir zawsze otrzymywał więcej miłości Osmunda, niż mu się należało, a podejrzewała też, że Candamir nawet nie umiał jej docenić. Hacon modlił się zaś do tego przeklętego boga cieśli i naprawdę zasłużył sobie na to, co zapewne go spotkało z rąk odszczepieńców. Inga głęboko ukryła jednak te myśli, wiedząc, że nie zdoła pomóc Osmundowi, jeśli zwróci go przeciwko sobie.

- Tak samo jak ty przez zaśnięciem rozmyślałam, co Olaf z nimi robi. To nie bogowie jednak ich opuścili, ale odwrotnie. Wiesz o tym doskonale, wystarczająco często ostrzegałeś Candamira.

- Mimo wszystko... - Bezradnie pokręcił głową. - Nie zasłużył na to.

- Nie - poparła go, chociaż wcale nie była tego pewna. Oczekała kilka chwil, po czym zaproponowała: - Pozwól, że przyniosę ci coś do jedzenia. Musisz być głodny po długim marszu, a nikomu nie przyniesie to pożytku, jeśli twoje troski doprowadzą cię do choroby

- Nie chcę jeść.

- Ależ, Osmundzie, ty...

Wstał gwałtownie. Jej opiekuńczość denerwowała go podobnie jak współczucie, któremu nie dowierzał. Może niesłusznie. Złapał się na tym, że jest o krok od wyładowania na niej swojej rozpaczy - jak z wieloma sprawami się na niej wyładowywał - nieczyste sumienie było zaś ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował. Zmusił się do uśmiechu i pocałował Ingę w czoło.

- Muszę iść do nich i porozmawiać z nimi. Na pewno z utęsknieniem czekają na nowiny

„Nowiny, których nie mam” - dodał zrezygnowany w myślach.

- Tak, oczywiście, że musisz, najdroższy.

Osmund szedł wzdłuż rzeki na drugą stronę osady, niespiesznie, gdyż ogarniała go zgroza na myśl, że przekaze Siglind złe nowiny. Słońce schowało się za koronami drzew, ale chmury na niebie wciąż były oświetlone i przemieniały rzekę w pasmo ognia i dymu. Po głowie chodziła mu ognista góra. Ostatniej nocy na pustkowiu, krótko przed świtem, ziemia się zatrzęsa i dał się słyszeć głuchy pomruk. Góra drzemała niespokojnie. Osmund był pewien, że to zła wróżba.

Choć włókł się bardzo powoli, w końcu nieuchronnie dotarł do celu. Od ogrodu Siglind, rozjaśnionego jeszcze gasnącym światłem wieczoru, emanował spokój. Drzewa owocowe i krzewy malin stały obok siebie w jakby przemyślanym nieładzie, przyjemnym dla oka i tworzącym piękny kontrast z równiutkimi grządkami ziół i warzyw. Wszystkie dzieci Catanu uwielbiały ten ogród, gdyż było w nim coś czarodziejskiego. Można się w nim było świetnie schować, a także raczyć jabłkami i malinami, na co wszyscy mieli wyraźne pozwolenie. Osmundowi nagle zrobiło się żal, że nie zabrał ze sobą Roryka.

Przed drzwiami izby zatrzymał się na chwilę, zebrał siły i otworzył je.

Siglind siedziała z domownikami przy stole, podobnie jak to robiła Inga. Gunda z dziećmi też tu była w gościnie. Wzrok Osmunda prześlizgnął się po opustoszałym krześle rodowym, które zrobili razem z Jaredem. Jakże się przy tej robocie cieszyli! Radość była uczuciem, które Osmund z trudem już tylko sobie przypominał. Podniósł wzrok i stwierdził, że wszyscy zgromadzeni przy stole wpatrują się w niego. Nikt nie miał wątpliwości, co zwiastuje wyraz jego twarzy

Gunda ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się. Osmund rzucił jej krótkie, pogardliwe spojrzenie. Była mu wstrętna tak samo jak Candamirowi. Po czym spojrzał Siglind prosto w oczy. Zanim zdążył wymyślić, co ma powiedzieć, mała Irmgardis zapytała:

- Czy odnalazłeś ojca i stryja, Osmundzie?

Podszedł do niej, podniósł ją z ławy i wziął na ręce.

- Nie, Irmgardis. Przykro mi. Zrobiłem, co mogłem, tak jak ci obiecałem. Niestety, bez skutku.

Rozplakała się, podobnie jak Gunda, ale nie było to tak obrzydliwe, histeryczne zawodzenie, tylko rozdzierający serce smutek małej dziewczynki, z którym trudno było się zmierzyć. Osmund zrobił to jednak. Być może dlatego, że sądził, że zasłużył na karę za swoją żalosalną porażkę. Siglind wstała ze swojego miejsca obok krzesła i położyła Nilsowi dłoń na opuszczonej głowce. Jej ruchy były dziwnie powolne, jakby była wyczerpana lub chora, ale twarz miała po prostu poważną, nic więcej.

- Solvig, zajmij się Irmgardis - poprosiła młodą mamkę, a następnie zwróciła się do gościa: - Wyjdźmy na chwilę, Osmundzie. Jest taki cudowny letni wieczór.

Miał dla jej postawy ogromny szacunek. Najprawdziwsza królowa, nawet, jeśli zawsze twierdzi, że to wszystko dawno zostawiła za sobą. Uprzejmie przepuścił ją pierwszą i wyszedł za nią do ogrodu. Usiedli obok siebie na ławce pod ścianą domu. Teraz szybko już zapadał zmrok, tylko odrobina światła padała przez okno na jej dłoń, ale aromaty ogrodu były w wieczornym powietrzu intensywniejsze, bardziej oszałamiające niż w słońcu.

- Tym razem przeszukiwaliśmy wschodnią część pustkowia, mając górę stale po prawej stronie - opowiadał. - Ale było tak samo jak poprzednio: ani śladu człowieka,

krowy czy śladów zamieszkania. Po prostu nic, i tylko wciąż ta sama pustynia. Mógłbym przysiąc, że zdążyliśmy już przeszukać każdą piędź tego pustkowia, choć bez żadnego powodzenia.

Słyszała, jak bardzo jest zrozpaczony, wyciągnęła do niego rękę, ale zaraz ją cofnęła.

- Dziękuję, Osmundzie. Zapewne nie umiem wyobrazić sobie, co wzięłeś na siebie, ale bądź pewien, że jestem ci wdzięczna. Ja... - Nagle nie była w stanie mówić dalej.

W rzeczywistości nie liczyła na pozytywny wynik tych ostatnich poszukiwań. Wiedziała, jak marne są szanse. Mimo to miała nadzieję i teraz to do niej dotarło. Wbrew rozsądkowi. Teraz zaś nie wiedziała, jak ma sobie dalej radzić bez tej nadziei.

W trawach pośród drzew grały świerszcze. Ich śpiew był przyjazny, monotony i przez chwilę z uwagą nasłuchiwali. Wreszcie Siglind odezwała się cicho:

- Cóż... Mieliśmy dla siebie sześć lat. Wcale nie tak mało. Ale wydaje mi się, jakby trwały przez mgnienie oka, i zastanawiam się, czy naprawdę to miałyby być już wszystko.

- Tak, przypominam sobie, że to samo myślałem po śmierci Gisli - urwał nagle, tak przerażony własną bezmyślną nieostrożnością, że szybko położył dłoń na swoich ustach, jakby mogło to zawrócić nieprzemyślane słowa.

- Sądysz, zatem, że on nie żyje? - zapytała. Zabrzmiało to trzeźwo. Nie od razu odpowiedział.

- Powiedz, Osmundzie. Proszę.

Zwrócił ku niej twarz i widział teraz, jak błyszczą jej oczy. Jej głowa stanowiła jedynie nieostry zarys cienia.

- Tak. Jestem głęboko przekonany, że nie żyje. Minęło już ponad sześć tygodni. Haconowi pewnie oszczędzą życie, bo go potrzebują. Ale Candamirowi...

Kiedy zauważono zniknięcie obu braci, Osmund, Harald, Austin i inni zbadali ślady. Stwierdzili oznaki walki, ślady po mieczu na pniach drzew i krzewach, drzewo roztrzaskane przez piorun, które najwidoczniej ktoś odciągał, oraz opróżnioną kuźnię, w której na mocno ubitej podłodze wyróżniała się wielka plama krwi. Na zewnątrz nie odkryli żadnych śladów posoki, ale ulewa była zbyt silna. Bez wysiłku zdołali odtworzyć



przebieg wydarzeń - Olaf i jego ludzie przybyli po to, żeby porwać kowala i potem zmusić go do służby dla nich. Nadszedł jego brat i próbował im przeszkodzić, bez powodzenia jednak. Zabrali także jego, zapewne, aby wywrzeć nacisk na Hacona. Osmundowi nie mieściło się teraz w głowie, żeby Candamir tak długo wytrzymał zniewolenie i całe to okropieństwo. Już samo wyobrażenie tej sytuacji było po prostu nie do zniesienia.

- Mogę się jednak mylić. Póki istnieje taka możliwość, nie poddam się. Rozszerzę poszukiwania. Im lepiej poznaję pustkowie, tym bardziej nieprawdopodobne wydaje mi się, żeby oni naprawdę tam mieszkali. Następnym razem poszukam bardziej na południe.

Sam jednak we własnym głosie usłyszał, że nie wierzy już w odnalezienie czegokolwiek.

- Nie powinienes tego robić, Osmundzie. Twoje życie jest tutaj, przy rodzinie i żonie.

Siedział bez ruchu z podwiniętymi nogami i rękami splecionymi wokół kolan. Wciąż patrzył na nią twardym wzrokiem.

- Nie sądzę, żebym był już gotów się poddać.

- Chociaż jesteś głęboko przekonany, jak powiadasz, że ścigasz ducha?

Nagle uświadomił sobie, że Siglind płacze. Nie szlochała, tylko jej głos nagle ją zdradził, ale zaraz znów dumnie podniosła głowę. Nie zastanawiając się, zdjął dłonie z kolan, delikatnie chwycił ją za ręce i przysunął się do niej trochę bliżej.

W pierwszej chwili skamieniała, ale po prostu nie mogła się oprzeć pokusie tych szerokich ramion. Ukryła w nich twarz i oplakiwała męża. Najpierw z goryczą, potem ze złością, a wreszcie ze smutkiem. Trwało to długo, Osmund trzymał ją zaś cierpliwie w ramionach, delikatnie głaszcząc po plecach. Jej smutek sprawiał mu ból, ale równocześnie pragnął, żeby ta chwila nigdy się nie skończyła. Przesunął usta po jej włosach, tak ostrożnie, że nawet tego nie spostrzegła.

- Będę szukał dalej, masz moje słowo. Z nadzieją czy bez. Bo potrzeba mi pewności, tak samo jak tobie.

Chciał jej przywieźć go z powrotem. W tej chwili chciał tego bardziej dla niej niż dla siebie samego, choć przecież zdawał sobie sprawę, jak bardzo jest zależny od Candamira, jak bardzo go potrzebuje, żeby przetrwać kolejny dzień. Równie wyraźnie,

jak sobie to uświadamiał, wiedział jednak też coś innego - gdyby się potwierdziły jego najgorsze obawy, opuściłby Inge dla tej kobiety, przyjąłby na siebie gniew bogów i wyrzekłby się władzy, którą mu przyrzekła wyrocznia, nie obejrząwszy się za siebie ani razu.

## JESIENNY KSIĘŻYC, rok siódmy

Hacon był zajęty pracą. Jego twarz świadczyła o pełnym skupieniu, kiedy brał płynne żelazo w kamiennym kotle z paleniska i przelewał je do także kamiennej formy odlewniczej. Rozżarzona do białości gęsta masa przyjęła kształt miecza - żeliwny rdzeń, który później ma być licowany stalowym ostrzem. Hacon uśmiechał się pod nosem, jak zawsze, kiedy jego dzieło zaczynało przyjmować wyraźną postać, natychmiast jednak burknął:

- Nie chce mi się wierzyć, że oto stoję tutaj i wykuwam dla tych włóczęgów broń, która pewnego dnia zostanie skierowana przeciw naszym.

Candamir dmuchnął miechem.

- Zrób jakąś wadę - zaproponował. - Zrób tak, żeby przy pierwszym poważnym uderzeniu miecz pękł. - Usiadł na skalnej podłodze, a jego kajdany cicho zadzwoniły. Już prawie nie zauważał tego dźwięku. Zdumiewające, do czego można przywyknąć...

- Tak, Candamirze, świetna myśl - prychnął Hacon. - Jak myślisz, co będzie, kiedy użytkownik stwierdzi, że jego nowy miecz został wadliwie wykuty?

- Kiedy on to zauważy, nas po prostu już nie może tu być.

Hacon nie odpowiedział. Odruchowo rozejrzył się po swojej dziwnej kuźni. Była w jednej z leżących wyżej, tak dziwnie kulistych jaskiń, których komin prowadził na powierzchnię. Odrobina dziennego światła wpadała nawet przez otwór w wygiętym stropie. Mimo to panował tu stały półmrok, było pełno dymu i gorąco jak w piekle, które Austin tak żywo mu opisywał. Tak samo jak w wielkiej skalnej izbie j i pozostałych używanych pomieszczeniach, podłoga była tu i wygładzone i pokryte grubą warstwą szarobrazowego, drobnego piachu, którego na tej pustyni były niemal niewyczerpane pokłady. Wyglądał jak gruboziarnisty popiół. Bardzo odpowiadał życiu, które tu wiedli.

Hacon zniechęcił się do tego miejsca. Mimo to sądził, że będzie to ostatnia kuźnia, w której w swoim życiu będzie pracował. Leżała, bowiem głęboko w twierdzy Olafa, a pomost nad przepaścią - jedyna droga na wolność - był dzień i noc pod strażą.

Hacon usiadł obok brata, aby zaczekać, aż żeliwo ostygnie.

- Nawet ty nie wiesz, jak mielibyśmy tego dokonać.

Candamir rzucił tęskne spojrzenie na roztopione żelazo w formie, z którego niebawem mogła powstać wysmienita broń - mając ją w ręku, bez namysłu spróbowałby szczęścia z dwoma strażnikami przy pomocy. Gdyby tylko nie te łańcuchy na rękach i nogach. Gdyby Lars nie przychodził, co wieczór i nie przeszukiwał kuźni oraz obu więźniów, czy aby nie mają jakiejś broni, i nie kazał też odkładać każdej, dokładnie przeliczonej grudki surówki, która pozostała.

- Nie - musiał przyznać. - Przyjdzie jednak czas, że coś nam wpadnie do głowy.

Hacon spojrział na niego z troską i pokiwał głową. Głos brata brzmiał spokojnie, ale wiedział, że Candamir długo już nie wytrwa. Lars i jego ludzie poniżali go przy każdej okazji, bili, kopali i opluwali, jeśli tylko mieli na to ochotę, choć nie dawał im żadnego pretekstu i zwykle musiał bez słowa wykonywać każdy ich rozkaz, często bezsensowny. Dzięki niemu zabijali nudę i kazali mu płacić za to, że są wyrzutkami. Głodzili go również. Candamir wychudł jak po tamtej głodowej zimie przed wypłynięciem ku nowej ojczyźnie. Wszystko, co mu robili, znosił z żelaznym opanowaniem, którego Hacon nigdy by się po nim nie spodziewał i które było tak do niego niepodobne.

Gdy dłoń Hacona się zagoiła i zabrał się za robotę, sytuacja nieco się poprawiła, bo zażyczył sobie Candamira do pomocy i pozwalał mu deptać miech, nosić wodę do chłodzenia, trzymać żelazo w obcęгах, gdy on sam kuł je młotem - słowem, zawsze znalazł bratu coś sensownego do roboty, aby mieć go na oku i równocześnie chronić przed okrucieństwem Larsa. Wieczorami jednak, kiedy mieszkańcy twierdzy Olafa po dniu pracy zbierali się w izbie na ucztowanie, nie mógł już zupełnie nic zrobić, żeby uchronić go przed nimi. Brat zabronił mu protestować, a nawet prosić.

- Musisz mi to przysiąc, Haconie - zażądał. - Ani słowa, obojętnie, co się będzie działo!

- Ale...

- Żadnych „ale”! Przynajmniej satysfakcji musimy im odmówić, rozumiesz? Zachowuj się tak, jak by ci to było obojętne.

- Nie obawiasz się, że będą coraz okrutniejsi tylko po to, żeby zmusić cię do

jakiejś reakcji? - zapytał Hacon w rozterce.

Candamir odwrócił głowę.

- Najbardziej się obawiam tego, że przywyknę. Że któregoś dnia zacznę wierzyć, że jestem tym, co oni pragną ze mnie zrobić. Ponieważ chcę temu zapobiec, muszę się trzymać każdej resztki szacunku do własnej osoby, który wciąż mam. Zatem przysięgnij.

Oczywiście Hacon dał mu słowo. Co wieczór wchodził jednak do izby ze strachem. Koszmar ten trwał już przecież prawie trzy miesiące!

- Załóżmy, że przejdziemy przez pomost - powiedział Hacon przyciszonym głosem. - Co wtedy? Ukradniemy dwa konie i spróbujemy się przebijać na północ?

Candamir nerwowo obgryzał paznokieć kciuka.

- Nie - odparł z wahaniem. - Nie, nie sądzę. Nie moglibyśmy poić koni, bo powinniśmy się nastawić na to, że musimy podjąć próbę bez wody

- Co?

- Jak to sobie wyobrażasz: zadano by nam kilka nieprzyjemnych pytań, a następnie każdy z nas napełniłby bukłak ze zbiornika i z nim przyszedł do pomostu, co? Musimy zniknąć szybko i niepostrzeżenie, inaczej nie mamy szans.

- Bez wody na pustyni także będziemy bez szans - sprzeciwił się Hacon.

- Nieprawda. Jeśli będziemy szli nocą.

- O, to się robi coraz bardziej niedorzeczne!

- Ciszej...

- Candamirze, jak chcesz nocą iść w tym terenie, nie łamiąc sobie wszystkich kości?

- Ostrożnie i z odrobiną szczęścia. Może przy świetle księżyca. Pójdziemy na północny wschód. Sądzę, że gdybyśmy wyruszyli zaraz po zachodzie słońca, możemy dotrzeć do skraju lasu przed kolejnym wieczorem.

„Marsz przez całą noc i dzień w potwornym upale i bez wody. Nigdy ci się nie uda - pomyślał Hacon zrezygnowany - Nie w twoim stanie”. Zatrzymał jednak swoje wątpliwości dla siebie. Uznał, że przedstawił bratu więcej przeszkód, niż było to konieczne. Poza tym dowiedział się w ostatnich tygodniach, że jego brat dysponuje siłą i

cierpliwością, o których dotąd nie miał pojęcia. Kimże, zatem był, żeby chcieć oceniać, co Candamir może, a czego nie?

- Brzmi tak, że warto spróbować - skłamał.

Candamir ściągnął usta w drwiący grymas, który wyglądał jak cień jego dawnego, łobuzerskiego uśmiechu, którym każdego do siebie przekonywał.

- Pozostaje jedynie mały kłopot z pomostem. Nie możemy.. - Przerwał, bo nagle zdało się, że głuchy pomruk nadchodzi z głębi ziemi, która następnie lekko się zatrzęsała. Często się to już zdarzało w ciągu ostatnich tygodni, tylko, że tym razem trwało dłużej, a kiedy kamienie zaczęły spadać ze stropu, Hacon ukrył głowę między kolanami, położył obronnym gestem ręce na głowie i modlił się w milczeniu.

Trzęsienie ziemi ustało równie nagle, jak nadeszło.

Hacon nie ruszył się jednak od razu, ale szepnął między kolanami:

- Jeśli oni w domu także to czują, to wolę nie wiedzieć, co na to mówi Inga.

Ostry łokieć trafił go brutalnie między łopatki.

- Przestań mamrotać jak jakaś stara baba. Spójrz na to. Hacon podniósł głowę.

- Na co?

Candamir wskazał na strop. Hacon spojrzał w tym kierunku. Nie od razu zrozumiał, o co bratu chodzi, ale nagle rozwiął się dym znad pieca i pojawił się skrawek błękitnego nieba. Mała dziura w stropie, przez którą wpadał tu zaledwie promyczek światła dziennego, powiększyła swoją średnicę, co najmniej dwukrotnie.

Bracia spojrzeli po sobie. Niespodziewanie Hacon poczuł, że ogarnia go dzika nadzieja.

- Może... Może wcale nie będziemy musieli iść przez pomost!

Candamir położył ostrzegawczo palec na ustach i nasłuchiwał. W podziemnym korytarzu było słychać pospieszne kroki. Grupa mężczyzn przeszła szybko obok kuźni, kierując się ku wejściu do twierdzy zapewne sprawdzając, czy są jakieś szkody i co spowodował wstrząs ognistej góry Hacon i Candamir spokojnie pracowali dalej, aż mieszkańcy po pewnym czasie wrócili. Lars wetknął głowę w drzwi kuźni.

- Wszystko tu w porządku?

- Oczywiście - odpowiedział Hacon. - Jak to wygląda na zewnątrz?

- Jak zawsze. - Młody jarl wszedł do środka i dokładnie obejrzał w formie odlew,

którego jasnozłota barwa stopniowo przechodziła w czerwień. - Mój miecz? - zapytał.

Hacon potwierdził.

- Kiedy będzie gotowy?

- Za trzy, cztery dni.

Lars krótko skinął głową.

- Dobrze. Potem zrobisz taki sam dla Gunnara.

- Jak sobie życzysz, Larsie - odpowiedział Hacon chłodno, ale uprzejmie.

Lars już chciał dokładnie rozejrzeć się po kuźni i bracia zaczęli się obawiać, co się stanie, gdy lada chwila zauważy, że jest tu jaśniej niż zwykle i że otwór w stropie się powiększył.

Bliski paniki Candamir rozważał, czy nie przewrócić wiadra z wodą na rozżarzony odlew, co spowodowałoby dostatecznie dużo pary i zamieszania, żeby odwrócić uwagę Larsa od lepszego światła w kuźni. Zanim zdążył się zastanowić, co byłoby najmniejszym złem, przy wejściu do kuźni pojawił się Leif.

- Och, na Odyna, jaki tu upał! Larsie, możesz pójść ze mną? Jeden z koni podczas wstrząsu zerwał się i uciekł...

Lars zaklął i szybko poszedł za bratem w kierunku pomostu.

Hacon i Candamir wymienili spojrzenia pełne ulgi. Cierpliwie odczekali, aż w podziemnej twierdzy znów się uspokoi. Wtedy Hacon wziął brata na ramiona i Candamir zbadał niski strop. Powietrzny otwór był teraz tak duży, że można było wystawić na zewnątrz pięść.

- Lepiej uważaj! - rzucił ostrzegawczo Hacon, patrząc w górę. - Co będzie, jeśli ktoś na górze zobaczy twoją dłoń?

Candamir wyciągnął rękę jeszcze trochę wyżej i nagle poczuł na dłoni ciepłe światło słońca.

- Och, Haconie - wyszeptał. - Strop nie jest grubszy niż na stopę.

- To cud, że jeszcze się nie załamał i nie wpadł do paleniska - mruknął Hacon i podał bratu do wyciągniętej ręki młotek. Candamir postukał od spodu w strop bardzo ostrożnie, ponieważ się bał, że uderzenia o kamień mogą wzbudzić podejrzenia. Nie uczynił jednak większego hałasu i bez wysiłku sprawił, że przy każdym stuknięciu młotka odpadały małe odłamki porowatej skały i lądowały na ziemi u stóp Hacona.

- Gdym chciał, to już teraz mógłbym zrobić dla nas wyjście - powiedział szeptem Candamir, cały przejęty

- Nie. Schodź na dół. Muszę odpocząć i powinniśmy dobrze się zastanowić, co robić - odparł Hacon.

Ściągnął Candamira, wyjął z paleniska rozżarzoną do czerwoności klingę, zaniósł na kowadło i zaczął kuć młotem. Między kolejnymi uderzeniami zamieniali kilka wyszeptanych słów.

- Nie wolno nam niczego przyspieszać - prosił brata Hacon. - Potrzeba ci butów. - Candamir nie miał na sobie nic poza poszarpanymi i dziurawymi spodniami, wszystko inne mu zabrali. - Nie przemierzysz też pustkowia w łańcuchach.

Candamir zgodził się z oporami. W euforii spowodowanej niespodziewanym pojawieniem się możliwej drogi ucieczki chciałby natychmiast spróbować, ale na szczęście miał przecież przy sobie swojego roztropnego brata.

- Czy możesz rozkuć kajdany? - zapytał Candamir.

- Pewnie. Ale to narobi hałasu. Skoro chcemy wyruszyć wraz z zapadnięciem nocy, będziemy musieli wymyślić coś innego - w skupieniu obejrzał kajdany. Łańcuch na nogach pozwalał jedynie na krótkie kroki, a Lars nigdy nie był dosyć zmęczony, żeby nie wyszydząć chodu Candamira. Był jednak na tyle długi, że można było roztopić środkowe ogniwo, nie przypalając Candamirowi stóp. Ten na rękach był odrobinę dłuższy, co tym bardziej ułatwiało pozbycie się go. - W każdym z łańcuchów otworzę po jednym ogniwie. Tylko odrobinę. Nikt tego nie zauważy, ale zanim wyjdziemy, będziesz mógł je rozgiąć i swobodnie poruszać rękami i nogami. Resztą zajmiemy się w domu. - Zgoda.

Przez popołudnie doskonalili swoje plany Candamir powiększył otwór w stropie, aż udało mu się przepchnąć przez niego jeden z niezliczonych kawałków skóry, służących w każdej kuźni do ochrony rąk przed gorącem. Tak dalece, jak to było możliwe, rozpostarł skórę nad dziurą i z grubsza pokrył popiołem, który wyczuł na zewnątrz pod palcami. Ponieważ nie widział jednak, co robi, kamuflaż na pewno nie był wystarczający, ale kawałek skóry miał ciemnobrązową barwę jak cała okolica, mieli, więc jak najlepsze nadzieje. W ciągu kolejnych dni chcieli powiększyć otwór do



wielkości włazu i tak samo zakryć. Candamir uważał, że zdążą w dwa dni. Cienka, porowata skała łatwo się odłamywała, Hacon musiał jednak dalej pracować nad mieczem Larsa, żeby nie wzbudzać żadnych podejrzeń, a oczywiście zabierali się za strop tylko wtedy, gdy nikogo nie było w pobliżu. Niezależnie od postępów przy poszerzaniu otworu Hacon chciał za dwa dni rozkuć łańcuchy Candamira. Parę butów mieli zamiar ukraść tuż przed wyjściem, gdyż każdy, kto nocą kładł się na spoczynek w izbie, stawiał obuwie obok posłania, nie powinni mieć z tym, więc większych kłopotów. Chcieli ponadto wziąć przykład z koni Larsa i owinać buty podwójną warstwą skóry, żeby przejść przez pustkowia, nie raniąc stóp.

Wieczorem drugiego dnia nastrój w izbie był szczególnie swobodny. Haconowi przyszły do głowy słowa „rozpasani” i „bezwstydni”. Mężczyźni pili więcej niż zazwyczaj, śmiali się za głośno i nawet nie próbowali wyprowadzić swoich towarzyszek z kręgu światła olejowych lampek, zanim kładli je na ziemi i zadzierali ich suknie.

Hacon jak zwykle siedział obok brata na posłaniu pod ścianą i miał większe niż zwykle obawy. „Boże, proszę - modlił się żarliwie. - Spraw, żeby go zostawili w spokoju. Daj nam, chociaż szansę, to wszystko, o co proszę...”

Oczywiście w nieunikniony sposób wzrok Larsa w pewnej chwili padł na Candamira, który leżał na swoim kocu z zamkniętymi oczami. Starał się nie myśleć o zapachu pieczonego mięsiwa unoszącym się dziś w izbie intensywniej niż zwykle. Kobiety przygotowały wspaniałą ucztę: była wołowina, kilka kur, ubili nawet barana i piekli na rożnie. Pustkę w żołądku Candamir poznał już w przeszłości i umiał nad tym panować. Powstrzymanie głodu przy tak uwodzicielskich zapachach wydawało mu się jednak równie niemożliwe, jak wtedy Haconowi zimą w spichlerzu w Elasundzie.

- Hacon! - warknął Lars ze środka izby. - Chodź, uczyni nam ten zaszczyt i zjedz z nami! Przyprowadź ze sobą też mojego niewolnika. Niech nam służy...

- O, potężny Tyrze - wyszeptał pod nosem Candamir, ale zaraz się podniósł.

Hacon poszedł za jego przykładem. Machnął do Larsa ręką na znak, że się zgadza, umył sobie dłonie w misce z wodą stojącej obok posłania i szepnął do brata:

- Uważaj z tymi łańcuchami. Jeśli teraz się rozerwą, wszystko przepadło. -

Wcześniej otworzył ogniwa nie bardziej, niż to było konieczne dla późniejszego ich rozgięcia, ale łańcuchy potrafią być nieprzewidywalne i rozerwać się same w najmniej odpowiedniej chwili, jeśli mają słabe punkty, naturalne czy celowo zrobione. - Myśl o tym, że po powrocie do domu najesz się do woli. Bo jeśli teraz zrobisz jakiś błąd...

Candamir skinął głową i wstał na nogi, żeby nie kazać Larsowi czekać, a także żeby uciec od napomnień Hacona.

Bracia weszli jeden za drugim w krąg światła. Hacon usiadł niezręcznie między Gunnarem a jednym z byłych parobków Olafa. Candamir stanął przed Larsem i gapił się na swoje bose stopy.

- Przynieś mi miodu - polecił Lars, chociaż jego kufel był jeszcze do połowy pełny. - Nawet niezły. Twoja śliczna królowa go zrobiła, co? Tak sądzisz?

- Całkiem możliwe - odpowiedział Candamir, który już się nauczył, że Lars nie da mu spokoju, dopóki nie dostanie odpowiedzi na takie pytanie.

Lars opróżnił kufel potężnym łykiem i podał Candamirowi. Ten go wziął i zaniósł do miejsca pod lewą ścianą, gdzie stały dzbany i talerze.

- Przynieś swojemu bratu kawałek pieczeni! - zawołał za nim Lars. - Przecież musi mieć siły. Co chcesz zjeść, Haconie? Kawałek baraniny? Może kuraka?

- Obojętnie - odparł słabo Hacon.

Candamir napełnił kufel miodem, wziął jeden z czystych talerzy stojących w niewysokim stosie na ziemi i nałożył soczysty kawałek wołowej pieczeni. Musiał stale przelykać, bo w ustach gromadziło mu się za dużo śliny, a jego głód przechodził w świdrujący ból, utrudniający stanie w pozycji wyprostowanej. Ręka, którą kładł mięso na talerz, drżała. Candamir w myślach obrugał sam siebie, nazwał się żalosnym słabeuszem i nakazał swojej ręce spokój. Nie całkiem mu się udało, ale drzenie zmalało. Palce otarł zaś o spodnie, zamiast je oblizać. Z tego był naprawdę dumny.

Przyniósł Larsowi jego kufel, a Haconowi talerz, żadnemu z nich nie patrząc w twarz. Hacon miał wzrok tak samo odwrócony jak on. Natomiast Lars błyszczącymi oczami śledził każdy krok Candamira.

- Czy wiesz, dlaczego dziś wieczór świętujemy? - zapytał zadowolony.

Candamirowi odgadnięcie odpowiedzi nie sprawiło żadnej trudności. Wiedział jednak doskonale, że jeśli powie na głos to, co podejrzewa, jego słowa zabrzmiały obraźliwie, dlatego tylko pokręcił głową.

- Wyruszamy jutro na wybrzeże - zwierzył się mu Lars. - A pojutrze rano wypływamy w morze. Przypuszczam, że przed wieczorem dotrzemy do ujścia, a potem powiosłujemy w górę rzeki. Zobaczymy, co tam twoi szanowni sąsiedzi mają w stodołach!

Hacon odsunął od siebie talerz z nietkniętym jedzeniem. Teraz jego gardło było już ściśnięte na amen.

Lars znów pociągnął łyk i trochę miodu spłynęło mu z kącika ust i spadło na brodę. Był pijany „I dobrze - pomyślał Candamir. Wypij jeszcze kilka kufli, Larsie. Tym mniejsza będzie szansa, że nas usłyszysz, kiedy dzisiejszej nocy będziemy się stąd wymykać. Tym dłużej też potrwa, zanim się rano obudzisz i zauważysz nasze zniknięcie...”.

- Nic nie powiesz? - zapytał Lars. - Nawet się nie skrzywisz?

Po raz pierwszy Candamir spojrzał mu w oczy.

- Oby twoje łupy były tak bogate, jak na to zasługujesz.

Siedzący przy stole mężczyźni wydali z siebie wściekłe pomruki, a Lars zmarszczył czoło. Zrozpaczony Hacon starał się niemym spojrzeniem przywołać brata do rozsądku.

- Pić mi się chce! - zawołał nagle Gunnar i podniósł swój kufel. Był równie pijany jak jego brat. - No, nie stój tak, Candamirze, tylko przynieś dzban! Najlepiej od razu napelnij następny - rozkazał.

Candamir odwrócił się i niebezpieczeństwo minęło.

Hacon, co często już robił w ciągu ostatnich tygodni, obserwował ukradkiem Gunnara i zastanawiał się, co też dzieje się w jego głowie. Nienawidził ich, jak sam powiedział, i rzeczywiście ich los zdawał mu się całkowicie obojętny. Zwykle patrzył raczej nieporuszony, kiedy Lars prowadził swoje okrutne zabawy z Candamirem, nie sprawiał jednak wrażenia, że mu się to podoba i nigdy w nich nie uczestniczył. Czasem zaś mówił lub robił coś takiego, co trochę łagodziło dolę Candamira, jak choćby przed chwilą. Nigdy w sposób naprawdę wyraźny. Hacon nie sądził, że zauważył to ktokolwiek

poza nim i Candamirem. Nie był nawet pewien, czy sam Gunnar zdaje sobie z tego sprawę. Tak właśnie rzeczy się miały Hacon już nieraz myślał, że dla takiego człowieka to hańba. Gunnar był zapewne człowiekiem równie przyzwoitym jak Jared. Gdyby był starszy i mógł dokonać wyboru, prawdopodobnie wtedy zdecydowałby zupełnie inaczej...

- Haconie? Śpisz? - zapytał ostro Lars.

Hacon się wzdrygnął.

- Przepraszam. Co mówiłeś?

- Pytałem, czy mój miecz będzie gotowy na jutro rano, żebym go mógł zabrać ze sobą.

- Nie, obawiam się, że to potrwa jeszcze kilka dni - odparł sztywno Hacon. - Dobry miecz wymaga mniej więcej tygodnia pracy, po prostu tak już jest.

- Hm... - skrzywił się z niezadowolenia Lars. - Może powinniśmy odłożyć wyprawę na kilka dni. Tak bardzo chciałbym zabrać ze sobą ten miecz.

W krąg światła wszedł Candamir z dzbanem w każdej ręce i napełniał wszystkie kufle, które mu podsunęto. Poruszał się wolniej i mniej sprawnie niż zwykle, ponieważ był przerażony tym, że łańcuchy mogą go zdradzić. Drżenie rąk ponownie się wzmogło, a z głodu kręciło mu się w głowie. Doszło do tego, że przy napełnianiu każdego kolejnego kufła trochę miodu rozlewał, za co najpierw go wyszydzili, a potem zaczęli kopać. Hacon patrzył na to z kamienną twarzą, jak przyrzekł bratu, ale dłonie odruchowo zacisnęły mu się w pięści.

Jak ślepy żebrak Candamir zataczał się po ciasnym kręgu, a ze wszystkich stron dosięgały go kopniaki, trafiając w kostki, golenie, a w końcu kolana. Candamir instynktownie rozpostarł ręce, żeby utrzymać równowagę. Łańcuch naciągnął się, dzwoniąc, ale wytrzymał. Jeden z ciężkich dzbanów z miodem wyslizgnął mu się jednak z dłoni i wylądował z głośnym, głuchym łoskotem na czaszce Larsa, a jego zawartość wylała mu się na twarz, tors i kolana. Na każdej normalnej uczcie taki wypadek byłby powodem gromkiego śmiechu. Tu jednak śmiechy były stłumione, właściwie nieme, i szybko ucichły.

Jarl, mrużąc oczy, patrzył po sobie i na próżno starał się wytrzeć z oczu lepki napój.

Możliwie niepostrzeżenie przybiegła młoda Irlandka, podniosła z ziemi

drewniane naczynie, drugie wyjęła Candamirowi z dłoni i ruszyła wzdłuż kręgu, żeby napęłnić kufle. Jeśli liczyła jednak na to, że dzięki temu zakończy nieprzyjemną ciszę, to się rozczarowała.

- Coś mi się zdaje, że mój niewolnik jest skory do buntu - wymruczał Lars. Trochę bełkotał.

- To był wypadek - powiedział Hacon.

Candamir rzucił mu ponure, ostre spojrzenie. Lars ze zmarszczonym czołem popatrzył na Candamira.

- Skoro to był wypadek, to prosz mnie o wybaczenie.

Hacon znów zagłębił się w modlitwę. Candamir przełknął. Wiedział jednak, o co idzie gra.

- Proszę cię o wybaczenie - powiedział bez wyrazu.

Zadziwiająco szybko jak na tak pijanego człowieka Lars kopniakiem podciął mu nogi.

- To za mało!

Candamir upadł z bólem na kolana.

- Spróbuj raz jeszcze - zażądał Lars - Lepiej, żebyś mnie przekonał! Bo mogę się zdecydować, żeby twojej śliczniutkiej królowej złożyć prywatną wizytę i...

Tu urwał. Ze strasznym, obsesyjnym wrzaskiem Candamir rzucił się na niego, wyszarpnął mu z pochwy sztylet i przyłożył do gardła, zanim Gunnar i jeden z pozostałych mężczyzn skoczyli na niego i go odciągnęli. Larsowi płynęła po szyi cieniutka strużka krwi - to wszystko. Pomacał zranienie, jakby nie mógł uwierzyć, że to wszystko mogło się stać tak szybko.

Obaj mężczyźni trzymali Candamira w pozycji klęczącej, a Gunnar złapał go za krótkie włosy, odciągnął głowę do tyłu, a wyrwany mu sztylet przystawił do gardła.

- Mam to zrobić? - zapytał brata.

- Nie - Lars wciąż jeszcze mrugał oczami jak sowa w słonecznym świetle. - Przynies mi pejcz, Leifie - rozkazał, po czym z trudem stanął na nogi. - Zatłukę cię na śmierć, Candamirze, przeklęty Przysięgam, zatłukę na śmierć... - Zatoczył się w bok.

- Zrobisz to jutro rano, bracie - zaproponował Gunnar. W jego głosie słyhać było mieszaninę dobrodusznej drwiny z pijaństwa jarła i lodowatej złości z powodu

zabójczego ataku. - Zrobisz to jutro, jak będziesz trzeźwy i w pełni sił. Niech się kilka godzin poci ze strachu, co? Przecież ci nie ucieknie.

Lars wahał się przez chwilę, po czym przytaknął. Był bardzo blady. Choć nic mu się nie stało, ten niespodziewany atak nim wstrząsnął.

Gunnar postawił Candamira na nogi, ciągnąc go za włosy, i wyprowadził z kręgu akurat w chwili, kiedy Lars gwałtownie zwymiotował na ziemię. Gunnar nie obejrzał się, tylko skrzywił z niesmakiem i brutalnie zaciągnął Candamira do jego pośłania, gdzie rzucił go na ziemię.

- Słodkich snów - warknął.

Wysoka, kamienna izba rozbrzmiewała takim chrapaniem biesiadników, jakby nadeszło kolejne trzęsienie ziemi. Candamirowi ręce trzęsły się bardziej niż zwykle, kiedy wkładał skradzione buty i ostrożnie upychał do wysokich cholewek łańcuchy, żeby nie dzwoniły przy chodzeniu. Potem bezszelestnie wstał i podążył za Haconem do kuźni.

Nie zamienili ani słowa. Candamir nie protestował też, kiedy Hacon wymacał w znajomych miejscach swoje narzędzia i wetknął za pas. Obu braciom serce skakało aż do gardła. Obu oblewał pot.

Hacon bez słowa schylił się i znów wziął brata na ramiona, jak wtedy, gdy pracowali nad swoją dziurą prowadzącą ku wolności. Candamir odsunął kawał skóry przykrywający otwór, włożył w niego obie ręce i, podciągając się, wy dostał na zewnątrz. Po czym opuścił do kuźni dłuższy koniec swojego łańcucha przy dłoni. Hacon uchwycił się go.

Teraz nadeszła najtrudniejsza część całego planu. Hacon był mężczyzną większym, bardziej umięśnionym i do tego miał swoje narzędzia. Candamir zaś nie miał sił i był na wpół zagłodzony. Wiedział jednak, że musi Hacona podciągnąć choćby na pół sążnia, zanim brat zdoła się o własnych siłach wygramolić na górę.

Kiedy Hacon złapał za brzeg otworu, ten się z jednej strony odkruszył i uciekinier spadł z powrotem do środka. Candamirowi wydawało się, że łańcuch zadzwonił z ogłuszającym hałasem.

Z ciemnej dziury w dole dało się słyszeć ciche przekleństwo.

- Złap raz jeszcze i nie ruszaj się - szepnął Candamir. - Wyciągnę cię.

Dokonał tego z trudem. Kiedy już znaleźli się na górze, leżeli przez chwilę zdyszani na ostrych skałach, jeszcze ciepłych od słońca, a Candamir pomyślał, że nie zdoła już uczynić nawet jednego kroku. Wtedy poczuł rękę Hacona, który go wymacał w ciemności, otworzył mu palce i coś wsunął w dłoń.

- Jedz, Candamirze. Ale nie jedz łapczywie, bo ci zaszkodzi. Ja w tym czasie zawiążę nam na butach skóry.

Było to duży kawał wołowiny, który Candamir przyniósł wieczorem Haconowi i którego Hacon nie mógł tknąć.

Kiedy rozmowa między Larsem i Candamirem stała się tak gwałtowna i wszyscy się gapili na nich, szybko schował mięso pod ubranie.

- Nie podzielimy mięsa? - zapytał Candamir z pełnymi ustami.

Hacon schylił się do swoich stóp, owinał wokół nich dwie grube skóry i związał je przygotowanymi wcześniej rzemieniami. Pokręcił głową.

- Nie, nie chcę.

Candamir z satysfakcją cicho mruknął pod nosem. Mięso smakowało tak, jak obiecywał kuszący zapach.

- Miałem nadzieję, że właśnie to powiesz.

Wreszcie szczęście zdawało się im sprzyjać: na bezchmurnym niebie księżyc niemal w pełni świecił nad pustkowiem. Kiedy Candamir także otrzymał dodatkowe osłony na obuwiu i dokończył pożeranie należnego od dawna posiłku, ruszyli w drogę. Nawet bez księżycowego światła poznaliby ognistą górę, wokół której świecił tej nocy czerwonawy żar i która wskazywała im drogę. Stwierdzili, że muszą mieć ją przed sobą po prawej stronie, żeby podążać najkrótszą drogą do domu.

Pierwsze godziny maszerowali w milczeniu. Początkowo szli pospiesznie, w strachu przed pościgiem, stąpali nieuważnie i potykali się, ale kiedy już wiedzieli, że są poza zasięgiem wzroku mieszkańców twierdzy Olafa, ich kroki stały się bardziej równomierne i pewniejsze. Noc była przyjemnie ciepła, a łagodny wietrzyk chłodził ich spocone czoła. Nad pustynią panowała cisza, jedynie od czasu do czasu dał się słyszeć

cichy szelest, kiedy kruszyła się skała albo jakieś stworzonko, które przecież mogło tu żyć, uciekało na dźwięk ich kroków.

To Candamir w końcu przerwał ciszę.

- Przepraszam, Haconie. O mały włos zmarnowałbym naszą jedyną szansę. Mam nadzieję, że zdołasz mi wybaczyć.

Hacon aż się wzdrygnął. Od kiedy sięgał pamięcią, brat przeproszał go pierwszy raz.

- O tak, Candamirze, zdołam bez trudu. Dowiodłeś większego opanowania, niż kiedykolwiek się spodziewałem. Po prostu tego wieczoru on posunął się za daleko.

Candamir miał wzrok utkwiony w podstępne podłóżo.

- Mam tylko nadzieję, że nie urzeczywistni swojej groźby..

- W tym celu musieliby się najpierw dostać do osady. Od czasu, kiedy żywopłot jest wysoki i mamy dzwon...

- Wiesz dobrze, że to się i tak może wydarzyć. W końcu udało im się dostać do osady, żeby porwać ciebie i mnie.

- Tak - zabrzmiało to słabo. Po chwili Hacon dodał: - Cóż, w żadnym razie nie dotrzemy przed nimi, jeśli rzeczywiście wyruszą jutro. Wszystko, co możemy zrobić, to się modlić.

- To się módl. Módl się do twojego boga. Jesteś mu tak wiernie oddany, może cię wysłucha?.

- Może twoi wysłuchają ciebie? Powinniśmy obaj spróbować szczęścia.

Candamir nic nie odpowiedział. Już dawno przestał rozmawiać ze swoimi bogami. Nie żeby uważał, że go zawiedli. To, co przydarzyło się jemu, nie było ich winą, ale Olafa, Larsa i w końcu jego samego, bogom nie czynił, więc zarzutów. Gdyby rzeczywiście wrócił żywy do rodziny - czego nie uważał za szczególnie prawdopodobne, chociaż przecież możliwe - wtedy miałby wszelkie powody, żeby być im wdzięczny. Bardzo oddalił się jednak od bogów. Stali się dla niego bladymi cieniami i nie był w stanie powiedzieć, od czego to zależało i kiedy właściwie to się stało.

Całą noc podążali bez odpoczynku w kierunku północnego wschodu, a kiedy



zaczęło świtać, byli już prawie na wysokości ognistej góry. Wznosiła się teraz mniej więcej dwadzieścia mil w prawo od nich. Im robiło się jaśniej, tym bardziej zanikała czerwona poświata wokół jej szczytu, aż w końcu był spowity jedynie słabym dymem.

- Drzemie niespokojnie - zauważył Hacon, zatrzymawszy się na chwilę i usiadłszy na ziemi, aby odsapnąć.

- Tak samo zachowywała się w roku naszego przybycia - odparł Candamir Trochę brak mu było tchu, przed oczami latały mu mroczki. Nocna wędrówka w tym trudnym terenie wyczerpała go. - Uspokoi się, zobaczysz.

Hacon przytaknął i badawczo przyjrzał się bratu.

- Wszystko w porządku?

- Oczywiście.

Hacon wyjął zza pasa młotek i nowe, błyszczące dłuto.

- Zdejmę ci te łańcuchy To tylko zbędne obciążenie.

Candamir nie miał nic przeciwko temu. Wyciągnął lewą rękę, ale gdy Hacon przesunął dłuto między końcami obręczy i przystawił je do kołków, które ją zamykały, ostrzegł:

- Uważaj. Będę jeszcze potrzebował tej ręki.

Hacon podniósł głowę i uśmiechnął się drwiąco w nietypowy dla niego, hardy sposób

- Pamiętasz jeszcze, co mi powiedziałeś, jak wypróbowywaliśmy piłę?

- Nie. A co mówiłem?

- Zaufaj mi - stuknął młotkiem.

Wkrótce Candamir rozstał się ze znienawidzonymi okowami, ale miał wrażenie, jakby postarzał się o kilka lat. Na początku było tak, jak spodziewał się Hacon: długo oczekiwane uwolnienie sprawiło, że w Candamira wstąpił nowy duch; kiedy ruszyli w dalszą drogę, jego krok wydawał się lekki i sprężysty jak dawniej.

Dopiero koło południa, czyli później, niż Hacon myślał, dało się zauważyć, że Candamir opada z sił. Zamilkł, zaciął się i szedł ze zwieszoną głową. Jego skóra, która przez niemal trzy miesiące nie widziała słońca, zaczęła się czerwienić. Hacon zdjął z

siebie kaftan i tak długo namawiał brata, aż ten się nim okrył.

- Będziemy się zmieniać - zarządził Hacon. - Każdy ma go na sobie przez godzinę.

Candamir kiwnął głową i spojrzał na północ. Jakiś słaby cień wznosił się na horyzoncie. Mogło to być kłębowisko chmur, ale ciągle mieli nadzieję, że cień ten oznacza skraj lasu. Wydawał się jednak bardzo odległy. Wciąż znajdowali się w sercu pustyni, gdzie otaczały ich jedynie czarno-brązowe skały i pył spieczony przez palące słońce. Czuli tak wielkie pragnienie, że Candamir zupełnie zapomniał o głodzie.

Wczesnym popołudniem Hacon musiał przejąć dowodzenie i za obu podejmować decyzje. Candamir wciąż jeszcze się włókł noga za nogą, ale głowa chwiała mu się przy każdym kroku, który stawał się coraz wolniejszy i coraz bardziej niepewny Hacon ostrożnie objął go ramieniem, żeby prowadzić, i przeraził się, że brat bez oporów to przyjmuje.

Migotliwe, gorące powietrze pustyni wyprawiało z oczami okrutne żarty Zeszłej nocy, kiedy opuszczali twierdzę Olafa, ognista góra robiła wrażenie bliskiej na wyciągnięcie ręki, a teraz ten las zdawał się przywiązany do horyzontu i wcale się nie przybliżał. Hacon również czuł nieznośne pragnienie. Gardło miał wyschnięte, zdawało mu się, że język mu napuchł i kleił się do podniebienia. Przypomniała mu się podróż do nowej ojczyzny i niekończące się dni sztormu, kiedy cierpieli podobnie okrutne pragnienie. Czujnie rozglądał się po martwej ziemi, ale nie odkrył nic, co byłoby odpowiednio małe i gładkie, co choćby trochę przypominałoby krzemień. Później wpadł na pomysł i się zatrzymał.

- Zdejmij obrączkę, Candamirze.

Po raz pierwszy od wielu godzin jego brat podniósł głowę.

- Co?

- Twoją obrączkę. - Hacon zdjął swoją z palca i włożył do ust. - Musisz ją ssać.

To pomaga na pragnienie, wierz mi.

Candamir powoli uniósł prawą rękę.

- To mam jeszcze swoją obrączkę? - zapytał z niedowierzaniem.

- Tak. Lars chciał ci ją zabrać, ale mu wmówiłem, że obrączka jest darem bogów, że Brygida dała ci go przy otwarciu świątyni, i że ma za małą wartość, żeby ryzykować

gniew Odyna. Nie pamiętasz?

Candamir pokręcił głową. Hacon stwierdził, że zdarzyło się to najwyżej trzy tygodnie temu. Stopniowo zaczął się poważnie martwić o Candamira. Wziął jego dłoń i ściągnął obrączkę. Poszło łatwo, srebrne kółeczko było luźniejsze niż zwykle, bo dłoń także była wychudzona. Hacon wytarł obrączkę o spodnie, ponieważ była pokryta warstwą czarniawego pyłu, po czym wetknął ją Candamirowi między wargi.

- Masz. Tylko jej nie połknij!

W tej opustoszałej krainie najbardziej upalną porą dnia było nie południe, lecz popołudnie, kiedy ciemne podłoże było już rozpalone i zaczynało promieniować zgromadzonym ciepłem. Właśnie mniej więcej wtedy Hacon stwierdził jednak, że rozmyty cień na północnym horyzoncie wyraźnie się przybliżył. Hacon pomyślał sobie, że nawet gdyby nie wiedział, że tam leży las, to i tak by go rozpoznał, a to dodało mu nadziei.

Przez cały dzień żaden z wędrowców nie poczuł żadnego powiewu. To, że wcześniej był wiatr, zauważyli dopiero wtedy, gdy ustał. Z chwili na chwilę powietrze zdawało się gęstnieć i było już zbyt gorące, żeby nim oddychać. Candamir przeszedł jeszcze może sto kroków, po czym stanął. Przez chwilę w napięciu popatrzył na północ, a następnie upadł jak powalone drzewo. Leżał nieruchomo twarzą do ziemi. Hacon przykucnął przy nim i potrząsnął go za ramię.

- Candamirze, wstawaj. No, już! To już niedaleko. Może jeszcze godzina albo dwie godziny drogi.

Nie było odpowiedzi. Hacon znowu szarpnął brata za ramię.

- Candamirze, słyszysz mnie?

- Tak.

- To wstań na nogi. No, wstawaj! Chyba mi tu nie padniesz teraz, tak blisko celu, rozumiesz?

- Nie dam już rady.

- To się postaraj!

Candamir był zbyt wyczerpany, żeby się oburzyć, ale jakoś podniósł głowę i

warknął:

- Co cię napadło?

- To ty do mnie zawsze tak mówiłeś, dawniej. Candamir uśmiechnął się niemrawo, ale znów położył głowę w pyle.

- Ale ja wiem... Co mówię.

Hacon przeraził się, że to może być prawda. To było w stylu Candamira - iść bez słowa skargi, a potem paść, kiedy zupełnie straci siły. W takiej samej sytuacji Hacon zapewne już wiele godzin wcześniej zacząłby jęczeć i twierdzić, że nie daje rady. Miało to w każdym razie taką zaletę, że się tak nieprzyjemnie nie zaskakiwało towarzysza wędrowni.

- Candamirze, proszę! - błagał. - Nie możesz teraz tak po prostu się położyć i umrzeć!

- Mogę - powiedział, choć nie chciał umierać. Wiedział jednak, że jest wykończony. Od południa męczyły go skurcze łydek, stopniowo obejmujące całe nogi. Teraz stopy, łydki i uda były zupełnie bezwładne, już ich nie czuł. Dlatego nie mógł iść dalej, choćby leżał od zbawienia zaledwie rzut kamieniem.

- Chodź, spróbujemy jeszcze raz. Jeszcze ten jeden, jedyny raz - błagał brat.

Jedynie po to, aby wykazać się dobrą wolą, Candamir pozwolił postawić się na nogi. Po jednym chwiejnym kroku znowu jednak upadł.

- Sam widzisz - mruknął i zamknął oczy. Nie zemdlał, ale po prostu zasnął. To nie śmierć z pragnienia mu groziła, lecz z wyczerpania.

Hacon kucnął obok i rozważał, czy mogą ryzykować tutaj kilka godzin odpoczynku, aż zajdzie słońce i zrobi się chłodniej. Coś go jednak ostrzegło, że stan brata nie polepszy się dzięki temu, a wręcz przeciwnie. Candamir potrzebował wody, i to szybko. Dopiero, gdy dostanie wody, wstanie znów na nogi.

Ostrożnie Hacon położył dłoń na brodzie brata, otworzył mu usta i wyjął obrączkę, zanim Candamir zdążył się nią zadławić. Nawet to go nie obudziło i spał dalej, kiedy brat wkładał mu z powrotem obrączkę na palec. Sen Candamira robił wrażenie nienaturalnie głębokiego i niespokojnego. Hacon dostrzegł, że spękane wargi brata się poruszają, nachylił się nad nim i usłyszał słowo „Siglind”.

- Wcale nie jesteś jeszcze gotowy, żeby opuszczać ten świat, bracie - powiedział

Hacon z wyrzutem. Gdyby Candamir go słyszał, mógłby odpowiedzieć, że to żadne odkrycie.

Hacon wziął go za rękę i przez chwilę posiedział przy nim w ciszy. Wiedział, że może zrobić jedną z trzech rzeczy. Może pójść dalej sam i później wrócić po ciało brata, żeby je odpowiednio pogrzebać w ziemi, jak to teraz robili w osadzie. Może też położyć się obok i spokojnie umrzeć razem z nim ręką w rękę. Może też jednak modlić się o cud i podjąć się rzeczy niemożliwej.

Gdy był chłopcem, często gorąco pragnął być tak mężny jak brat. Od tego czasu nauczył się wyżej cenić inne cnoty. Teraz nagle znów było jednak tak samo: pragnął mieć tę rozpaczliwą odwagę, wychwalaną w tak wielu pieśniach, potrzebną do sprostania zadaniu, którego nie sposób wykonać. Wszystkimi zmysłami czuł zabójczą potęgę pustyni, wyczuwał lepka spiekotę na skórze i w oczach, zapach i smak pylistej martwoty, słyszał wszechobecną ciszę. Była potworna. Wystarczająco potężna, aby kogoś bardziej od niego nieustraszonego odrzeć z ostatniej woli walki.

- W takim razie musisz próbować, nawet zniechęcony - mruknął Hacon sam do siebie. Kiedy się podniósł, jego członki wydały mu się ciężkie jak ołów i poczuł się stary. Mimo to nachylił się nad bratem, nieco go podniósł i przerzucił sobie jego bezwładne ciało przez ramię.

Słońce jak roztopiona moneta wisiało nad tą krainą pustki i powlekało czarną pustynię miedzianym połyskiem, nadając jej nieoczekiwany urok. Hacon nawet na to jednak spojrział, gdyż z uporem wpatrywał się w ścianę lasu.

Później nie pamiętał dokładnie swojego długiego marszu przez pustynię. Jedynie pojedyncze wrażenia i chwile. Zdawało mu się, że przez całe długie odcinki drogi jego umysł skurczył się do małego, błękitnego płomyczka. O niczym już nie myślał, nie modlił się i nie martwił się o napaść na osadę czy bezpieczeństwo rodziny i sąsiadów. Wszystkie swoje siły skupił na tym, żeby stawiać nogę za nogą i nigdy nie przerwać rytmu równych, długich kroków. Nie widział zachodu słońca, nie czuł, że skończył się upał, i żeby się nie potknąć, wpatrywał się uparcie w ziemię i własne stopy na niej. Wiedział, bowiem, że nie wolno mu upaść.

W ten sposób dobrą godzinę po zapadnięciu nocy dotarł do cienistych drzew, które zaczynały się nagle tam, gdzie kończyło się pustkowie. Nie znał tego lasu, ale był on tak podobny do tego na skraju ich pól, że Hacon natychmiast poczuł się swojsko i bezpiecznie. Nasłuchiwał przez chwilę z przechyloną głową i gdzieś w oddali dosłyszał szemranie wody.

Niemal z przyjemnością roześmiał się sam do siebie. Plecy, szyja, ramiona i ręce tak go bolały, jakby przez cały dzień nosił żelazne jarzmo. Ciężar brata zdawał się z każdym krokiem rosnąć i coraz bardziej rzucać go na kolana, które zaczęły go przeraźliwie boleć. Hacon przysiągł sobie, że w przyszłości będzie miał więcej cierpliwości i współczucia dla nieszczęsnych wołów, które muszą orać pola i ciągnąć wozy. Gdy jednak usłyszał wodę, ogarnęło go takie szczęście, że stawiając ostatnie kroki, czuł się tak, jakby całe zmęczenie z niego opadło. Przez zarośla i trawy sięgające mu powyżej kolan szedł ku szemraniu, szybko dotarł do płaskiego brzegu strumienia i bez szczególnej delikatności zsunął z siebie brata.

Candamir nie od razu się poruszył. Jednak chłodna, przenikliwa wilgoć, którą odczuły jego zmysły, była tak ożywcza, że dotarła w końcu do każdej części jego jaźni już błakającej się w mroku. Gwałtownie otworzył oczy i pomacał ręką mokry muł na dnie strumienia.

Hacon usiadł w wodzie zaraz obok i wypił trzy, cztery łąpczywe łyki, zanim rozsądek mu podpowiedział, żeby przestać. Z jękiem upadł na plecy i spryskał siebie spaloną słońcem twarzą.

- Hacon... - zabrzmiało ze zdumieniem i niedowierzaniem.

Młodszy brat usiadł i zaczął kręcić barkami. To było wspaniałe uczucie - rozstać się z tym brzemieniem.

- Udało się nam, Candamirze. Pij. Ale tylko trochę. Jesteś osłabiony i już wcześniej zauważyłem, że masz gorączkę. Bądź, więc ostrożny

Candamir usiadł, zanurzył dłoń w wodzie, zaczerpnął i wypił, zaczerpnął i wypił, i robił to tak długo, aż Hacon podszedł do niego i złapał go za rękę.

- Właściwie dlaczego nigdy mnie nie słuchasz?

Candamir się nie wrywał. Zostawił swoją rękę w dłoni brata i spojrzał na niego.

- Jak... Jak to możliwe? Cóż to za niesamowity cud? Ja... Tu... - Jego spojrzenie

było niespokojne, może nawet trochę strwożone. Hacon się uśmiechnął.

- Nie łam sobie nad tym głowy. Jesteśmy tutaj. Tylko to się liczy. Zaraz wróci ci pamięć.

- Ale...

- Jak się czujesz?

Candamir skołowany pokręcił głową, wsłuchując się w siebie.

- Spragniony, głodny i zmęczony.

- To napij się jeszcze i śpij. Jutro rano złapię w strumieniu kilka pstrągów, a później...

- Haconie, dlaczego jestem tutaj, a nie martwy na pustkowiu? - ostro wpadł mu w słowo Candamir. - Co to ma znaczyć? Co się stało?

Zakłopotany Hacon opuścił wzrok.

- Przyniosłem cię z pustkowiec tutaj.

- Ty mnie niosłeś? Przecież to, co najmniej pięć mil.

- Aha, coś koło tego.

- To... To niemożliwe.

- Bzdura. Ważysz nie więcej niż ździebełko.

Candamir odwrócił wzrok, znowu zaczerpnął dłońmi wody i wypił. Po czym niepewnie wstał, wygramolił się z rzeczki na trawiasty brzeg i położył się na ziemi. Kiedy Hacon poszedł później w jego ślady, Candamir już spał.

Późnym popołudniem przybyli po dwóch dniach marszu na południowy brzeg wielkiej rzeki. Słońce dotykało już prawie wierzchołków drzew na wyspie po lewej stronie, a dokładnie przed nimi po drugiej stronie wody leżała osada.

- Domy wciąż stoją - mruknął Candamir.

- No. Wszystko wygląda jak zawsze - zgodził się Hacon z ulgą i badawczo przyglądał się rzece. Teraz po suchym lecie nurt był leniwy i dla dobrego pływaka nie był zdradliwy - Jak sądzisz? Dasz radę?

- Nie jestem jakimś dziadem, Haconie - zabrzmiała gwałtowna odpowiedź i Candamir, nie czekając, wszedł do wody.

Hacon westchnął i poszedł za nim.

Podczas całej wędrówki Candamir był małomówny i bez humoru. Tam, nad

strumieniem, jedynie z rozsądku zatrzymali się na dłużej, o wschodzie słońca złowili kilka pstrągów i upiekli, ale jedli już w marszu. Woda i pożywienie pozwoliły im obu szybko dojść do siebie po wysiłkach i trudach drogi przez pustynię. Candamirowi minęła gorączka, skurcze mięśni już się nie pojawiły. Skrzydeł dodawała im ponadto tęsknota za domem i troska o bliskich. Mimo to niewiele było okazji do rozmowy, choć całymi godzinami szli jeden za drugim albo obok siebie. Hacon pomyślał, że wystarczyłoby proste „dziękuję”, ale czekał na próżno. W pewnej chwili nie umiał już znieść tej ciszy, w końcu zapytał, więc zmieszany:

- Może bardziej by ci odpowiadało, gdybym cię tam leżącego zostawił, żebyś zginął?

Rzuciwszy krótkie, ale niezwykle ponure spojrzenie, Candamir odparł:

- Byłbym ci wdzięczny, gdybyś zachował dla siebie to, co się stało. Jeśli dasz radę nie chęć się swoim czynem.

Hacona dotknęło to do żywego i nic już nie mówił. Dopiero po kilku godzinach dotarło do niego, że Candamir wciąż jest mu winien odpowiedź na zadane pytanie.

Razem dopłynęli do znajomego brzegu. Candamir miał miękkie kolana i z trudem łapał oddech, ale za żadne skarby nie chciał, żeby brat zauważył, jak bardzo jest wyczerpany.

Promienie wieczornego słońca opuściły już łąkę przy osadzie. Byli wdzięczni losowi, że od razu oszczędził im ciekawskich spojrzeń i pytań, i szybko skierowali się w prawo. Candamir krótkim skinieniem głowy pożegnał się z bratem i wszedł na swoje podwórze. Nie było tam nikogo. Cały czas miał nadzieję, że oznacza to jedynie, że wszyscy siedzą przy wieczerzy. Nagle za jego plecami odezwał się jednak jakiś dźwięczny głos:

- Czego tu chcesz?

To Nils - rozpoznał Candamir. Odwrócił się powoli, żeby nie przestraszyć chłopca. Nils stał między nim a sadem w odległości mniej więcej pięciu kroków.

- Ktoś ty? - zabrzmiało trwożliwie, a zarazem wyzywająco.

Przez chwilę Candamir był zbyt wstrząśnięty tym, że syn go nie poznał, żeby się



ruszyć czy odpowiedzieć. Z rosnącą zgrozą zobaczył, że chłopiec ma w małej piąstce sztylet. Mężczyzna powoli upadł w trawę na kolana.

- To ja, Nilsie, twój ojciec - wyciągnął do niego rękę. - Podejdz i obejrzyj mnie i sobie z bliska, to zobaczysz, że mówię prawdę.

Karminowe dziecięce usteczka otworzyły się z wielkim zdumieniem. Ale szaroszmaragdowe oczy błyszczały. Nils rozpoznał głos ojca. Z okrzykiem radości porzucił broń i skoczył mu na szyję. Candamir ze śmiechem wziął go w ramiona i uniósł do góry.

- Widzisz.

- Ale masz takie krótkie włosy. Myślałem, że to jakiś obcy niewolnik i...

- Włosy odrosną, przecież wiesz. Gdzie twoja mama?

- Z Austinem. Jest ranny.

Żyje. Nie zginęła. To było w tej chwili wszystko, co Candamir był w stanie pojąć, i dopiero z pewnym opóźnieniem dotarła do niego druga część nowiny Nilsa.

- Ranny? Ciężko?

- Nie wiem.

- Ludzie Larsa to zrobili?

- Nie, Osmund. Ojciec, dlaczego wyglądasz tak inaczej? To nie tylko te włosy. Coś jeszcze jest inaczej. Ale co?

- Osmund ranił Austina?

- Tak. Teraz już wiem! Jesteś zupełnie chudy! - Nils zakrył ręką buzię i zachichotał. Ponieważ mało wiedział o chorobie, a jeszcze mniej o głodzie, widok chudego człowieka wydawał mu się zabawny.

Candamir wziął się w garść. Stwierdził, że musi natychmiast iść do Siglind, żeby niepotrzebnie nie przedłużać jej trwogi i zmartwienia, ale też po to, żeby się dowiedzieć, co się tu wydarzyło. Uśmiechnął się porozumiewawczo do Nilsa i pogłaskał go po czarnej czuprynce.

- Twoje siostry mają się dobrze?

Chłopiec przytaknął. Candamir postawił go na ziemi.

- To biegnij do domu i powiedz im, że wróciłem cały i zdrowy. Wasz stryj też. Idę do Austina.

Już się miał odwrócić, ale Nils wziął go za rękę i pociągnął za sobą.

- Austin jest u nas. Przecież jego chata spłonęła.

Candamir schylił się, podniósł z trawy niebezpieczną broń i stwierdził, że to jego własność.

- Skąd masz mój sztylet? - zapytał, idąc z Nilsem do domu.

- Znaleźliśmy go przy powalonym orzechowcu, kiedy ty.. Zniknąłeś. Matka włożyła go do swojej skrzyni, ale zeszłej nocy, kiedy przyszli rabusie, dała mi go.

„Biedne dziecko - pomyślał Candamir. - Jesteś doprawdy za młody, żeby być jedynym mężczyzną w domu”. Włożył ostrą klingę za płócienny pas, który podtrzymywał jego spodnie, po czym wszedł do środka.

W izbie była jedynie służba i dzieci. Położył palec na ustach, żeby uciszyć ich hałaśliwe powitanie, po czym wziął w ramiona Irmgardis, a stwierdziwszy, że wczepiła się w niego z całych sił, po prostu zabrał ją ze sobą do tylnej izdebki.

Siglind spojrzała w górę, usłyszawszy dźwięk otwieranych drzwi. Powoli wstała z zydła przy łóżku i zrobiła krok w kierunku przybysza.

- Och, chwała niech będzie Bogu - wyszeptła. - To prawda. Nie kłamał...

Candamir postąpił ku niej, przytulił ją wolnym ramieniem do siebie i pocałował. Siglind, podobnie jak Irmgardis, objęła go rękami za szyję, stając nieco na palcach. Tak trwali przez dłuższą chwilę, a Candamirowi wydało się, że on i Siglind mogliby tak stać godzinami i upajać się po prostu tym, że znów siebie mają, ich córka jednak położyła tej pamiętnej chwili przedwczesny kres.

- Ząb mi się rusza, ojczel! - oświadczyła, zazdrosna, że jest zapatrzony tylko w matkę, nie mogąc się już powstrzymać od obwieszczenia tej wielkiej nowiny - Tutaj, popatrz! - Rozdziawiła buzię i położyła palec na jednym z dolnych, malutkich siekaczy

Candamir puścił żonę i odpowiednio długo podziwiał chwiejący się ząb. Potem postawił Irmgardis na ziemi.

- Jutro pomyślimy, co z nim zrobić, kiedy wypadnie - obiecał.

- Zrobisz mi na niego skrzyneczkę?

Skinął głową.

- Jeśli będziesz grzeczna i pójdziesz do Solvig, a dziś przy stole wyjątkowo zjesz wszystko ze swojej miski.

Rzuciła mu spojrzenie pełne żalu i skargi na niesprawiedliwość tego świata, w

którym rodzice mogą każdą obietnicę obwarowywać jakimiś warunkami. Najwidoczniej zależało jej jednak na skrzyńeczce, bo wyszła bez dalszych sprzeciwów.

Candamir przysiadł na zydlu i posadził sobie Siglind na kolanach. Delikatnie położyła dłonie na jego twarzy. Zamknął oczy. Kiedy poczuł jej usta na swoim czole, otworzył oczy znowu i popatrzyli na siebie. Nic z tego, co zobaczył, nie zaskoczyło go. Przeżywała tu strach, cierpiała i płakała. Uśmiechnął się bardziej beztrząsko, niż się czuł, i małym palcem otarł łzy płynące po jej policzkach.

Potem spojrział ku Austinowi, który z zamkniętymi powiekami nieruchomo leżał na ich łożu. Był przerażająco blady i zarośnięty.

- Co z nim?

Siglind podniosła nieco koc i ukazał się zakrwawiony opatrunek przykrywający pierś i prawy bark Saksona.

- Ma ranę od miecza i stracił dużo krwi. Ale dziś rano krwawienie ustało. Jeśli nie dostanie gorączki, przeżyje. W każdym razie taką mam nadzieję. Nie bardzo się rozumiem na leczeniu, a Inga odmówiła pomocy. Na szczęście Heide wiedziała, jakimi ziołami powstrzymuje się krwotok i gdzie można je znaleźć.

- Osmund rzucił się z mieczem na Austina? - zapytał z niedowierzaniem.

Bezradnie wzruszyła ramionami i przytaknęła z wahaniem.

- W pewnym sensie.

- Opowiedz po kolei.

- Tak. Ale nie tutaj. Wyjdźmy na zewnątrz. Teraz śpi spokojnie i nas nie potrzebuje.

Aby uczcić powrót Candamira, Heide ubiła kilka kur, ale przeprosiła, że z tego powodu posiłek będzie nieco później. Siglind postawiła na desce dwa kufle, dzban miodu, mnóstwo chleba i soczysty kozi ser, wyniosła to ogrodu i zaniósła pod jabłonie. Blisko przy sobie usiedli w trawie i nie rozmawiali, a Candamir jadł.

- Nie spiesz się, bo ci zaszkodzi - ostrzegła tylko.

- Tak, Hacon też to mówił - odpowiedział z pełnymi ustami, nie spowalniając jednak w zauważalny sposób jedzenia. - Ale to nieprawda. Nic mi nie szkodzi poza głodem.

- Jak z twoim bratem? Też go zagłodzili niemal na śmierć?

Pokręcił przecząco głową.

- Regularnie go tuczyci. Bo musiał dla nich pracować, ale też dlatego, jak sądzę, żeby nas poróżnić. Lars to szczwany sukinsyn, tak samo jak jego ojciec. Miało to jednak bez wątpienia swoje dobre strony. Przedwczoraj Hacon niósł mnie przez ponad pięć mil przez pustynię. Dwie, trzy, może nawet cztery godziny, nie mam pojęcia. I to... Tak mnie to zawstydziło, że potem w podzięcie traktowałem go obrzydliwie - zakończył z rozbrajającym uśmiechem pełnym skruchy Siglind wzięła go za rękę.

- Naprawisz to - rzekła z przekonaniem.

Przytaknął, choć nie był wcale taki pewien, i oderwał następny spory kawałek chleba ze świeżego, puszystego bochenka. - Muszę pójść do Osmunda. Na pewno też się o nas martwi.

- Mało nie odchodził od zmysłów - odparła z osobliwą powagą.

- Najlepiej pójde od razu, teraz. Najpierw muszę się jednak dowiedzieć, co się tu działo zeszłej nocy.

- Przyszli po północy Strażnicy na brzegu odkryli na rzece „Smoka” i wszczęli alarm, ale tym razem rabusie przywieźli swoje kobiety, które ograbiły stodołę Thorbjorna i kilka innych, gdy w tym czasie nasi mężczyźni walczyli z nimi na brzegu. Kiedy kobiety przyniosły łupy na statek i dały sygnał, Lars i jego ludzie się wycofali. Wszyscy poza Gunnarem.

- Gunnarem?

Rzuciła mu krótkie, nieszczęśliwe spojrzenie i przytaknęła.

- On się poddał Osmundowi. Powiedział, że chce zostawić tamto pustkowie za sobą i wrócić do nas. Żałował swoich czynów i przykro mu było z powodu tego, jak jego brat cię tam traktował, a Hacon dał mu do zrozumienia, że teraz, kiedy jego ojciec nie żyje, mógłby u nas zacząć wszystko od nowa. Zaoferował się, że przepracuje dla nas siedem lat jako niewolnik, żeby odplacić szkody, które spowodował.

- Propozycja do przyjęcia - wtrącił Candamir.

Skinęła głową.

- Tak samo stwierdzili Harald i Jared. Jared był rozradowany, że odzyskał jednego z braci. Nawet, kiedy Gunnar mu wyznał, że to on podpalił stodołę, Jared wciąż był gotów wszystko mu od razu wybaczyć. Osmund jednak... - urwała, jakby ją nagle

opuściła odwaga.

- Tak?

- Nie uwierzył w ani jedno słowo Gunnara. Kazał dwóm swoim ludziom go związać, a następnie zapytał go, gdzie jesteś. Gunnar odparł, że uciekłeś razem z Haconem nocą dwa dni wcześniej. Osmund jednak w to także nie uwierzył. Przypalał Gunnarowi stopy w ognisku, żeby wydobyć z niego prawdę.

Candamir powoli odłożył chleb.

- Och, Osmundzie - powiedział cicho. - Najwierniejszy z przyjaciół... Akurat wybrałeś sobie niewłaściwego...

- To samo mówili Harald i jeszcze inni. Byli skłonni zaufać Gunnarowi. Ale większość była po stronie Osmunda, on zaś... Nie miał litości. Od wrzasków Gunnara pobudziły się dzieci, nie tylko nasze, ale wszystkie. Kobiety skarciły Osmunda i zażądały, żeby przestał, ale on nie zwracał na nie uwagi.

W końcu wmieszał się Austin. Po prostu przyniósł wiadro wody i zgasił ognisko. Potem zasłonił Gunnara sobą. Osmund dobył miecza i przystawił mu do gardła. „Zabij mnie, a i tak obaj będziemy wiedzieli, że nie ma to zupełnie nic wspólnego z tym nieszczęsnym chłopcem” - powiedział do niego Austin. Był całkowicie... Bez strachu. W każdym razie bardzo przekonująco to udawał.

Osmund był tak wściekły, jak jeszcze nigdy nie widziałam. Podeszedł krok bliżej i mocniej przycisnął ostrze. Groził Austinowi: „Zejdź mi z drogi, bo jeśli nie, to oddam tej społeczności od dawno oczekiwaną przysługę i uwolnię nas wszystkich od ciebie i twojego przeklętego boga”. Austin nie ruszył się nawet o cal. W chwili, kiedy Osmund chciał zadać cios, kowal odciągnął Austina w bok i dlatego ostrze zraniło go jedynie powierzchownie.

Siglind musiała na moment przerwać, bo łzy napłynęły jej do oczu. Na początku była przekonana, że jej poczciwy przyjaciel umrze, i ta zgroza wciąż jeszcze była w niej obecna.

- Podczas, gdy ten okrutnik wciąż tam zaskoczony stał i zastanawiał się, gdzie tak nagle zniknęła jego niewinna, bezbronna ofiara, szlachetny Jared zaniósł swojego zapłakanego brata do domu i tak skończyła się cała ta okropna scena.

Nagle Candamir skoczył na równe nogi.

- Osmund! - Ze śmiechem wziął swojego młecznego brata w ramiona. -  
Szczęśliwe zakończenie, zdaje mi się.

Osmund zacisnął oczy, krótko odwzajemnił uścisk, po czym się uwolnił.

- Czy to już koniec tej pieśni, to się jeszcze zobaczy. Witaj w domu, Candamirze.  
Już prawie nie liczyłem, że cię jeszcze zobaczę.

- Tak - odparł Candamir, który nagle spowaźniał. - Ja też.

Siglind wstała z trawy i podeszła do Osmunda.

- Mam nadzieję, że moje słowa cię nie uraziły, Osmundzie. Nie miałam zamiaru  
źle się o tobie wyrażać - zabrzmiało to wyraźnie sztywno.

Prawie niezauważalnie skłonił głowę, żeby przynajmniej zrobić wrażenie, że nie  
ma żalu.

- Och, daj spokój - rzekł Candamir zniecierpliwiony. - Wiesz przecież, jak jest  
przywiązana do Saksona. Zeszłej nocy żaden z was nie mógł wiedzieć, że Gunnar mówi  
prawdę. Jego stopy się zagoją, podobnie jak rana Austina, i będziemy mogli zapomnieć o  
całej sprawie.

„Jak zawsze chcesz zapomnieć o wszystkim, co jest dla ciebie nieprzyjemne” -  
pomyślała szybko Siglind, ale nie była to stosowna chwila, żeby powiedzieć te słowa na  
głos.

Osmund zgodził się z wahaniem. Później dokładnie obejrzał przyjaciela od stóp  
do głów. Jego wzrok najdłużej zatrzymał się na krótkich włosach. Candamir zaczął  
nerwowo ssać kciuk, co ostatnio weszło mu w nawyk. Sam wiedział, że wygląda jak  
skatowany niewolnik, i to go zawstydzalo już wystarczająco nawet wtedy, gdy nikt nie  
patrzył. Być może nie powinien wychodzić z domu, aż będzie miał znów długie włosy i  
normalną twarz.

- Żałuję, że nie zabiłem Gunnara - nagle wyznał Osmund.

Candamir wyjął kciuk z ust i pokręcił głową.

- Ależ on był tam jedynym, który nam pomagał. - Pomyślał o przerażającej scenie  
w izbie Larsa. Och, na wszystkich bogów, czy to naprawdę się wydarzyło trzy noce  
temu? - Bez niego nasza ucieczka nigdy by się nie powiodła. Przeciwnie. Bez niego  
najprawdopodobniej nie byłoby mnie teraz wśród żywych.

Osmundowi opadły ręce i przez chwilę zdawał się nie wiedzieć już tak dobrze, co

ma myśleć czy mówić. Candamir położył mu dłoń na ramieniu.

- Wejdz do środka. Zjedz z nami. Potem opowiesz mi, jak to było.

- Chętnie - odparł przyjaciel. - Ale nie mogę. Dzisiaj jest zrównanie dnia z nocą.

Inga spodziewa się mnie w świątyni.

Candamir puścił jego ramię.

- To przyjdź jutro.

Osmund się zawahał.

- Ty przyjdź do mnie - powiedział. - Nie chcę wchodzić do twojego domu, dopóki jest tu Sakson. Dobranoc, Candamirze. Dobranoc, Siglind. - Z tymi słowami odwrócił się i zniknął w mroku.

Candamir patrzył za nim skołowany. Siglind wzięła go za rękę.

- Długo cię nie było - zauważyła ostrożnie. - Wiele się tu zmieniło.

Podczas posiłku w izbie Candamira nastrój był bardzo zgaszony i niewiele się rozmawiało. Wszyscy się cieszyli, że znów jest w domu, ale niewolnicy czuli się bardzo niezręcznie, że ich pan wygląda jak jeden z nich, tylko chudszy. Nils zarzucał ojca pytaniami o jego walkę z Olafem i życie na pustkowiu, a Candamir odpowiadał. Siglind czuła jednak, że właściwie jest na to zbyt wyczerpany i koszmar więzienia jest jeszcze dla niego zbyt realny. Wołała zakończyć tę rozmowę, zanim Candamirowi zmieni się humor i nakrzyczy na chłopca.

- Godwinie, bądź tak dobry i idź do ojca i Asty, oraz do innych sąsiadów, żeby im powiedzieć, że Candamir i Hacon wrócili cali i zdrowi. Ta nowina sprawi im taką ulgę, że nie powinniśmy im dłużej kazać czekać.

Pomocnik wstał ochoczo i wyruszył z radosną nowiną.

- A ty idź do sauny - szepnęła Siglind do Candamira.

- Ale jest noc - zaprotestował zdziwiony.

- Idź mimo to... - poradziła z tak obiecującym uśmiechem, że nie stawiał już żadnych oporów.

W saunie paliły się małe olejowe lampki, a w ich ciepłym świetle zauważył nie tylko wspaniałą letnią kąpiel, ale także przygotowane obok balii posłanie ze skór, koców i miękkich puchowych poduszek. Przyszło mu do głowy, że jego łóżko jest zajęte, a przecież musi gdzieś spać.

Jeszcze dobrze nie rozsiadł się w balii, kiedy weszła jego żona. Bez słowa zdjęła suknię, weszła do wody i kochali się niespiesznie, czule, ciasno objęci. Potem przyniesionym mydłem wymyła go od stóp do głów, jakby był małym chłopcem, on zaś chętnie na to pozwalał, czując z zamkniętymi oczami, jak wraz z pustynnym pyłem spłukuje z niego przerażenie, złość i rozpacz ostatnich trzech miesięcy.

W końcu wyszedł z balii, wytarł się niedbale i usiadł na nęcącym posłaniu, gdzie przy poduszce niespodziewanie odkrył dzban piwa. Pociągnął głęboki łyk i westchnął błogo.

- Musiałś za mną naprawdę tęsknić - zauważył. - To pierwszy raz, kiedy namawiasz mnie do picia.

Usiadła przy nim, objęła rękami podciągnięte kolana i przyglądała mu się z uśmiechem.

- Pomyślałam, że ostatnimi czasy z pewnością dawano ci mało miodu i piwa.

Pokręcił głową.

- Tylko wodę. Jak był dobry dzień. Było jak podczas zimowego głodowania, tylko cieplej.

Jego drwiący ton nie zdołał jej zmylić. Spuściła wzrok i wzięła go za rękę.

- Dopiero wczoraj wieczorem dowiedzieliśmy się od Gunnara, że zabiłeś Olafa. Bardzo mi ulżyło, bo wiedziałam, że nie spotkało cię to, czego najbardziej się obawiałeś. Potem jednak pomyślałam, że Lars na pewno szalał z wściekłości. On tak bardzo podziwiał ojca.

- Jest jego godnym następcą, prawda?

Nic na to nie odpowiedziała, poczekała, aż opróżni dzban i się położy, po czym zdmuchnęła lampki i ułożyła się przy nim. Miała nadzieję, że w ciemności coś jeszcze powie, ale natychmiast zasnęła.

Krótko przed świtem z jękiem zerwał się pod wpływem sennego koszmaru, który miał więcej wspólnego ze stopami Gunnara niż z wydarzeniami na pustkowiu. Otrząsnął



się z okropnych wizji i obudził żonę, która go ochoczo przytuliła, zanim jeszcze otworzyła oczy. Dopiero później opowiedział jej to, co chciała wiedzieć, a pierwsze szare światło brzasku stopniowo coraz bardziej przebijało się przez szpary w ścianach z desek. Nie czynił tego z chęcią, ale wiedział, że jest to najlepszy sposób, żeby zostawić za sobą to, co się wydarzyło. Niemal niczego nie przemilczał, opowiadał rzeczy, z których nikomu innemu nie umiałby się zwierzyć. Siglind słuchała i kiwała głową, a wiedziała, o co mu chodzi, nawet wtedy, kiedy brakowało mu słów, ponieważ byli sobie bardzo bliscy.

- Teraz twoja kolej - powiedział na koniec. - Co tu się wydarzyło? Co... Co, na wszystkich bogów, stało się z Osmundem?

Siglind nagle zrobiła się niespokojna.

- Pozwól, że będę ci w trakcie opowiadania przycinać brodę, dobrze?

- Proszę. Ale dopóki włosy mi nie odrosną, nie zrobisz ze mnie żadnej piękności.

- Nic nie robi z ciebie piękności - odparła. Tak jej się wyrwało, bo w ten właśnie sposób zazwyczaj się z nim przekomarzała. Teraz oboje się zaśmiali, gdyż zabrzmiało to tak cudownie normalnie. Jakby wszystko było po staremu.

Siglind pożyczyla od niego sztylet, uniosła mu palcem podbródek i wzięła się do dzieła.

- W sobótki było trzęsienie ziemi.

Candamir milczał przez chwilę.

- Tak, wiem. - Na pustkowiu też to odczuli. - Przypuszczam, że Inga nie zmarnowała okazji, żeby pouczyć o większej pobożności i ofiarności.

Siglind skinęła głową.

- Zażądała od Austina, ode mnie i pozostałych chrześcijan, żebyśmy uczestniczyli w sobótkowych obrzędach. Nie zrobiliśmy tego. Podczas ceremonii w świątyni, jak nam opowiedział Harald, nawoływała do zwalczania „fałszywego boga i jego sług”, którzy ciągle obrażają Odyna. I od tamtej pory zwalczają. Odcinają się od nas, obrzucają Austina kamieniami, a na thingu robią to, co im każe Osmund. Inga zakazała Rorykowi i małemu Siwardowi bawić się z Nilsem, a z tego powodu wszyscy trzej są nieszczęśliwi.

Candamir słuchał z niedowierzaniem i rosnącym przerażeniem. Chwycił ją za przegub, wziął sztylet i pociągnął ją na koc obok siebie.

- Na ostatnim thingu postanowili zakazać noszenia krzyży - ciągnęła Siglind ochryplym głosem, z rękami złożonymi na kolanach. - Kto będzie miał krzyż, ten musi się wykupić, dostarczając do świątyni owcę lub konia.

- Co?

- Od tamtej pory noszę mój krzyżyk pod suknią, bo byłam sama i bałam się o siebie i dzieci. Poza tym nie chciałam, żeby położyli łapę na twoich cudownych koniach. Ale Austin... Znasz go przecież. Gdyby miał jeszcze większy krzyż, to zaraz by go sobie powiesił na szyi tylko po to, żeby stawić czoła Indze i Osmundowi. Ponieważ nie ma ani owiec, ani koni, to nie mógł im dostarczyć ustalonej grzywny, ale za to zabrali mu krowę i świnie. Przed tygodniem zaś ktoś podpalił mu dom.

- O, potężny Tyrze...

- Na szczęście go tam nie było. Byliśmy wtedy w kuźni, żeby odprawić mszę. Znow musimy to robić potajemnie, jak dawniej.

- Spłonęły wszystkie jego księgi?

Siglind pokręciła głową.

- Przeczuwał, że coś takiego się może zdarzyć, i zarówno swoje księgi, jak i zapasy pergaminu oraz atramentu po wierzył kowalowi na przechowanie.

Przez chwilę była cisza. Wreszcie Candamir mruknął:

- Zdaje się, że będę musiał poważnie porozmawiać z moim mlecznym bratem.

Siglind ostrzegawczo chwyciła go za ramię.

- Bądź z nim ostrożny, Candamirze. Wiesz, on cię szukał. Cztery razy z kilkoma ludźmi wyprawiał się na pustkowie i tam cię poszukiwał. Zawsze bezowocnie. Za każdym razem był w większej rozpaczy, wracając z pustymi rękami. Sądzę, że to właśnie uczyniło go takim nieprzejednanym.

- To? Czy raczej jego żona? - zapytał Candamir nadszpiewanie ostro. - Jest gorsza od Brygidy. Cóż za jadowita żmija.

„To ty wiesz?” - pomyślała Siglind ze zdumieniem i musiała uznać, że nie doceniała męża. Zmieszana kiwnęła głową.

- Cokolwiek ją gryzie, najwidoczniej już nie wystarcza, żeby płacił za to tylko biedny Roryk. Teraz pragnie zaszkodzić wszystkim, którzy nie są tej samej wiary, co ona.

Candamir przytulił Siglind i położył brodę na jej głowie.

- Już się nie bój. Teraz znowu ja tu jestem i nie mam zamiaru znów się gdzieś zapodziać. Przywołam Osmunda do rozsądku, zobaczysz.

Siglind przycisnęła usta do jego piersi. Rzeczywiście czuła się bezpieczniej teraz, kiedy on tu był, wątpiła jednak, że Osmund zboczy z raz obranej drogi. Zdawało się, bowiem, że jest naprawdę odurzony władzą, którą nagle posiadał. Działał też pod wpływem najgłębszego przekonania. Wydarzenia ostatnich miesięcy zapewne uczyniły go bardziej nieugiętym, niż to leżało w jego naturze, a przy tym szczerze nienawidził Austina i jego Boga, a czasami Siglind nie mogła się pozbyć wrażenia, że jej także nienawidził. Ogarnięta nagłym niepokojem, uwolniła się z objęć Candamira.

- Masz! - Wskazała na zydel obok skrzyni z drewnem na opał. - Znalazłam twoje najlepsze ubranie. Ubierz się, a potem zajrzyjmy do Austina.

Dom był już na nogach i przygotowywano się do śniadania, kiedy wkroczyli do izby. Heide gotowała zupę z maślanki, a Freydis smarowała miodem żytni chleb. Candamir porwał kawałek, uśmiechnął się bezczelnie na pełen oburzenia protest służącej i, żując, poszedł za Siglind do sypialni.

Austin siedział na łóżku podparty poduszką. Wciąż jeszcze był blady, ale zobaczywszy Candamira, rozpromienił się. Wyciągnął do niego lewą rękę.

- Śniło mi się, że słyszę twój głos. Więc to prawda! Candamir wziął go za rękę, krótko uścisnął, niemal łamiąc Austinowi kości, puścił i przysiadł na brzegu łóżka.

- To prawda. Oto jestem, nie bez szwanku, ale żywy. Jak tobie się wiedzie, mój głupiutki, saksoński przyjacielu?

- Bardzo podobnie. W każdym razie lepiej, niż ośmielałem się na to liczyć przedwczorajszej nocy.

Wymienili porozumiewawcze uśmiechy, ale nie mieli okazji porozmawiać o tym, co się działo, bo Siglind oświadczyła:

- Austin potrzebuje przede wszystkim spokoju. Idź na śniadanie, Candamirze. I to zaraz. Powiedz Heide, żeby przyniosła Austinowi miskę zupy

Candamir się nie sprzeciwiał. Żeby jednak nie wyszło na to, że dał się pokornie

przegonić, zapytał Austina:

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić? Sakson żywo skinął głową.
- Przynieś mi moją Biblię. Jest u Haralda.
- Wiem. I tak właśnie miałem tam zajrzeć.

Wrócił do izby, zjadł potężne śniadanie i przyjął nieprzerwany strumień gości, którzy chcieli się na własne oczy przekonać, że naprawdę wrócił. Candamir był wdzięczny za ich sympatię, ale wszystkie ich zakłopotane, ukradkowe spojrzenia nie były przyjemne. Cieszył się, że Siglind była taka przewidująca i wyszukała mu tak porządne ubranie, dodało mu to trochę pewności siebie.

- O, zdaje się, że znalazłem - oznajmił Hacon z nadzieją. Siedział za stołem u Haralda, nachylony nad jedną z ksiąg Austina, i przesuwiał palcem wzdłuż rzędów małych run.

Kowal, Asta, Godwin i Jared stali wokół niego i gapili się, jakby zonglował barwnymi maczugami albo mówił wierszem.

- *O, tutaj: Krwawnik to piękna roślina, której wysokość waha się od jednej stopy do jednego łokcia. Poznaje się go pierzastych liściach i gęstym kwiatostanie kwitnącym w barwie białej do różowej. Kwitnienie zaczyna się w maju i trwa do października. Oznacza to, że od radosnego do wietrznego księżycy, czyli jeszcze teraz też. I dalej: Ponieważ lubi słońce, na Catanie rośnie głównie przy miedzach i na łąkach, ale nie w lasach, podobnie jak rumianek, glistnik jaskólcze ziele oraz dziurawiec, zwany też zieleń świętojańskim, które także...* Mój Boże, Austinie, dlaczego musisz zawsze być tak rozwlekły? - mruknął Hacon zniecierpliwiony. Przeskoczył następną linijkę i znalazł to, czego szukał: - *Stany zapalne leczy się okładami z krwawnika, który uśmierza ból, przyspiesza gojenie i zapobiega zgorzeli. Do okładu weź dwie duże garście kwiatów i niech się gotują w garnku wody tak długo, jak długo trwa odmówienie dziesięciu „Ojcze nasz”, a następnie je odcedź. Namocz w wywarze czyste kawałki lnianego płótna i połóż na ranę. Powtarzaj leczenie w południe i gdy pojawi się Gwiazda Wieczorna* - Hacon podniósł wzrok. - To tyle.

Jared poszedł w kierunku drzwi.

- Dziękuję, Haconie. Nie zapomnę ci tego.

- Pójdę z tobą - zaofiarowała się Asta. - Wiem, gdzie rośnie krwawnik.

Już w drzwiach niemal zderzyli się z Candamirem. Asta objęła brata.

- Och, Candamirze...

Zakłopotany, pogłaskał ją po plecach, po czym uwolnił się i obejrzał jej płaski brzuch.

- No? Ile ich było?

- Tylko jedno - odparła. - Chłopiec. Daliśmy mu na imię Candamir. Miał to być...

Znak nadziei.

Candamir uśmiechnął się i kiwnął głową do kowala. Trochę niewyraźnie - mógłby ktoś sądzić - ale ponieważ dobrze go znali, Asta i Harald od razu zauważyli, że Candamir jest poruszony. Ten zwrócił się do Jareda:

- Jak z Gunnarem?

Jared zmieszany spojrzał w bok.

- Pewnie mniej więcej tak, jak byś sobie życzył.

- Sądzę, że się mylisz. Gorączkuje?

Jared pokręcił głową.

- Moja Margild się nim opiekuje. Hacon odczytał nam z księgi Austina, co mamy robić. - Wyszedł razem z Astą.

- Dzielny Hacon - mruknął Candamir, kiedy zamknęły się za nimi drzwi. -

Człowiek wszechstronnie uzdolniony: kowal, uczony, życie ludziom ratuje...

Hacon rzucił mu przez ramię wściekłe spojrzenie.

- Specjalnie się tu fatygowałeś, żeby mnie wyśmiewać?

Candamir podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu.

- Nie. Żeby ci podziękować. Ja... Cóż... - Rozłożył ręce i uśmiechnął się zawstydzony - Było mi głupio, Haconie. Przecież to rozumiesz.

- Nie - warknął młody kowal.

Podszedł do nich Harald, przywitał się i powiedział do swojego dawnego ucznia:

- Nie bądź dla niego taki surowy To był wstrząs, że wasze role się tak nagle odwróciły. Teraz przyszedł nadrobić to, co zaniedbał.

Hacon dalej burczał pod nosem.

Harald gestem zaprosił Candamira do stołu.

- Częstuj się, mój chłopcze, spróbuj bryndzy Asty..

Candamir chętnie sięgnął po jedzenie, ale kręcąc głową, zauważył:

- Nagle wszyscy chcą mnie tuczyć. Znów przybiorę na wadze, zobaczycie. Tylko, że nie w ciągu jednego dnia.

Harald przytaknął, przyjrzał mu się jednak pełen troski.

- Austinowi się polepszyło - zawiadomił Candamir. - Obudził się i chce swoją Biblię.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - mruknął Hacon i przeżegnał się. - Zajrzałym do niego już wcześniej, ale nie miałem śmiałości wchodzić do twojego domu.

- Nadal brzmiało to chłodno.

Candamir oparł łokcie na stole i nieco się pochylił do przodu.

- Rozumiem, że jesteś zły, na nic innego nie zasłużyłem. Walnij mnie, więc w łeb, jeśli chcesz. Ale akurat teraz nie możemy sobie pozwolić na kłótnie, rozumiesz?

Hacon przez chwilę patrzył na niego badawczo.

- Nie jestem pewien, czy rozumiem, Candamirze. Zwykle sprzecanie się ze mną sprawiało ci wiele przyjemności.

- Candamirowi chodzi o to, że mamy teraz poważniejsze kłopoty - wyjaśnił kowal, którego po prostu nigdy nie zmęczyło doprowadzanie do ugody między jego szwagrami, tak odmiennymi.

Hacon przytaknął. Jemu także Gunda przedstawiła, podobnie jak Siglind Candamirowi, obraz ostatnich miesięcy, i nie mieściło mu się w głowie, jak wiele się tu zmieniło i jak wielki jest strach Gundy przed Osmundem i Ingą. Miał wrażenie, jakby nie było go trzy lata. Zdawał sobie sprawę, że dzieje się tu coś niedobrego i że muszą się trzymać razem, aby to powstrzymać. Przez chwilę jeszcze walczył ze sobą, głaszcząc odruchowo, ale z czułością zielarskie dzieło Austina. W końcu głośno odetchnął.

- Dobrze. Macie rację. Zastanówmy się, co robić.

Candamir spędził większą część dnia w swoim warsztacie, gdyż było tam bardzo dużo do zrobienia. Godwin nie dawał sobie sam rady z robotą i nagromadziły się

zamówienia na stoły, skrzynie, łóżka, wozy, a nawet nowe zabudowania.

Mniej więcej, co godzinę przychodziła Heide lub jakaś inna służąca i przynosiła zimnego wczorajszego kurczaka, ser, chleb na miodzie i pasztet, a chociaż Candamir rugał ją i mówił, żeby nie robiła takiego zamieszania, wszystko jednak zjadał, zwykle brudnymi rękami, dlatego to, co spożywał, miało posypkę z trocin.

Do stolarni zagłędało w ciągu dnia również wielu sąsiadów i przyjaciół, żeby go powitać, żeby wyrazić swoją wdzięczność i podziw, że zabił Olafa, a także żeby dać mu do zrozumienia, że jakiegoś nowego mebla potrzebują pilniej niż ktokolwiek inny, albo żeby zwierzyć się mu z niepokoju w związku z wydarzeniami ostatnich tygodni.

Candamir uważnie ich wysłuchiwał, ale dłonie miał stale zajęte robotą. Bez przerwy przybijał, heblował, kleił. Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo tęsknił za swoją pracą, dotykiem drewna w dłoniach i mieszaniną zapachów drewna, żywicy i kleju.

Przychodzili też jednak tacy, którzy mu radzili, aby Saksona wygnał z domu, a żonie zakazał kontaktów z nim i jego bogiem.

- Moja żona tak wybiera swoje towarzystwo i swojego boga, jak uważa za słuszne, a w moim domu schronienie znajdzie każdy sąsiad, któremu jakiś zdradziecki łotr podpali dach nad głową - odpowiadał im Candamir gniewnie.

- Ty lepiej uważaj - ostrzegł Godwin, kiedy wściekły Haflad zamaszycie wyszedł od nich. Nie on pierwszy

- Niby, dlaczego? - zapytał Candamir zaskoczony. - Dlaczego na własnej ziemi nie miałbym otwarcie mówić, co myślę? Haflad i ja bardzo rzadko mamy takie same poglądy Nigdy jednak nie spędzało mi to snu z powiek.

Godwin ponuro pokiwał głową.

- Ale ci, którzy myślą jak on, są po prostu w większości.

Candamir prychnął.

- Mówisz tak, jakbyśmy tworzyli jakieś wrogie obozy.

Godwin nie odpowiedział.

Gdy wykonali już całą robotę na ten dzień, Candamir umył się, używając wiadro

świeżej rzecznej wody przyniesionej przez Noriego, po czym razem poszli do koni. Stajnia stała na wschodnim skraju podwórza, możliwie blisko bramy w żywopłocie, ponieważ o suchej, łagodnej porze roku zwierzęta prawie codziennie wychodziły na kilka godzin na pastwisko.

Usłyszawszy głos swojego pana, Buri zastrzygł uszami i pełen nadziei odwrócił do niego głowę. Candamir podszedł i poklepał go po szyi.

- Tęskniłeś za mną, przyjacielu?

Wziął kilka jabłek ze skrzyni na owoce stojącej przy wejściu do stajni i nakarmił nimi swojego ulubieńca. Trzy źrebaki wyraźnie urosły od czasu, kiedy je ostatnio widział, Nori opowiadał mu zaś o małych przygodach i dziecięcych chorobach.

- Kasztanek prawie trzy tygodnie kulał na lewą przednią nogę, a ja po prostu nie umiałem znaleźć przyczyny. Potem dostał gorączki i zacząłem się martwić. Nie pozwalał mi jednak podejść do kopyta, żebym je dokładnie obejrzał. Naprawdę, panie, kopał jak kozioł. Wreszcie Austin tak źrebaka oszołomił piwem, że ten nie mógł się utrzymać na nogach i spokorniał jak owieczka. Wtedy Sakson lekko naciął kopyto i znalazł wrośniętą drzazgę.

Candamir słuchał z uwagą, głaszcząc źrebaka po kudłatej grzywie.

- Ale miałeś szczęście, mój mały bohaterze, co?

Nori pokiwał głową.

- Jeśli wygnają stąd Austina, niektórym będzie żal. Nie tylko dwu-, ale też czworonogom - przepowiedział ponuro.

- Skąd ci takie nedorzeczności przychodzą do głowy? - zapytał Candamir z irytacją.

Parobek wzruszył ramionami.

- Wszyscy gadają, że do tego dojdzie. To znaczy, wszyscy niewolnicy.

Candamir zniecierpliwiony machnął ręką, zdjął uzdę z haka w ścianie stajni i wsunął Buriemu wędzidło między zęby. Bez słowa wyprowadził pięknego, bułanego ogiera na światło zachodzącego słońca i wskoczył mu na grzbiet.

Oczywiście droga do domu Osmunda nie była aż tak daleka, żeby zabierać konia,



ale Candamir poczuł nagle nieprzepartą tęsknotę za towarzystwem ukochanego wierzchowca. Buri był wytrzymały, wierny, nieustraszony i szybki jak strzała, miał wszystkie zalety, które ludzie cenią u koni. Tym jednak, co tego wieczoru najbardziej podobało się u niego Candamirowi, była jego prostoduszność i małomówność - dwie cechy, których tak mu brakowało u niektórych sąsiadów.

Jechał szerokim objazdem wzdłuż żywopłotu i rozmyślał nad tym, co Nori mu właśnie powiedział. Wiedział, że niewolnicy mają często doskonałe wyczucie tego, co myślą ich właściciele, są świadomi każdego konfliktu, na który się zbiera, gdyż przecież ich życie, a przynajmniej nietykalność mogła zależeć od dostrzeżenia w porę ostrzegawczych sygnałów. Dlatego nie zamierzał lekceważyć tego, co usłyszał.

Wieczorna cisza dobrze na niego działała po tym dniu pełnym gadania. W stajniach i oborach, które w większości stały przy żywopłocie, służące i parobkowie byli zajęci dojeniem i sprząaniem. Dzieci w ogrodach bawiły się piłkami i drewnianymi mieczami, w jednym z sadów Candamir widział parę ciasno przytulonych do siebie kochanków, stojących między drzewami, w sąsiednim ogrodzie młody chłopak pocieszał siostrzyczkę, która gorzko płakała nad złamaną drewnianą lalką. Jakież to wszystko było spokojne, jakie dobre i cenne! Candamir nie był pewien, czy przed swoją przymusową wyprawą na pustkowie potrafił tak jak teraz doceniać proste piękno takich nastrojowych wieczorów. Pomyślał, że kocha to miejsce, które tworzył wspólnie z innymi, i w ciągu tych krótkich siedmiu lat zapuścił tu korzenie, które sięgały głębiej niż tamte, które miał w Elasundzie.

Również stajnie Osmunda stały w pobliżu żywopłotu. Były większe niż stajnie większości pozostałych, a to ze względu na potężne stado owiec, które Osmund hodował. Przejeżdżając tamtędy, Candamir odruchowo zatkał nos - wciąż uważał, że owce śmierdzą gorzej niż inna rogacizna, może poza kozami, i nigdy nie żałował swojej decyzji o hodowaniu tylko tylu sztuk, ilu potrzeba było do ubierania domowników. Za zabudowaniami dla zwierząt, nieopodal rzeki stała komórka bez okien, w której Osmund składował swoją wełnę, i Candamir usłyszał dochodzący stamtąd stłumiony płacz. Zaciekawiony, z wahaniem się zatrzymał.

Zsiadł z konia, otworzył kłódkę, w której zwykle całymi dniami tkwił klucz, i otworzył solidne, drewniane drzwi. W świetle wieczoru, które wpadło do wnętrza, odkrył to, czego się spodziewał - na ziemi klęczał Roryk i bez powodzenia walczył ze łzami, przytulając swojego psa, który wyglądał niemal równie żałośnie.

- Hop, hop, Roryku! - Candamir przekroczył próg i przy kucnął przy nim.

Chłopiec zaskoczony podniósł wzrok, ale zaraz go znów opuścił.

- Wróciłeś. Odynowi niech będą dzięki.

- Nie mów, że nikt ci o tym nie powiedział. Roryk pokręcił głową.

- Ja... My tu jesteśmy od wczoraj.

- Do licha, a co takiego zmalowaliście?

Roryk pogłaskał wiernego towarzysza po burej sierści.

- On nic. A ja byłem u Nilsa. I ona mnie przyłapała.

- Twoja matka?

Błękitne oczy ponownie spojrzwały na Candamira i mimo łez, które w nich połyskiwały, nie sposób było nie zauważyć gniewu.

- Żona mojego ojca.

Candamir odczuł ulgę, słysząc, że Roryk najwidoczniej zrezygnował ze starania się o uczucie tam, gdzie nigdy by go nie znalazł. Ten zimny gniew wydał mu się jednak tak nienaturalny u ośmioletniego chłopczyka, że aż się przeraził. Ale ten popis dzielności dziecka szybko się załamał.

- Ona... Ona powiedziała, że jeśli przyjdą po mnie rabusie, elfy albo złe duchy rzeczne, to sam będę temu winien. Tak strasznie się bałem zeszłej nocy... - zakończył zawstydzony. Usta mu drżały. - Właśnie zauważyłem, że światło, co wpada przez szpary, powoli robi się czerwone, i zrozumiałem, że ona chce mnie tu zostawić na następną noc. Nie wiem, czy to wytrzymam. Jestem tak okropnie głodny.

„Dziwka” - pomyślał Candamir z obrzydzeniem. Wstał i wziął chłopca za rękę.

- Chodź, Roryku. Dość już tego siedzenia tutaj.

Roryk wyrwał rękę i przerażony wycofał się głębiej w mrok komórki.

- Nie, proszę. To tylko pogorszy sprawę. Oni się będą uśmiechać i udawać, że mi przebaczyli, aż pójdziesz do domu. Potem ona zacznie na mnie ciskać klątwy i nie da ojcu spokoju, aż mnie nie wychłoszcze. Wcale nie będzie trudno go przekonać, bo on nie

znosi, kiedy jestem nieposłuszny.

- Cóż, ze wszystkimi ojcami jest tak samo, wiesz. Mają też rację. Dobry syn jest ojcu posłuszny, taka jest zasada. Dlatego nieposłuszny syn nie jest dobrym synem, a to oczywiście sprawia każdemu ojcu ból.

Roryk kiwał głową, z trudem panując nad zniecierpliwieniem. Znał ten wykład na pamięć.

Candamir przytrzymał dla niego otwarte drzwi.

- Dobry syn jest posłuszny także mlecznemu bratu swojego ojca. Chodź, mój chłopcze. Musisz coś zjeść. Twój przyjaciel jest z pewnością równie głodny jak ty. Jeśli chcesz, możesz pojechać do domu na Burim.

Nie wiadomo, który argument przeważył, dość, że Roryk bez wahania wyszedł z dusznej komórki na powietrze, a kiedy Candamir posadził go na grzbiecie swojego konia, chłopiec się rozpromienił. Candamir wziął uzdę, żeby Buriemu nie wpadło do głowy coś głupiego, kiedy się zorientuje, że ma do czynienia z małym, niedoświadczonym jeźdźcem, i tak poszli w kierunku domu. Młody pies szedł za nimi, merdając ogonem.

Przyszedłszy pod drzwi, Candamir zdjął chłopca z konia, położył mu rękę na ramieniu i zdecydowanym ruchem popchnął go przed siebie.

- Wybacz, Ingo, że uchylilem twój wyrok. Roryk przyszedł tu ze mną wbrew swojej woli. Ale głodni mężczyźni muszą się czasem trzymać razem.

Stała przy palenisku i próbowała tego, co służące ugotowały. Z wielką drewnianą łyżką w dłoni odwróciła się i uśmiechnęła.

- Witaj w domu, Candamirze.

Skinął głową. Nawet bez wyjaśnień uzyskanych wcześniej w komórcie bez trudu dostrzegł, że ten uśmiech był równie zwodniczy jak spokojne morze, kiedy na niebie gromadzą się sztormowe chmury.

- Gdzie Osmund? - zapytał.

- Przy ulach. Nie pozwala sobie pomagać przy zbieraniu miodu.

Candamir z krzywym uśmiechem pokręcił głową.

- Mam nadzieję, że znowu nie padnie, bo trzeba będzie czekać z wieczerzą...

- Bez obawy - odezwał się Osmund z drzwi. - Pszczoły były dla mnie łagodne. - Przelotnie położył Candamirowi rękę na ramieniu. - Siadaj. Birte, przynieś gościowi

napitek. - Przeszedł obok pieca, uśmiechnął się szybko do żony, po czym umył twarz i ręce w wiadrze z wodą, które tam zawsze czekało w pogotowiu. Potem usiadł na rodzowym krześle i mrugnął do najstarszego syna. - Znowu na wolności?

Roryk speszony zachrobotał nogami po słomianej wykładzinie na podłodze.

- To już wiesz... - wymruczał.

Osmund skinął głową i zamienił krótkie spojrzenie z Candamirem, który starał się zachować twarz bez wyrazu. Osmund świadomie, zatem dopuścił do tego, że chłopak spędził noc w strachu. Zaledwie jeden dzień po tym, jak Lars ze swoimi ludźmi napadł na osadę i każdemu na nowo uświadomił, jak pierwotną siłą jest strach przed ciemnością. Nie do pomyślenia!

- Candamir mnie wyciągnął - powiedział Roryk. Osmund pokiwał głową.

- Mądry chłopak wie, kto jest jego przyjacielem, prawda?

- Zastanawiam się tylko, jaki Candamir mógł mieć powód, żeby zaglądać do naszej komórki na wełnę - mruknęła Inga w kierunku dzbana miodu, który stawiała na stole. - Może mu było zimno i szukał jakiejś ciepłej wełny?

Candamir nalał sobie, spostrzegł szybkie spojrzenie Roryka i odpowiedział Indze:

- Szczekał pies. Pomyślałem, że może ktoś go tam zamknął przez pomyłkę, i zajrzałem. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko. Idź policzyć swoją wełnę, skoro się boisz, że coś ukradłem. - Nie starał się nawet ukrywać, co sądzi o jej zaletach jako macochy, a zwłaszcza o tej historii.

- Och, oczywiście nie mam nic przeciwko temu, wręcz przeciwnie - odparła słodziutko. - Chciałabym tylko, żebyś o swoje sprawy domowe dbał z takim samym oddaniem jak o nasze.

Candamir pogardliwie uniósł kącik ust, podniósł swój kufel w kierunku Osmunda i wypił. Osmund odwzajemnił ten gest, zanim jednak zanurzył usta w miodzie, powiedział do żony:

- Nie jesteśmy tu w świątyni, ale w moim domu, gdzie moi przyjaciele będą traktowani uprzejmie i z szacunkiem.

Były to ostre, dobitne słowa, w dodatku wypowiedziane w obecności Roryka i służącej Birte. Inga przez chwilę gapiała się na męża, jakby ją właśnie spoliczkował. Po czym zaczerwieniła się i, starając się nie rozpląkać, wymamrotała:

- Oczywiście, Osmundzie.

Ten kiwnął głową bez słowa, nawet na nią nie spojrzawszy, ona zaś odwróciła się jak skarcona służąca. Candamir wiedział, że nie jest to z jego strony szczególnie ładne, ale nie czuł nawet cienia żalu z powodu jej upokorzenia.

Po chwili weszła pozostała służba i młodsze dzieci, które wszystkie z radością pozdrowiły Candamira. Parobkowie wnieśli pieczone na rożnie jagnię, które Osmund ubił dla uczczenia powrotu Candamira do domu. Jego mleczny brat był poruszony tym gestem i dogadzał sobie z bezwstydną zachłannością.

Po posiłku obaj przyjaciele, wyposażeni w dzban miodu i kufle, opuścili izbę, jak to czynili w przeszłości wiele razy, spacerkiem poszli nad rzekę, usiedli w trawie i leniwie rozmawiali. Było dość ciemno, ale nieziemska poświata na wschodzie nad górami zdradzała, że niebawem wzejdzie księżyc.

- Siglind mi opowiadała, jak niezmordowanie nas poszukiwałaś. Chcę ci za to podziękować. Znam tamto pustkowie, dlatego wiem, że mało, kto wybrałby się tam po raz drugi, żeby kogoś szukać. Ty zrobiłaś to czterokrotnie. Nie mieści mi się to w głowie.

Osmund zrobił szybki gest, Candamir nie dostrzegł wyraźnie, czy było to wzruszenie ramion, czy raczej machnięcie ręką.

- Zwyczajnie nie mogłem się z tym pogodzić, że zapadliście się tak pod ziemię. Pomyślałem sobie, że jeśli poszukam wystarczająco dokładnie, to po prostu muszę w końcu znaleźć was i siedlisko tych rabusiów. Gdzie oni się kryją?

- Nazywają to miejsce twierdzą Olafa. Mnóstwo podziemnych jaskiń, a jedna szczególnie wielka. Lars twierdzi, że miejsce jest nie do zdobycia, i obawiam się, że ma rację - tu opisał Osmundowi układ i właściwości jaskini.

- Można ich zagłodzić - stwierdził Osmund, a trudno było nie zauważyć jego podekscytowania.

Candamir z wahaniem pokiwał głową.

- Być może. Ale trwałoby to długo, bo tam, w dole, strzegą tych złupionych zapasów i wygląda na to, że mają nieograniczony dostęp do wody. Jeśli przeprowadzą bydło przez most, a następnie je zgromadzą wewnątrz, to możesz się liczyć z tym, że musiałbyś ich oblegać przez ćwierć roku, zanim zgłodnieją. Czym chcesz tam karmić oblegających przez tak długi czas? Skąd wziąć dość wody? Lars miałby wszystkie atuty

po swojej stronie, a my byśmy umierali na pustyni z głodu i pragnienia. Trzeba by też zacząć od znalezienia wejścia do jaskini. Nie sądzę, żebym zdołał to zrobić. Tam wszystko wygląda tak samo...

Przez chwilę rozważali jeszcze argumenty za i przeciw działaniom związanym z tak długotrwałą wyprawą. W końcu Candamir zaczął jednak mówić o tym, co od czasu powrotu do domu najbardziej go martwiło:

- Osmundzie, dlaczego odmawiasz swojemu synowi towarzystwa Nilsa? Wiem, że często jest gwałtowny i dziki, ale... Ja też taki byłem.

- Nadal jesteś.

- Możliwe. Czy kiedykolwiek obserwowałeś ich, kiedy są razem? Czy nie zaważyłeś, o ile Nils jest rozsądniejszy w towarzystwie Roryka, i o ile... Roryk jest szczęśliwszy przy Nilsie? Nie jest to dokładnie tak, jak było z tobą i ze mną? Dobrze na siebie wpływają. Są też do siebie przywiązani. Dlaczego więc?

Osmund nie odpowiedział od razu, jakby bardzo starannie ważył słowa. Dla Candamira to milczenie było za długie i zapytał zirytowany:

- Uważasz mojego syna za tchórzliwego, za fałszywego, czy widzisz w nim jakiś inny brak, który mógłby twojemu dziecku zagrażać?

- Nic w Nilsie nie jest tchórzliwe czy fałszywe, Candamirze - odparł Osmund ugodowo. - Mimo to jest niebezpieczny. Nie on sam, ale wpływy, na które jest narażony - uprzedził oburzone protesty przyjaciela. - Czy ty właściwie zdajesz sobie sprawę, ile on czasu spędza w towarzystwie Saksona? Że uczy się tych jego run? Że zaniedbuje obowiązki, żeby pójść do Saksona i wysłuchiwać jego opowieści? To wszystko się nasiliło, kiedy cię nie było. Bo Siglind nic z tym nie robi. Przeciwnie, jeszcze go zachęca. Twój syn obraża bogów, Candamirze.

- Co proszę? - Candamir osłupiał.

Osmund znacząco pokiwał głową.

- Opowiadał Rorykowi, że nasi bogowie to bezsilne bożki i jedynie tamten ukrzyżowany cieśla może cię z powrotem sprowadzić do domu.

Candamir z niedowierzaniem pokręcił głową.

- To niepodobne do Austina, żeby dzieciom wmawiał takie bzdury. Ale możesz być pewien, że wezmę się za niego. I za Nilsa także.

- Obawiam się, że to nie wystarczy.

- O co ci chodzi?

- Ty sam, nawet tego nie zauważywszy, uległeś czarom Saksona. Już dawno temu. Gdy jeszcze był twoim niewolnikiem, słuchałeś go i dopuściłeś do tego, że twoją żonę i brata namówił do oddawania czci jego bogu. Nigdy nie mogłem tego pojąć i wielu ludzi też nie może. Doszedłem przez ten czas do przekonania, że rzucił na ciebie czar. Wszyscy, którzy wtedy byli za tym, żeby go zabić, mieli rację, ja zaś się myliłem. Mało, czego żałuję tak bardzo, jak tamtego błędu. Ale go naprawię.

- Osmundzie...

- Sakson jest zdradzieckim odszczepieńcem, Candamirze.

- Jest, kim?

- Tym, przed kim ostrzegała nas ostatnia wyrocznia Brygidy Nie mów, że zapomniałeś.

A jednak. Brygida i ta jej podstępna, wieloznaczna wyrocznia rzeczywiście wypadła mu z głowy z powodu wydarzeń ostatnich miesięcy.

- Och, Osmundzie. Po prostu wierzyć się nie chce, że przywiązujesz taką wagę do głupiego gadania umierającej wiedźmy.

- To nie było głupie gadanie. - Głos Osmunda zabrzmiał ostro. - Wszystkie jej wyrocznie się wypełniły. Już choćby to, że tu jesteśmy, powinno wzbudzić w tobie więcej szacunku dla jej jasnowidzenia. Ale, jak już mówiłem, ty również padłeś ofiarą czarów odszczepieńca.

Candamir nie mógł spokojnie usiedzieć w miejscu. Wstał i z założonymi rękami, kręcąc głową, spojrział z góry na Osmunda.

- Uważasz mnie, więc za kogoś tak słabego, że tak po prostu wpadłem w sidła czarów, tak?

- Nie, nie słabego. Łatwowieznego i prostodusznego. Jego czary są silne. Dowodem na to jest fakt, że tak wielu naszych już im uległo, nie wspominając o twojej żonie, która ma równie silną wolę jak ty

- On nie jest odszczepieńcem! Zgoda, jest trochę przewrażliwiony i łatwo się denerwuje, gdy chodzi o jego boga, ale nie ma w nim nic złego czy podstępnego. Nie robi nic poza tym, że pomaga ludziom swoimi proszkami i maściami.

- Tak! - Osmund również skoczył na równe nogi. - Ci, którzy przyjmują te proszki i maści, następnego dnia modlą się do jego boga. Czyż to nie zastanawiające?

- To nieprawda. On nie rzuca na nich czarów, on ich leczy. Przynajmniej w większości. Czy mam ci powiedzieć, co sędzę, Osmundzie? Nie podoba ci się, że się myliłeś, chcąc Gunnara przypalać kawałek po kawałku, gdy rację miał Sakson. Chcesz o tym jak najszybciej zapomnieć. Inni też mają o tym zapomnieć. Dlatego chcesz się pozbyć Austina.

Księżyc zdążył wspiąć się już ponad góry i Candamir dostrzegł, jak Osmund potrząsa wzniesionym palcem.

- Powiadam ci, Candamirze, to ciągle prowokowanie Odyna i innych bogów, znoszenie Saksona pośród nas jest ciągłym ich obrażaniem. On jest zdradzieckim odszczepieńcem i musi nas opuścić. Jest mi obojętne, w jaki sposób to zrobi. Ale zgniotę go, tak jak to przepowiedziała wyrocznia.

- Rozumiem. - Głos Candamira był cichy, ale wyraźnie słyhać w nim było drwinę. - Uważasz się, zatem za najczcigodniejszego pośród nas, tego, którego powinniśmy wybrać na wodza, co?

Osmund nie zaprzeczył. Bardzo spokojnie odparł:

- Przypomnij sobie słowa Brygidy zaraz po przybyciu na Catan: Odyn mnie wybrał, żebym jako pierwszy postawił nogę w tym kraju. To musi mieć jakieś znaczenie, prawda? Jeśli ma to, więc jakieś znaczenie, to także ciebie wybrał, żebyś ty spłodził pierwszego w tym kraju syna. Decyzja zależy od nas, od ciebie i ode mnie. Dlatego miałem nadzieję, że podzielę się z tobą tą odpowiedzialnością.

Candamir pokręcił głową.

- Wszyscy jesteśmy wybrani, Osmundzie. Każdy, kto dotarł do tej cudownej wyspy. Dlatego od każdego z nas zależy, jak pokieruje swoim losem w tej nowej, lepszej ojczyźnie. Powiedziałeś kiedyś, że dobry lud powinien mieć dobrego króla. Ja zaś powiadam, że dobry lud w ogóle nie potrzebuje króla.

- Potrzebuje - sprzeciwił się Osmund zasmucony. - Zagrożony lud potrzebuje kogoś, kto go obroni.

- Przed Austinem? - zapytał Candamir, przy czym nie udało mu się ukryć ponurej ironii w głosie.



- Przed wszelkim niebezpieczeństwem, a szczególnie tym, którego lud nie dostrzega.

Candamir prychnął.

- Widzę, że naprawdę uważasz się za mądrzejszego od wszystkich innych. A zatem, wielmożny Osmundzie, korona zawsze może być tylko na jednej głowie. Weź ją sobie, ja jej nie chcę. Sam się uginaj pod ciężarem odpowiedzialności. - Odwrócił się ze złością.

- Nie, Candamirze, nie odchodź - poprosił Osmund.

Candamir znów na niego spojrział.

- Dlaczego nie? Jaki sens ma dalsza rozmowa, skoro sądzisz, że bogowie powołali cię do wyższych celów i że ja jestem głupim słabeuszem, który uległ czarom, nawet tego nie zauważywszy? Co w tych okolicznościach moglibyśmy jeszcze sobie powiedzieć?

- Nie chciałem cię obrazić. Nigdy też nie twierdziłem, że jesteś głupi czy słaby, bo nie jesteś. Ale... Jesteś i zawsze byłeś tak beznadziejnie uparty, że czasem aż doprowadzało mnie to do rozpacz. Po prostu nie chcesz dostrzec znaków Nie chcesz zauważyć, jak dawno Odyn to wszystko zaplanował. Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że moja matka umarła tylko po to, żebyśmy ty i ja mogli wyrastać jako mleczni bracia i żebyśmy w braterskiej zgodzie zarządzili krajem Odyna?

Candamir aż się wzdrygnął pod wpływem pychy zawartej w tej wizji.

- Nie - powiedział zniechęcony. Zdawał sobie sprawę, że stoi na przegranej pozycji. - Twoja matka zmarła, ponieważ minął czas, który Norny jej przydzieliły. To wszystko.

- Ale Candamirze...

Ten obronnie uniósł obie ręce.

- Pozwól mi iść do domu. Wiem, że chcesz jak najlepiej dla nas wszystkich, ale nie przekonasz mnie o słuszności twojej drogi, niezależnie od tego, co powiesz. Zakończmy, więc teraz, zanim sobie powiemy rzeczy, których będziemy potem żałować.

Osmund z wahaniem pokiwał głową.

- Dobrze. Jak chcesz. Choć nie powinniśmy o tym dzisiaj rozmawiać. Dopiero, co wróciłeś do domu i masz za sobą tak okropny czas...

- Osmundzie, to samo mówiłem trzy miesiące temu i trzy lata temu. Mamy inny

pogląd na tę sprawę. Nie jest to powód do rozpacz, wystarczająco często tak się dzieje. Ale jedno ci powiem: wara od mojego Saksona. Jeśli czujesz się powołany na wodza, to poszukaj sobie innej ofiary, po której plecach będziesz mógł się wspinać po nowe zaszczyty. Bo jeśli sięgniesz po niego... - urwał.

- Tak? Co wtedy?

- Wtedy... Sądzę, że powstanie niezgoda między nami. Nie rób tego, bardzo cię proszę. On jest nieszkodliwy, tak samo jak jego bóg. Jakże oni mogą zaszkodzić naszym bogom?

Osmund wpatrywał się w niego, kręcąc głową.

- Albo naprawdę uległeś jego czarom, albo jest ci droższy niż ja... - stwierdził ze zdumieniem.

Candamir odwrócił się gwałtownie.

- Wybierz sobie ten wariant, który łatwiej ci znieść.

Dosiadł konia i pogalopował do domu, nie żegnając się z Ingą. Był bardzo poruszony. Gdy wchodził do izby, kusilo go, żeby wyciągnąć z łóżka Nilsa, Austina albo obu i kazać im zapłacić za to, że obrazili bogów, rozzłoszcili tym Osmunda i spowodowali całą tę biedę. Jeden z nich leżał jednak między swoimi dwiema siostrami, a dzieci spały tak spokojnie, że Candamir nie miałby serca w złości ich budzić. Drugi był z kolei ranny.

- Gdzie on jest? - warknął, kiedy wszedł do sypialni i zastał tam tylko żonę.

- Myślałam, że się ucieszysz, bo znowu mamy łóżko dla siebie - odparła sennie Siglind. - Wstał, i choć nie uważałam tego za rozsądne, poszedł do Hacona i Gundy

- Wspaniale - zakpił Candamir. - Z nimi może sobie czcić swojego przeklętego boga, aż nam wszystkim niebo zwali się na głowę.

Uniosła się na łokciu.

- Co z tobą? Co się stało?

- Nic! - odszczeknął, niezręcznie starając się gwałtownymi, wściekłymi ruchami zdjąć z siebie ubranie.

Siglind bez słowa patrzyła na niego, kiedy szarpnął za koc i położył się obok niej. Nie dotknęła go. Nigdy nie było łatwo ocenić, jak bardzo jest pijany po powrocie z

wieczery u mlecznego brata, ale zazwyczaj nie martwiła się tym szczególnie. Dzisiaj po raz pierwszy się przeraziła. Dostrzegł to w jej spojrzeniu i zawstydził się. Gwałtownie odwrócił się plecami do niej i naciągnął na siebie koc.

- Posprzeczaaliśmy się - wyjaśnił krótko.

- Już wam się to zdarzało - zauważyła.

- Ale nie tak! Wszystkiemu winien jest Austin. To on sprawił, że Nils powiedział Rorykowi, jakoby nasi bogowie byli bezsilnymi bożkami.

Siglind zrozumiała, jaki przebieg miała sprzeczka. To zaś, że tak zdenerwowany wrócił do domu, zdradziło jej, po której stronie Candamir się opowiedział. Wiedziała jednak, że stoi na cienkim lodzie.

- Austin wydaje się często zarozumiały, kiedy mówi o wszechmocy Boga. Sam powtarza, że pycha jest jego najgorszą wadą. Ale wierz mi, on nie skłonił Nilsa do mówienia takich rzeczy. To sam Austin tak mówił do Jareda, który zrozpaczony przyszedł do niego po radę po waszym zniknięciu. Nils przypadkiem był w pobliżu i to usłyszał. Austin był przerażony, kiedy zauważył obecność chłopca, i kazał mu przyrzec, że nigdy nikomu nie powtórzy, co usłyszał. Ale wiesz, jakie są dzieci.

- Coraz lepiej. Nils nie tylko obraził bogów, ale też złamał dane słowo. No, poczekaj, syneczku...

- Candamirze... - Ugodowo położyła mu rękę na ramieniu, ale ją strząsnął. Siglind mimo to mówiła dalej: - Nils był tak strasznie nieszczęśliwy, kiedy nagle cię zabrakło. Roryk też w tej sprawie nie był całkiem bez winy, bo powiedział Nilsowi, że porwanie cię przez Olafa jest karą bogów za twoją niewierność. Bez wątplenia z kolei on usłyszał to od jednego z własnych rodziców. Od Ingi, jak przypuszczam. Chłopcy kłócili się, tak jak ty i Osmund, po prostu są tacy sami jak ich rodzice. Nawet dorośli mówią nieprzemyślane rzeczy, kiedy są nieszczęśliwi. Oto jesteś znów w domu. Czemu nie możesz tej sprawy zostawić w spokoju? Czy nie dość już wycierpieliśmy? Czy nie możemy po prostu podziękować bogom, każdy swoim, że wróciłeś, i żyć dalej?

Przez chwilę zastanawiał się nad tym.

- Nie wiem - wyznał. - Nie wiem nawet, czy chcę tego i czy Osmund na to pozwoli.

- Ale dlaczego akurat Osmund miałby o tym decydować? Kimże on jest, żeby

miął aż taką władzę?

- Królem Catanu - mruknął pod nosem Candamir. Wyrwało mu się to, zanim pomyślał.

Siglind się podniosła.

- Jak powiadasz?

Candamir odwrócił się do niej.

- O to właśnie się stara. Wierzy, że został do tego wybrany.

Prychnęła z pogardą.

- Cóż za urzekająca skromność. Jak on na to wpadł?

Candamir wyjaśnił. Przypomniał ostatnią wyrocznię Brygidy i powiedział, jak Osmund ją zrozumiał. W miarę jak słuchała, jej oczy robiły się coraz większe.

- Jezu Chryste, stój przy nas! - szepnęła w końcu. - On chce wygnąć Austina.

Candamir przytaknął.

- Ja mu zaś powiedziałem, że na to nie pozwolę. Sądzę, że najbliższy thing będzie to musiał rozstrzygnąć.

Oboje wiedzieli, że Osmund od lat ma za sobą większość w thingu. Od czasu zaś, kiedy jego żona została kapłanką świątyni, wielu nie ma już śmiałości głosować przeciwko niemu, nawet, jeżeli ktoś ma inne zdanie. Ani Siglind, ani Candamir nie chcieli jednak głośno o tym mówić teraz, w środku nocy, kiedy troski i obawy tak łatwo się mnożą. Zamiast tego Candamir wyciągnął do niej rękę, a ona złożyła głowę na jego ramieniu. Niewiele jednak spali tej nocy.

## WIETRZNY KSIĘŻYC, rok siódmy

W ich życie wróciły pozory normalności. Candamir harował od świtu do nocy w swoim warsztacie i na różnych budowach w osadzie. Hacon korzystał, jak kiedyś, z kuźni Haralda, gdyż zrobienie nowego kowadła było przedsięwzięciem długotrwałym i złożonym, na co po prostu nie znalazł czasu. Nastrój w osadzie był jednak dziwnie napięty. Niektórzy pod jakimś pretekstem odrzucali usługi Candamira i zamiast do niego zwracali się do Berse. Od Hacona słyszał to samo: Thorbjorn przyszedł do kuźni, żeby zamówić nowy młotek, ale nalegał, aby wykonał go Harald. Gdy Hacon z oburzeniem zapytał o powód, tamten po prostu potraktował go jak powietrze. Candamir został nie lepiej potraktowany przez Haflada i kilku innych.

Mimo to, jak co roku przed jesiennymi szarugami wypłynął z kilkoma przyjaciółmi w morze na połów. Sam wiedział, że to niezbyt sprzyjająca chwila na opuszczanie osady, ale jego potrzeba niedawno odzyskanej wolności wzięła górę nad wszelkimi wątpliwościami. Chciał stać na pokładzie swojego statku z dłonią na sterze i spoglądać w szerokie morze, aż się napatrzy do syta.

Był to pierwszy rejs nowym „Sokołem” i zarówno Hacon, jak i Candamir byli ogromnie zadowoleni ze statku. Płynął także przyjaciel Hacona, Wiland, oraz Jared i Gunnar, ale po raz pierwszy nie było Osmunda. Wyjaśnił, że tej jesieni po prostu nie ma czasu, choć nie tylko Candamir zrozumiał, że jest to jedynie wymówka. Od tamtej sprzeczki Osmund schodził mu z drogi, Candamir robił zresztą to samo. Na decyzję Osmunda miało wpływ zapewne i to, że większość młodych mężczyzn na pokładzie była chrześcijanami. Zamiast niego Candamir, choć ten wcale nie chciał, wziął Austina, gdyż obawiał się o jego bezpieczeństwo. Nierzadko ktoś zza drzewa rzucał kamieniem, kiedy Sakson szedł przez osadę, a do tego ktoś otrął jego nieliczne, chude kury, które poza księgami stanowiły cały jego ziemski majątek. Znosił to wszystko ze spokojną satysfakcją urodzonego męczennika, ale Candamir był zły i poruszony takim paskudnym zachowaniem, po prostu niepodobnym do sąsiadów, nie dał, więc Saksonowi spokoju

dopóty, dopóki ten się wreszcie nie zgodził, aby wypłynąć w morze.

Rybacy jak zawsze pili za dużo, wyklócali się i pod każdym względem zachowywali się okropnie, ale również dla Austina połów okazał się w miarę udany: wieczorem przed powrotem Jared otrzymał chrzest. Candamir bez słowa śledził uroczysty, choć cichy obrzęd, a kiedy było po wszystkim, usłyszeli, jak mruczy po nosem:

- Biada nam, gdy Osmund się dowie.

Jared gwałtownie podniósł skromnie spuszczoną głowę:

- Muszę mu mówić?

Mnich pokręcił głową.

- Twoja wiara jest wyłącznie twoją sprawą.

Jared skinął głową, nieco zawstydzony wyraźną ulgą. Bezradnie spojrzał na Candamira.

- Osmund przez te wszystkie lata był dla mnie zawsze taki wielkoduszny. Nie chcę go rozczarować.

- O, nie można go rozczarować. Za wszelką cenę trzeba mieć wzgląd na szanownego Osmunda - zakpił Gunnar.

Candamir spojrzał na niego ze zmarszczonym czołem, ale nie przywołał go do porządku. Nie było to przecież dziwne, że Gunnar żywi dla Osmunda najgłębszą odrazę. Wciąż jeszcze bolały go stopy i był w stanie przejść zaledwie kilka chwiejnych kroków, po czym musiał odpoczywać.

- On jest i pozostanie twoim kuzynem, Gunnarze - przypomniał mu w końcu Candamir. - Nie jest też taki, jak ci się wydaje.

- Doprawdy? - zapytał młodzieniec. - Może to ja jestem jedynym, który widzi go takim, jaki jest, podczas gdy do was dociera tylko to, jakim kiedyś był?

- Co, twoim zdaniem, czyni twój wzrok ostrzejszym od naszego? - zapytał jego brat zdenerwowany

Gunnar spojrzał na niego i wzruszył ramionami.

- Sześć lat na pustyni.

Podczas żeglugi to zazwyczaj Candamir stał przy sterze i przyglądał się grupce towarzyszy. Jedni o wschodzie słońca gromadzili się z Austinem na dziobie, aby rozpocząć kolejny dzień modlitwą, inni wychwalali Frejra za bogactwo ryb w morzu i wołali swoich bogów opiekuńczych z prośbą o wsparcie, kiedy sieć była tak ciężka, że ledwie byli w stanie wyciągnąć ją z wody. Nikt jednak nikogo nie obrażał z powodu odmiennego zwyczaju. Candamir wciąż się zastanawiał, dlaczego tak nie może się dzieć w osadzie, gdzie wszystko jest znacznie bardziej skomplikowane niż tutaj. Rozmawiał też o tym ze swoim bratem i z Austinem, ale żaden z nich nie zdołał udzielić mu zadowalających wyjaśnień.

Kiedy załadowani bogatym połowem płynęli w górę rzeki, Candamir był zdecydowany podjąć jeszcze jedną próbę pokojowego pojednania się z Osmundem i jego zwolennikami. Gdy wrócił jednak do domu, stwierdził, że Siglind z dziećmi szukała ucieczki u Haralda i Asty, ponieważ drżała o życie ich wszystkich.

- Co się stało? - zapytał Candamir, znalazłszy rodzinę w izbie kowala.

Siglind siedziała za stołem z nietkniętym kubkiem przed sobą. Wydała mu się mała, blada i zrezygnowana, zresztą nie tylko ona. Stał za nią i położył jej obie dłonie na ramionach.

- Ktoś nam na drzwiach domu namalował runę *hagalaz* - powiedziała. - Krwią. Kazałam Solvig, żeby ją zmyła. Następnego ranka runa znowu tam była. A... druga na drzwiach sypialni. Ktoś wtargnął do naszego domu, żeby nam zagrozić, Candamirze.

Candamir zamienił spojrzenia z Haraldem, który bezradnie wzruszył ramionami.

- Powiedziałem jej, że ma przyjść do mnie. Nie powinna tam pozostawać sama.

- *Hagalaz*... - mruczał Candamir.

Była to runa źle wróżąca, której podstawowym znaczeniem był sztorm i moce zniszczenia. Oznaczała też groźne siły przyrody i gniew bogów. Naprawdę podstępna właściwością *hagalaz* było jednak to, że nie było wiadomo, kiedy jest swoim lustrzanym odbiciem, gdyż ze względu na kształt zawsze wyglądała tak samo. Jej lustrzane odbicie oznaczało ból, stratę i cierpienie. I niezgodę.

- Ktoś czeka, aż nie będzie mnie przez tydzień w domu, po czym grozi mojej

zanie i dzieciom runą *hagalaz* - odezwał się Candamir zdumiony. - Kto... Kto mógłby coś podobnego zrobić? Nie Osmund. Nigdy, przenigdy. Mówcie, co chcecie, ale nigdy w to nie uwierzę.

Harald pokręcił głową.

- Już samo to, że właśnie jego imię ci przyszło do głowy, dowodzi, że sytuacja jest poważna.

Candamir zwiesił głowę.

- Masz rację. Powinienem się wstydić.

Usiadł przy Siglind i wziął jej dłoń w obie ręce.

- Nie, nie masz się, czego wstydić - sprzeciwił się nieoczekiwanie kowal. - Lepiej się zastanów, dlaczego przychodzi ci do głowy tak wstrętne podejrzenie.

Candamir nie musiał długo zgadywać, ponieważ w ciągu ostatnich tygodni ciągle o tym myślał.

- Bo Osmund jest jak zatruty nienawiścią do Saksona i jego boga cieśli. Sądzi, że to oni stoją mu na drodze do tego, na co liczy: do społeczności, która w pokoju, harmonii i dobrobycie będzie tu żyła pod jego rządami. O tym marzy i w to wierzy, a za to żadna cena nie wydaje mu się za wysoka. W tym celu jest nawet gotów pociągnąć na pustkowie, żeby oblegać Larsa i jego ludzi w ich niezdobytej twierdzy. Kto zaś nie jest z nim... - Nie był w stanie mówić dalej.

- Jest przeciwko niemu - dokończył zdanie Harald. - Dotyczy to nawet ciebie. Widzę, że oszczędzono mi konieczności, żeby otwierać ci oczy.

- Cóż mamy począć, Haraldzie? Nie mogę przecież dopuścić, żeby on wygnał Saksona! Jakim prawem? Na jakiej podstawie? Czy muszę się poddawać samozwańczym rządóm mojego mlecznego brata, żeby móc spokojnie żyć?

- Nie, istnieje inne wyjście z sytuacji.

- Mianowicie?

Harald splótł na stole swoje potężne łapska i wychylił się trochę do przodu.

- Zabiłeś Olafa, Candamirze. Człowieka, który rzeczywiście był zdradzieckim odszczepieńcem, o czym wszyscy tu wiedzą. To ty musisz zająć pozycję, na którą ma ochotę Osmund. Jedynie wtedy, gdy ty będziesz przywódcą tej społeczności, będziemy tu wszyscy mieli jeszcze jakąś przyszłość.



Candamir stanowczo pokręcił głową, zdjął rękę z dłoni żony i wstał, nie odpowiadając na pełne oczekiwania spojrzenia żony i kowala.

- Możecie to sobie wybić z głowy! Ja tego... nie chcę.

Kowal współczująco pokiwał głową, ale odparł:

- Jeśli jednak Brygida naprawdę widziała to, co mi przekazała, to tak się stanie, czy tego chcesz, czy nie, mój chłopcze.

Podczas dwóch tygodni do jesiennego thingu aura była sucha, chociaż nietypowo duszna i bezwietrzna jak na tę porę roku. Coś ciężkiego oblepiało ciała i umysły, a atmosfera była napięta.

Wydawało się, że nagle społeczność osadników podzieliła przepaść. Po jednej stronie stali wyznawcy nowej wiary i wszyscy, którzy byli do nich życzliwie nastawieni, oraz ci, których obawy budziły władcze aspiracje młodej kapłanki i jej małżonka. Po drugiej stronie gromadzili się zwolennicy Osmunda i Ingi, spotykali się częściej niż zwykle w świątyni na wyspie i tam domagali się wyłączności dla rządów swoich bogów, skoro jest to kraj Odyna. Bywało, że przepaść biegła w poprzek klanu, tak było na przykład w rodzinie braci Thorbjorna i Haldira, którzy prawie już się do siebie nie odzywali. Jeszcze gorzej było z dziećmi Siwarda: Siwold i Wiland otwarcie przyznawali się do Boga Austina, podczas gdy ich siostra była wysoko cenioną kapłanką starej wiary, rodzeństwo traktowało się, więc nawzajem z nieskrywaną wrogością. Wszystkim wydawało się to nienaturalne i budziło strach, bo przecież opuszczali Elasund jako dojrzała, ukształtowana społeczność i jako taka przeżyli tu już niemal siedem lat. Oczywiście stronnicy Osmunda mówili, że to wina Saksona, który w końcu był wśród nich jedyną czarną owcą, był obcy „To nie on obrzuca was i waszych bliskich kamieniami czy truje bydło, to wy tak robicie. Chcecie innym ludziom nakazywać, jak mają żyć i w co wierzyć” - odpowiadali im ich przeciwnicy.

Wszyscy gorączkowo czekali na thing, mając nadzieję, że podczas zgromadzenia sytuacja jakoś się wyjaśni. Nawet najbardziej zaciekli po obu stronach zdawali sobie sprawę, że dalej tak być nie może.

Wieczorem przed zgromadzeniem ziemia zaczęła jednak powarkiwać i już nie

przestała.

Był to okropny, groźny grzmot, zdający się pochodzić z samych trzewi ziemi; jeden z tych, które zazwyczaj poprzedzają słabe wstrząsy, tak tutaj częste. Również tym razem ziemia wyraźnie zadrżała, ale warczenie trwało, a nawet zrobiło się głośniejsze, po czym zaczęło stopniowo zanikać, aż zrobiło się cicho, choć nie zamilkło do końca.

Siglind wybiegła z domu, rozejrzała się i dostrzegła męża na brzegu rzeki.

- Och, Candamirze, cóż to jest?

Objął ją ramieniem i pokręcił głową.

- Nie wiem. Ale idzie z południowego zachodu.

Słońce jak zawsze szybko zaszło za lasem, ale nie zrobiło się całkiem ciemno. Jakaś niesamowita czerwona luna rozświetlała niebo nad przeciwległym brzegiem.

- O, Jezu Chryste, bądź przy nas! - szepnęła Siglind. - Ognista góra przebudziła się w gniewie...

- Nie, nie sądzę - rozległ się cicho głos Austina. Oboje odwrócili się ku niemu. - Ognista góra leży dwadzieścia pięć, może trzydzieści mil stąd - ciągnął mnich cicho, po czym wskazał lunę na południowym zachodzie. - To jest bliżej.

- Ale co to jest? - zapytał Candamir zdziwiony

- Nie jestem pewien - przyznał Austin - ale przypuszczam... Że doświadczamy narodzin następnego źródła plującego ogniem.

Rozegrało się potworne widowisko.

Pośród ciągłego pomruku ziemia wystrzeliwała w powietrze słupy ognia i rozżarzone kule jak komety. Co jakiś czas drżała w swoich bólach porodowych i wtedy ludzie na brzegu czuli pod stopami wstrząs. Nie było słychać nic poza cichym pomrukiem, a cisza podczas tego wybuchu spowodowała, że wydał się jeszcze potężniejszy.

- Jak daleko, twoim zdaniem, to się znajduje, Austinie? - zapytał wreszcie Candamir. Jego głos brzmiał dziwnym rozmarzeniem, a on sam był jak w transie.

- Trudno ocenić w tej ciemności. Ale wystarczająco daleko, żebyśmy nie musieli się trwożyć - oznajmił mnich.

- Nie jest bliżej niż dwadzieścia mil, bo byśmy przecież na pewno słyszeli.

Candamir stwierdził, że jest to gdzieś w środku lasu, który on i Hacon przemierzali. Widok przekraczał ludzkie wyobrażenie. Z kul ognia spadały wielkie, złociste deszcze iskier, a Candamir zastanawiał się, jak dużo lasu już spłonęło. Czy strumienie ognia, które strzelają w niebo, miażdżą każde drzewo i krzew? Kiedy to się skończy? Co tam będzie, kiedy ogień wygaśnie? Nowe pustkowie?

- Mam nadzieję, że masz rację - mruknął.

- Tak, też mam taką nadzieję - przyznał Austin. To, co rozegrało się na południowym zachodzie, przeraziło go tak samo jak wszystkich pozostałych. Co za różnica, czy dzieje się to w odległości dziesięciu, dwudziestu czy trzydziestu mil? Bóg znów uwolnił swoje żywioły i przypatrywanie się temu było przerażające. - Myślę, że pójdę do kuźni i się pomodłę.

- Idę z tobą - powiedziała szybko Siglind.

Candamir niechętnie ją puścił, ale wiedział, że żona poczuje się lepiej, uważając, że robi coś sensownego, zamiast tu beczynnie stać i patrzeć, jak płonie niebo. Skinął głową i wypuścił ją z objęć. Nie uszła z Austinem pięciu kroków, gdy Candamir znów zapatrzył się w niebo.

- Ojczy, czy Odyn i Jezus Chrystus gniewają się na nas? - z rozważań wyrwał go głos Nilsa.

Wziął chłopca na ręce, żeby ten nie wpadł do rzeki.

- Na to wygląda. Przynajmniej jeden z nich.

- Który?

- Nie wiem, Nilsie.

W powietrze wystrzeliła szczególnie duża kula ognia. Wydawała się lecieć prosto na nich, ale potem spadła i zniknęła jak wszystkie inne. Na brzegu rozległy się liczne okrzyki zgrozy i nie tylko kobiety rzuciły się na ziemię, zakrywając głowy ramionami. Małe rączki wczepiły się w ubranie Candamira i Nils schował twarz na ojcowskim ramieniu. Cicho popłakiwał. Candamir z oporami odwrócił się, żeby zanieść go do domu.

Służba stała zgromadzona pod domem i także gapiła się na południe. Candamir włożył syna w objęcia Solvig.

- Masz, zajmij się nim i jego siostrami. Połóż ich do łóżka i zaśpiewaj im. Tylko

przy nich nie płacz, rozumiesz? - warknął. - To się dzieje wiele mil stąd, tutaj nic nam się nie stanie.

Głośno przełknęła ślinę.

- Tak, panie. - Było jednak oczywiste, że mu nie wierzy

Candamir zwrócił się do starszych niewolnic:

- Heide, Freydis, miejcie na nią oko i dogładajcie, żeby nie trwożyła dzieci.

Żona Noriego skinęła głową i pokuśtykała do domu.

- Naprawdę uważasz, że jesteśmy tu bezpieczni, panie? - zapytała stara kucharka.

- Oczywiście - odpowiedział szorstko. - Nie bój się, Heide. To wiele mil stąd.

- Może i tak. Ale skąd mamy wiedzieć, że jutro nie stanie się tutaj to, co tam stało się dzisiaj?

Spojrzał na nią i pokręcił głową.

- Tego oczywiście wiedzieć nie możemy. Ale bądź dobrej myśli. Jutro będzie zresztą tutaj dosyć krwi i łez, bogowie mogą, więc sobie darować rzucanie nam pod nogi ognistych kul.

Zwiesiła głowę i zmartwiona pokiwała głową.

Candamir na chwilę położył dłoń na jej pomarszczonej ręce, po czym poszedł znów na brzeg. Przez jakiś czas obserwował jeszcze niesamowite widowisko na nocnym niebie, a następnie skierował się wzdłuż brzegu na zachód. Wszędzie na łące stali w małych grupkach ludzie i patrzyli na południe. Niektórzy odpowiadali na pozdrowienie Candamira. Inni milczeli.

Austin na koniec pobłogosławił swoją trzódkę i wszyscy się przeżegnali. Tego wieczoru do kuźni przekradła się tylko niewielka grupa - wielu na razie nie chciało się pokazywać z Saksonem.

- Nie lękajcie się - napomniął ich Austin, zanim wyslizgnęli się w noc. - To nie gniew Odyna wzniecił ten ogień, ale ręka Boga, który stworzył ten wulkan tak samo, jak wszystko na tej ziemi. Jeśli jest to jakieś ostrzeżenie, to nas ono nie dotyczy

Z powagą pokiwali głowami, a niektórzy wydawali się nieco pocieszeni. Jeden po drugim żegnali się i opuszczali ciemny budynek nad rzeką. Siglind, Hacon i Gunda

czekali, aż mnich schowa swoje przedmioty do skórzanego mieszka, postarzałego już i splekanego.

- Bądź dzisiejszej nocy naszym gościem, Austinie - zaprosił go Hacon. - Będziesz mógł mi opowiedzieć więcej o tym, co wiesz na temat ognistych gór, a później możemy się wspólnie pomodlić o powodzenie dla Candamira na thingu.

Sakson z uśmiechem pokręcił głową.

- Ponieważ wcale nie jestem przekonany, że powodzenie Candamira odpowiada jego chęciom, lepiej się w tej kwestii powstrzymam. Za gościnność dziękuję, Haconie, i chętnie przyjdę. Ale teraz idźcie i zostawcie mnie tu na chwilę samego. Chcę z Bogiem poważnie porozmawiać.

Hacon i Gunda poszli do drzwi, ale Siglind się sprzeciwiła:

- Nie wiem, Austinie. Nie czuję się dobrze, kiedy gdziekolwiek jesteś sam, choćby i na krótką chwilę. A już na pewno nie w środku tak niesamowitej nocy jak ta.

Uśmiechnął się i popchnął ku drzwiom.

- Tutaj stoję na poświęconej ziemi. Nic nie może mi się tutaj stać. Bóg i wszyscy święci czuwają nade mną. Poza tym nie jesteś bezpieczniejsza ode mnie, jak mi się zdaje, od czasu tamtej sprawy z runą. Haconie, czy odprowadzisz Siglind do domu?

- Oczywiście. - Przytrzymał dla szwagierki otwarte drzwi, ona zaś po krótkim wahaniu wyszła na powietrze.

Po ich wyjściu Austin upadł na kolana na ubitą ziemię kuźni i zagłębił się w modlitwie. Nie należał, niestety, do tych nielicznych błogosławionych, którzy podczas modlitwy wpadali w ekstazę i mieli wizje. W trakcie wielu lat ćwiczeń nauczył się jednak osiągać spokój i opróżniać umysł z myśli, by potem poddać się temu, co ma mu do powiedzenia Pan. Już to było sztuką wysokiego lotu, gdyż często przesłanie Pana było tak zatrważające, że znacznie łatwiej było go nie słyszeć, niż się na nie otworzyć. Austin zostawił jednak za sobą wszelkie strachy i wątplenia. Poczuł, że jego dzieło jest już prawie gotowe.

- Powiedz mi jedynie, co mają znaczyć te znaki, Panie - modlił się szeptem. - Wysłucham cię. Wskaż mi drogę, a ja nią podążę. Jeśli chcesz mi udzielić ostatniej łaski, to weź pod swoją obronę swój lud tutaj i oświeć serca tych, którzy wciąż błądzą w mroku. W tym celu wypiję każdy kielich do dna, choćby był pełen goryczy

- To by się zgadzało - szepnął za jego plecami jakiś stłumiony głos.

Austin się wzdrygnął; już wcześniej poczuł prąd powietrza od drzwi. Nie odwrócił się jednak ani nawet nie poruszył, kiedy dwie silne ręce położyły się od tyłu na jego gardle i zacisnęły.

Również Osmund stał na brzegu rzeki odwrócony plecami do swojego domu i jak zaczarowany wpatrywał się w fajerwerki Odyna. Usłyszawszy w trawie szmer kroków przyjaciela, zapytał cicho:

- Cóżżeśmy narobili?

Candamir stanął obok niego.

- Jeszcze nie jest za późno. Poszukajmy jakiegoś innego sposobu, Osmundzie.

Osmund gwałtownie odwrócił głowę i popatrzył na niego. Jego oczy wyglądały na dziwnie małe, a twarz miał zaciętą. Wroga, można by sądzić. Candamir znał jednak tę twarz lepiej niż swoją własną. Widział, że Osmund jest tak samo zrozpaczony jak on.

- Gdzie, Candamirze? Gdzież miałby być ten inny sposób? Nie mogę zawrócić. Jak mam ci uświadomić, że wypełniam jedynie wolę Odyna? Że to ostrzeżenie dotyczy ciebie? - Słabym gestem wskazał na ogniste niebo. - Gdyby sytuacja była odwrotna, zapewne też bym ci nie wierzył.

Candamir obronnie podniósł dłoń.

- Jeśli ci powiem, że bogowie i ich zamiary nie bardzo mnie obchodzą, to z pewnością nie będzie to dla ciebie nowość, prawda?

- Prawda. Nie jest to dla mnie nic nowego. Bogowie są ci całkowicie obojętni, a mimo to cię kochają. Od czasu, kiedy w ogóle jestem w stanie myśleć, staram się to pojąć.

- Osmundzie. Jeśli jutro rano na thingu wystąpimy przeciwko sobie, to rzecz może się skończyć tylko w jeden sposób. Prawdopodobnie twoi zwolennicy są liczniejsi, z tym nie będę się spierał, ale tylko o kilka głosów. Oba obozy są niemal tak samo liczne. Tym, co tutaj ryzykujemy, jest bratobójcza wojna.

Osmund przytaknął.

- Nie mogę dopuścić, żeby między nami i wami doszło do walki - ciągnął

Candamir. - Miałoby to nieprzewidywalne następstwa, a poprzysiągłem raz na zawsze, że uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby zapobiec rozlewowi krwi.

- Była to pochopna przysięga - zauważył Osmund krytycznie.

- Możliwe, ale została złożona.

- Zatem? - Osmund rozłożył bezradnie ręce. - Oczekujesz, że co miałbym powiedzieć? Ja nie widzę żadnej rady. Nie rozumiem, jak mogło dojść do tego, że znaleźliśmy się w położeniu bez wyjścia, ale bogowie mają już takie osobliwe poczucie humoru. Jeśli ty jutro...

- Osmundzie - przerwał Candamir. - Posłuchaj mnie: jestem gotów podporządkować się twojej władzy

- Co?

- Dlaczego nie? Obaj wiemy, że z nas dwóch to ty jesteś mądrzejszy i rozsądniejszy. Widocznie tak ma być. Ufałem ci ślepo przez całe życie, dlaczego więc nie teraz? Mam tylko jeden jedyny warunek.

- Sakson.

Candamir kiwnął głową.

- Nie wypędzaj go. To ja go zmusiłem, żeby tu ze mną przypląnął, i dlatego mam wobec niego zobowiązania. Jeśli nalegasz, niech thing postanowi, żeby ponownie uczynić go niewolnikiem. Przyjmę go do swojego domu i zadbam, żeby nie był dla ciebie kłopotem.

Osmund popatrzył na niego z założonymi rękami i nieobecny wzrokiem.

- Nie mam zamiaru wypędzać Saksona.

Na twarzy Candamira odmalowała się taka ulga, że Osmunda przez chwilę kusilo, aby go zostawić w tym stanie. Nic już nie mówić. Zapewne byłyby to nawet decyzja mądrzejsza - w Odynowym rozumieniu mądrości. Musiał jednak stwierdzić, że nie jest w stanie w ten sposób oszukiwać przyjaciela.

- Austin musi umrzeć, Candamirze. Jest zdradzieckim odszczepieńcem, już nie pamiętasz? Sprowadza nieszczęście na lud Odyna. Dość już na nas ściągnął nieszczęście. Żeby spełnić przepowiednię, muszę go zgładzić.

Candamirowi nagle zaschło w gardle. Odchrząknął.

- Osmundzie, proszę cię, jak nigdy wcześniej o nic cię nie prosiłem...

- Daruj sobie. Kiedy my tu sobie stoimy i rozmawiamy, jego krew spływa już do pięknej misy ofiarnej, którą twój brat zrobił dla świątyni.

Austin leżał na ołtarzu ofiarnym i zastanawiał się, czy Inga po to kazała swoim ludziom rozciągnąć mu ręce na boki, żeby wysztydzić jego i jego Boga. Dokładnie tak, jak Chrystus na krzyżu, on także był nagi i to napelniało go wstydem. *„Czy wstydzilesz własnej nagości, Panie, kiedy cię przybijali do krzyża, szydzili i kości rzucali o twoją szatę? Czy jesteś ze mną?”*.

Około pięćdziesięciu mężczyzn stało w półokręgu wokół ołtarza. Inga zaprosiła na tę tajną ceremonię jedynie najtwardszych spośród swoich wiernych, gdyż tego, co mieli tutaj dokonać, nikt nie czynił od najdawniejszych czasów, chciała, więc zapobiec zakłóceniu świętego obrzędu przez ludzi wątpiących i trwożliwych.

Zakończyła pieśń i powoli zwróciła się ku swojej ofierze. Jej twarz była jak zawsze całkowicie zacieniona kapturem, kapłanka stała się więc bytem duchowym, narzędziem jej bogów. Jej szata połyskiwała błękitem i czerwienią w świetle palenisk po lewej i prawej stronie. Ostrożnie podeszła do kamiennego ołtarza i z długiego rękawa wyjęła nóż. Teraz również ostrze błyszczało w świetle ognia. Cichy pomruk podobny do westchnienia rozległ się wśród zebranych, ale zaraz znów zapadła cisza.

- Spójrz, ojczy bogów, na tę ofiarę, którą ci składamy - zawołała postać bez twarzy i wzniosła ręce ku górze.

Austin spojrzał tam, gdzie, jak przypuszczał, były oczy Ingi.

- *W Bogu ufam, nie będę się lękał: cóż może mi uczynić człowiek?*

Odmówił psalm po łacinie, aż zadrżała dłoń z zabójczo ostrym sztyletem.

- Uciszyć się! - syknął głos.

- *Przez cały dzień mi uwłaczają, przeciw mnie obracają wszystkie swe zamysły.*

*Ku mojej zgubie się schodzą, śledzą moje kroki, godzą na moje życie.*

Thorbjorn na chwilę zmienił przewidziany tok ceremonii, nachylił się nad związaną ofiarą i zadał jej cios pięścią w twarz.

- Dość już tych twoich czarów i zaklęć - warknął.

Austin poczuł smak krwi i przełknął coś, co zapewne musiało być jego zębem. W



tej samej chwili poczuł na lewym przedramieniu ostre cięcie. Thorbjorn pociągnął jego rękę w górę, Inga trzymała zaś pod spodem złotą misę ofiarną. Ciągła, choć cienka strużka krwi kapiała do misy.

„Czemu nie gardło” - zastanawiał się Austin zdumiony i dalej mamrotał pod nosem:

- *W Bogu ufam, nie będę się lękał: cóż może mi uczynić człowiek? Wiążą mnie, Boże, śluby, które ci złożyłem...* - Szarpnął głowę w bok, żeby uniknąć drugiego ciosu. - *Wiążą mnie, Boże, śluby, które ci złożyłem, Tobie oddam ofiary pochwalne.*

W końcu trafiła go jednak pięść Thorbjorna i na chwilę go zamroczyło. Przez zmrużone powieki patrzył, jak Inga nacina także jego prawą rękę i jak zaczyna płynąć strużka krwi. Na koniec postawiła misę na trójnogu i odrzuciła kaptur. Czerwone runy na czole i policzkach zawsze robiły na ludziach w świątyni duże wrażenie, obojętnie jak często je oglądali. Wielu wiernych wstrzymało oddech i lękliwie opuściło głowy

Kapłanka zanurzyła wielką różgę w misie i spryskała społeczność krwią ofiarną.

- Bądź pozdrowiony, ojciec bogów, który począłeś i stworzyłeś wszystkie rzeczy, a nas obdarowałeś koroną swojego stworzenia! - Bądź pozdrowiony, Odynie...

Mnich wiedział, że następnie szło: „Bądź pozdrowiony, przepotęźny”, ale widocznie Inga jeszcze nie kończyła zawołań do ojca bogów, bo mówiła dalej:

- Przyjmij tę ofiarę, którą oczyścimy w świętym ogniu, aby złagodzić twój gniew i abyś nie zsyłał już ognia na swój lud. Spójrz, jak będzie płonął ten, który cię obrażał i wyszydzał...

Austin nie od razu zrozumiał, ale gdy dotarł do niego sens tych słów, zdjęła go trwoga. Zamknął oczy. Rozumiał już, dlaczego ołtarz pod nim był pokryty warstwą słomy i chrustu. Ta wiedźma chciała go spalić, nie podrzynając mu najpierw gardła.

Od chwili, kiedy go zabrali z kuźni, walczył ze smutkiem, że musi już opuszczać ten świat. Wiedział, że postawa tego rodzaju nie przystoi człowiekowi o jego pozycji, że powinien wkroczyć na tamten świat przepelniony radością. Mimo to bolało go pożegnanie z tym pięknym krajem, który tak mu przypadł do serca, a przede wszystkim z ludźmi, których pokochał. Wiedział jednak, że jest to tylko rozstanie na pewien czas, i pocieszał tym się tym, że jego koniec będzie lekki. Widać był to błąd.

Thorbjorn i jego towarzysz Oswin przywiązali sznury, którymi były owinięte

przeguby Austina, do żelaznych kółek służących podczas zwykłych ceremonii do przytrzymywania silnych byków i koni. Anglosaski zakonnik nie mógł mieć nadziei, że się wyrwie z tych okowów. Kiedy kapłanka uniosła kubek i polała ofiarę oraz słomę na ołtarzu jakąś lepka, ciepłą cieczą, Austin po zapachu rozpoznał własny olej do lamp. Chciał prosić Boga, aby jej przebaczył, ale się powstrzymał. Wiedziała, bowiem, co czyni...

Ciszę w świątyni przerwał głośny wrzask:

- Pożar! - I był to krzyk wstrząsający, ponieważ pochodził od człowieka. - Och, Odyne, bądź przy nas...

Wszyscy zgromadzeni w świątyni się rozbiegli. Ivar, który wcześniej był nieustraszonym kapitanem „Morskiej Strzały”, stał z tyłu i drżącym palcem wskazywał dach przy wschodnim końcu. Rzeczywiście, tam języki ognia pochłaniały dachówkę i szybko się rozprzestrzeniały. Dokładnie nad świętym źródłem zrobiła się już w dachu dziura, a kiedy zgromadzeni jak zaczarowani wpatrywali się w to miejsce, ognista kula przebiła dach, po czym, na pozór bardzo powoli, spadała, aż wylądowała w kamiennej sadzawce, nadal płonąca.

Widok był tak przerażający, była to wróżba tak groźnej mocy, że wszyscy wpadli w panikę.

- Odyn strzela w nas swoim ogniem!
- Bóg cieśla chce nas wszystkich spalić!
- Uciekać! Nic tylko uciekać stąd!
- Ognista kula! Ognista kula!

Wszyscy wrzeszczeli i krzyczeli jeden przez drugiego, pchając się ku drzwiom we wschodniej ścianie frontowej. Także Thorbjorn i Oswin porzucili swoje stanowiska i uciekli. W świątyni została jedynie Inga. Zdawała się nie bardzo dostrzegać, co się dzieje wokół niej. Cicho śpiewając, włożyła przygotowaną wcześniej pochodnię do ofiarnego ognia po lewej, nie zwróciwszy najmniejszej uwagi na pożar za plecami. Nie zauważyła, więc także trzech niewyraźnych postaci, które wślizgnęły się do świątyni przez wschodnie drzwi, minęły sadzawkę ze źródłem i bezszelestnie przekradły się do ołtarza ofiarnego.

Inga już unosiła nad ołtarzem rękę z pochodnią, ale Candamir złapał ją mocno za

przegub i odciągnął. Niemal równocześnie wyciągnął jej sztylet z pochwy w rękawie i przystawił go gardła.

- Teraz wykręcę ci rękę za plecy - wyjaśnił. - Możesz pochodnię od razu oddać albo dalej trzymać, a wtedy twoja rzeźnicza szata stanie w płomieniach. Mnie to obojętne.

Inga była mądrą kobietą i bez trudu zrozumiała ton jego głosu. Bez wahania wypuściła pochodnię. Candamir tak mocno wykręcił jej rękę, że aż krzyknęła.

W tym czasie Siglind i Hacon podeszli do ołtarza. Pospiesznie odwiązali Austina. Ponieważ Hacon znał swojego saksońskiego przyjaciela, odpiął pas, ściągnął przez głowę swoją długą szatę i wręczył mu bez słowa.

Austin włożył ją na siebie, nie poświęcając ani chwili na otarcie ciała z oleju.

Przez całe lato było sucho, a jesienne ulewy jeszcze nie nadeszły, dach świątyni płonął, więc jak wiór. Candamir spojrzał w górę i patrzył z żalem, jak płomienie pochłaniają jego dzieło.

- Wychodzimy stąd - mruknął i wbił Indze pięść w plecy - Jazda! Ty i ja, wychodzimy!

- Zapłacisz za to, Candamirze - przyrzekła. - To profanacja, której nawet Osmund ci nie wybaczy

„Wiem” - pomyślał, ale bez słowa wypchnął ją na zewnątrz.

Wierni zebrali się na łące i patrzyli na zmianę to na południowy zachód, gdzie niebo jak wcześniej błyszczało czerwienią, to ku świątyni, z której dachu spadały teraz płonące dachówki. Kiedy ludzie rozpoznali Candamira i pojęli, że trzyma ich kapłankę, grożąc jej sztyletem ofiarnym, ucichli i wpatrywali się w niego wrogo, trwożliwie i ciekawie.

Za nim przyszli Hacon i Siglind z Austinem pośrodku. Zgromadzeni znowu się zaniepokoiли i mruzczyli ze złością, Candamir stanowczo, więc ich ostrzegł:

- Jeśli ktokolwiek z was się ruszy, poderżnę jej gardło. Lepiej mi uwierzcie. Dzisiejszej nocy nie ma chyba nic, co mogłoby mnie odstraszyć.

Kiedy jeszcze zdawali się rozważać, jak poważna jest ta potworna groźba, Hacon wyprowadził Austina z polany w kierunku południowym. Kiedy zniknęli wśród drzew, puścił go.

- Jesteś w stanie biec, Austinie?

- Tak.

- To biegnij. Kto wie, jak długo Candamir zdoła ich powstrzymać. Popłyn na południowy brzeg i idź do zatoki, gdzie zatrzymaliśmy się na połów ryb i znaleźliśmy mnóstwo muszelek. Pamiętasz jeszcze?

- Pewnie. Ale Haconie...

Hacon energicznie pokręcił głową, odwrócił Austina i popchnął przed siebie.

- Biegnij! Przeczeka tam trzy dni. Ktoś z nas przyjdzie po ciebie, kiedy będzie mógł. Jeśli nie... Będziesz musiał sam o siebie zadbać.

Austin skinął głową, ale jeszcze się odwrócił i krótko objął Hacona.

- Niech was Bóg błogosławi i ma w swojej opiece.

Po czym zniknął między drzewami w zadziwiająco bezszelestny sposób. Nikt oczywiście nie wiedział, jak mają się sprawy na południowym brzegu - czy jeszcze w ogóle istnieje zatoka z muszelkami, czy zmieniła się morze ognia. Bóg jednak właśnie po raz kolejny mu udowodnił, do jakich cudów jest zdolny, mnich bez zastrzeżeń oddał się, więc w Jego ręce.

Po pożegnaniu Hacon czekał tak długo, aż uznał, że Austin dotarł do brzegu małej rzecznej wyspy. Dopiero wtedy ruszył ku polanie przy świątyni. Siglind widząc, że się udało, pospieszyła w przeciwnym kierunku i zniknęła, wracając do dzieci. Posłużyła się nimi, ponieważ tylko one były odpowiednio lekkie, aby niezauważenie wspiąć się na dach świątyni. Ponadto wiedziały równie dobrze jak Candamir, które miejsce leży dokładnie nad źródłem, skoro razem z ojcem reperowały ten dach. Uzgodniono jednak, że zaraz po wykonaniu zadania mają wrócić do domu, bo nikt nie mógł wiedzieć, co jeszcze tej nocy się wydarzy, a nie powinny przecież pozostawać same dłużej, niż było to konieczne.

Kiedy Hacon wrócił, cały dach świątyni stał w płomieniach i oświetlał polanę. Skinął bratu, a Candamir na moment zamknął oczy. Nie był pewien, co sprawiło, że ugięły się pod nim kolana - ulga czy trwoga. Wziął się w garść, po czym odstawił ostrą klingę od gardła Ingi, puścił jej rękę i zrobił krok do tyłu. Niemal z szacunkiem wręczył

jej sztylet skierowany do niej rękojeścią.

Odwzajemniła jego spojrzenie, ale nie wzięła noża. Nie ruszywszy się, rozkazała:

- Pojmać zdrajców.

Jej wierni nie kazali sobie drugi raz powtarzać. Natychmiast ochoczo, z Hafladem i Thorbjornem na czele, rzucili się na obu braci, którzy zmarnowali ofiarę na prześląganie bogów. Związali im ręce na plecach i kilka razy ukradkiem wymierzili im kopniaki.

- Zamknijmy ich w świątyni, Ingo - zaproponował Ivar. - Odyn żąda krwawej ofiary, jak mówiłaś. Oni nam ją ukradli. Powinni, więc ją dokończyć.

Inga spojrzała Candamirowi w oczy. Jej spojrzenie pałało. Sam pomysł miał swój nieodparty urok. Wiedziała, że byłoby to niemądre, ale pokusa była ogromna...

- Czy to nie byłoby sprawiedliwe, Candamirze? - zapytała chłodno. - Żebyś zginął razem z dziełem, które zbudowałeś?

W milczeniu spojrzał ku płonącej świątyni. Teraz płomienie lizały już czerwone ściany. Ogień pochłaniał tę cudowną budowlę z tak głośnym rykiem, że nie było już słyhać pomruków ziemi. Candamir zastanawiał się, czy może to ziemia zamilkła.

Hacon mówił teraz do Ingi:

- Na twoim miejscu dobrze bym to sobie przemyślał. Niezależnie, bowiem od tego, co się z nami stanie, ty będziesz musiała żyć dalej razem ze swoim mężem.

Zmieniony wyraz twarzy Ingi zniknął i z niechęcią przytaknęła. Wiedziała, że Hacon ma rację.

- Idźcie do domu - poleciła swoim wyznawcom. - Zawiadomcie Osmunda i innych mężczyzn o tym, co się wydarzyło. Że Candamir porwał ofiarę, że spalił świątynię i że dlatego jutrzejszy thing będzie się musiał odbywać przy jesionie. Thorbjornie, Oswinie! Wy zostajecie i pilnujecie zdrajców. Jutro przyprowadzicie ich do osady na thing - odwróciła się w kierunku południa.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał zdziwiony Thorbjorn.

- Przeklętego Saksona już nie schwytasz. A tam na pewno jest niebezpiecznie.

Inga zagrzechotała małym woreczkiem u pasa.

- Muszę zapytać run. Na grobie Brygidy.

Nie po raz pierwszy prowadzono Hacona do osady związanego, wyszydzanego i zhańbionego, musiał jednak stwierdzić, że nie jest to coś, do czego zdołał przywyknąć. Podobnie jak Candamir, głowę trzymał zwieszoną i starał się nie patrzeć w oczy licznym ludziom, którzy w oczekiwaniu na thing już zgromadzili się na łące. Było bardzo cicho. Ziemia znów umilkła, choć zdawało się, że ogniste widowisko zeszłej nocy nawet ptakom odebrało głos.

Kiedy świątynia doszczętnie spłonęła i na rzeczną wyspę powrócił nocny spokój, wszyscy nasłuchiwali, jak pomruki stopniowo się oddalają, żeby wreszcie zaniknąć. Łuna ciągle pozostawała na południowym niebie, aż weszło słońce i rozświetliło niebo własnymi promieniami.

Osmund z założonymi rękami stał przy pniu jesionu i patrzył na nich. Thorbjorn zostawił braci pod strażą Oswina, oddalonych o kilka kroków od świętego drzewa, podszedł do Osmunda i chciał mu szeptem coś powiedzieć, ale ten podniósł obronnie rękę. Po czym potoczył wzrokiem po zgromadzeniu i rzekł donośnym głosem:

- Niektórzy, ale nie wszyscy z was wiedzą, że zeszłej nocy chcieliśmy wypełnić ostatnią wyrocznię Brygidy. Już dawno wyraziłem podejrzenie, że Sakson, który się modli do fałszywego boga, jest zdradzieckim odszczepieńcem, a kiedy Odyn w swoim gniewie zesłał ogień na południowy las, kapłanka i ja uznaliśmy, że już najwyższy czas, aby zadziałać i zdrajcę zgładzić. - Tu trzeźwo, nie ujawniając własnej nienawiści wobec Saksona, przedstawił, co planowali zrobić z Austinem. Po czym oskarżycielsko uniósł palec i wskazał swojego mlecznego brata. - Candamir i Hacon porwali jednak ofiarę i temu zdrajcy pomogli w ucieczce.

Candamir gwałtownym szarpnięciem uwolnił się z uchwytu Thorbjorna, którego miał już dosyć, podszedł dwa kroki w kierunku Osmunda i odwrócił się do zgromadzenia.

- Tak jest. Ziemia przestała jednak grzmieć. Co dowodzi przecież, że nie Austin wzbudził gniew bogów. Twierdzenie, że to on miałby być tym zdradzieckim odszczepieńcem, jest śmieszne, i wszyscy o tym wiecie.

„Niczego podobnego nie wiemy - zdawała się mówić większość twarzy - Niczego już nie wiemy na pewno. Niebo płonęło i baliśmy się. Powiedz nam więc, co to miało

znaczyć”.

Niepewność ludzi przemawiała na korzyść Osmunda i obaj to wyczuwali. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, nagle wzajemnie odgadli swoje myśli, ale mimo to każdy z nich miał przed sobą obcego.

- Jak tego dokonałeś, Candamirze? - zapytał cicho Osmund. - Wiem, że w gruncie rzeczy nie ma to żadnego znaczenia i że, prawdę mówiąc, mamy zupełnie inne zmartwienia. Całą noc nie dawało mi to jednak spokoju: jak ty to zrobiłeś? Namówiłeś Boga Saksona, żeby zrzucił ognistą kulę na naszą świątynię?

Candamir uśmiechnął się ponuro.

- Nie. Na to zupełnie nie miałem czasu. Pośpiech zmusza do rozwiązań awaryjnych, rozumiesz, bo twoja żona już miała Austina spalić żywcem. - Tu i ówdzie ktoś gwałtownie wciągał powietrze. Ten subtelny szczegół najwidoczniej nie był powszechnie znany. - Siglind wdrapała się na dach świątyni i dokładnie nad źródłem usunęła kilka dachówek. W nasączony olejem pergamin zawinąłem naręcz siana i to była nasza ognista kula. Siglind podjęła spore ryzyko: podpaliła najpierw dach, a potem ognistą kulę i zrzuciła ją na źródło.

- Skąd wiedziałeś, że pergamin będzie dalej płonął? - zapytał zdumiony Osmund.

Candamir wzruszył ramionami.

- Nie wiedziałem. Po prostu zdałem się na swoje szczęście.

- Które cię nigdy nie zawiodło, prawda?

- Zawiodło, Osmundzie. Ostatnio nie było moim szczególnym sprzymierzeńcem. Musiałem jednak liczyć na szczęście, skoro to, co chcieliście dziś uczynić, było straszną niesprawiedliwością. Ten człowiek dla nikogo z nas nigdy nie był źródłem żadnego cierpienia. Myliłeś się co do niego. Nie chciałeś mnie jednak słuchać i dlatego musieliśmy po prostu trochę zaryzykować, aby waszej niesprawiedliwości zapobiec. To wszystko. Nic więcej nie zrobiliśmy

- Nie? Nie spaliłeś świętego przybytku? Nie zniszczyłeś posągów bogów? Nie zhańbiłeś świątyni?

- To był tylko budynek. Jeśli pozwolicie, zbuduję wam nową.

- Nie groziłeś kapłance śmiercią? Mojej żonie?

Candamir opuścił wzrok i skinął głową.

- Tego żałuję. Jeśli chcecie jednak znać prawdę, zniszczenia świątyni jeszcze bardziej żałuję, bo było to najpiękniejsze dzieło, jakie kiedykolwiek stworzyłem. Ale wydaje mi się, że to wszystko jest niewielką ceną za życie niewinnego człowieka.

Ludzie na thingu wymienili ukradkowe spojrzenia i z wahaniem przyglądali się przeciwnikom. W przeszłości Osmund i Candamir w wyobrażeniu sąsiadów zawsze tworzyli jedność, nie sposób było mówić o jednym, nie wspominając o drugim. Teraz robili jednak wrażenie tak różnych, tak przeciwnych. Osmund stał wyprostowany przy świętym drzewie, piękny na pozór niemal królewski. Obok Candamir - związany, kościsty, ubranie i twarz pobrudzona sadzą, a do tego krótkie włosy niewolnika. Mimo to niektórym wydawało się, że to jego moc jest większa, nawet jeśli ukryta, i że to po jego stronie jest racja.

Osmund wyczuł niezdecydowanie thingu. Kiedy jeszcze planował kolejne posunięcie, z trawy podniósł się Harald, podszedł do nich i przeciął najpierw więzy Candamira, potem Hacona. Tu i ówdzie ludzie się wzburzyli, kowal odwrócił się więc do nich i powiedział niezwykle jak na niego ostro:

- Żaden z nich nie złamał prawa! Wręcz przeciwnie. Ocalili życie niewinnego człowieka, przeciwko któremu thing nie wydał żadnego wyroku. Bronili prawa. To wy chcieliście je złamać.

- Ależ Haraldzie - zaprotestował Thorbjorn - Sakson to bluźnierca. Rzuca czary na ludzi tymi swoimi maściami.

- Głupie gadanie - oświadczył kowal. - To dobry człowiek. Tylko trochę inny niż my. Może dziwny Czy to naprawdę jest takie złe? Czy inność jest dla was tak nieznośna, że musicie ją zabijać? Jak nazwałbyś kogoś, kto do tego stopnia boi się tego, czego nie rozumie, Thorbjornie?

- Dobrze się zastanów, czy chcesz mnie nazwać tchórzem, bo to musi mieć pewne skutki - Thorbjorn położył dłoń na rękojeści swojego miecza. Harald uśmiechnął się do niego.

- Jakoś nie mogę sobie przypomnieć, żebym użył słowa „tchórz”.

- Ten przeklęty Sakson nie budzi we mnie strachu, ale wiem, że jest niebezpieczny. Osmund i Inga mają rację. To o nim mówiła Brygida w ostatniej wyroczni i dlatego jest rzeczą słuszną, aby złożyć go bogom w ofierze. Twój własny syn



myśli tak samo, inaczej z pewnością nie byłoby go zeszłej nocy w świątyni!

O tym Harald nie wiedział i był to mocny cios. Bez słowa odwrócił się ku Godwinowi. Ten wyzywająco odwzajemnił spojrzenie. Ani ojciec, ani syn nie powiedzieli słowa.

- Nie jesteś jedynym, który wstydzi się swojego klanu - dał się słyszeć głos Haldira.

- Nie jest, prawda - przyznał Wiland. Zwrócił się do siostry i szwagra: - Postawiliście się ponad thingiem i chcieliście przelać krew niewinnego, Osmundzie. Harald ma całkowitą rację: złamaliście prawo w sposób gorszy niż Candamir i Hacon. Dlatego odcinam się od was i zrywam wszelkie związki między nami. Wzywam Jezusa Chrystusa, mojego Boga, na świadka.

- Czym z kolei ty łamiesz prawo, bo thing zakazał oddawania czci temu bogu - odparła ostro Inga.

Siwold, jej najstarszy brat, stanął przy Wilandzie.

- Za to następnego dnia każdy, kto za tym głosował, miał jedną owcę więcej niż dzień wcześniej, prawda? Jak to możliwe? Czyżby Odyn osobiście je przyprowadził i umieścił w zagrodach?

- To kłamstwo - sprzeciwił się Osmund. - To nie jest prawda, Siwoldzie, i odwołasz to.

Siwold sięgnął po broń.

- Doprawdy? Bo co się stanie? Wiem, że tak było, bo mam oczy i umiem liczyć!

Również Osmund dobył miecza.

- Nie, czekajcie - powiedział Candamir. Wszedł między obu mężczyzn, położył każdemu rękę na piersi i odsunął ich od siebie. - Czekajcie. Wiecie, że rozlew krwi na thingu jest profanacją. Cokolwiek zaś powiecie, jesteście szwagrami. Wasi synowie są kuzynami. Czy mimo to chcecie na nich nałożyć obowiązek, żeby się wzajemnie pozabijali?

- Niechętnie - przyznał Osmund. - Nie pozwolę jednak, by jakiś człowiek oskarżał mnie na thingu o przekupstwo.

- Osmundzie - Candamir potarł czoło. - Jeśli się pobijecie, będziemy nadal w tym samym miejscu co teraz. Popłynie krew i wasze klany wyginą w krwawej zemście

zupełnie bez sensu. Bo przecież w rzeczywistości niezgoda jest między tobą a mną, prawda?

Osmund opuścił miecz i, jakby w mgnieniu oka zapomniawszy o Siwoldzie, zwrócił się do mlecznego brata.

- Niezgoda, Candamirze?

Candamir przytaknął.

- Czyż nie ty ją wprowadziłeś do mojego domu?

Oczy Osmunda na krótką chwilę się rozszerzyły, ale natychmiast się opanował.

- Możesz mi powiedzieć, co masz na myśli?

- Runę hagalah, którą narysowałeś na moich drzwiach.

- Skąd przyszło ci do głowy, że to ja zrobiłem?

Candamir nie był tego zupełnie pewien. Myślał o drugiej runie na drzwiach sypialni. Myślał o Siglind.

- Chcesz temu zaprzeczać?

Osmund pokręcił głową i nie spuszczał mlecznego brata z oka.

- Nie. Masz rację. Zrobiłem to, bo nie widziałem innej rady. Była to ostatnia próba przywołania cię do rozsądku. Pokazać ci, czym ryzykujesz.

- Na nic się to jednak nie zdało.

- Na nic. - W głosie Osmunda zabrzmiał szczery żal.

- Ty musiałeś koniecznie pozwolić na to, żeby sprawy zaszły aż tak daleko - oskarżyła Candamira Inga. - Wnoszę przeciwko tobie oskarżenie, Candamirze Olesson, gdyż wystąpiłeś przeciwko woli bogów, uniemożliwiając wypełnienie wyroczni. Ochroniłeś zdradzieckiego odszczepieńca, który sprowadzi nieszczęście na lud Odyna. W ten sposób sam stałeś się odszczepieńcem i musisz za to zapłacić.

„Bądź przeklęta” - pomyślał ze złością Jared. Już miał nadzieję, że Candamir i Osmund dojdą do jakiegoś porozumienia - nawet jeśli nie umiał sobie wyobrazić, jak by to miało wyglądać - a ta musiała akurat dolać oliwy do ognia! Patrzył na nią zdumiony i nie widział w niej już nic z tej dziewczyny, w której niegdyś był tak zakochany

- Wystarczająco często już to słyszałem - warknął. Nie mówił głośno, ale w tej napiętej ciszy wszyscy go słyszeli i wszyscy odwrócili głowy ku niemu. - Obojętnie, ile razy powtórzysz, że Austin jest zdrajcą, to nie stanie się prawdą tylko dlatego, że takie

rozumienie wyroczni odpowiada wam najbardziej. Wszyscy doskonale wiecie, kto stał się odszczepieńcem, zdradził nas i chciał sprowadzić na nas nieszczęście. Był to mój ojciec. Candamir go zgładził. Jeśli więc ktokolwiek miałby tu być przywódcą wyznaczonym przez bogów, to właśnie on.

Osmund zdziwiony popatrzył na niego.

- Jaredzie...

- Przykro mi, kuzynie. Wiem, jestem ci winien wierność i wdzięczność, ale za wiele żadasz ode mnie i mojej duszy, jak by powiedział Austin, a tej nie dostaniesz. W tej sprawie nie mogę stanąć po twojej stronie, bo nie masz racji. - Potoczył wzrokiem dokoła. - Z pewnością wie to każdy z was, kto jest wobec siebie uczciwy.

Rozległy się pomruki, które szybko urosły do krzyków. Było tak, jak przewidywał Candamir - skłócone obozy były równie liczne, a umysły zbyt poruszone. Gdyby teraz zarządzono głosowanie, wzniecono by coś, czego już nikt nie zdołałby opanować.

Z wielkim trudem Osmund i Harald uciszyli zgromadzenie.

Candamir stał na brzegu rzeki, z uporem patrzył w ziemię i podejmował najtrudniejszą decyzję w swoim życiu. Wiedział doskonale, co musi zrobić. Nie był tylko pewien, czy zdoła.

W ciszy, która znów zapadła, odezwał się Thorbjorn:

- Wciąż kręcimy się w kółko. Istnieje przecież prosty sposób, żeby poznać wolę bogów, prawda? Jedynym rozwiązaniem jest holmgang.

Candamir i Osmund spojrzeli na siebie.

Holmgang był pojedyńkiem, który odbywał się według ścisłych reguł i zakazywał późniejszej krwawej zemsty. Reguły były liczne i zawiłe. Wielkość holtnu, czyli oznakowanego miejsca walki, rodzaje i liczba oręża i tarcz, wszystko było ustalone. Jedne reguły były dobre, inne złe, niektóre zdawały się zrozumiałe, inne bezsensowne. Najważniejsza z nich brzmiała zaś następująco: tylko jeden z walczących może żywy opuścić holm.

Wzrok Osmunda był bardzo poważny, głęboko zatroskany. Był jednak gotów to uczynić. Candamir poznał to bez żadnych wątpliwości i nawet nie był zaskoczony. Bo Osmund już taki był. Wierzył, że wypełnia wolę bogów, służy dobru swojego ludu i ma

rację po swojej stronie. Dlatego był też przekonany, że musi doprowadzić do końca raz podjęte przedsięwzięcie, niezależnie od tego, jaką zapłaci cenę i dokąd go to ostatecznie zaprowadzi. To przekonanie było tak głęboko w Osmundzie zakorzenione, że nie mógł już nigdy go zmienić, gdyż oznaczałoby to wyrzeczenie się tego, kim jest. Dlatego był gotów stanąć przeciwko mlecznemu bratu w holmgang, nawet jeśli miałby przegrać, niezależnie od wyniku walki. Candamir wszystko to rozumiał. Mimo to pomyślał, że chyba świat się wali, gdy sobie uświadomił, że Osmund jest gotów go zabić. Za nic, dla wątpliwego celu, którego nawet sam sobie nie wyznaczył. Nie był w stanie dłużej znieść tego nieszczęśliwego, ale nawiedzonego wzroku. Drżąc, odwrócił się i pokręcił głową.

- Beze mnie - oświadczył przed thingiem. - Nie będę przelewał krwi mojego mlecznego brata ani też obciążał go brukaniem rąk moją krwią tylko dlatego, że nie ma zgody co do wyroczni jakiejś martwej, starej wiedźmy.

- Chodzi o coś więcej niż to, Candamirze - przypomniała mu Inga. - Nadal jesteś oskarżony

Przytaknął.

- Możecie sobie oszczędzić wydawania wyroku. Ja... - Składał to oświadczenie nie bez głębokich przemyśleń. Ponownie poszukał wzroku Osmunda, a nie był pewien, czy tamten chce coś zaradzić, czy się mścić. Osmund pokręcił głową, milcząco, ale błagalnie. Candamir uśmiechnął się żałośnie i oznajmił wyrok, który sam wybrał: - Odejdę. Odejdę precz, ma się rozumieć. Ja... z własnej woli pójdę na wygnanie.

Znowu powstało zamieszanie. Mężczyźni, kobiety, nawet niewolnicy krzyčili i gadali jeden przez drugiego, gestykułując w podekscytowaniu. Cicho była jedynie Siglind. Jak skała pośród rozszalałego morza. Boso stała w trawie, w prostej błękitnej sukni, którą Candamir tak lubił, bo miała barwę jej oczu. Jej włosy, chępiące się każdym odcieniem złota, jaki kiedykolwiek widział, błyszczały w jasnym świetle porannego słońca. Była to dla niego pociecha, gdy ją zobaczył, skinęła, bowiem do niego, a nawet się lekko uśmiechnęła, choć po policzkach płynęły jej łzy

Opuściła tylny rząd, gdzie stała wśród innych kobiet, powoli podeszła i stanęła u jego boku.

- Gdziekolwiek idziesz, nie pójdziesz sam.

Opuścił głowę i położył jej dłoń na ramieniu.

- Daj nam dwa dni - powiedział do Osmunda. Zabrzmiało to bardziej jak żądanie niż prośba. - Musimy się trochę przygotować. Jeśli mnie pamięć nie myli, każdy wygnaniec ma prawo do jednego lub dwóch dni zwłoki, nawet morderca i zdrajca, prawda? - Nie udało mu się ukryć goryczy

Hacon i Gunda porozumieli się krótkim spojrzeniem, po czym młodszy brat przyłączył się do nich.

- Idziemy z wami.

Candamir obronnie uniósł rękę.

- Haconie... Nie musisz. Nie sądzę, żeby ktokolwiek na to nalegał.

- Tak - odparł stanowczo brat. - Ja sam. Bo nie ma tu dla mnie przyszłości.

Jego przyjaciel Wiland stanął obok nich.

- Nie ma, także mnie to dotyczy. W miejscu, gdzie człowiek nie może wierzyć w to, co chce, doprawdy nie ma przyszłości. Mam nadzieję, że znajdziecie dla mnie i moich bliskich troszkę miejsca na waszym statku?

- Wilandzie! - zaprotestował Candamir. Niemal go zaklinał: - Czy ty w ogóle wiesz, co robisz? Masz pojęcie, co to oznacza?

- O tak - powiedział i pomyślał: „Po prostu zaczynamy jeszcze raz od nowa. I zrobimy to tak, jak my zechcemy”.

Niemal równocześnie do grupki wygnańców dołączyli bez słowa Siwold i Harald.

- Haraldzie... - odezwał się Osmund po raz pierwszy od oświadczenia Candamira, że zamierza opuścić tę społeczność. Na twarzy rysowała mu się wściekłość, a w oczach trwoga. - Haraldzie, nie możesz tego zrobić. Potrzebujemy kowala.

„Aha, potrzeba wam, zatem kowala - pomyślał Candamir. - Bez mlecznego brata można się obejść, bez kowala nie...”.

Harald chłodno pokręcił głową.

- Zostawię wam tutaj moich Łotyszów, pewnie nie zechcą wyjeżdżać. Pracują w kuźni od dwudziestu lat i potrafią niemal wszystko to, co ja.

- Ale...

- To najwięcej, co mogę ci zaoferować, bo jeśli pozwolisz Candamirowi odejść,

nie będę mógł tu zostać.

Haldir podszedł do niego stanowczym, zamaszystym krokiem.

- Miałbym na moim statku jeszcze kilka miejsc do zaoferowania...

Podchodzili jeden po drugim, chrześcijanie i ci, którzy uważali, że jednemu człowiekowi nie wolno nakazywać innym, w co mają wierzyć. Dla wielu była to trudna decyzja. Niektórzy otwarcie płakali, nie wstydząc się łez. Podchodzili jednak i stawali u boku Candamira, a grupa ta rosła, aż objęła niemal połowę osadników.

Jared i Gunnar podeszli jako ostatni. Ze spuszczoneymi głowami, zawstydzeni wślizgnęli się do obozu wygnańców.

- Och, Jaredzie... - wymamrotał Osmund. Był wyraźnie wstrząśnięty.

Candamir nie chciał na niego patrzeć. „On chciał mnie zabić - przywołał w pamięci. - Był gotów mnie zabić. Dla tych przeklętych bogów, dla władzy i dlatego, że to mnie dostała się kobieta, której pragnął. Teraz, skoro dostrzegł, dokąd zaprowadziły go te kłamstwa i oszukiwanie samego siebie, mógłby się w końcu do tego przyznać. Nic to jednak nie dało”. Candamir mimo to żałował Osmunda i żał mu było ich przyjaźni.

- Przykro mi, kuzynie - przyznał Jared uczciwie. - Ze względu na ciebie bym został. Tylko, że to właśnie ty jesteś tym, który mnie wygania.

„I to - pomyślał Candamir - trafia w samo sedno rzeczy”.

Było to gorzkie pożegnanie. Wszyscy, którzy szli na wygnanie, kochali tę piękną osadę nad rzeką, sami ją, bowiem stworzyli i ukształtowali dzięki swojej pomysłowości i zdolnościom. Wszyscy zostawiali też ukochane osoby

Candamir i Osmund nie szukali okazji do ostatniej rozmowy. Przepaść między nimi była zbyt wielka. Przed zakończeniem zgromadzenia wymienili jeszcze ostatnie ponure spojrzenia i to wszystko. Podobnie było z większością innych. Zostawiali braci, siostry, dzieci lub rodziców, a nikt nie wątpił, że jest to pożegnanie na zawsze. Nigdzie nie doszło jednak do pojednania, bo przecież, dlatego wyjeżdżali, że po prostu nie mieli już nic do powiedzenia zwolennikom strony przeciwnej. Bo wydawało się, że jest to jedyny sposób, aby zapobiec bratobójczej wojnie.

Rozpacz ogarnęła również dzieci i służbę, która do skrzyń pakowała naczynia i

makaty, rozmontowywała krzesło rodowe, nosiła na pokład zbiory i przygotowywała do załadunku bydło. Candamir osobiście oczyścił swój warsztat, zawinął swoje najlepsze narzędzia w płótno nasączone olejem i umieścił w skrzyni. Drugi zestaw narzędzi zostawił dla Godwina.

Wszyscy poruszali się dziwnie powoli, jakby ręce i nogi nie chciały wcielić w czyn tego, co nakazywał im rozum. Nikt nie umiał sobie uświadomić, że naprawdę stąd wyjeżdża.

- Dokąd, Candamirze? - zapytał Hacon, kiedy wygnańcy zebrali się w kuźni w ostatni wieczór przed drogą. Brat powoli wzruszył ramionami.

- Wiecie tyle samo, co ja. Na południe, podpowiada mi serce.

- Na południe? - powtórzył sceptycznie Haldir. - Tam, gdzie kilka nocy temu z nieba spadał ogień?

Candamir pokręcił głową.

- Miałem na myśli południowe wybrzeże Catanu. Możliwie daleko stąd i od pustkowia.

Harald przyznał mu rację.

- Płynmy na południe, aż wypatrzymy góry, o których mówił Berse, i poszukajmy jakiegoś miejsca po ich drugiej stronie. Może na południowo-wschodnim wybrzeżu. Wtedy góry będą stały między nami a wszystkim, co pozostało za nami. Skoro chcemy zacząć na nowo, powinniśmy także zerwać wszystkie dawne związki, bo inaczej może się okazać, że zrobiliśmy to na próżno i mimo to będzie wojna.

- W takim razie prowadź nas, Haraldzie - powiedział Candamir. - Ja... Jestem zbyt bezradny - Tu pomyślał, że może także zbyt zrezygnowany. Wizja rozpoczynania wszystkiego od nowa, karczowania lasów, budowania domów, trwożliwego oczekiwania pierwszych żniw całkowicie go porażała. - Patrząc w przyszłość, widzę jedynie mrok.

Siostra podeszła do niego od tyłu i położyła mu ręce na ramionach.

- To żałoba po mlecznym bracie osłabia twoje ciało i ducha, ale ona minie, Candamirze, zobaczysz. Wierz mi, że wiem, o czym mówię.

- Ma rację - mruknął kowal. On również był bardzo nieszczęśliwy z powodu

ostatecznego rozstania z synem i robił sobie wyrzuty, ale wyglądał na pogodzonego z losem. Kiedy patrzył na swojego starszego szwagra, jego wzrok zdawał się mówić: „Czyżbyś nadal nie pojmował, jakie bywa życie? Czegoś się spodziewał?”.

Candamir wzruszył ramionami i nic już nie mówił. Pozostali jeszcze przez jakiś czas się naradzali, ale mówili raczej o podziale ludzi i bydła między statki niż o celu, ponieważ to nadal był Catan i byli przekonani, że kraj będzie obfity, a ziemia urodzajna - gdziekolwiek się osiedlą.

Tak samo jak w Elasundzie, Candamir i tym razem ostatnią noc przed wyjazdem spędził na pokładzie swojego statku. Kiedy jeszcze były resztki światła dziennego, po pokładzie kręcili się ludzie, przynosili to beczkę miodu, to worek ziarna, ale w końcu zapadł zmrok.

Kiedy Candamir wreszcie został sam, ukrył twarz w dłoniach i rozplakał się. Płakał długo, bo miał do oplakiwania rozmaite rzeczy. Nie przywykł do płaczu i łzy ściekały mu na brodę, łaskotały po policzkach i podbródku, ale nie udało mu się tego powstrzymać. Trwożyła go utrata przyjaciela i zgliszcza, przed którymi stał. Świadomość, że gdyby mógł, postąpiłby tak samo, nie stanowiła wielkiej pociechy - po prostu nie wiedział, cóż lepszego mógłby uczynić.

Kiedy w końcu usłyszał na deskach pokładu lekkie stąpanie Siglind, zdecydowanym ruchem otarł rękawem oczy i nos, ale wcale nie starał się przed nią ukrywać swojego żalnego stanu.

Usiadła przy nim ze skrzyżowanymi nogami. Bez słowa chwycił jej rękę i splótł swoje i jej palce. Księżyc zbliżający się do pełni lekko rozświetlał noc i zamigotało srebro jej obrączki.

- To będzie lepsze życie, Candamirze - powiedziała cicho.

- Tak samo sądziliśmy, opuszczając Elasund, a popatrz tylko, cośmy z niego zrobili.

- To nie była twoja wina.

- To była tak samo moja wina jak Osmunda. Ale właściwie nie ma to już znaczenia. Dopiero teraz widzę wyraźnie, jakim głupcem byłem. Wierzyć, że wszystko



będzie lepiej, dlatego, że ziemia jest lepsza. Ta pewność mnie uspiła i... Zapomniałem, jak nietrwale jest wszystko, co ludzie sobie stworzą. Ojciec Osmunda powiedział kiedyś, że żadne szczęście nie może długo trwać, bo bogowie nam je jedynie pożyczają. Doszedłem już dawno do przekonania, że nic nie może długo trwać, ponieważ my sami wciąż biegniemy ku przepaści. Nie wiem też... Czy naprawdę chcę jeszcze raz zaczynać od nowa.

- Ależ tak. Chcesz tego - odparła. Zabrzmiało to żwawo, a w głosie dało się też usłyszeć uśmiech. - Należysz do ludzi, którzy po każdej porażce zawsze zaczynają od nowa, aż będą zadowoleni ze swojego dzieła. Taki jesteś, kiedy budujesz dom lub robisz skrzynię, taki jesteś też w innych sprawach. Mówię ci: i tym razem ci się uda.

- Skąd u ciebie taka pewność? - zapytał zdziwiony

- Ponieważ tym razem zabierasz na pokład swojego statku mniej starego balastu. Teraz wreszcie masz sposobność, o której zawsze marzyłeś: zacząć coś całkowicie nowego, nieobciążonego. Wszyscy, którzy płyną z nami, chcą tego samego.

Z powątpiewaniem pokręcił głową.

- Nawet dwie osoby nigdy nie pragną tego samego. Jakże dwustu ma być tego samego zdania?

- Cóż, przynajmniej zgodni są, co do tego, czego nie chcą. Przyciągnął ją do siebie i wziął w ramiona.

- Tak. Sądzę, że to jest jakiś początek.

Następnego ranka jeszcze słońce dobrze się nie wspięło nad góry, gdy wypłynęli pięcioma statkami. Było chłodno - najwidoczniej jesień chciała jednak wreszcie nadejść. Wiał słaby zachodni wiatr i, stosownie ustawivszy ster, szybko płynęli w dół rzeki, wspomagani przez nurt.

Choć nie było wiele pracy przy sterowaniu, Candamir stał przy sterze. Przez chwilę walczył ze sobą, po czym złamał zakaz swojego ojca i spojrzął za siebie. Łąka przy osadzie leżała opustoszała w delikatnej porannej mgle.

Osmunda na niej nie było.

Candamir wiedział, że miał niemądrą nadzieję, a mimo to poczuł rozczarowanie

jak jakiś nowy ból. Zaciśnął zęby i stanowczo zwrócił wzrok przed siebie.

- Mam tylko nadzieję, że ten przeklęty Sakson wciąż żyje i jest tam, gdzie ma być  
- mruknął pod nosem.

Hacon, który tym razem z własnej woli usiadł na pierwszej ławce wiosłarskiej, uśmiechnął się do siebie.

- Och, nie wyobrażam sobie, żeby płonące niebo i ogniste deszcze wystarczyły, aby go unicestwić.

Nie zawiódł się. Dwie godziny po wypłynięciu na otwarte morze wczesnym popołudniem dotarli do zatoki, do której Hacon wysłał Austina. Już z daleka dostrzegli wymachującą obiema rękami małą, szczupłą postać o włosach pszenicznej barwy. Candamir i Hacon wymienili uśmiechy.

Nie musieli zarzucać kotwicy, bo Austin wbiegł do morza i popłynął im na spotkanie, jakby nie mógł się doczekać, by znów być wśród nich. Kiedy dotarł do „Sokoła”, Harald rzucił mu sznurową drabinkę i Austin zręcznie wspiął się na pokład.

Zgotowali mu radosne przyjęcie. Nawet ci, którzy nie uznawali jego boga cieśli, byli rozradowani, że widzą go całego i zdrowego. Hacon pełen ulgi wziął go w ramiona, a po krótkim, zakłopotanym wahaniu także Candamir poszedł w ślady brata.

- Witaj na pokładzie, Saksonie.

Austin uśmiechnął się do niego, ale oczy miał pełne troski.

- Miałem nadzieję i modliłem się do Boga, żeby móc jeszcze raz na tym świecie was zobaczyć. Równocześnie obawiałem się, że nasze spotkanie będzie oznaczało rozłam waszej społeczności. To budzi mój najgłębszy żal, Candamirze.

Ten skwitował tę wypowiedź machnięciem ręki.

- Odczujesz ulgę czy rozczarowanie, jeśli ci powiem, że nie ma to nic wspólnego z tobą?

Austin na krótko zwrócił oczy ku niebu.

- Zasmuci mnie to, gdyż znów mówisz nieprawdę.

Roześmiali się i Candamira zdumiało, jak beztroski nagle się poczuł. Jak wyzwolony.

- Zabraliście moje księgi? - zapytał Sakson.

- Oczywiście - Candamir wskazał kciukiem w kierunku Hacona. - Nalegał nawet

na to, żeby zabrać cały niezapisany pergamin.

Austin uśmiechnął się z ulgą.

- Niech cię Bóg błogosławi, Haconie.

- Opowiedz nam o ognistym deszczu - poprosił Hacon.

- Nie widziałem go dużo lepiej niż wy - oświadczył Austin. - Ponieważ szedłem południowym brzegiem rzeki, żeby nie zabłądzić i trafić z powrotem do zatoki. Nagle odniosłem jednak wrażenie, że kilka mil w lewo ode mnie płonie duża połać lasu. Obawiam się, że było tak, jak przypuszczałem: nowe źródło ognia powstało na skraju pustkowi i prawdopodobnie je powiększyło.

- Oby Odyn miał w swojej opiece Osmunda i wszystkich pozostałych - mruknął Candamir. - Mam nadzieję, że ziemia się teraz uspokoi, gdy nasz spór został rozstrzygnięty.

Austinowi przeszło przez głowę, że słowo „rozstrzygnięty” nie jest tu zbyt trafne. Wiedział jednak, ile Candamir poświęcił, żeby zapobiec rozlewowi krwi, i podziwiał go za tę decyzję. Za tę mądrość, w tak oczywisty przecież sposób sprzeciwiającą się tradycji, do której Candamir był przywiązany.

Mnich głęboko zaciągnął się słonym morskim powietrzem, po czym ciekawie rozejrzał się po pokładzie.

- No, muszę powiedzieć... Przecież to naprawdę wygląda jak Arka Noego, jeszcze bardziej niż w czasie naszego ostatniego rejsu. Tym razem krowy i konie spoglądają przez reling, jak na pewnym obrazie, który raz widziałem, ukazującym statek Noego.

Candamir zdążył już wcześniej poznać opowieść o potopie, bo jego synowi i najstarszej córce po prostu nigdy nie było dość słuchania tej historii, i odparł:

- Cóż, mam nadzieję, że ominie nas ulewa. Znowu staraliśmy się ograniczyć do zabrania tylko najpotrzebniejszego dobytku, ale obawiam się, że jeszcze marniej nam to wyszło niż przy wyjeździe z dawnej ojczyzny. Dla koni i bydła nie było miejsca pod pokładem, bo ładownia jest pełna owiec, worków z ziarnem i żelaza.

- Oby tym razem „Sokół” nie poszedł na dno.

- Oby Szepnij tam słówko twojemu bogu. Postanowiliśmy nocą zawijać do tych licznych zatoczek. Jeśli jednak nadejdzie sztorm, musimy mieć nadzieję, że znajdziemy jakąś bardzo szybko.

Austin z przekonaniem skinął głową. Na Catanie rzadko bywały groźne sztormy. Ten rejs był ponadto nieporównywalny pod względem bezpieczeństwa do poprzedniego, gdyż tym razem mieli brzeg stale w polu widzenia.

- Dokąd płyniemy? - zapytał ciekawie.

- Na południe.

Przy pięknej pogodzie i nie napotykając żadnych przeciwności, żeglowali wzdłuż wybrzeża. Większość osadników po raz pierwszy oglądała tę część Catanu. Pustkowiu przyglądali się z trwogą i milczeniem, ale kiedy zostało za nimi, nie mogli się nachwalić piękną lasów i wzgórz wyspy. Bardziej niż wybrzeże ekscytowało ich jednak morze. W ich błękitnych i szarych oczach pojawiły się błyski, kiedy patrzyli w dal na ogromny, połyskujący błękit, i wielu dopiero teraz zauważyło, jak bardzo im tego widoku brakowało. Nils, Ole, ich młodsze rodzeństwo i rówieśnicy widzieli morze po raz pierwszy w życiu, a przewyciężywszy początkową obawę przed nieznanym żywiołem, byli oczarowani, kiedy zaś statki wieczorem zawinęły do zatoki i osadnicy zeszli na ląd, dzieci baraszkowały beztrąsko w płytkiej wodzie i podziwiałały ogromne fale.

Piątego dnia zobaczyli południowe pogórze, a kiedy zostawili je za sobą, rozpoczęli poszukiwania.

Wszyscy zauważyli, że wybrzeże z tej strony jest inne. Berse określił je jako „milsze” i musieli przyznać mu rację. Skały zostały z tyłu, zatoki z długimi piaszczystymi plażami zrobiły się płytsze, a ich barwy i zarysy łagodniejsze. Ale nie tylko to. Wiatr i fale były po wschodniej stronie Catanu wyraźnie słabsze niż po zachodniej, poza tym, jak na tę porę roku, było niezwykle ciepło.

Wreszcie rankiem siódmego dnia Candamir wyprowadził małą flotę w morze na dobrą milę od brzegu i tam wyrzucił za burtę związane sznurem belki swojego krzesła rodowego.

Towarzysze podróży patrzyli na niego z niepewnością i zdumieniem, zastanawiając się, czy był to spóźniony wybuch złości na mlecznego brata, który mu podarował to krzesło. Candamir z uśmiechem pokręcił jednak głową i wskazał palcem belki, które kołysały się na łagodnych falach.

- Popatrzcie tylko. Płyną ku brzegowi. Zobaczmy, dokąd nas zaprowadzą.

Musieli znów wiosłować, gdyż tego ranka wiał jedynie słaby zefirek. Prąd jednak też był słaby, bez wysiłku mogli, więc utrzymać płynące krzesło w polu widzenia. Najpierw popłynęło kawałek na południe, po czym prąd niespodziewanie zmienił kierunek i pognał je na północny zachód.

- Mam nadzieję, że twoje krzesło nie zaprowadzi nas z powrotem do miejsca, z którego wyruszyliśmy - mruknął Hacon niespokojnie.

Candamir z założonymi rękami stał na dziobie i kręcił przecząco głową.

- Od tamtego miejsca nie możemy już być bardziej oddaleni niż teraz - stwierdził. Po czym zagrzmiał przez ramię: - Bardziej na sterburtę, ślepi jesteście?!

Zatoka, w której fale wyrzuciły krzesło rodowe na plażę, miała kształt półksiężyca i długość ponad pół mili. Płytkie wybrzeże było pokryte gruboziarnistym piaskiem, a mniej więcej po pięćdziesięciu krokach wznosiło się ku łańcuchowi wzgórz porośniętych trawą, ciągnących się nad całym półksiężycem.

Zarzuciwszy kotwicę i zszedłszy na ląd, wspięli się na szczyt wzgórza i odkryli po drugiej stronie rozległy las, złożony, jak się zdawało, głównie z drzew iglastych o rozłożystych koronach i szarej, grubej korze. Im wyżej wznosiło się poranne słońce, tym silniejszy stawał się żywiczny zapach tych nieznanych drzew. Ziemia zaś, w którą zapuszczały korzenie, była czarna i żyzna.

Candamir głęboko zaciągnął się zapachem drzew, po czym odwrócił się twarzą do słońca. Przez zmrużone oczy patrzył na morze - i nie był jedyny. Harald i Asta stali na brzegu i rozmawiali. Wielkie dłonie Haralda były ułożone w kształt statku i pokazywały na morze i na południe - zapewne zastanawiał się z żoną, czy byłoby możliwe i sensowne sprowadzanie tutaj żelaza z gór drogą wodną. Hacon, Gunda i Austin stali w płytkiej wodzie i podziwiali muszlę, którą Sakson wypatrył w piasku i najwidoczniej znalazł powód, aby przeprowadzić jakiś uczony wykład. Wszędzie na brzegu i na wzgórzach stali ludzie w parach lub grupach i rozmawiali, a ich gesty sugerowały wielkie plany i niesłychane pomysły.

Candamir tak się zatopił w oglądaniu towarzyszy, że nie poświęcił nawet jednego

spojrzenia pięknu tej krainy

Z brzegu przyszła do niego Siglind, stanęła u jego boku i objęła w pasie.

- Co tam? Jak sądzisz? - zapytała. - Dobre miejsce, prawda?

W zadumie pokiwał głową.

- Tak. Dobre miejsce. Kiedy opuszczaliśmy Elasund, zawsze sobie wyobrażałem, jaki dom chcę mieć w nowej ojczyźnie. Pamiętam dobrze, że rozmyślałem o tym tamtej nocy na Zimnych Wyspach, tuż przed naszym spotkaniem.

- Tak? Jaki to miałby być dom?

- Dom z widokiem na morze. Na szczycie łagodnego pagórka porośniętego trawą. Morska bryza powinna wpadać przez drzwi. O czymś takim jak okna wtedy jeszcze nie myślałem. - Z uśmiechem wzruszył ramionami i pocałował żonę w skroń.

- Dom z widokiem na morze... - powtórzyła.

- Tak.

Siglind wskazała na las w dole.

- Drewna jest tam pod dostatkiem, widzisz?

- Widzę.

- Więc? Na co czekasz?

**KONIEC**

## POSŁOWIE I PODZIĘKOWANIE

Kiedy Klaus Teuber i ja spotkaliśmy się po raz pierwszy pewnego słonecznego dnia w maju 2001 roku, aby wspólnie przemyśleć koncepcję tej powieści, ustaliliśmy, że oboje wyrzucamy z głowy słowo „wiking”. Kiedy miesiąc później rozpoczęłam pisanie, byłam przekonana, że mam już do dyspozycji wszelką potrzebną wiedzę i że pojawia się okazja, aby usunąć kilka uporczywie powtarzanych stereotypów na temat wikingów

Jak to często w życiu bywa, rzeczywistość okazała się inna. W toku moich badań stwierdziłam, jak mocno moje wyobrażenia o wikingach są naznaczone angielskim i kontynentalnym piśmiennictwem historycznym tworzonym z pozycji ofiary, jak gruntownie część z tych wyobrażeń muszę zrewidować. Poza tym niektóre ze wspomnianych stereotypów okazały się właśnie prawdziwe. Na przykład ich nadmierny pociąg do napojów alkoholowych to nie złośliwe plotki, ale fakt. W sagach można znaleźć wyczerpujące, barwne opisy wielkiego pijaństwa i jego następstw przekraczających wszelkie granice dobrego smaku.

Niech po raz kolejny zostanie powiedziane to, co zawsze chętnie przywołuję przy takich okazjach - każda powieść historyczna jest fikcją i nigdy nie może stanowić wiernego odtworzenia przeszłości. Dotyczy to szczególnie tej powieści, skoro opowiada ona wyłącznie o postaciach wymyślonych i wydarzenia dzieją się w fikcyjnych miejscach. Dlatego zrezygnowałam również z datowania zgodnie z naszym kalendarzem. Przy całej swobodzie, jaką daje fikcja, starałam się jednak możliwie wiernie rekonstruować historyczne tło społeczne i kulturowe. Dotyczy to statków, domów, ubiorów, broni i wszelkich przedmiotów codziennego użytku oraz świata wierzeń i struktur społecznych. Pod niektórymi względami materiały źródłowe są doprawdy ubogie i problematyczne, a w wielu kwestiach istnieją sprzeczne opinie. To ostatnie dotyczy także statusu kobiety, który, moim zdaniem, często się przecenia. Prawdą jest, że żona mogła opuścić męża, zachowując swój osobisty majątek, i że zasady moralne w erze przedchrześcijańskiej nie były tak restrykcyjne jak później. Społeczność ludzi, których

opisujemy jako wikingów, a którzy siebie nigdy tak nie nazywali, była jednak światem typowych macho, zdominowanym przez mężczyzn. Prawa kobiet nie dotyczyły zaś biedoty i niewolnic.

Wiele opisanych tutaj obrzędów i zwyczajów istniało naprawdę, jak szukanie ładu za pomocą kruków, wspólne oddawanie moczu po thingu, malowanie ścian świątyni krwią ofiary czy określanie miejsca na osiedlenie za pomocą wyrzucenia przez burtę związanych sznurem belek krzesła rodowego i obserwowania, dokąd zaprowadzą. Udokumentowana została też, niestety, żmijowa śmierć, więcej przemawia także za tezą, że zdarzało się składanie ofiar z ludzi.

Świat nordyckich bogów i mitów naprawdę mnie oczarował. Opowieści te są niesamowite i głębokie, komiczne i tragiczne, piękne i wstrętne, obce, a przecież znajome. Pozwoliłam sobie wprowadzić jedną do powieści, choć nie może się mierzyć z oryginałem. Kto mi zarzuci, że moja legenda o Odynie, Tanuri i zatopionej wyspie nosi wyraźnie Tolkienowskie cechy, ten będzie miał całkowitą rację. Proszę to rozumieć jako moją daninę złożoną wielkiemu mistrzowi, którego tak szanuję, a którego dzieło było inspirowane *Eddą poetycką*.

Podobnie jak w przeszłości, także i tym razem w moich badaniach i tworzeniu powieści wspierało mnie wiele osób. Przede wszystkim mój mąż Michael, któremu po raz kolejny należą się najgłębsze podziękowania. Jak zawsze chciałabym podziękować mojej siostrze, doktor Sabinie Rose, za uwagi dotyczące zagadnień medycznych, za jej szczerze poglądy i twórcze propozycje. Na moje podziękowania zasługują także: Alfred Umhey - za zaproszenie mnie do swojego fascynującego archiwum i za książki, które mi pożyczył (i które mogłam tak długo trzymać!), Michael Jager - za spotkania, inspirujące, intelektualne dyskusje w trakcie wielogodzinnych podróży samochodem i za wiele innych rzeczy, Olaf Hoger, a zwłaszcza Hermann Stolle - za odpowiedzi na moje pytania w dziedzinie uprawy zbóż, Tina Steinhauser - za trafne podpowiedzi dotyczące literatury, oraz H.C. Steinhauser - za pomocne materiały na temat kilsonów, kilów i innych dziwacznych elementów.

Moje szczególne podziękowanie kieruję oczywiście do Klausa Teubera, który swoim zaufaniem bardzo mnie zaszczycił, zaprosił na Catan i dzięki temu w ogóle umożliwił tę cudowną przygodę.



R.G., luty 2003 roku